

· POWSTANIA ·
· POLSKIE ·

· 1794 ·
· 1830-31 ·
· 1863 ·

· BERLIN - WIEN ·
· NAKŁADEM BENJAMINA HARZA ·

DZIEJE POWSTANIA STYCZNIOWEGO

1863-1864

N A P I S A Ł
AUGUST SOKOŁOWSKI



BERLIN — WIEDEN [1906?]
NAKŁADEM: BENJAMINA HARZA



93.

Sok....

Dzie...

~~4620~~

~~BIBLIOTEKA~~

~~Górniczego Długo Kultury~~

~~Kopalni „Kościszko-Turka” w Jaworznie~~

~~Numer 4880~~

~~Dział~~

S



94(438).07"1863

-1864

7056/cz



Rozdział pierwszy.

STAN ROSYI PO ŚMIERCI MIKOŁAJA I. — NADZIEJE, ULGI I ZAWODY. —
KWESTYA WŁOŚCIAŃSKA.

Niespodziewana śmierć Mikołaja I. i wstąpienie na tron Aleksandra II. (2. marca 1855 roku) wstrząsnęły w posadach całe imperyum rosyjskie. „Nigdy nie zapomnę — tak pisał w kilka lat później Ks. Piotr Dołgorukow — tej radości, która, jak iskra elektryczna przebiegła po Rosyi. Każdy miał uczucie człowieka wychodzącego z ciemności na jasne światło dzienne.¹⁾”

Bo też położenie, w jakim zostawiał swoje olbrzymie państwo „niezapomniany“ wnuk Katarzyny II. było w istocie straszne. Społeczeństwo ciemne, zahukane, pozbawione wszelkich praw, przywykłe do bierności i bezwzględного posłuszeństwa, podlegało nie tyle nieograniczonej władzy monarszej co wyuzdanej samowoli czynownictwa, w obec którego sam car, z pozoru niemal wszechmocny, w istocie był zupełnie bezsilnym.

Kasta ta, nędznie opłacana przez państwo, żyła i bogaciła się kosztem społeczeństwa a, związana wspólnością interesów, tworzyła potęgę tem niebezpieczniejszą, że, będąc przeciwną wszelkim zmianom i reformom istniejącego porządku, tłumiła każdą myśl swobodniejszą i umiała niweczyć nawet dobre zamiary i postanowienia monarchy, jeżeli one w czemkolwiek mogły ograniczyć jej wpływy lub, broń Boże, zmniejszyć korzyści pochodzące z wyzysku i nieprawnych dochodów czyli t. zw. łapówek.

Ona też rządziła właściwie państwem, ona tłumaczyła i wykonywała ustawy według swojego rozumienia, ona „legalnie“ łupiła skarb publiczny i obdzierała całe społeczeństwo. Przekupstwo i niesłychana demoralizacya obejmowała całą machinę administracyjną od najniższych aż do najwyższych stopni.

Zdarzały się wypadki, że naczelnik żandarmeryi przez lokaja swego ofiarował więźniowi politycznemu wolność za tyle a tyle tysięcy rubli, a w prowincjach polskich każdy właściciel ziemski był obowiązany opłacać policję

¹⁾ Dołgorukow: *La vérité sur la Russie*. Paris 1860, str. 89.

według taksy przez nią samą ułożonej, a zastosowanej oczywiście do dochodów i majątku obywatela.¹⁾

W zapadłych guberniach carstwa, zwłaszcza na Syberji przybierały nadużycia czynowników wprost monstrualne rozmiary. Obok łapówek i jawnego niemal obdzierania i okradania mieszkańców, uprawiano tam otwarcie i zawodowo niejako fałszowanie pieniędzy, które sprzedawano w przytomności urzędników i oficerów po 40 rubli za 100.²⁾

Nie lepiej działo się w sądownictwie. Tak zwany „Zwód Zakonów“, wprowadzony za czasów Mikołaja I., także i w prowincjach zabranych, obejmował w 48 ogromnych tomach niezliczoną ilość ukazów bardzo często sprzecznych ze sobą i znoszących się wzajemnie. Wymiar sprawiedliwości, wykonywany na podstawie takiego kodeksu, otwierał najrozleglejsze pole do nadużyć wszelakiego rodzaju, z czego oczywiście urzędnicy sądowi, lichopłatni albo żadnego niepobierający ze skarbu wynagrodzenia, nie omieszkali korzystać. Rozpowszechniło się więc przekupstwo i kubaniarstwo do tego stopnia, że wygranie procesu, chociażby w najsluszniejszej sprawie, zależało wyłącznie od wysokości łapówek, jakie otrzymali sędziowie. Na mocy Dworjańskiej Gramoty z roku 1784 miała wprowadzić szlachta wolność wybierania z grona swego urzędników sądowych, ale po 1831 roku utraciły to prawo faktycznie prowincje zabrane, ponieważ gubernatorowie nie zatwierdzali nigdy elektów szlacheckich a natomiast mianowali dowolnie upatrzonych przez siebie kandydatów, którzy obok prawomyślności odznaczali się szczególniejszymi zdolnościami do pobierania łapówek, zwłaszcza, że ich pensya rządowa wpływała zwyczajnie do kasy gubernatorskiej jako ekwiwalent za nadanie zyskowej posady.

Drugim, niezmiernie ważnym czynnikiem w życiu społecznym i państwowem Rosyi, było duchowieństwo i cerkiew prawosławna.

Wielki i dobroczynny wpływ, jaki od początku swego istnienia wywierał kościół katolicki, i wywiera dotąd na rozwój ludzkości, uprawniałby do przypuszczenia, że i prawosławie, acz oderwane wcześniej od pnia wspólnego i zarażone błędami, zdoła zachować w swoim łonie przynajmniej ducha chrześcijańskiej nauki i tym duchem ożywione spełni względem powierzonych sobie owczarni obowiązek dobrego pasterza. Niestety, cerkiew prawosławna, przesiąknięta na wskroś kulturą i zgnilizną bizantyjską stała się instytucją martwą, a popadłszy za czasów Piotra W. w zupełną od władzy świeckiej zależność, utraciła do reszty charakter kościoła Chrystusowego.

Pierwszym skutkiem tej zmiany było odszczepieństwo i sekciarstwo, był t. zw. Rozkoł, sekty Popowców i Bezpopowców, jakoteż później powstałe: Duchoborców, Mołokanów, Biczowników, Skopeców, Stranników i wielu innych; dalszym rozkład i upadek cerkwi uważanej za jedną z głównych podstaw państwa i społeczeństwa rosyjskiego.

Składały się na to rozmaite okoliczności, przedewszystkiem niesłychana ciemnota duchowieństwa i oplakane położenie kleru niższego.

Już Piotr W., chcąc ograniczyć polemikę, jaką wzniewały jego reformy cerkiewne pomiędzy duchowieństwem, zabronił mnichom surowo używania a nawet posiadania materyałów piśmiennych. W późniejszych czasach nie przestrzegano oczywiście tego dziwnego ukazu, ale zaniedbano najzupełniej wykształcenie młodzieży, poświęcającej się zawodowi duchownemu.

¹⁾ Tamże str. 298.

²⁾ Ludwik Zielonka: Wspomnienia z Syberji od roku 1863—1869. Kraków 1906 str. 25.

Niższe szkoły i seminaria dla przyszłych duszpasterzy były jaskiniami zepsucia i brudu prawdziwym piekłem Dantejskiem, z którego wychodziły zastępy nie kapłanów, lecz przebiegłych karyerowiczów, polujących na dobre ożenki i tłuste prebendy, albo oczajduszów, wyuzdanych na wszelkie występki. Tacy duchowni, ciemni, niemający najmniejszego pojęcia o prawdach religijnych, od najwcześniejszej młodości swojej przywykli do pijaństwa, niepobierający żadnej płacy od rządu i ograniczeni zatem jedynie do dochodów z roli i z tego, co im posługi religijne przynosiły, krzewili wśród ludności wiejskiej, zamiast cnót chrześcijańskich, rozpustę, zamiast prawdziwej pobożności, czczy formalizm, polegający na powierzchownem wykonywaniu praktyk religijnych, który prawosławiu nadawał charakter jakiegoś bezdusznego fetyszyzmu, w umysłach wykształconych budził obojętność dla wiary, w ciemnych tłumach fanatyzm, niezgodny z wzniosłą nauką Zbawiciela.¹⁾

Nic dziwnego zatem, że cerkiew w takich postawiona warunkach, nie mogła spełnić wzniosłego swego posłannictwa, że nie podniosła duchowo społeczeństwa, lecz pograżyła je jeszcze bardziej w grubym materyalizmie, że nie rozjaśniła duszy rosyjskiej światłem wiary chrześcijańskiej lecz przeciwnie rzuciła ją w otchłań ciemnoty, zabobonów lub zwątpienia, że wypielegnowała w swoim łonie nihilizm, że stała się poniekąd przyczyną tych strasznych katastrof i zbrodni na jakie ze wstrętem spogląda dziś cały świat cywilizowany.

Martwota i deprawacya cerkwi prawosławnej nie miałyby może wpływu tak szkodliwego, gdyby im nie towarzyszył równocześnie oplakany stan oświaty w całym państwie rosyjskiem. Rządy despotyczne w ogóle a rząd carski w szczególności nie sprzyjały nigdy oświacie. Już Katarzyna II. przestrzegała przed oświecaniem klas niższych i ludu a jej następcy trzymali się przeważnie tej zasady. Wydoskonalona za czasów Mikołaja stała się ona niejako podstawą polityki rządowej.

Szkoły były rzadkie, uposażenie ich liche, budynki urągające wszelkim wymaganiom higieny, nauczyciele wyjątkowo tylko jako tako uzdolnieni. Zdarzało się, że profesorowie obcych języków umieli zaledwie czytać po francusku lub po niemiecku, chociaż tych przedmiotów uczyli. Starożytne języki były w wielkiem zaniedbaniu, w lyceum petersburskiem, wyposażonem szczególniejszemi przywilejami, w najwyższych klasach z autorów łacińskich czytano zaledwie Korneliusza Neposa; filozofii nie uczono nawet po uniwersytetach.²⁾ Władze szkolne pilnowały jedynie porządku i karności. Porządek i karność wojskowa były też główną ich troską, wychowanie i nauka rzeczą podrzędną. Na nieprzystwoite wybryki młodzieży, na pijaństwo, grę w karty i rozpustę wszelkiego rodzaju spoglądano z ojcowską pobłażliwością, karano natomiast bardzo surowo każde wykroczenie przeciw subordynacyi, szczególnie najłżejsze objawy t. zw. nieprawomyślności. Ażeby zaś ten system ogłupiania i demoralizacyi utrzymać oddzielił Mikołaj I. murem chińskim Rosyę od Europy i nie pozwolił młodzieży wyjeżdżać za granicę, obostrzył jeszcze bardziej uciążliwe przepisy paszportowe, dzienniki obce i książki poddał jak najostrzejszej, bezmyślnej i w wysokim stopniu ograniczonej cenzurze. Rosya za jego czasów była krajem odciętym od świata, pograżonym

¹⁾ Porów. Wyznania Jereja, ogłoszone w Sborniku Russkim, a streszczone obszernie w „Wiadomościach polskich“, tom III., str. 376—409.

²⁾ Pamiętniki K. S. Zygmunta Felińskiego. Kraków 1897. Część druga, str. 32.

w ciemnocie, niezdolnym do jakiegokolwiek bądź postępu pod względem ekonomicznym lub umysłowym.

Smutny ten los w wyższym jeszcze stopniu dzieliły połączone z cesarstwem prowincje polskie.

Po upadku powstania listopadowego, wydane na pastwę najdzikszej i nieubłaganej zemsty, obrażonego śmiertelnie w swojej dumie samodzierżcy, stale poniewierane, gnębione i ogłupiane, stały się one krajem obiecanym i Kalifornią dla czynowników i karyerowiczów najgorszego gatunku, rozległym polem dla reakcyi i eksperymentów rusyfikacyjnych, które, z wyjątkiem gwałtownego przeprowadzenia unitów na schyzmę, żadnego zresztą prawie nie odniosły skutku.

Siła odporna narodowości polskiej, jej wyższość kulturalna z jednej strony, z drugiej sprzedajność i nieudolność rosyjskiej biurokracyi niweczyły po kolei wszystkie rusyfikacyjne zamiary rządu jakkolwiek obmyślane z niezwykłą przebiegłością, i wykonywane według ówczesnego systemu brutalnie i bezwzględnie.

Mimo to wywarła dwudziestopięcioletnia epoka niesłychanego ucisku i prześladowań w niejednym kierunku wpływ bardzo szkodliwy na społeczeństwo polskie, odzwyczaiła je bowiem niemal zupełnie od udziału w życiu publicznym, obniżyła ogólny poziom oświaty, zatruliła serca jadem nienawiści, napełniła je pragnieniem zemsty i pogłębiła przepaść dzielącą oba narody.

Polityczny system Mikołaja I. osłabił Polskę zarówno jak i Rosyę; Polaków nie zrussyfikował i nie zjednał a na ciele rosyjskiem wytworzył ranę ciągle ropiącą, niebezpieczną dla organizmu, zarażonego demoralizacją, złożonego z pierwiastków, mechanicznie ze sobą spojonych.

Cóż bowiem mogło łączyć z cesarstwem nabytki kresowe, Kaukaz, Finlandyę i Polskę, uciskane, gnębione i wyzyskiwane przez rząd i czynownictwo, co mogło obudzić w nich poczucie wspólności z państwem, którego podstawą było bezprawie i samowola, które w jaskrawy sposób zaniedbywało obowiązki swoje względem swoich poddanych, które żyło i tuczyło się ich krwią, rosło i potęgniało ich pracą a dawało im w nagrodę upokorzenie i niewolę?

Pod żelazną ręką Mikołaja I. ludy te sprzęgnięte razem do rydwanu rosyjskiego, sprawiały optyczne złudzenie wielkiej mocy i potęgi, łatwo jednak było przewidzieć chwilę, kiedy pryśnie urok samowładztwa i, odsłaniając przerażającą próżnię i zgniliznę wewnętrzną, wywołała nieuniknioną katastrofę.

W roku 1855, daleko jeszcze było do tego. Rzesze narodów zahukanych, ciemnych, przywykłych do jarzma, zrodzone i spowite w niewoli nie zdawały sobie sprawy ani ze swojej siły ani z niemocy caratu.

Wiadomość o śmierci Mikołaja I. przyjęto w całym państwie z początku z niedowierzaniem, później z zdziwieniem. Nie przypuszczano bowiem, aby ta noc straszna, aby te cierpienia niewysłowione, kiedykolwiek skończyć się mogły, aby ten mocarz, jak szatan dumny, jak Bóg wszechmocny, miał uleść wyrokowi Opatrzności, umrzeć jak zwykli umierają śmiertelnicy.

Powstały też pogłoski, niesprawdzone zresztą, że car przygnębiony niepowodzeniem w wojnie krymskiej popełnił samobójstwo. Prawdopodobieństwo tej wersji nadawał cały szereg gwałtownych i nienaturalnych zgonów, jakie od lat stu bezmała powtarzały się w rodzinie Romanowów.

Spółeczeństwo polskie nieodczuwało równie w pierwszszej chwili radości z powodu śmierci swego ciemiężyciela. Ci którzy się nad wypadkiem głębiej zastanawiali, sądzili, że raczej smucić się należy Polakom, bo zgon Mikołaja położy koniec wojnie i zniweczy nadzieje, jakie u nas w kraju z wypadkami wschodniemi łączono.

Nowy cesarz nie mógł także budzić szczególniejszych nadziei skoro w manifestie przy wstąpieniu na tron wydanym ogłosił ludom swoim i całemu światu, że pójdzie śladem Katarzyny i Mikołaja I.

Dopiero po kongresie paryskim zawiął wiatr pomyślniejszy jak się zdawało. W całym europejskim dziennikarstwie, w gazetach niemieckich, angielskich i francuskich zabrzmiały hymny pochwalne na cześć Aleksandra II. Wynoszono pod niebiosą jego usposobienie łagodne, przekonania liberalne, dążności reformatorskie, zapowiadano wielkie zmiany w polityce wewnętrznej i zewnętrznej cesarstwa.

W Polsce, na podstawie wiadomości, niewiadomo skąd i od kogo zaczerpniętych, wiercono uparcie, że na kongresie paryskim zapadły jakieś postanowienia korzystne dla sprawy polskiej a widoczne zbliżenie pomiędzy Rosyą a Francją zdawało się te pogłoski potwierdzać.

Śmierć kata Polski, Paskiewicza, który umierał na Zamku warszawskim, trapiący wyrzutami sumienia i widmami pomordowanych ofiar, przejściowe rządy namiestnicze generała Wincentego Krasińskiego i nominacja starego, łagodnego Gorczakowa zapowiadały przyszłość cokolwiek jaśniejszą, pozwalały przedewszystkiem odetchnąć swobodniej.

W umysłach, skłonnych do egzaltacyi budziły się nawet marzenia, przypominające czasy Aleksandra I. Gorący patriota, Tytus Działyński, zwywał w przedmowie do wydawanego przez siebie „Dyaryusza sejmu Unii Lubelskiej“ „najpotężniejszego władzcę ludów słowiańskich“ do krucjaty przeciw Niemcom.

Niewczesna ta i w wysokim stopniu niepolityczna manifestacja nie-przyszła wprawdzie do skutku, Działyński na przedstawienia Czartoryskiego i Zamoyskiego, opuścił w przedmowie ustęp powyższy, ale łatwo zapalna wyobraźnia polska nie dała się mimoto odwieść od objawów podobnego rodzaju więcej szkodliwych niż pożytecznych.

W takim usposobieniu społeczeństwa był przyjazd Aleksandra II. do Warszawy, w maju 1856 roku wypadkiem niezmiernie ważnym.

Mimowolnie przychodziły wszystkim na pamięć czasy nie zbyt odległe, częste odwiedziny Mikołaja I.: jego przemówienia brutalne, wypowiedziane w tonie kaprałskim, tchnące nienawiścią i pogardą dla narodowości polskiej. Starsi przypominali sobie natomiast jak obecny cesarz w mundurze pułku strzelców konnych przejeżdżał po ulicach Warszawy, jak ojciec, przedstawiając go zebrany w Zamku generałom i oficerom polskim zapewnił że syn jego a ich nowy towarzysz broni jest dobrym Polakiem, bo w tym duchu został wychowany. Czyż można było zatem przypuszczać, że on który nosił mundur polski i, jak utrzymywano, z zapalem czytywał dzieła Mickiewicza, okaże się równie twardym, nieubłagany i nieprzejednanym, że mimo polskiego wychowania nie będzie lepszym od ojca? A jeżeli tak, to co czynić, jak się zachować, jak do niego przemówić.

Nad tem pytaniem zastanawiano się poważnie. Jan Jezierski, znany z poselstwa swego do Petersburga w 1830 roku, obecnie koniuszy dworu

cesarskiego i marszałek gubernii lubelskiej, zamierzał podać Aleksandrowi II. memoriał o stanie kraju, Aleksander Wielopolski był za wręceniem adresu. Zgodzono się podać adres, bardzo lojalny, zawierający prośbę o amnestyę dla przestępców politycznych, o powrót wygnańców z Syberyi, o wprowadzenie urzędowego języka polskiego i instytucyj przyznanych w Statucie organicznym z 1832 roku.

Były to żądania bardzo skromne, oparte na gruncie legalnym, uzasadnione potrzebami kraju, politycznie rozumne i nie wykraczające poza granice Królestwa, któremu sam Mikołaj przyznał po upadku listopadowego powstania pewne prawa odrębne i autonomiczne. A jednak stała się rzecz zgoła niespodziewana.

Cesarz nie tylko nie przyjął adresu i memoriału, ale na przyjęciu w Belwederze, obok ogólnikowych zapewnień o życzliwości swojej dla kraju, oświadczył że „wszystko co ojciec jego dokonał było dobrem, że panowanie jego będzie tylko przedłużeniem panowania rodzica“ i że „uważa za swój obowiązek nauczać ciągle Polaków iż ich szczęście zamyka się tylko z zupełnem zlanie się z Rosyą“, w końcu zaś dodał z naciskiem: „precz z marzeniami“ (*point des réveries*)! i to samo powtórzył raz jeszcze w dniu 27. maja reprezentacyi szlacheckiej. Jakkolwiek mowę tę możnaby w ten sposób tłumaczyć, że cesarz miał na myśli dążności separystyczne, oderwanie się i niepodległość Polski, to nieprzyjęcie adresu, którego treść musiała mu być znana, nasuwa przypuszczenie, że działały tu wpływy uboczne, inspiracye pochodzące od Muchanowa, może od siostry cesarza, Ks. Olgi Wirtemberskiej,¹⁾ albo i stamtąd, gdzie obawiano się zawsze porozumienia pomiędzy Polską a Rosyą, a więc z Wiednia albo z Berlina.

Wrażenie tej niefortunnej enuncyacji ostudziło znacznie początkowe nadzieje i zapęły i wzbudziło zarazem nieufność do nowego władcy, który mimo postępowych swoich zasad i zamiarów odzywał się do społeczeństwa polskiego w tonie przypominającym, żywo Mikołajowskie tradycye, który zamiast łagodzić i koić jątrzył rany, zadane narodowi a jako jedyny środek skuteczny zalecał Polakom samobójstwo t. j. zlanie się z Rosyą.

Czy sam wierzył w możliwość podobnego rozwiązania kwestyi polskiej, czy przypuszczał rzeczywiście, że naród, mający świetną przeszłość historyczną, żywy i żywotny, wsiąknie dobrowolnie w organizm obcy sobie i jak dotąd wrogi? Zdaje się że nie, bo wnet potem nastąpiły pewne ulgi i ustępstwa, służące raczej do pokrzepienia niż do zatracenia narodowości polskiej.

Obsadzono mianowicie opróżnione i długo osierocone stolice biskupie, kujawsko-kaliską i podlaską, mianowano wreszcie arcybiskupa warszawskiego, którym został długoletni tej dyecezyi administrator (od roku 1844) Ks. Antoni Melchior Fijałkowski (urodzony 6. stycznia 1778 roku), ustanowiono sufraganów na Podlasiu i w Lublinie, skompletowano kilka Kapituł i Kolegiat.

Tym zmianom towarzyszyły pewne reformy w zakresie edukacyi publicznej. W roku 1857 roku założył rząd w Warszawie, pozbawionej dotąd uniwersytetu, Akademię Medyko-chirurgiczną, szkołę pięcioklasową dla dziewcząt, wprowadził nową organizacyę gimnazyów filologicznych, ułożył dla instytutu agronomicznego w Marymoncie odpowiedniejszą dla jego celów ustawę, postanowił urządzić na prowincyi pięć szkół rolniczych, podwyższył

¹⁾ Berg: Zapiski o powstaniu polkiem 1863—1864 roku. W Krakowie 1898, tom I. str. 49.

plące nauczycieli, dla uboższych uczniów szkół rozmaitych przeznaczył 170 stypendyów rządowych, w końcu (dnia 24. listopada 1857 roku) zatwierdził ustawy Towarzystwa rolniczego na rozległych zasadach i przywilejach.

Wskutek amnestyi, ogłoszonej z powodu uroczystości koronacyjnej w Moskie (w 1856 roku) powróciła znaczna liczba wygnańców politycznych z Syberyi i zapadłych gubernij cesarstwa; w Warszawie pozwolono na wydrukowanie zakazanych dotąd surowo pism Mickiewicza.

W następnym roku, 1858, oddano pocztę w Królestwie (ukaz z dnia 19. maja) pod bezpośrednie zwierzchnictwo Namiestnika i Rady Administracyjnej, zaprowadzając równocześnie w tej instytucyi język urzędowy polski.

Były to ulgi nieznaczne, koncesye drobne, ale w porównaniu z dawniejszym systemem, bądź jak bądź, świadczące o dobrej woli rządu, o pewnej zmianie w zapatrywaniach na kwestyę polską.

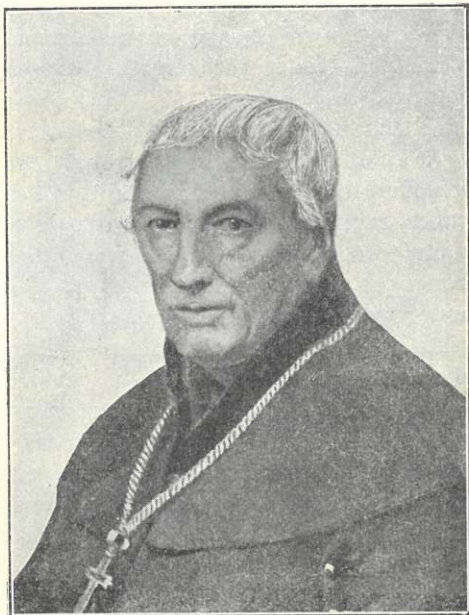
Niestety nie sięgała ona daleko. Za Bugiem i Niemnem, w prowincjach zabranych trwał dalej ucisk narodowości polskiej i praktykowane za czasów Mikołajowskich prześladowania.

W gub. Witebskiej, w Dziernowicach, majątności Antoniego Korsaka, włościanie nawróceni gwałtem na prawosławie w 1842 roku wnieśli do cara i do ministra spraw wewnętrznych prośbę, aby im dozwolono wyznawać jawnie wiarę katolicką.

Pop miejscowy, przerażony i zgorzchniony tym objawem nieprawomyślności, zaskarżył swoich parafian do Archiereja Łużańskiego, który oczywiście zażądał pomocy władz cywilnych i wojskowych.

Zjechała do Dziernowic z Witebska komisya, zwołała chłopów, namawiała, biła wreszcie i nic nie sprawiwszy wróciła z raportem, że petycja Dziernowiczian, była dziełem okolicznego duchowieństwa katolickiego. Zesłano więc na rewizyę gubernii z Petersburga senatora Szczerbinina. I on próbował z początku także perswazyi, a gdy ta nie pomogła, otoczył gromadę całą wojskiem, przemocą wprowadził do cerkwi, dzieci kazał pochrzcić na nowo i doniósł do Petersburga, że włościanie Dziernowiccy, uznawszy swoje błędy i za nie żałując, ze skrucłą wrócili na łono prawosławnej wiary.

Podobne wypadki zdarzyły się także w Pawłowcie i Porowcowie a towarzyszyły im na lewym brzegu Bugu równocześnie zamachy Muchanowa na unię w diecezyi Chełmskiej, powstrzymane na chwilę jedynie przez stałość ówczesnego biskupa Ks. Teraszkiewicza.



Nr. 2. X. Ant. Melchior Fijałkowski, arcyb. Warsz.
(Ze zbioru pana Jarosława Pieniżka.)

Mimoto nikt nie tracił jeszcze otuchy i nadziei. Szlachta litewska zgutowała cesarzowi w Wilnie (wrzesień 1858 roku), już po krwawej Dziernowickiej tragedii, wspaniale przyjęcie, Odyniec witał go jako „dziejca Jagiellońskich tronów“ głośnym wtedy wierszem: „Przyjdź królestwo Boże!“; Tyszkiewicz wyprawił wspaniałe polowanie.

Aleksander był widocznie zadowolony, modlił się w Ostrej Bramie, metropolicie Żylińskiemu, kiedy go przyjmował w Katedrze, oświadczył, że za jego panowania żaden kościół katolicki nie będzie zabrany na prawosławny; na świetnym balu rozmawiał z panią Orzeszkową po polsku, tańczył wiele i ochoczo a odjeżdżając wyraził marszałkowi Domejce najwyższe swoje zadowolenie.

Nic naturalniejszego, jak że pod wrażeniem tych jasnych chwil, powstała na wniosek Edwarda Römpera, myśl podania adresu do cesarza. Miał on być w żądaniach umiarkowany, w tonie lojalny. Proszono o przywrócenie uniwersytetu w Wilnie, o jawność w postępowaniu sądowym, o równość praw, w małżeństwach mieszanych i o wprowadzenie do szkół nauki w języku polskim.

Adres miano wręczyć cesarzowi na balu, podczas drugiego pobytu w Wilnie, w jesieni 1858 roku. Ale Aleksander uwiadomiony widocznie wcześniej o zamiarze Litwinów, nie przyjął zaproszenia na bal a Marszałkom gubernialnym oświadczył krótko lecz dobitnie: „Powiedździe szlachcie, żem z niej niezadowolony, niech wie ona i Europa, że tu nie Polska.“¹⁾ Jedną jedyną koncesyą, jaką uzyskano wtedy, głównie za staraniem Michała Balińskiego, honorowego Kuratora, szkół to było wprowadzenie nauki języka polskiego do szkół nie tylko na Litwie, ale niebawem także i w guberniach wołyńskiej, kijowskiej i podolskiej.

Niestety i to drobne ustępstwo umiała biurokracya ograniczyć i uczynić jak najmniej pożytecznem. Kurator okręgu Wileńskiego generał Wrangel utworzył natychmiast komisję, z samych prawie Niemców złożoną i powierzył napisanie programu do nauczania języka polskiego niejakiemu Holmblatowi, oczywiście także Niemcowi, nieumiejącemu nawet po polsku. Skutek był taki że uczono wyłącznie gramatyki polskiej w pięciu niższych klasach po dwie godziny tygodniowo, w szóstej i siódmej po jednej, z tem zastrzeżeniem, że kurs nie jest obowiązującym.

Tymczasem zbliżyła się chwila ważna, decydująca, na porządku dziennym stała kwestya włościańska. Aleksander II. postanowił wreszcie, pod wpływem liberalnych idei, zająć się losem chłopów, w ciężkiej dotąd zostających niewoli. Myśl była wzniosła, ale w sferach najwyższych nie miano właściwie jasno określonego programu i dążono widocznie do tego, aby uczynić jak najmniej, nie naruszając interesów materialnych szlachty rosyjskiej, na ogół przeciwnej usamowolnieniu włościaństwa. W tej intencji więc rząd nadając ograniczone prawa wolności chłopom, dążył do oczynszowania i do zaprowadzenia w całym państwie ustroju gminnego na wzór rosyjski.

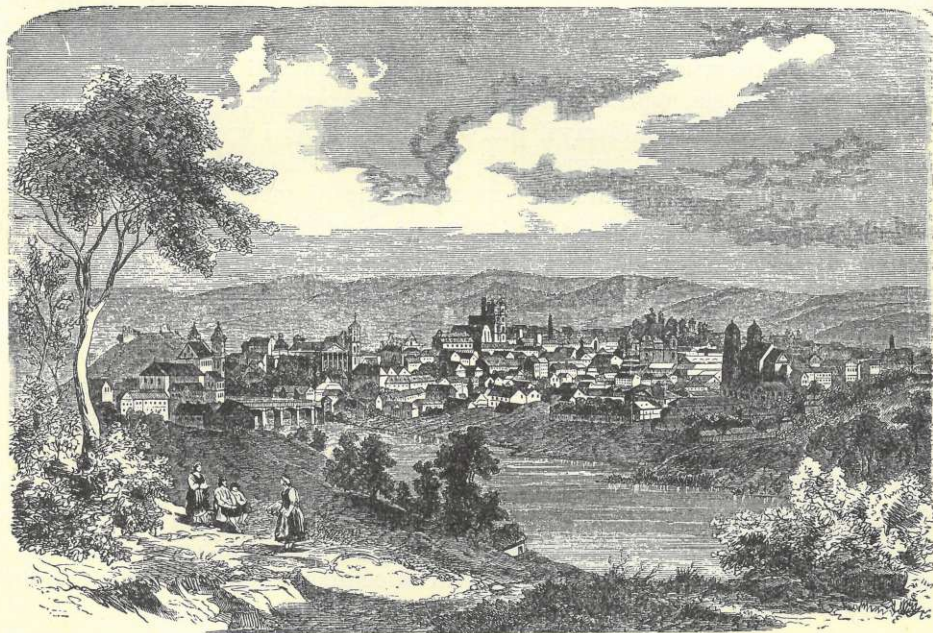
„Właściciel-obywatel — tak czytamy w reskrypcie cesarskim z dnia 20. listopada 1857 roku. — zachowuje prawo własności do całej swej ziemi, ale chłop zatrzymuje sadybę, którą ma kupić na własność, wypłacając się w oznaczonych terminach. Oprócz tego chłop pozostaje przy używaniu takiej ilości gruntu, jaka według miejscowych okoliczności okaże się potrzebną, aby

¹⁾ Wydawnictwo materialów do historii powstania 1863—1864 roku. Litwa przed rokiem 1863. Tom wstępny, str. 123.

zapewnić byt jego i dać mu środki zadość uczynienia jego obowiązkom względem państwa i właściciela. W zamian za to użytkowanie, chłopci obowiązani są albo płacić czynsz właścicielowi albo pracować na jego korzyść“.

Rozwijając tę myśl w dalszym ciągu objaśnia minister spraw wewnętrznych, że po odłączeniu sadyb, reszta gruntów ma być podzielona, stosownie do użytku, na grunta dworskie i gromadzkie i że grunta przyznane chłopom, zostaną na zawsze pod zarządem gminy czyli t. zw. miru.

W ten sposób chłop oprócz sadyby nie otrzymywał żadnej własności, z pod władzy pana przechodził pod władzę gminy t. j. czynownictwa, które faktycznie zarządem gminy trzęsło, obywatel-właściciel ponosił zaś znaczne ofiary nie na rzecz chłopca lecz gminy, przyczem dodać należy jeszcze, że



Nr. 3. Widok Wilna.

owo wydzielanie gruntów „według miejscowych okoliczności“, otwierało rozległe pole do nadużyć wszelkiego rodzaju, mogło i musiało nawet stać się źródłem waśni społecznej, prawdziwą kopalnią złota dla biurokracyi, regulującej sprawę włościańskie.

Obowiązkiem społeczeństwa polskiego było zatem skorzystać z inicjatywy rządu, uzyskać jak największy wpływ na rozwiązanie kwestyi włościańskiej, ująć ją o ile możności w swoje ręce i rozstrzygnąć stanowczo, bez względu na ofiary, których uniknąć się nie dało.

Wszak była to sprawa, zajmująca od czasów czteroletniego Sejmu nieustannie umysły światlejsze, potrzeba uznana zgodnie przez wszystkie stronnictwa emigracyjne, propagowana gorąco pismem i słowem, reforma, oczekiwana z utęsknieniem, jako główny warunek odrodzenia narodu i najpotężniejszy środek odzyskania niepodległości.

Gruntowne rozwiązanie kwestyi włościańskiej zalecał już w 1847 roku Józef Gołuchowski, w broszurze „O chłopach,” gdzie doszedł do wniosku, że „trzeba nadać włościanom własność prawą, aby się nie pokusili o nieprawą,” za uwłaszczeniem przemawiał niemniej przekonująco Tomasz Potocki (Adam Krzyżtopór) w „Wieczorach Karlsbadzkich” i w pracy „O urządzeniu stosunków rolniczych polskich.”

Obecnie, skoro tylko ukazał się manifest Aleksandra II. zapowiadający reformę włościańską, wszystkie dzienniki polskie, zagraniczne zwłaszcza, oświadczyły się za uwłaszczeniem. Wiadomości Polskie, wychodzące w Paryżu ogłosiły nawet cały szereg gruntownie opracowanych artykułów, w których zwracały uwagę społeczeństwa na ważność kwestyi i na ukryte zamiary rządu a Ks. Adam Czartoryski wydał w 1858 roku odezwę do obywateli Litwy i Rusi, nawołującą do umiarkowania i ofiarności w sprawie włościańskiej, zalecającą uwłaszczenie nie tylko w zagrodach ale i w gruntach.¹⁾

Szlachta rosyjska przyjęła projekt polepszenia doli włościan niechętnie. Nie sprzeciwiano się wprowadzić jawnie woli cesarskiej, ale usiłowano o ile możności reformę utrudnić myśl pierwotną zwichnąć i wypaczyć. Zrozumiał to Aleksander II i dlatego zwrócił się przedewszystkiem do Polaków. W sekretne oznajmieniu, przesłanem na ręce general-gubernatora Wileńskiego, Nazimowa, wyrażono życzenie, aby szlachta przedkładała adresy w sprawie usamowolnienia włościan.

Mógł zaś uczynić to tem snadniej, gdy usposobienie Polaków pod panowaniem rosyjskiem zostających co do kwestyi włościańskiej nie było dla niego tajemnicą. Wiedział bowiem, że niedawno Ks. Stefan Lubomirski oświadczył się głośno za zniesieniem poddaństwa i że marszałkowie gubernij litewskich na konferencji w Moskwie odbytej w podobny także wyrazili się sposób.²⁾

Rzecz nie była jednak łatwa. Z tego, co dotychczas wiadano, wynikało, że rząd sam nie miał jasno wytkniętego programu, że nie wypowiedział bynajmniej zasady usamowolnienia włościan, lecz pragnął jedynie ulepszenia ich bytu, i wtym kierunku chciał zasięgnąć opinii szlachty.

Wezwanie Nazimowa, który na Litwie był lubiany z powodu uczciwego i nawet szlachetnego zachowania się swego podczas srogich prześladowań i śledztw w 1842 roku, poruszyło żywo umysły.

Na zjazdach obywatelskich w Kownie i w Grodnie zapadła jednomyślnie uchwała tej treści, że szlachta za najkonieczniejszy i najpierwszy warunek ulepszenia bytu włościan uważa zniesienie poddaństwa i z radością praw swoich do włościan się zrzeka.³⁾

Nazimów przyjął to postanowienie z wielkiem zadowoleniem i nie szczędził komitetom gorących pochwał.

„Z godnością i światłą wiedzą — mówił — odgadując potrzeby rodzinnego kraju i stosując się do ducha czasu, wy panowie pierwsi w całym państwie rosyjskiem, oświadczyliście się za szlachetną dążnością ku polepszeniu bytu zostających pod waszą opieką włościan!

¹⁾ Pamiętniki Tadeusza Bobrowskiego. Lwów 1900, t. II., str. 174.

²⁾ Zaleski Bronisław: Zniesienie poddaństwa na Litwie. Roczn. Tow. hist. list. roku 1867, str. 337.

³⁾ Tamże, str. 338.

Jakkolwiek słowa powyższe wypowiedziane były w innej myśli, to przyznać należy, że ówczesna Litwa zasługiwała na wszelkie uznanie.

Mimo strasznego ucisku zdołała się ona oprzeć rusyfikacji i przechować tradycje i ideały narodowe. Przyczyniło się do tego i korzystniejsze położenie kraju i twardy charakter litewski.

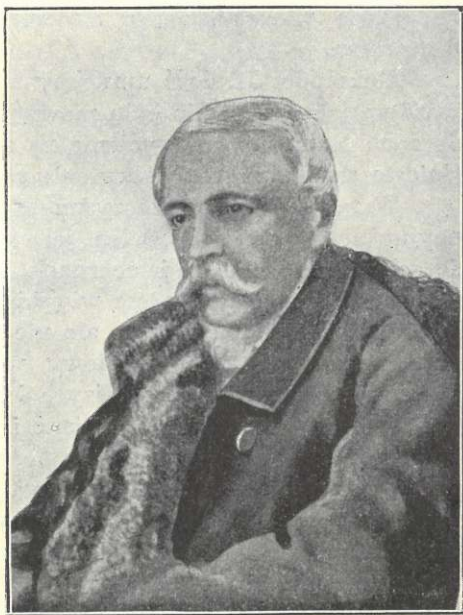
Gdy w Królestwie przez lat 30 zaniedbano wykształcenie młodzieży, Litwini, żyjący jeszcze duchem filareckich związków, wysyłali synów swoich na naukę do uniwersytetów w Moskwie, Petersburga lub Dorpacie, gdzie młodzież litewska, nie tracąc bynajmniej uczuć narodowych, kształciła się na pożytecznych dla kraju obywateli. Dorpat szczególnie wydał w okresie od 1835—1848 roku cały zastęp ludzi dzielnych i rozumnych, którzy, teraz, w pomyślniejszych cokolwiek warunkach, zajęli wpływowe w społeczeństwie stanowisko.

Ich zasługą były też uchwały komitetów dla sprawy włościańskiej, oni sprawili, że żywioł polski na Litwie zachował dawniejsze swoje znaczenie, że wyszedł z Dantejskiego piekła Mikołajowskich prześladowań, wzmocniony, i że teraz do nowego zbudził się życia.

„Sekretno-konfidencyjnalny“ raport członka Synodu, osławionego renegata, Józefa Siemaszki, przesłany w roku 1855 na ręce Ober-prokuratora hr. Protasowa, jakkolwiek nie zasługuje w całości na wiarę i przedstawia rzekome niebezpieczeństwo, grożące prawosławnej Rosji ze strony Polaków i Katolików rzymskich z właściwą takim donosom przesadą, świadczy jednak wymownie, że Litwa pozostała krajem polskim i że propaganda prawosławna, tak energicznie przez rząd popierana, okazała się zupełnie bezsilną.¹⁾

Obecne pokolenie, nauczone smutnymi doświadczeniami lat ubiegłych, widząc możliwość pracy jawnej i legalnej, zerwało ostatecznie z taktyką konspiracyjną i weszło na drogę powolnego wprowadzienia, lecz niemniej przeto skutecznego działania nad podźwignięciem kraju i utrwaleniem bytu narodowego.

Głos szlachcica, wydany w roku 1859 określił wyraźnie zasady tego nowego kierunku, żądał uwłaszczenia włościan, założenia Towarzystwa Rolniczego i szkółek ludowych, przestrzegał przed nierozważnymi ofiarami i godził się na połączenie z Rosją pod hasłem „równi z równymi.“ Dla



Nr. 4. Tomasz hr. Potocki.
(Ze zbioru pana Jarosława Pieniżka.)

¹⁾ Raport Siemaszki ogłoszony w Zborniku historycznym Rosyjskim w Londynie, w tłumaczeniu polskim w Rocznikach polskich, tom III.

popierania tego jasnego i rozumnie pomyślanego programu zaczął wydawać w Petersburgu Józefat Ohryzko dziennik *Słowo*, redagowany wspólnymi siłami przez Włodzimierza Spasowicza, Edwarda Żeligowskiego, i Zygmunta Sierakowskiego, w kraju zaś postanowiono na wniosek Bronisława Zaleskiego podczas wyborów w Mińsku ułożyć statut dla Towarzystwa Rolniczego i starać się u rządu o jego zatwierdzenie. W następnym, 1860 roku projekt był już gotowy i Jan hr. Tyszkiewicz miał pojechać do Petersburga i wyjednać tam aprobatę rządową.¹⁾

Tymczasem rząd zajął w obec tego ruchu stanowisko nieprzychylnie. Gdy poruszenie sprawy włościańskiej wywołało w całej Rosyi powszechne zajęcie, gdy powstały tam pisma, wyłącznie kwestyi tej poświęcone, gdy Jerzy Samarin, Katkow, profesor Kawelin i wszyscy myślący ludzie ogłaszali projekty i uwagi swoje w tym przedmiocie, nie wolno było na Litwie nic drukować w sprawie włościańskiej a *Słowo* petersburskie zamknięto po wydaniu 14. numeru.

Aleksander II. dość uprzejmy z początku, okazał się w zasadzie równie twardym jak ojciec. Nie było mowy już o utworzeniu uniwersytetu w Wilnie, nie zdołano uzyskać pozwolenia na założenie Towarzystwa Rolniczego, nie odniosło skutku nawet wstawienie się za Litwą Nazimowa.

W takim składzie rzeczy trzeba było uciec się do organizacji, nie rewolucyjnej lecz pokojowej. Celem jej było utrzymać pracę społeczną, mianowicie zakładanie szkółek i ochronek, szerzenie wstrzemięźliwości, oświaty i dobrobytu pomiędzy ludem wiejskim.

Podobnie jak na Litwie, ale nie w tym stopniu i nie w takich rozmiarach rozwinął się ruch narodowy w prowincjach ruskich. Społeczeństwo tamtejsze, pozbawione najlepszych i najtęższych sił swoich w okresie Konarszczyzny, teroryzowane, ogłupiane i demoralizowane przez satrapę Bibikowa i nikiemnych jego pomocników, nie posiadało ani doświadczenia politycznego ani tego hartu i zasobu inteligencji, jaki wyrobił się na Litwie mimo i wśród największych prześladowań. Uniwersytet Kijowski był wprawdzie ogniskiem oświaty, skupiającem około siebie młodzież polską i ruską, ale poddany także pod rygor wojskowy i pilnie przez władze strzeżony, niemógł wywierać takiego wpływu jak swobodniejsze cokolwiek uniwersytety w cesarstwie.

Liczba zresztą studentów, acz znaczna, przejęta postępowymi zasadami i patryotycznie usposobiona, po wyjściu ze szkół rozpraszała się po tych olbrzymich obszarach, tonęła w środowisku apatycznym, leniwem i do wygod nawykłem, i zaledwie gdzieś budziła drzemające i zahukane społeczeństwo do zastanawiania się nad sobą i nad losem kraju.

Temu też a oraz i doświadczonej tylokrotnie żywotności ducha narodowego zawdzięczać należy, że z nastaniem liberalnej ery i w tych zapadłych kątach nowe zawrzało życie.

Sprawa włościańska, wnikająca głęboko nietylko w stosunki społeczne ale i materyalne, poruszyła całe społeczeństwo, zarówno polskie jak i rosyjskie. Rozprawy Komitetu Kijowskiego, gdzie opinie wsteczne ścierały się z mniej lub więcej postępowymi, gdzie zwolennicy uwłaszczenia zwalczali pańszczyźnianych batożników a umiarkowańsi zalecali oczynszowanie jako pośrednią drogę do uwłaszczenia, budziły powszechne zajęcie, wносиły do tej atmosfery dusznej i zatęchłej ożywcze tchnienie świeżego powietrza, zwracały

¹⁾ Litwa przed roku 1863. *Materyały do historyi powstania 1863—1864.* Tom wstępny.

umysły, oddane troskom lub rozrywkom codziennym, do spraw poważnych, do ścisłego obrachunku z przeszłością i do działania odpowiadającego warunkom obecnym.

Rzecz to była dość trudna dla społeczeństwa, nie posiadającego żadnej zgody reprezentacji, która mogłaby przemawiać w imieniu obywateli do rządu i przedstawiać wyższym władzom swoje żądania.

Pozostawała tylko droga inicjatywy prywatnej i zgromadzenia szlacheckie, zwoływane co 3 lata dla t. zw. wyborów. Użyto i jednego i drugiego środka. Zaczęto się starać o założenie Towarzystw rolniczych i Towarzystwa kredytowego ziemskiego a równocześnie układać adresy na zebraniach wyborczych szlacheckich. Pierwszy taki adres, proszący o przywrócenie języka polskiego zamierzała szlachta gubernii Podolskiej przedłożyć Aleksandrowi II. w 1859 roku podczas jego pobytu w Kamieńcu Podolskim, ale przeszkodził temu generał-gubernator Ks. Wasilczyków i gubernator miejscowy. Cesarz, uwiadomiony prywatnie o adresie nazwał go niestosowną „zamaszką“.

Niezrażona tem szlachta Kijowska postanowiła jednak podać adres z prośbą o wprowadzenie w szkołach gubernialnych i na uniwersytecie Kijowskim wykładów języka polskiego. Adres został przyjęty prawie jednomyślnie; głosowali zanim nie tylko Polacy ale i wszyscy Rosyanie. Na 300 uczestników zgromadzenia był jeden głos przeciwny. Dał go profesor architektury na uniwersytecie Kijowskim Beretti, za co złajali go srodze Rosyanie i zmusili do opuszczenia sali wyborczej.

Słusznemu żądaniu stało się zadość. Ks. Wasilczyków prośbę poparł i od początku następnego roku szkolnego 1860/1 wszystkie Gimnazya podlegające zarządowi okręgu naukowego Kijowskiego otrzymały nauczycieli języka polskiego. Katedra polska na uniwersytecie nie została jednak obsadzona, rzekomo z braku uzdolnionego kandydata a rzeczywiście w skutek intryg profesorów-popowiczów, którzy zdołali przewlec sprawę aż do roku 1863 i następnie umorzyć ją zupełnie.¹⁾

W taki sposób rozwijały się stosunki w ziemiach zabranych. Nie były one zbyt pomyślne ani nie uprawniały do daleko sięgających nadziei, ale dowodziły że duch narodowy ocknął się z letargu, że to społeczeństwo gnębione i prześladowane przez ćwierć wieku, czuje w sobie siłę żywotną i że rozporządza warunkami dającymi możność odrodzenia. Niezmiernie skomplikowane położenie, w jakim znajdowaliśmy się wymagało atoli cierpliwości, wytrwałej pracy i rozważli, zalecało największą ostrożność w działaniu i umiarkowanie w tem co osiągnąć zamierzano.

Utraciwszy z biegiem czasu wszystko musieliśmy odzyskiwać nasze prawa stopniowo, naprawiać błędy przeszłości i zakładać fundamenty pod nową budowę wśród ciągłej walki i z natężeniem wszystkich sił naszych.

Najważniejsza była niewątpliwie kwestya włościańska, decydująca o przyszłości narodowej. Należało przewidywać, że rząd będzie się starał rozstrzygnąć ją w sposób dla siebie najdogodniejszy, dla nas najmniej zadowalniający i stąd wynikała konieczność, aby w tem rozwiązaniu mieć udział jak największy i strzedz, według możliwości najżywotniejszych naszych interesów.

¹⁾ Pamiętniki Tadeusza Bobrowskiego, tom II., str. 344.

Nieodzownym warunkiem powodzenia takiej akcyi jak i całej rozpoczętej pracy organicznej było uspokojenie opinii publicznej i zgodne działanie w wytkniętym kierunku.

Nierozumiało tego niestety, społeczeństwo polskie i wzięło się z gorączkowym pospiechem do budzenia ducha narodowego, wierząc w moc zapалу, który może tworzyć cuda tylko wtedy, jeżeli jest kierowany rozumem i opiera się na chłodnem obliczeniu sił i środków.



Rozdział drugi.

STAN UMYSŁÓW W KRÓLESTWIE. — WPŁYWY EMIGRACYJNE. — DZIAŁANIE MIEROSŁAWSKIEGO I HOTELU LAMBERT. — PIERWSZE SPISKI. — KAPITUŁA WARSZAWSKA. — MILENERZY. — MANIFESTACYE.

Kiedy tak w zapadłych prowincjach polskich, oddalonych od ognisk zachodniej cywilizacji zaczęły się objawiać w społeczeństwie pewne dążności i kierunki, zwiastujące jakby zorzę lepszej przyszłości, przybrał ruch narodowy w Królestwie odmienne kształty.

Zbliżona więcej do Europy, przechowująca w żywej jeszcze pamięci czasy konstytucyjnego Królestwa i listopadowej rewolucyi odznaczała się tą częścią zaboru rosyjskiego, gorętszem uczuciem patryotycznym, gotowością do ofiar i do poświęcenia, ale zarazem i bujniejszą wyobraźnią, która, nie licząc się zbyt ściśle z trudnemi warunkami bytu narodowego i ulegając prądom zachodnim, skłonniejsza była do konspiracyi i niewczesnych porywów niż do wytrwałej i ciężkiej pracy nad odrodzeniem i podźwignięciem srodze gnębianego narodu.

Przyczynił się do tego nie mało system Paskiewiczowski, polegający na oglupianiu i demoralizacyi społeczeństwa, trudność nabycia oświaty w szkołach nielicznych, gdzie pod kierunkiem zaśniedziałych rutynistów lub karyerowiczów najpośledniejszego gatunku, młodzież nie tylko nie kształciła się naukowo lecz upadała moralnie, gdzie dusze i serca niewinne zatrutowano jadem nienawiści, tłumiono w nich wszelkie uczucia wzniosłe a budzono natomiast najgorsze instynkty.

Wychodziło więc z tych szkół pokolenie powierzchownie wykształcone, przywykłe do próżnowania, rozgoryczone, umysłowo płytkie, do lekkiego życia skłonne, obowiązków swoich względem kraju i społeczeństwa nieświadome. Młodzież, nadzieja narodu stawiała się w ten sposób czynnikiem raczej szkodliwym niż pożytecznym. Zamożniejsza szukała rozrywek, traciła majątek i zdrowie, uboższa zapełniała biura i kancelarye, gdzie za mizerne wynagrodzenie spełniała najniższe funkcye, marnując zdrowie i siły na pracy zgola nieproduktywnej i wstrętnej. Niezadowolona z swojego położenia, nieustanną troską o chleb powszedni obarczona, pozbawiona widoków lepszej przyszłości,

stanowiła ona gotowe kadry dla wszelkich konspiracji, dla każdego ruchu, który mógł ją wyzwolić z poniżenia i egipskiej prawdy niewoli.

Życie umysłowe, utrudnione niezmiernie przez podejrzliwość i szykany władz rządowych, nie istniało wcale; dziennikarstwo skrepowane drakońskimi przepisami cenzury, karmiło publiczność drukowanymi plotkami albo też zajmowało się roztrząsaniem kwestyi błahych, którym sztucznie nadawano pozory wielkiego znaczenia i niezwyklej dla społeczeństwa doniosłości.

Teatr i muzyka były traktowane z szczególniejszem zajęciem. Długo i poważnie roztrząsano n. p. pytanie gdzie i na jakim przedstawieniu ma być wręczony wieniec śpiewakowi opery Dolskiemu a dziennikarze, podzieleni na dwa wrogie sobie obozy, staczali zapamiętałe walki o przedmiot, za ledwie na wzmiankę kronikarską zasługujący.

Społeczeństwo, żyjące w takiej atmosferze ciasnej i bezdusznej, obojętniało dla spraw publicznych i popadało w apatię. Część jedna szukała uspokojenia i pociechy w nabożeństwie i praktykach religijnych, druga, oczekiwiała z rezygnacją lepszej przyszłości, inni wreszcie prowadzili życie bezmyślne, topiąc troski codzienne na dnie kielicha i używając uciech i rozrywek, jakich dostarczała zawsze uśmiechnięta i stale rozbawiona „Kochana Warszawka“.

Goretsi, ci co przechowywali w głębi serc swoich pamięć listopadowej nocy, ci co dzieciństwo spędzili wśród spisków i konspiracji, którym terazniejszość nowe zdawała się otwierać horyzonty, patrząc z oburzeniem na to zgnęśnienie społeczeństwa, zwracali nadzieje swoje ku tej stronie, gdzie duch narodu przechowywał nieskalane ideały przeszłości i skąd kraj czerpał otuchę i zachętę do walki o swoje prawa i o wyzwolenie.

Stamtąd, z pośród tych tułaczy, żyjących wspomnieniami Grochowa, Igań i Ostrołęki miała wyjść myśl zbawcza, oni tylko bohaterstwem opromienieni, doświadczeniem wsparci, mogli wskazać narodowi drogę, wiodącą do odrodzenia i wyjarzmnienia.

Literatura emigracyjna, tak różnorodna i tak obfitująca w pisma polityczne, stała się więc codzienną i ulubioną strawą młodego pokolenia a Paryż celem upragnionym wędrowki dla zamożniejszych i więcej przedsiębiorczych jednostek, które korzystały skwapliwie z ułatwień paszportowych, wprowadzonych po śmierci Mikołaja I.

Emigracya, rozdwojona, jak wiadomo na dwa, wrogie sobie obozy, działała też w dwojakim kierunku.

Stronnictwo Czartoryskich, zasilone gronem młodych utalentowanych pisarzy jak Waleryan Kalinka, Julian Klaczko i Leon Kapliński, acz w polityce umiarkowane, nie miało w gruncie rzeczy jasno określonego programu. Ks. Adam zachęcał przede wszystkim do zgody i jedności stronnictwa galicyjskie a przemówienie swoje podczas obchodu listopadowego w 1860 roku zakończył ogólnikowym życzeniem: „Boże daj, aby w tej ostatniej może oczekiwań i prób godzinie żaden z Polaków nie miał sobie do wyrzucenia ani gorączkowej, bezrozumnej czynności, ani co gorsza, obojętnego i występnego zaniebdywania“.

W pół roku później (dnia 3. maja 1861 roku), już pod wrażeniem warszawskich wypadków, cieszył się, że „naród nasz w jednym dniu podniósł się od razu do wysokości ducha, do potęgi moralnej, do której żaden inny nie był dotąd doszedł, ani dojść nigdy nie zamyślał“, dziękował Bogu, „za

jego dla nas nieprzewidzianą a oczywistą łaskę“, wyrażał przekonanie, „że siła, którą kraj się dźwiga, jest w nim samym . . ., w potęgze jego ducha, że obcej pomocy w tej chwili nie spodziewa się i nie żąda“ i wysnuwał stąd wniosek, że „niegodziło się poduszczać niecierpliwych do zawichrzeń“.

Były to, na ogół biorąc, uwagi niewątpliwie rozumne, ale politycznie szkodliwe o tyle, że pochwalały demonstracye, które prędzej lub później musiały doprowadzić do rewolucyi. Tak też a nie inaczej rozumieli położenie demokracji.

W przekonaniu, że Polska może się podźwignąć i odzyskać niepodległość tylko z pomocą ogólnoeuropejskiej rewolucyi, zajęli oni odrazu stanowisko zdecydowane i wszelkimi siłami parli do zbrojnego powstania.

Utwierdzał ich w tym błędzie przykład Włoch i wojna 1859 roku. Powierzchnie sądząc rzeczy, brali oni to co było skutkiem rozumnej polityki



Nr. 5. Ludwik Mierosławski.

Cavoura, za dzieło mazzinistowskiej propagandy, zapominali, że Polska nie mająca Piemontu, rozdzielona pomiędzy trzy potężne mocarstwa, od centrów rewolucyi zachodniej oddalona nie może prowadzić wojny na trzy fronty że jednym słowem powstanie w tych warunkach jest po prostu szaleństwem.

Nie zastanawiał się nad tem Wysocki, dobry żołnierz, ale dyletant w polityce, mniej jeszcze Mierosławski, którego unosiła bujna wyobraźnia. Wierząc niezachwianie w cudowną moc rewolucyi i w swoje fantastyczne plany, oparte na dowolnych obliczeniach, był on przekonany, że jedynym zbawieniem dla narodu jest zbrojne powstanie, połączone z wielkim przewrotem socyalnym, z uwłaszczeniem ludu, w razie potrzeby nawet z wytypieniem szlachty.

„Feudalizm — tak mówił dziwnym swoim językiem na obchodzie listopadowym w Besançon w roku 1837 — pierwszy runie pod naszymi cio-



WOJSKO POLSKIE. Ostatnia praca WALEREGO ELJASZA.

sami i głowy zimnych samolubów, którzy w XIX. wieku nie umieją jeszcze rumienić się na samą nazwę arystokracji, posłużą za podnóżki bohaterom plebejuszowskiemu. Zburzymy nawet cmentarze dla znalezienia saletry i straszkamy pługi dla przerobienia ich na broń. Klejnoty kochanek, dodane do bogactw, nagromadzonych przez dziesięć wieków fanatyzmu na ołtarzach Boga chrześcijan, zapełnią nasz skarb. Hebanowe warkocze sióstr naszych uwiążą rumaka schwyczonego wśród rzezi, a dla skruszenia pęt naszych wezwiemy same piekło“.

Takimi frazesami, pełnemi oratorskiego efektu i patryotycznego zapалу, karmił on i porywał odtąd stale pocziwe w gruncie lecz naiwne umysły tułaczy, hypnotyzował niedoświadczoną młodzież, przybywającą z kraju, wsączał w serca polskie jad nienawiści społecznej, zatruchiwał duszę narodu chorobliwemi utopiami europejskich rewolucjonistów.

Z tego obłędu nie mogli go wyleczyć ani krwawe doświadczenia 1846 roku, ani klęski i niepowodzenia lat następnych, ani czas, miarkujący zwykle niedojrzałe pomysły i niewczesne zapęły młodości. Odziedziczywszy po matce gorący temperament francuski, po ojcu, niegdyś legionście, usposobienie burzliwe,¹⁾ rzucony po upadku powstania na grunt paryski, zgorzkniał, tak jak wielu innych, przejął się Mierosławski zasadami rewolucyjnymi, a nie posiadając ani znajomości historii ani ducha narodowego, chciał przeszczepić na grunt polski teorie obce, niezgodne z tradycją i usposobieniem społeczeństwa.

Obecnie nadeszła, według jego przekonania chwila stanowcza, kiedy „szukać należy poomacku szczęku odnalezionego szczerbca o trójścian naszego grobowca“, dosiąść „owdowiałego siodła“ i powrócić do „rozgłośnego dzwonięcia szablą“ i „do sygnałowych błyskawic szyszaka.“²⁾

Zasada narodowości, postawiona przez Napoleona III, zmiany, jakie zaszły po wojnie wschodniej, odrodzenie Rumunii, a przedewszystkiem wojna włoska, poruszyły żywo umysły i obudziły nadzieje ujarzmionych narodów.

Korespondencye do dzienników paryskich pisane z Petersburga zapowiadały niechybne powstanie Słowian i Greków, gen. Klapka, z głównej kwatery francuskiej we Włoszech, wydawał proklamacye, wzywające Węgrów do powstania przeciw Austrii, sam Ks. Gorczaków, kierujący wtedy zagraniczną politykę rosyjską przyznawał, że wypadki na Zachodzie wzburzyły cały Wschód, nie dziwnego, że potrafiły także i o duszę Polski.

Rozważniejsi i trzeźwiejsi zalecali umiarkowanie i wstrzemięźliwość. Przypominali, że jeśli Piemont teraz cały świat zajmuje, to dlatego, że przez dziesięć lat sobą się zajmował, i że dopiero, w skutek pielęgnowanej wewnątrz siły, przyszła pomoc z zewnątrz.

„Słońce Austerlickie — tak kończyły swój artykuł o wojnie włoskiej Roczники Polskie — dziś wznosi się nad Alpami, w opatrzynym swym biegu zajdzie i nad pola lechickie. Nim zejdzie, siejmy przyszłej Polski siew“.

Ale w tejże samej chwili zabrzmiała z drugiej strony pobudka bojowa, ukazała się w Paryżu broszura: o powstaniu polskiem i o możliwości powstania, w której autor dowodził że powstać trzeba i powstać można a popierał to swoje twierdzenie argumentami tak

¹⁾ Porów. Listy znakomitych Polaków wyjaśniające historję legionów polskich. Kraków 183; str. 2, 56 i 68.

²⁾ Przemowa na XXIX. rocznicę powstania listopadowego.

blahemi i tak niedorzeczniemi, że mogły one trafić do przekonania najlekko-myślniejszych chyba wartogłowów.

Obliczywszy bowiem siły wojenne trzech mocarstw rozbiorowych na dwa miliony z okładem, mniemał, że „gdyby jednolita masa ludu polskiego podniosła się razem, groźna a olbrzymia, to samym ogromem dwudziesto-cztero-milionowej zbiorowości swojej przywaliłaby i na miazgę rozniotła, te dwa miliony wymusztrowanych ludzi.“

Fantasmagorye podobne niezasługiwałyby [może [na wzmiankę, gdyby nie ta okoliczność, że w dalszym wykładzie rozwinał autor²⁾ taktykę powstańczą zupełnie taką samą jaką starano się wprowadzić do partyzantki w r. 1863 i 1864, z czego wnosić należy, że powyższa broszura miała na bieg wypadków wpływ donioślejszy niżby się wydawało, że była programem z góry obmyślanym i wykonanym następnie przez stronnictwo ruchu.

Powstanie było więc przy końcu 1859 roku rzeczą poza-granicami kraju, już postanowioną i przygotowania w tym celu rozpoczęte.

Liczono głównie na pomoc i poparcie rewolucjonistów włoskich i węgierskich.

Jedni i drudzy oświadcza-
li swoją w tym względzie gotowość. Garibaldi mówił Władysławowi Mickiewiczowi: My, Włosi rzucimy się na Austryę, aby jej odebrać Wenecję. Niech Polacy nam dopomogą, a my z Wencyi wyruszymy dalej i towarzyszyć wam będziemy do Polski, ponieważ czas nadchodzi, w którym żaden naród nie będzie pewny swojej nie-



Nr. 6. General Józef Wysocki.

podległości, póki drugi naród jęczy w niewoli.¹⁾

W podobnym sensie wyrażali się Węgrzy: hr. Władysław Teleki i generał Klapka, z którymi nawiązał stosunki Mickiewicz; podczas pobytu swego w Genewie, gdzie wydawał dziennik l' Esperance.

Klapka sądził, że Polacy sami nie podolają Rosyi i że trzeba zatem, aby pułki węgierskie, rozlokowane w Galicyi przekroczyły granicę i uderzyły na armię rosyjską; on zaś podejmuje się skłonić do tego swoich dawnych towarzyszy broni.²⁾

Jakkolwiek wszystkie te kombinacye na bardzo kruchych polegały podstawach, to jednak podobały się Wysockiemu a gdy Mickiewicz nie oponował także, więc układy prowadzono dalej. Wysocki; nawiązał korespondencję

¹⁾ Władysław Mickiewicz: Emigracya polska 1860—1890. Kraków 1906; str. 12.

²⁾ Tamże.

z Cairolim i Mordinim, którzy posiadali zupełne zaufanie Garibaldegó i wezwał do udziału Mierosławskiego.

Mierosławski był oczywiście gotów do działania i, z właściwą sobie lekko-myślnością, upewnił Węgrów i Włochów, że skoro użyczą Polakom moralnego swego poparcia, on stworzy milionową armią i nie tylko wyzwoli Polskę, ale dopomoże także do wyjarzmnienia Węgrów i zjednoczenia Włoch. Taka pewność zaimponowała Garibaldiemu do tego stopnia że napisał do Mierosławskiego (dnia 1. maja 1860 roku list tej treści:

„Kochany przyjacielu! Walka ostateczna narodowości [uciemiężonych zbliża się, ale nikt nie może oznaczyć dokładnie godziny.

Powiedźcie Waszym rodakom co mówię Włochom! Trzeba funduszów dostatecznych dla zakupu miliona karabinów. Waleczni Polacy, którzy podczas rzezi warszawskiej pokazali, że umieją życie poświęcić dla Ojczyzny, będą też umieli poświęcić część dochodów dla jej odbudowania. Wy, generale i Wasi przyjaciele gotowi jesteście życie poświęcić dla Włoch. Otóż ja i moi tożsamo uczynimy dla Was¹⁾).

Z pisma powyższego nieomieszkał skorzystać Mierosławski. W podobiznach rozesłał je po kraju i rozszerzył pomiędzy emigracją jako dowód zaufania dla siebie i środek agitacyjny. Pamiętać [zaś trzeba że w owym czasie Napoleon III. i Garibaldi stali u szczytu swojej sławy i znaczenia. Pierwszego uważano za genialnego polityka, drugiego za bohatera i szermierza wolności. Byli oni wyrocznią i potęgą, kierującą sprawami Europy, rozstrzygającą losy państw i narodów. Opinia ta sięgała daleko, od słupów Herkulesa aż do stóp Uralu. W Rosyi mówiono, że Napoleon III. żądał od Aleksandra II. przy zawarciu pokoju paryskiego usamowolnienia włościan i stąd powstała reforma włościańska. Prosty muzyk, zapytany co myśli o usamowolnieniu odpowiadał: „Jeżeli Garibaldi nie przyjdzie, nie nie będzie“²⁾; w Warszawie, podczas manifestacyi, wołano do żołnierzy: „Nie będziecie strzelać, bo Napoleon zakazał“.

A jeżeli wszędzie wierzone niezachwianie w moc i potęgę ukoronowanego spiskowca i bohatera z pod Marsali, to cóż dopiero powiedzieć o społeczeństwie polskiem tak skłonnem do złudzeń, tak łatwo zapalnem, oczekującym zbawienia od Francyi i zawiedzionem świeżo w swoich nadziejach?

Zdawało się rzeczywiście, że kiedy „ten Włoch, jakieś Serby, jakieś Multany, jakichś Greków osypki, jakichś Czarnogórców banda krzykiem, frazesami, pieniactwem, zębami wdzierają się co dnia zuchwalej na ów przeznaczenia rydwan“, to i dla dwudziestomilionowego, sponiewieranego i uciśnionego narodu polskiego, wybije niechybnie godzina zmartwychwstania.

W tem oświeceniu nabierał list Garibaldegó szczególniejszego znaczenia. Bo skoro tak doświadczony spiskowiec i wojownik, chwałą okryty, wzywał Polaków do powstania i przyrzekał im swoją pomoc i poparcie, to czynił to zapewne z rozważą, w porozumieniu z rewolucją europejską, nie bez wiedzy Napoleona i z mocnem postanowieniem dokonania zamierzonego dzieła.

Tak, mniej więcej, musiały argumentować umysły młode, politycznie niedoświadczone, nie zdające sobie sprawy z ogólnego położenia europejskiego i niezmiernie trudnych warunków, w jakich naród polski się znaj-

¹⁾ Tamże, str. 13.

²⁾ Krapotkin Piotr: Wspomnienia rewolucjonisty, (tłum.) Lwów 1908, str. 142.



dował. I tem tłumaczy się dostatecznie ów wpływ potężny Mierosławskiego na młodzież polską i na wypadki Warszawskie.

W Warszawie, mimo przynębiającego wrażenia mowy cesarskiej na przyjęciu w Łazienkach, panował na razie pozorny spokój, ale w głębi wrzało niezadowolone i zaczynały się już pojawiać pierwsze zwiastuny burzy.

Początek dała młodzież, zgromadzona licznie w trzech wyższych zakładach: w Szkole Sztuk Pięknych, w Akademii Medycznej i w Marymoncie.

Rząd, otwierając lub zezwalając na otwarcie tych instytucyj, miał prawdopodobnie zamiar skierować młodzież polską do zawodów i studyów praktycznych i odwrócić ją od zajęć, które z natury rzeczy potraçały i potrzącać musiały o politykę, budzić zajęcie się sprawami społecznymi, krzewić znajomość historii i literatury a tem samem podnosić poczucie narodowe i wyrabiać w dorastającym pokoleniu ducha obywatelskiego jakoteż świadomość obowiązków względem kraju i społeczeństwa.

Takiemu kierunkowi wychowania i wykształcenia młodzieży był rząd rosyjski zawsze przeciwnym a obecnie, przy ogólnem rozbudzeniu umysłów widział w nim groźne dla państwa i istniejącego porządku niebezpieczeństwo.

Szczególniejsza ta taktyka miała jednak skutek wręcz przeciwny.

Młodzież polska bowiem, pozbawiona dotąd możność kształcenia się w kraju, zapełniła licznie nowe zakłady, bez względu na zawód, jakie one otwierały i na osobiste swoje skłonności. Większość garnęła się do Akademii Medycznej, mniej z powołania a więcej dla zaszczytnego tytułu Akademika i w nadziei, że z tego zawiązku, o charakterze uniwersyteckim, powstanie może niebawnie Szkoła Główna i wznowi chlubne tradycje Wileńskie, otworzy szerokie pole dla wszystkich nauk i wiedzy spragnionych.

Szli więc tam ludzie przygotowani i nieprzygotowani, tacy, którzy obrali sobie zawód lekarski i inni, co o nim wcale nie myśleli. Tak został medykiem Karol Majewski, ukończywszy Instytut Marymoncki i mając patent wykwalifikowanego gospodarza agronoma,¹⁾ tak wstąpił do Akademii Medycznej Władysław Daniłowski, „choć żadnej ochoty, a tem bardziej powołania do wydziału lekarskiego“ w sobie nie uczuwał²⁾, tak znalazł się pomiędzy adeptami Eskulapa Adam Asnyk, natura na wskrós poetyczna, Jan Kurzyna, polityk i agitator, eksoficer Narcyz Jankowski.

Podobny widok przedstawiała i Szkoła Sztuk Pięknych, która nie kształciła znakomitych artystów, lecz zato w ruchu późniejszym wybitne zajęła stanowisko.

Łatwo dało się przewidzieć, że ta młodzież, nagromadzona w stolicy kraju, gorąco usposobiona, do patryotycznych porywów więcej niż do pracy poważnej skłonna, weźmie żywy udział w życiu publicznem, że wobec ogólnej apatyi społeczeństwa i niejasnej polityki rządu, stanie się czynnikiem jeżeli nie decydującym to w każdym razie potężnym i wpływowym.

Inicytywa w tym kierunku wyszła z najodleglejszych krańców Rzeczypospolitej, z Kijowa.

W uniwersytecie Kijowskim, wtedy bardzo liczny — miał około 3000 słuchaczy, w tem wyżej 1000 Polaków — ³⁾ powstała już wcześniej pierwsza

¹⁾ Zeznania K. Majewskiego przed komisją śledczą. (Rkp.)

²⁾ Daniłowskiego: Notatki do Pamiętników wydał Jan Czubek. Kraków 1908 (źródła do dziejów Polski poroźbiorowych VI), str. 7.

³⁾ Z papierów św. p. Włodzimierza Miłowicza. Wydawnictwo materyałów do historii powstania 1863—1864 roku; tom IV., l. 8.

organizacya, której celem z początku była wspólna praca naukowa, dopomaganie ubogim studentom w kształceniu się, wzajemne czuwanie nad moralnością, budzenie i rozwijanie uczuć patryotycznych, słowem działalność na wzór Filaretów wileńskich.

W następstwie wywiązał się jednak z tej, w gruncie pocziwej, pięknej i szlachetnie pojętej roboty, pod wrażeniem Mikołajowskiej repressyi kierunku innego rodzaju, już czysto polityczny, mianowicie stanowcza opozycja przeciw wszelkim dążnościom i zamiarom ugodowym, jakie w kołach konserwatywnych powstały po wojnie wschodniej.

Jakkolwiek dziś, po latach 50., takie nieprzejednane stanowisko młodzieży kijowskiej w kwestyi porozumienia pomiędzy Polską a Rosyą, wydać się nam musi niepolitycznem i zasadniczo błędnem, to wtedy nie mogło ono chyba być innem.

Młodzież ta bowiem rosła i wychowywała się w nieznośnej atmosferze, jaką wytworzyły na Rusi osławione rządy Bibikowa, znała z opowiadania tragiczny koniec spisku Konarskiego, wielbiła w cichości męczenników tej głośniejszej sprawy, ułaskawionych pod szubienicą, żyła, niezapomnianą tradycyą listopadowej epopei, wciągała w siebie razem z powietrzem stepowem wspomnienia wyidealizowanej Kozaczyny, rozrzewniała się smętną melodyą dum ukraińskich, i pogrążona w tym romantyzmie, stworzonym przez bujną wyobraźnię poetycką, wprowadzała go do polityki, która polega i polegać musi zawsze i wszędzie wyłącznie na realnych podstawach, liczyć się z rzeczywistością, kierować się rozumem, złudzeń unikać, fantazyi, chociażby najponętniejszej przystępu do siebie nie dawać.

Z tego wszystkiego nie zdawali sobie sprawy młodzi marzyciele, uniesieni zapałem i pragnieniem służenia Ojczyźnie, poszli o krok dalej w zamiarach swoich, zorganizowali się w 1858 roku w gminy: Wołyńską, Podolską, Ukraińską, Litewską i Królestwa Kongresowego, i utworzyli z przedstawicieli tych grup Komitet, dyrygujący całą młodzieżą, zawiązując równocześnie stosunki z innymi uniwersytetami i z dawnymi studentami, rozrzuconymi po kraju.

W ten sposób powstał, wprawdzie jeszcze nie spiszek w właściwym tego słowa znaczeniu, ale związek który do spisku doprowadzić musiał, który wybierał już stały podatek od członków, miał wszędzie swoich ludzi i za ich pośrednictwem rozwijał agitację, według zasad najbardziej liberalnych i patryotycznych, zyskując coraz to większy wpływ na społeczeństwo aż



Nr. 7. Jan Kurzyński.
(Ze zbiorów pana Jarosława Pieniążka.)

wreszcie zawładnął nim zupełnie i poddał żywioły zachowawcze a nawet kraj cały pod nieograniczoną władzę młodzieży.¹⁾

Czuli jednak Kijowianie, że kresowa ich organizacya sama przez się nie wiele będzie mogła dokazać jeżeli nie nawiąże stosunków z Warszawą. Czy powzięto w tym względzie jakie postanowienie nie wiadomo. Faktem jest atoli, że już w początkach maja 1858 roku²⁾ przybył do Warszawy Narcyz Jankowski, Wołyniak, dymisyonowany oficer olwipolskiego pułku ułanów i, zapisawszy się w poczet studentów Akademii Medycznej, rozpoczął robotę agitacyjną, która w ówczesnych stosunkach nie przedstawiała wcale trudności.

Młodzież bowiem, rozbudzona wypadkami lat ostatnich, otrząsała się powoli z letargu i brała się po swojemu do dzieła. Nie tworząc spisków, zawiązywano koła, których celem była na razie praca organiczna, szerzenie oświaty, czuwanie nad patriotycznym i moralnem wychowaniem młodego pokolenia, powstrzymywanie go od gorączkowych agitacji rewolucyjnych a zachęcanie do pracy naukowej.

W tym kierunku działał przedewszystkiem Edward Jurgens. Syn cieśli z Płocka urodzony w roku 1827, ukończył on wydział kameralny na uniwersytecie Dorpackim i wstąpił w 1853 roku jako urzędnik do Komisji spraw wewnętrznych.³⁾ Tu na tem skromnem stanowisku umiał Jurgens zjednać sobie sympatyje światlejszej części społeczeństwa i uzyskać rozległe wpływy.

Trzeźwy, znakomicie wykształcony, żył on, jak się wyraża Majewski, „po największej części z uczonymi, literatami i artystami; do młodzieży zbliżał się zwykle jako mentor, zachęcający do nauk“ a sam „wykładał na prywatnych zebraniach ekonomię polityczną“.

Programem jego była praca organiczna, powolne dźwignienie i krzepienie narodu. Emigracyi odmawiał wszelkiego prawa do kierowania sprawami kraju; agitację Mierosławskiego potępiał i zwalczał.

W mieszkaniu Jurgensa, z początku przy ulicy Długiej, następnie na Lesznie, omawiano nieraz do późna w noc położenie kraju i środki podniesienia oświaty.

Uczestnikami tych zebrań byli profesorowie gimnazyalni: Władysław Gołęmberski i Adolf Pieńkowski; prawnicy: Seweryn Markiewicz, Józef Kokeli i Andrzej Wolff; prawnicy instytucyj przemysłowych i handlowych: Henryk Wohl i Ludwik Berendt; budowniczy Edward Kapliński, urzędnik Komisji Skarbu Gustaw Findeisen wreszcie student medycyny Franciszek Śliwicki.

Zasady, głoszone przez Jurgensa, wzorowane na działaniu Towarzystwa Pomocy naukowej im Dr. Marcinkowskiego w Wielkopolsce zyskiwały coraz liczniejszych zwolenników i stworzyły podstawę do organizacyi t. zw. stronnictwa białego, a cicha i wytrwała praca musiała mieć chyba znaczenie nie małe, skoro wieść o niej dotarła aż do Paryża i wywołała tam niesłychane oburzenie Mierosławskiego, który na obchodzie listopadowym w 1860 r. z pogardą wspominał o Milenerach t. j. o tych, co w pracy organicznej pokładając swoje nadzieje, odraczali rzekomo wyzwolenie Polski na lat tysiące.

Równolegle z rozwijającą się powoli organizacją, rozpoczętą za staraniem Jurgensa, powstawały samorzutnie tajne związki pomiędzy młodzieżą akademicką. Były one zwykłym, nieuniknionym objawem studenckiego życia na

¹⁾ Tamże, str. 10.

²⁾ Przyborowski, *Historya dwóch lat*, tom I., 266

³⁾ Kraushar Al. Edward Jurgens. *Karta z Dziejów 1863 roku*. Warszawa, 1907.

wszystkich uniwersytetach a szczególnie w Rosyi, gdzie skutkiem podejrzliwości władz i policyjnego nadzoru, o jawnych stowarzyszeniach w jakimkolwiek celu mowy być nie mogło. W Warszawie musiały one mieć oczywiście charakter głównie polityczny, bo w ówczesnym nastroju umysłów wszystko taki przybierało kierunek.

Z początku działano bardzo ostrożnie. W październiku 1859 roku zawiązał Karol Majewski w akademii Medycznej Stowarzyszenie bratniej pomocy, której celem było wprowadzić wspieranie niezamożnych studentów, utworzenie biblioteki i wspólnej czytelnicy, ale ponadto także i uorganizowanie się w zastęp jednolity, w Koło i Kółka akademickie, mogące sobie wystarczyć, opierać się wpływowi zewnętrznemu i w działaniach publicznych, patriotycznych przyjmować właściwy udział¹⁾

Tak pomyślany związek przekroczył wnet mury Akademii Medycznej, objął Marymontczyków, uczniów Szkoły Sztuk Pięknych i starszych gimnazjalistów i urosł wreszcie do rozmiarów rozległej konspiracji rewolucyjnej, czerwonej.

Jak zwykle bowiem w podobnych robotach się dzieje, wzięły górę nad kierunkiem umiarkowanym żywioły radykalne, dość licznie reprezentowane wśród Medyków a w działaniu zręczniejsze i doświadczeńsze.

Miały i one już swoje Kółka, miały, co więcej znaczy, ludzi zdolnych i wpływowych: Kurzyńę i Narcyza Jankowskiego.

Pierwszy, syn ubogiego policyjanta, pochodził z drobnej szlachty, posiadał rozległe wykształcenie, znaczny zbiór książek, znał kilka języków, pomiędzy temi nawet turecki i arabski a jako starszy wiekiem, imponował kolegom nie tylko zdolnościami swojemi i erudycją ale także tą pewnością siebie jaką daje znajomość życia i charakterów ludzkich, nabyta przez własne doświadczenie.

Drugi, bez wielkiego wykształcenia i głębszego poglądu na rzeczy, był jednak pełen zapału, w obejściu łatwy i zręczny. Obaj, tak różni od szarego tłumu obywateli akademickich, uzupełniający się wzajemnie pociągali ku sobie zwłaszcza gorętsze żywioły i wywierali na młodzież wpływ potężny. Z Jankowskim połączył się Karol Nowakowski, uczeń Szkoły Sztuk Pięknych, malarz, umysł łatwo zapalny, do bezgranicznego poświęcenia zdolny, ale tak jak wielu innych kierujący się jedynie sercem i uczuciem, dalej Jaśniewski, Asnyk i wreszcie Majewski, i wszyscy razem utworzyli towarzystwo tajne, którego członkowie w listopadzie 1859 roku wybrali Komitet kierujący, złożony z Jankowskiego, Bolesława Dehnela, Stanisława Krzezińskiego, Juliana Wereszczyńskiego i Majewskiego, zwany Kapitułą Warszawską.²⁾

Komitet opracował program organizacji kółkowej i podzielił pomiędzy siebie czynności. Krzeziński objął zarząd nad biblioteką miejską tajną, złożoną głównie z książek zakazanych, Dehnel, uczestnik powstania węgierskiego w roku 1848, sprawował czynności zagraniczne, Wereszczyński utrzymywał stosunki z młodzieżą Kijowską a przez Banzemera, Löwenhardta i Asnyka komunikowano się z młodzieżą polską na uniwersytetach zagranicznych. W ten sposób organizacja, przez młodzież rozpoczęta, przeszła pod kierunek ludzi starszych, świadomych już celu do którego dążyli; wyeliminowani

¹⁾ Zeznania Majewskiego (rkp.).

²⁾ Przyborowski, tom I., str. 266.

„smarkacze“, jak z lekceważeniem nazywał Jankowski studentów, mieli tworzyć kadry konspiracji rewolucyjnej według pomysłu Mierosławskiego.

Mimo to nie można powiedzieć, aby ogół młodzieży przechylał się stanowczo na stronę czerwonych.

W pojęciach politycznych panowało jeszcze zamieszanie, w działaniu organizacyjnym wielki chaos; koła i kółka plątały się jedne z drugimi i programu określonego nie było.

Kiedy Jurgens około połowy 1860 roku utworzył t. zw. tajny tryumwirat, znalazł się w nim razem z Gołemberskim i K. Majewski, należący do Kapituły.¹⁾

W dwóch względach tylko panowała zgoda [pomiędzy stronnictwami: uznawano potrzebę tajnych związków i manifestacji.



Nr. 8. Franciszek Godlewski.
(Ze zbioru pana Jarosława Pieniążka.)

Pierwsze powstawały w kołach „białych“ i „czerwonych“, drugie odbywały się z początku prywatnie i zwolna dopiero wychylały się na ulicę.

Po śmierci Zygmunta Krasieńskiego (23. lutego 1858 roku) urządzili Akademicy skromne nabożeństwo żałobne u Pijarów za dusze Adama, Juliusza i Zygmunta.

W roku następnym obchodzili na czwartym piętrze, w pałacu Zamoyskich uroczyscie, wśród śpiewów, deklamacyj i mów gorących, rocznicę listopadowego powstania;²⁾ w 1860 roku, podczas zjazdu monarchów (austriackiego, pruskiego i rosyjskiego), uczniowie Szkoły Sztuk Pięknych przeprowadzili swój program. Tłumy ludu witały ostentacyjnie Ks. Napoleona; wydano zakaz chodzenia na iluminację, kobietom, nie stosującym się do wy-

danych przez młodzież rozporządzeń, oblewano suknie kwasem siarczanym a w teatrze, podczas przedstawienia galowego, rozlano taką ilość siarkowodoru, że widowisko dopiero o 10. wieczorem mogło się rozpocząć. Była to zapowiedź przyszłej burzy. Niebawnie przyszło do zaburzeń w Akademii Medycznej, z powodu przyspieszenia egzaminów na dwóch kursach.

Młodzież wysłała deputację do rektora Cecuryna, z żądaniem zmiany terminu, jako niezgodnego z prawami a gdy Cecuryn odpowiedział, że do rozporządzenia ministerialnego musi się stosować, postanowiła solidarnie wystąpić z Akademią.

¹⁾ Zeznania Majewskiego.

²⁾ Daniłowski, str. 12.

Rzeczywiście opuściło Zakład 180 studentów (pozostało zaledwie 20); przywódcy ruchu Kurzyński i Jaśniewski zostali aresztowani i wywiezieni z Warszawy. Kurzyński wyznaczono na miejsce pobytu Lublin, skąd po miesiącu uciekł za granicę, dostawszy się do Paryża był tam sekretarzem Mierosławskiego i najgorliwszym jego agitorem.

Całe to zajście, wywołane przez nietakt rządu a właściwie przez Muchanowa, ówczesnego Kuratora okręgu Warszawskiego, miało skutek wręcz przeciwny zamiarom władz. Rozprószone wprawdzie młodzież, więcej oddaną może polityce niż nauce, pozbyto się z Warszawy kilku agitatorów, ale zarazem podniecono jeszcze bardziej opozycyjne usposobienie społeczeństwa i zarozumiałość studentów, otoczonych teraz aureolą męczeństwa.

„Kilka godzin — powiada uczestnik tej awantury — cała Warszawa o tem już tylko rozmawiała. Jedni ganili młodzież, drudzy znowu pochwalali jej postępek i podtrzymywali nasze postanowienie, ręcząc, iż bylebyśmy wytrwali, rząd ustąpi.

Byliśmy słowem bohaterami dnia tego, chodząc z ożywionemi i podniesionemi głowami po Saskim ogrodzie, zarzucani przez znajomych i nieznajomych tysiącem zapytań¹⁾).

Mimo to organizacya czerwonych w Akademii poniosła klęskę; najwybitniejsi jej reprezentanci zniknęli z bruku Warszawskiego, Jankowski, wysłany za granicę, został aresztowany przez władzy austriackie w Szczakowej.

Wprawdzie Mierosławski na wiadomość o tych wypadkach, wysłał do Warszawy natychmiast

Franciszka Godlewskiego, który z Dehnelem i Janem Frankowskim utworzył ze szczątków dawnej organizacyi nowe stowarzyszenie o charakterze rewolucyjnym i wciągnął do niego także uczniów Szkoły Sztuk Pięknych, ale nie zdołał przywrócić dawnego znaczenia rozbitej Kapituły. Przeshadzali mu w działaniu Milenerzy z Jurgensem na czele, dążący do zaniechania manifestacyj i do okiełznania rozhukanej młodzieży.

Po pierwszych bowiem nieśmiałych próbach, o których wspominaliśmy wyżej, nastąpiły dalsze, coraz to śmielsze. Wielka manifestacya na pogrzebie generałowej Sowińskiej dnia 11. czerwca 1860 i obchód rocznicy listopadowej, rozpoczęty nabożeństwem żałobnem u Karmelitów na Lesznie a zakończony śpiewami patryotycznymi przed figurą Matki Boskiej, oświeconą rzęsiście lampami.



Nr. 9. Julian Wereszczyński.
(Ze zbioru pana Jarosława Pieniążka.)

¹⁾ Daniłowski, str. 11.

Tu po raz pierwszy zabrzmiał zapomniany hymn Felińskiego „Boże coś Polskę“, za tym chorał Ujejskiego „Z dymem pożarów“ a w końcu pieśń legionów „Jeszcze Polska nie zginęła“. Organizatorami obchodu byli uczniowie Szkoły Sztuk Pięknych. Oni zamówili nabożeństwo, oni rozpoczęli śpiewy w kościele a później na ulicy, oni rozdawali obecnym portrety Kościuszki i Kilińskiego jakoteż modlitwy, drukowane po raz pierwszy nie-wprawną widocznie ręką w tajemnej jakiejś drukarni. Manifestacja sprawiła głębokie na umysłach wrażenie i zachęciła młodych zapaleńców do dalszych wybryków.

Ukazały się więc na rogach ulic odezwy patryotyczne, zaczęto odgrze-
wać dawne dowcipy. Na Zamku przybito kartę z napisem „Zamek od św.



Nr. 10. Bolesław Dehnel.
(Ze zbioru pana Jarosława Pieniążka.)

Jana do wynajęcia“, gdzieindziej ogłoszenie: „Rewolucya z powodu ślizgawicy odłożona do maja“; nie lubianym urzędnikom, Rosyanom rozsyłano listy z pogroźkami a wśród tego urządzano nabożeństwa, śpiewano „Boże coś Polskę“, obrażano oficerów po ulicach, wybijano szyby i wyprawiano kocie muzyki.

Wypadki, rozgrywające się współcześnie we Włoszech, wyprawa Garibaldeggo do Sycylii, wypędzenie Burbonów z Neapolu odbijały się głośnie echem nad Wisłą, elektryzowały umysły, budziły gorączkowe nadzieje, które podsyczał Mierosławski, zarzucając kraj tysiącami broszur, pism, instrukcyj powstańczych, zjadliwych krytyk i odezwo rozmaitego rodzaju z godłem „Narodzie! przebudź się“. Gdy Garibaldi powrócił z wyprawy neapolitańskiej i napisał do Mierosławskiego (dnia 30. Gru-

dnia 1860 r.) „Ustępując chwilowo na wyspę Caprę, nie opuściłem bynajmniej sprawy ludów, której ślubowałem cały mój żywot, przeto, w nieograniczonym zaufaniu mojem do generała Mierosławskiego porozumiałem się z nim we wszystkich kwestiach, dotyczących naszej walecznej Polski“. Mierosławski rozesłał tak jak poprzednio podobiznę tego listu i wezwał do składek na utworzenie legionu polskiego we Włoszech. Składki miano przysyłać na ręce kasyera wydziału organizacyjnego legionów, Jana Kurzyny, do Paryża.

Z Mierosławskim połączył się Wysocki. W przypuszczeniu, że niepodległość Włoch stanie się hasłem do rozebrania Austrii i ogólnieuropejskiej rewolucyi, wzywali oni naród polski do przygotowania się na tę chwilę. „Bóg — pisał Mierosławski — jeden naszej krucjaty hetmanem: więc naro-

dom pod Jego buławą skrzyżowanym, pilnie tylko na każde Jego skinienie baczyć, by się przed obliczem Jego nie zawstydyli“, a w kilka miesięcy później wołali obaj, że „czas przejść krokiem szturmowym z kościoła cierpiącego do wojującego“.

Nic dziwnego, że pod wrażeniem tych wypadków i tej namiętnej agityacji, młodzież niedojrzała a gorąca, rwała się do czynu, pragnęła co rychlej zadzwonić „szczerbcem w trójścian grobowca“ ujarzmionej Ojczyzny, a, oczekując chwili utęsknionej, dawała upust swoim uczuciom w demonstracjach i burdach ulicznych, które miały, według jej rozumienia, budzić ducha w narodzie i przygotowywać umysły do nieuniknionej już ostatecznej walki o wyzwolenie.

Ponieważ jednak ruch zbrojny musiał opierać się głównie na ludzie, więc w myśl teoryj dawniejszych, należało przedewszystkiem te masy bierne pozyskać, stworzyć z nich milionowe armie i kosami chłopskimi wrogów z kraju wypędzić.

Do tego zaś nastroczała się właśnie najdogodniejsza sposobność przy zamierzonej przez rząd reformie włościańskiej.

Uwłaszczając chłopów i dając im na własność ziemię, stworzy się — tak argumentowano — setki tysięcy uświadomionych obywateli i natchnie się ich, jakby przez dotknięcie różdżki czarodziejskiej, gorącą miłością Ojczyzny, zapali zemstą i poprowadzi tę czerniawę do walki na śmierć lub życie, strasznej, krwawej lecz niechybnie zwycięskiej, do boju dla Polski i za Polskę.

W tej myśli postanowiono też wywrzeć jak najsilniejszy nacisk na społeczeństwo w kierunku uwłaszczenia i użyć do tego wszelkich możliwych środków, a gdy rząd odezwał z dnia 31. października 1859 oznajmił, że „N. Pan raczył dozwolić Towarzystwu Rolniczemu roztrząsać na swych posiedzeniach i ogłaszać w swym dzienniku swoje uwagi względem środków, mogących posłużyć do postępu oczyszczowania włościan na postawionych przez rząd zasadach“, więc opinia publiczna skierowała swoje usiłowania ku zniewoleniu Towarzystwa do jak najbardziej postępowego rozwiązania sprawy włościańskiej, nie uwzględniając bynajmniej, że ono w tej kwestyi głosu rozstrzygającego nie posiada i może, co najwięcej, wpływać na usposobienie właścicieli, którzy do zamierzonej reformy, połączonej z materyalnemi ofarami, nie mieli wielkiego zaufania.





Rozdział trzeci.

KWESTYA WŁOŚCIAŃSKA A TOWARZYSTWO ROLNICZE. — MANIFESTACYA GROCHOWSKA. — DZIEŃ 27. LUTEGO. — PIĘĆ OFIAR. — DELEGACYA. — SPRAWA ADRESOWA.

Położenie włościan pogorszyło się znacznie po ostatnim rozbiórze Rzeczypospolitej. Praca nad polepszeniem doli chłopskiej, rozpoczęta w drugiej połowie XVIII. wieku została przerwana, ustawy wydane w tym względzie za panowania Stanisława Augusta poszły w zapomnienie lub utraciły moc obowiązującą, rząd rosyjski zniósł na Litwie wszystko to, co gorliwość światłych obywateli dla podniesienia włościan uczyniła, przywrócił dawną niewolę chłopów, pomnożył ilość dni pańszczyźnianych, zwiększył ciężary, przysgniatające ludność rolniczą i zaprowadził w prowincyach polskich stosunki podobne, jakie istniały w głębi cesarstwa.

W zaborze pruskim i austriackim działo się cokolwiek lepiej, bo rządy tamtejsze brały chłopów w opiekę z pobudek nie tyle humanitarnych co politycznych, aby wprowadzić rozdział pomiędzy dworem a szlachtą i zjednać sobie przychylność tej warstwy społecznej, która pod względem narodowym najmniej była uświadomiona. Mimo to stan włościan w Galicyi i w Wielkopolsce był niemniej opłakany, chociaż nie w tym stopniu jak pod zaborem rosyjskim.

Z chwilą ustanowienia Księstwa Warszawskiego zaprowadzono nad Wisłą i Wartą inny porządek rzeczy.

Artykuł czwarty Konstytucyi Napoleonśkiej z roku 1807 postanawiał: „Znosi się niewola. Wszyscy obywatele są równi przed obliczem prawa, stan osób zostaje pod opieką trybunałów“. Chłop uzyskał więc wolność osobistą i ochronę prawną, ale utracił natomiast wszystkie te korzyści, jakie posiadał od wieków.

Mógł opuścić wieś, opowiedziawszy się właścicielowi, lecz był obowiązany zarazem oddać panu ziemię uprawianą dotąd przez siebie, wraz z zało-

gami i zasiewami; mógł kupić osadę na własność, ale nie miał potrzebnych na to środków. Pozorna swoboda stała się tak dla włościanina klęską. Właściciele otrzymali tytuł prawny nieograniczonej własności ziem posiadanych przez chłopą, chłop zaś, jeżeli chciał pozostać na gruncie, musiał zawierać z panem umowę pod najuciążliwszymi warunkami.¹⁾

Zamiast polepszyć stosunki, zaostrzono je jeszcze bardziej, włościanin bowiem, czując dobrze wyrządzoną sobie krzywdę, spoglądał z nieufnością na dwór i na pana, zaniedbywał się w pracy lub szedł na włóczęgę i tworzył proletaryat, zgorzkniały, niezadowolony, zatruty jadem społecznej nienawiści.

„Wskrzeszenie“ Polski przez Aleksandra I. nie zmieniło tego stanu rzeczy. Nowa konstytucya, acz liberalna na owe czasy, przyznała w zasadzie i nie szlachcie, posiadającej własność i opłacającej jakikolwiek podatek, a więc i włościanom, o ile ziemię posiadali, udział w zgromadzeniach gminnych i pewne prawa polityczne, ale zresztą nie polepszyła w niczem ich doli, chociaż Kościuszko upraszał cesarza o zaprowadzenie szkół ludowych na koszt rządu o zniesienie niewoli chłopów w przeciągu lat dziesięciu i o nadanie im prawa posiadania ziemi na własność.²⁾

W pierwszych chwilach uniesień i zapału, jakim napełniło serca przywrócenie imienia Polski, w tych miodowych miesiącach wspólnego z „Aniołem pokoju“ pożycia, odezwały się w społeczeństwie polkiem echa minionych czasów, tradycye wielkiego Sejmu, świeża jeszcze pamięć Połanieckiego uniwersału Kościuszki i Rady wojewódzkie uchwały składkę dobrowolną 12000 złp. dla dwóch włościan rolników, których praca i sprawowanie się za najprzykładniejsze w Województwie osądzone byłoby, a to celem nadania każdemu z nich prawem własności włóki Chełmińskiej zabudowanego gruntu. Wniosek powyższy przyjęto i wprowadzono w życie już w r. 1817 a niektóre Rady postanowiły składki podobne w przyszłości powtarzać co-rocznie.³⁾

Na tem jednakże skończyła się akcja zmierzająca do polepszenia bytu włościan.

Gdy na wniosek Czarotoryskiego Rząd Tymczasowy zawezwał (w r. 1814) wszystkich prefektów, aby się postarali o nadesłanie opinii władz i wybitnych gospodarzy względem uregulowania sprawy włościańskiej, otrzymała Dyrekcya ministerstwa spraw wewnętrznych kilka projektów, pochodzących przeważnie od urzędników a ponadto ukazał się cały szereg pism ulotnych, których autorowie, ludzie poważni i znani, jak Rajmund Rembieliński, Amikar Kosiński, Feliks Radwański, Sołtykowiec podawali rozmaite sposoby „wyprowadzenia ludu wiejskiego ze stanu podległości“ lub „polepszenia jego stanu“.

Ruch ten, objawiający się jeszcze w latach następnych skłonił rząd tylko do uregulowania kwestyi włościańskiej w dobrach narodowych, gdzie zniesiono t. zw. gwałty i daremszczyzny i umożliwiono chłopom przechodzenie na czynsze. W roku 1830 oczynszowano połowę włościan rządowych, a do roku 1846 dokonano dzieła reformy w całości i „założono podwaliny dobrobytu materyalnego i postępu moralnego wśród tej kategorii ludności“.⁴⁾

1) Grabski Władysław : *Historya Tow. rolniczego* (1858—1861), Warszawa 1904, tom I., str. 21.

2) Korzon : *Kościuszko*, str. 328.

3) *Dyaryusz Sejmu* 1818 roku, str. 16.

4) Grabski l. c. str. 102.

O włościan w dobrach prywatnych nikt się nie zatroszczył ani rząd, ani sejm.

Wprawdzie Sejm nie miał prawa inicjatywy ustawodawczej, ale mógł wnosić petycje i korzystał z tego przywileju na każdej sesyi, najmniej w kwestyi włościańskiej.

Raz, w roku 1820 ukazała się jedyna „o założenie w każdej wiosce kosztem dziedzica szkółki dla włościan“, zbyta milczeniem, drugi raz, na ostatnim Sejmie (1830 roku) żądał poseł Stopnicki, Szaniecki, zniesienia pańszczyzny i wywołał ogólne niezadowolenie całej izby.¹⁾

Patryotyczna opozycja Niemojewskich nie rozumiała swojego zadania. Staczała z rządem zawzięte walki o swobody konstytucyjne a zaniedbywała sprawy najważniejsze, od których zależało odrodzenie narodu.

Nie podobna zaprzeczyć, że rozwiązanie kwestyi włościańskiej w tym czasie było rzeczą trudną. Sprzeciwiało się ono interesom szlachty i arystokracji rosyjskiej, miało przeciwników także wśród szlachty polskiej, ale stale powtarzane i przez Sejm Królestwa poparte petycje w tym względzie musiały w końcu odnieść pewien skutek.

Byłyby przynajmniej poruszyły opinię publiczną, byłyby wywołały dyskusję i zachęciły światlejsze umysły do zajęcia się losem upośledzonej a najliczniejszej warstwy społecznej.

Tymczasem obojętność Sejmu udzieliła się także społeczeństwu. Towarzystwo Rolnicze, założone staraniem Gołuchowskiego w 1810 roku, zakończyło swój żywot suchotniczy po latach dziesięciu, nie nie zdziaławszy. Kraj *par excellence* rolniczy nie zdobył się nawet na założenie instytutu agronomicznego, nie pomyślał o podniesieniu gospodarstwa wiejskiego, o oświeceniu włościan w zawodzie, który był podstawą ich własnego i ogólnego dobrobytu.

Zmarnowaliśmy lat piętnaście z największą dla sprawy narodowej szkodą.

„Dzisiaj — tak wyraża się znakomity pisarz i gorący patryota — tylu klęskami od tej epoki oddzieleni, musimy wyznać, że był to czas jeszcze, w którym, zajmawszy się szczerze podniesieniem niższych warstw społecznych, oświeceniem ich i ściślejszem zespoleniem się z nimi, mogliśmy wiele dla przyszłości uczynić. Prace, podobne do tych, jakie Towarzystwo Rolnicze w ostatnich latach w Królestwie podjęło, były wtenczas możebne a kilkanaście lat nawet na podobnych pracach, spędzonych, jużby wydało owoce którychby wróg zniszczyć nie zdołał.“²⁾

W takim położeniu zastało sprawę włościańską powstanie listopadowe. Można było i należało przypuszczać, że ci, co odważyli się na detronizację Mikołaja i najpotężniejszemu wtedy mocarstwu wypowiedzieli walkę na śmierć lub życie, użyją wszelkich środków do pomnożenia sił własnych i do osłabienia nieprzyjaciela, że ogłoszą mianowicie usamowolnienie włościan, pozyskają w ten sposób szerokie masy ludu dla sprawy narodowej a równocześnie wzniecą niepokój wśród chłopów rosyjskich i wznowią tam chociażby tradyce Stenki, Razina i Pugaczewa.

Myśl ta nie była obca ówczesnemu społeczeństwu. Po bitwie Grochowskiej, dnia 27. lutego odzywał się jakiś inicjałem W. J. podpisany patryota

¹⁾ Dyaryusz, str. 298.

²⁾ Bronisław Zaleski: Zniesienie poddaństwa na Litwie, str. 321.

do Skrzyneckiego: „Błagam cię w imieniu Ojczyzny, w imieniu wszystkich wolnych ludzi i wolności pragnących, żądam od Sejmu zniesienia pańszczyzny. Ten środek uczyni nas niezwalczonymi przez tłuszcę cara“.¹⁾

Na Litwie pierwszym aktem powstania w każdym powiecie było ogłoszenie usamowolnienia włościan.²⁾ Usamowolnienie zalecał Rząd Narodowy szlachcie w województwach ruskich.

„Sama szlachta — tak wyraża się w instrukcyi danej generałowi Dwer-nickiemu, — pojmując całą okropność swojej tak długiej niewoli, powinna włościanom zapewnić wolność i dokonać spokojnie to (sic), co inne kraje przez okropne wstrząśnienia zyskiwać musiały“.³⁾

Jakoż według świadectwa Jełowickiego, ziemianie tamtejsi stosowali się zupełnie do wskazówek Rządu, chociaż instrukcyi wspomnianej wcale nie znali.

Dlaczego jednak mimo to wszystko Rząd narodowy nie uczynił w sprawie włościańskiej stanowczego kroku i przedłożył Sejmowi tylko projekt uposażenia włościan w dobrach narodowych, to wytłumaczyć można jedynie względami politycznej natury. Oglądając się nieustannie na pomoc zagraniczną, na interwencję mocarstw zachodnich i prowadząc układy z dworem wiedeńskim, któremu ofiarowano, jak wiadomo, koronę polską dla arcyksięcia Karola, unikał Rząd Narodowy nawet pozorów rewolucyjnego działania.

A jeżeli obecność w Rządzie Bogu ducha winnego Lelewela napełniała obawą i Ludwika Filipa i Metternicha, to radykalne rozwiązanie kwestyi włościańskiej mogło a prawdopodobnie i byłoby zerwało wszelkie umowy pomiędzy Wiedniem a Warszawą.

Dziś wiemy oczywiście jak zwodniczymi nadziejami ludził się Rząd Narodowy, ale w owych czasach wiara w interwencję obalamuciła do tego stopnia umysły tych, co u steru stali, że przekonania ich nie zdołały zachwiać ani przestrogi życzliwych sprawie naszej osób ani nawet dowody oczywistej obojętności i perfidy gabinetów zachodnich.

Czy ogłoszenie usamowolnienia włościan byłoby uratowało sprawę narodową od upadku — to rzecz wątpliwa, ale pewnem jest natomiast, że chłop otrzymawszy od polskiego Rządu Narodowego swobodę i własność, byłby o tem pamiętał i nie dałby się łatwo użyć za narzędzie rządów despotycznych przeciw tym, którzy go wyzwolili z niewoli.

Po upadku powstania listopadowego rozwiązanie kwestyi włościańskiej przez społeczeństwo polskie stało się już niemożliwem a praca nad oświeceniem i podniesieniem ludu napotykała na największe trudności.

Stosunki społeczne uległy zresztą wielkiej zmianie.

Znaczna część szlachty utraciła majątki. Miejsce dawnych właścicieli zajęli bądź przybysze z głębi cesarstwa, Rosyanie, obdarzeni przez rząd skonfiskowanymi dobrami, niczem niezwiązani z krajem, nie znający jego potrzeb, obojętni na los ludu, bądź dorobkiewiczze, których jedynym celem było pomnożenie łatwo nabytej fortuny.

Ci zaczęli włościan rugować bezwzględnie, powiększać grunta folwarczne, budować gorzelnie i rozpajać ludność wiejską. W przeciągu lat dziesięciu (1830—1840) podwoiła się w Królestwie ilość gorzelni, wzrosły w sposób straszający choroby i wypadki śmierci z powodu pijaństwa; doszło do tego

¹⁾ Arch. Czartoryskich rkp. nr. 3935.

²⁾ Zaleski Br. I. c. str. 322.

³⁾ Tamże, rkp. nr. 3942.

że niektórzy dziedzice płacili włościanom za najem kwitkami do karczmy, gdzie chłop oczywiście cały swój zarobek przepijał lub marnował.

Powoli budziła się jednak w społeczeństwie reakcja.

Ordynat Konstanty Zamoyski przystąpił w 1833 roku do dobrowolnego oczynszowania włościan w swoich rozległych majątkach. W przeciągu lat dziesięciu urządzono tak na zasadach czynszowych 11.839 osad i folwarki bez pańszczyzny puszczano w dzierżawę, z początku obcym, Szkotom, bo miejscowi nie mieli zaufania do nowego systemu gospodarstwa, nieopartego na pańszczyźnie.

Przykład ordynacyi, oczynszowanie włościan w majątkach i dobrach narodowych, wreszcie uregulowanie stosunków włościańskich w Wielkopolsce wywarło wpływ pewien na opinię publiczną.



Nr. 13. Andrzej hr. Zamoyski.

Od roku 1842 zaczynają się pojawiać w Bibliotece Warszawskiej i w Przeglądzie naukowym liczne artykuły o kwestyi włościańskiej, przemawiające za oczynszowaniem, za zniesieniem najmów przymusowych i daremszczyzn, za nadaniem chłopu na własność gruntu, który uprawiał; równocześnie zaś Towarzystwo Demokratyczne, z pobudek politycznych i partyjnych głosiło w manifestach i pismach agitacyjnych potrzebę usamowolnienia włościan i oddanie im na własność ziemi „by ludowi złożyć rękojmię że sprawa powstania będzie jego sprawą”.

Takim sposobem, takim środkiem rewolucyjnym nie można było jednak rozwiązać kwestyi włościańskiej. Nie pozwoliłyby bowiem na to rządy, nie zgodziliby się i właściciele ziemscy, nie przyjęliby włościanie darowizny, uczynionej przez jakąś władzę niewidomą, niemającą siły do wykonania reformy, wywracającej odrazu cały istniejący porządek społeczny. To też chłopie



WOJSKO POLSKIE. Ostatnia praca WALEREGO ELJASZA.

galicyjscy odpowiedzieli na manifest rewolucyjny w roku 1846 rzezią szlachty i surdutowców, ogłaszających im wolność i zniesienie pańszczyzny, oczekując od rządu nagrody i polepszenia swojej doli.

Reforma włościańska, mająca znaczenie nie tylko polityczne ale i ekonomiczne, dotycząca materialnych interesów jednostek wymagała powolnej pracy, przygotowania umysłów, uświadomienia opornych, przedstawienia im korzyści, jakie ze zmiany przestarzałego pańszczyźnianego systemu dla gospodarstwa rolnego wyniknąć mogły i musiały.

W tym kierunku zaczęła działać Spółka wydawnicza Roczników Gospodarstwa Krajowego, zawiązana w Królestwie w roku 1842, w tym duchu szły usiłowania Andrzeja Zamoyskiego.

Syn ordynata Stanisława, wychowany zagranicą, przeważnie w Anglii, z wykształcenia matematyki i inżynier, w roku 1825 referendarz Rady Stanu, w roku 1831 powołany do ministerstwa a następnie wysłany w misji dyplomatycznej do Wiednia, osiadł on po upadku powstania na wsi i poświęcił się zupełnie gospodarstwu w oczynszowanych dobrach ordynackich.

Zamiarem jego było przekonać i siebie i innych, że gospodarstwo bez pańszczyzny może być u nas podobnie jak i za granicą dla właściciela korzystnem i rentownem.

Próba powiedła się dobrze. Folwarki Zamoyskiego, mimo znacznych wkładów dawały znaczne zyski; racjonalne gospodarstwo podniosło dochody i udoskonaliło uprawę roli.

Dnia 16. lipca 1843 roku mógł pan Andrzej, jak go powszechnie nazywano okazać obywatelstwu, licznie zebranemu w Klemensowie, owoce swojej kilkuletniej pracy.

Odtąd powtarzały się te zjazdy, mające wielkie znaczenie nie tylko dla rolnictwa ale i dla działalności społecznej w ogóle.

Tu powstał zwolna program pracy organicznej i kulturalnej, tu oswoiła się szlachta z koniecznością zniesienia pańszczyzny, tu poznała korzyści oczynszowania.

Oczywiście nie wszyscy przyjęli zasady Zamoyskiego. To co było łatwem dla magnata wydawało się trudnem i ryzykownem właścicielowi jednej wioski, nierozporządzającemu kapitałem zakładowym, przyzwyczajonemu do dawnej, tradycyjnej rutyny, ale ostatecznie przykład pociągał przynajmniej zamożniejszych a mniej zamożnych pobudzał do zastanowienia się nad kwestyą włościańską.

Na to przyszedł zupełnie niespodzianie ukaz z dnia 7. czerwca 1846 roku, wywołany niewątpliwie wrażeniem wypadków galicyjskich i obawą podobnych w Królestwie rozruchów, ale także intencją rządu pozyskania sobie chłopów.

Zabraniał on rugowania włościan, uszczuplania ich posiadłości i podwyższania obowiązków, znosił darmochoy i najmy przymusowe w majątkach prywatnych o ile nie miały prawnej podstawy i przyrzekał pomoc i opiekę rządu właścicielom przy zawieraniu umów z włościanami o oczynszowanie.

Jakkolwiek postanowienia powyższe były słuszne to nie przyniosły spodziewanych korzyści. Pomiędzy właścicielem a chłopem stanął urzędnik i pokątny doradca, pierwszy jako opiekun włościan drugi jako inspirator pieniactwa.

Stosunki pomiędzy dworem a chatą włościańską zaostrzyły się a naczelnicy powiatów nieomieszkali podniecać nieufność wzajemną i utrzymywać

chłopów w przekonaniu, że tylko od rządu mogą oczekiwać polepszenia swojej doli i zupełnego wyswobodzenia.

Oczynszowanie włościan, zalecone niejako przez ukaz spotykało największe ze strony rządu przeszkody.

Sprawozdanie Komisji Rządowej z 1846 roku zaznacza, że z 237 kontraktów czynszowych tylko cztery zostały zatwierdzone przez władzę; w roku 1853 zaledwie trzy.¹⁾

Rząd nie pragnął i zaniechał widocznie rozwiązania kwestyi włościańskiej, chociaż nagiło do tego zniesienie pańszczyzny w Galicyi w 1848 roku, chociaż przemawiali zatem ludzie tacy jak Tomasz Potocki i Józef Gołuchowski.

Dopiero po śmierci Mikołaja, w 1856 roku utworzono Komisję Rządową,

która miała opracować projekt urządzania włościan. Komisya zbierała się dwa razy, w odmiennym składzie, pod przewodnictwem tajnego radcy Uexkula z początku, następnie pod prezydencją Namiestnika Ks. Gorczakowa, ale złożona wyłącznie z urzędników ograniczyła swoją czynność tylko do ustanowienia warunków pod jakimi miano zawierać dobrowolne umowy z włościanami o oczynszowanie.

W chwili więc, kiedy opinia publiczna i w Królestwie i w Cesarstwie domagała się uwłaszczenia chłopów, upatrywała biurokracya rosyjska w oczynszowaniu jedyny środek rozwiązania kwestyi włościańskiej.

Były to poglądy stanowczo już spóźnione, nieopowiadające wcale warunkom ówczesnym.

Od dłuższego już czasu masa ludności bezrolnej, komornicy

i czeladź, oczekiwała jakichś zmian nadzwyczajnych.

Paliło ich pragnienie posiadania ziemi, tak powszechne u naszych włościan, zrozumiała zresztą żądza ustalenia własnej egzystencji. Po odpustach i jarmarkach krążyły pomiędzy ludem wieści, że zjawi się niebawem jakaś siła zbrojna, która wymierzy upośledzonym sprawiedliwość i zaspokoi ich pragnienia. Około roku 1860 zaczęła czeladź gromadnie rzucać służbę na folwarkach i osiadać po wsiach rodzinnych w przekonaniu, że tam wydziela im grunta należące do właścicieli.

Usiłowania Towarzystwa Rolniczego mające na celu oświecenie włościan, zbliżenie się do nich i poprawienie ich bytu, nie odnosiły bynajmniej zamierzonych skutków. Lud spoglądał na te zabiegi z nieufnością, w konkursach i wystawach rolniczych, urządzanych od roku 1858, brał udział niechętnie



Nr. 14. Gustaw Wasilewski.
(Ze zbioru pana Jarosława Pieniżka.)

¹⁾ Grabski I. c. I. 149.

a po cichu szeptał że to podstęp, że „panowie chcą rządowi pokazać iż chłopci mają się dobrze, więc nie potrzeba ich czynszować, „każą wystawiać próby przedziwa, by zabrać kobiety na Sybir, gdzie mają uczyć praść“. Kto takie dziwaczne wieści szerzył, niewiadomo — to pewna tylko że ani wpływ duchowieństwa ani zabiegi światłych obywateli nie zdołały wykorze-
nić w ludzie uprzedzeń i nieufności względem dworów i szlachty.

Oczynszowanie, jak już wspomnieliśmy, postępowało leniwie, bo chłopci oczekiwali nadania ziemi od rządu a serwitutów zrzekać się nie chcieli, przenosząc pańszczyznę z serwitutami nad oczynszowanie;¹⁾ władze rządowe były bierne. Z umysłu, z lenistwa czy z niedołęstwa zachowywały się obojętnie, oczekując widocznie wskazówek z Petersburga, gdzie w łonie komitetu dla spraw włościańskich zacięte toczyły się spory i Milutin w spółce z Ks. Czerkaskim i Jerzym Samarinem układali zasady manifestu ogłaszającego zniesienie poddaństwa.

Spółeczeństwo polskie znalazło się w położeniu niezmiernie trudnem. Rozwiązanie kwestyi włościańskiej bez pomocy rządu i współdziałania ludu było niepodobnem, a gdy pierwszy pomagać nie chciał a drugi zajmował względem reformy stanowisko niejasne i dla szlachty wrogie, pozostawały tylko dwie alternatywy: albo zdać się na wolę komitetu petersburskiego albo też przyjąć zasadę natychmiastowego uwłaszczenia, chociażby dla tego aby, jak mówili czerwoni, okazać światu, że Polacy sami są gotowi przeprowadzić reformę społeczną w duchu postępowym i sprawiedliwym.

Inicyatywa w tym względzie należała oczywiście do Towarzystwa Rolniczego, jedyne go ciała, które miało możność roztrząsać kwestyę włościańską i stanowiło poniekąd pewien rodzaj reprezentacyi narodowej. Ku niemu zwracali się więc wszyscy, pragnący reformy, od niego oczekiwano jakiegoś stanowczego kroku, któryby z powszechnego zamętu i pokątnych knowań rewolucyjnych wyprowadził społeczeństwo rozgorączkowane manifestacyami, na drogę polityki jasno określonej i położył kres agitacyi bezmyślnej, awanturniczej i szkodliwej.

Przekonanie o możliwości takiego działania i zaufanie do Towarzystwa było zaś tak wielkie i powszechne, że nawet czerwono usposobiona młodzież kijowska wysłała do Warszawy delegatów swoich, Gustawa Wasilewskiego, Włodzimierza Łempickiego i poetę Leonarda Sowińskiego, aby skłonić Towarzystwo Rolnicze do podania adresu do cesarza z prośbą o przywrócenie uniwersytetów polskich w Wilnie i Kijowie, o zaprowadzenie szkół polskich na Litwie i Rusi i o nadanie prowincyom zabranym instytucyi liberalnych, bliżej nieokreślonych.²⁾

Całe to parcie opinii wprawiło Komitet Towarzystwa w niemały kłopot.

Od samego początku istnienia Towarzystwa ograniczało się jego działanie do pracy organicznej w zakresie legalnym, przez ustawę oznaczonym.

Starając się o podniesienie rolnictwa, o pozyskanie zaufania włościan, o naprawienie stosunków pomiędzy chatą a dworem, usiłowało ono odnowić społeczeństwo wiejskie, obudzić w szlachcie poczucie obowiązku względem ludu, chłopca zaniedbanego, lekceważonego i ciemnego oświecić, podnieść materialnie i moralnie, w przekonaniu, że za tem pójdzie uświadomienie pod względem narodowym i upragniona harmonia społeczna.

¹⁾ Tamże, tom II., str. 211.

²⁾ Tak według Przyborowskiego II., 5. Rawita-Gawroński. (Rok 1863 na Rusi II., str. 154) wspomina tylko o wykładach polskich w uniwersytecie kijowskim.

W tej myśli wydawano książki ludowe¹⁾ zakładano po wsiach szpitale, ochronki i szkoły, uczono po dworach dzieci chłopskie czytać i pisać.

Jakoż w krótkim przeciągu czasu praca ta, cicha i skromna, okazała się skuteczną, ustępowały zwolna zaśnieżenia uprzedzenia, zmniejszała się liczba bezwzględnych zwolenników pańszczyzny a zwiększała się ilość tych co w oczynszowaniu włościan nie widzieli już swojej ruiny majątkowej. Szlachta, przystępując tłumnie do Towarzystwa, przejmowała się z wiedzą lub bezwiednie zasadami więcej postępowemi, wprzęgała się i przyzwyczajała do pracy społecznej. W ten sposób powstała organizacja, obejmująca cały kraj, licząca kilka tysięcy członków, rozporządzająca dość znacznymi nawet funduszami, skupiająca całą inteligencję, solidarna i jak na nasze stosunki i owe czasy potężna.

Nic dziwnego zatem, że Towarzystwo miało wielkie znaczenie, że ogół wierzył w jego siłę, pokładał zaufanie w doświadczeniu, rozumie i patriotyzmie jego członków, i że teraz, gdy umysły paliły się żądzą czynu, chociażby najnieroztropniejszego, chciał aby to działanie wyszło od tych, co kierując pożyteczną dla kraju instytucją, złożyli już dowody uzdolnienia i gorliwości obywatelskiej.

Tak myślał Jurgens i Millenerzy, tak sądzili i czerwoni, z tą tylko różnicą, że gdy pierwszy nie uznawał potrzeby manifestacji, drudzy zaniechać ich zgoła nie chcieli i na czas walnego zgromadzenia członków Towarzystwa w lutym 1861 roku, przygotowywali największą ze wszystkich, prawdziwy „koncert nad koncertami“.

Komitet Towarzystwa a zwłaszcza prezes Andrzej Zamoyski byli innego zdania. Czynna polityka nie leżała w ich programie ani w zakresie działań Towarzystwa. Adres zatem czy jakakolwiek enuncjacja, jak tego żądali czerwoni, narażała niewątpliwie byt instytucji, przerywała jej skuteczną pracę, a co więcej, nie rokowała żadnego powodzenia. Z rządem rosyjskim — mówiono — z rządem, który ma siłę w ręku i który nie prócz siły nie rozumie, tą drogą nie dojdzie się do celu, a przez manifestacje i awantury uliczne niczego się nie dopnie.

Zasadniczo miał Zamoyski zupełną słuszość. Z chwilą bowiem podjęcia akcji politycznej, poddawało się Towarzystwo pod kierunek czerwonych, udzielało moralnego poparcia rewolucji i solidaryzowało się z ruchem, który szerzył zamęt i prowadził do katastrofy. Wiadomą było zresztą rzeczą, że rząd śledził pilnie działanie Towarzystwa i że na podanie adresu odpowie niewątpliwie rozwiązaniem całej moźolnie utworzonej organizacji.

Wśród takich warunków i wśród ogólnego naprężenia umysłów zbierało się walne zgromadzenie Towarzystwa, przyspieszone o dni cztery 21. zamiast 25. lutego. Przybyło 78 uczestników, ale liczba ta wzrastała z dniem każdym i przy końcu przenosiła 1000. Z ogólnej ilości członków 3473, stawiała się zatem niemal trzecia część, co przy znanej u nas opieszałości znaczyło już wiele.

Zgromadzenie miało charakter uroczysty. W wspianiałej sali Namiestnikowskiego, niegdyś Radziwiłłowskiego pałacu zebrało się czoło inteligencji, delegaci galicyjskich Towarzystw Rolniczych, Ludwik Wodzicki i Adam Potocki, nieliczna garstka włościan, świadcząca bądź co bądź, że wytrwała praca Towarzystwa przenika zwolna w głąb mas dotąd obojętnych, zjawił się reprezentant

¹⁾ „Elementarz“, „Prawdy gospodarskie“ i „Upominek dla dziewcząt wiejskich“.

władzy Muchanów godny następca Nowosilcowa, wietrzący zawsze w tej organizacyi zawodowej „polską intrygę“ i niebezpieczne dla rządu zamiary.

Zebranie zagaił Andrzej Zamoyski przemową, odpowiadającą ważności chwili.

„Jawność i umiarkowanie nasze — mówił — są najlepszą rękojmią, że rząd popierać zechce rozwój tyle już pożytecznego dla kraju działania naszego. Nikt więcej od nas samych nie czuje ważności naszego posłannictwa, zwłaszcza przy obecnej sprawie oczynszowania włościan. Nie zrażajmy się przeciwnościami. Do waszej koledzy, odwołuję się oględnej odwagi i wytrwałości. Dla dusz szlachetnych heroizm prawdziwym jest szczęściem, jest powinnością. Mówię heroizm, bo wtej sprawie, chociażby z razu ofiary ponieść nam przyszło, godzić się na nie wypada. Powinniśmy w ludzie wywołać samodzielność, opartą na własnem usiłowaniu i zasłudze, nie zaś na obcej pomocy. Dziś Towarzystwo nasze przedstawia kraj.

Koledzy! na nas wielka ciąży odpowiedzialność. Sprostamy! Zbierajmy zasługi, aby i po nas pamięć zagrzewała następców i abyśmy nic takiego nie popełnili przezco byśmy zasłużyli, aby być nieszczęśliwymi!“

W tak oględny i ku końcowi nieco zawiły sposób wyraził prezes Towarzystwa zasadnicze punkty swego programu. Rozwiązanie kwestyi włościańskiej ograniczał do oczynszowania, uwłaszczenia nie dopuszczał a i w tem, znając usposobienie ogółu szlachty, widział heroizm i zachęcał do koniecznej ofiarności, wskazując ostrożnie na niebezpieczeństwo „obcej pomocy“, na którą lud wiejski się oglądał, oczekując stamtąd polepszenia swojej doli i gruntownej reformy stosunków społecznych.

Ogół zgromadzonych pojmował dobrze doniosłość kwestyi włościańskiej i zajął się nią gorliwie.

Sekcyja ogólna, gdzie roztrząsano tę sprawę, zwracała powszechną na siebie uwagę.

Węgleński, który przemawiał pierwszy imieniem Komitetu uznał, że pośpiech w oczynszowaniu jest potrzebą kraju, ale, licząc się z trudnościami, doradzał ustanowienie pełnomocników ze strony gmin i właścicieli jakoteż rodzaj superarbitrów rozstrzygających nieodwołalnie kwestye sporne.

Referat Węgleńskiego, jakkolwiek gruntownie opracowany i przejęty duchem obywatelskim, nie zadowolnił właściwie nikogo.

Środki przez niego proponowane wydały się jednym niewystarczające, drugim zanađto radykalne. Mittelstaedt „paradoksalny myśliciel“, filozof społeczny szlachetczyzny, był oczynszowaniu stanowczo przeciwny, twierdząc, że chłop właściciel-czynszownik zmniejszy produkcję kraju, że na najem nie wyjdzie lecz będzie próżnował. Bogdanowicz utrzymywał, że potrzeba zbliżyć się do ludu moralnie, osobiście, zniżyć w obejściu z nim, okazać wyrozumiałość na jego sposób patrzenia na rzeczy, poczynić włościanom jak największe ustępstwa przy umowach o serwituty.

Ścierały się tu ze sobą widocznie dwa prądy, dwa pojęcia o sprawie włościańskiej, w głowę sobie przeciwne, które tylko w drodze kompromisu można było pogodzić.

Podjął się tego Tomasz Potocki, znany niegdyś z odwagi i dzielności na polu bitwy, obywatel światły i wolny od uprzedzeń.

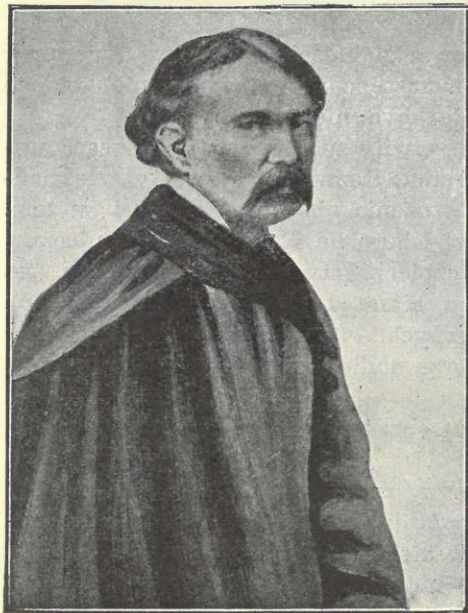
Zaznaczył on, że oczynszowanie pojąć należy jedynie jako środek wiodący do uwłaszczenia i proponował zarazem, oby przyjąć jako stopę do obli-

czenia kapitału, podlegającego spłacie, 6%, co dopiero okaże się prawdziwym dla włościan dobrodziejstwem.¹⁾

Wniosek Potockiego poparli żywo: Jankowski, Małkowski, Skarzyński, Psarski i Karol Walewski, a gdy Węgleński, imieniem Komitetu, zgodził się na utworzenie delegacyi mającej obmyśleć skup czynszów, jasnym już było, że sprawa włościańska na nowe weszła tory.

Stało się to oczywiście pod wpływem i naciskiem opinii publicznej, wbrew woli, zamiarom Komitetu, za poparciem większości członków, za staniem usilnem gorliwych o dobro kraju obywateli, niewątpliwie także skutkiem obawy nie przed „ulicą“ lecz przed zbytniem wybijaniem prądów rewolucyjnych, które sprawę włościańską wyzyskiwały do swoich celów, podbu-

rzając ogół przeciw zacofanej i rzekomo reakcyjnie usposobionej szlachetczyźnie. Było zresztą rzeczą jawną że jeżeli Towarzystwo i jego Komitet mieli utrzymać wpływ na społeczeństwo, zdobyty długą, mozolną pracą, to musieli koniecznie w tej kwestyi tak żywotnej i tak drażliwej pójść za głosem ogółu i zastosować się do jego słusznym wymaganiom, okazać heroizm i ofiarność, do których wzywał przy zagajeniu sam Prezes, Andrzej Zamoyski.



Nr. 15. Karol Nowakowski.
(Ze zbioru pana Jarosława Pieniążka.)

Tem tłumaczy się też pospiech w dalszych obradach i ostateczna uchwała Sekcyi ogólnej, powzięta jednomyślnie na posiedzeniu w dniu 25. lutego, w obecności 1001 członków a objawiająca, w myśl wniosku Tomasza Potockiego życzenie „aby przez właściwą operacyę kredytową, skup czynszów na celu mającą,

włościanie dopuszczeni zostali do własności posiadanych gruntów“.

Oczynszowanie było więc tylko środkiem a ostatecznym celem uwłaszczenie i zniesienie pańszczyzny, czyli usamowolnienie ludu wiejskiego w najszerszem słowa tego znaczeniu. Uchwała, przynosząca, bądź co bądź zaszczyt polskiemu ziemiaństwu miała jednak znaczenie więcej teoretyczne niż praktyczne, bo jej wykonanie zależało od aprobaty i współdziałania rządu, który, jak łatwo przewidzieć się dało, nie będzie, zbyt skłonnym do stanowczego rozwiązania kwestyi włościańskiej w duchu i w sposób dla narodowych dążeń polskich korzystnym.

Tymczasem w mieście wrzało. Skąpo wymierzane ustępstwa rządu niezadawalały nikogo, drażniły raczej niż uspokajały rozgorączkowane umysły. Gdy pożar ogarniał Włochy, gdy w sąsiedniej, zaśnieździej Austrii nawet

¹⁾ Grabski, II. 337.

ukazywał się na widnokregu brzask zapowiadający zejście ery konstytucyjnej, panował w Królestwie i w ziemiach polskich pod zaborem rosyjskim, mimo liberalnego usposobienia cesarza i zapowiedzi daleko sięgających reform, system dawny, mało różniący się od Mikołajowskiego ucisku.

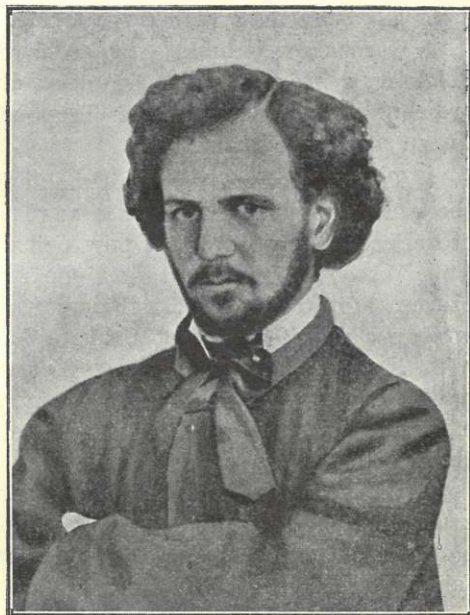
Toż nic dziwnego, że w społeczeństwie polskim powstał niepokój, podniecony wieściami o nieistniejących, tajnych stypulacjach na kongresie paryskim, o interwencji osobistej Napoleona III., o przedstawieniach, jakie czynił Aleksandrowi II. na korzyść Polski i o rzekomych w tym względzie przyrzeczeniach cara.¹⁾

Znana polska łatwowierność przyjmowała te plotki, rozpowszechniane bądź z lekkomyślności bądź w celach agitacyjnych, jako fakta prawdziwe, nie ulegające wątpliwości i, puszczając wodze bujnej wyobraźni, budowała na nich daleko sięgające nadzieje.

Zdawało się tym marzycielom i optymistom, że uchwalenie uwłaszczenia chłopów przez Towarzystwo Rolnicze i podanie adresu do cara z żądaniem rozległych swobód, wystarczy zupełnie, aby jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, ciemne masy ludowe uświadomić i skłonić rząd chociażby tylko do przywrócenia konstytucji z 1815 roku w Królestwie a szkół i instytucji narodowych na całym obszarze ziem polskich.

Gdy jednak tak Prezes Towarzystwa jak i Komitet w kwestyi włościańskiej zajęli stanowisko pośrednie a adresu wcale podawać niechcieli, gdy delegatów kijowskich zbyto nic niezna-
czącemi obietnicami,²⁾ natenczas powstało w kołach czerwonych oburzenie i postanowiono przez nowe manifestacye protestować dalej przeciw najazdowi i zmusić niejako Towarzystwo Rolnicze do poddania się woli ogółu.

Inicyatywa w tym względzie wyszła ze Szkoły Sztuk Pięknych, gdzie rej wodzili bracia Frankowscy, Stanisław Szachowski i Karol Nowakowski. Napróżno usiłował powstrzymać zapaleńców Jurgens; wpływ czerwonych okazał się silniejszym, nawet Akademia Medyczna, rozważniejsza cokolwiek, uległa gorączkowej agitacji, zwłaszcza gdy Majewski, aresztowany dnia 8. lutego a wypuszczony 20. tego miesiąca, zostając pod nadzorem policyjnym musiał przez pewien czas wstrzymać się od politycznego działania.³⁾



Nr. 16. Stanisław Szachowski.
(Ze zbioru pana Jarosława Pieniżka.)

¹⁾ Por. apokryficzna odezwę cechów warszawskich u Przyborowskiego, t. II., str. 161.

²⁾ Materiały, tom IV., str. 1, 188.

³⁾ Zeznania Majewskiego. Przyborowski przedstawia wprawdzie rzecz inaczej, sądzymy jednak, że Majewski w obec komisji śledczej podał prawdziwy czas swego aresztowania i że zatem w tym wypadku tłumaczenie jego zasługuje na wiarę.

Wten sposób „bieg wypadków lutowych wysunął się z pod kierownictwa tryumwiratu“ i czerwoni dopięli swego zamiaru. Pierwotnie manifestacja miała się odbyć w dniu 25. lutego, jako w rocznicę bitwy Grochowskiej, ponieważ jednak Wisła puściła i Namiestnik, korzystając z tego, kazał zdjąć most pomiędzy Warszawą a Pragą i tłumne zebranie na polach Grochowskich było niepodobne, więc postanowiono urządzić obchód na rynku Starego Miasta.

Ludność zawiadomiona plakatami i przez odezwy, które, roznosili uczniowie szkół średnich, zgromadziła się około 5-tej godziny bardzo licznie i wypełniła nie tylko rynek ale i wszystkie wiodące do niego ulice.

Manifestacja przybierała charakter groźnego zbiegowiska. Z zamku wysłano więc batalion piechoty, setkę t. zw. Czerkiesów i pół szwadronu żandarmeryi a Oberpolicmajster pułkownik Trepow doradzał Namiestnikowi, aby użyć siły zbrojnej i tłumy rozpedzić.

Gorczaków jednak, z usposobienia łagodny i w gruncie przychylny Polakom, z którymi zrósł się przez długi pobyt w Warszawie, odrzucił ten projekt a natomiast rozkazał Trepowi pojechać na rynek Starego Miasta i tam zbadać położenie.

Trepow rozkaz wypełnił, nakłaniał tłum do rozejścia się ale obrzucony obelgami i uderzony w twarz laską przez akademika Władysława Krajewskiego, którego chciał aresztować, powrócił z niczem do zamku.

Wtedy dopiero postanowiono żandarmami rozpedzić zbiegowisko. Tymczasem agitatorzy, bracia Frankowscy, Szachowski i inni przygotowywali właściwą manifestację w kościele O. O. Paulinów.

Korzystając z odbywającego się właśnie passyjnego nabożeństwa rozdali oni licznie w świątyni zgromadzonym rzemieślnikom i młodzieży chorągiewki o barwach narodowych i z orłami polskimi i ruszyli w procesyi, śpiewając „Święty Boże“ ku ulicy Gołębiej.

W drodze z przygotowanego na ten cel wozu wydobyto sztandar z Orłem i Pogonią, zapalono pochodnie, zaintonowano hymn „Boże coś Polskę“ i cały ten tłum, podniecony widokiem znaków narodowych, popłynął jak fala na rynek Starego Miasta.

Tu spotkał się atoli z żandarmami prowadzonymi przez Trepowa, którzy na dany znak uderzyli na procesyę. Zaczęła się walka krótka i zacięta; tłum bronił się laskami i pochodniami, żandarmi cięli szablami i w końcu odnieśli zwycięstwo.

Prerażona publiczność rozpierzchła się na wszystkie strony, kilkudziesięciu przewodców manifestacyi aresztowano, na głównych placach ustawiono silne oddziały wojska i około północy zapanował spokój zupełny. Była to jednak cisza, poprzedzająca burzę.

Jeżeli dziś, gdy podobne zajścia uliczne powtarzają się często, każde starcie z siłą zbrojną, wywołuje mimoto w masach wielkie wzburzenie, to w owych czasach był to fakt tak niezwykły, że musiał wstrząsnąć do głębi rozgorączkowane i agitacją rozpalone umysły.

Jak zwykle w takich razach się dzieje zaczęły krążyć po mieście przesadne wieści o okrucieństwach żołdactwa. Mówiono o zabitych, chociaż nikt nie zginął w istocie, o wielkiej ilości rannych, z których jedna ofiara, „dziewica“ Jenike umarła rzekomo wieczorem, o zbieraniu i chowaniu trupów przez wojsko i władze policyjne.



Warszawa w dniu 8. kwietnia 1861 roku.

Nazajutrz ukazały się też pierwsze odznaki żałobne, ścigane przez policję. Miasto przedstawiało widok niezwykley; po ulicach snuły się tłumy na Saskim placu stało wojsko; w powietrzu czuć było zbliżającą się burzę. Jakoż pod wrażeniem poniedziałkowych wypadków dojrzewała niejasna myśl politycznego działania. Z jednej strony za inicjatywą Jurgensa postanowiło mieszczaństwo Warszawskie wystosować do cesarza adres z żądaniem reform, reorganizacji szkół, przywrócenia uniwersytetu, równouprawnienia Żydów i wprowadzenia, z pewnemi oczywiście zmianami, Statutu organicznego; z drugiej gotowali czerwieńcy powtórna o wiele większą jeszcze manifestację na dzień 27. lutego.

Pierwsi wybrali natychmiast delegację, złożoną z doktora Chałubińskiego, kupca Ksawerego Szlenkera, I. I. Kraszewskiego, Józefa Keniga, redaktora *Gazety Warszawskiej*, generała Jakóba Lewińskiego, księży Steckiego i Wyszynskiego, rabina Mayselsa i szewca Stanisława Hiszpańskiego, która miała się zgromadzić w Reursie kupieckiej celem ułożenia adresu, drudzy zamówili w kościele Karmelitów, na Lesznie żałobne nabożeństwo z zamiarem urządzenia projektowanej demonstracji.

Co dalej miało się stać, nikt nie wiedział. Zdaje się jednak że Komitet Towarzystwa Rolniczego przewidywał cel manifestacji.

Wypadki 25. lutego wywarły na obradujących w pałacu Namiestnikowskim głębokie wrażenie. Kiedy dowiedziano się o zajęciach na Starem Mieście, odezwały się głosy: „Chodźmy, gińmy razem“ i tylko zimnej krwi Zamoyńskiego zawdzięczać należy, że członkowie Towarzystwa nie wzięli udziału w starciu ulicznym z policją i żandarmami.

To taktowne i rozumne zachowanie się najpoważniejszej w kraju instytucji oburzyło zarówno agitatorów jak i pewną część gorętszych członków Towarzystwa. Po mieście obiegała nieprawdziwa pogłoska, że cesarz telegraficznie podziękował Towarzystwu Rolniczemu za okazaną w chwili krytycznej lojalność. Złośliwa insynuacja miała ten skutek, że członkowie Towarzystwa, nie zgadzający się z umiarkowaniem stanowiskiem swego Prezesa, wzięli liczny udział w nabożeństwie u Karmelitów.

W takich warunkach łatwo było domyśleć się, że zamierzona demonstracja uderzy w Towarzystwo, że będzie usiłowała skłonić je nie tylko do uchwalenia radykalnej reformy w kwestyi włościańskiej ale także i do podania adresu, że może przyjąć zatem do zaburzeń, do przerywania obrad

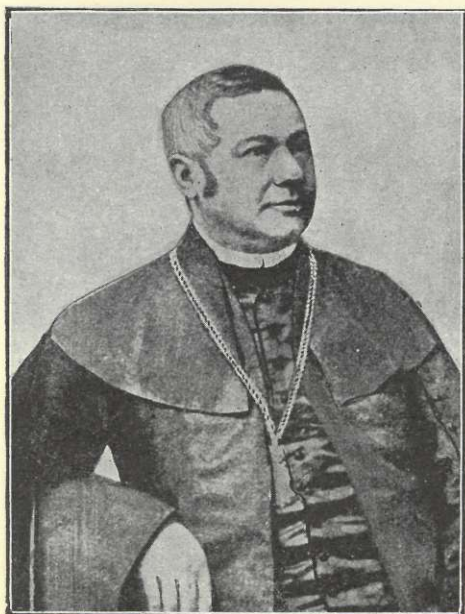


Nr. 17. X. Kanonik Stecki.
(Ze zbioru pana Jarosława Pieniążka.)

kresu już dobiegających, do rozbicia zgromadzenia i do Bóg wie jeszcze jakich ekscesów.

Aby tej ewentualności zapobiedz zwrócił się Komitet Towarzystwa z prośbą o ochronę, do Namiestnika który niezwłocznie kazał ustawić przed pałacem Namiestnikowskim batalion piechoty wraz z oddziałem żandarmów.

Tymczasem z Leszna, po ukończeniu nabożeństwa, wyruszyła o godzinie 11. processya z chorągwiami kościelnymi na czele. Dokąd szła i po co, tego nikt nie wiedział, ale tłum z początku nie zbyt liczny wzrastał po drodze i na placu Zamkowym dochodził, jak mówiono do 50000. Tu nastąpiło pierwsze starcie. Asawuła kozacki Zawarow, wezwał lud do rozejścia, a gdy próśby nie usłuchano, uderzył na opornych batami, przyczem obraz Matki Boskiej, niesiony w processyi, upadł na bruk i rozbił się do szczętu.



Nr. 18. X. Kanonik Wyszyński.
(Ze zbioru pana Jarosława Pieniążka.)

Szarża ustała i obie strony spoglądały na siebie w milczeniu, gdy w tem, pod kościołem Bernardyńskim zabrzmiała pieśń „Boże coś Polskę.”

Trepow wysłał tam pluton kozaków, którzy jednak obrzuceni gradem kamieni z niczem wrócić musieli. W tej chwili — była godzina 2. — wyruszył od Bernardynów pogrzeb Józefa Łempickiego, urzędnika z dyrekcyi ubezpieczeń od ognia. Przywódcy manifestacyi, korzystając z tej przypadkowej okoliczności, postanowili przyłączyć się do orszaku żałobnego i tym sposobem przerwać kordon kozacki oddzielający ich od processyi. Starcie było nieuniknione. Kozacy zabiegli drogę karawanowi i zaczęli bić postępujących za pogrzebem batami; wśród ogólnego zamieszania

nia uszkodzono krzyż, którym zasłonił się przed uderzeniem kleryk Bernardyński. Na ten widok powstało w tłumie łatwo zrozumiałe oburzenie i grad kamieni posypał się na atakujących.

Gorczakow, widząc tę scenę z okien zamkowych wysłał batalion piechoty, pod dowództwem pułkownika Hartonga celem rozpedzenia zbiegowiska.

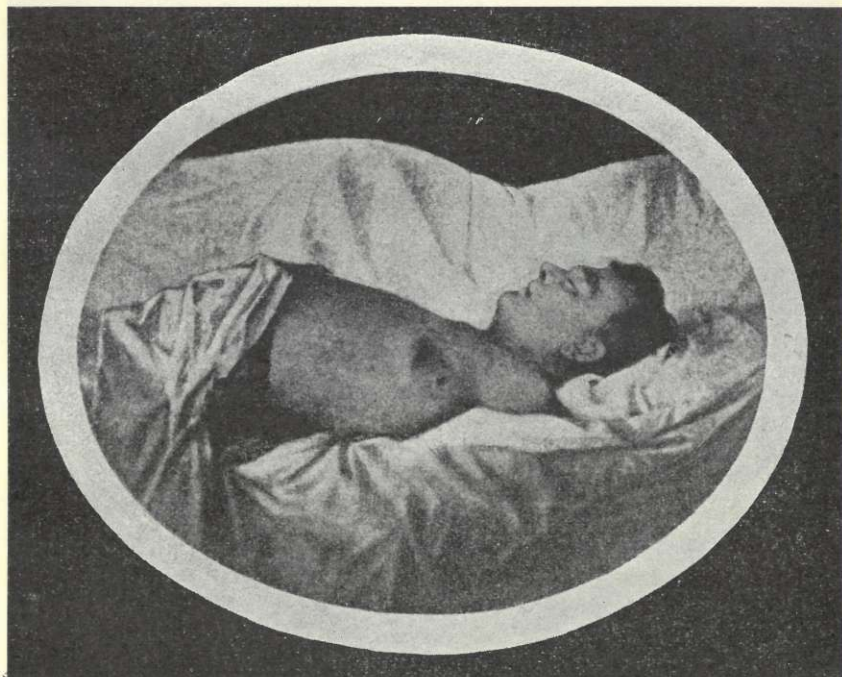
Hartong ruszył i mimo oporu tłumów oczyścił ulicę aż do figury Matki Boskiej, poczem zajął stanowisko naprzeciw domu dra Malcza.

Tu zjawił się niewołany i niemający żadnych poleceń generał-leitnant Zabołocki z kompanią nizowskiego pułku a kiedy i jego obrzucono kamieniami, kiedy na groźbę że każe strzelać odpowiedziano szyderczo: „Nie wolno, bo Napoleon zabronił“, on wzburzony do najwyższego stopnia zakomenderował: ognia! Padło 55 strzałów, tłum przerażony rozpieczętnął się na wszystkie strony, na miejscu pozostało pięć ofiar katastrofy: Marcelli

Karczewski, obywatel z Sieradzkiego, Michał Arcichiewicz,¹⁾ uczeń czwartej klasy realnego gimnazjum, Zdzisław Rutkowski, obywatel z Radomskiego, Karol Brendel, czeladnik ślusarski i Filip Adamkiewicz, czeladnik krawiecki.

Fakt straszny i niebывały strzelania do bezbronnych tłumów sprawił wrażenie piorunujące na jednej i na drugiej stronie. Oslupiało wojsko, strętwiały władze, podniosły się zewsząd krzyki i przekleństwa, płacz i lament. Zabitych i dogorywających podniesiono z bruku nie wiedząc z początku co z nimi zrobić.

Zwłoki Adamkiewicza, który miał być rzekomo Francuzem zaniesiono do konsula francuskiego, ten jednak trupa nie przyjął. Z Arcichiewiczem



Nr. 19. Filip Adamkiewicz.

udano się do pałacu Zamoyskich na Nowym Świecie wołając: „panie hrabio ujmij się za nieszczęśliwym narodem, męczonym i zabijanym“, w końcu złożono ofiary w Hotelu Europejskim.

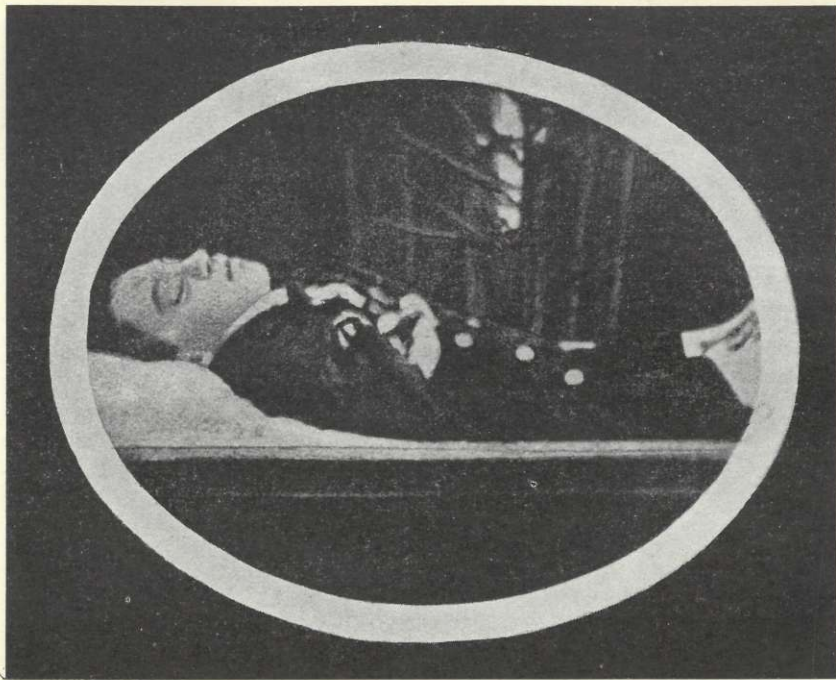
Tymczasem katastrofa poruszyła wszystkich, nawet najspokojniejszych, mianowicie członków Towarzystwa Rolniczego i mieszczaństwo. I jedni i drudzy czuli potrzebę jakiegoś działania.

Zamoyski zachowywał się dotąd chłodno, obojętnie. Gdy na początku manifestacyi gorętsi domagali się, aby posiedzenie Towarzystwa przerwano i aby wysłać deputacyę do Zamku, oparł się pan Andrzej temu wnioskowi a na nalegania i rozmaite przygryzki wystosowane pod jego adresem odpowiedział krótko: „Chcecie żebym ja przewodniczył burdzie? Nigdy!“ poczem jednak, ze względu na ogólne wzburzenie sessyę zamknął i powrócił do domu.

¹⁾ Według Daniłowskiego nazywał się Arciszewski.

Obecnie, po strzałach, zbiegli się do niego, członkowie Towarzystwa na naradę. Zgromadzenie było oczywiście burzliwe, dyskusja nieporządna, w końcu przeważało zdanie, że, gdy mieszczaństwo podjęło już myśl podania adresu do cesarza, należy do niej przystąpić i wysłać deputację do Zamku z prośbą o pozwolenie na wniesienie petycji.

Zamoyski, acz niechętnie, uległ zdaniu większości i o godzinie 10. wieczorem pojechał z Wiceprezesem Towarzystwa, Tomaszem Ostrowskim do Namiestnika. Tu zastał położenie zupełnie zmienione. Gorczakow, który z początku pochwalił czyn Zabołockiego, na interwencję arcybiskupa Fijałkow-



Nr. 20. Student Arcichiewicz.

skiego odpowiedział szorstko i groził bombardowaniem Warszawy, obecnie, rozważywszy rzecz całą spokojnie, przyznał w duchu, że stało się źle, że ta krew niewinnie przelana plami jego honoru wojskowy, że żądania Polaków są w gruncie słuszne, że opinia publiczna, nie tylko za granicą ale i w Rosji potępi mordowanie bezbronnych i że w końcu naród polski, do rozpacz przywiedziony, może porwać za broń, co w obec szczupłych sił wojskowych w Królestwie Bóg wie jakie sprowadziłoby klęski na kraj i na całe państwo.

W takim usposobieniu przyjął Zamoyskiego, usprawiedliwiał się przed nim, że nie dał rozkazu do strzelania, zapewniał, że generała Zabołockiego pociągnie do surowej odpowiedzialności, że pozwoli na urządzenie pogrzebu pomordowanych, o adresie jednak słyszeć nie chciał i zakończył rozmowę zapytaniem, co właściwie ma uczynić. Zamoyski miał odpowiedzieć według jednych, że najlepiej będzie jeżeli Rosyanie opuszczą kraj a wtedy cesarz

jako król będzie mógł przybyć dla odebrania naszego hołdu, według drugich krótko i szorstko: „idźcie sobie precz“ (allez-vous en), wersja mniej prawdopodobna.



Nr. 21. Marcei Karczewski.

Na tem skończyła się audyencya pierwsza, jałowa i bezskuteczna, ale za nią poszły wnet dwie inne, o znaczeniu bardzo doniosłym.

Równocześnie bowiem z zgromadzeniem Klemensowczyków u Zamoy-skiego odbywały się w resursie kupieckiej narady mieszczaństwa warszaw-skiego. Wzięli w nich udział najwybitniejsi reprezentanci kupiectwa, wybór

inteligencji, ci wszyscy, którzy przed katastrofą 27. lutego podnieśli myśl podania adresu, a obok tego tłumy publiczności ciekawej, podniecone, żadnej wrażeń i czynu.

Wszczęła się dyskusja, z początku burzliwa i nieporządną, aż Kronenberg uczynił wniosek aby wybrać grono osób zaufanych i im powierzyć obmyślenie środków, jakie przedsięwziąć należało.

Wniosek przyjęto i w ten sposób powstała t. zw. delegacja miejska. Weszli do niej, oprócz wybranych już poprzednio, w dniu 26. lutego dzie więciu: Matyas Rosen, bankier, właściciel domu Jakób Piotrowski, fotograf Karol Bayer i adwokat August Trzetrze wiński, razem więc osób 13, reprezentujących wszystkie stany i zawody. Delegacja, zebrawszy się natychmiast na naradę, postanowiła wysłać deputację do Namiestnika, która miała uzalić się na brutalne postępowanie wojska, żądać śledztwa i prosić o pozwolenie podania adresu.

Pomimo spóźnionej pory, bo była już godzina 11, ruszyli delegaci: Szlenkier, dr. Chałubiński, kanonik ks. Stecki, Piotrowski, Bayer, Trzetrze wiński, rabin Maysels i szewc Hiszpański do Zamku.

Gorzakow nie odmówił przyjęcia i powitał wchodzących słowami *malheur est arrivé* (nieszczęście się stało), poczem zapytał jakie są żądania deputacyi.

Na to zabrał głos Szlenkier, władający biegle językiem francuskim, i w dłuższem przemówieniu przedstawił całą grozę położenia, ogólne wzburzenie umysłów, wywołane rozlewem krwi i znieważeniem świętości, a zakończył słowami: „Waszej Księżęcej Mości dają złe rady.“ Za Szlenkierem, w podobnym tonie odezwał się Chałubiński, wtrącił od siebie słów kilka po polsku Hiszpański, mówiąc, że ludność bezbronną zabijano „jak bydło“, wszyscy żalili się na Trepowa i Zabołockiego, wspominali o adresie.

Gorzakow słuchał skarg cierpliwie, odpowiadał na ogół grzecznie, na podanie adresu zgodzić się niechciał i z tem pożegnał delegatów. Po ich odejściu jednak namyślił się inaczej. Wypadki tego strasznego dnia, słuszne zarzuty, jakimi obarczano i jego i władze rządowe wstrząsnęły nim do głębi. Uczciwy, prostoduszny, w gruncie przychylny Polakom, uznawał Gorczakow, że popełniono jeżeli nie zbrodnię to niewątpliwie błąd wielki, drżał na myśl o skutkach, które stąd wyniknąć mogły, widział, że odpowiedzialność spadnie na niego i postanowił przeto łagodnością i ustępstwami burzę zażegnać. Sądził, że gdy delegaci przedewszystkiem obwiniali Trepowa, należy go usunąć i tą koncesyą rozżalonych cokolwiek uspokoić.

Natychmiast więc dał Trepowowi, rzekomo z powodu choroby, dymisyę mianował na jego miejsce pułkownika Demoncala, naczelnika straży ogniowej i przez prezydenta miasta, Andraulta uwiadomił o tej zmianie Delegacyę.

Ale Delegacya, ośmielona ustępstwem władzy, dotąd niewzruszonej, z innego zaczęła przemawiać tonu. Nie zgodziła się na nominacyę Demoncala i prosiła, aby oberpolicmajstrem mianowano generała Paulucci, Włocha, miłośnika i zbieracza starożytności, człowieka wykształconego, uprzejmego i dla Polaków życzliwego, na co Namiestnik rzeczywiście zezwolił.

Ustępstwo to, jakkolwiek drobne i mało znaczące, wskazywało niejako, że z tak wyjątkowego położenia należy korzystać i uczynić krok stanowczy w celu wyjednania u rządu reform dalej sięgających, że jednym słowem,

trzeba podać adres, który, jeżeli nie odniesie zupełnie pożądanego skutku, to przynajmniej wyjaśni sytuację.

Rozmowa z Namiestnikiem utwierdziła delegatów miejskich w przekonaniu, że Gorczakow jest do ustępstw pewnych skłonny i, mimo opozycji dotychczasowej, adresowi sprzeciwić się nie będzie.

Z tą myślą pojechali natychmiast po audyencji w Zamku Szlenkier, Kronenberg i Chałubiński do Zamoyskiego i tu postanowiono jeszcze raz wysłać deputację do Namiestnika.

O godzinie 12. w nocy udali się do Zamku wiceprezes Towarzystwa Ostrowski, Ludwik Górski i Henryk Potocki, a uzyskawszy posłuchanie, przedstawili Namiestnikowi cel swego przybycia.

Z długiej i gorącej dyskusji, w której szczególnie śmiało przemawiał Potocki, odnieśli delegaci wrażenie, że Gorczakow mimo obaw i wahania, w końcu przyjęcia adresu nie odmówi.

Bezwzględnie więc wybrano komisję adresową, złożoną z czterech członków Komitetu Towarzystwa (Stawiski, Ludwik Górski, Aleksander Kurtz i delegat krakowskiego Towarzystwa Rolniczego Adam hr. Potocki)¹⁾ i zaproszono do niej nadto także czterech reprezentantów mieszczaństwa: gen. Lewińskiego, Szlenkiera, dra Chałubińskiego i Kronenberga.

Myśl adresu nie była nową. Wiadomo, że podawano adresy lub zamierzano podawać w rozmaitych prowincjach pod zaborem rosyjskim, że równocześnie przyszedł do skutku w Galicyi adres ułożony przez Helcla i doręczony ministrowi Schmerlingowi w dniu 4. stycznia 1861 roku.

Położenie Polaków w obu zaborach było analogiczne.

Austria, od wydania dyplomu październikowego, wchodziła widocznie na drogę konstytucyjną, w Rosyi po śmierci Mikołaja I. rozpoczynał się okres liberalnych reform. Niepodobna było przypuścić, aby przy likwidacji starego systemu w jednym i w drugim państwie, Polacy mieli być wyjęci z ogólnych prawideł, aby im jedynym nie pozwolono korzystać z instytucji i zmian, jakie zaprowadzić zamierzano.

Różnica tkwiła w tem, że, gdy w Austrii rząd, w okólniku, wysłanym do Namiestników wszystkich prowincyj, oświadczał gotowość wysłuchania opinii publicznej i otwierał zatem drogę legalną do wnoszenia petycji wszelkiego rodzaju, w Rosyi podstawy tej nie było.

Mimo to zdołano i tam wynaleźć, jak zobaczymy wnet, sposób legalnego w tym względzie działania. Chodziło tylko o program, o treść żądań, które obmyśleć i ułożyć było obowiązkiem ludzi rozumnych, w polityce doświadczonych i w społeczeństwie wpływowych.

Sposobności potemu nie brakło. Wszak w roku 1860 delegaci Warszawskiego Towarzystwa Rolniczego Ludwik Górski i Aleksander Ostrowski bawili w Krakowie, brali udział w naradach tamtejszego Towarzystwa, stali się z najwybitniejszymi przedstawicielami krakowskiego stronnictwa konserwatywnego, wszak i Wielopolski odwiedzał często Kraków, utrzymywał bliskie stosunki z redakcją *Czasu*, siadywał wieczorem w łoży tego dziennika w teatrze, miał w towarzystwie krakowskiem liczne znajomości, nawet serdecznego przyjaciela Zygmunta Antoniego Helcla, którego zdanie w kwestjach politycznych ważyło bardzo wiele.

¹⁾ Koźmian: *Rzecz* o roku 1863, tom II., str. 130.

Nie ulega chyba wątpliwości, że w poufnych rozmowach, na salonach krakowskich i u stołów biesiadnych rozprawiano nie tylko o sztucznych nawozach i hodowli bydła, ale i o sprawach bieżących, że zastanawiano się nad położeniem narodowości polskiej w obu sąsiednich zaborach i że nie brakło czasu na ułożenie programu politycznego. A czas naglił, bo zbliżał się termin walnego zgromadzenia Towarzystwa Rolniczego w Warszawie i znane powszechnie wrzenie umysłów w tem mieście i na prowincyi wymagało spiesz- nego działania.

Tymczasem cóż się dzieje?

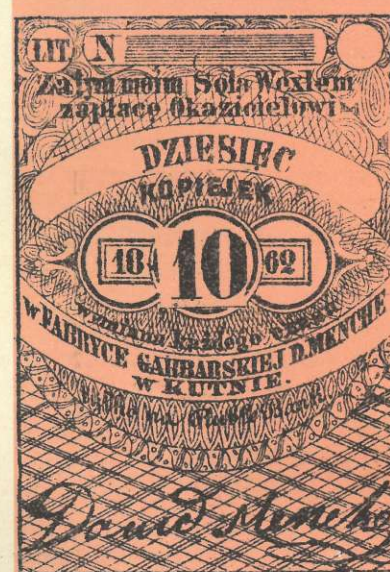
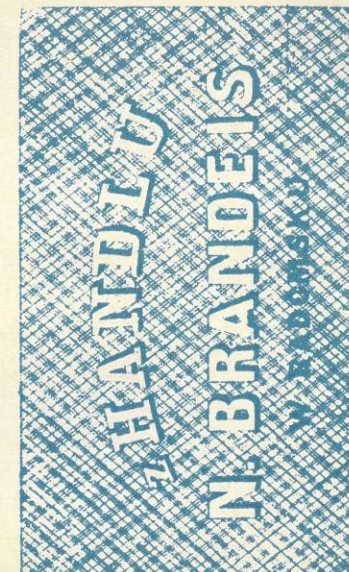
Wielopolski układa adres, wynajduje zręcznie sposób jego podania od



Nr. 22. Zdzisław Rutkowski.

szlachty, jako korporacyi, uznanej niejako przez cesarza, przedstawia tekst swój Andrzejowi Zamoyskiemu, L. Górskiemu i Węgłęńskiemu, filarom Towarzystwa Rolniczego, i spotyka się z stanowczą z ich strony odmową. Wtedy wysyła syna, Zygmunta do Krakowa. Ten zasięga opinii Henryka Wodzieckiego, Pawła Popiela i Maurycego Manna, redaktora *Czasu*, wszyscy oni aprobuja myśli zawarte w adresie, przyrzekają solennie, że podczas zgromadzenia Towarzystwa Rolniczego zjadą do Warszawy, aby poprzeć Margrabiego całym swoim wpływem i po tem uroczystem zaręczeniu . . . nie zjawiają się wcale. Jest na miejscu wprawdzie Adam Potocki, należący, jak wspomniano do komitetu adresowego, ale o jego stanowisku w całej tej dość niejasnej sprawie, nie mamy zgola wiadomości.

Czegoż chciał Wielopolski? W adresie swoim ograniczał się do Królestwa Polskiego, takiego jak je stworzył kongres wiedeński i Aleksander I.



Kwitki, wydawane, z powodu braku monety zdawkowej w roku 1861
:: :: przez fabrykantów i kupców w Królestwie Polskiem. :: ::

Według jego poglądu, dawniej już wyrażonego, podstawę bytu Królestwa stanowił trzeci z kolei traktat, zawarty w dniu 9. czerwca 1815 roku i podpisany przez wszystkie na kongresie reprezentowane mocarstwa. Pierwszy artykuł tego aktu orzekał, że ta część Księstwa Warszawskiego, która przechodzi pod panowanie Rosyi, będzie połączona z Rosyą przez swoją konstytucyą. Istnienie Królestwa polegało zatem na konstytucyi. Otóż konstytucya ta nie została zniesiona, bo i Statut orgaziczny z 1832 roku i manifest dołączony do niego „nie obejmują żadnego wyraźnego ją uchylającego rozporządzenia“ i łatwo zrozumieć zatem, że „niewykonanie prawa zasadniczego z 1815 roku wszelkiej nas pozbawia rękojmi, niepokoi kraj, w sprawach, dążeniach, uczuciach swoich dotknięty“.

Po tem uzasadnieniu, równie gruntownem jak logicznem, po krótkiej wzmiance o wypadkach 1831 roku, na które „rzuca zasłonę“, nie potępiając ich bynajmniej, jak mylnie twierdzono później, ani też usiłując je usprawiedliwić, wylicza Margrabia szereg reform nieodzownych: spieszne uregulowanie kwestyi włościańskiej przez oczynszowanie, założenie polskiego uniwersytetu, zniesienie a przynajmniej ograniczenie cenzury, oraz równouprawnienie Żydów. Że ten projekt adresu był bardzo rozumny i do warunków ówczesnych doskonale zastosowany, to jest rzecz niewątpliwa. Stojąc na gruncie legalnym, nie wyrzekając się niczego w przyszłości, dążył on do przywrócenia Królestwa, pragnął zapewnić tej części Polski pewien rodzaj autonomii i możność swobodnego rozwoju a spełnienie dalej sięgających nadziei i życzeń pozostawiał czasowi.

Ale niestety trzeźwy program Wielopolskiego nie zdołał trafić do przekonania umysłów rozgorączkowanych agitacyą, przeczulonych, wierzących niezachwianie w jakąś ogólną konflagrację europejską, w opiekę i życzliwość Napoleona III. zapatrzonych na przykład Włoch i marzących o Polsce od morza do morza, której odbudowanie, jak sądzili, było pewnem i dla utrzymania równowagi europejskiej koniecznem.

Stało się więc to co się zwykle dzieje.

Po cichu, wśród czterech ścian, chwalono projekt Margrabiego, przyznawano adresowi jego wielkie zalety, ale gdy przyszło do stanowczej decyzyi, nie miał nikt odwagi wypowiedzieć swojego zdania, nikt nie poczuwał się do obowiązku bronienia tego, co przed chwilą i w głębi serca uznawał za dobre i rozumne. Przedstawiciele mieszczaństwa zasiadający w Komitecie, oświadczyli się stanowczo przeciw projektowi Margrabiego, za nimi poszli członkowie, wybrani z Iona Towarzystwa Rolniczego, a zacierzwienie było tak wielkie, że Teleżyński, szlachcic z Hrubieszowskiego wołał: „niech temu ręka uschnie, kto podpisze ten adres“.

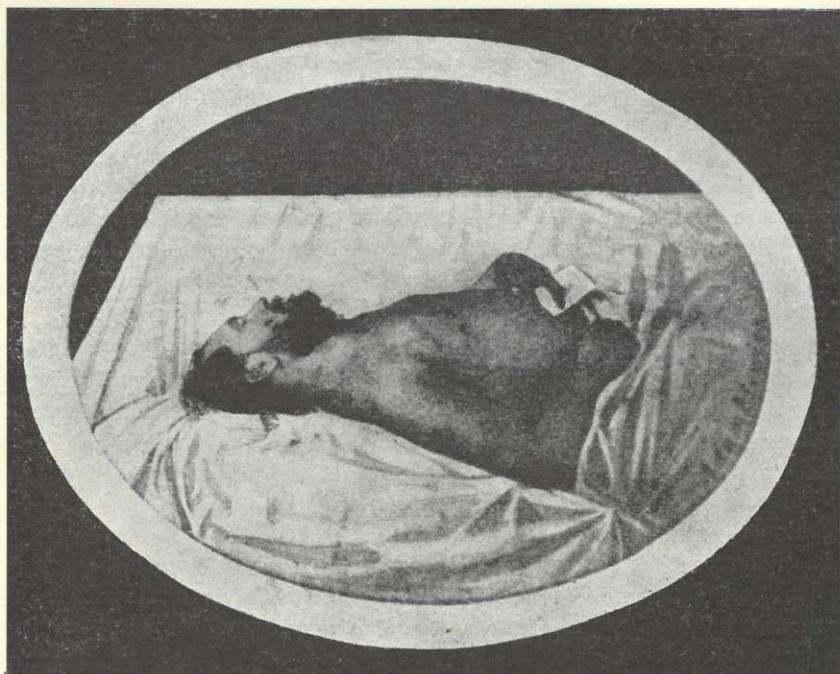
Działy tu rozmaite wpływy i przyczyny, usposobienie ogółu, o którym wspominaliśmy wyżej a przede wszystkim, niesłychana, wprost bezprzykładna niepopularność Wielopolskiego.

Człowiek bardzo rozumny, wysoko i gruntownie wykształcony nie miał on niestety ani zalet towarzyskich ani daru zjednywania sobie ludzi.

Jego postać wyniosła i ociężała, surowy wyraz twarzy, szorstkie obejście i duma niesłychana czyniły go nieprzystępnym, budziły w tych co się zbliżali do niego obawę nieufność. Bronisława Mańkowska, córka generała Dąbrowskiego, która mieszkała przed rokiem 1830 w Warszawie, w pałacu Paca, gdzie i Wielopolscy mieli swoje apartamenta tak go przedstawia:

„Suchy, dumny, niepopularny, zarozumiały, nieprzystępny, nie lubił zbliżenia się tych, których miał za równych sobie, a pogardzał całkiem tymi, których uważał za niższych od siebie. Stąd też zapewne pochodziło to, że nie komunikował się z nikim w zamieszkałym zarówno z nim pałacu, i broń Boże, nigdy nie schodził do naszych zgromadzeń odbywających się w ogródku. Nieustannie obiegały wieści o jego szorstkości i srogości w domowym pożyciu, o smutkach i łzach młodej jego żony; słowem w skutek tych zdań i rodzaju życia przewzany został przez wszystkich: *Le loup garrou*, czasem *le solitaire*.

„Kilka lat później — tak ciągnie dalej — pamiętam byliśmy razem w Karlsbadzie i do dziś dnia jeszcze nie zapomniałam, jak znowu Margrabia zadziwiał swoim systematycznym stroniem od rodaków. Nieraz zdarzało



Nr. 23. Karol Brendel.

się widzieć go schodzącego z jednej ścieżki na drugą, żeby nie spotkać znajomego rodaka, którego był już poznał z daleka. Żył tylko z dyplomatami obcej narodowości, jako to: z Austryakami, Moskalami i Niemcami. Z tego powodu ambasador francuski na dworze belgijskim, hr. Ruminis, żyjąc do samej śmierci w wielkiej przyjaźni z moją matką (Chłapowską z domu) w żartobliwy sposób zainterpelował ją temi słowy: „Zapytuję Waszą Ekscelencyę w kwestyi narodowościowej“. Czy wasz Markiz jest Niemcem, Rosyjaninem czy też Polakiem, bo słyszę jak rozmawia wszystkimi językami, z wyjątkiem polskiego?“¹⁾ Jakkolwiek wiele z tego opowiadania polegać może i polega zapewne na plotkach, to zaprzeczyć niepodobna, że główne rysy charakteru Wielopolskiego są schwycone i określone wiernie.

¹⁾ Pamiętniki Mańkowskiej, str. 56, Poznań 1880.

Jakieś fatum, ciężące nad jego losami, wikało go bezustannie w zatargi, które powiększały jeszcze bardziej niepopularność, jakiej zażywał.

W roku 1829 miał on proces o dobra ordynacyi Myszkowskich, należącej do niego, proces wygrał, ale naraził sobie wiele interesowanych w tej sprawie osób, szczególnie adwokata Jana Olrycha, Szanieckim zwanego, który odtąd szarpał stale sławę Margrabiego w pismach ulotnych i w artykułach dziennikarskich a, zostawszy posłem, protestował w sposób namiętny i już wprost nieprzyzwoity na sejmie rewolucyjnym przeciw wyborowi Wielopolskiego na posła z okręgu Grodzieńskiego.¹⁾

Sejm, bacząc na zdolności i zasługi, jakie okazał Margrabia w misyi dyplomatycznej w Londynie, nie uwzględnił protestu Olrycha i Wielopolski zasiadał w Izbie aż do upadku powstania. Po wzięciu Warszawy udał się wraz z innymi na emigracyę, powrócił niebawnie do kraju i osiadłszy w Chrobrzu oddał się uporządkowaniu swoich interesów majątkowych. On też, jeden z pierwszych w kraju, współcześnie z ordynatem Zamoyskim, zniósł u siebie poddaństwo i przeprowadził oczyszczanie włościan.²⁾

Wśród strasznego ucisku za rządów Mikołaja I. i Paskiewicza, gdy wszelkie działanie polityczne i społeczne było niesłychanie utrudnione, trzymał się Wielopolski na uboczu, w usiłowaniach, rozpoczętych przez Andrzeja Zamoyskiego udziału niebrał.

Że w tem osamotnieniu, spoglądając na klęski, jakie naród polski doznał, rozmyślał o losach kraju, że zastanawiał się nad ostatnimi wypadkami i wysnuwał z nich wnioski na przyszłość, że w tym umyśle trzeźwym i głębokim tworzył się wtedy może program politycznego działania, w pomysłniejszych warunkach, to rzecz całkiem naturalna i łatwo zrozumiała.

Do jakich zaś dochodził konsekwencji, okazało się w roku 1846. Kiedy dając folgę wzburzonemu uczuciu ogłosił swój znany „List do Metternicha“³⁾ w którym przeciwstawiając szlachetność Romanowów ohydnemu systemowi biurokracyi austriackiej, doradzał Polakom zlanie się z Rosyą.

Był to krzyk rozpacz, wychodzący z zboląłego serca, ale niemniej przeto dla samego autora szkodliwy, bo ściągnął na niego podejrzenie, że jest panslawistą, oddanym na usługi caratu.

Z emigracyi podniósł się natychmiast protest przeciw programowi Margrabiego. Generał Franciszek Morawski wystąpił z odpowiedzią na „List“ i zakończył ją słowami: „Znam wszystkie ofiary dla ludzi i Ojczyzny; nieznam i znać niechcę dla takiej Słowiańszczyzny, któraby ciemność, jarzmo i cały szereg sromot ciągnęła za sobą. Znośmy naszą niedolę, ale nie nieśmy ją światu. Jeśli ma przyjść ostateczna zguba niechże zwałą się na nas góry nie-szczęścia“. Opinia polska mało wiedziała zapewne o tej enuncyacyi Margrabiego, wyjątkowo chyba tylko czytał ktoś w kraju „List“ ogłoszony w Paryżu a wielu było takich, którzy w cichości ducha zdanie jego podzielali. Rzeź Tarnowska i postępowanie władz austriackich wywołało bowiem takie niesłychane oburzenie, że w Krakowie przyjmowano wojska rosyjskie z radością.

¹⁾ Kraushar Aleksander. Trzy epizody z działalności publicznej Margrabiego Aleksandra Wielopolskiego w 1831, Warszawa 1908.

²⁾ Lisicki: Aleksander Wielopolski 1823—1877. Kraków 1878, I., 52.

³⁾ Lettres d'un Gentilhomme Polonais sur les massacres de Galicie adressé au prince de Metternich, à l'occasion de la dépêche circulaire du 7. Mars 1846, Paris. Odpowiedź na list słacheica polskiego do Metternicha. Paryż 1847.

a w trzy lata później jeszcze Görgey, kapitulując w Vilagoszu wołał poddać się Rosyjanom niż Austryakom.

Z tem wszystkim zaprzeczyć niepodobna, że „List do Metternicha“ ogłoszony w 1848 roku w tłumaczeniu niemieckim w Wiedniu i skutkiem tego więcej rozpowszechniony, utwierdził ogół polski w przekonaniu o rosyjskich sympatyach Margrabiego.

Wtedy co prawda, przedstawiały się one już cokolwiek inaczej. Wielopolski marzył o zesłowiańszczeniu Austrii, o panowaniu Słowian w monarchii Habsburskiej, które będzie także „zwycięstwem porządku i prawdziwej wolności“, zachęcał Polaków do łączenia się z Chorwatami, Czechami i Serbami, zalecał im nagłą zmianę frontu, niepodobną w ówczesnych warunkach do uskutečnienia. W tem rozumieniu był też panslawistą, za jakiego go Niemcy uważali.¹⁾

W kilka lat później, gdy wojna krymska, obudziła przygasłe nadzieje Polaków, gdy nad Bosforem tworzono legion polski, wstąpił najstarszy syn Margrabiego, Zygmunt, dobrowolnie do armii rosyjskiej. Jakkolwiek mieli go zachęcać do tego bliscy krewni, ludzie znani z prawości charakteru i uczuć patryotycznych: generał Henryk Dembiński i Michał Potocki,²⁾ to nie ulega wątpliwości, że fakt tak niezwykle tłumaczono sobie sympatjami rosyjskimi i że skutkiem tego a może tylko pod tym pozorem nie przyjęto Zygmunta do grona założycieli Towarzystwa Rolniczego, mimo że ojciec go zalecał.

Działo się to już podczas głośnego procesu o fundacyę Świdzińskiego, jaki Margrabia prowadził z przyrodniemi braćmi fundatora.

Jakkolwiek słuszność w tej sprawie zawilej i wysoce nieprzyjemnej, była, w gruncie biorąc rzecz, po stronie Wielopolskiego, to zataić trudno, że działał on arbitralnie, że przenosząc zbiory Świdzińskiego do Chrobrza, tworząc z nich „własność prywatną“ a nie „bibliotekę publiczną“ i zapraszając do korzystania z nich tylko ściśle ograniczoną i przez siebie wybraną ilość uczonych, postępował wbrew życzeniom opinii publicznej, która pragnęła mieć w myśl zapisu ofiarodawcy instytucyę w Warszawie.

Margrabia wygrał ostatecznie proces, ale naraził się na przykry zatarg z egzekutorami testamenta zwłaszcza z Aleksandrem hr. Przeździeckim i Wł. Małachowskim i omal że niestał się przyczyną zmarnowania zbiorów. Nie dopuścił do tej smutnej ostateczności Ludwik hr. Krasiński, który, nie szczędząc ofiar materyalnych, przyłączył zbiory Świdzińskiego do biblioteki ordynackiej Krasińskich, umieścił je w Warszawie i oddał na użytek publiczny³⁾

Cały tok powyższego procesu, mowy Margrabiego, miane przed sądem i pisma w tej sprawie ogłoszone, acz świetne pod względem stylu i logicznego rozumowania, przepełnione jednak zjadliwą ironią i nacechowane niepomierną pychą i lekceważeniem przeciwników, sprawiły jak najgorsze wrażenie.

Zygmunt Krasiński, przeczytawszy jedną z mów Wielopolskiego, wypowiedzianą przed kratkami, miał się wyrazić, że przypomina ona Nabuchodonozora „na trzy dni przedtem nim poszedł na paszę“. Margrabia, podrażniony zachowaniem się Krasińskich w tej całej sprawie i nie mogąc już zniweczyć układu zawartego pomiędzy Świdzińskim a Krasińskim, uważał za

¹⁾ Sybel: Die Begründung des deutschen Reiches II., 464.

²⁾ Lisiecki, I, 95.

³⁾ Franciszek Pułaski: Spór o bibliotekę i zapis Konstantego Świdzińskiego. Przegląd Historyczny, t. VIII., zesz. 3.

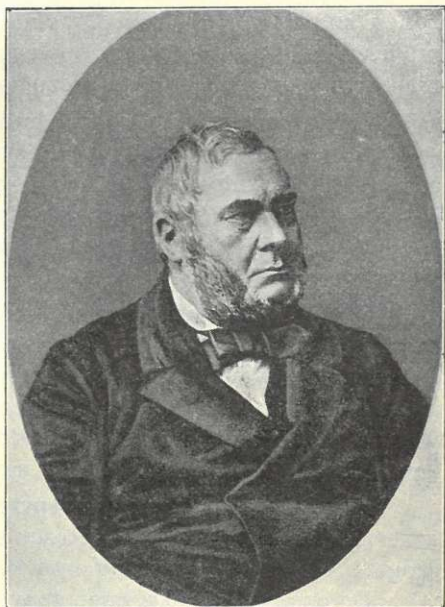
stosowne zatrzymać część zbiorów „przy sobie“, w Chrobrzu, a w liście, pisanym do Ludwika Krasińskiego, wspomniał uszczypliwie o „nowej“ ordynacyi Krasińskich w przeciwstawieniu do dawnej, ciosami czasów dotkniętej ordynacyi Myszkowskich.¹⁾

Wszystko to działo się pomiędzy r. 1855 a 1860, ściągało na siebie powszechną uwagę i stanowiło przedmiot polemiki dziennikarskiej. W r. 1859 ukazał się pierwszy tom Biblioteki Ordynacyi Myszkowskich, gdzie obok artykułów historycznych, znakomicie opracowanych przez Ant. Z. Helclę umieszczono także dokumenty, służące do poznania sprawy, mowy Wielopolskiego wraz z przypiskami Zygmunta, w których ten najstarszy potomek Margrabiego zapewniał, że Wielopolscy nie zaczepiają nikogo, ale kto im zastąpi drogę temu „lubią się dać weznaki“, a Margrabia sam od siebie dodał nadto, że „niemając ani czasu ani miejsca w żadnym piśmie do codziennej polemiki, długi nasze pod tym względem, raz tylko do roku, lecz z lichwą płacić będziemy“.

Roczniki Polskie zgańczyły słusznie taką metodę, która drażniąc niepotrzebnie przeciwników, obniżała wartość naukowej publikacyi i, wspomniawszy o rosyjskiej służbie Zygmunta, jako o rzeczy minionej, doradzały Margrabiemu, aby starał się puścić w niepamięć „urazy, niesnaski, podejrzenia i niechęci“, bo „narod nasz ma nieograniczoną łatwość zapominania“ i „nigdzie łatwiej zasługa nie zacierają krzywdy, czyn znaczny błędów pojęć lub przesądu“.²⁾ Takim był człowiek, który teraz występował na widownię publiczną i podawał społeczeństwu polskiemu zdrową radę, ofiarował na usługi sprawy swoje niepospolite zdolności, doświadczenie polityczne i rozum wielki.

Czy należało tę ofiarę odrzucić dlatego, że ten co ją przynosił był dla ogółu niemal wstrętnym, że stawał zawsze w poprzek opinii publicznej, że demokratyczne usposobienie w narodzie polskim zakorzenione od dawna, drażnił niepomiarłą dumą, lekceważeniem, mówiąc prawdę, niemądrem, obrażał dotkliwie ambicje jednostek? Przenigdy. Nie rozsądnie postąpiłby chory odrzucając opiekę lekarza, osobiście sobie niemiłego. Nierozsądną także była i decyzja adresowego Komitetu. Ale, niestety, inaczej stać się nie mogło.

Margrabia nie posiadał ani jednego przyjaciela, z wyjątkiem szwagra swego Tomasza Potockiego i Ant. Zyg. Helclę w Krakowie. Nie lubiło go oczywiście demokratycznie usposobione mieszczaństwo, u inteligencji nie



Nr. 24. Margrabia Aleksander Wielopolski.

¹⁾ Tamże str. 358.

²⁾ Tom III., str. 431.

miał sympaty, szlachta, Tywarzystwo Rolnicze okazało mu swoją niechęć jawnie, nie przyjmując pana Zygmunta w poczet założycieli.

Nikt też w chwili rozstrzygającej nie stanął w jego obronie. Głos Tomasz Potockiego nie wystarczał; Krakowianie zawiedli, projekt adresu Wielopolskiego upadł, bo upaść musiał wśród społeczeństwa, które w polityce kierowało się uczuciem a nie rozumem.

Natomiast uzyskał aprobatę adres, napisany przez Edmunda Stawiskiego, ogólnikowy, nie zawierający żądań konkretnych, pełen frazesów, nie jasny, bez politycznego znaczenia.

Autor, wspomniawszy na wstępie o ostatnich wypadkach, które „nie są wybuchem społecznych namiętności jakiejś pojedynczej warstwy narodu lecz jednomyślnym, gorącym objawem tłumionych uczuć i niezaspokojonych potrzeb“, zaznaczywszy, że „w duszy każdego mieszkańca tego kraju bije silne poczucie odrębnej wśród ludów europejskich narodowości“, stwierdza na końcu konieczność reform „w kościele, w prawodawstwie, w wychowaniu publicznem, zgoda w całym społecznym organizmie“ i odwołuje się do wspólnałości i głębokiego uczucia sprawiedliwości Monarchii.

Takie postawienie rzeczy było nieszczerze, niezręczne i niepolityczne.

Gdy adres układano i podpisywano w Warszawie i w Królestwie, gdy autor kilkakrotnie wspominał o potrzebach tego kraju, należało jasno i wyraźnie sformułować żądania tych w imieniu których przemawiał, albo też, idąc za głosem uczucia domagać się reform dla wszystkich ziem polskich w granicach 1772 roku.

Stawiski obrał drogę pośrednią. Nie mogąc czy nie chcąc przyjąć programu Wielopolskiego, nie miał zarazem tyle odwagi, aby objąć adresem swoim i prowincje zabrane, przemawiał w imieniu mieszkańców Królestwa a pragnął, aby się zdawało, że jest rzecznikiem całego społeczeństwa polskiego pod zaborem rosyjskim. Chcąc zadowolnić wszystkich, nie zadowolnił nikogo, zamiast programu politycznego napisał odezwę „do wyborców“.

I zupełnie słusznym jest przeto zarzut: że „adres wprowadził ruch na bezbrzeżne i niepewne przestrzenie, po których błąkał się bez planu, jak po drogach nie wiodących do portu bezpiecznego“.¹⁾

Do czegoż bowiem miał dążyć naród i społeczeństwo, kiedy ci, co przewodnią objęli rolę ani tego celu wskazać ani jasno określić nie umieli?

Każdy więc tłumaczył sobie ukrytą myśl adresu według swojego mniemania i łatwo było przewidzieć, że kierunek radykalny weźmie górę nad umiarkowanym, że uczucie odniesie tryumf nad rozumem.

Jakoż stwierdziły to szybko po sobie następujące wypadki. Po uchwaleniu adresu i przetłumaczeniu go na język francuski, zaczęto zbierać podpisy.

Na naczelnem miejscu podpisał się arcybiskup Fijałkowski „imieniem duchowieństwa“ za nim acz niechętnie, Andrzej Zamoyski, rabin Maysels, pastor luterski Otto. Ogółem znalazło się na oryginale 127 podpisów, w kilku dniach dalszych liczba ta wzrosła do 20 tysięcy.

Dnia 28. lutego około południa, udała się do Zamku deputacja, złożona z arcybiskupa Fijałkowskiego, Zamoyskiego, Władysława hr. Małachowskiego, Kronenberga i Szlenkiera celem wręczenia adresu Namiestnikowi.

¹⁾ Giller. Dzieje Delegacyi Warszawskiej: Wydawnictwo materyałów, tom wstępny, str. 198.

Gorczakow odczytał pismo raz i drugi i po pewnem namyśle i wahanii rzekł: „Adresu przyjąć nie powinienem, ale go przyjmuję, biorę przez to na siebie wielką odpowiedzialność i zapewniam Panów, że go dziś jeszcze do Petersburga odeszłę i poprę o ile możliwości“.

Do tej decyzji, w stosunkach rosyjskich niezwykle śmiałej, skłaniały Namiestnika rozmaite okoliczności.

Wstrząśniony do głębi wypadkami dnia wczorajszego, przeświadczony o wielkiej odpowiedzialności, jaka na nim ciążyła, zatrwożony głuchemi wieściami o wzburzeniu ludności warszawskiej, obawiał się Gorczakow jeżeli nie rewolucji to rozruchów groźniejszych i krwawszych, które mogły skompromitować do reszty i jego i rząd, odbić się głośnie echem po całym świecie, wywołać interwencję zagraniczną i państwo na największe narażenie kłopoty.

Wprawdzie rozsądna część społeczeństwa polskiego wiedziała, że zbrojne powstanie byłoby szaleństwem, że mimo szczupłych sił rosyjskich w tej chwili w Królestwie, działa cytadeli mogły w przeciągu kilku godzin zamienić Warszawę w kupę gruzów, że rozpaczliwa walka bezbronných tłumów z wojskiem regularnem musiała się skończyć, nawet po chwilowem zwycięstwie, nieuniknioną klęską, ale któż zdołał zaręczyć, że przy ogólnem podnieceniu umysłów w atmosferze, wytworzonej z krwawych oparów nie powstanie rozpaczna myśl odwetu za krzywdy doznane, że nie znajdą się tacy, co, dając folgę uczuciu, nie popchną kraj do walki beznadziejnej, do katastrofy straszniejszej od dawnych pogromów.

A nie były to bynajmniej obawy płonne. Po zapalonych głowach agitatorów i zwolenników Mierosławskiego snuły się rzeczywiście podobne zamiary. Z świadectw współczesnych wynika że o ruchu zbrojnym wtedy myślano i mówiono a i dziś jeszcze są tacy co wierzą w możliwość i powodzenie szalonego przedsięwzięcia.¹⁾

Wtedy zachęcały do tego nawet pozornie pomyślne okoliczności; nagle ustępstwa rządu, świadczące o jego słabości i trwodze, cofnięcie z ulic wojska i policji, oddanie władzy i opieki nad porządkiem publicznym w ręce Delegacji miejskiej i popłoch, jaki opanował sfery wyższe zwłaszcza Namiestnika i otaczających go generałów i dygnitarzy rosyjskich.

Nastaly nagle t. zw. „polskie czasy“. Miastem zaczęła rządzić Delegacja obowiązki policji, pełniła młodzież, Konstabile narodowi“.

Doszło do tego, że policmajster generał Paulucci pytał zebranych w Hotelu Europejskim obywateli, czy życzą sobie mieć go na stanowisku głównego naczelnika policji, na co odpowiadano okrzykami: Wiwat! Niech żyją Włochy! Niech żyje Garibaldi! Niech żyje Paulucci!

Górą jednak była młodzież.

Kiedy Daniłowski, powracając właśnie od rodziców z Lublina, na rogatce Warszawskiej chciał, jak zwyczajnie przedstawić swój paszport, zawołał urzędnik rogatkowy: „Pańskiego paszportu nam nie trzeba, my teraz od Panów zależymy“.²⁾

Łatwo można sobie wyobrazić jak to wszystko działało na zapalne umysły polskie i jakie w nich budziło nadzieje. Wyobrażano sobie, że rząd

¹⁾ Por. Notatki Daniłowskiego, Dzieje delegacji Gillera i Historia powstania (1863—1864 Bolesława Limanowskiego. Wyd. drugie, Lwów 1909, str. 50.

²⁾ Notatki Daniłowskiego, st. 32.

ustępujący pod naciskiem manifestacji i pod wrażeniem krwawych wypadków da się nakłonić do daleko idących koncesyj, że biernym oporem można użyć wszystko i konstytucyjne Królestwo i przyłączenie prowincyj zabranych i w dalszym ciągu przywrócić niezawisłość.

Mieszczaństwo warszawskie, biorąc rzeczy praktycznie, streściło swój program w znanym powiedzeniu bankiera Matyasa Rosena: „brać wszystko ale nie kwitować“. Niestety, nie rozstrzygało ono, nie rozstrzygały żywioły umiarkowane; kierunek spraw publicznych przechodził już w ręce stronnictwa radykalnego, naczelne stanowisko w duchu narodowym zajmowała młodzież. Ona to, powołana do straży bezpieczeństwa, do Delegacji, gdzie ją zastępował akademik Kuczkowski, i do rozmaitych innych urzędów publicznych, uzyskała na społeczeństwo wpływ potężny i z zwykłą wiekowi młodemu zarozumiałością chciała wszystkiemu przewodniczyć i rzeczywiście przewodziła.

Wśród takich okoliczności odbywała się największa w tych czasach manifestacja, pogrzeb ofiar, pomordowanych dnia 27. lutego.

Miasto przedstawiało widok niezwyły. Ściany domów okryte żałobnymi festonami, z dachów i balkonów zwieszone kiry z białymi krzyżami, czarno przybrane tłumy ludu, członkowie Komitetu pogrzebowego z białą-czarną szarfą na lewej ręce a przytem spokój, powaga i wzorowy porządek sprawiały imponujące wrażenie. Kościół św. Krzyża, gdzie złożono w czarnych drewnianych trumnach zwłoki poległych, wśród kwiatów i zieleni jaśniał tysiącami świateł, rozpraszających mroczne cienie kirem żałobnym okrytej świątyni.

O godzinie 9 tej rozpoczęła się msza śpiewana przez Biskupa sufragana Deckerta, zabrzmiiała muzyka, którą kierował Apolinary Kątski a gdy uciły dźwięki Requiem Stefaniego i skończyła się święta ofiara, pobłogosławił zwłoki arcybiskup Fijałkowski, poczem stanąwszy na czele konduktu odprowadził go przez Krakowskie Przedmieście aż do rogu ulicy Królewskiej, gdzie miejsce jego zajął biskup Plater.

Za duchowieństwem katolickim i reprezentacją Towarzystwa Rolniczego, z prezesem Adrejem Zamoyskim na czele, postępowali superintendenci wyznań protestanckich, starszy rabin Beer Maysels i dr. Jastrow, na ostatku pięć próżnych karawanów, bo trumny od początku do końca niosła na przemiany szlachta i rzemieślnicy.

Orszakowi towarzyszył tłum nieprzebrany, stutysięczny co najmniej, poważny, rzewny lub płaczący; grono kobiet dźwigało olbrzymi wieniec cierniowy, godło „zwycięstwa i niewinności“, przyjęty odtąd jako symbol tej epoki, męczeństwem rozpoczętej i sroższem jeszcze umęczeniem narodu brzemienniej.

Szczególniejszy charakter nadawała tej wyjątkowej uroczystości nieobecność policyi i wojska. Na rozkaz Gorczakowa niewolno było ukazywać się na ulicach w tym dniu żołnierzom i oficerom. Pogrzebowi towarzyszył jedynie oberpolicmajster generał Paulucci na czele oddziału straży pożarnej, a gdy kondukt przechodził przez plac Saski, koło odwachu, wystąpiło wojsko tam znajdujące się i wśród bicia bębnow prezentowało broń, oddając niejako cześć ofiarom systemu rządowego.

Stąd ruszył pogrzeb przez ulicę Wierzbową i Bielańską na Powązki, gdzie po ceremoniach religijnych i śpiewach żałobnych, złożono zwłoki i usy-

pano nad nimi pięć mogił, które następnie, w czasach nowego ucisku i prześladowań policja z ziemią zrównała.

Tak skończyła się owa olbrzymia manifestacja. Sprawiała ona w kraju i za granicą wielkie wrażenie, ale w skutkach swoich miała jeszcze donioślejsze znaczenie. Zbliżyła bowiem do siebie, wszystkie warstwy społeczne, z wyjątkiem niestety ludu, który zachował się na ogół obojętnie, utrwalila w społeczeństwie nastroj mistyczno-religijny, upatrujący w biernym oporze, w śpiewach patryotycznych i w zewnętrznych odznakach główny jeżeli nie jedyny środek patryotycznego działania.

Rozpisywały się na ten temat szeroko dzienniki warszawskie. Kraszewski, podnosząc w *Gazecie Codziennej* udział rabinów żydowskich w pogrzebie, dodawał że „mieli do tego w tym dniu zupełne prawo, złożwszy razem z nami ofiarę na jednym ołtarzu kraju“.

Gazeta Warszawska, niedawno jeszcze zwalczająca Żydów pisała, że „spełnił się akt poświęcenia, będący węgielnym kamieniem chrystyanizmu; zespolenie wszystkich warstw społecznych okazywało jasno, że w obliczu Boga, w obec wzniosłej idei, wszyscy tu poczuli się równymi, podali sobie dłoń bratnią“.

Szczególniejszym przedmiotem zachwyty i uwielbienia była młodzież. Chwalono w dziennikach jej „dojrzałe poczucie obowiązku“, nazywano ją „jasnem godłem naszych nadziei“.

Poważny Komitet Towarzystwa Rolniczego dziękował w odezwie którą podpisał Zamoyski i sekretarz Władysław Garbiński, „szlachetnej młodzieży akademickiej i szkolnej“ za utrzymanie porządku podczas pogrzebu, stwierdzając zarazem, że dała ona postępowaniem swoim „dowód tych wszystkich przymiotów, jakie w przyszłości zrobią z niej godnych i pożytecznych obywateli kraju“, a nie poprzestając na tem ogłosił równocześnie, w dniu 3. marca, manifest, gdzie wzywał wszystkich członków Towarzystwa do jedności i najściślejszego stosowania się do jego wskazań „w obec niezwykłych a wiadomych wszystkim okoliczności“.

Odnosiło się to oczywiście do żałoby wprowadzonej wtedy i przyjętej powszechnie.

Przywdzianie tej żałoby na czas nieograniczony nakazywał także w okólniku swoim arcybiskup Fijałkowski „wszystkim częściom odwiecznej Polski“ a koronę cierniową uznawał za godło narodowe.

Z innej strony pojawiła się odezwa do „braci Izraelitów, dzieci Polski“, wystawiająca ucisk, jakiego doznawali Żydzi pod panowaniem rosyjskiem,



Nr. 25. Władysław Daniłowski.

zakończona wezwaniem do podpisywania adresu i do ścisłego łączenia się z ziolkami ku wspólnemu dobru.

Te trzy enuncyacye, wydane równocześnie, bo w dniach 2. i 3. marca, świadczyły, że był to akt polityczny, z góry obmyślany, wskazujący społeczeństwu program działania opartego na biernem oporze, na rozwiązaniu kwestyi żydowskiej i na dalszem manifestowaniu smutku i niezadowolenia.

Zrodzony pod wrażeniem tragicznych wypadków najświeższej daty i wypływający z uczucia, był on o tyle szkodliwym, że utrzymywał umysły w stanie ciągłego podniecenia a, schlebając w najlepszej zresztą myśli młodości, utwierdzał jej znaczenie i wpływ na społeczeństwo, oddawał niebacznie losy narodu pod kierunek żywiołów politycznie niedojrzałych i mimowolnie przygotowywał katastrofę.

Stało się to zaś wszystko w tej chwili, gdy w polityce rządu rosyjskiego miał nastąpić zwrot, który otwierał drogę, jeżeli nie do rozwiązania kwestyi polsko-rosyjskiej, to w każdym razie do uzyskania pewnych korzyści, dających możność swobodniejszego rozwoju i skutecznej pracy nad podźwignięciem narodu.





Rozdział czwarty.

ENOCH I GORCZAKOW. — MISYA KARNICKIEGO DO PETERSBURGA. — POWOŁANIE WIELOPOLSKIEGO DO WARSZAWY I JEGO PROGRAM. — MISYA KRETKOWSKIEGO. — KONCESYE I ICH PRZYJĘCIE W KRAJU. —

Jeżeli wypadki lutowe i olbrzymia manifestacya w dniu 2. marca wzburzyły do gruntu całe społeczeństwo polskie a utworzenie Delegacyi i konstablów narodowych obudziło w łatwo zapalnych umysłach polskich daleko sięgające nadzieje to i w sferach rządowych panował zamęt i zamieszanie.

Część generałów rosyjskich była za użyciem środków surowych. Doraźna rozwiązać Delegacyę, zamknąć Resursę kupiecką, gdzie odbywały się tłumne zgromadzenia i rozprawy polityczne, przywrócić porządek siłą wojskową i potem dopiero obmyśleć dalszy program działania.

Podobnie brzmiały i rozkazy nadsyłane z Petersburga.

Cesarz zganił usunięcie Trepowa i przyjęcie adresu, oświadczał krótko, że teraz nie czas na ustępstwa i że na nie nie zezwoli; przewidywał konieczność ogłoszenia stanu oblężenia i pozostawiał w tym względzie zupełną swobodę Namiestnikowi; dnia 1. marca zapytywał co wywołało niepokój z dnia 27. lutego i powtarzał z naciskiem, że na żadne ustępstwa zezwolić nie myśli i nazajutrz kazał zwrócić adres proszącym, gdyż zawarte w nim żądania są nieprzyzwoite i nie na czasie. Wszystkie te rozkazy i „wygowsy“ spadające gradem na skłopotaną głowę poczciwego weterana odbierały mu do reszty odwagę i mieszały jego umysł do tego stopnia, że w dzień pogrzebu prosił o przysłanie pomocnika, posiadającego zupełne zaufanie cesarza.

Tu nastąpiło jednak przesilenie.

Wzorowy porządek podczas pogrzebu ofiar lutowych i lojalne zachowanie się ludności Warszawskiej uspokoiły obawy Namiestnika.

Dnia 3. marca donosił cesarzowi z zadowoleniem, że wczorajszy dzień przeszedł zupełnie spokojnie, podziękował za przysłanie generała Chrulewa, a zarazem prosił o wstrzymanie decezyi w sprawie adresowej aż do wysłuchania Karnickiego.

Przyczyną tej nagłej zmiany była interwencya Juliusza Enocha, prokuratora ogólnego zebrania departamentów rządzącego Senatu. Enoch syn wziętego lekarza, przechrzta, z początku wojskowy inżynier, później marynarz, w końcu prawnik wstąpił do służby sądowej w Królestwie i niebawnie wysokie zajął w niej stanowisko.

Zręczny, gładki w obejściu, dowcipny, z usposobienia wesoły a przytem władający doskonale językiem francuskim, był w dobrem zachowaniu u Gorczakowa, znanego ze swojej galomanii i stał się z biegiem czasu jego zaufanym doradcą, albo, jak Berg złośliwie się wyraża „faktorem“.¹⁾

On to więc, wśród ogólnego zamieszania, gdy wszyscy potracili głowy a sam Namiestnik, rozkazami z Petersburga przygnębiony, nie wiedział co właściwie robić należało, zaczął przedstawiać Gorczakowowi, że nie dość siłą przywrócić pozorny spokój, lecz wypada koniecznie zaprowadzić także w kraju pewne reformy, zgodnie z zamiarami, jakie cesarz od początku swego panowania objawiał.

Tu położył nacisk szczególny na reformę szkół, podniósł potrzebę wskrzeszenia uniwersytetu, utworzenia Rady Stanu, w kształcie właściwym, wreszcie zaprowadzenie rad gubernialnych, powiatowych i miejskich z wyboru i mianowanie katolika dyrektorem komisji wyznań.

Myśl Enocha, a zwłaszcza sposób jej motywowania, podobały się Namiestnikowi.

Sądził on, że, jeżeli rząd wstąpi na tę drogę i równocześnie użyje surowych środków dla stłumienia rewolucyjnej agitacyi, to będzie można kraj uspokoić, słuszne żądania Polaków zadowolnić i położyć koniec tym nieznośnym stosunkom jakie od dłuższego czasu już panowały w Warszawie i tam nad Nową uzasadnione budziły obawy.

Nie zwlekając więc długo, bo nie było czasu do stracenia, zawezwał natychmiast do Zamku sekretarza Stanu przy Radzie Administracyjnej Królestwa, Karnickiego i polecił mu aby bezzwłocznie udał się do Petersburga i przedstawił cesarzowi dokładnie położenie kraju, jakoteż środki, które on, Namiestnik, uważa za stosowne i konieczne dla uspokojenia Królestwa.

Jakoż Karnicki jeszcze w nocy z 2. na 3. marca puścił się w daleką podróż na północ, wioząc w zanadrzu list Gorczakowa do cesarza i ogólne instrukcje Wielkorządcy. Równocześnie zaś w drodze telegraficznej prosił Namiestnik o wstrzymanie dawniejszych rozkazów aż do audyencyi Karnickiego.

Karnicki, przybywszy do Petersburga, wykonał ściśle zlecenia Namiestnika, zdał cesarzowi sprawę z tego co się w Królestwie dzieje i przedstawił potrzebę wprowadzenia odpowiednich reform, nie wychodzących jednak wcale poza ramy Statutu organicznego z roku 1832.

Skutek był nadspodziewanie pomyślny. Dnia 8. marca na radzie tajnej postanowiono zasadniczo reformy wprowadzić i poruczono ułożenie dotyczącego projektu Sekretarzowi Stanu Tymowskiemu i jego pomocnikowi Płato-

¹⁾ Zapiski o polskiem powstaniu 1863—1864 roku. Kraków 1898, tom I., str. 192.

nowowi wraz z Karnickim. Romuald Hube miał ponadto opracować memoriały o reformie szkolnej i o założeniu uniwersytetu w Warszawie.

Tymczasem w kraju szły rzeczy dalej zwykłym trybem.

Dnia 3. marca zawezwał Gorczakow do Zamku Andrzeja Zamoyskiego, i Aleksandra Ostrowskiego, aby im podziękować za utrzymanie porządku w mieście.

Równocześnie zjawili się także członkowie Delegacyi, w celu zdania sprawy Namiestnikowi z pogrzebu.

Książę przyjął ich bardzo grzecznie, dziękował podobnie jak reprezentantom szlachty, dodał w końcu, że mogą już powrócić do swoich zajęć, bo odtąd nad bezpieczeństwem publicznem będzie czuwać policya i wyraził nadzieję, że wpływu swojego nie przestaną używać dalej na uspokojenie umysłów. Gdy jednak Szlenkier odezwał się z obawą, że rozwiązanie Delegacyi może wywołać nowe zaburzenia, zachwiał się Namiestnik w swoim postanowieniu i zezwolił, aby Delegacya, wzmocniona przybraniem nowych członków, pełniła dalej dotychczasowe swoje obowiązki pod przewodnictwem generała Paulucci. To ustępstwo, jak przyszłość okazała, w skutkach szkodliwe, wynikało nie tyle z słabości co z przeświadczenia, że teraz, po wysłaniu Karnickiego, należy unikać wszelkich zatargów i utrzymać bądź jak bądź, spokój w kraju, gdyż inaczej akcyja rozpoczęta, trudna sama przez się, żadnego nie odniesie skutku, zwłaszcza że cesarz do udzielenia jakichkolwiek koncesyi skłonny nie był, lecz zamierzał raczej stłumić niepokoje siłą i wysyłał w tym celu do Królestwa drugą dywizyę piechoty, brygadę huzarów i z nad Donu 4 pułki Kozaków.

Że Gorczakow o tem usposobieniu najwyższych sfer w Petersburgu musiał być dobrze poinformowanym, to zdaje się najmniejszej nie ulegać wątpliwości i tem tłumaczy się jego zachowanie w sprawie Delegacyi, niepolityczne, na pozór chwiejne, płynące jednak z życzliwości dla kraju, może i z szlachetnej ambicyi dokonania rzeczy wielkiej, zagojenia rany ropiącej się ciągle na ciele Rosyi, zapełnienia przepaści, która od wieków dzieliła dwa narody, z największą dla nich obu szkodą a z korzyścią dla sąsiadów.

Myślą tą natchnęły go zapewne przedstawienia Enocha, ale raz chwyciwszy się tego, co mu zręcznie poddano, siedł w wskazanym kierunku z rzadką u dygnitarzy rosyjskich wytrwałością, zamierzał nawet, oprócz Karnickiego, wysłać do Petersburga osobną deputacyę dla poparcia sprawy, a ustąpił jedynie przed wyraźną wolą cesarza, który stanowczo projekt deputacyi odrzucił.

Spółeczeństwo polskie nie zdawało sobie sprawy z tego dziwnego a jednak pomyślnego położenia. Upojone łatwem i niespodziewanem zwycięstwem, korzystało ono z krótkotrwałej swobody nierozważnie i niepolitycznie.

Delegacya pomnożona do 24 członków, rozpoczęła swoje działanie od uroczystego pochodu z resursy do ratusza, przypominając żywo przesiedlenie Rządu Narodowego podczas listopadowej rewolucyi z gmachu Bankowego

Ceremonia odbyła się w sposób ostentacyjny. Na czele postępował generał Jakób Lewiński, za nim ks. Wyszyński z starszym rabinem Mayselsem pod rękę, dalej ks. Stecki z bankierem Rosenem. Tłumnie zebrana publiczność witała oklaskami i okrzykiem tę dawno niewidzianą reprezentacyę narodową, rozczulała się na widok braterstwa wyznań i stanów, wierzyła

w przyszłość jasną, promienną, zdobytą poświęceniem i krwią ofiar ludowych. Delegacja ustanowiona „dla utrzymania porządku i bezpieczeństwa publicznego” rozszerzyła natychmiast zakres swojego działania, zajęła się bowiem losem więźniów politycznych i, pozyskawszy znaczne w tym względzie od Namiestnika ustępstwa, przystąpiła do właściwych czynności.

Całe miasto podzielono na 36 ogręgów; ustanowiono w każdym z nich dziesiętnika lub setnika, który miał władzę nad konstablami; naczelnikiem tej straży bezpieczeństwa został kupiec Jan Kwiatkowski.

Konstablów wybierano z pomiędzy obywateli, ale głównie z pomiędzy młodzieży akademickiej. Każdy z nich miał kartę z liczbą bieżącą, nazwiskiem i pieczęcią, wyrażającą ściskające się ręce.

Skutek tej organizacji był dwojaki. W mieście zapanował ład i porządek; znikli złodzieje i pijacy; ludność okazywała dla straży szacunek, posłuszeństwo i nieograniczone niemal zaufanie. Wszelkie spory i nieporozumienia oddawano pod sąd konstablów i przyjmowano bez szemrania ich rozmaite wyroki i rozkazy.

Był to objaw wprawdzie pocieszający, ale bądź jak bądź nienaturalny, bo wypływał z ogólnego nastroju, z rozbudzenia uczucia narodowego, które, przenikając do warstw najniższych podnosiło je i umoralniało chwilowo, chociaż natury ludzkiej nagle zmienić i z gruntu naprawić nie mogło, zwłaszcza, że rozpolitykowanie i gorączkowe usposobienie społeczeństwa przeszkadzały wszelkiej pracy organicznej.

Bezustanne manifestacje, w których brała żywy udział szczególnie warstwa rękodzielnicza, odciągały ją od zajęć zawodowych, przyzwyczajały do próżnowania i odbierały możliwość zarobku.

Nędza wśród ludności Warszawskiej była też ogólna. Komitet utworzony pod przewodnictwem ks. Wyszyńskiego w celu zbierania składek na pomnik dla ofiar lutowych, rozdał z ogólnej sumy 260000 złp., 160000 złp. na wsparcia i zapomogi,¹⁾ oczywiście nie wystarczające.

Analogiczne stosunki panowały także wśród młodzieży. Zajęta urządzaniem manifestacji i obchodów, podzielona na stronnictwa polityczne, koła i kółka o rozmaitej barwie, nie miała ona czasu do nauki i kształcenia się.

„Codziennie — tak opowiada uczestnik ówczesnego ruchu²⁾ — prócz schadzek w Resursie, były zebrania akademickie w Amfiteatrze anatomicznym, na których wybrany większością głosów komitet wykonawczy przewodniczył dyskusjom wywołanym bieżącymi wypadkami... Na tych to zebraniach, na które, w chwilach ważniejszych, wzywani byli i deputowani ze Szkoły Sztuk Pięknych, roztrząsano potrzebę dalszych manifestacji, propozycje, jakie nasz deputat miał podać Delegacyi i t. p. Każden akademik miał głos wolny w obradach; decydowano większością głosów, lubo w nagłych razach zostawiano Komitetowi prawo decyzji“.

Głównem ogniskiem tego gorączkowego życia była Resursa.

Tam po odbytem w ratuszu posiedzeniu przychodzili członkowie Delegacyi, aby zdać sprawę z swoich czynności. Rozpoczynala się natychmiast dyskusya, zazwyczaj gorąca i bezładna, w której jak zwykle w takich warunkach bywa, żądania najdalej sięgające, mowy najjaskrawsze i najradykałniej-sze największe miały powodzenie.

¹⁾ Zeznania Majewskiego.

²⁾ Daniłowski, str. 40.

Stanowisko Delegacyi stawało się skutkiem tego niezmiernie trudnem i drażliwem.

Złożona z ludzi umiarkowanych, w gruncie bezsilna, bo zawisała od dobrej woli władz rządowych a równocześnie parta przez żywioły gorące do jakiegoś bliżej nieokreślonego działania, była ona na przemiany raz białą to znów czerwoną, podejmowała sprawy popularne, jak n. p. kwestyą więźniów politycznych, domagała się reform w administracyi i zarządzie miasta, ale tem lawirowaniem na dwie strony nie mogła nikogo zadowolnić ani też co gorsza, uspokoić wzburzonych umysłów i powstrzymać od manifestacyi.

Codzień zbierały się teraz tłumy ludu przed statuiami Matki Boskiej, śpiewając „Boże coś Polskę“ i Z dymem pożarów“, po ulicach snuła się młodzież, przybrana w czamarki i różnokolorowe konfederatki, wśród publiczności krążyły tysiące fotografii poległych i medale z wyobrażeniem Matki Boskiej Częstochowskiej na jednej z złamanym krzyżem i napisem „Ratuj Ojczyznę“ na drugiej stronie, w kraju zaczęto wznosić na pamiątkę dni lutowych krzyże lub sypać kopce starym obyczajem słowiańskim.

Tym oznakom żalu i uczuć patryotycznych towarzyszyły nabożeństwa żałobne. Pierwsze z nich odprawiono bardzo uroczysto w oktawę pogrzebu pięciu ofiar, w katedrze św. Jana w Warszawie, w kościele św. Krzyża i u Reformatorów a za tym przykładem poszły dalsze w całym kraju, we wszystkich zaborach, nawet w Petersburgu i w Moskwie, gdzie studenci rosyjscy razem z polskimi, brali udział w manifestacyi i w odśpiewaniu hymnu „Boże coś Polskę“.

Podobnie, na wzór Warszawy zaczęto po miastach prowincjonalnych tworzyć Delegacye, które szukały porozumienia z Delegacyą stołeczną i zupełnie niepotrzebnie, jak n. p. w Lublinie wchodziły w zatargi z władzami.

Wszystko to burzyło i podniecało coraz bardziej umysły i ułatwiała działanie rewolucyjnej agitacyi głów zapalonych, zwłaszcza zwolenników Mierosławskiego, którzy na zebraniach swoich w Tiwoli, naprzeciw Zielonego placu, wyrzekali głośno na ślamazarność Delegacyi.

Według ich mniemania należało skorzystać z obecnej słabości caratu, z tej władzy, jaką rząd niebacznie oddał w ręce polskie, z obudzenia się ducha narodowego wśród mas szerokich i z oburzenia, wywołanego wypadkami lutowymi, chwycić za oręż i od jednego zamachu skruszyć kajdany, któremi zakutą Polskę przemoc i intryga. Na razie były to tylko głosy odosobnione i rojenia niepoprawnych marzycieli, bo większość młodzieży, pod wodzą Karola Majewskiego, popierała gorliwie Delegacyę, ale niebawem i ten stosunek, jako tako korzystny, miał ulec zmianie.

Dnia 12. marca nadeszła wreszcie z Petersburga tak długo i niecierpliwie oczekiwana odpowiedź na adres wręczony Namiestnikowi. Była ona stanowczo odmowna, szorstka i pełna lekceważenia.

Cesarz oświadczał tam, że „petycyę, podpisaną przez garstkę indywiduów (quelques individus) powinienby właściwie uważać za żadną i niebyłą“. Mimo to chce widzieć wniej tylko uniesienie.

„Poddani moi w Królestwie — tak ciągnął dalej — są przedmiotem mojej troskliwości. Wszystko, co może zapewnić ich pomyślność, nie znajduje i nie znajdzie mnie obojętnym. Dałem im już dowody, że pragnę, aby brali udział w dobrodziejstwach z ulepszeń użytecznych, istotnych, postępowych. Pozostają przy tych samych zamiarach i uczuciach. Mam prawo liczyć

na to, że uczucia te znajdują uznanie i nie będą zwichnięte przez żądania niewczesne lub przesadzone, których nie mógłbym pogodzić z dobrem moich poddanych. Dopełnię wszystkich moich obowiązków. W żadnym razie nieporządkom faktycznym pobiżać nie będę. Na takim gruncie nic się nie buduje. Pragnienia, któreby w nim szukały oparcia, już tem samem z góry sameby się potępiły“.

Odpowiedź w gruncie rzeczy nie była odmowną; na ogólnikowe żądania w adresie dawała równie ogólnikowe obietnice, potępiając przy tem manifestacye, których żadna władza na świecie pochwałać nie może. Raził w niej jednak ton pogardliwy, nazwanie wybitnych i poważnych w kraju osobistości „garstką indywiduów“, co zresztą niezgodnem było z prawdą, bo obok tej „garstki“, podpisało adres kilkanaście tysięcy poważnych obywateli, przedstawiających całe inteligentne społeczeństwo.

Łatwo zatem zrozumieć, że kiedy Gorczakow w dniu 13. marca, w południe, wezwał do siebie arcybiskupa Fijałkowskiego, Andrzeja hr. Zamoyckiego, Władysława hr. Małachowskiego, Leopolda Kronenberga i Szlenkiera i odczytał im odpowiedź cesarską a zarazem uwiadomił ich o „łaskach jakich cesarz udzielić raczył“, o zaprowadzeniu Rady stanu, Rad municypalnych, jako też o zamierzonej reformie wychowania publicznego, wszyscy oni przyjęli te obietnice chłodno i z niezadowoleniem.

Skąpe ustępstwa wydały im się w obec wygórowanych nadziei społeczeństwa, niedostateczne a pogardliwe wyrażenia w odpowiedzi uważali za obrazę wyrządzono całemu narodowi, w czem słuszność mieli zupełną. Sądził zatem, że odpowiedź jeżeli będzie ogłoszona, nie tylko nie uspokoi umysłów ale wywoła jeszcze większe wzburzenie i nalegali na Namiestnika, aby reskryptu cesarskiego nie publikował wcale.

Gorczakow, po pewnym namyśle, przychylił się do tego żądania i telegraficznie wystosował prośbę do cesarza o wstrzymanie druku odpowiedzi przynajmniej na dni kilka, w tem zapewne mniemaniu, że gdy tymczasem nadejdą dokładniejsze wiadomości o przyobiecanych reformach i zostaną ogłoszone w dziennikach, zatrą one i osłabiać przykre wrażenie cesarskiego reskryptu.

Ale w Petersburgu nie pojmowano wcale tych skrupułów Namiestnika, ani też nie uważano za potrzebne liczyć się z drażliwością narodu podbitego i systematycznie poniewieranego, nie mogła na to pozwolić дума carska i idea samodzierżawia, stanowiąca podstawę państwa rosyjskiego od początku aż do dni dzisiejszych.

Na prośbę Gorczakowa odpowiedział cesarz krótko: „Żądam (trebuju), żeby reskrypt natychmiast był wydrukowany w gazetach“.

Przestraszony Namiestnik wykonał oczywiście wolę cesarską, bez względu na przyrzeczenie, dane delegatom polskim i na skutki, jakie ogłoszenie odpowiedzi monarszej wywołać musiało.

Okazały się one już na posiedzeniu Delegacyi w dniu 13. marca, kiedy po sprawozdaniu Szlenkiera o audyencji u Gorczakowa i o zamierzonych reformach zapadła, niewyraźna, co prawda, uchwała o rozwiązaniu Delegacyi, której mandat „udzielony doraźnie i czasowo ustaje“.

Przedwczesne to postanowienie nie zostało jednak wykonane. Wieczorne zebranie w resursie oświadczyło się przeciw rozwiązaniu Delegacyi i w dniu 15. marca rozpoczęła ona znowu swoje posiedzenia w ratuszu od złożenia



WOJSKO POLSKIE. Ostatnia praca WALEREGO ELJASZA.

deklaracyi, w której tłumaczy, że pełnić będzie dalej swoje obowiązki na wyraźne życzenie opinii publicznej, że jednak w obec silnego wzruszenia umysłów jakie teraz na nowo się objawiło, uważa za konieczne, aby zapowiedziane poufnie reformy jak najprędzej ogłoszonymi były i w wykonanie wprowadzone zostały i uprasza generała Paulucci o przedstawienie tego żądania Namiestnikowi.

Chwiejna taktyka Delegacyi wywołała niesłychane w kołach czerwieńców oburzenie. Nie mieli oni jeszcze wtedy ani organizacyi, ani siły dostatecznej, ani ludzi do politycznego działania uzdolnionych, ani celu, jasno



[Nr. 28. Organizacya Białostocka z Gustawem Szwarce na czele.
(Ze zbioru p. Jarosława Pieniążka).

wytkniętego, tworzyli frakcyę nieliczną, na publicznych zebraniach akademickich odczytywali mowy, nawołujące do rewolucyi i do tworzenia organizacyi czysto narodowej, wołali, że Delegacya powinna ogłosić się nieustającą i objąć naczelne kierownictwo ruchu, naśladować wzory wielkiej rewolucyi francuskiej, ale nieznajdywali posłuchu u większości młodzieży, która wiernie służyła Delegacyi i do niewczesnych porywów wcale skłonną nie była.

W chwili obecnej atoli, gdy reskrypt cesarski oburzył nawet umiarkowanych, zdawało się tym zapaleńcom, że przyszedł czas odpowiedni do wykonania szalonych zamiarów.

Rolę przewodnią wziął na siebie znany nam już Karol Nowakowski, świeżo za staraniem Delegacyi z więzienia uwolniony, żarliwy patriota, przodujący wszystkim manifestacyom, w gruncie poczciwy, ale jak przeważna większość młodzieży ówczesnej, politycznie niedojrzały. Z pomocą swego kolegi, Stanisława Szachowskiego, głowy równie szalonej jak nierozważnej, zebrał on w niedzielę dnia 17. marca gromadę studentów i rzemieślników i wpadł z nimi do sali resursy z okrzykiem: precz z zdrajcami! Bij, zabij zdrajców!

Wśród ogólnego przerażenia, gdy Jakób Piotrowski i Trzetrzewiński napróżno starali się ułagodzić napastników, wystąpił w końcu Karol Ruprecht, niegdyś na śmierć skazany i pod szubienicą ułaskawiony i przemawiając w sposób łagodny a przekonujący uśmierzył całą awanturę. Nowakowski pierwszy, wzruszony do łez jego argumentacją rzucił się na szyję Ruprechtowi i wśród okrzyków: „Niech żyje Delegacya! Niech żyją Konstale“! opuścił z towarzyszami resursę.

Tak skończył się ów napad na „moralny Rząd polski“, karykatura podobnej sceny z czasów powstania listopadowego, gdy za przewodem Maurycego Mochnackiego deputacya ludu wtargnęła do sali Rządu Tymczasowego z słusznem zresztą żądaniem rozbrojenia gwardyi rosyjskich i zatrzymania Carewicza.

Ale gdy wtedy rząd, rozporządzający 30 tysięczną armią mógł i powinien był śmiały projekt Mochnackiego wykonać, tu chyba szaleniec taki jak Jeske wierzył w możność zdobycia cytadeli „pięściami“!

Jakkolwiek cała awantura skończyła się spokojnie, to jednak Gorczakow, uwiadomiony o napadzie, wydał rozporządzenie, zabraniające publicznych zgromadzeń w resursie; zaprowadził jeszcze w wilię najścia na Delegacyę rozmaite obostrzenia policyjne, rzekomo z powodu działania agitatorów, podniecających ludność do zaburzeń, nie pozwolił nadal na używanie odznak zewnętrznych, jakie nosiła dotychczas straż obywatelska.

Delegacya napastowana przez czerwieńców a ograniczona w czynnościach swoich ze strony władz rządowych, podejrzywana stąd i z owąd, usiłowała odzyskać zachwianą cokolwiek popularność i znaczenie w inny sposób.

Upominała się więc wytrwale o zreformowanie zarządu miejskiego w duchu autonomicznym i uczyniła krok ważny w sprawie równouprawnienia Żydów.

Sprawa żydowska przechodziła u nas w tym okresie rozmaite koleje.

W roku 1859 powstała, wskutek artykułów *Gazety Warszawskiej* skierowanych przeciw Żydom, gwałtowna burza, której ofiarą padł Józef Ohryzko za umieszczenie w *petersburskiem Słowie* zjadliwych uwag Lesznowskiego o Żydach. W obronie Żydów wystąpił Kronenberg, nie tyle z sympatyi dla swoich dawniejszych współwyznawców, co z głębokiego przekonania, że taka waśń społeczna jest dla kraju i sprawy narodowej szkodliwą.

Za jego staraniem i za wpływem Enocha zakazała też cenzura warszawska dalszej polemiki a, Kronenberg, uzyskawszy koncesyę na wydawanie *Gazety Codziennej* sprowadził do Warszawy Kraszewskiego na głównego redaktora nowego dziennika.

Głośne imię znakomitego pisarza, dobór artykułów i kierunek dziennika umiarkowany zapewniły *Gazecie* niezwykle w naszych stosunkach powo-

dzenie tak dalece, że w krótkim czasie rozchodziła się ona po kraju w liczbie około 6000 egzemplarzy.

Tymczasem nastał okres manifestacyjny. Żydzi wzięli w nim czynny udział; widziano ich na ulicy, wśród tłumów, opowiadano sobie wiele o ich odwadze i poświęceniu. Rabini, Kramsztyk i Maysels miewali w bożnicach patryotyczne mowy.

Te niezwykle dotąd objawy wśród narodu obojętnego na losy kraju i mającego tylko zysk i korzyść własną na celu, obudziły w społeczeństwie polskim, nieznane przedtem sympaty.

Znając dobrze wpływy, spryt [wrodzony i potęgę finansową Żydów, widziano w nich] pożądaných sprzymierzeńców w walce z rządem o prawa narodowe.

Najbystrzejsi ludzie byli przekonani, że skoro Żydzi łączą się z ruchem, to powodzenie jego jest zapewnione.

Kraszewski mówił do delegatów młodzieży polskiej: „wierzę w powodzenie obecnych zachodów, gdyż Żydzi w to wierzą, a oni pewno coś przewąchali. Oni wszystko wiedzą, wszystko przeczuwają“.¹⁾

Dobrze zrozumiany interes kraju, liberalne usposobienie ówczesnego społeczeństwa i owa znana tolerancja polska, która w najświetniejszych czasach Rzeczypospolitej wszystkim wyznaniom swobodnie krzewić się pozwalała, ułatwiały w wysokim stopniu ten cały proces asymilacyjny, mający na celu równouprawnienie Żydów.

Skłonność ku temu była z obu stron wielka, cokolwiek nawet nienaturalna. Przesadzano się w objawach wzajemnego braterstwa i miłości.

Żydzi ofiarowali do kościoła O. O. Bernardynów krzyż w miejsce zła-manego podczas demonstracji; chrześcijanie i katolicy zakupili na odwrót ze składek świecznik pamiątkowy siedmioramienny do synagogi żydowskiej.

Nawet Gazeta Warszawska, tak wroga jeszcze niedawno Żydom, pisała z zapalem o „tej pięknej zamianie pamiątek“ a Kurjer Warszawski proponował, aby żydowskie nazwiska niemieckie przekształcić na polskie. Było w tem sporo złudzenia, bo ciemna masa żydowska, zajęta zyskiem i handlem, nie pojmowała doniosłości ruchu, nie brała w nim udziału a z nastaniem reakcyi stała się jednym z czynników rusyfikacyjnych. Asymilacyi uległa tylko garść jednostek szlachetniejszych, odznaczających się inteligencyą i prawdziwym uczuciem patryotycznym.

W tej chwili jednak nikt tego nie przewidywał i przewidywać nie mógł.

Wierzono niezachwianie w możność zupełnego spolszczenia Żydów, w cudowną moc popularnych haseł braterstwa i miłości, w potęgę uczucia które było głównym czynnikiem całego ówczesnego ruchu.

W tej myśli też oświadczył Szlenkier jako Starszy zgromadzenia kupców, na posiedzeniu Delegacyi w dniu 18. marca, że na jego wniosek kupcy Warszawscy postanowili zaprowadzoną w roku 1817 w Zgromadzeniu i dotąd utrzymywaną podwójną listę kupców t. j. jedną kupców chrześcian, drugą starozakonnych zlać w jedno, a to dla dania jawnego i głośnego objawu tolerancji dla wyznawców religii Mojżeszowej, którzy okazali żywe sympaty dla sprawy ogólnej w ostatnich wydarzeniach kraju, co Zgromadzenie kupieckie, osądziwszy sprawiedliwość wniosku, w zupełności przyjęło.

¹⁾ Zapiski Berga, I. 117.

Uchwała gremium kupieckiego miała być według zdania Szlenkiera podana do publicznej wiadomości w dziennikach, aby służyła za przykład innym warstwom społecznym.

Delegacya przyjęła sprawozdanie Szlenkiera z radością i współczuciem i postanowiła wniosek jego popierać wszelkimi środkami, jakie od niej zależą.¹⁾

Zaledwie jednak uchwałę tę powzięto i rozpoczęły się zabiegi około przyjęcia żydowskich rękodzielników do cechów chrześcijańskich, kiedy nagle zjawiła się na porządku dziennym kwestya włościańska.

Wiadomo jakie w tym względzie zapadły postanowienia na walnem zebraniu Towarzystwa Rolniczego i jak po długich rozprawach przyjęto tam wniosek Tomasza Potockiego o uwłaszczeniu. Wszystko zależało teraz od spiesznego o ile możności i rozumnego wykonania uchwały.

Trudny ten, w obec podejrzliwości i złej woli władz rządowych, obowiązek, ciężył niewątpliwie na Towarzystwie.

Jakoż w dniu 3. marca wydał Komitet odezwę do ogółu członków, w której zalecał „jednoczesność i pospiech w oczynszowaniu włościan“, ale o uwłaszczeniu nie wspominał wcale, zaś w memoryale do korespondentów rozesłanym w dniu 12. marca, żądał nawet, aby wiadomość o możliwości skupu czynszów w kontrakcie każdym ustanowionych oględnie prawie przed włościanami ukrywać.²⁾

Była to nietylko „reakcyja doktryn Zamoyskiego przeciw przewadze, jaką uzyskały ideje Potockiego“, ale wyraz opinii zamożniejszego ziemiaństwa, którą dzielali ludzie na przeciwnych stojący biegunach, z jednej strony pan Andrzej a z drugiej Wielopolski.

Słusznie czy nie słusznie, bo otem stanowczego zdania wypowiedzieć niepodobna, sądzili oni, że w obec ówczesnej ciemnoty ludu, nagle doprowadzenie chłopów do własności będzie w skutkach raczej szkodliwem niż pożytecznem.

Ale wśród mas włościańskich niejasne wieści o zamierzonej reformie obudziły już tak daleko sięgające nadzieje że projekt oczynszowania chłopów bynajmniej zadowolnić nie mógł. Ponadto władze rządowe, z obawy, aby pomyslnie rozwiązanie kwestyi włościańskiej nie przywróciło harmonii społecznej i nie zagoiło rany ropiącej na ciele polskiem dokładały wszelkich starań do podniecenia nieufności pomiędzy ludem a szlachtą. Zaczęli więc krążyć po wsiach agitatorzy rozmaitego rodzaju, żebracy, kryminaliści i dymisyonowani żołnierze, rozsiewając najpotworniejsze wieści. Jedni podburzali wprost do nieposłuszeństwa przeciw panom, drudzy twierdzili nawet, że „cesarz płaci za każdego zabitego szlachcica po 25 rs., chłopu, który to uczyni“, inni opowiadali że panowie modlą się o przywróceniu pańszczyzny, że po kościołach śpiewają nie „Ojczyznę, wolność“ lecz „Pańszczyznę racz nam zwrócić Panie“.

Podziemną tę robotę, prowadzoną według Metternichowskiego systemu, przypisywano powszechnie Muchanowowi, który jako „genialny intrygant, fałszywy i lichy człowiek“, wyniesiony przez Górczakowa do najwyższych w kraju godności, nie wahał się używać najnikczemniejszych nawet środków dla pogwałcenia narodowości polskiej i własnej korzyści.

¹⁾ Według protokołu posiedzeń Delegacyi u Przyborowskiego, tom II., str. 511.

²⁾ Grabski. Historia Towarzystwa Rolniczego, tom II., str. 357.

Człowiek dwulicowy, kokietujący z Polakami i równocześnie starający się o łaski rządu, niechętnie widziany i nielubiany przez Rosyan, pragnął on przez niecenienie nienawiści klasowej sparaliżować ruch narodowy w Królestwie i zjednać sobie względy władz zakłopotanych i przerażonych manifestacyami.

Pierwszym środkiem wiodącym do celu była owa pokątna wspomniana już agitacya, drugim tajny okólnik, rozesłany przez Muchanowa, jako Dyrektora Komisji spraw wewnętrznych, w dniu 17. marca do wszystkich gubernatorów wraz z zaleceniem, aby go podali do wiadomości wszystkim burmistrzom i sołtysom pomijając jednak wójtów wiejskich, których wybierano przeważnie z pomiędzy szlachty. W okólniku nakazywano władzom miejscowym mieć szczególniejszą baczność nad podróznymi, cudzoziemcami i wracającymi z zagranicy i wyjaśniać chłopom, że „rząd, starając się szczególnie o ich dobro, oczekuje iż oni nie tylko nie będą słuchali poduszczeń do nieporządków, ale nawet dla zachowania ogólnego porządku, każdego, któryby, się pojawił między nimi poduszczającego burzyciela, będą zatrzymywali i odstawiali do najbliższej władzy“.

Powyższy cyrkularz nie był wprawdzie rzeczą nową. Wydano go po raz pierwszy w roku 1846 z powodu wypadków galicyjskich, powtarzano czterokrotnie później, ale wśród warunków zgoła odmiennych.

Dziś miał on znaczenie o wiele donioślejsze a cel w jakim owe rozkazy wystosowano nie ulega chyba najmniejszej wątpliwości. Nie był to więc bynajmniej szablon biurokratyczny, jak usiłuje przedstawić rzecz Berg,¹⁾ lecz dobrze obmyślany środek pozyskania ludu wiejskiego i snadnego stłumienia wszelkich „nieporządków“ w kraju kołami i kłonicami łatwowiernego i obalamuczonego chłopstwa, groźba pod adresem szlachty i inteligencji, zapowiadająca z góry, że rząd w razie potrzeby gotów jest strumieniami krwi ugasić tlejące zarzewie pożaru.

To też łatwo sobie wyobrazić i zrozumieć oburzenie jakie cyrkularz wywołał. Cywilny gubernator Warszawski, Łaszczyński, nie tylko zakomunikował Delegacyi sam dokument, ale nadto odmówił wykonania zawartych w nim rozkazów, oświadczając że raczej woli się podać do dymisji. Podobnie i gubernatorowie prowincjonalni, których o sprzyjanie ruchowi nie można było posądzić, jak Opperman w Radomiu i Mackiewicz w Lublinie, zdziwieni nie pomału treścią okólnika, zażądali instrukcyi co do sposobu wykonania i intencji rządu a Delegacya, na posiedzeniu w dniu 20. marca zwróciła się z prośbą do Namiestnika, aby użył właściwych środków w celu uspokojenia i przywrócenia zaufania powyższem rozporządzeniem Muchanowskiem wstrząśnionego.

Gorczakow, który o wydaniu okólnika może dopiero teraz się dowiedział, bo w znanem roztargnieniu swoim podpisywał często przedłożone sobie akty, nieczytając ich wcale, starał się najpierw wytłumaczyć Delegacyi, że cyrkularz niema takiego znaczenia, jak ogólnie sądzą, że wójtów gmin opuszczono, tylko przez pomyłkę a w końcu oświadczył iż oprócz zapowiedzianych reform, których ogłoszenie lada dzień może być spodziewanem, zajdą wkrótce zmiany które zadowolnią opinię publiczną, okólnikiem zaniepokojoną.

Cóż zatem stało się z reformami?

¹⁾ L. c., tom I., str. 243.

Po odjeździe Karnickiego, Gorczakow, jak zwykle niezdecydowany i trapiiony obawą rewolucyi, zwołał dnia 3. marca do Zamku na naradę kilka osób zaufanych a pomiędzy nimi także i Enocha.

Zaczęto tam rozważać sprawę reform i zgodzono się na utworzenie Komisji Wyznań i Oświaty z Polakiem na czele. Zachodziła jedna tylko wątpliwość co do wyboru człowieka, któryby w czasach tak burzliwych chciał i mógł zająć stanowisko bardzo ważne i niezmiernie trudne.

Enoch podał dwóch kandydatów: Tomasza Potockiego i Aleksandra Wielopolskiego. Co do pierwszego sądził, że z powodu kalectwa z ran odniesionych i złego stanu zdrowia byłby on mniej odpowiednim, podniósł natomiast wysoko zdolności i energię drugiego.

Namiestnik, który Wielopolskiego wcale nie znał, zażądał bliższych wyjaśnień.

Enoch więc opowiadał, że Margrabia jest człowiekiem obszernej wiedzy, prawnikiem, mowcą, dyplomata, szczerze oddanym Rosyi, że z stronnictwem czerwonym ani z emigracją nie tylko nie utrzymuje stosunków ale stanowczo potępia wszelkie działania, zmierzające do rewolucyi, i że zatem niema najmniejszej obawy, aby na stanowisku wpływem mógł być niebezpiecznym. Na dowód, że to co mówi jest prawdą przedłożył Gorczakowowi „List szlachcica polskiego do Metternicha“ i w tłumaczeniu ustępy z „Biblioteki ordynacyi Myszkowskich“ odnoszące się do tej broszury.

Gorczakow słuchał wywodów Enocha uważnie, odczytał list w raz z dodatkami a przypomniawszy sobie ponadto, że własna jego córka, wydana za Pankratjewą i sąsiadująca z Wielopolskim opowiadała mu wiele o rozumie i zdolnościach Margrabiego, powziął o nim jak najlepsze wyobrażenie i upoważnił Enocha do układów z Pińczowskim ordynatem.

Enoch, nie zwlekając, zawezwał natychmiast Wielopolskiego do Warszawy, gdzie przedstawiony Namiestnikowi, zgodził się w zasadzie na wstąpienie do służby rządowej, jednak pod warunkami, które miano wspólnie ułożyć.

Na Namiestniku sprawiła postawa, rozum i wzięcie Margrabiego ogółem jak najlepsze wrażenie. Był zachwycony tym „mężem stanu w całym znaczeniu tego słowa“, zaprosił go na mieszkanie do Zamku i rozpoczął z nim układy. Szły one twardo, bo Wielopolski sięgał w żądaniach swoich bardzo daleko, poza statut organiczny, aż do Konstytucyi z roku 1815, którą chciał przywrócić z pewnemi tylko ograniczeniami, t. j. bez wojska polskiego, bez Sejmu i bez koronacyi Króla w Warszawie.

Na tak radykalne zmiany nie mógł się oczywiście zgodzić Namiestnik, jak z drugiej znowu strony i Wielopolski nie był skłonny do ustępstw.

Po całotygodniowym targu ułożono wreszcie dnia 14. marca program reform następujący:

1. Ustanowienie Komisji Wyznań i Oświecenia publicznego z powierzeniem jej dyrektorstwa Wielopolskiemu.
2. Przywrócenie uniwersytetu.
3. Zniesienie Komisji Kodyfikacyjnej w Petersburgu.
4. Zniesienie urzędu Marszałków szlachty, jako nieodpowiedniej i przestarzałej w dzisiejszych stosunkach.
5. Utworzenie ciał reprezentacyjnych: a) Rady Senatorskiej, b) Rady Wolnej, c) Rad obywatelskich wojewódzkich, d) zgromadzeń okręgowych

i gminnych, e) Rady municypalnej w Warszawie, które miały być zwołane już w roku 1861.

6. Przywrócenie podziału kraju na osiem województw.

7. Rozwiązanie Towarzystwa Rolniczego i ustanowienie na jego miejsce komicyów rolniczych po województwach.

8. Zniesienie departamentów warszawskich senatu i ustanowienie w ich miejsce dwóch izb: cywilnej i kryminalnej sądu najwyższego z prezesem, mającym tytuł podkanclerzego.

9. Ustanowienie Rady Stanu, jako wyższej instancji administracyjnej, której podlegać będą dyrektorowie Komisji.

10. Nadanie nowym instytucjom pieczęci z herbem królestwa i mundurów o barwach narodowych.

Pomimo, że był to program bardzo obszernej autonomii, przywracający, jak już wspomniano, w cokolwiek zmodyfikowanym kształcie, urządzenia konstytucyjne z czasów przed powstaniem listopadowym, to jednak Namiestnik przyjął go w całości, z mało znaczącymi uwagami, które istotnej treści nie zmieniały wcale.

Pomiędzy innemi sprzeciwiał on się nazwie wznowionego uniwersytetu, jako „Cesarsko-Aleksandryjskiego“, co uwzględniając Wielopolski zaproponował natomiast tytuł Szkoła Główna, używany dawniej za czasów polskich, w epoce przedrozbiorowej.

Skończywszy tę mozolną pracę wyjechał Wielopolski dnia 16. marca do Krakowa a w pięć dni później powiolił urzędnik Włodzimierz Kretkowski, wysłany przez Namiestnika cały operat do Petersburga, z zaleceniem, aby się starał o przyjęcie reform przed Wielką Środą, bo w tym dniu ma się odbyć jakaś wielka manifestacja, której będzie można przeszkodzić przez ogłoszenie daleko sięgających koncesyj.

Zanim do tego przyszło, postanowił Gorczakow, za radą Enocha i Kotzebuego, uczynić na własną rękę dla uspokojenia wzburzonych umysłów, jeszcze jedno, jak sądził znaczne ustępstwa t. j. usunąć znienawidzonego, Muchanowa z kuratorji Warszawskiego okręgu naukowego i urząd ten powierzyć Polakowi, Łaszczyńskiemu.

W tym celu zatelegrafował w dniu 15. marca, a więc natychmiast po przyjęciu programu Wielopolskiego, do Petersburga i tego samego dnia jeszcze otrzymał odpowiedź przychylną, Łaszczyński objął nazajutrz obowiązki Kuratora i w przemowie mianej do urzędników kuratorji, podniósł słusznie, że postawienie Polaka na czele edukacji krajowej po latach trzydziestu nie jest bez znaczenia a zarazem oświadczył, że dotychczasowe postępowanie cenzury było niewłaściwe.

W każdym społeczeństwie więcej zrównoważonem i dojrzalszem politycznie, musiałby być fakt tak znamienity wywołać pewną refleksję, uśmierzyc agitację i położyć kres, przynajmniej na pewien czas, ulicznym awantom, których celu i korzyści nikt rozsądny pojąć i zrozumieć nie mógł.

Ale w ówczesnej Warszawie, gdzie „zatrudnieniem dla ludu stała się już polityka“¹⁾ wszelkie perswazyje i upomnienia nie sprawiały najmniejszego wrażenia. Młodociani politycy, podburzający systematycznie lud, ludzili się nadzieją, że krew bezbronnych ofiar dźwignie Polskę z upadku i doprowadzi do odzyskania niepodległości. Tym mistycyzmem politycznym obalamuceni,

¹⁾ Giller: Manifestacje Warszawy w roku 1861, str. 8.

odrzucał oni z pogardą program pracy organicznej, którą wysmiewał także ich mistrz Mierosławski, obniżali znaczenie i wartość każdej koncesyi, uzyskanej u rządu, w obawie, aby lud, uspokojony ustępstwami nie zaniechał manifestacyi, i, grając zręcznie na uczuciach tłumu, utrzymywali umysły w stanie ciągłego podniecenia i nienaturalnej egzaltacyi.

Więc jakkolwiek wiadomość o usunięciu Muchanowa z kuratoryi powitano w Resursie z wielką radością, to jednak w dwa dni potem urządził Karol Nowakowski znany nam już napad na Delegacyę a z powodu ogłoszenia okólnika Muchanowskiego powstała taka burza i tak wielkie i słuszne zresztą w całym kraju, że Namiestnik zdecydował się w końcu poświęcić znienawidzonego „wezyra“.

Otrzymawszy w tym względzie zezwolenie cesarza dał Gorczakow w dniu 23. marca dymisyę Muchanowowi a w ślad za nią poszły wnet dal-



Nr. 29. Wojsko polskie z roku 1863. (Ostatnia praca Wal. Eljasza).

sze: Łaszczyński usunął naczelnika wydziału oświecenia, Adama Plewego, prawą rękę Muchanowa i głośnego fałszerza historii polskiej Pawliszczewa. Pierwszego z nich zastąpił, znany zaszczytnie w literaturze krytyk i tłumacz Kazimierz Kaszewski.

Równocześnie pojawił się okólnik Namiestnika do gubernatorów, znoszący postanowienia zawarte w osławionym cyrkularzu Muchanowa i polecające władzom policyjnym „aby w stosunkach swoich z włościanami nie przedsiębrały żadnych środków, któreby mogły tamować dobrowolne ich układy z właścicielami dóbr o oczynszowanie na zasadach postanowienia Rady Administ acyjnej z roku 1858“.

Były to ustępstwa bardzo znaczne, po tem co się działo do niedawna w kraju, wprost niespodziewane i należało się spodziewać, że uspokoją one opinię publiczną, otrzeźwią najgorętsze nawet głowy, położą kres nieustannym zaburzeniom i awanturom ulicznym.

Tak sądzono także i w Petersburgu. Zdawało się tam przeto, że w tej chwili już Delegacya, ów „moralny rząd“ polski, niechętnie nad Nową widziany, jest zupełnie zbyteczną i że należy ją czempredziej rozwiązać. Gorczakow, jakkolwiek nie podzielał tego zdania, jednak na kategoryczny rozkaz cesarski zawezwał w dniu 22. marca do siebie kilku wybitniejszych członków Delegacyi i, podziękowawszy im za utrzymanie porządku publicznego, oświadczył że Delegacyę rozwiązuje, a ich uprasza, aby tak jak dotąd wpływem swoim starali się o uspokojenie umysłów.

Odpowiedź Delegatów była wymijająca.

Co innego, mówili oni, jest powaga ciała zbiorowego, które sobie wyrobiło pewne stanowisko w mieście i znaczenie a co innego ograniczone działanie jednostek, nie mających do tego polecenia i mandatu od rządu.

Namiestnik, trapiiony ciągle widmem krwawych zaburzeń, i uznając pożyteczny wpływ Delegacyi, zgodził się więc na dalsze istnienie Delegacyi w szczuplejszej jednak liczbie członków, pod nazwą tymczasowego Wydziału Obywatelskiego i bez prawa publikowania protokółów.

Miał to być jakoby początek municypalnej reprezentacyi miejskiej i tak przedstawił Gorczakow ową zmianę cesarzowi, donosząc krótko: „Delegacya rozwiązana. Ośmiu z pomiędzy Delegatów będzie zasiadało dla dobra spraw miejskich w magistracie“.

Równocześnie z rozwiązaniem Delegacyi, otrzymał także dymisyę gen. Paulucci, a oberpolicmajstrem Warszawskim został mianowany Polak pułkownik Rozwadowski. Jakkolwiek Delegacya faktycznie istniała dalej, to jednak wieść o jej rozwiązaniu sprawiła złe na ogół wrażenie i dała pożądaną sposobność agitatorom do nowych manifestacyi.

Zwróciły się one przeciw znienawidzonym powszechnie osobistościom. Muchanow, otrzymawszy dymisyę musiał bocznemi drogami uciekać z Warszawy.

Ośławionemu Abramowiczowi, niedys oberpolicmajstrowi a obecnie zarządzającemu teatrem Warszawskim, figurze, co prawda bardzo lichej i bardzo nikczemnej, wyprawiono kocią muzykę. Potem przyszła kolej na niewinnego zupełnie Enocha i na Tugendholda, dyrektora szkoły rabinów i cenzora ksiąg żydowskich. Wybrykom gawiedzi ulicznej towarzyszyły manifestacye innego rodzaju: tłumne pielgrzymki na cmentarz Powązkowski, do grobów ofiar lutowych i śpiewy przed kościołem Bernardynów, kończone stale powtarzającą się zwrotką: „od Moskali wybaw nas Panie“.

Atmosfera stawała się coraz bardziej duszna, naprężenie i podniecenie umysłów rosło i budziło w Zamku słuszne obawy, zwłaszcza, że zbliżał się Wielki Tydzień a pamiątka powstania 1794 roku, przypadająca w Wielki Czwartek, mogła dać powód do większych jeszcze zaburzeń.

Na szczęście nadeszła w dniu 25. marca (Wielkanoc przypadała w tym roku na dzień 31. marca) tak pożądana dla Gorczakowa wiadomość telegraficzna, że cesarz, jakkolwiek nie zatwierdził w zupełności projektu Wielopolskiego, to jednak zgodził się na udzielenie pewnych koncesyj Królestwu, które przywiozą niebawem do Warszawy Płatonow i Karnicki.

Na usilne naleganie Namiestnika, który pragnął, wiszącą nad miastem i nad krajem burzę dać co bądź zażegnać i uniknąć podobnej jak w czasie lutowych wypadków katastrofy, zezwolił cesarz na ogłoszenie nominacyi Wielopolskiego i Gieczewicza.

Jakoż nazajutrz ukazała się w dziennikach ogólnikowa wiadomość o nowych reformach.

Były one w streszczeniu następujące: w miejsce naukowego okręgu Warszawskiego i wydziału duchownego w Komisji spraw wewnętrznych ustanawia się w Królestwie Polskiem Komisya rządowa Wyznań i Oświecenia. Dyrektorem i głównym prezydującym tej Komisji zostaje Aleksander hr. Wielopolski, Margrabia Myszkowski.

Jako organ prawodawczy ma powstać Rada Stanu, złożona z dygnitarzy świeckich i duchownych, jakoteż z znakomitych obywateli kraju, powołanych przez cesarza.

Również ustanawia się Rady gubernialne i powiatowe, pochodzące z wyborów i rady miejskie w Warszawie i w główniejszych miastach Królestwa.



Nr. 90. Wojsko polskie z roku 1863. (Ostatnia praca Wal. Eljasza).

W końcu zostanie przeprowadzona zasadnicza reforma niższych i wyższych zakładów naukowych.

Było to oczywiście bardzo mało w porównaniu z tem czego żądał Wielopolski, ale i bardzo wiele w stosunku do ucisku, jakiego kraj doznawał za rządów Mikołaja.

Umiarkowani i trzeźwi byli też za szczerem przyjęciem koncesyi, za zakończeniem ruchu i za przejściem do pracy organicznej na lojalnej podstawie.

W tym duchu przemawiał także Gorczakow zapewniając, że to co użytkano teraz jest tylko początkiem reform, że cesarz chce rozszerzyć je z czasem¹⁾, radził więc zapomnieć o przeszłości i zaufać zamiarom cesarza, który przed Polską otwiera lepszą przyszłość.¹⁾

Inaczej zapatrywali się na rzeczy członkowie Delegacyi i Towarzystwa Rolniczego, mieszczaństwo warszawskie i szlachta.

¹⁾ Giller, Dzieje Delegacyi Warszawskiej, str. 252.

Uznając znaczenie koncesyj, lecz uważając je zarazem za niedostateczne i niewystarczające, byli oni gotowi przyjąć to co dawano ale bynajmniej się tem niezadowolniać, czyli inemi słowy: „brać a nie kwitować“.

Zasada słuszną może, ze stanowiska kupieckiego i bankierskiego, ale politycznie i niedorzeczna i szkodliwa.

Nowy porządek rzeczy i nowe instytucje mogły się tylko wtedy pomyślnie rozwijać, jeżeli znajdą uznanie i poparcie u ogółu albo przynajmniej u znacznej większości społeczeństwa. Pozostawione samym sobie, pozbawione życzliwości i pomocy żywiołów w kraju wpływowych musiały one jak roślina, nie mająca światła i na opoczystym gruncie zasadzona uschnąć i zmarnieć.

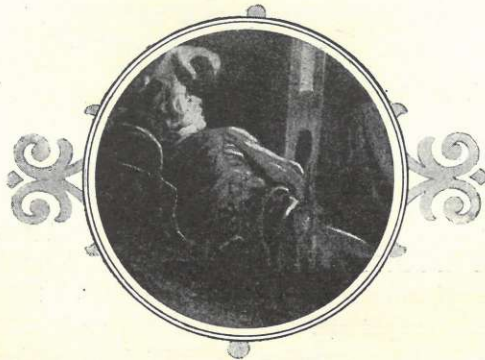
Bierność w życiu politycznem jest oznaką śmierci. Wyrok śmierci politycznej, przynajmniej w tym okresie, wydała na siebie szlachta i mieszczaństwo z chwilą, kiedy w dziwnem zaślepieniu czy niezrozumieniu rzeczy przyjęła w obec nowego kursu rolę obojętnego spektatora.

Błąd z ich strony był tem większy, gdy równocześnie koła czerwone rozwinęły gorączkową agitację przeciw reformom, gdy po mieście zaczęły się pojawiać kartki, nakazujące przywdzianie podwójnej żałoby, wychodzenie z kościołów podczas odczytywania ukazu o koncesjach, wstrzymanie się od bywania w teatrze, gdy setki dzienników zawierających rozporządzenie cesarskie, rozdzierano i z pogardą wyrzucano na ulice.

Jasne więc chyba było, że nie tylko rozwój przyznanych przez Rząd instytucyj ale i przyszłość kraju jest zawisła od konsolidacji żywiołów umiarkowanych, od ich zgodnego działania i popierania nowego systemu, który, jakkolwiek nie uwzględniał w zupełności i niezadowolniał słusznym żądań i pragnień narodowych, to jednak pozwalał temu narodowi odetchnąć, żyć, poruszać się swobodniej, myśleć o lepszej przyszłości i dla niej pracować.

W tej pracy zaś, w tem współdziałaniu tkwiła także możliwość uzyskania dalszych ustępstw, uspokojenia kraju i przywrócenia normalnych w społeczeństwie stosunków, czego przecież wszyscy rozumni i umiarkowani ludzie pragnęli.

Tak przedstawiało się położenie w chwili, gdy na czele najważniejszych gałęzi administracyi w Królestwie stawał Wielopolski i miał rozpocząć swoją Syzyfową pracę dla narodu ale bez narodu.





Rozdział piąty.

TRUDNE STANOWISKO WIEŁOPOLSKIEGO. — JEGO STOSUNEK Z ZAMOYSKIM.
— ROZWIAZANIE TOWARZYSTWA ROLNICZEGO. — MANIFESTACYE. — RZEŻ
W DNIU 8. KWIETNIA. — GŁOSY PRASY ZAGRANICZNEJ. — POCZĄTKI
ORGANIZACYI. — „POSŁANIE“ GILLERA. — BIALI. — ŚMIERĆ GORCZAKOWA.

Olbrzymie przedsięwzięcie, podjęte przez Margrabiego, było wyjątkowo trudne. Spotykała go na wstępie nieufność społeczeństwa i podejrzliwość rządu, uprzedzenie ludzi, przywykłych do Mikołajowskiego systemu a posiadających jeszcze znaczne wpływy w Petersburgu i w Warszawie, wreszcie zaślepiona i bezmyślna agitacya rewolucyjna, która w nieustannem podniecaniu uczuć narodowych i nienawiści ku najazdowi upatrywała najskuteczniejszy środek odzyskania niepodległości.

W takich warunkach należało przedewszystkiem szukać oparcia w żywiołach, które mogły pojąć i zrozumieć polityczną myśl nowego Dyrektora Komisyi Wyznań i Oświecenia, utworzyć z nich stronnictwo i z jego pomocą, zbiorowemi siłami wykonać to, co dla jednostki, acz bogato od natury w zdolności wyposażonej, było niepodobnem.

Nie można wątpić ani na chwilę, że Margrabia pojmował to doskonale, nie brak wskazówek nawet, że czynił w tym względzie pewne starania, ale niepomierzna duma, pewność siebie i przekonanie, że sam wielkiemu zadaniu podoła, zwichnęły zamiar rozumny.

Wykształcony na wzorach klasycznych zapomniał o mądrej maksymie starożytnych: *Vae homini soli*, postanowił działać sam, siłą swojej niezwyklej inteligencji łamać przeszkody, przebojem iść do wielkiego celu. Postanowił tak i omylił się.

Pierwsza mowa, jaką wypowiedział dnia 27. marca w Wielką Środę, przyjmując urzędników dotychczasowej Kuratoryi, była w całym tego słowa znaczeniu piękna i podniosła.

„Witam w Was — tak odezwał się — współpracowników, witam urzędników nie okręgu naukowego Warszawskiego, lecz przywróconej Komisji Wyznań i Oświecenia. Zmiana ta nazwy głębszą zmianę rzeczy oznacza. Przez nią monarcha sprawę dla narodu najważniejszą, sprawę wiary jego i oświaty, znowu jak dawniej na łono kraju zwraca. Obecne zejście się nasze jako kolegów, jest pierwszym ziszczeniem reform łaskawie nam zapewnionych, a tu w nas i przez nas dokonać się mająca zmiana, jest podstawą innych ulepszeń, bo na cóż one wszystkie przydałyby się, gdybyśmy nie pracowali nad ukształceniem młodego pokolenia na obywateli zdolnych do udziału w tych poprawach.

Praca nasza jest ważna i trudna. Reorganizacja zupełna szkół, uzupełnienie Wydziałów Szkoły Głównej po latach tyłu niemałym jest zadaniem. Aby mu z pomocą Bożą podołać, podajmy sobie ręce“.

W obec gorączki, trawiącej całe społeczeństwo, przebrzmiały te mądre słowa bez echa. Przyjęto je obojętnie, nie rozumiejąc ich znaczenia i doniosłości zmian, jakie zapowiadały. Wyobraźnia ogółu, łaknąca cudów, spoglądała z lekceważeniem na reformę wychowania publicznego, jako na rzecz marną i podrzędną.

Tymczasem zajął się Wielopolski z kolei drugą, najważniejszą wtedy sprawą, włościańską, do udziału w jej rozwiązaniu utworzył przy Komisji spraw wewnętrznych Komitet obywatelski z głosem doradczym a w dniu 31. marca wydał polecenie duchowieństwu, aby z ambon ogłosiło ludowi, że obywatele kraju zgodnie z rządem zajęli się szczerze oczyszczaniem, dotychczasową pańszczyznę zastąpić mającym“ i że nadto wielu z nich oświadczyło życzenie aby te czynsze przez dobrowolną umowę stron obu mogły być raz na zawsze wykupione, co „pod rozważę rządu, o dobro wasze troskliwego jest teraz poddane“. Odezwa powyższa była niewątpliwie czynem obywatelskim. Od pierwszej chwili, kiedy reforma włościańska weszła na porządek dzienny, zawrzało w ciemnych masach ludowych. Opowiadano sobie na ucho rozmaite wieści, o nadaniu ziemi włościanom przez rząd wbrew woli szlachty; pojawiali się, jak wiadomo agitatorzy, wzywający niemal jawnie do rzezi „panów“, pojawił się słynny okólnik Muchanowa. Napróżno usiłowało Towarzystwo Rolnicze odezwami i okólnikami uspokajać i pouczać tłumy o oczyszczaniu i skupie umówionych czynszów.

Pisma te, niepoparte powagą rządu, wychodzące od szlachty, a więc strony interesowanej, przyjmowano z nieufnością i niedowierzaniem a niezręczne czasami postępowanie duchowieństwa, jak ks. Myślińskiego, administratora dyecezyi plockiej, miało skutek więcej ujemny niż dodatni, działało raczej podniecająco niż kojąco i w niektórych miejscowościach powstały nawet zaburzenia o zatrważających objawach.

Był więc czas wielki, aby tym przykrym stosunkom koniec położyć, aby powagę rządu przeciwstawić pokątnej agitacji i reformę włościańską na właściwe sprowadzić drogi.

Uczynił to Wielopolski, może nie po myśli tych, którzy pragnęli radykalnych środków t. j. natychmiastowego uwłaszczenia, ale nie mniej przeto w duchu postępowym i w głębokiem przeświadczeniu, że stopniowa reforma, przeprowadzona spokojnie, pod egidą władz rządowych, obecnie polskich, więcej przyniesie pożytku włościanom i krajowi w ogóle, niż nagły przewrót stosunków, połączony z wielkimi ofarami ze strony właścicieli i wątpliwy

co do korzyści dla włościan. W każdym razie, nawet najzawziętszy przeciwnik Margrabiego i najgorętszy zwolennik uwłaszczenia przyznać musi, że oczynszowanie dokonane przez obywateli kraju i władze krajowe było stokroć pożyteczniejsze dla sprawy narodowej, niż uwłaszczenie ludu przeprowadzone przez czynowników i demagogów rosyjskich, jak to później się stało.

Jakoż wybitni ludzie owej epoki, wolni od doktrynerstwa, wyrażają się z największym uznaniem o stanowisku Wielopolskiego w kwestyi włościańskiej.¹⁾

A jeżeli przemówienie Dyrektora Komisji Wyznań i Oświecenia i późniejszy jego okólnik nie zdołały otrzeźwić zapaleńców, to spodziewać się należało, że staną się one ogniwem łączącym t. zw. później stronictwo „Białych“ z systemem Margrabiego i z jego osobą.



Nr. 33. Wojsko polskie z roku 1863. (Ostatnia praca Wal. Eljasza).

Wszak zasady, jakie głosił i kierunek w jakim zaczął działać odpowiadały zupełnie programowi Zamoyskiego i jego otoczenia. Reforma wychowania publicznego to była przecież najistotniejsza część pracy organicznej a oczynszowanie włościan, prowadzące w dalszej konsekwencji do uwłaszczenia, zgadzało się całkowicie z uchwałami Towarzystwa Rolniczego i z poglądami pana Andrzeja na sprawę włościańską.

Porozumienie zatem nie przedstawiało trudności, ze względów narodowych zaś było nie tylko potrzebnem, ale nawet wprost koniecznem.

Dlatego nie przyszło do skutku, dla czego, ci dwaj, dzierżący wtedy losy kraju w swoich rękach i niewątpliwie kraj ten miłujący ani pogodzić ani w działaniu połączyć się nie zdołali, na to składały się rozmaite przyczyny.

Tłumaczenie, że Zamoyski uważał siebie za reprezentanta „dawnej Polski w jej historycznych granicach“, a gdy koncesye nadano tylko Kró-

¹⁾ Por. Gillera : Dzieje Delegacyi, str. 256.

lestwu, pragnął pozostać niezawisłym i nie chciał dlatego przyjmować żadnego urzędu,¹⁾ uważamy za zupełnie niewystarczające.

Rozmyślne usuwanie się bowiem od udziału w pracy dla dobra jednej prowincji, z powodu pominięcia przez rząd innych, świadczyłoby chyba, że Zamoyski mężem politycznym nie był, ba, rzuciłoby nawet cień na jego patriotyzm i poświęcenie dla sprawy narodowej.

Prawdopodobniejszem natomiast i psychologicznie więcej uzasadnionem wydaje się przypuszczenie, że pan Andrzej przyjął wiadomość o koncesjach z zadowoleniem i że oczekiwał, co łatwo zrozumieć, wezwania do wspólnej pracy i do porozumienia od Wielopolskiego.

Cóż uczynił Wielopolski? Niósł, podczas rezurekcyi w katedralnym kościele św. Jana, razem z Zamoyskim baldachin nad arcybiskupem, w pierwszy dzień Wielkiejnocy, przyszedł do niego na święcone, przy powitaniu wyraził nadzieję, że „odtąd będziemy wspólnie dla kraju pracowali“ — i na tem koniec.

Było to może wiele dla pychy i dumy Margrabiego, ale stanowczo za mało dla zjednania potężnego w kraju stronnictwa i jego przywódcy.

Prawda, tych ludzi dzieliły wzajemne niechęci, tradycyjny antagonizm familijny, o którym wspominał sobie Margrabia, porównyując niezbyt trafnie i ściśle pod względem historycznym, siebie z Zygmuntem Myszkowskim Marszałkiem W. Kor. za czasów Zygmunta III., a pana Andrzeja z Janem Zamoyskim Hetmanem W. Kor., ale prawdziwa miłość, rozum i doświadczenie polityczne mówiły, że ważnych kwestyj nie rozstrzyga się w pogadance przy jajku święconem.

Margrabia uważał jednak swoją wizytę Wielkanocną za zupełnie wystarczającą. Uczyniwszy zadość formie i zwyczajom towarzyskim mniemał, że przejednał i pozyskał sobie i Zamoyskiego i całe jego stronnictwo.

Złudzenie dziwne w dobie, poprzedzającej rozwiązanie Delegacyi i Towarzystwa Rolniczego!

Z chwilą kiedy władza w znacznej części przechodziła w ręce polskie i kiedy rozpoczynała się praca nad wykonaniem reform przez cesarza nadanych było niewątpliwie uspokojenie kraju i ustalenie porządku rzeczą nieodzowną.

Delegacya zwłaszcza stawiała się zbyteczną skoro miano zorganizować Radę miejską.

To też dnia 4. kwietnia zawiadomiono z urzędu Wydział Obywatelski, że czynności jego ustają i że może wybrać z pomiędzy siebie dwunastu członków, którzy, pod przewodnictwem prezydenta miasta Andraulta będą pełnić tymczasowo obowiązki należące do zakresu działania Rady miejskiej, przyczem zezwolono na przywrócenie Warszawie tytułu „miasto stołeczne“, zniesionego dowolnie w roku 1837.

Jakkolwiek Rada tymczasowa była w czynnościach swoich ograniczona i musiała, według nakazu Namiestnika odbywać posiedzenia przy drzwiach zamkniętych, to jednak stanowiła ona ciało reprezentacyjne, pierwiastek autonomiczny, który z biegiem czasu musiał się rozwinąć, udoskonalić i nabrać większego znaczenia. Ale dla dawnych delegatów przyzwyczajonych niejako do udziału w rządach, do odgrywania roli politycznej, do sejmików relacyjnych w Resursie, dla delegatów, rozporządzających nadto tysiącami naro-

¹⁾ Przyborowski, tom II, str. 254.

wych konstablów wydała się ta zmiana, ściśniająca ich działanie do spraw czysto administracyjnych, nadwyreżeniem praw nabytych i lekceważeniem ze strony nowej władzy.

Powstało zatem wielkie niezadowolenie wśród nowej Rady, złożonej prawie wyłącznie z członków Delegacji jakoteż wśród licznej rzeszy konstablów, z czego oczywiście nieomieszkali skorzystać agitatorowie wszelkich odcieni. Za ich staraniem odbywały się codziennie manifestacje. Jednego dnia (2. kwietnia) wieńczono uroczystości groby poległych, drugiego i trzeciego śpiewano pieśni patryotyczne przed statua Matki Boskiej na Krakowskim Przedmieściu, czwartego urządzono nabożeństwo żałobne za zmarłego w Paryżu generała Chrzanowskiego.

Niezwykły nastrój umysłów podnosiły jeszcze bardziej uroczystości Wielkanocne. Obchodzono Zmartwychwstanie w tym roku w sposób mani-



Nr. 34. Wojsko polskie z roku 1863. (Ostatnia praca Wal. Eljasza).

festacyjny, okazały i do pewnego stopnia rozrzewniający. Po ulicach snuły się tłumy, przybrane w stroje narodowe, młodzież w konfederatkach różnokolorowych. Księża przemawiali z ambon w słowach pełnych patryotycznego zapалу, przyczem nie brakło porównań Polski do Chrystusa a pięciu ran Zbawiciela do pięciu ofiar z dnia 27. lutego.

Podczas świąt urządzono na dane hasło w domach arystokratycznych i zamożniejszych mieszczańskich wspaniałe święcone, gdzie przyjmowano i goszczono szczególnie rzemieślników i ludność uboższą na znak węzłów, łączących wszystkie stany braterską miłością.

Przy stołach obficie zastawionych usługiwały panie domu i ich córki, akademicy zastępowali gospodarzy.

Żydzi, „Polacy mojżeszowego wyznania“, jak ich wtenczas nazywano,łożyli 19.200 złp. na święcone dla tych co nie mieli za co świąt sobie sprawić.

Za przykładem Warszawy poszła oczywiście także i prowincya, gdzie we wszystkim starano się naśladować stolicę, zawiązując Delegacje, urzą-



WOJSKO POLSKIE. Ostatnia praca WALEREGO ELJASZA.

dzając strażę bezpieczeństwa i wyprawiając kocie muzyki niemiłym, nielubianym lub politycznie podejrzanym osobistościom.

Taki stan rzeczy nie mógł trwać długo i w interesie kraju i ludności należało koniecznie podobnym nadużyciom kres położyć, ład i porządek ustalić i społeczeństwo zwrócić na drogę pracy organicznej która się przed nim otwierała.

Widział to jasno Wielopolski i żądał, aby namiestnik rozwiązał istniejące na prowincyi Straże bezpieczeństwa, żeby zamknął na sześć tygodni resursę warszawską, żeby zniósł Towarzystwo Rolnicze i organom policyjnym nakazał wysledzić przywódców manifestacyi.

Dla snadniejszego zaś wykonania tych doraźnych środków radził zaprowadzić na dni osiem stan obłężenia.

Gorczałow jednak, nie skory do stanowczego działania, poprzestał na pewnych podrzędnych tylko zarządzeniach; podzielił mianowicie Warszawę na cztery okręgi wojenne i ustanowił w każdym z nich osobnego naczelnika, któremu podlegała także policya.

Ta ostatnia, powierzchownie zreformowana i pomnożona żołnierzami, wziętymi z szeregów, była, jak w ogóle policya rosyjska, nieudolna, niezręczna, do brania łapówek skłonna, do właściwych swoich czynności zgoła nieusposobiona.

O stłumieniu podobnemi paliatywami ruchu, nurtującego społeczeństwo nie mogło być mowy. Rzeczy szły więc dalej zwykłym trybem, chociaż zaprzeczyć się nie da, że w umysłach objawiało się pewne otrzeźwienie. Bezustanne manifestacye spowszedniały cokolwiek i zaczynały jednych nużyć, w drugich budzić słuszne obawy, zwłaszcza, że wojskowe rozporządzenia Namiestnika nie zapowiadały nic dobrego.

Umiarkowańsze żywioły pomiędzy młodzieżą zdobyły się przeto na krok heroiczny w ówczesnych stosunkach, postanowiły wpłynąć na lud warszawski, aby zbiegowiskom ulicznym koniec położyć a wziąć się do wewnętrznej, organicznej pracy i w tym celu zwołały ogólne zebranie młodzieży do amfiteatru anatomicznego. Tu nastąpił rozłam, większość zebranych, nawet część czerwieńców, oświadczyła się za zaniechaniem manifestacyi, uczniowie Szkoły Sztuk Pięknych założyli jednak protest przeciw takiej uchwale, rzekomo z powodu postanowionej już i zapowiedzianej manifestacyi na pogrzebie wygnańca wróconego z Sybiru. Zgromadzenie spelzło więc na niczem.¹⁾

Tymczasem jak grom z jasnego nieba spadła wiadomość o rozwiązaniu Towarzystwa Rolniczego.

Rzecz sama w sobie nie była wprawdzie niespodzianką, bo krążyły o niej głuche wieści w Warszawie i po kraju, ale nikt nie przypuszczał, że Margrabia odważy się targnąć na instytucyę, w gruncie konserwatywną, która, posiadając doskonałą organizacyę, mogła oddać i jemu i jego systemowi wielkie usługi.

Do stłumienia agitacyi rewolucyjnej i do uspokojenia kraju nie wystarczały zdolności, siła woli i rozum jednego człowieka. W chwilach wielkiego niebezpieczeństwa, w przededniu stanowczej walki skupia przezorny wódz wszystkie swoje siły a nie rozluźnia i nie rozbija własnych szeregów przez niewczesny wymiar sprawiedliwości za niesubordynacyą i drobne wykroczenia.

¹⁾ Daniłowski, I. c. st. 45.

Towarzystwo Rolnicze mogło być dla Wielopolskiego niewygodnem, z osobistych względów nawet nie miłym, ale stanowiło, bądź co bądź, w życiu społecznem czynnik dodatni, którego znaczenia lekceważyć nie należało.

Weszło ono na drogę polityczną, bo od takiego zboczenia w naszych warunkach żadne Stowarzyszenie prawie uchronić się nie zdoła. Powołane przez Rząd do rozstrzygania kwestyi, na pozór społecznej a w gruncie politycznej, partę siłą wypadków i opinii publicznej, nie mogło zamknąć się ściśle w granicach statutem swoim zakreślonych.

Uchwalwszy oczynszowanie włościan, według dalej idącego wniosku Tomasza Potockiego, musiało ogłaszać odezwy i instrukcje, musiało, szczególnie w obec obojętności władz rządowych, prowadzić dalej rozpoczęte dzieło w słusznym przeświadczeniu, że rozwiązanie kwestyi włościańskiej odpowiada i intencjom cesarza i pragnieniom społeczeństwa polskiego i potrzebom kraju.



Z chwilą, kiedy Wielopolski ujął sprawę włościańską w swoje ręce i pokierował nią po myśli Towarzystwa, stawało się działanie Towarzystwa w tym względzie zbyt czerpaniem i wystarczyło proste rozporządzenie władzy, aby powstrzymać Komitet od rozsyłania okólników i odezw, wtedy już zgoda niebotrzebnych, co jednak nie przeszkadzało wcale dalszemu istnieniu instytucji, dla kraju, przeważnie rolniczego nieodzownej.

Członkowie Komitetu czuli dobrze, że ich rola polityczna skończyła się i że powinni wrócić do właściwego swego zadania, ale nie mogli się zdołać na krok stanowczy, na dobrowolne rozwiązanie Towarzystwa.

Uczynił to Margrabia w chwili najniewłaściwszej i popełnił wielki błąd polityczny, odtrącił bowiem od siebie i obraził potężne stronnictwo, którego część pragnęła być mu pomocną w pracy nad odrodzeniem kraju,¹⁾ a nie porzeczając na tem, do obrazu dodał jeszcze złośliwą uwagę, umieszczoną

¹⁾ Cezary Haller: A. Z. Helcel w Warszawie dnia 8. kwietnia 1861 roku. Przegląd polski z roku 1863, zes. 10, str. 74.

w motywach, że „godność i doskonałość instytucyj publicznych okazuje się właśnie w ich rozwiązaniu“. To też najbliżsi i najlepsi przyjaciele Wielopolskiego nie mogli zrozumieć jego polityki w tym wypadku.¹⁾

Helcel, którego Margrabia wezwał właśnie do Warszawy dla objęcia rektoratu w Szkole Głównej albo posady Dyrektora w Komisji Sprawiedliwości, dowiedziawszy się w drodze o rozwiązaniu Towarzystwa, chciał natychmiast z Piotrkowa wrócić do granicy, ale, gdy rzeczy swoje wysłał już do Warszawy pojechał dalej. Przybył smutny i wzburzony, z Wielopolskim widzieć się niechciał a na usilne nalegania przyjął zaproszenie na herbatę, w dniu 8. kwietnia jedynie pod warunkiem iż z Margrabią ani słowa o rzeczach publicznych mówić nie będę i wtem usposobieniu wymownie milczącym i smutnym wrócił do Krakowa. Później, ochłonawszy cokolwiek, pisał do Wielopolskiego ze Lwowa: „Rozbieraliśmy z panem Adamem (Potockim) i admiralowaliśmy mowę Margrabiego do urzędników sądowych, ale polityki rozwiązania Towarzystwa Rolniczego zrozumieć nie mogliśmy“.

A jak jeden krok fałszywy i nierozważny pociąga za sobą zazwyczaj dalsze, tak stało się i w tym wypadku.

Chociaż można było łatwo przewidzieć, że rozwiązanie Towarzystwa, które jeżeli nie cały naród to znaczna część jego uważała za pewien rodzaj moralnego rządu i za jedyną w tej chwili reprezentację kraju, wywoła powszechne oburzenie i da pożądaną sposobność agitatorom do urządzenia wielkiej manifestacji, nowego „koncertu nad koncertami“, nie wahał się Wielopolski ogłosić dotyczące rozporządzenie w dniu 6. kwietnia, poprzedzającym dwa święta (Niedzielę i uroczystość Zwiastowania N. P. Maryi), podczas których gawiedź uliczna jest najskłonniejszą i najbardziej usposobioną do tłumnych zebrani i wybryków rozmaitego rodzaju.

Nie poprzestając zaś na tej jednej niezręczności i wpadając z błędu w błąd, wygłosił dnia 2. kwietnia przy przyjęciu duchowieństwa mowę, gdzie, po ustępie o tolerancyi, dodał surowe dla reprezentantów kościoła katolickiego upomnienie.

„Jestem — rzekł — członkiem rządu Najjaśniejszego Pana; nigdzie o ile to wemnie będzie, a tem bardziej w moim zakresie, rządów żadnych w rządzie nie uznaję. Z pod ustaw postanowionych nikomu samowolnie wyłamywać się nie dam“.

Jaki cel miała ta ostentacyjnie udzielona nagana, trudno odgadnąć.

Niezręczne odezwy ks. Myślińskiego były faktem zanadto drobnym i odosobnionym, aby mogły stanowić dowód wyłamywania się duchowieństwa „z pod ustaw postanowionych“ lub wymagać osobistej interwencji Dyrektora Komisji Wyznań i Oświecenia.

Tłumaczenie, że Margrabia, wspominając o „rządach w rządzie“ mierzył bardziej w Towarzystwo Rolnicze niż w duchowieństwo, uważamy tylko za wybieg, bo reprezentant najwyższej władzy ma obowiązek w chwilach uroczystych wyrażać myśl swoją jasno i w sposób dla słuchaczy zrozumiały a nie używać zwrotów ukrywających właściwe jego intencje.

Któż z resztą z biskupów i duchownych dygnitarzy mógł zrozumieć inaczej przemowę Wielopolskiego, jak, że jest ona skierowana przeciw duchowieństwu i że zachowanie się jego piętnuje mianem rządu w rządzie? Była

¹⁾ Por. Spasowicza: Literacki i polityczny spadek po Wielopolskim, Poznań 1880, str. 105.

to zaś insynuacja zgoła nie uzasadniona. Duchowieństwo bowiem brało żywy udział w ruchu, postępowało i przemawiało nieraz w sposób niezgodny może z swoim powołaniem kapłańskim, ale nie uzurpowało sobie żadnej władzy. Powściągnąć podobne nadużycia czy niewłaściwości należało do biskupów i do nich powinien się być zwrócić Margrabia, od nich tego żądać, a sądzimy, że byłiby obowiązek swój spełnili.

Czy biskupi, przy ówczesnym stanie umysłów mieli dość powagi, aby utrzymać podwładne duchowieństwo w posłuszeństwie, o tem można powątpiewać, ale Margrabia byłby unikał zarzutu, że wrogo występuje przeciw kościołowi katolickiemu a duchowieństwo w ogóle lekceważy i obraża.

W tem mylnem mniemaniu utwierdziła tymczasem opinię publiczną nadzwyczajna uprzejmość, z jaką Wielopolski w dwa dni później powitał deputację Żydów warszawskich z starszym rabinem Mayselsem na czele. Przemawiając do duchowieństwa katolickiego w tonie ostrym, witał reprezentantów synagogi z wyszukaną, jak na niego, grzecznością, dziękował im za zaufanie i za adres, który otrzymał od Żydów Pińczowskich, zapewniał o swojej przychylności, zachęcał do pracy na roli i wyraził nadzieję, że z Żydów powstanie poważny stan trzeci, na czym krajowi dotąd zbywało.

Obie te mowy, mniej lub więcej dokładnie streszczone, obiegły lotem błyskawicy całe miasto i sprawiły jak najgorsze wrażenie. Ukazało się też natychmiast pismo, rzekomo przez „duchowieństwo katolickie Królestwa Polskiego“ wydane, w którym autorowie protestują uroczyście przeciw zarzutom w przemówieniu Margrabiego zawartym, porównyując działanie jego z działaniem Muchanowa, i oświadczają w końcu, że staną „w imię Boże do dawnej, wytrwałej, choć niemej i przemocą tłumionej walki w obronie wiary, sumienia, praw i wolności narodu“.

Dzienniki galicyjskie, Czas krakowski i Głos, wychodzący we Lwowie pod redakcją Zygmunta Kaczkowskiego, przedrukowały w całej rozciągłości powyższą protestacyą, a Głos umieścił nawet pod nią podpis biskupa sufragana Dekerta, czemu Dekert na wezwanie Wielopolskiego publicznie zaprzeczył.

Na to wszystko przyszedł dekret o rozwiązaniu Towarzystwa Rolniczego, zamykający pierwszy, dwutygodniowy okres publicznej i rządowej działalności Margrabiego. Bilans z tego krótkiego a jednak w doniosłe wypadki obitującego czasu przedstawiał się fatalnie.

Wielopolski nie zdołał zjednać dla siebie i dla swego systemu żadnego zgoła poparcia, odtrącił szlachtę, zraził sobie duchowieństwo, w kołach mieszczańskich nie pozyskał zwolenników, mógł liczyć tylko na wątpliwe sympatyje Żydów.

W dalszym ciągu czekała go więc walka na trzy fronty: z rewolucyjną agitacyą, z obrażonym śmiertelnie obozem konserwatywnym i z czynownictwem rozmaitego rodzaju, drzącem o zyskowne posady swoje w Królestwie, nienawidzącem Polski i Polaków, wzdychającym do powrotu dawnych stosunków, do owej dla nich błogosławionej epoki rządów Paskiewiczowskich, gdzie dla szerokiej natury rosyjskiej otwierało się pole do wszelakich nadużyć, gdzie jedynem prawem była wola Namiestnika a najskuteczniejszym środkiem rządzenia bat kozacki.

Wielopolski był zanadto rozumnym człowiekiem, ażeby tego nie czuć i niewiedzieć, sądził jednak — tak przynajmniej przypuszczać należy — że

postępowaniem surowem i bezwzględnem zastraszy jednych, odwiedzie od mieszania się do spraw publicznych drugich a następnie, skoro zreformuje administrację i szkoły i oczynszowanie włościan przeprowadzi, zjedna sobie większość dobrze myślących i gorliwych o dobro kraju obywateli i z ich poparciem dokona zamierzonego dzieła.

Było to złudzenie, tem dziwniejsze, jeżeli przypomnimy sobie, że przed 30 tu laty ten sam Wielopolski, odwiedził swego wuja generała Dembińskiego od zamachu stanu po wypadkach 15. sierpnia, dlatego że generał nie mógł liczyć ani na poparcie Sejmu ani żadnego stronnictwa w kraju.

Obecnie przedstawiały się wprawdzie rzeczy cokolwiek inaczej. Margrabia mógł liczyć i liczył zapewne na Rząd, który miał siłę w rękę, na powolność Gorczakowa, który w nim, w Wielopolskim widział znakomitego męża stanu, ale zapomniał, że ten Rząd był obcym, pomoc jego i szczerłość w działaniu wątpliwa, niechęć i nieufność do Polaków powszechnie wiadoma, że Namiestnikowi brakowało determinacyi, silnej woli i stałości charakteru.

Mimo to postanowił działać energicznie, demonstracje uliczne stłumić, spokój i porządek zachwiany przywrócić.

Wśród takich okoliczności nadeszła Niedziela (7. kwietnia) a z nią manifestacya z powodu rozwiązania Towarzystwa Rolniczego.

Z rana o godzinie 9 tej wyruszyły od Bernardynów i Kapucynów dwie procesye na cmentarz Powązkowski, jak zwykle dla odwiedzenia, odświeżenia i uwieńczenia grobów poległych w dniu 27. lutego.

Popołudniu o 4tej zebrały się tłumy przed pałacem Towarzystwa Kredytowego, gdzie mieściły się biura Komitetu Rolniczego, umajono gmach gałązkami, ozdobiono wieńcami, orła rosyjskiego na balkonie zasłonięto całunem na którym widniał biały krzyż i obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, a gdy z tłumu odezwały się głosy: „orla białego“, „orla białego“, spuszczone z balkonu na sznurku orla białego, wyciętego z papieru i przykryto nim herb rosyjski.

Na to nadjechał wysłany przez Gorczakowa generał-gubernator warszawski Paniutyn, przemówił łagodnie do zebranych i rzekł w końcu: proszę was, jako wasz przyjaciel, życzący wam jak najlepiej, rozejdźcie się do domów, gdyż w przeciwnym razie możecie mieć mnóstwo nieprzyjemności“.

Ponieważ Paniutyna znano powszechnie i lubiano, więc tłum wysłuchał go spokojnie, ale nie myślał bynajmniej ustąpić. Zresztą w tej chwili właśnie zbliżał się od ulicy Mazowieckiej nowy pochód pod dowództwem Karola Nowakowskiego z ogromnym wieńcem mirtowym i drukowanym w środku napisem: „Towarzystwu Rolniczemu“. Nie było więc mowy o rozejściu się, przeciwnie tłum wzrastał, a gdy z dołu wzniesiono powtórnie Białego Orła z wieńcem nieśmiertelników, ozdobionego wstęgami o barwach narodowych, powstał zapal niesłychany, zabrzmiała pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła“ i wszystko ruszyło zbitą masą przez ulicę Świętokrzyską do pałacu Zamoyskich, gdzie osobna deputacya, prowadzona przez Nowakowskiego udała się na górę, aby wręczyć wieniec obywatelski panu Andrzejowi.

Zamoyski przyjąwszy wieniec zapytał delegatów, co zamierzają osiągnąć przez manifestacye? „Czego ja chciałem i co robiłem — ciągnął dalej — powiem Wam“: tu wyłożył krótko cały, znany program pracy organicznej — „ale czego wy chcecie, do czego zmierza wasze działanie, nierozumiem“.

Nastąpiło głuche milczenie i dopiero jakiś niepozorny Żydek miał odpowiedzieć: „nie umiem panu hrabiemu rozumnie odpowiedzieć czego my chcemy przez manifestacye — ale to ja wiem, że gdy zginę od Moskali to się dobrze zasłużył Ojczyźnie“.¹⁾

Tymczasem tłum, zgromadzony w dziedzińcu zapragnął koniecznie wiedzieć pana Andrzeja i uporczywem wołaniem zmusił go w końcu do tego, że wyszedł na ganek i przemówił słów kilka, dziękując za owacę dla Towarzystwa i zaklinając manifestantów, aby się rozeszli spokojnie.

Ale próżne to były usiłowania, lud rozpolitykowany, odwykły od codziennych swoich zatrudnień, skoro go się wyprowadzi raz na ulicę i zaprawi do demonstracyj nie powraca łatwo do szarego życia, lecz żądny coraz to nowych wrażeń, staje się żywiołem nieokiełzanym, który głuchy na głos rozsądku, pędzi bez celu tak długo dokąd go nie powstrzyma siła fizyczna.

W tym stanie obłędu czy zaślepienia znajdowała się w tej chwili i ludność Warszawska.

Dokonawszy zamierzonego dzieła, urządziwszy manifestacyę z powodu rozwiązania Towarzystwa Rolniczego i uczciwszy zasługi Andrzeja Zamoyskiego mogły te tłumy z zadowoleniem rozejść się do domów.

Rzecz wzięła jednak obrót zgoła niespodziewany, cała gromada pociągnęła ku Zamkowi i spotkała się tu oko w oko z wojskiem.

Na pierwszą wieść bowiem o zbiegowisku przed gmachem Towarzystwa kredytowego ustawił generał Chrulew, przysłany niedawno z Petersburga i mający naczelne dowództwo w tym okręgu miasta, dwie kompanie pułku Kostromskiego od kościoła Bernardynów aż do ulicy Świętojańskiej, sam zaś z innym oddziałem, z żandarmami i kozakami poszedł do Towarzystwa Rolniczego, później do pałacu Zamoyskich a nie zastawszy już ani w jednym ani w drugim miejscu zbiegowiska, powrócił znowu pod Zamek.

Na widok wojska potworzyły się tu i ówdzie gromadki ciekawych a gdy napłynął tłum od pałacu Zamoyskich powstało wnet wielkie zbiegowisko.

Napróżno wyjechał na plac sam Gorczakow i wzywał do rozejścia zgromadzonych, grożąc wreszcie strzelaniem; w odpowiedzi usłyszał szyderstwa i przeciągłe gwizdanie, napróżno usiłowali ks. Wyszyński, Szlenkier i poważniejsi akademicy uspokoić umysły, tłum stał nieporuszony, wzywał żołnierzy od „Kapuśniaków“ drwił, szydził i ani myślał o rozejściu.

Nie pozostawało nic innego jak użyć broni, ale Gorczakow do tej ostateczności dopuścić nie chciał a że pora już była spóźniona i ściemniało się, więc przyszło w końcu do pertraktacyj pomiędzy Chrulewem a delegatami tłumy i generał cofnął wojsko do Zamku pod warunkami, że i lud także ustąpi.

Marny ten tryumf, jeżeli godzi się nazwać to tryumfem, wzbudził wśród zbiegowiska zapal i radość niesłychaną. Zabrzmiały zewsząd okrzyki: „wygrana; wygrana!“

Młodzież w różnokolorowych konfederatkach, w wojskowym ordynku, defilowała ostentacyjnie przez Krakowskie Przedmieście i plac Saski kilka razy, długo w noc rozlegały się po ulicach śpiewy i wiaty, jak gdyby po zdobyciu Warszawy lub po wyparciu rosyjskiego najazdu hen za Dniepr i Dźwinę.

¹⁾ Giller Manifestacye str. 8. Jest to, pominąwszy anegdotę z owym Żydkiem, piąta wersja odpowiedzi Zamoyskiego. Por. Przyb. t. II, str. 316.

Agitatorowie podniecali usposobienie tłumów, wołali że Moskalom nie trzeba dać spokoju, upewniali, że strzelać nie będą, bo Napoleon zakazał i przygotowywali umysły do jutrzejszej demonstracyi, która jak wiadomo miała się odbyć z powodu pogrzebu Sybiraka Stobnickiego.

Zamiary szaleńców nie były tajemnicą dla rządu. Policya acz niedołężna, nie mogła być głuchą i niemą. W zamku więc radzono także jak projektowanej manifestacyi zapobiedz. Do udziału wezwano Wielopolskiego, który przedstawił zebrany dygnitarzom przeważnie wojskowym, projekt nowego prawa o zbiegowiskach.

W razie jakiegokolwiek nieporządku lub zebrania tłumnego na ulicach, miał prezydent, burmistrz lub wójt gminy sam, albo przez umocowanego



zastępcę swego, przy odgłosie bębna wezwać zgromadzonych trzykrotnie do rozejścia się a gdyby to nie skutkowało użyć siły zbrojnej.

Nieposłuszni wezwaniu mieli być stawieni przed sądy właściwe i podlegać karom więzienia w jednej z fortec Królestwa.

Prawo, jasne i wyraźne, kładło kres samowoli wojskowej, chroniło winnych przed wysyłką na Sybir i deportacyę w głąb Rosyi, wznawiało niejako postanowienia zawarte w tym względzie w konstytucyi 1815 roku, odpowiadało postępowi czasu, wymaganiom nowoczesnej cywilizacyi, mogło w pomyslnych warunkach stać się dobrodziejstwem dla kraju.

Niestety przychodziło ono, tak jak wszystkie reformy w tym czasie, za późno. Przyjęte w nocy, ogłoszone z pospiechem nazajutrz, kiedy, wśród ogólnego wrzenia umysłów, mało kto zwracał uwagę na rozlepiane po ro-

gach ulic plakaty, nie mogło mieć tego wpływu, jak rozporządzenie wcześniej opublikowane i wszystkim dokładnie wiadome.

Zresztą, manifestacja była z góry ułożona i postanowiona i wątpię należy czy prawo o zbiegowiskach byłoby ją powstrzymało, zwłaszcza, gdy i z przeciwnej strony nie brakło usiłowań zmierzających do wywołania nowej ulicznej awantury.

Są ślady, że ajenci rządowi namawiali lud do zebrania się nazajutrz przed Zamkiem; po mieście krążyła wieść, że i manifestacja w dniu 7. kwietnia była dziełem policyi, która chciała w ten sposób skompromitować przed rządem Andrzeja Zamoyskiego,¹⁾ co wydaje się zupełnie nieprawdopodobnem; jest dalej twierdzenie Gillera o telegramie z Petersburga, nakazującym siłą złamać opór.

Wobec wielkiego rozdrażnienia, jakie panowało w kołach wojskowych, po wczorajszych wypadkach, przypuścić można, że nie Namiestnik, ale otoczenie jego, t. zw. Kamaryla Zamkowa pragnęła krwią ludu warszawskiego zmyć obelgi, wyrządzone wojsku i wyrzucić zemstę swoją na ofiarach może najmniej winnych.

Tak przedstawiało się położenie w nocy z 7. na 8. kwietnia. Nazajutrz według planu z góry ułożonego miało się odbyć najpierw zbratanie z Żydami na t. zw. kierkucie a następnie uroczysty i manifestacyjny pogrzeb Stobnickiego. Krzżeli się około tego głównie uczniowie Szkoły Sztuk Pięknych, najczczerwieńsi i najmniej rozważni.

W obec „tryumfu“ odniesionego w dniu wczorajszym, w obec ogólnego podniesienia umysłów i święta przyszło bardzo łatwo zebrać na cmentarzu żydowskim liczne zbiegowisko. Przemawiał rabin Kramsztyk na cześć zmarłego przed kilku laty dyrektora szkoły rabinów Eisenbauma, gorliwego zwolennika asymilacji Żydów, poczem odśpiewano „Boże coś Polskę“ i ruszono tłumem ku Zamkowi.

W mieście tymczasem, na ulicy Senatorskiej, przed kościołem Reformatów, zebrało się o godzinie 3ciej kilkanaście tysięcy osób na pogrzeb Stobnickiego. Trumnę, ozdobioną cierniowym wieńcem i trójkolorową szarfą obsypano kwiatami i poniesiono na rękach na cmentarz Powązkowski, gdzie cały orszak połączył się z wracającymi z kierkuta. Tak postępowano przez Krakowskie Przedmieście ku Zamkowi. Tu zebrała się już niewiadomo przez kogo sprowadzona niezbyt zresztą liczna gromada ludzi, między tem spory zastęp dziadów, których zwabiła pogłoska, że władze rządowe będą ubogim rozdawać pieniądze, złożone na rannych w dniu 27. lutego.

Na ten widok wystąpiło wojsko. Pięć kompanij piechoty uszykowało się przed Zamkiem, jazda, złożona z kubańskich Kozaków i konnych żandarmów stanęła na skrzydłach. Lud zachowywał się spokojnie a kilku poważniejszych obywateli i rozsądniejsza młodzież zaczęła nakłaniać tłum do rozejścia się. Tymczasem Nowakowski, zebrawszy swoich zwolenników, ukląkł przed figurą Matki Boskiej i zaintonował pieśń patryotyczną a w tym momencie zagrał pocztalion, wiozący kuryerkę do Lublina mazurek Dąbrowskiego, powitany niemilknącemi okrzykami.

Nagle zapanowała cisza. Z bramy Zamkowej wyszedł urzędnik Ojczyński z dwoma dobozami i oficerem, kazał uderzyć w bębny, a następnie po trzykroć według ustawy o zbiegowiskach odczytał wezwanie do rozejścia.

¹⁾ Daniłowski I. c. str. 46.

Wezwanie przyjęto wrzaskiem i, gwizdaniem, Ojczyński wrócił do Zamku a Chrulew rozkazał żandarmom rozpędzić zbiegowisko. Ci uderzyli, rąbiąc i płazując pałasami, ale, napotkawszy na silny opór, nie właściwie zdziałać nie mogli.

Tłum krzyczał, bronił się, chwilami ustępował i znów posuwał się naprzód; zewsząd wołano „stać, nie uciekać“ i śpiewając Święty Boże! stano rzeczywiście z jakąś dziwną zaciekłością, z pogardą śmierci, z bohaterstwem, godnem lepszej sprawy.

Po bezskutecznem natarciu jazdy, która spotkawszy procesję wracającą z Powązek, poraniła Bernardyna idącego z krzyżem na czele¹⁾, przysłała kolej na piechotę. Ale i ona także, mimo że żołnierze rozjuszeni bili kolbami i kłuli bagnietami na oślep nie zdołała rozpędzić zbitego tłumu.

Wtedy Chrulew, kazał nabić broń i po krótkiem oczekiwaniu zakomenderował ognia. Dano ogółem jedenaście salw, strzałów 484. Kule uderzając w zbitą masę, zrzuciły straszne spustoszenie. Ilość poległych obliczyć można w przybliżeniu na 200, rannych, co najmniej drugie tyle.

Lud stał lub klęczał, śpiewając pieśni nabożne i patryotyczne, odkrywał piersi na kule i bagnety, ale nie ustępował ani kroku.

Wrażenie było straszne, do głębi wzruszające, w pamięci tych co na tą scenę patrzyli, nigdy nie zatarte.

Wśród ogólnego popłochu szukano napróżno jakiegoś ratunku i ocalenia ginących marną śmiercią. Mieszczanstwo postanowiło wysłać deputację do Namiestnika, ale nie została dopuszczona. Doktor Chałubiński zwrócił się więc do Wielopolskiego. Zastał go przy herbacie, w towarzystwie Helcla i Enocha, opowiedział w krótkości co się w mieście dzieje i prosił Margrabiego aby udał się do Namiestnika i skłonił go do zaprzestania rzezi. Margrabia nie namyślał się ani chwili, nie pożegnał nawet żony, lecz rzekł do Helcla: „Jeżeli nie wrócę, powiedz pan mojej żonie, żem zrobił moją powinność“ poczem wsiadł z Enochem i synem Zygmuntem do karety i kazał jechać do Zamku. Chałubiński zajął miejsce na koźle i jemu zawdzięczał Margrabia ocalenie. Kiedy bowiem kareta zajechała na Krakowskie Przedmieście, pełne tłumu rozgorączkowanych, rozżalonych i zemstą dyszących, Piotr Umiński, urzędnik z Komisyi dla spraw wewnętrznych, wówczas na wskrós czerwony, domyślił się, że powóz wiezie Wielopolskiego i zaczął z całych sił wołać: trzymaj! Zatrzymano w istocie karete, pytając, kto jedzie? i dopiero na uroczyste zapewnienie Chałubińskiego, że nie Wielopolski, mógł Margrabia pojechać dalej. Mimo to ze wszystkich stron posypał się grad kamieni, które rozbijając szyby padały do wnętrza. Szczęściem siedzący w powozie odnieśli tylko rany od odłamków szkła.

Przed Zamkiem zatrzymało wojsko jadących powtórnie i puściło dopiero wtedy, gdy już strzelanina ustała.

O tem co mówił Margrabia z Gorczakowem, nic nie wiemy. Jego interwencya była spóźniona, a Namiestnik zostawał w tej chwili zupełnie pod wpływem Chrulewa, który mocno rozdrażniony zażądał zezwolenia na zaalarmowanie załogi warszawskiej i uzyskał natychmiast.

¹⁾ Krzyż opuszczony przez Bernardyna, miał podnieść młody Żyd, imieniem Landau. Według relacyi, jaką otrzymaliśmy z Paryża od jednego z naocznych świadków i uczestników katastrofy p. Józefa Ziemackiego, jest to podanie całkiem mylne, krzyż bowiem podniósł Karol Nowakowski.

Puszczono więc dwanaście rakiet z Zamku, zagrzmiały armaty z cyta-
deli i na ten znak spadły na miasto jak huragan zastępy jazdy, pospiesznym
krokiem maszerujące kolumny piechoty a za nimi z przeraźliwym łoskotem
działa, słowem ćma wojska, zapalonego gniewem, dyszącego zemstą, dzikiego
i w swoich zwierzęcych instynktach nieobliczalnego. Wszystko to rozsypało
się po placach i ulicach, biło, rąbało lub chwyciło przechodzących, wpadało
do domów wraz z policją dla szukania rannych i zabitych a w końcu
spoczęło przy biwakach skąd rozpalone na prędcie ogniska rzuciły blask
ponury na wyludnione i krwią zbryzgane ulice.

O godzinie 10 ej było już na mieście pusto i głucho a ciszę niezwykłą
w tej porze w Warszawie przerywały tylko nawoływania i miarowy chód
gęsto rozpuszczonych patroli.

Tak przeszła noc z 8. na 9. kwietnia. Nazajutrz przedstawiała Warszawa
widok miasta, szturmem zdobytego. Wojsko stało rozłożone po placach
publicznych, pod Zamkiem umieszczono armaty, wylotami skierowane ku
Krakowskiemu Przedmieściu, sklepy z obawy przed rabunkiem były
zamknięte, po ulicach snuły się gromady ciekawych, oglądające miejsce
wczorajszych wypadków, smutne, żałobne, płaczące.

Żołnierze zachowywali się dalej brutalnie, chwytali osoby, przybrane w ża-
łobę obdzierali wśród przekleństw, szyderstwa i szturchańców z czarnych sukien
i odznak; wyszedł nakaz zamykania szynków i kawiarni o godzinie 8 ej
wieczorem, jakoteż chodzenia z latarkami po godzinie 10 ej, co dawało oczy-
wiście powód do nowych szykan i prześladowań. Rannym podczas wczoraj-
szego strzelania nie wolno było ukazywać się na ulicach. Równocześnie
wydał Namiestnik odezwę, w której opisawszy zajścia w dniu 8. kwietnia,
jako wywołane przez ludzi „zaślepionych i niepoprawnych“ wzywał ludność
„w imię Boga, w imię uszanowania dla Monarchy, dla porządku towarzy-
skiego, dla prawa, dla szczęścia i honoru kraju“ do upamiętania, grożąc
wrazie przeciwnym stanem obłączenia.

Wszystkie te środki, dobrze znane w Warszawie i w całej Polsce od
lat kilkudziesięciu byłyby może odniosły jakiś skutek przed miesiącem ale
nie teraz gdy głowy się paliły a widok krwi niewinnie przelanej najumiar-
kowańszych nawet napędliał pragnieniem zemsty i odwetu.

Położenie stawało się skutkiem tego niezmiernie trudnem dla rządu
i narodu, ale najtrudniejszym jednak dla Wielopolskiego.

Na nim jako na osobistości wpływowej, do władzy powołanej, ciążyła,
według mniemania opinii, odpowiedzialność za wypadki wczorajsze, którym
zapobiedz nie umiał czy może nie chciał i on też był winnym krwi prze-
lanej. Zachodziło teraz pytanie jak się zachowa dalej i co uczyni?

Margrabia nie wahał się ani chwili. Dnia 9. kwietnia ogłosił w dzien-
nikach prawo o zbiegowiskach i wymógł na Namiestniku, aby aresztowanych
wczoraj (około 70 osób) odesłano do Modlina, gdzie mieli być sądzeni według
nowej ustawy a nie przez sądy wojskowe, a gdy Dyrektor Komisji Spra-
wiedliwości Wołowski sprzeciwił się temu z powodów czysto formalnych
choć i nie bez pobudek politycznych, postarał się o usunięcie go z urzędu
i sam objął tymczasowo kierownictwo tak ważnego w tym czasie Wydziału.

Dnia 10. kwietnia wypowiedział też natychmiast przy zwykłym przed-
stawieniu się urzędników sądowych głośną w swoim czasie mowę, mogącą
służyć za wzór krasomówstwa, ale bądź co bądź niezręczną i niepolityczną.

Rozpoczął ją od słów powszechnie znanych, bo często przytaczanych: „Ocalony w krwawem, niestety, starciu, teraz w nowe prawo uzbrojony porządek publiczny, w ręce wasze oddać przychodzi; waszą teraz jest rzeczą abyśmy to dobro społeczne dzierżyli odtąd w spokoju“.

W gruncie było to powiedzenie i piękne i słuszne tylko niezastosowane do chwili i do stanowiska Margrabiego.

W ten sposób i w tym tonie mógł odzywać się, albo prawnik z zawodu, który się do spraw politycznych nie miesza albo człowiek posiadający zaufanie społeczeństwa i wielkie a znane i uznane powszechnie dla kraju zasługi a nie Wielopolski, niemający z nikąd poparcia, uważany za pańslawistę, oddany rzekomo Rosyi, społeczeństwu obcy, dla sprawy narodowej jak się zdawało zupełnie obojętny.

Czyż można się dziwić zatem, że opinia publiczna przyjęła tę mowę z najwyższem oburzeniem, że Margrabiego zasypywano niemal listami anonimowemi, pełnemi groźb, wyzwisk i napaści do tego stopnia, że aż na jego żądanie Namiestnik kazał zamknąć do czasu pocztę miejską? On jednak nie zachwiał się ani na chwilę, postępowania swego ani na włos nie odmienił, o głos opinii nie troszczył się wcale, owszem starał się ją jakoby wyzywać i jątrzyć. Tak rozesłał do dzienników w dniu 12. kwietnia znane nam już motywa rozwiązania Towarzystwa Rolniczego, oparte na sofistycznym rozumowaniu i nie wolne od złośliwej ironii, tak, przegrawszy proces w trybunale kieleckim, dał, jako Dyrektor Komisji Sprawiedliwości dymisyę sędziemu Wojciechowi Biechońskiemu a dwóch jego kolegów przeniósł na inne posady.

Były to czyny rzucające cień na charakter człowieka, który, zajmując tak wysokie stanowisko, powinien był zachować powagę godności swojej odpowiednią i unikać nawet pozorów stronnictwa tam zwłaszcza, gdzie o jego własną chodziło sprawę.

Przeszkadzała mu w tem wrodzona duma i żyłka polemiczna, dziwna u człowieka tak rozumnego, upodobanie w dokuczaniu niemiłym sobie osobom jakoteż przeświadczenie, że po stłumieniu ruchu ulicznego, po „ocaleniu porządku“ zdoła reformy zamierzone z korzyścią dla kraju w życie wprowadzić i tym czynem obywatelskim i patryotycznym uśmierzyć niechęci, pociągnąć ku sobie uprzedzonych, przejednać zawziętych przeciwników i zasłużyć sobie na zaszczytną kartę w dziejach narodu.

Ale do tego było daleko.

Na przeszkodzie ambitnym ale niewątpliwie i zbawiennym dla narodu zamiarom Margrabiego stał przede wszystkim rząd, tam gdzie chodziło o sprawę polską zawsze podejrzliwy, zawsze z pozoru chwiejny a w rzeczy samej dwulicowy. Po smutnych wypadkach kwietniowych i po zasięgnięciu dokładnych wiadomości o całym zajściu, które Gorczakow w swoich raportach starał się przedstawić w jak najłagodniejszym świetle, postanowiono w Petersburgu wstrzymać na razie reformy ale zarazem pozostawić i Wielopolskiego i Namiestnika na ich dotychczasowych stanowiskach.¹⁾ Jeżeli ten zwrot dziwny i niezrozumiały wystarczał już aby spraliżować i uniemożliwić całą działalność Margrabiego, to taktyka władz miejscowych, idąca może za wskazówkami centralnego rządu, była niemniej szkodliwa. Kiedy Giecewicz, dyrektor Komisji spraw wewnętrznych wezwał władze cywilne, aby

¹⁾ Berg I. c., tom I., str. 285.

wszelkimi siłami starały się przywrócić spokój i porządek w kraju, rozesłał Gorczakow dnia 18. kwietnia tajny cyrkularz do wszystkich naczelników wojennych, w którym nadawał im niemal nieograniczoną władzę, zaznaczając zarazem, że na gubernatorach cywilnych polegać nie może.

Ta dwoista polityka, której skutki prędzej lub później musiały się ujawnić w samowoli władz wojskowych, utwierdzała opinią publiczną w mniemaniu, że system Wielopolskiego jest tylko dalszem ciągiem rządów dawniejszych a ogłoszone reformy środkiem na obalanie łatwowiernych umysłów, przyznawała słuszość tym, co utrzymywali, że z rządem najezdniczym, a zwłaszcza rosyjskim w żadne pakta i umowy wchodzić nie można, bo najuroczystsze jego obietnice, przyrzeczenia i koncesye są tylko ułudą lub objawem chwilowej słabości poza którą kryje się zawsze podstęp i reakcja.



Jaką zaś wartość i jakie znaczenie mają obecne reformy tego dowodzi organizacya Rady municypalnej Warszawskiej, ogłoszona w dniu 11. kwietnia. Nadaje ona nieograniczoną niemal władzę prezydentowi, który zwołuje posiedzenie Rady według swego uznania, może zawieszać wykonywanie uchwał przez nią powziętych, niedopuszczać do dyskusyi przedmiotu nie umieszczonego na porządku dziennym, czyli jednym słowem jest nie przewodniczącym autonomicznej reprezentacji miejskiej, lecz władzą zupełnie od Rady niezależną, rządzącą sprawami miejskimi całkiem dowolnie.

I że w tej argumentacji, jakkolwiek miała i ona słabe swoje strony, było wiele słuszości, tego zaprzeczyć niepodobna a zrozumieć łatwo, że w chwili ogólnego rozdrażnienia i powszechnej do Wielopolskiego niechęci, każdy zarzut jemu i jego polityce czyniony przyjmowało społeczeństwo z uznaniem i zadowoleniem, potępiając zarazem bez namysłu i zastanowienia nawet rzeczy dobre i rozumne.

Wiadomem było powszechnie, jak żywy udział brała młodzież szkolna w manifestacjach i awanturach ulicznych, jak odwykała coraz więcej od nauki i karności, a z zarozumiałością młodemu wiekowi właściwą, usiłowała narzucić swoje opinie i swoje kierownictwo całemu społeczeństwu.

Każdy rozsądny przyznawał niewątpliwie w duchu, że ta „pajdokracja“ jest w wysokim stopniu szkodliwą i niebezpieczną, ale gdy Margrabia zabrał się energicznie do przywrócenia karności szkolnej, gdy z powodu jaskrawych wybryków był zmuszony zamknąć kilka klas burzliwych i niesfornych, podniosły się zewsząd krzyki i narzekania na tyrańskie obchodzenie się z młodzieżą, na gaszenie ognisk oświaty, z których jednak korzystać nie chciano, i na prześladowania, przypominające rzekomo Mikołajowskie czasy.

Skutki tego zacietrzewienia i tej nierozsądnej pobłażliwości okazały się niebawmie. Po kilkunastu miesiącach bowiem Przegląd rzeczy polskich, wychodzący w Paryżu, pismo bynajmniej nie zachowawcze i nie reakcyjne, ale bardzo liberalne i mocno do czerwieńców zbliżone, widział się zmuszonym wystosować pod adresem młodzieży surowe ostrzeżenie i naganą.

„Młodzież — tak pisał — zwłaszcza w ostatnich czasach przerzuciła się w drugą ostateczność: ze zbytniego zaufania w niedowiarstwo ku starszym, poczęła działać na swoją rękę, nie pytając się o nikogo, potępiając nawet wszelkie postęпки reszty w narodzie, stanęła jako partya przeciwna wszelkim powolniejszym a pewnym reformom w organizmie naszym społecznym i politycznym, zapragnęła nagłego przewrotu bez względu na to, co potem się stanie. Nie zastanowiła się nad tem, że jej brak i wykształcenia naukowego i szkoły życia, bez których najświetniejsze marzenia i zapaly kuleją. Jak młodzież z jednego tak i z drugiego błędu wyleczyć się musi. . . . Dziś trzeba nam najprzód się uczyć i doskonalić w obranym zawodzie, trzeba nam zbierać mnogi materyał, aby kiedyś w publicznem życiu starczyło nam na budowę stałą, niezachwianą“.¹⁾

Rozumne niewątpliwie słowa, szkoda tylko, że tak bardzo spóźnione. W roku 1861 nikomu nie przyszło na myśl odezwać się w podobnym duchu, a chociaż byli zapewne ludzie ubolewający nad rozpolitykowaniem i niesfornością młodzieży, to nie mieli odwagi zdania swego w tym względzie otwarcie wypowiedzieć. Młodzież niedawno na wspólnę z Delegacją rządzącą miastem, młodzież nadająca ton manifestacyom ulicznym stała się potęgą, z którą, społeczeństwo, uczuciowo usposobione, dla młodego pokolenia zawsze pobłażliwe i słabe, zaczynało się liczyć coraz częściej, której powoli ulegać przywykało.

Objaw to był zresztą zupełnie naturalny, bo z chwilą kiedy wszystkie stronnictwa z dojrzałych złożone ludzi zostały pozbawione swojej organizacji i bezradne w biernem zamknęły się oczekiwaniu, młodzież w korporacyjnym ciągle zostająca ustroju miała zawsze i wszędzie łatwość porozumienia się i wspólnego działania, a podlegając wpływom czerwonych i skłonna do radykalizmu mogła liczyć na poparcie wszystkich żywiołów niezadowolonych, wszystkich umysłów gorących a nierozważnych, dusz zbolących, serc uczuciem przepełnionych, głów pocziwych, ale nieprzystępnych dla jakichkolwiek refleksyj, głuchych na głos rozsądku. Wypadki kwietniowe zamiast spodziewanego uspokojenia powiększyły jeszcze bardziej wzburzenie. Wprawdzie

¹⁾ Przegląd rzeczy polskich z dnia 31. października 1862 roku, str. 45.

Warszawa wydawała się dnia 9. kwietnia na zewnątrz „cicha, potulna, blada, bez kontuszów i konfederatek“, ale w głębi kipiała pragnieniem zemsty i odwetu a głosy prasy zagranicznej budziły nadzieję, że chwila ta niedaleka.

Daily News, organ ministra spraw zagranicznych, lorda Russela pisał: „reformy, jakie przed kilkoma tygodniami przyrzekł Aleksander II. nieszczęśliwym Polakom, w obec ostatnich wypadków, są po prostu złudzeniem; chciano tylko zyskać na czasie i nie więcej, a dziś maska już zrzucona, i od tej chwili zaliczony Aleksander II. do rzędu tyranów i ciemięzców rodu ludzkiego. Obowiązkiem zaś każdego oświeconego narodu w Europie będzie przeszkadzać jego okrutnym, niesprawiedliwym i barbarzyńskim zamiarom. . . . Długo Anglia i Francya przyglądały się w milczeniu wszelkim zbrodniom politycznym, dokonywanym na narodzie polskim. Ale już minął czas postępowania karygodnego; Rosya niech będzie przekonana, że mocarstwo zachodnie nie ścierpią, aby zbrodnie podobne się powtarzały“.

Jeszcze dosadniej, jeszcze groźniej odezwał się znany rewolucjonista rosyjski Hercen w swoim Kołokole rozpowszechnionym wtedy i czytany pilnie przez warstwy inteligentne w Rosyi, nawet, jak mówiono przez samego cara. „Hańba, hańba — wołał on, co za wzniosłość, co za poezya! Te kobiety w żałobie, ten pocztylion, grający „Jeszcze Polska nie zginęła“, ten widok prawdziwie średniowiecznych tłumów, klęczących u stóp Madonny, w obec dzikich zwierząt, w obec rozkiełzanych żywiołów ludowych.

Czytaliście to Aleksandrze Mikołajewiczu? Jeżeli to wszystko stało się mimo twojej woli, to wykryj winnych, oddaj ich pod pręgierz, albo zdejm koronę i idź do Monastynu na pokutę; dla ciebie niema już czystej sławy, ani spokojnego sumienia! . . . Pas des reveries Sire, straciłeś Polskę t.j. żywą, zarżniętą może pozostać trofeem zwycięskiego wojska Waszej cesarskiej Mości“.

We Francyi ogłosił hr. Karol Montalembert, po swojej podróży do Krakowa, gdzie mieszkał w domu Pawła Popiela i obracał się w kołach najbardziej wpływowych, broszurę pod tytułem „Naród w żałobie“ (Une nation en deuil)¹⁾ a księżniczka Janina Czetwertyńska, zachwycona życzliwym przyjęciem na dworze tujleryjskim pisała do przyjaciół swoich w Polsce: „Niebawem Europa cała wstrząśnie się z letargu i my obudzimy się dla szczęścia. Iz wielkiej burzy świata wypadnie grom. Ten grom będzie wolność słowiańska od Bałtyku do morza Czarnego . . . Wierzę najmocniej i najniezachwianie, przez dyplomacyą serca, iż Polska być musi“.

Głosy te dochodziły oczywiście rozmaitemi drogami do kraju, podnosiły serca, dodawały otuchy i utwierdzały społeczeństwo w mniemaniu, że przez manifestacye, śpiewy patryotyczne, przez natężenie wszystkich sił duchowych skruszy kajdany i otworzy przed narodem przyszłość jasną i promienną, że zdobędzie wolność i niepodległość.

Wszak nawet tak doświadczony mąż stanu i dyplomata, jak Ks. Adam Czartoryski wołał w ostatniem swoim przemówieniu w dniu 3. maja 1861 roku: „Nie schodź, o narodzie mój, z wysokiej strefy, na której cię ludy i mocarze muszą szanować. Na niej stale się utrzymując, bezpieczniejszy i pewniejszy jesteś widzieć swoją metę i do niej ciągle dążyć i zbliżać się“.

Ale ludzie trzeźwiejsi, w robotach politycznych doświadczeni i znający stosunki miejscowe, oceniali inaczej położenie. Oni widzieli, że ten nastrój

¹⁾ Wyszła w 1861 roku.

wysoki, podziwiany i oklaskiwany przez Europę, długo na tych wyżynach utrzymać się nie da, że nadejdzie niebawem chwila, gdzie gorętsze uczucia wezmą górę nad rozważą, gdzie trzeba będzie krzyż zamienić na oręż, modlitwę na pieśń bojową, a wtedy rozstrzygać będzie siła materyalna, będą rozstrzygać, mimo wszelkich deklamatorskich zapewnień Mierosławskiego, armaty i bagnety, wojsko regularne a nie masy chłopskie, obojętne i z nieufnością spoglądające na rozmodlone tłumy surdutowców.

Dla nich więc najwięcej znaczenia miały głosy prasy zagranicznej.

Bo jeżeli zapowiadały one, że mocarstwa zachodnie ujmą się za Polską, jeżeli rewolucyoniści europejscy i rosyjscy, Garibaldi i Hercen, otwarcie przyrzekali swoją pomoc i potępiali barbarzyństwa popełniane nad bezbronnym ludem Warszawskim, to nie ulega chyba wątpliwości, że gdy walka się rozpocznie nad Wisłą, natenczas znajdzie się niezawodnie i broń i pieńiądze, znajdują się siły i potężni sprzymierzeńcy, którzy dla wyjarzmenienia Polski poświęcą wszystko i krew i życie. Interwencya obca wydawała się niezawodną i „liczono na nią prawie na pewno“, jak wyznaje jeden z członków Rządu Narodowego.¹⁾

W takim zaś razie należy wcześniej przygotowywać umysły, organizować się i tworzyć kadry przyszłych bojowników.

Organizacya szczególnie wydawała się niezbędną.

Mysleli o niej i czerwoni i biali i ci, co uznawali konieczność powstania i ci co pragnęli naród od ruchu zbrojnego powstrzymać a przynajmniej odroczyć go na czas nieograniczony. I jedni i drudzy mieli do takiego działania podstawy i środki. Młodzież była wprawdzie podzielona na rozmaite kółka i kółeczka o różnych celach i zapatrywaniach politycznych, ale poczuwała się zawsze do pewnej solidarności, odbywała, jak to widzieliśmy, ogólne zebrania w amfiteatrze anatomicznym, a, co najważniejsza, pełniąc za czasów Delegacyi obowiązki policyjne niejako, pod nazwą konstabłów narodowych, posiadała rozległe stosunki w mieście i wielkie zaufanie pomiędzy warstwami rękodzielniczemi niemniej jak i w klasach średnich.

Z drugiej strony biali rozporządzali całą, silną i zwartą organizacyą byłego Towarzystwa Rolniczego, przewyższali czerwonych swoją powagą i znaczeniem w kraju, zamożniejsi o wiele, mogli mieć na swoje usługi i dziennikarstwo, które acz skrupowane do pewnego stopnia cenzurą, nie było bez wpływu na opinię publiczną i ludzi usposobionych i zdolnych do agitacyi tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Pierwsi o ile sądzić można, wzięli się do roboty czerwoni i z ich to inicjatywy wyszła odezwa pod tytułem: „Posłanie do wszystkich Polaków na ziemi polskiej“, opatrzona podpisem: „Mieszkańcy Warszawy“.

Autorem był Agaton Giller, Sybirak, wrócony niedawno z wygnania, obecnie redaktor Czytelnii niedzielnej, doświadczony spiskowiec, będący w stosunkach z mieszczaństwem Warszawskiem, z członkami Delegacyi i z stronnictwem białych, w zasadach umiarkowany i zbrojnemu powstaniu nawet przeciwny, a jednak niewykluczający bynajmniej ewentualności takiego ruchu.

On wie i rozumie, że „kuszenie się na zbrojne powstanie, bez poprzedniego obrachowania się i wyrobienia w sobie siły materyjalnej dzisiaj jest przedwczesnem“ ale wie także, że „nadejdzie czas zbrojnego wystąpienia

¹⁾ Daniłowski l. c. str. 213; porów. także str. 54.

i że wtedy, nie mając już kłopotu, sami w sobie mocni i zgodni a pewni zwycięstwa wystąpimy“.

Na teraz więc zaleca rodakom zgodę i miłość wzajemną, zachęca szlachtę do szybkiego oczynszowania a według możliwości i do uwłaszczenia włościan, aby waśń społeczną uśmierzyć i pozyskać zaufanie mas ludowych, które od rządu niczego spodziewać się nie powinny, bo ten rząd „ani jednej obietnicy nie dotrzymał i zawsze nas oszukuje“, każe Żydów uważać za braci i Polaków „choć innej wiary“, wstrzymywać się od zbytków, hulanki i niepotrzebnej wesołości, nosić żałobę, nie przemawiać nigdy do żadnego Niemca lub Moskala jego własnym językiem, nie szukać sobie chleba w wojsku lub jakiej innej „podłej służbie i zapewnia w końcu, że tą drogą postępując, „dojdziemy do szczęścia, do Polski wolnej i niepodległej“.

Taką była w ogóle treść „Posłania“, które Marcin Borelowski, znany później w powstaniu pod imieniem „Lelewela“ i mający wtedy w Warszawie pod swoją komendą z tysiąc pracujących, wydrukował po nocach w przeszło stutysiącach egzemplarzy i rozesał po całym kraju.

W gruncie rzeczy nauki zawarte w „Posłaniu“ Gillera były powszechnie znane i streszczały się właściwie w ogólnikach o potrzebie pracy organicznej, oszczędności, zgody i miłości, po za tem jednak wskazywały narodowi także kierunki, uniemożliwiające wręcz wszelkie kompromisy z rządami zaborczymi, prowadzące prostą drogą i to w najkrótszym czasie do zupełnego z nimi zerwania wszelkich stosunków i do wojny na śmierć lub życie.

Że podobne myśli mogły powstawać w zbolących duszach polskich, że takie programy układali zapewne nieszczęśliwi wygnańcy podczas długich nocy syberyjskich, to rozumieć łatwo, ale żeby ktoś w manifestie publicznym, w obec wrogów swoich, spowiadał się otwarcie ze swoich ukrytych zamiarów, żeby temu rządowi w oczy mówił, wszystko co mi dasz wezmę i przyjmę, dlatego, bo chcę się wzmocnić, na siłach pokrzepić, oręż przygotować i potem ciebie za dziesiątą górę wyrzucić, żeby zapowiadał, że żadne koncesye i ustępstwa go nie przejedną i że jego celem, prędzej czy później, jest zbrojne powstanie, do którego ten rząd właśnie ma dostarczyć środków — to już pojąć nie podobna. Ale w tych dziwnych czasach, w tym chaosie i obalamuceniu umysłów wszystko było możliwe. Gorączka czynu obejmowała coraz to szersze koła, opanowała klasę rzemieślniczą, inteligencję miejską, złożoną przeważnie z urzędników i duchowieństwa, liczną rzeszę wiejskich oficyalistów, wdzierając się już w karne szeregi byłego Towarzystwa Rolniczego, złożone z najbardziej konserwatywnych, jak się zdawało, żywiołów.

W Białej, na Podlasiu związał się t. zw. Komitet podwojewódzki, którego zadaniem było: rozbudzenie ducha narodowego pomiędzy ludem, obliczenie ludzi, na których w danej chwili liczyćby można, przygotowanie pojedynczych jednostek po myśli przewodniej Komitetu, to jest do propagandy powstańczej, urządzenie manifestacji po miastach, gromadzenie na odpusty ludu w celu propagandy i t. p.

Podwojewódzkim wybrano Bolesława Deskura, właściciela Horostyty, członka Towarzystwa Rolniczego z poleceniem, aby pojechał do Warszawy i porozumiał się tam z przywódcami partii ruchu.¹⁾

Ten prąd nurtujący społeczeństwo, groźny w skutkach swoich nieobliczalny wymagał koniecznie jakiegoś działania w jednym lub w drugim kie-

¹⁾ Pamiętniki Deskura, Materiały etc. tom II., str. 133.

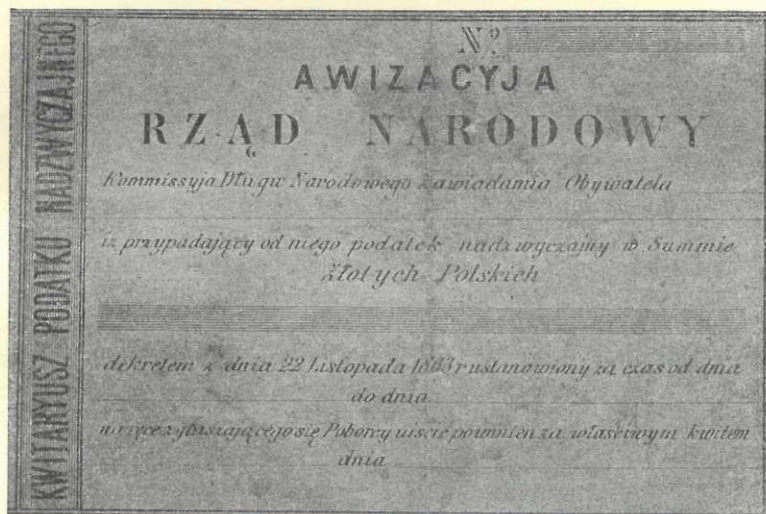


WOJSKO POLSKIE. Ostatnia praca WALEREGO ELJASZA.

runku a obowiązek taki ciężył, bądź co bądź, na żywiołach umiarkowanych, na ich moralnym przewodniku, Andrzej Zamoyskim.

Ale pan Andrzej, zrażony do Wielopolskiego i ulegający wpływom swego otoczenia, które po wypadkach kwietniowych zaczęło już także widocznie tracić cierpliwości i równowagę, dał się porwać ogólnej gorączce i stanął na czele organizacji powstańczej, obejmującej cały kraj.

W tym celu wydał też odezwę, tajną oczywiście, do obywateli i rozesłał nominacje dla Starostów wraz z instrukcją polecającą zbierać pieniądze, spisywać ludzi zdolnych do broni, obliczać broń myśliwską i ilość koni, potrzebnych dla przyszłej kawalerii powstańczej,¹⁾ niebawnie jednak, ochłonnawszy i przestraszywszy się tak dziwnego pomysłu, cofnął powyższe rozporządzenie, tłumacząc rozumnie tę zmianę tak, że gdy jest zupełna pewność otrzymania, drogą legalną wiele od rządu dla kraju, nie możemy ryzykować w nierównej walce losów całego narodu.



Po tym niewątpliwie szkodliwym epizodzie, nastąpił zwrot w działaniu białych. Zaczęto myśleć o jakiejś ogólnej organizacji, nie powstańczej w prawdzie ale zawsze politycznej.

Inicjatywę do tego miał dać tryumwirat, utworzony na wiosnę 1861 roku a złożony z Jurgensa, Józefa Grabowskiego i Karola Majewskiego.²⁾

Pod jego wpływem odbył się w okolicach Częstochowy, w Żytnie, wiosce należącej do Zygmunta Siemieńskiego zjazd na którym postanowiono utworzyć związek „Konfederacyą“ nazwany podlegający radzie „mężów zaufania“, wybranych po jednemu z każdej gubernii czyli t. zw. Delegacyi Narodowej.³⁾ Ci mężowie zaufania mieli też wypracować program i zasady organizacji narodowej obejmującej całą Polskę. Na razie Delegacya składała się z Jurgensa, Kronenberga, Aleksandra Kurtza, Goltza, Tadeusza Eydzia-

¹⁾ Tamże str. 135.

²⁾ Zeznania Majewskiego.

³⁾ Tamże.

nad tem, że umysł tak potężny nie posiadał doświadczenia w życiu politycznym, że Wielopolski, stworzony do władzy i rządzenia, w obejściu z ludźmi, w ich traktowaniu i w wyborze środków okazywał zdumiewającą niezręczność i dyletantyzm.

Niezręcznością bowiem było polemizować z dziennikami zagranicznymi w osławionej i niemającej żadnego wpływu *Gazecie policyjnej*, dyletantyzmem spuszczać się na to, że prasa polska, informowana z kół czerwonych Warszawskich zdoła ocenić należycie stosunki w Królestwie. Otóż Margrabia w tym względzie właśnie nie czynił żadnych prawie starań: ograniczył się tylko do interwencji Helcla, którego wpływy nie były snąć wystarczające do nawrócenia *Czasu* na drogę rozsądnej i umiarkowanej polityki. Korespondencye Warszawskie *Czasu*, pisane przez Gillera, stanowczo nieprzychylnie Wielopolskiemu budziły w szerokich kołach publiczności polskiej nieufność do niego i do jego systemu.

„Każde aresztowanie — tak wyraża się historyk tego dziennika¹⁾ — czy to za burdę uliczną, czy za czyny karygodne, dorastała tam do rozmiarów gwałtu, tyranii i męczeństwa. Wszelkie zaś ustępstwa i choćby najdonioślejsze reformy, przechodzące o wiele miarę tych, jakich się Galicya spodziewać mogła, opatrzone są stale przymiotnikami „udane“, „pozorne“, „połowiczne“, z dodatkiem, że nie przedstawiają żadnych rękojmi, że zaspokoić kraju nie są w stanie“.

Wielopolski usiłował najpierw te zarzuty odpiarać i zbijać, później nadsyłać sprostowania i zaprzeczenia, które *Czas* z polecenia policyi krakowskiej umieszczał na czele dziennika, a gdy to nie skutkowało chwycił się rozpaczliwego prawdziwie środka i w dniu 12. czerwca wzbronił *Czasowi* wstępu do Królestwa i cesarstwa, czem wzmógł tylko wpływ jego i poczytność ze szkodą dla siebie a z pożytkiem dla czerwieńców. Nie lepszy skutek miały usiłowania zmierzające do tego, aby powstrzymać duchowieństwo od udziału w ruchu i położyć koniec śpiewaniu pieśni patryotycznych w kościołach. Napróżno umieścił Margrabia w dziennikach komunikat, w którym podnosił, że, śpiewy te, nie aprobowane przez kościół i rytuałem kościelnym nie objęte, niepokojąc umysły ostatnimi wypadkami rozdrażnione, podniecają lud do naruszania porządku publicznego“, napróżno w drodze urzędowej już w dniu 22. kwietnia zwracał uwagę władz dycyzyalnych na przeciwne prawu postępowanie niektórych duchownych i na konieczność bezzwłocznego przedsięwzięcia przeciw temu środków, napróżno wreszcie w reskrypcie z dnia 16. maja żądał od arcybiskupa Fijałkowskiego, aby dla uspokojenia wzburzonych umysłów wydał list pasterski i polecił duchowieństwu archidiecezyi Warszawskiej użyć wszelkiego wpływu swojego przez stosowne nauki z ambon, celem położenia tamy nieporządkom, powodowanym przez śpiewanie w kościołach pieśni nie należących do Mszy św. bo arcybiskup, po naradzie z przełożonymi klasztorów i proboszczami parafij warszawskich, oświadczył najpierw, że śpiewy patryotyczne były dawniej drukowane w książkach do nabożeństwa, aprobowanych przez władzę duchowną, że śpiewała je młodzież szkolna przed rokiem 1830 w dni świąteczne i galowe, że obecnie śpiewa je lud z pewnemi zmianami i z dodaniem strof, wyrażając w nich swą boleść i rozdrażnienie, a następnie odmówił wydania listu pasterskiego z powodu, że natenczas „lud straci zaufanie do

¹⁾ Ludwik Dębicki, *Jubileusz Czasu*. W Krakowie 1899; str. 237.

kapłanów, naukami ich wzgardzi i może zaniedbać wykonywania obowiązków religijnych i przystępowania do Sakramentów św. z wielką szkodą religii i dusz swoich“.

Położenie biskupów było w istocie bardzo trudne, bo duchowieństwo niższe sprzyjało ruchowi i brało żywy udział w manifestacjach, bądź z źle zrozumianego patriotyzmu, bądź dla zyskania popularności bądź też z obawy przed prześladowaniem, jakiego doznawali księża umiarkowani i demonstracyom przeciwni. Wszak w Płocku, gdy podczas nabożeństwa majowego zaczęli śpiewać „Boże coś Polskę“ a proboszcz miejscowy ks. Szanior zamknął Najświętszy Sakrament i niedokończywszy nabożeństwa wyszedł z kościoła, powstała taka awantura, że administrator dyecezyi znany nam już ks. Myśliński, przyrzekł proboszcza usunąć i wypowiedział przytem mowę tak gorąco patriotyczną, że cała publiczność zanosila się od płaczu.

Nic dziwnego zatem, że wśród podobnych stosunków najśmielsi nawet tracili odwagę, że wyższe duchowieństwo czuło się bezsilnem.

W tej nadziei, jak przyszłość okazała płonnej, nie ustawał Wielopolski w pracy nad odrodzeniem kraju i w połowie maja przedłożył Gorczakowowi memoriał do cesarza, w którym domagał się dalszych reform. Żądał aby ustanowiono w Warszawie Sąd najwyższy, wprowadzony niegdyś przez Konstytucję 1815 roku a utrzymany w Statucie organicznym, prosił o przywrócenie dawnego podziału Królestwa na osiem Województw jakoteż języka polskiego w urzędach, o pozwolenie noszenia dawnych mundurów obywatelskich, używania o pieczęci herbu Królestwa, wreszcie o zaprowadzenie na ogół mundurów w barwach narodowych.

Wszystkie te postulaty uzasadniał bardzo rozumnie i dodawał trafnie, że w razie spełnienia tych życzeń usprawiedliwionych „będzie się w kraju coraz więcej utrwalać ufność ku rządowi J. C. Mości, a co do mnie, dumny będę, iż mogę poświęcić me życie służbie wielkiego Monarchy“.

Opatrzność Boska wynagrodzi J. C. Mości, że przyczynił się do rozwoju i szczęścia mej Ojczyzny, udzielając mu panowanie pełne chwały“.

Jakoż zdaje się nie ulegać wątpliwości, że powyższe reformy mogły mieć wielki wpływ na uspokojenie kraju, że te zewnętrzne odznaki, herby polskie, mundury narodowe, zastąpienie gubernij Województwami, działając na wyobraźnię tłumów, byłyby o wiele większe sprawiły wrażenie niż najlepiej obmyślane ustawy, których znaczenia i doniosłości ogół nie umiał należycie ocenić.

Ale nieszczęśliwy zbieg okoliczności zniweczył i tym razem zamiary Margrabiego.

Gorczakow, od dłuższego czasu już cierpiący, zachorował obłożnie, stracił do reszty wszelką energią i zdolności do czynu, zubożył zupełnie i popadł w stan apatyczny, poprzedzający agonią. Memoriał Wielopolskiego nie doczekał się więc poparcia Namiestnika, nie został nawet wysłany do Petersburga. Gasnącego starca zastąpił tymczasowo generał-adjutant Marchelewicz, miał zastąpić później dotychczasowy minister wojny generał Suchozanet, ale przybycie jego poprzedziła katastrofa. Dnia 30. maja zakończył życie Gorczakow w dawnej rezydencji W. Ks. Konstantego, w historycznym Belwederze.

Zabrakło człowieka, który obok wad i ułomności, różnił się od innych dygnitarzy rosyjskich prawością charakteru i życzliwem dla kraju usposobieniem.



Rozdział siódmy.

SUCHOZANET. — SEZOSTRIS, JEGO CHARAKTERYSTYKA I DZIAŁALNOŚĆ. — OKÓLNIAK Z DNIA 9. LIPCA. — OPOZYCYA WIEŁOPOLSKIEGO. — ZATARG NA POSIEDZENIU RADY STANU. — ŚMIERĆ CZARTORYSKIEGO. — NABOŻENSTWO ŻAŁOBNE. — WIEŁOPOLSKI PODAJE SIĘ DO DYMISYI. — LAMBERT.

Kwestya wyznaczenia następcy po Gorczakowie zatrudniała od pewnego czasu już koła rządowe w Petersburgu. Znano tam dobrze jego charakter chwiejny i nieporadność, brak zmysłu orientacyjnego i optymizm z jakim oceniał wypadki Warszawskie, w początkach choroby, która go powaliła otrzymano denuncyacyę gen. Kotzebuego, potępiającą i Namiestnika i cały system rządowy a zalecającą przywrócenie dawnego systemu z bezwzględna represyą i zaniechaniem reform niewczesnych i nie prowadzących do celu.

Intryga nie odniosła skutku. Kotzebue otrzymał 11 miesięczny urlop, co się równało zupełnemu uwolnieniu, a Gorczakow radę, aby na pewien czas udał się do kąpiel dla wzmocnienia sił.¹⁾ Po za tem szukano nowego wielkorządcy.

I tu okazał się brak ludzi na tak wysokie, odpowiedzialne i trudne stanowisko. Nie było właściwie nikogo. Tuczokow, generał-gubernator Moskiewski wymówił się nieznajomością kraju, jego administracyi skomplikowanej, wreszcie i tem, że nie posiada ani wiadomości politycznych, ani dyplomatycznych ani daru słowa.

Wzięto więc pierwszego lepszego z brzegu, wysokiego dygnitarza, dotąd ministra wojny, Mikołaja Onufrowicza Suchozaneta. Pochodził on z rodziny polskiej, osiadłej niegdyś w Województwie Witebskiem, umiał po polsku, przebywał za czasów Paskiewicza w Warszawie a jako generał artyleryi, był według wyobrażeń rosyjskich uzdolnionym do wszystkiego.

W istocie, ograniczony na umyśle, nie posiadający wykształcenia, odpowiedniego tak wysokiemu stanowisku, jak wszystkie głowy ciasne, bardzo zarozumiały, był Suchozanet najpospolitszym typem generałów z epoki Mikołajowskiej, zupełnie do rządów w czasach tak burzliwych niezdolnym.

¹⁾ Berg, tom I., str. 295.

Przybywszy do Warszawy z zamiarem „obciosania“ Polski, jak się wyrażał, okazał na początku już zdumiewający brak taktu, w działaniu nieznamość stosunków i położenia. W obejściu szorstki a nawet gburowaty, z postawy i powierzchowności śmieszny, w Petersburgu nazywany Saturnem, zjadającym generałów, których gromadnie posyłał w odstawkę, w Warszawie, znany powszechnie pod imieniem egipskiego Sezostriśa, wskrzesił on czasy Konstantynowskie, przelatywał po ulicach otoczony eskortą czerkieską, zaczepiał przechodniów, kazał zdejmować przed sobą czapki, łąjał noszących czamarki i stroje narodowe, odbywał ciągle przeglądy wojska, sądząc, że temi środkami uspokoi kraj do gruntu wzburzony i telegrafował do cesarza dzień za dniem, że dzięki Bogu w mieście spokojnie.

Tymczasem działo się wręcz przeciwnie. Po śmierci Joachima Lelewela, który swój żywot tułaczy zakończył w Paryżu dnia 29. maja 1861 roku zaczęto urządzać w całym kraju nabożeństwa żałobne, jako wyraz żalu po wielkim uczonym i patryocie ale zarazem także jako manifestację przeciw rządowi, służącą celom agitacyjnym. Lelewel bowiem, niegdyś członek Rządu Narodowego podczas listopadowej rewolucyi, skazany na śmierć przez Mikołaja, nieprzejednany wróg Rosyi, reprezentant Polski, walczącej o niepodległość w granicach z roku 1772 był w tej chwili symbolem dążeń i pragnień tych, co odrzucając wszelkie kompromisy z obcym najazdem, marzyli o wskrzeszeniu wielkiej, niepodzielnej Ojczyzny.

Toż nie dziwnego, że w mowach, wygłaszanych przy egzekwacjach brzmiała nuta uwielbienia zmarłego, nastrojona na ton wysoce polityczny, że rabin Jastrow w synagodze porównywał Lelewela z Mojżeszem, wiodącym swój lud przez pustynię smutku i niedoli do ziemi obiecanej a kaznodzieja ks. Bułhak w Wilnie radził żeby „nie upadać na duchu, wierzyć stale i niewzruszenie w przyszłość lepszą i szczęśliwszą a śmierci się nie obawiać, bo „każdy musi umrzeć a lepiej umrzeć za Ojczyznę, co wysoko jest cenione tam w niebiosach i tu na ziemi“.

Za tą demonstracją poszły wnet dalsze: nieustające śpiewy patryotyczne, jak dawniej przed figurą Matki Boskiej na Krakowskim Przedmieściu, na placu Bankowym, w kościele Reformatorów, kocie muzyki, bicie „szpiegów“ lub takich, których o szpiegostwo podejrzrywano. Przykład stolicy naśladowała gorliwie prowincya. W Suwałkach, w Płocku, w Lublinie, w Ostrołęce, w Mławie, za Niemnem, w Kownie i w Wilnie, brzmiały hymny narodowe, odbywały się nabożeństwa patryotyczne. W Białymstoku przyjmowano ostentacyjnie Andrzeja Zamoyskiego, obsypywano go kwiatami, odjeżdżającego żegnano okrzykiem: „niech żyje pierwszy obywatel polski“. Była to manifestacya skierowana oczywiście nie tyle może przeciw rządowi co wymierzona przeciw Wielopolskiego, który w tej chwili właśnie ściągnął na siebie całkiem niesłusznie zresztą gromy opinii publicznej.

Niezadowolony z rządów Nowego Namiestnika, w głębi ducha potępiający jego nietaktowne postępowanie i cały system działania bezmyślny i niedorzeczny, ale nie mogąc złemu przeszkodzić i w nadziei, że ten stan tymczasowy nie potrwa długo, zajął się Margrabia przede wszystkim sprawą najważniejszą t. j. reformą wychowania publicznego.

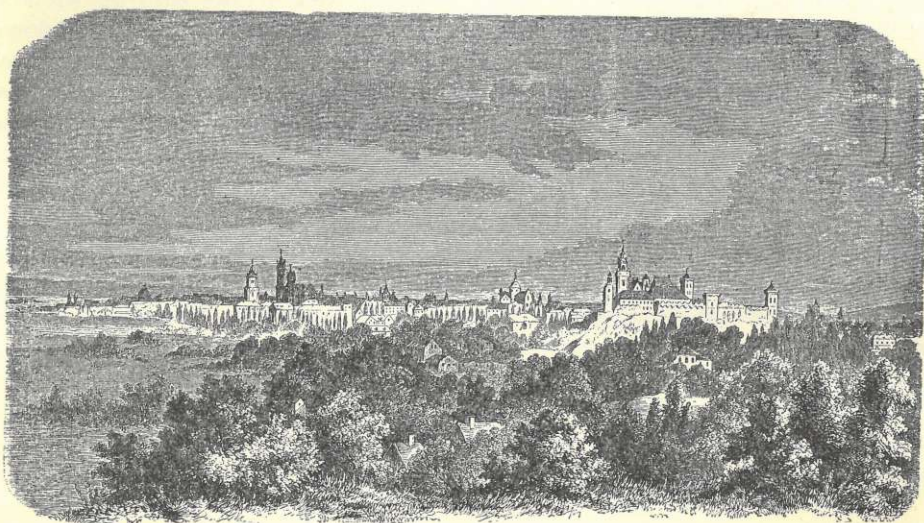
Zorganizowawszy jako tako Komisję Wyznań i Oświecenia i zawezwawszy do pomocy znakomitego powieściopisarza, doświadczonego pedagoga i długoletniego wizytatora szkół Józefa Korzeniowskiego a do z reformowania zakładów

technicznych i agronomicznych Przysańskiego, dyrektora instytutu w Marymoncie, utworzył on Radę wychowania, złożoną z 25. osób znanych zaszczytnie z pożytecznej i gorliwej pracy dla kraju i wezwał obok zwierzchników szkół wszystkich wybitniejszych uczonych do przedkładania projektów o reformie edukacyjnej.

Każdy, obznajomiony z przedmiotem przyzna, że rzecz tak ważna wymagała namysłu, gruntownej i mozolnej pracy, doświadczenia i co za tem idzie dłuższego czasu.

Ale gorączkowo usposobione społeczeństwo nie pojmowało ani ważności sprawy ani trudnych warunków wśród jakich reorganizacja szkół dokonywać się miała.

Zaślepienie nienawiścią do Wielopolskiego umysły nie umiały odróżnić pożytecznej jego pracy od błędów niebacznie popełnionych, ziarna od plewy,



Nr. 40. Kraków.

a tem mniej jeszcze ocenić bezstronnie to co zdziałał i mógł zdziałać dla dobra kraju.

Dzienniki Warszawskie unosiły się więc nad Cavourem, nie wiedząc czy nie chcąc wiedzieć, że ten wielki mąż Stanu zgola w odmiennych znajdował się warunkach, że miał za sobą bagnety piemontkie i pomoc sąsiedniej Francji, gdy Polska nie posiadała ani siły zbrojnej ani sprzymierzeńców, a korespondenci Warszawscy do gazet zagranicznych wtórowali tym płytkiem wywodom, rzucając na Margrabiego rozmaite podejrzenia, podając w wątpliwość najlepsze jego zamiary.

W chwili gdy Dietl, wybrany w roku 1861 rektorem uniwersytetu krakowskiego, w mowie inauguracyjnej określił szeroki program zreformowania Jagiellońskiej szkoły, rozpisywał się o tem Czas z uznaniem i zadowoleniem traktując równocześnie reformy Wielopolskiego obojętnie i nieżyczliwie i umieszczając o nim wszystkie plotki, jakie korespondenci Warszawscy z gorliwością, godną lepszej sprawy nadsyłali. Łatwo zrozumieć, że Margrabia czuł się tą niemądrą taktyką słusznie dotkniętym, że poszu-

kiwał autorów piszących do *Czasu*, i że przekonawszy się dowodnie o winie literata Wacława Szymanowskiego, współredaktora *Tygodnika ilustrowanego*, zastosował do niego artykuł 634 Kodeksu kar głównych i poprawczych i wysłał niefortunnego korespondenta na mieszkanie do Białej na Podlasiu.

Szymanowski stał się oczywiście męczennikiem, cierpiącym za sprawę narodową i przedmiotem uwielbienia, wcale niezasłużonego.

Jeszcze więcej hałasu narobiła sprawa znanego w piśmiennictwie Kazimierza Władysława Wójcickiego. Dzięki protekcyi swego kuzyna został on archiwistą Senatu sprawiedliwości i zarządcą drukarni tego wydziału z pensją 6000 złp., jak na owe czasy wcale dostatnią. Mimo to jednak dopuszczał się na swoim urzędzie rozmaitych nadużyć, jako że był człowiekiem charakteru dość wątpliwego.

Wielopolski, zostawszy dyrektorem Komisji sprawiedliwości i zbadawszy rzecz całą, dał Wójcickiemu dymisyę.

Opinia publiczna uważała ten wymiar kary, zupełnie słuszny za zemstę osobistą, bo Wójcicki występował przeciw Margrabiemu w sporze o zapis Świdzińskiego i był nadto podejrzany o pisywanie korespondencyi do *Czasu*.

Tak jak Szymanowski, wyrósł Wójcicki nagle na bohatera. Ludwik hr. Krasieński ofiarował mu posadę bibliotekarza w ordynackiej Opinogórze z placą 3200 złp. rocznie, szlachta wybrała go ogromną większością głosów prezesem Komitetu listów zastawnych w Towarzystwie kredytowym ziemskim, a literaci za staraniem Adolfa Hennela wydali na korzyść rzekomo pokrzywdzonego książkę zbiorową, w której, obok głośniego „Tyrteusza Anczyca” znalazły się artykuły Jul. Bartoszewicza, Deotymy, Kraszewskiego, Przeździeckiego, Bohdana Zaleskiego i kilkunastu innych pisarzy. Książkę wydrukowali drukarze warszawscy za darmo.

Było to nie uznanie zasług drugorzędnego autora, ale znowu manifestacya wymierzona przeciw Wielopolskiemu, akt politycznej zemsty, zgoła nieuzasadniony i dający, bądź jak bądź, smutne świadectwo moralności publicznej. Nikt nie rozumiał czy rozumieć niechciał, że zwalczając zawzięcie Polaka, zajmującego wysokie w kraju stanowisko, działa według myśli przeciwników autonomii Królestwa i zdeklarowanych wrogów narodu polskiego, że jest sprzymierzeńcem Kamarylli Zamkowej, która wzdychała do powrotu Paskiewiczowskich czasów i wszelkie reformy uważała za szkodliwe nie tyle dla interesów państwa co dla swoich własnych. Jakoż dowiodły tego niebawnie fakta, dzikie rządy generała Rudanowskiego w Suwałkach i Rożnowa w Plocku a wreszcie okólnik Suchozaneta z dnia 9. lipca, wydany wbrew cesarskiemu ukazowi, bez wiedzy Rady Administracyjnej, oddający według postanowień o stanie wojennym z 1833 roku wszelkie wykroczenia przeciw porządkowi publicznemu sądom wojskowym znoszący tem samem niejako ustawę o zbiegowiskach z dnia 8. kwietnia jakoteż ingerencyę sądów cywilnych.

Wielopolski protestował wprawdzie przeciw takiemu oczywistemu pogwałceniu ustaw obowiązujących, ale Namiestnik, despotyczny z usposobienia i znałogu a przytem, podburzony przez otaczających go generałów nie zważał ani na protesty ani na przedstawienia.

Tymczasem według ukaz, ogłoszonego w dniu 18. czerwca przyszło do zorganizowania Rady Stanu, Rad miejskich, gubernialnych i powiatowych.

Jakkolwiek Rada Stanu została w działaniu swoim bardzo ograniczona i władzy wykonawczej nie posiadała wcale, to była jednak instytucją pożyteczną i mogła stać się z biegiem czasu jeszcze pożyteczniejszą.

Należała do niej, jak wiadomo, kontrola nad sprawami finansowemi i administracją, spory o jurysdykcję i w kwestyach celnych, przyjmowanie i roztrząsanie zażaleń na nadużycia popełnione przez urzędników.

Przy panującej dotychczas samowoli władz administracyjnych i tak częstem w Rosyi marnowaniu grosza publicznego, miały te atrybucye, przyznane Radzie Stanu, nie małe znaczenie i Wielopolski uczynił słusnie, gdy w komunikacie, umieszczonym we wszystkich dziennikach z naciskiem wskazywał na ową możność podawania skarg „przez zbioru osób prywatnych, prawnie uznane“, objaśniając zarazem, że są to wszystkie stowarzyszenia przemysłowe i handlowe, korporacye cechowe, dozory kościelne, szpitalne, bożnicze itp. a zapewne także i bractwa pobożne i resursy.

Ale takich wywodów nie rozumiał ogół, zajęty manifestacyami, wyprawianiem kocich muzyk i biciem „szpiegów“, nie pojmował tłum ciemny ani młodzież, wychowana według systemu rosyjskiego, nie wykształcona i zaszczepiona całą swoją mądrością polityczną na urządzaniu demonstracji i awantur ulicznych.

W sferach urzędniczych zresztą, jakiegokolwiek one były, polskie czy rosyjskie, nie mogła się oczywiście podobać właśnie ta kontrola Rady Stanu, wykonywana pod przeważnym wpływem Wielopolskiego.

Ustanowienie Rady Stanu przyjęto więc na ogół obojętnie. Trzeźwiejsza część społeczeństwa oceniała rzecz cokolwiek inaczej. Klemensowczycy, wyżsi wykształceniem i politycznie doświadczeni, postanowili jednomyślnie wziąć udział w nowej instytucji i skłonili Andrzeja Zamoyskiego do wstąpienia do Rady Stanu, jeżeli zostanie jej wiceprezesem.

Nie przyszło jednak do tego. Wśród członków Rady Stanu, mianowanych dnia 3. lipca, znaleźli się ludzie zacni i rozumni, nie znalazł się Zamoyski.

Uroczyste otwarcie magistratury dało natomiast powód do dalszych zatargów pomiędzy Wielopolskim a Suchozanetem. Namiestnik przy obiedzie, wyprawionym na cześć członków Rady, witał ją jako wyraz „potrzeb i interesów kraju“. (*besoins et intérêts du pays*), co Wielopolski, w sprawozdaniu przesłanem do dzienników wytłumaczył przez „potrzeby i życzenia kraju“.

Z tej drobnej niedokładności powstała wielka awantura. Suchozanet w niesłychanem ograniczeniu swoim nie rozumiał z początku różnicy w przekładzie, podburzony następnie przez Kamaryllę generałów zapytał szorstko Margrabiego, z jakich powodów, dopuścił, będąc Dyrektorem Komisji Wyznań i Oświecenia i Prezesem Komitetu Cenzury, do przekręcenia słów Namiestnika? Wielopolski w odpowiedzi swojej powołał się na cyrkularz kanclerza Gorczakowa z dnia 2. kwietnia, w którym jest mowa o „potrzebach i życzeniach kraju“ a w końcu dodał, że od chwili wstąpienia swego do urzędu sam zwrotu takiego zwykle używa.

Suchozanet połknął wprawdzie pigułkę, ale wnet pojawiła się w belgijskim „Nordzie“ inspirowana korespondencya z Warszawy z protestem przeciw podobnemu tłumaczeniu słów Namiestnika.

Obie strony stały tak na stopie wojennej przeciw sobie. Margrabia ujmował się za osobami zesłanemi przez satrapę Rudanowskiego w Suwałkach, do fortec rosyjskich, co nowym obowiązującym prawom się sprzeciwiało, Suchozanet odpowiadał ostro i na posiedzeniu Rady Stanu przyszło stąd do ostrej wymiany zdań, przyczem jeden tylko z członków, nie Polak, Funduklej, poparł silnie Wielopolskiego.

Margrabia pokrywał całkiem niepotrzebnie to zajście tajemnicą, tak że publiczność, nie wiedząc co się za kulisami dzieje, trwała dalej w swoich uprzedzeniach i wszystkie błędy i gwałty popełniane przez naczelników wojennych przypisywała Wielopolskiemu, przeceniając wpływy i władzę, której w rzeczywistości nie posiadał.

Był to znowu z jego strony błąd, z dumy, bo zapewne nie z zbytniej skromności wynikający, błąd, szkodliwy zarówno dla jego osoby jak i dla sprawy narodowej, bo jawność zastosowana w tym wypadku mogła wpłynąć na zmianę opinii publicznej i uczynić popularnym powszechnie a niesłusznie znienawidzonego.

Tak jednak, w obec nieświadomości ogółu, nie ustawało wzburzenie i nie ustawały manifestacye, skierowane nie tyle przeciw Sezostrysowi, z którego drwiono niemal publicznie, co przeciw Wielopolskiemu, który oddawszy się, jak mniemano na usługi rządu, jest inicjatorem wszelkich nadużyć, ucisku i prześladowań.

Tymczasem nadeszło przesilenie.

Dnia 15. lipca 1861 roku umarł w Montfermeille, pod Paryżem Ks. Adam Czartoryski. Niegdyś zakładnik na dworze Katarzyny II., później serdeczny przyjaciel Aleksandra I., zawsze i wszędzie gorliwy i niestrudzony orędownik sprawy polskiej, zasłużony kurator uniwersytetu wileńskiego, Prezes Rządu Narodowego w roku 1831 a w końcu wygnaniec i przedstawiciel ujarzmionej Polski w obec Europy, był on osobistością, dla młodego pokolenia tak dobrze jak nieznana.

Cóż mógł zresztą obchodzić takich Frankowskich, Nowakowskich lub Szachowskich, tylokrotnie przez demokrację polską sponiewierany, od czci i wiary odsądzony, upominający się o dotrzymanie traktatów z 1815 roku, gdy wódz „zmarłychwstały“ i rozmaici Darasze przyrzekali święcie odbudować Polskę od morza do morza?

Z tem wszystkiem i dla tych głów zapalczywych zgon tego blisko stu-letniego starca nastroczał sposobność do ulubionej manifestacji. I jeżeli przed kilku miesiącami nie wahano się uczcić pamięć generała Chrzanowskiego, który w kołach emigracyjnych, zwłaszcza demokratycznych, miał opinię reakcyonisty, wstecznika i niemal zdrajcy, to dla czegoż nie mianoby okazać swoich sympatyj skazanemu na śmierć i konfiskatę majątku przez rząd rosyjski. Margrabia przewidując zamiary czerwieńców, postąpił bardzo rozsądnie i zawiadomił w drodze urzędowej arcybiskupa Fijałkowskiego, że władza nie sprzeciwia się wcale odprawieniu nabożeństwa żałobnego za duszę zmarłego a prosi tylko aby obchodów podobnych nie urządzano w całym kraju. W ten sposób odjęto egzekwiom cechę demonstracyjną. Nabożeństwo zapowiedziane w dziennikach przez arcybiskupa, odbyło się z wielką uroczystością w katedrze św. Jana dnia 22. lipca, spokojnie i bez śpiewów patryotycznych. Publiczność wszystkich stanów zebrała się tłumnie; nie brakowało Żydów, byli Klemensowczycy z Andrzejem Zamoyskim na czele,

był i Zygmunt Wielopolski. Po nabożeństwie jednak urządzono wielką demonstrację na cześć Fijałkowskiego. Młodzież wyprzegła konie od powozu i zaciągnęła go własnymi rękami aż do pałacu.

Okazało się, że polityka Margrabiego w tym wypadku była trafna i rozumna i tak też zapatrywał się na nią cesarz. W zamku atoli powstało oburzenie. Suchozanet, zadowolony zrazu, zmienił wnet zdanie i zaczął czynić Wieloposkiemu ostre wyrzuty. Ten dotknięty słusznie gburowatym tonem Namiestnika podał się dnia 26. lipca do dymisyi.

Do tej ostateczności skłoniły go nie względy osobistej natury, nie chwilowe rozdrażnienie, lecz głębsze powody polityczne. Widział on bowiem, że postępowanie Suchozaneta, było od początku niezgodne z usposobieniem cesarza i petersburskich sfer rządowych: podejrzywał, że Namiestnik posiada jakieś tajne instrukcje i że działa według nich w celu obalenia Wielopolskiego.

Należało zatem rzecz wyjaśnić, należało przekonać się czy Margrabia miał być tylko narzędziem a zamierzone reformy blichtrem, użytym dla złudzenia narodu polskiego, należało jednym słowem zbadać o ile szczerą jest polityka cesarska, aby uniknąć w ten sposób rozczarowania, które i dla Wielopolskiego i dla kraju musiało się stać katastrofą.

W prośbie o dymisyę, przedłożonej Namiestnikowi, a jeszcze dokładniej w liście prywatnym, wystosowanym do niewymienionego dygnitarza w Petersburgu¹⁾, wyliczył Margrabia wszystkie nadużycia i niesprawiedliwości, jakich dopuścił się Suchozanet i wojskowi jego naczelnicy, przedstawił stan umysłów w kraju i powszechne, uzasadnione oburzenie, wywołane pogwałceniem praw obowiązujących i oświadczył w końcu, że nie może zgodzić się na akta, których skutek odbierałby Królestwu gwarancję prawa i porządku sądowego; akta, które są przeciwne zastrzeżeniom, jakie on (Wielopolski) uczynił w chwili wejścia do rządu i których stan kraju wcale nie usprawiedliwia“.

Ponieważ zaś należało przypuszczać, że Suchozanet będzie się starał w Petersburgu zarzuty Margrabiego osłabić, więc postanowił Wielopolski wysłać nad Nową syna swego Zygmunta dla dokładniejszego poinformowania cesarza o stosunkach, panujących w Królestwie i o rządach niefortunnego Namiestnika.

Suchozanet, zaskoczony dymisyą Margrabiego, nie wiedział na razie co ma uczynić i dopiero po upływie pięciu dni zawiadomił o wszystkim Aleksandra II. Cesarz odpowiedział już nazajutrz, ubolewając nad ustąpieniem Wielopolskiego i zezwalając zarazem na przyjazd Zygmunta. Było to i wiele i mało, bo dymisyja nie została ani przyjęta ani odrzucona a dopuszczenie młodego Margrabiego do audyencji oznaczało, że sprawa nie jest jeszcze zupełnie przegrana. Jakoż rzeczywiście cesarz, wysłuchawszy zapewne relacji Zygmunta, bo o jego pobycie w Petersburgu niema z resztą wiadomości, postanowił, aby Wielopolski pozostał na swoim stanowisku aż do przybycia nowego Namiestnika, który z nim się porozumie i sprawę dymisyi ostatecznie rozstrzygnie.

Zanim do tego przyszło, ruch w kraju nie tylko nie ustawał ale wzrastał się co raz bardziej, demonstracje przybierały większe rozmiary, zaburzenia powtarzały się częściej.

¹⁾ Patrz Przybor, tom III., str. 118.

Dnia 12. sierpnia obchodzono uroczystie rocznicę Unii pomiędzy Polską a Litwą nie tylko w Warszawie, w Lublinie i po znaczniejszych miastach Królestwa ale także w Kownie i w Wilnie.

Kowieńska manifestacya była szczególnie wspaniała. Urządzono olbrzymią procesyę, która mimo kordonu wojskowego i przeszkód przez władze stawianych dotarła do brzegów Niemna, i naprawiwszy most, przerwaną wśrodku połączyła się z procesyą z Królestwa i razem z nią wysłuchiwała nabożeństwa dziękczynnego w kościele w Piątku, gdzie oczywiście nie brakło przemówień patryotycznych i toastów zastosowanych do okoliczności.

W cztery dni później odbył się pod Dubienką obchód na pamiątkę stoczonej tam w roku 1792 (17. lipca) zwycięskiej potyczki. Zjazd był bardzo liczny; nad tłumami powiewał sztandar z orłem białym, Matką Boską Częstochowską i symbolami męczeństwa, kazanie zapalne miał reformat z Chełmu, ks. Jokundy a po skończeniu manifestacyi wzięto się do sypania kopca i do zbierania składek na ten cel, przyczem pułkownik kozacki wręczył od siebie kwestującej pannie Załuskiej 25 rubli.

Policya i władze wojskowe, jak zwykle niedołężne, nie umiały niczemu ani zapobiedz ani przeszkodzić, raz postępowały brutalnie to znów łagodnie a upomniane i naciśnięte z góry wpadały na pomysły dzikie i barbarzyńskie.

W Wilnie palcemajster tamtejszy, pułkownik Wasiliew zwabił łatwo-wierną publiczność po prostu w zasadzkę i zemścił się krwawo na niewinnych za dotychczasowe demonstracye.

Ta rzeź bezbronnych, jak się wyrażano, wywołała słuszne oburzenie i chybiła celu zupełnie, bo nie zapobiegła dalszym manifestacyom ani śpiewaniu pieśni patryotycznych po kościołach wileńskich i parafialnych w całej Litwie.

W takich warunkach obejmował rządy w Królestwie nowy Namiestnik, hrabia Karol Lambert. Był on synem francuskiego emigranta, który za czasów wielkiej rewolucyi szukał w Rosyi przytułku i, obrawszy sobie zawód wojskowy, bo to i przedtem służył w gwardyi Ludwika XVI., bił się we wszystkich wojnach polskich i francuskich aż w końcu został generałem jazdy.

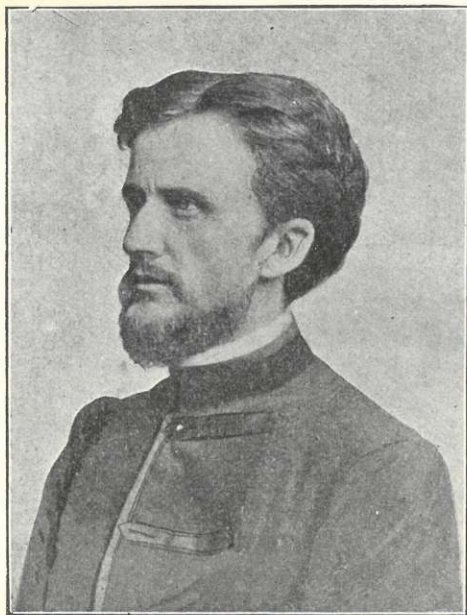
Ożeniony z Rosyanką, córką generała Diejewa, miał dwóch synów. Młodszy także Karol, odznaczający się piękną postawą, wykształceniem, polem towarzyskim i inteligencją, wstąpił do gwardyi konnej, czyli t. zw. kawalergardów, walczył na Kaukazie i, postępując szybko z stopnia na stopień, był w roku 1860 generał-porucznikiem.

Obecnie, gdy sprawy w Królestwie brały obrót jak najgorszy i rząd poszukiwał napróżno odpowiedniego następcy po Gorczakowie, zwrócono uwagę cesarza na Lamberta, który jako katolik, Francuz z pochodzenia a przytem odznaczający się ogładą i wyższym umysłem posiadał w istocie więcej warunków na Wielkorządcę w Warszawie niż cała ćma ograniczonych w gruncie i brutalnych generałów.

Zaprzeczyc niepodobna, że wybór osoby na tak wysokie i trudne stanowisko, był trafny, że Lambert mógł jeżeli nie całkiem kraj uspokoić, to jednak doprowadzić do złagodzenia zaostrzonych stosunków, gdyby nie okoliczność, że rzecz, zasadniczo dobrą zwichnięto i zepsuto od początku, dodając do boku nowemu Namiestnikowi generał-gubernatora w osobie Aleksandra Daniłowicza Gerstenzweiga.

Ten z pochodzenia na pół Polak, bo matka jego była z domu Madalińska, córka znanego z insurekcyi Kościuszkowskiej generała, nie tylko nie umiał wcale po polsku ale odznaczał się szczególniejszą do Polski i Polaków nienawiścią.

Ambitny karyerowicz, przyjmował Gerstenzweig nowy urząd niechętnie, czuł się bowiem niejako pokrzywdzonym, że zostanie podwładnym Lamberta, on co był do niedawna ulubieńcem i prawą ręką ministra wojny Suchozaneta i jechał do Warszawy zapewne z tem samem uczuciem i przedsięwzięciem jak szef jego Sezotrys, z tą tylko różnicą, że wiekiem młodszy i o wiele rozumniejszy, mógł więcej szkodzić i psuć najlepsze zamiary swego Telemaka-Lamberta, zwłaszcza, że miał sobie powierzone także dyrektorstwo w Komisyi rządowej Spraw Wewnętrznych, opróżnione po ustąpieniu Giecowicza, wraz



Nr. 41. X. Adam Sapieha.
(Ze zbioru pana Jarosława Pieniżka).

z prawem zarządzania częścią cywilną w kraju i przewodniczenia w Radzie administracyjnej jako też w Radzie Stanu Królestwa, w razie nieobecności Namiestnika.

Było to zatem stanowisko wysokie, dające Gerstenzweigowi wpływ wielki na sprawy najważniejsze, możność psucia wszystkiego co obmyślano i czyniono na korzyść kraju i znienawidzonych przez tego renegata Polaków.

Cóż wobec tego znaczyły pojednawcze słowa cesarza, który pisał do Lamberta: „Powołaj do współudziału w pracy ludzi zdolnych i prawych, ustal spokojność w kraju, a ja z mej strony, z radością puszczyć w niepamięć dni ubiegłe i odpowiem miłością i zaufaniem na miłość i zaufania do mnie narodu polskiego“.

Rzecz sama z siebie trudna, stawiała się jeszcze trudniejszą, skoro w najbliższem otoczeniu Namiestnika panowały prądy i zapatrywania,

sprzeczne nawet z intencjami cesarza a dość potężne, aby przeszkodzić najlepszym zamiarom nowego Wielkorządcy.

Lambert posiadał niewątpliwie dobrą wolę, wiele taktu i niezaprzeczone zdolności, brakowało mu tylko doświadczenia, znajomości kraju i tęgości charakteru.

Warszawa przyjęła go chłodno, obojętnie, z widoczną i niestety uzasadnioną nieufnością; czerwienicy z niechęcią. Tajne pismo Strażnica, drwiło sobie wprost „z pana Lamberta“, byłego koniuszego, który ze stajni w Petersburgu zrobił skok na Zamek Warszawski! Namiestnik starał się uprzejmością zjednać umysły. Biskupa Dekerta prosił o błogosławieństwa dla pracy około dobra kraju, odwiedzając chorego arcybiskupa, błagał go o pomoc ze strony duchowieństwa. Usiłowania były daremne. Fijałkowski odpowiedział: „coż my nieszczęśliwi na to poradzimy, jesteśmy rasą spodloną, odepchniętą od ołtarza i kościoła, w których teraz nie księży, ale lud rządzi“.

Umiarkowani zachowywali się z pewną rezerwą; Andrzej Zamoyski był na pierwszym, uroczystem przyjęciu w Zamku, chociaż z umysłu, czy z przypadku przyjechał późno, po naznaczonej godzinie.

Lambert, rozglądawszy się cokolwiek sądził słusznie, że należy szukać oparcia w stronnictwie umiarkowanem, przeprowadzić wybory do nowych instytucyj autonomicznych i dać w ten sposób możność działania tym, którzy w duchu potępiają manifestacye i nieporządki, ale nie mają dość energii i odwagi, aby ruchowi stawić czoło i społeczeństwo do pracy organicznej skierować.

Program to był prosty i jasny, chodziło tylko o wykonanie, o ile można zrzeczne i szybkie.

Tak, mniej więcej, rozumiał rzecz i Wielopolski.

Wezwany przez Lamberta na konferencyę, przedstawiał, że należy ożywić umysły środkami stanowczemi dla przekonania kraju, że nowy sposób rządzenia jest prawdą a nie poprawną niejako edycyą Paskiewiczowskiego systemu.

Gdy to się stanie, trzeba na przyszłość szanować autonomię Królestwa, oddzielić administracyę cywilną od wojskowej, znieść departament dla spraw polskich w Petersburgu, ustanowić w miejsce Komisji Rządowych w Warszawie ministerstwa, wcielić urząd gubernatora wojennego Warszawskiego do Wydziału Spraw Wewnętrznych i Policji, jednym słowem uznać zupełnie szczerze odrębność narodową i administracyjną Królestwa.

Za tem muszą nastąpić dalsze zmiany i gruntowna reforma kancelaryi przybocznej Namiestnika, tak aby się ograniczała tylko do Zarządu wojskowego, wprowadzenie języka polskiego w administracyi i przywrócenie kolorów narodowych.

W zakresie wychowania publicznego żądał, aby utworzono Szkołę Główną, z pięcioma Wydziałami, Kurs Przygotowawczy do nauk uniwersyteckich, Instytut Politechniczny, Bibliotekę Główną, której miano zwrócić Zbiory, wywiezione niegdyś do Petersburga, aby założono Towarzystwo Przyjaciół Nauk i Pomocy Naukowej, oraz Towarzystwo Badaczy Natury i aby ściągnięto uczonych z zagranicy.

Sprawy kościoła wymagały także gruntownej reorganizacyi. Należałoby zatem ustanowić Radę Duchowną, wspólną dla obu obrządków katolickich, zezwolić na korespondencyę duchowieństwa z Rzymem za pośrednictwem

władz Warszawskich, jak dawniej bywało, a nie drogą na Petersburg, co sprawiało wiele trudności, przewlekło rozstrzygnięcie kwestyj ważnych i pilnych, pociągało za sobą koszta znaczne i niepotrzebne.

W końcu nalegał Margrabia na utworzenie Sądu Najwyższego w miejsce Departamentów Senatu, Sądu głównego na przestępstwa polityczne jakoteż uregulowania stosunku policyi do sądownictwa, podziału kraju na osiem Województw, założenie Dziennika powszechnego, który miał być organem rządowym i zmiany nazwy Teatru na Teatr Narodowy.

Wszystko to było tylko dalszym rozwinięciem i pogłębieniem programu, jaki przedstawił Wielopolski przed kilku miesiącami Gorczakowowi, programu dążącego stale do przywrócenia dawniejszej autonomii Królestwa, zawierającego możliwe do uzyskania w tej chwili koncesye, trzeźwego, wolnego od przesady i marzeń nie dających się uścić.

Lambert wysłuchał wprawdzie spokojnie wywodów Margrabiego, i nie podnosił przeciw nim żadnych zarzutów, ale stanowczej odpowiedzi nie dał tłumacząc się tem, że jeszcze nie miał czasu zbadać dokładnie stosunków i położenia kraju.

Widząc tą chwiejność użył Wielopolski po kilku dniach innego środka. Przypomniawszy Namiestnikowi, że dymisy zgłoszonej dotąd nie cofnął i zażądał kategorycznie: odwołania okólnika Suchozaneta z dnia 9. lipca, gen. Rudanowskiego z Suwałek, zwrócenia osób przez niego na deportację skazanych i oddanie ich sądom i mianowania siebie na wiceprezesa Rady stanu, w przeciwnym razie zaś oświadczył, że na sesjach Rady Administracyjnej bywać nie będzie.

Groźba odniosła skutek, Rudanowskiego usunięto, asesora Wierzchlejskiego powrócił z wygnania, kilku uwięzionych księży uwolniono, okólnik Suchozaneta zniesiono, Margrabia został wiceprezesem Rady Stanu, jakoteż Dyrektorem głównym Komisji Sprawiedliwości, nawet wojsko ściągnięto z ulic do koszar. Mimo to położenie nie zmieniło się wcale. Opinia publiczna, przyjmując z pewnem zadowoleniem ustępstwa Namiestnika, uważała je za manewr albo za dowód słabości rządu, a o działaniu Wielopolskiego, o jego skutecznej interwencji i daleko sięgających planach nie miała zgola najmniejszego wyobrażenia.

Nie ustała więc ani nienawiść i uprzedzenie do Margrabiego ani nieufność do systemu, którego on rzekomo miał być twórcą i głównym inspiratorem.

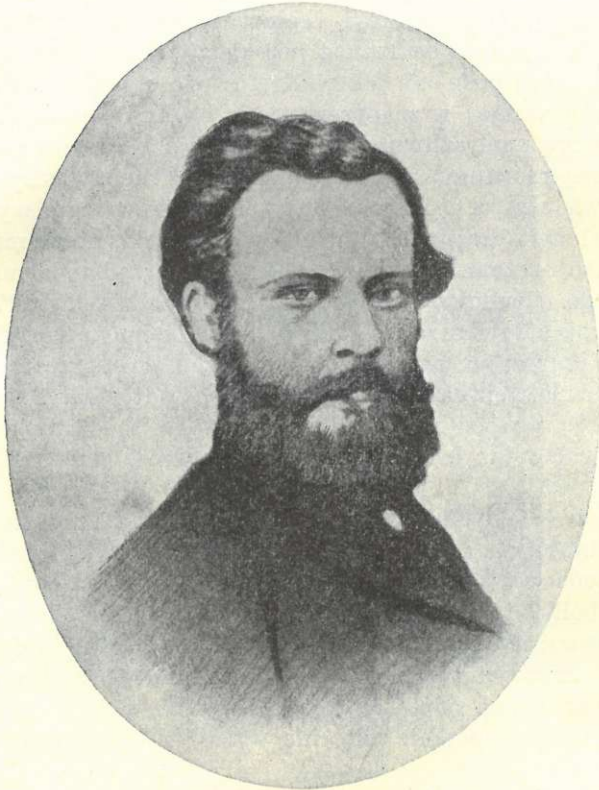
Ksiądz Benjamin Szymański, biskup podlaski, człowiek bardzo rozumny, znany z energii, Wielopolskiemu przychylny — był dawniej jego spowiednikiem — odpowiedział Margrabiemu na okólnik o śpiewach patryotycznych listem prywatnym, w którym wyjaśnia dla czego dotąd wezwaniu Komisji Wyznań nie uczynił zadość: Bo — tak pisze — biskup wyda polecenie duchowieństwu, by nie pozwalało na śpiewy, to nie tylko, że nikt go nie usłucha ale owszem wywoła jak najgorsze następstwa. W wielu miejscach — są dalsze słowa listu — dla ukarania duchownych za najłżejszą nawet opozycję, wyrysowano i na drzwiach i okienicach ich domów szubienice, wybito okna, a niektórzy musieli wysłuchać hańbiącej kocie muzyki. Ja sam ileż listów anonimowych otrzymałem! Jakże więc można wymagać odemnie, bym narażał siebie, moje duchowieństwo a nawet religię na pogardę?"



WOJSKO POLSKIE. Ostatnia praca WALEREGO ELJASZA.

Mógł wprawdzie rząd nakładać kary na księży opornych, ale i ten środek ostateczny nie prowadził do celu, bo tworzył tylko męczenników politycznych i rozdrażniał jeszcze więcej rozagitowane społeczeństwo, jak tego faktu dowiodły niejednokrotnie. Mimo kilku takich wyroków, zesłania lub relegacji, ruch nie ustawał lecz trwał, szerzył się po całym kraju i zaczynał sięgać daleko poza granice Królestwa, do Galicyi, do Wielkopolski, do prowincyj zabranych jakoteż na Litwę.

Litwa zachowywała się dotąd spokojnie. Wyżej już wspomnieliśmy że społeczeństwo tamtejsze pojmowało zadanie chwili obecnej zupełnie inaczej,



Nr. 42. Rafał Krajewski.

że wzięło się z zapalem do pracy organicznej, że pragnęło przede wszystkim uregulować kwestyę włościańską, podnieść oświatę, wzmocnić żywioł polski.

Rozumny ten program wykonywano cicho, spokojnie, bez rozgłosu i demonstracji; zamykano po wsiach szynki, wstrzymywano się od zbytków, zakładano szkoły wiejskie, starano się o rozwój ekonomiczny kraju.

Nieuniknione w tym czasie nabożeństwa odbywały się z rzadka i nie sprawiały żadnego wrażenia.

Niebawnie jednak i tu zaszła zmiana. Hasło dała młodzież litewska, bawiąca w Paryżu, gdzie wtedy Mierosławski zamierzał utworzyć legion polski, aby nieść pomoc Włochom. Gdy atoli przedsięwzięcie to przewlekało się w nieskończoność, postanowiła znecierpliwiona młodzież wrócić do kraju

i tam „wziąć udział w rozruszaniu ludu“¹⁾, czyli innemi słowy rozniecić gorączkę manifestacyjną w trzeźwej i spokojnej Litwie.

Pomysł udał się. W dniu Św. Stanisława, po ukończeniu uroczystego nabożeństwa zabrzmiała w katedrze wileńskiej pieśń „Boże coś Polskę“, której organy zagłuszyć nie zdołały. Policya aresztowała ośmiu studentów, z rozmaitych uniwersytetów rosyjskich pomiędzy nimi późniejszego historyka, socyalistę Bolesława Limanowskiego i głośnego później z nauki Benedykta Dybowskiego.

Śledztwo prowadzone z rozkazu Nazimowa nie odniosło skutku jak zwykle w owych czasach a panie Wileńskie udały się w deputacyi do generał-gubernatora, aby wyjednać wypuszczenie aresztowanych. Przyszło z tego powodu do wielkiej demonstracyi, kobiety zagrożone użyciem siławek rozeszły się, kilka musiało na rozkaz wtedy wyjechać z Wilna, ale odtąd zaczęła się na Litwie podobnie jak w Królestwie era manifestacyi i śpiewów patryotycznych, trwająca w nieprzerwanym ciągu. Podniesiono w ten sposób niebacznie kwestyę najdrażliwszą dla cesarstwa i dla stosunków rosyjsko-polskich, kwestyę prowincyj zabranych, która od niepamiętnych czasów była piętą Achillesową caratu, o którą rozbiły się właściwe zamiary Aleksandra I. której nie chciał wytaczać ani Chłopicki ani Lubecki, która mogła być rozstrzygnięta tylko orężem. Stawiać ją obecnie na porządku dziennym, znaczyło tyle, co dążyć do odbudowania Polski w granicach z roku 1772, co targać i marnować swoje siły w beznadziejnej walce, co budzić w ospałem i obojętnem społeczeństwie rosyjskiem uczucia patryotyczne, co wzniecać przeciw sobie nienawiści tych na których pomoc się liczyło. Nadtem nie zastanawiali się oczywiście politycy z pod znaku Mierosławskiego, bo dla nich i dla ich wodza była teoria rewolucyjna jedynym skutecznym środkiem do odzyskania niepodległości.

Tymczasem Wielopolski, wierny pierwotnemu swemu założeniu, łamał się dalej z trudnościami i pocieszał się nadzieją, że nowe instytucye i reformy zdołają społeczeństwo przekonać o szczerości jego zamiarów i o zbawiennym kierunku jego polityki wszystko to atoli kończyło się niepowodzeniem. Rada municypalna warszawska stała się parodią autonomicznej reprezentacyi a Rada Stanu, przypominająca czasy z przed roku 1830 istniejące, według statutu organicznego na papierze i obecnie w kształcie do pierwszego zbliżonym wskrzeszona, spotkała się nie tylko z obojętnością ale nawet i z opozycją.

Kraj zyskiwał przez nią instytucyę złożoną z najwyższych urzędników, biskupów i obywateli, która miała możność przedstawienia rządowi życzeń kraju, przyjmowania skarg i petycyi.

Było to więc, bądź jak bądź ciało reprezentacyjne, upoważnione do wglądania w administracyę, do kontroli budżetu i czynności władz, a jako takie nie bez wartości, nie bez wpływu na stosunki społeczne i nie bez politycznego znaczenia.

Ale kiedy odnośny projekt, wypracowany przez Margrabiego, przesłał Namiestnik poufnie do opinii wybitniejszym osobistościom, zwłaszcza członkom byłego Komitetu Towarzystwa Rolniczego, pierwszy Andrzej Zamoyski dał odpowiedź odmowną i projektu nawet odczytać nie chciał. Prawda, stało się to w krótkce po rozwiązaniu Towarzystwa i po owem znanem powiedzeniu

¹⁾ Bol. Limanowski: *Historja powstania polskiego narodu w roku 1863 i 1864*, Lwów 1909, str. 68.

p. Andrzeja: „mieliśmy pięć ofiar, nasze Towarzystwo jest szóstą“, stało się pod wrażeniem bardzo przykrem, w rozdrażnieniu łatwo zrozumiałem, niemniej przeto było jednak błędem i pociągnęło za sobą nie ładny ze strony Wielopolskiego odwet.

Bo gdy Namiestnik oburzony szorstką odmową Zamoyskiego, zamierzał go wydrzeć z kraju, Margrabia, zapytany o zdanie w tym względzie, odpowiedział pisemnie, że Zamoyskiego „uważa za polityczne zero“ i nie radzi jakimkolwiek prześladowaniem dodawać mu znaczenia. „Jeśli się go zeszele do Wiatki — tak kończył swój wywód — moje stanowisko w Warszawie stanie się niemożliwem“. „Rząd postąpi najmądrzej, zajmując się jak najmniej osobą hr. Zamoyskiego i postawą przezeń przyjętą. Powołując do Rady Stanu



Nr. 43. Widok klasztoru Częstochowskiego.

głównych stronników p. Zamoyskiego, gotowych zresztą do zajęcia tego stanowiska, należy dlań zatrzymać miejsce wiceprezesa tego zgromadzenia. Zdaje się, że widząc swoich przyjaciół skupionych koło nowych instytucyj, hr. Zamoyski przyjmie, jak zwykle, ich opinie i przyłączy się do nich czynnie“.

Niestety, nie znalazł się nikt coby chciał lub umiał społeczeństwo o właściwym stanie rzeczy objaśnić a natomiast zaczęły się pokątne intrygi przeciw Wielopolskiemu.

Lambert, nie mogąc się jeszcze zawsze z oryentować w tym świecie dla niego obcym i pełnym zagadek, postanowił zasięgnąć opinii ludzi wpływowych i dobrze poinformowanych. W tym celu wzywał też do siebie na poufne pogadanki członków dawnej Delegacyi i byłego Towarzystwa Rolniczego; przyjmował ich grzecznie, słuchał cierpliwie tego co mówili, zasięgał

ich rady, prosił o pomoc, zachęcał do pisania memoriałów i idąc tą drogą dowiedział się od jednych i od drugich, że główną przyczyną niezadowolenia i niepokojów jest Margrabia.

Zatem poszły memoriały, od rozmaitych osób nadsyłane, gdzie dopominano się, jako głównego i jedyne go środka uspokojenia kraju nadanie Królestwu ustawy zasadniczej, gwarantującej oczywiście autonomię a zarazem i reprezentacyi narodowej.

Lambert był człowiekiem zanadto bystrym aby nie zrozumieć do czego zmierzają umiarkowane stronnictwa różnych dwóch odcieni i znalazł się w takim położeniu jak niegdyś Herkules na rozdrożu.

Poświęcić Wielopolskiego, który posiadał jeszcze zawsze zaufanie cesarza i przewyższał o głowę rozumem swoich przeciwników, było rzeczą niemal niepodobną a nadto ryzykowną, rzucać się zaś w objęcia dawnych Delegatów i członków Towarzystwa Rolniczego, znaczyłoby tyle, co przyznawać słuszość twórcom manifestacyj lutowych i kwietniowych, co zawierać kompromis z ludźmi, o których się nie wiedziało dokąd dążą, jaką przedstawiają siłę i czy mogą dać gwarancję uspokojenia kraju. Skończyło się więc na tem, że Namiestnik utrzymał wprawdzie związek z Margrabią, ale też nic nie czynił, aby program przez niego rozszerzony poprzeć w Petersburgu i wykonać to co tam już zostało przyjęte.

Praca nad wprowadzeniem przyznanych reform postępowała leniwie. Projektom Wielopolskiego stawiano na każdym niemal kroku najrozmaitsze przeszkody; ociążały aparat biurokratyczny wynajdywał wszędzie trudność, czynił poprawki, odsyłał sprawy najpilniejsze z jednej Komisji do drugiej, odgrzewał stare pomysły Muchanowa o Szkole Głównej, zwlekał z oczyszczaniem włościan, starał się niedopuszczyć do emancypacji Żydów.

Była to oczywiście woda na młyn agitatorów, działających bez wytchnienia i szerzących pożogę na całym obszarze ziem polskich.

Wspomniane już wypadki Wileńskie dały powód do manifestacyj żałobnych które nie ustały mimo zaprowadzenia stanu wojennego na Litwie. Za nimi poszły wnet demonstracyjne nabożeństwa za pomyślność lub za wolność, całość i niepodległość Ojczyzny. Urządzały je niezliczone stowarzyszenia i korporacje; zgromadzenie rękodzielników, zgromadzenie fabrykantów siodlarskich i powozowych, zgromadzenie majstrów blacharskich, strycharzy, gwoździarzy, niciarzy, druciarzy i setki innych.

Według prawdopodobnych obliczeń ilość tych nabożeństw dochodziła do dwustu.

Równoległe odbywały się obchody innego rodzaju: tłumna pielgrzymka do Częstochowy i olbrzymia manifestacja na odpuszcie w starożytnym kościele Świętokrzyskim.

Brzmiały tam nieustannie pieśni patryotyczne, z ambon rozlegały się słowa gorące; zapalne i duchowieństwo nawoływało do zgody, do miłości Ojczyzny, do poświęcenia, do walki o nieprzedawnione prawa.

Nastrój mistyczny, przypominający średniowieczne czasy, ogarniał coraz bardziej umysły, napelniał je wiarą w przyszłość promienną, krzepił nadzieję odbudowania Ojczyzny przez napięcie i podniesienie ducha, nie bacząc, że w razie zawodu nie pozostanie nic innego jak tylko walka na śmierć lub życie, jak całopalenie narodu na ołtarzu gorąco umiłowanej Polski. Ci, którzy parli do tej katastrofy, do powstania, które miało stać się „naj-

dotkliwszą klęską, jaką kiedykolwiek Polska poniosła¹⁾), wychodzili z mylnego założenia, że manifestacyami i śpiewami religijno-patryotycznymi poruszają i pozyskują masy chłopskie a nie przewidywali że powstanie rozbije się właśnie „o granitową skałę ludu”.²⁾

Złudzenie to, tak zgubne w swoich skutkach, jest tem mniej zrozumiałem, gdy obojętne albo nawet wrogie dla ruchu usposobienie włościaństwa nie było wcale tajemnicą.

Chłopi usuwali się od manifestacji narodowych, wyjątkowo brali udział w rozmaitych obchodach jako statyści, sprowadzeni przez agitatorów, w rzeczy samej nie poczuli się do łączności z „panami” a braterstwa z Żydami nie pojmowali zgoła.

Gdy na Śtokrzyskim odpuście ksiądz, po ognistej przemowie, zażądał od obecnych aby przysięgli bić się za Ojczyznę do ostatniej kropli krwi i na znak zgody kazał podnieść ręce do góry, zawołał nagle ktoś głosem rozkazującym: „Niech żaden ręki nie podnosi”. I stało się wedle rozkazu a chłopi tłumem wyszli z kościoła.

Mimo tego ostrzeżenia odbyła się w klasztorze narada pod przewodnictwem biskupa Juszyńskiego, na której postanowiono nieustawać w budzeniu ducha narodowego i rozszerzać dalej propagandę powstańczą.

Jakoż ruch nie ustawał lecz szerzył się coraz bardziej, obejmując nie tylko Królestwo ale i wszystkie ziemie polskie, zwłaszcza Litwę, gdzie żywiły skrajno-patryotyczne wzięły stanowczo górę nad umiarkowanym kierunkiem.

Taki stan rzeczy napełniał z jednej strony otuchą Czerwonych, z drugiej budził w Białych słuszne obawy. I pierwsi i drudzy zatem obmyślali środki wiodące według ich zapatrywań do zamierzonego celu.

Czerwieńcy mieli o tyle wyższość, że wiedzieli czego chcą i do czego dążą, podczas gdy Biali, zawieszani pomiędzy niebem a ziemią, nie posiadali jasno wytkniętego programu i działali chwiejnie, od wypadku do wypadku, pocieszając się myślą, że ruch biernością swoją i temporyzowaniem powstrzymać zdołają.

Zadowolniejszy się utworzeniem organizacyi, istniejącej na papierze, okazywali oni w kwestyach politycznych dziwny jakiś dyletantyzm i brak zrozumienia rzeczy.

Gdy w guberni podolskiej powstał zamiar podania adresu do cesarza o przyłączenie prowincyi południowo-wschodnich do Królestwa i gdy obywatele tamtejsi wysłali do Warszawy dra Adryana Baranieckiego, z zapytaniem czy stronnictwo Białych uważa petycję tego rodzaju za właściwą lub nie, odpowiedzieli zgodnie i Andrzej Zamoyski i Jurgens, że adres podolski będzie dla biegu ogólnej sprawy bardzo pożytecznym.³⁾

Jakoż adres przyszedł rzeczywiście do skutku i pociągnął za sobą uwięzienie a potem wywiezienie wszystkich marszałków w głąb Rosyi.

Nic dziwnego zatem, że Mierosławski i jego stronnicy nie wierzyli w siłę organizacyi Białej, że zwłaszcza „zmartwychwstały wódz” traktował ją z lekceważeniem i posądzał nawet o zdradzieckie zamiary.

¹⁾ Giller, *Historia powstania*, tom II., str. 14.

²⁾ Tamże, str. 16.

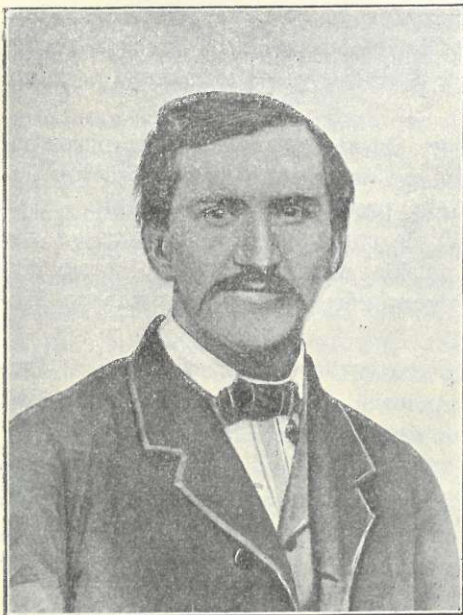
³⁾ *Pamiętniki Bobrowskiego*, tom II., str. 443.

„Cóż z tego będzie — pisał do Majewskiego na wiadomość o powstaniu organizacyi białej — gdy wybiorą kilkunastu bruchaczy? Nic innego tylko nowa zdrada, nowa Targowica, safandulstwo, szlafmycowe kiwania łbami“.¹⁾

Z jego punktu widzenia była ta opinia zupełnie zrozumiała, obawa, jeżeli wykluczemy frazes o „zdradzie“ i „Targowicy“, zupełnie uzasadniona niestety.

Chcąc więc zapobiedz niebezpieczeństwu postanowił Mierosławski zwołać swoich stronników na naradę.

Odbyła się ona w słynnym natenczas miejscu kąpielowem, w Homburgu. Majewski, jakkolwiek zaproszony, sam nie pojechał, lecz wyręczył się Kołaczkowskim, Trepką, Siemieńskim i Szaniawskim. Pierwsi trzech należeli do umiarkowanych, ostatni był skrajnym radykałem.



Nr. 44. Agaton Giller.
(Ze zbioru p. Jarosława Pieniążka).

Czy Majewski przypuszczał, że wyprawiając takich delegatów, zdoła doprowadzić do jakiegoś porozumienia obu stronnictw, czy wierzył, że emigracya zrzeknie się swojej roli, jaką dotychczas odgrywała? Na to pytanie trudno odpowiedzieć.

Faktem jest tylko, że wybór nie był szczęśliwy i że zebranie chybiło celu zupełnie.

Konferencye z Kurzyną — bo Mierosławski nie pokazał się wcale — były trudne. Delegaci Warszawscy, do umiarkowanego należący skrzydła, żądali aby emigracya nie usurpowała sobie nadal prawa kierowania polityką krajową i przyrzekali natomiast, że skoro organizacya mieszczańsko-szlachecka się rozwinie i utwierdzi na całym obszarze ziem polskich natenczas i ona zacznie pracować nad przygotowaniem kraju do powstania.

Kurzyzna jednak nie godził się na to, oczywiście ze względu na

aspiracye Mierosławskiego, który uważał siebie za jedyne go przedstawiciela wojującej Polski, za przyszłego dyktatora i ani tego nie myślał się zrzekać ani też z nikim władzą dzielić. Zjazd spełził więc na niczem i pogłębił jeszcze bardziej przepaść pomiędzy stronnictwami.

Czerwoni, widząc usiłowania Lamberta, i obawiając się, aby jego pojednawcza polityka i poufne konferencye z umiarkowanymi żywiołami nie doprowadziły do utworzenia silnego stronnictwa, popierającego kierunek kompromisowy i program Margrabiego, postanowili tej groźnej dla siebie ewentualności wszelkimi sposobami przeszkadzać.

W tym celu urządzali też manifestacye i kocie muzyki, nie bez cichego współudziału i poparcia władz rosyjskich, zwłaszcza takich, które w własnym swoim interesie nie chciały i nie pragnęły wcale uspokojenia kraju.²⁾

¹⁾ Przybor, tom II., str. 263, według własnoręcznego listu generała.

²⁾ Pamiętniki Ziemiałkowskiego, część trzecia, str. 24.

Mimo to wpływ ich na społeczeństwo nie był ani tak potężny ani tak powszechny, jak się z pozoru wydawało.

Kiedy nadszedł czas wyborów do rad miejskich, we wrześniu 1861 roku agitacja Czerwieńców okazała się bezsilną w obec koalicyi mieszczańsko-szlacheckiej i wyjątkowo energicznego w tym wypadku działania zachowawczej partyi.

Nawet Strażnica, redagowana przez Agatona Gillera zajęła stanowisko wcale rozumne i trzeźwe.

„Ludzie dobrej woli, pisała ona — pragnący pomyślności kraju, radzą zając się wyborami i w ręce zacnych obywateli złożyć mandaty. Ciężkie zadanie wybranych, ale dla miłości Ojczyzny do każdej ofiary powinniśmy być gotowi“. Nie pomogły przeto zabiegi Apollona Korzeniowskiego i najczerwieńszego z czerwonych Maracika-Szachowskiego, nie odniosły skutku ogniste odezwy rozrzucane przez agitatorów, wystarczyło kilka słów, jakie wypowiedział przed lożem wyborczym Andrzej Zamoyski, aby pociągnąć tłum, oklaskujący przed chwilą Szachowskiego, do urny i zniweczyć wszystkie usiłowania szalonych zapaleńców.

Wyборы odbyły się spokojnie i sprawiły, jak najlepsze wrażenie. Kraszewski potępił w Gazecie Polskiej destrukcyjne działanie agitatorów, przestrzegał „by nierozważny czyn kilku za gorących ludzi nie przerywał pracy ogółu“ i zapewniał że „kraj, pojmując swoje zadanie, dla namiętnych objawów nie poświęci istoty i pójdzie drogą pracy, którą dzisiejszy jego krok pierwszy mu wytyka“.

Niestety, była to jedyna jaśniejsza chwila w tym ponurym okresie powszechnego zamętu, jedyny objaw zdrowej myśli, jedyne zwycięstwo rozumu nad fałszywie pojętem uczuciem i niedojrzałością polityczną.

Na razie jednak zdawało się, że nastąpiła wreszcie chwila otrzeźwienia i że społeczeństwo zaczyna się wyzwalać z wolna z pod teroryzmu Czerwieńców.

Wielopolski więc, który niewątpliwie miał pewne informacye o usposobieniu kół umiarkowanych, postanowił z tego zwrotu skorzystać i skłonić duchowieństwo do powstrzymania manifestacyi o charakterze religijno-patryotycznym. W tym celu zawezwał też biskupów na zjazd do Warszawy, niemal w przeddzień wyborów t. j. na 20. września.

Jakoż w oznaczonym terminie stawilo się siedmiu biskupów, ale już przy pierwszej konferencyi okazało się, że usiłowania Margrabiego nie odniosą żadnego skutku. Co prawda, położenie tych książąt kościoła było niezmiernie trudne i drażliwe.

Zależni zupełnie od władz rządowych, pozbawieni możności znoszenia się bezpośrednio z Stolicą Apostolską, ograniczeni niezmiernie w wykonywaniu swoich obowiązków, pilnowani i podejrzewani na każdym niemal kroku, nie mogli oni sprawować rządów swoich z pożytkiem dla kościoła i wiary a ponadto nie mieli najmniejszego zaufania do bezpośredniej swojej zwierzchności, do Komisyi Wyznań i Oświecenia, której przewodniczył wszechwładny Muchanów, wrogo dla katolicyzmu usposobiony.

Z wejściem do rządu Wielopolskiego zmieniły się rzeczy o tyle, że prawosławnego Rosyanina zastąpił katolik Polak. Był on niewątpliwie dla kościoła przychylny miał najlepsze w tym względzie chęci i zamiary, pragnął uwolnić duchowieństwo katolickie od ucisku w jakim zostawało dotychczas, przygotowywał projekty do ustaw ważnych i dla kościoła

korzystnych¹⁾ czynił zabiegi o ustanowienie nuncyatury z siedzibą w Petersburgu albo w Warszawie, ale niezręcznem swoim przemówieniem, zraził do siebie umysły i zaufania odtąd odzyskać nie mógł.

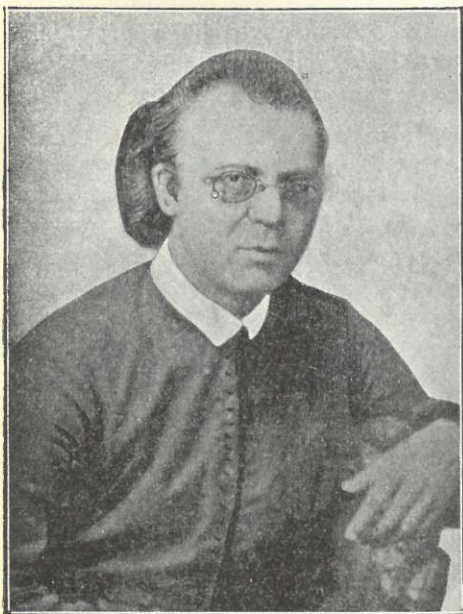
Tymczasem w obec wzmagającego się ruchu narodowego na tle religijnym, duchowieństwo, zwłaszcza niższe nie mogło pozostać obojętnem. Patriotycznie usposobione, nierozumiejące się na polityce, mało wykształcone a przytem połączone tysiącznemi węzłami z średnią i uboższą warstwą ludności, uważało ono za najświętszy swój obowiązek iść za prądem ogólnym, który, zmierzając do wyzwolenia Ojczyzny dąży temsamem także i do wyzwolenia kościoła.

Takie a nie inne stanowisko zajmowało duchowieństwo w Hiszpanii

za czasów Napoleońskich i obecnie we Włoszech, gdzie nawet w obozach Garibaldeggo nie brakowało księży. Duchowieństwo czuło zresztą i widziało, że zachowując się biernie lub niechętnie dla ruchu, utraci wpływ swój i popularność, obniży powagę kościoła.

Wspominaliśmy już wyżej o wypadkach, gdzie księża, przeciwni manifestacyom narażeni byli na prześladowania a świeżo nikczemny napad w Łęczycy na biskupa Marszewskiego, który przytem zaledwie życia nie postradał! Dowodził jasno czego od rozhukanych tłumów i od szalonej agitacyi, mogą oczekiwać duchowni, popierający system Wielopolskiego i podejrzani zatem o wysługiwanie się rządowi.

Tem też tłumaczy się stanowisko biskupów na zjeździe Warszawskim. Oświadczyli oni Margrabiemu wprost, że nie są w stanie nic zdziałać, że duchowieństwo ich



Nr. 45. X. Stefan Laurysiewicz.
(Ze zbioru pana Jarosława Pieniążka).

nie słucha, że znikła wszelka karność i obedyencya i że oni sami nic nie zrobią bez poparcia i wdania się rządu.

Wszystko to było zrozumiałe, ale trudno pojąć, dlaczego biskupi, mając przed sobą przedstawiciela Władzy, Polaka, postanowili z jego pominięciem podać Namiestnikowi memoryał o stanie kościoła katolickiego w Królestwie i o reformach które należałoby wprowadzić.

Akt ten, zawierający właściwie wotum nieufności dla Margrabiego, był niepolitycznym i niepatriotycznym zarazem. Biskupi bowiem zwracali się nie do władz autonomicznych, do Komisji Wyznań i Oświecenia lub do Rady Stanu, lecz do rosyjskiego generała, który w ich mniemaniu miał być przychylniejszym dla kościoła katolickiego niż własni rodacy. Do tego stopnia zaślepiała namiętność polityczna nawet umysły światłe, ożywione

¹⁾ Lisicki, tom I., str. 239.

gorącą miłością Ojczyzny. Namiestnik nie przyjął oczywiście memoriału, biskupi natomiast odesłali zaproszenia na obiad do Belwederu i wyjechali rozgniewani do Warszawy.

Wiadomość o tych nieporozumieniach rozeszła się wnet po mieście i po całym kraju i sprawiła ogólnie dobre wrażenie.

Zachowanie się biskupów uzyskało powszechną aprobatę a ucieszyło przede wszystkim Czerwonych, którzy mogli odtąd liczyć z pewnością na poparcie duchowieństwa.

I nie zawiodły ich nadzieje, jak to najbliższa przyszłość okazać miała.

Nastąpił cały szereg manifestacyj, wielkich co do rozmiarów, doniosłych pod względem politycznym, wykonanych z żywym udziałem i pomocą dochowieństwa.

Początek dał pogrzeb Arcybiskupa Fijałkowskiego.

Umarł on dnia 5. października (1861 roku) licząc lat z okładem 83. Miernych zdolności, wiekiem pochylony, cierpieniem starości zwykłym podlegający, zostawał Fijałkowski, w ostatnich latach życia pod wpływem swojego otoczenia, które właściwie nadawało kierunek całemu jego działaniu. Gorący patriota, ale w rzeczach politycznych niedoświadczony, kierował się uczuciem, w manifestacjach nie upatrywał niebezpieczeństwa, widział w nich raczej budzenie się ducha religijnego, środek walki nie krwawy a jednak wiodący do celu. Tak sądziło wielu młodszych od niego i bystrzejszych. W tem przekonaniu podpisał memoriał biskupów do Lamberta a na śmiertelnym łożu upominał otaczających, aby trzymali zawsze z narodem, bronili sprawy wspólnej Ojczyzny i nie zapominali nigdy o tem, że są Polakami.

Zażywał też zmarły arcybiskup jak największej popularności, był przedmiotem powszechnej czci a pogrzeb jego urósł w olbrzymią manifestację, która za staraniem agitatorów przybrała charakter polityczny.

Wychodząc z założenia że Fijałkowski jako prymas, „w dzisiejszym czasie bezkrólewia zastępuje króla“, postanowiono mu sprawić pogrzeb, opowiadający wspaniałością i powagą królewskiemu.

Jakoż dwa Komitety, jeden jawny, drugi tajny dołożyły wszelkich starań, aby obchodowi nadać cechę majestaty czną i zarazem demonstracyjną.

Dla zyskania czasu odłożono więc pogrzeb na dzień 10. października, ustanowiono po cichu konstablów narodowych, podobnie jak za Delegacyi, dla przezstrzegania porządku i ścisłego wypełnienia zarządzeń Komitetu, sprowadzono włościan z Skierniewic, z Księstwa Łowickiego, z Kutna i z okolic podmiejskich, kazano zamknąć warstaty i przerwać roboty budowlane podczas eksportacji zwłok i całej uroczystości, w kościele katedralnym wzniesiono wspaniały katafalk według projektu architektki Podczaszyńskiego.

Miasto przybrało wygląd uroczysty i żałobny zarazem, w orszaku pogrzebowym wzięły udział wszystkie zakony przedstawiciele wyznań obcych, pastorowie kalwińscy i luterscy, archimandryta schyzmatycki, rabini żydowscy, nie brakło nawet deputacyi węgierskiej i konsulów państw zagranicznych. Młodzież szkolna wszystkich zakładów naukowych niosła herby Polski i Litwy, studenci Akademii medycznej chorągiew z orłem polskim i szarfami trójkolorowymi. Za trumną niesiono wieńce cierniowe i insygnia królewskie, dwie korony, polską i litewską jakoteż berło, bo zmarły przedstawiał wicekróla.

Po ukończeniu pogrzebowych uroczystości podejmowano gościnnie chłopów w hotelu Wiedeńskim i Europejskim wśród mów i toastów gorących, patryotycznych, pito na pomyślność Andrzeja Zamoyskiego, starozakonnych braci, na Unię Litwy i Polski, odjeżdżających włóścian żegnano okrzykiem: „Jeszcze Polska nie zginęła“ i pieśnią „Boże coś Polskę“.

Równocześnie z tą olbrzymią i imponującą manifestacją odbywała się daleko od Warszawy, nad brzegami Bugu, niemniej potężna i wielka uroczystość na pamiątkę Unii Horodelskiej.

Myśl do tego miał podać Apollon Korzeniowski, szwagier Bobrowskich, Tadeusza i Stefana, poeta-chłopoman, człowiek gorącego serca, polityczny marzyciel, idealizujący w swojej bujnej wyobraźni Ruś i Kozaczyznę.

W początkach ruchu przybył on do Warszawy, pod pozorem wydawania miesięcznika *Słowo*, które miało być pismem w rodzaju *Revue des deux mondes*,¹⁾ w istocie w celach politycznych.

Przyłgnał też od razu do stronnictwa Czerwonych i zajął w niem wybitne stanowisko. Razem z Szachowskim agitował zawzięcie przeciw wyborom do rad miejskich, brał czynny udział w Komitecie tajnym, urządzającym pogrzeb Fijałkowskiego a obok tego układał z ks. Stefanem Lauryśiewiczem, członkiem zakonu Bazylikańskiego w Lublinie, także Ukraińcem plan wciągnięcia Rusi do ruchu narodowego. Był to oczywiście pomysł fantastyczny, polegający na mylnem i zgoła nieuzasadnionem mniemaniu, że lud ruski, stojący na niskim stopniu kultury i oświaty, zdoła pojąć i zrozumieć wzniosłą ideę połączenia pokrewnych sobie narodów pod hasłem wolności, braterstwa i wspólnej walki z despotyzmem rosyjskim, że ożywiony tradycją Kozaczyzny z czasów Sahajdacznego, zapomni o bliższych sobie tradycjach hajdamackich, które odpowiadały więcej jego usposobieniu i jego socjalistycznym aspiracyom niż chlubne wspomnienia o bojach chocimskich i o wyprawach kozackich na Konstantynopol. Nie nadawały się też do tego stosunki społeczne w ziemiach ruskich, pogłębiające rozdział pomiędzy polskim dworem a ciemną masą chłopstwa. Przywrócenie zgody i karności wymagało tam długiej i wytrwałej pracy na gruncie realnym a nie manifestacji, która, działając na uczucie i wyobraźnię, chwilowe tylko może mieć powodzenie.

Ale o tem wszystkiem nie myśleli wcale poetycznie nastrojeni inicjatorowie horodelskiej uroczystości. Wyobrażali oni sobie, że, gdy uświadomiona część społeczeństwa zatwierdzi wielki akt zjednoczenia Polski, Rusi i Litwy, natenczas powstanie Unia jak Feniks odrodzony z popiołów i stanie się granitową podstawą dla nowej, wielkiej Rzeczypospolitej, wznawiającej świetne tradycje Jagiellońskich czasów.

W tem złudzeniu wszyscy i mieszczaństwo Warszawskie z trzeźwym zresztą zazwyczaj Jurgensem na czele, i lawirujący pomiędzy stronnictwami Majewski, i skrajni Czerwieńcy w rodzaju Korzeniowskiego i Szachowskiego przyjęli bez wahania pomysł urządzenia demonstracji i użyli wszelkich środków, aby ona wypadła jak najwspanialej, aby odpowiedziała godnie wielkim nadziejom, które z nią związane.

Jakoż pomimo zakazu Namiestnika i mimo rozwinięcia znacznych stosunkowo sił wojskowych zebrał się w dniu 10. października w okolicach Horodła tłum kilkunastotysięczny, złożony przeważnie z inteligencji i duchowieństwa. W nocy z dnia 9. na 10 ty października, odbyła się w Stepankowicach

¹⁾ Pamiątniki Bobrowskiego, tom II., str. 440.

narada, spisano zredagowany przez Kazimierza Gregorowicza, adwokata z Lublina protokół aktu odnowienia Unii Horodelskiej a nazajutrz po wysłuchaniu mszy świętej i odpowiedniej przemowy ruszono w pochód do Horodla, gotując się na nieuknione, jak mniemano, starcie z wojskiem.

Przed miasteczkiem stał rzeczywiście generał Chruszczew z piechotą, jazdą i armatami. Na widok zbliżającej się procesyi z krzyżem na czele, pojechał on, otoczony świetnym sztabem i oświadczył, że według rozkazu, jaki otrzymał od Namiestnika nie dopuści żadną miarą zebranych do Horodla a wrazie oporu użyje broni. Zaczęły się układy. Chruszczew, człowiek uczciwy i łagodny, pozwolił w końcu na odprawienie nabożeństwa w polu, przed miastem.



Nr. 46. Gregorowicz.

Odbyło się też ono z wielką uroczystością na wzgórzu, przed ołtarzem na prędcie wzniesionym, wśród śpiewów patryotycznych i powiewających w około chorągwi o barwach i godłach narodowych. Ksiądz Laurysiewicz wypowiedział wspaniałe kazanie, nawoływał do naprawy dawnych błędów wzywał Koronę, aby przyjęła stęsknioną siostrę swoją Ruś, która do niej wyciąga ramiona, zakończył apostrofą do Orła Białego, co niegdyś korony rozdawał a dziś własnej niema ziemi.

„Unieś się — tak mówił — nad ludem twoim, załoskotaj skrzydłami po dawnemu, zakrakaj na cztery świata strony, powiedz światu, że żyjesz! Zwolaj twe dzieci pod twój sztandar jeden, zwolaj tułaczów, twych dawnych obrońców i wskaż im drogę“.

Słowa te, niewątpliwie bardzo piękne i podniosłe, wywołały wśród tłumów zapal niesłychany. Postanowiono też natychmiast na pamiątkę obchodu wznieść krzyż, co się i stało i zajęto się zebraniem podpisów pod

akt ułożony w Stepankowicach, poczem zgromadzenie rozjechało się i rozeszło spokojnie.

Te dwie wielkie manifestacye i trzecia, urządzona w Maciejowicach, na pamiątkę stoczonej tam w dniu 10. października 1794 roku bitwy, przekonały rząd, że o uspokojeniu kraju długo jeszcze myśleć nie można.

Cesarz, uwiadomiony o wszystkim, nalegał na ogłoszenie stanu oblężenia, w tym samym duchu odzywali się generałowie rosyjscy, zwłaszcza Chrulew i przysłany z Petersburga dla zreformowania policji warszawskiej Potapow, nie sprzeciwiał się zapewne i Gerstenzweig, ale Lambert zwlekał z decyzją i dopiero po Horodelskiej demonstracyi, kiedy w Warszawie zaczęły obiegać drukowane zaproszenia na obchód pamiątkowy w rocznicę śmierci Kościuszki, wydał dnia 14. października rozporządzenie o zaprowadzeniu stanu wojennego w całym kraju.

Nastąpiły też natychmiast zwykłe w takich razach obostrzenia, wojsko rozłożyło się znowu po placach publicznych, wzbroniono surowo wszelkich zebrań liczniejszych na ulicach, kazano zamykać wcześniej restauracye, kawiarnie i szynki i oddano oczywiście władzę jak najszerszą naczelnikom wojskowym.

W kołach rewolucyjnie nastrojonych nie sprawiło ogłoszenie stanu oblężenia wielkiego wrażenia.

I tam już przykrzyżły się wprawdzie nieustanne manifestacye tak, że zamierzano zaniechać ich zupełnie i zakończyć je skromnem nabożeństwem żałobnem za Kościuszkę. Ale skoro teraz rząd zabronił surowo wszelkich obchodów tego rodzaju, postanowiono nadać nabożeństwu umyślnie jak najuroczystszy charakter, aby i uczcić pamięć bohatera i pokazać że nikt nie zwraca uwagi na zakazy rządowe w rzeczach dotyczących sprawy narodowej.¹⁾

W skutek tego postanowienia i energicznej agitacyi przedstawiało miasto w powszednim dniu 15. października widok świąteczny, sklepy, pomimo, że kupcom zagrożono wysokimi grzywnami, były zamknięte a tłumy ludzi wypełniły szczelnie kościoły, zwłaszcza katedrę św. Jana, gdzie odprawiał nabożeństwo biskup podlaski, ks. Benjamin Szymański.

Po skończonych egzekwacjach, kiedy zaczęto śpiewy patryotyczne, oberpolicmajster Piłsudski udał się do Zamku i zapytał Namiestnika jak ma teraz postąpić? odpowiedziano: „Wykonać ściśle postanowienie, wydane na wypadek zbiegowisk, t. j. kościoły otoczyć wojskiem i gdy nabożeństwo się skończy i lud pocznie wychodzić aresztować wszystkich mężczyzn dorosłych nie tykając kobiet i dzieci“.²⁾

Jakoż generał Chrulew, wzięwszy dwie kompanie piechoty, otoczył natychmiast katedrę i kościół Bernardynów a podobny los spotkał także kościół św. Krzyża.

Na wiadomość o tem powstała panika, zaczęto uciekać z kościołów. Udało się to tylko częściowo. Publiczność wymknęła się szczęśliwie u św. Krzyża, z kościoła Trynitarzy i Reformatów, musiała jednak, powstrzymana gęstym kordonem wojskowym, pozostać w katedrze i w kościele Bernardynów. Stało się to w południe i władze wojskowe sądziły, że rozkaz Namiestnika będą mogły łatwo wykonać.

¹⁾ Daniłowski l. c. str. 75.

²⁾ Według Przybor., tom III., str. 361, powstrzymała lud od wychodzenia młodzież. W relacyi Daniłowskiego (str. 76) przedstawia się rzecz inaczej i o namowach ze strony młodzieży niema tam wzmianki.

Tymczasem lud nie wychodził a gdy oficerowie mówili, że każdy może kościół opuścić i po spisaniu protokołu, jeżeli się okaże niewinnym będzie uwolniony, odpowiadano z tłum: „Nie wyjdziemy, tylko razem wszyscy, albo siedzieć tu będziemy aż do dnia sądnego“.¹⁾

Zaczęło się więc formalne obleżenie, bez wody i bez pożywienia, bo wojsko przerwało wszelką komunikację z miastem, pozostał lud w kościołach aż do godziny 2iej po północy, upadając z pragnienia i głodu, głuchy na przedstawienia parlamentarzy, którzy go do wyjścia nakłonić usiłowali.

Położenie stawało się nieznośnem, wprost straszem, żołnierze byli znużeni, wzburzenie w mieście rosło, Chrulew przewidywał rewolucyę. Na Zamku odbyły się dwie rady wojenne; na drugiej postanowiono, na wniosek Chrulewa czy Gerstenzweiga, wysłać do kościołów wojsko bez broni, aby lud skłonić do wyjścia a gdy to nie pomoże, wkroczyć zbrojnie do wnętrza i wszystkich aresztować.

Rozkaz wykonano wśród scen wstrząsających, przyczem nie obeszło się oczywiście bez bicia kolbami, poszturkiwań i wymysłań ze strony żołdactwa, opróżniono wreszcie kościoły i aresztowano 1678 osób. Równocześnie zaś rozpuszczeni po ulicach kozacy, napadali i bili batami spokojnych przechodniów. Koło południa ucichło wreszcie i nastąpiła chwila refleksyi. Lambert był przerażony. Przerażała go niezwykła ilość aresztowanych, ogólne wzburzenie, wiadomość o naradach w kapitule, gdzie pod przewodnictwem administratora dyecezyi ks. Antoniego Białobrzeskiego, postanowiono zamknąć kościoły, przez najście wojska sprofanowane. Położenie przedstawiało się rzeczywiście groźnie. Namiestnik chory, do najwyższego stopnia rozdrażniony, nie wiedział właściwie co począć. Telegrafował do cesarza, nawiązał układy z kapitułą, chcąc przeszkodzić zamknięciu kościołów, ale celu nie dopiął. Mimo opozycji umiarkowanych żywiołów, mimo przedstawień, że profanacyi w istocie nie było, ks. Białobrzeski nie chciał cofnąć uchwały raz powziętej, chociaż Namiestnik słowem honoru zaręczał, że odtąd ani policya ani wojsko do kościołów wchodzić nie będzie.

Wreszcie Namiestnik, chcąc dać dowód szczerości swego postępowania i nie wiedząc zresztą co ma zrobić z masą aresztowanych osób, kazał więźniów z cytadeli uwolnić, ale tem ustępstwem oburzył znowu na siebie całą klikę wojskową, zwłaszcza Gerstenzweiga. Ten, spotkawszy wracających z twierdzy aresztantów, wpadł jak opętany do Zamku, zaczął w obecności Chrulewa czynić gorzkie wyrzuty Lambertowi i w uniesieniu miał go nawet w twarz uderzyć.

Wyniknął stąd amerykański pojedynek. Chrulew zawiązał węzełek na chustce, który wyciągnął Gerstenzweig i nazajutrz¹⁾ z rana strzelił dwukrotnie do siebie raniąc się śmiertelnie. Ten tragiczny wypadek zламаł Lamberta do reszty.

Dia 17. października wysłał do cesarza telegram, błagając „na miłość Boską“ o dymisyę i otrzymawszy odpowiedź przychylną, opuścił w tydzień potem Warszawę, aby na południu szukać spokoju i zapomnienia o Polsce która stargała jego siły, zwichnęła świetną karyerę, podkopała zdrowie, zniweczyła najpiękniejsze nadzieje. Pragnął ratować jeszcze życie. Zamieszkał więc na Maderze, ale trawiony nieuleczalną chorobą piersiową, umarł niebawnie.

¹⁾ Daniłowski l. c.

¹⁾ Umarł po 19 tu dniach.



Rozdział ósmy.

SUCHOZANET. — JEGO ZATARG Z WIEŁOPOLSKIM. — PODROŻ MARGRA-
BIEGO DO PETERSBURGA. — LÜDERS. — SPRAWA BIAŁOBRZESKIEGO. —
KOMITET MIEJSKI I DYREKCJA BIAŁYCH. — SZKOŁA WOJSKOWA W GENUI.

W Liwadyi, gdzie bawił wtedy Aleksander II., sprawiło podanie się do dymisyi Lamberta nie mało kłopotu. Ludzi zdolnych i chętnych do objęcia niezmiernie trudnej posady Namiestnika w Królestwie nie było. Każdy się wymawiał i w gruncie rzeczy miał słuszność zupełną. W krótkim przeciągu czasu zużyło się i stargało swoje siły w Syrenim Grodzie dwóch dygnitarzy, nie najpośledniejszych w hierarchii wojskowo-urzędniczej, trzeci okryty śmiesznością okazał niesłychany brak taktu i rzadkiego nawet w Rosyi niedołęstwa.

W tak trudnem położeniu wskazał cesarzowi ktoś generała w odstawie hr. Lüdersa. Był to pospolity typ żołnierza, lichego gatunku, hulaka, o szerokiej naturze, imponujący marsową swoją postawą, rozrzutnik wiecznie potrzebujący pieniędzy i z tego powodu niezbyt skrupulatny. Pewną sławę zyskał sobie w kampanii węgierskiej. Z początku pobity i wyrzucony z Siedmiogrodu przez Bema, powrócił tam niebawnie i przeważnemi siłami pokonał słabszego i przez rząd węgierski opuszczonego przeciwnika.

Podczas wojny Krymskiej został w roku 1855 po Gorczakowie naczelnym wodzem armii rosyjskiej, ale, oddany pod sąd za okradzenie skarbu publicznego i uwolniony od służby zniknął z widowni. Obecnie dziwną koleją losów, w Rosyi tylko możliwą, powołano go na stanowisko, wymagające wszechstronnego uzdolnienia i powagi i czystości charakteru, słowem przymiotów, których Lüders zgoła nie posiadał. Czuł on to sam bardzo dobrze i niechętnie przyjmował godność tak niebezpieczną, lecz w końcu zastosował się do życzenia cesarza.

Nominacya miała charakter tymczasowy. Lüders został nie Namiestnikiem tylko „pełniącym obowiązki Namiestnika“ a że natychmiast wyjechać do Warszawy nie mógł, więc postanowiono, aby Suchozanet, wracający właśnie z Drezna, zastąpił go w urzędzie przez dni kilka.

Na wiadomość o tem zgłosił Wielopolski na ręce obecnego jeszcze w Warszawie Lamberta, swoją dymisyę, motywując podanie tem, że w obec wdzierania się władz wojskowych do Administracyi cywilnej i wynikających stąd nieustannych starć, zawikłań i zamieszania, nie może pełnić nadal swoich obowiązków. Według jego najgłębszego przekonania jedynym środkiem ratunku byłby rozdział władz, postawienie na czele rządu cywilnego Polaka i oddanie zarządu wojskowego człowiekowi pewnego i umiarkowanego sposobu myślenia. Lambert przyjął postanowienie Margrabiego z wielkiem niezadowoleniem, podania nie odesłał, lecz telegraficznie doniósł o niem cesarzowi i dodał od siebie uwagę, że uważa za konieczne utrzymać Wielopolskiego w imieniu monarchy. Suchozanet był oczywiście innego zdania. Zastawszy po przybyciu swoim do Warszawy, depeszę Lamberta, wysłał ją nazajutrz z uwagą od siebie: „nie mam nadziei, żeby proponowane Wielopolskiemu pozostanie w służbie miało skutek pomyślny“. Ta intryga nie osiągnęła jednak zamierzonego celu.

Cesarz polecił bowiem wezwać Margrabiego do pozostania, a Suchozanet musiał oczywiście rozkaz wykonać. Wielopolski stanowczej odpowiedzi nie dał i oświadczył, że chce wysłać do cesarza list przez syna swego Zygmunta, czemu znowu Sezostris usiłował przeszkodzić. Zaczęła się więc walka pomiędzy dwoma potentami.

Namiestnik dokuczał Margrabiemu. Kiedy Dziennik powszechny ogłosił w dodatku projekt do ukazu o oczynszowaniu włościan i projekt reformy szkół, co wśród ogółu wywołało żywe zajęcie, Suchozanet rozkazał dodatek skonfiskować i poddać Dziennik pod cenzurę dyrektora poczt Massona, czemu znowu oparł się stanowczo Wielopolski, twierdząc słusznie, że gazeta, z mocy rozporządzenia Rady administracyjnej podlega tylko cenzurze Dyrektora Komisji Oświecenia.

Zatarg przybierał charakter coraz ostrzejszy. Namiestnik uważał Wielopolskiego za rewolucjonistę. „Margrabia — tak donosił cesarzowi — po waryacku trwa w nieposłuszeństwie; wstrzymuję się od kroków stanowczych, ale niebezpiecznem jest znosić dłużej jego postępowanie“.

Gluche wieści o tych sporach rozchodziły się po Warszawie i wywoływały niemałą sensację. Opinia, dotąd wrogo usposobiona dla Wielopolskiego, wzięła nagle jego stronę. Margrabia z znienawidzonego stał się osobistością popularną; odwiedzano go, chwalono, rozkupywano jego fotografie, cieszone się każdym jego powodzeniem. Dzikie rządy kacyków prowincjonalnych, którzy teraz pod życzliwą opieką Sezostrysa, niesłychanych dopuszczali się gwałtów i nadużyć, dowodziły jasno, że system Wielopolskiego, zmierzający do powstrzymania podobnej samowoli jest dla kraju korzystnym i zasługuje na poparcie społeczeństwa.

Otrzeźwienie przychodziło niestety za późno i przeminało szybko.

Tymczasem Suchozanet, nie mogąc żadną miarą przeszkodzić wyjazdowi młodego Wielopolskiego do Petersburga, wysłał jak najprędzej przez generała Potapowa do cesarza memoriał, w którym oczywiście odmalował Margrabiego w najczarniejszych barwach. Na to przyszła odpowiedź szczególniejsza, jakiej w Zamku zgoła nie oczekiwano.

Cesarz rozkazywał, aby Wielopolski natychmiast stawił się w Petersburgu dla udzielenia wyjaśnień, a gdyby miał śmiałość być nieposłusznym polecał go aresztować i osadzić w cytadeli. Namiestnik, rad nie rad, wypełnił

rozkaz, na razie bez skutku, bo Wielopolski stanowczej odpowiedzi nie dał, tak że zastanawiano się nad tem czyby go nie aresztować, ale ta niepewność trwała krótko. Margrabia oświadczył, że wyjedzie do Petersburga dnia 4. listopada. Kilka dni potrzebował na przygotowanie do dalekiej podróży i na otwarcie uroczyste kursu przygotowawczego do Szkoły Głównej, który miał być początkiem wielkiej reformy edukacyjnej. Jakie losy mogły go spotkać tam nad Newą, tego ani on ani nikt zresztą przewidzieć nie zdołał. Pragnął więc pozostawić po sobie przynajmniej ślad pożytecznej dla kraju działalności, dowód, że dobro społeczeństwa leżało mu istotnie na sercu i wskazać narodowi drogę, prowadzącą przez pracę do wyzwolenia ducha z więzów ciemnoty, do uzdrowienia i odrodzenia.

Stworzenie tej pierwszej instytucji naukowo-wychowawczej w Królestwie nie było w ówczesnych warunkach wcale rzeczą łatwą.

Brakowało bowiem uzdolnionych profesorów a sprowadzenie wybitniejszych uczonych polskich z zagranicy napotykało na rozmaite trudności.

Najgłośniejszy wtedy znawca i badacz literatury polskiej, Antoni Małecki, którego wykłady w uniwersytecie lwowskim ściągaly tłumy młodzieży, nie przyjął wezwania do Warszawy, bo nie chciał opuszczać ważnego posterunku we Lwowie. I jego i innych wstrzymywał zresztą także wzgląd na niepewne położenie rzeczy w Warszawie.

Zpoza zaboru rosyjskiego więc pozyskał Margrabia jedynie Kazimierza Plebańskiego, Wielopolanina, historyka, gruntownie wykształconego, obdarzonego zmysłem krytycznym, który swoją bezstronnością i trzeźwością oddziaływał dodatnio na rozgorączkowane umysły młodzieży.

Inne katedry zajęli bądź profesorowie gimnazjalni z Królestwa jak Pęczalski i filolog Augustyn Szmurło, bądź nowi adepci zawodu nauczycielskiego, słusznie ceniony krytyk i tłumacz Kazimierz Kaszewski i młody literat Edmund Siwiński.

Jakkolwiekby szkoła stanęła i w dniu 28. października rozpoczęły się wykłady w obecności Wielopolskiego, który przemówił do młodzieży, zachęcając ją do pracy i sumiennego pełnienia obowiązków.

Ze wszystkich kreacji Margrabiego była ta właśnie najważniejsza. Mogła ona nie tylko przygotować materiał dla przyszłej Szkoły Głównej, ale także przyczynić się znacznie do zrehabilitowania młodzieży, do otrzeźwienia zapalonych umysłów, do odwrócenia ich od politycznej agitacji, mogła położyć kres t. zw. „studentokracji“, która, opanowawszy społeczeństwo, prowadziła kraj do katastrofy. Rozumieli to współcześni tak dobrze Biali jak i Czerwoni, ale brak odwagi cywilnej, pospolitej niestety, u nas, sprawił, że dzieło dobre i pożyteczne nie przyniosło spodziewanych owoców.

Chwilowa popularność Wielopolskiego nie zdołała przytłumić zakorzenionej do niego nienawiści. Nowe tajne pismo Pobudka, żegnało wyjeżdżającego jako „urzędnika i wiernego sługę carów“, Czas krakowski, zadowolony widocznie pisał: „teraz odejdzie od władzy, aby żyć w narodzie, który zdeptał, znieważył, niczem nie zdoławszy zmyć krwawego piętna, jakie ciężać będzie na jego imieniu“. Jakoż zanosilo się na to, że ten, przez ogół niezrozumiany i przez marzycieli rewolucyjnych potępiony, więcej już do władzy nie wróci.

Suchozanet wyznaczył natychmiast zastępców Wielopolskiego w Komisji Sprawiedliwości i w Komisji Wyznań i Oświecenia; a Lüders, przybywszy

dnia 5. listopada do Warszawy, zajął pod względem politycznym, stanowisko wyczekujące i obojętne. Żołnierz z zawodu, z stosunkami w Królestwie zgola nie obeznany, utrzymał stan wojenny, zajmował się wojskiem i wojskowością, o resztę troszczył się mało, bo go to i niewiele obchodziło. Czas spędzał rozmaicie, chodził po mieście, zaglądał do sklepów, kupował tam, targował się, jeździł bez eskorty wojskowej i cieszył się w duchu zapewne, że Warszawa spokojna.

Rzeczywiście ustały manifestacye a z powodu zamknięcia kościołów i rozmaite nabożeństwa i śpiewy patryotyczno-religijne, na ulicach nie było widać strojów narodowych, ale „za to w głębi gorzał wulkan podziemny, rosnać olbrzymio w siłę“.¹⁾ Po okresie demonstracyjnym rozpoczynała się epoka tajnych spisków, przygotowująca zbrojną rewolucyę.

W logicznym rozwoju wypadków był to zwrot zrozumiały i nieunikniony.

Manifestacye miały na celu, jeżeli ogółem o jakimś rozumnym i celowym działaniu można tu mówić, rozbudzenie ducha narodowego w społeczeństwie przynętionem, zahukanem i apatycznie usposobionem.

Środek ukazał się aż nadto skutecznym. Uczucie patryotyczne, długo brutalną tłumione siłą, zabiło żywym tentnem i, potężniejąc coraz bardziej, doszło do tego stopnia napięcia, gdzie głos rozsądku milknie w obec gorączki czynu.

Do tego czynu parło wszystko, wypadki zewnętrzne i ogólne rozognienie umysłów i wpływy emigracyjne, jak zwykle nieopatrzne i w działaniu swoim nieobliczalne.

Gdy reformy, przez Wielopolskiego wyjednane, przez rząd niechętnie przyjęte i leniwie w życie wprowadzane, nie mogły zadowolnić daleko po za granice Królestwa sięgających aspiracyj narodowych i gdy rzucono hasło precz z kompromisem, nie pozostawało nic innego jak tylko walka orężna.

Okazała się zatem konieczna potrzeba przygotowania i organizacji.

Wspominaliśmy już o usiłowaniach podjętych w tym kierunku, o zawiązaniu organizacji Białych, przed patronatem Andrzeja Zamoyskiego i o próbach stworzenia organizacji Czerwonych.

Obecnie, po ustąpieniu Wielopolskiego, gdy system jego zachwiał się w posadach a w kraju zapanował stan wojenny, podjęto przerwana pracę na nowo i w drugiej połowie października powstał t. zw. Komitet Miejski, złożony z Ignacego Chmielińskiego, Juljana Wereszczyńskiego i Głowackiego.

Była to organizacya dość wątła i w działaniu swoim ograniczona na Warszawę. Dla jej wzmocnienia wybrano następnie, idąc za wzorem Białych, rodzaj zwierzchniej władzy, Koło, ono istniało właściwie tylko dla formy i żadnego nie wywierało wpływu.

Pomiędzy członkami Komitetu największe znaczenie zdobył sobie niebawem Chmieliński.

Syn niezamożnego obywatela w Królestwie, skończył zaledwie pięć klas gimnazjalnych, jał się po śmierci ojca gospodarstwa a straciwszy wnet ojcowinę, pojechał dla dalszego kształcenia się do Kijowa, gdzie jednak egzaminu wstępnego nie zdał i był tylko aspirantem do uniwersytetu.²⁾

Niedoczony, o powierzchniowość swoją i elegancyę niezmiernie dbały, miał on temperament gwałtowny i lgnął całą duszą do zasad najradykałniejszych, przyjmując je bez krytyki i zastrzeżeń.

¹⁾ Daniłowski, str. 91.

²⁾ Materiały, tom IV., str. 146.

W tym duchu więc, jako zapalony wielbiciel Mierosławskiego, rozpoczął agitację polityczną wśród młodzieży Kijowskiej.

Z początku szło mu to trudno, bo daru wymowy nie posiadał i słowa wyrzucał z ust, ale właśnie ten sposób urywany wypowiedziania zdań najskrajniejszych w tonie namiętnym, sprawiał na niedoświadczonych umysłach wielkie wrażenie.

Wiekiem starszy, imponował on nadto kolegom znajomością życia i swoją burzliwą przeszłością a pociągał jaskrawością poglądów i głębokiem przekonaniem, z jakim wypowiadał swoje zasady. W tem tkwiła też tajemnica jego wpływów i powodzenia.

Rozporządzał też licznym zastępem spiskowców, niższej kategorii, którzy go ślepo słuchali. Po jego zapalonej głowie snuły się daleko sięgające zamiary. Chciał utworzyć rozległą konspirację, obejmującą cały kraj i wszystkie prowincje polskie, i w tym celu dążył do połączenia odrębnie istniejących organizacji, zwłaszcza pomiędzy młodzieżą akademicką. Stało się to dopiero na początku 1862 roku.

Po długich układach postanowiono przyjąć zgrona młodzieży do Komitetu Miejskiego, Władysława Daniłowskiego a do Koła Zdzisława Janczewskiego i Wincentego Kamińskiego.

Zmieniony i wzmocniony w ten sposób Komitet składał się z pięciu członków: Witolda Marczewskiego, Ignacego Chmieleńskiego, Jarosława Dąbrowskiego,¹⁾ Stanisława Matuszewicza i Daniłowskiego.²⁾ Organem jego było pismo Głos z Warszawy a pieczęć, jakiej używał, przedstawiała dwie ręce trzymające się, z napisem: wolność, całość i niepodległość i hieroglif, złożony z trzech początkowych liter M.C.D., oznaczających nazwiska członków Komitetu. „Od tej chwili — tak opowiada Daniłowski — partya ruchu, czyli, jak ją zwali, Czerwona, śmiało stawilo czoło partyi Białej, walcząc z nią bez ustanku, wrywając z jej łona cały żywioł gorętszy, i, zmusiwszy ją w końcu do rozwiązania się zupełnego, objęła naczelny zarząd nad jednym już tylko, cały kraj okrywajacem sprzysiężeniem“.

Równolegle a niemal i równocześnie z tem krzątaniem się Czerwonych w kraju, pracowały gorętsze żywioły emigracyjne za granicą nad przygotowaniem ruchu zbrojnego.

Mierosławski, z pomocą Garibaldeggo i za pieniądze uzyskane od Księcia Napoleona i Marcelego Ks. Lubomirskiego, założył polską szkołę wojskową w Genui, która przy końcu 1861 roku liczyła 120 słuchaczy, między tem późniejszych dowódców powstańczych: Bolesława Kołyszkę, Zygmunta Chmieleńskiego, Rogińskiego i Wysłoucha. Nauczycielami byli: Mierosławski, major Władysław Englert, kapitan Karol Brazewicz, baron Dulfus, Polak, kapitan gwardyi królewskiej włoskiej, Rogaliński, porucznik ułanów austriackich, major Waligórski były oficer wojsk polskich, Michał Suzin, porucznik artyleryi rosyjskiej, później Maryan Langiewicz i Zygmunt Padlewski.

Cała ta młodzież, przejęta na wskrós duchem rewolucyjnym, oddana, przynajmniej w początkach, ciałem i duszą Mierosławskiemu, pragnęła co-prędzej dosiąść „owdowiałego siodła“ i w pismach ulotnych, nawoływała kraj do powstania, starając się zarazem ośmieszyć, działanie umiarkowanych żywiołów.

¹⁾ Dąbrowski przybył do Warszawy dnia 6. lutego 1862 roku. Berg, tom II., str. 156.

²⁾ Daniłowski, str. 94.

Ażeby tę szaloną agitację przytłumić i groźnemu nieszczęściu zapobiedz, postanowiło stronnictwo Białych wejść w układy z emigracją. Wysłany w tym celu do Paryża obywatel (Stanisław Karski?) nawiązał rokowania z Wysockim, który, jakkolwiek był członkiem dawniejszego Towarzystwa Demokratycznego, uchodził za umiarkowanego, i w imieniu Andrzeja Zamoyskiego ofiarował mu milion złp. rocznie na utrzymanie szkoły Genujskiej pod warunkiem, że Wysocki zobowiąże się pisemnie wpływem swoim zapobiegać powstaniu i zwracać młodzież do pracy nad wykształceniem w zawodzie wojskowym.

Wysocki jednak nie chciał o tem nawet słyszeć i oświadczył wręcz, że powstanie jest nieuniknione, że wybuchnie i wybuchnąć musi, bo „młodzież polska nie może pozwolić, aby kompromis przez Wielopolskiego przeprowadzony, przyszedł do skutku i pojednaniu narodu polskiego z Rosją musi zatem stawić przeszkodę we krwi, którą wyleje“.

Napróżno przedstawiał wysłannik pana Andrzeja, że w obecnych warunkach nie ma najmniejszych widoków powodzenia, że powstanie skończy się pogromem i katastrofą, Wysocki odparł, że obawy te są zgola nieuzasadnione, gdyż on od Księcia Napoleona wie, że Francya poprze całą potęgą ruch polski i że zatem ofiarowane fundusze przeznaczyć należy nie na szkołę wojskową lecz na zakupno broni.

Wszystko to co mówił pocziwy generał o interwencji francuskiej, było czystem złudzeniem. Napoleon III. bowiem pracował od kongresu paryskiego począwszy, usilnie nad zbliżeniem do Rosyi i w sprawie polskiej, tak drażliwej dla caratu, zachowywał się z największą wstrzemięźliwością. W Petersburgu przyjmowano umizgi z pewną rezerwą ale także i z zadowoleniem. Górczakow, kierujący zewnętrzną polityką rosyjską, pałał od czasu swojej wiedeńskiej ambasady podczas wojny krymskiej, nieublaganą do Austrii nienawiścią i był zdeklarowanym zwolennikiem francuskiego przymierza. „Od chwili jak cesarz powierzył mi tękę ministra spraw zagranicznych — tak mówił do Ks. Montebello — polega rosyjska polityka na związku z Francją“.¹⁾ Jakoż w przededniu wojny włoskiej (1859 r.), po zjeździe Sztutgarckim, zajęła Rosya stanowisko dla Napoleona III. przychylnie i wpływem swoim w Berlinie powstrzymała Prusy od udzielenia pomocy walczącej na półwyspie apenińskim Austrii.



Nr. 48. Ignacy Chmieleński, członek rządu.
(Ze zbioru pana Jarosława Pieniżka).

¹⁾ G. Rothan : L'entrevue de Stuttgart : Revue des deux Mondes 1889, Janvier p. 99.

Jakkolwiek dyplomacya francuska mogła powątpiewać o szczerości swoich nowych przyjaciół z nad Newy, jakkolwiek w Paryżu spodziewano się, że Rosya, ustawiwszy korpus obserwacyjny na granicy Galicyjskiej, uwięzi część armii austriackiej, przeznaczonej na wojnę włoską, co się nie stało, to jednak zapewnienia Ks. Gorczakowa dawały nadzieję, że tyle upragnione przymierze z Rosyą przyjdzie przeciw do skutku.

Dwie tylko były w tym względzie przeszkody: nieufności, jaką okazywał Aleksander II. Napoleonowi i sprawa polska.

Jeżeli Napoleon III. w liście własnoręcznym ofiarował Rosyi Galicyę pod warunkiem wypowiedzenia wojny Austrii,¹⁾ to w podejrziwym umyśle Aleksandra II. mógł obudzić rzeczywiście poważne co do swoich dalszych zamiarów wątpliwości.

Parwienusz na tronie, rewolucjonista i spiskowiec, gorliwy opiekun buntujących się przeciw prawowitemu swemu władcy Włochów wydawał się samodzielnym rosyjskiemu zanadto niebezpiecznym. Nieobliczalna jego polityka mogła wywołać w Europie niesłychane wstrząśnienia, wypadki na Zachodzie, mogły i musiały poruszyć cały Wschód, jak wyrażał się w roku 1860 Gorczakow.²⁾ Dziwić się zatem niepodobna, że legitymista tej miary co Aleksander II. miał pewne obawy przed tym ukoronowanym burzycielem, depcącym traktaty wiedeńskie i głoszącym niebezpieczną dla Rosyi zwłaszcza zasadę narodowości.

I tu wysuwała się na pierwsze miejsce oczywiście kwestya polska. Czy Napoleon III. przyrzekał Aleksandrowi II., że tej bolącej rany na ciele rosyjskiem nie poruszy,³⁾ czy ją mimoto i w jaki sposób na zjeździe Sztutgarskim poruszył, tego na pewne nie wiemy, bo w archiwach francuskich niema zgola materyałów do historyi owego pamiętnego spotkania.⁴⁾

Natomiast pewnem jest, że Napoleon III. starał się usilnie o utrzymanie dobrych stosunków z gabinetem petersburskim. Kiedy na schyłku 1860 roku ambasador rosyjski Kisielew z polecenia swojego rządu uskarżał się na księcia Napoleona, że podnieca ruch polski, musiał Książę na wyraźny rozkaz cesarza złożyć wizytę ambasadorowi i usprawiedliwić się z zarzutów. Mimo to, po wypadkach lutowych, które obudziły sympatye Francuzów dla narodu polskiego nie wahał się Książę Napoleon powiedzieć dnia 19. marca 1861 roku w senacie, że cesarz zrobi coś dla Polski i w słowach niezupełnie jasnych wspomnieć o poufnych w tym względzie układach z Austryą.

Na to ukazał się jednak w rządowym *Monitorze* artykuł, gdzie autor, przedstawivszy obszernie reformy, przyznane Królestwu, ostrzegał opinię publiczną przed złudzeniem „Jakoby rząd cesarski dodawał zachęty nadziejom, których zadowolnić nie jest w stanie“ i dodawał, że „wspaniałomyślne zamiary cara są najpewniejszą rękojmią jego chęci urzeczywistnienia reform, jakich wymaga położenie Polski i pragnąć należy, by mu nie przeszkodziły w tych zamiarach drażniące manifestacye“.

W kilka tygodni potem (dnia 14. czerwca 1861 roku) pisał w tym samym duchu o sprawie polskiej *Constitutionnel* inspirowany także przez rząd i każdy rozsądny człowiek musiał przyznać, że są to enuncyacye, rozwiewające wszelkie marzenia o interwencji francuskiej.

¹⁾ Koźmian: Rzecz o roku 1863, tom II., str. 77.

²⁾ Klaczko: Studya dyplomatyczne (Sprawa polska. Sprawa duńska) str. 15.

³⁾ Bulle: Geschichte des 2ten Kaiserreiches, str. 204.

⁴⁾ „Leur rencontre, dont nos archives n'ont conservé aucune trace“. Rothan l. c.

A jednak złudzenie trwało dalej. Utrzymywał je paryski korespondent *Czasu*, Andrzej Edward Koźmian,¹⁾ tłumacząc na swój sposób urzędowe lub półurzędowe artykuły dzienników francuskich, utrzymywali emigranci polscy, pozostający w stosunkach z Księciem Napoleonem, utrzymywało wreszcie i stronnictwo Czartoryskich, wierzące mimo zawodów doznanych w roku 1831, w skuteczną interwencję mocarstw zachodnich. Generałowi Władysławowi Zamoyskiemu powiodło się poruszyć sprawę polską w parlamencie angielskim. Lord Russel, którego celem było niedopuszczyć do zawiazania przymierza francusko-rosyjskiego, wypowiedział kilka frazesów o świetnej i wolnej przyszłości narodu polskiego²⁾. Towarzystwo przyjaciół Polski, od dawna istniejące w Londynie, wręczyło Księciu Czartoryskiemu adres z życzeniem, aby mógł być świadkiem wolności i pomyślności na rodzinnej ziemi³⁾, Ellenborough ostrzegał w izbie lordów Rosyę przed uciemiężaniem Polski a mało znany zresztą Pope Hennessy interpelował w izbie niższej rząd z powodu rzezi kwietniowej w Warszawie.

Wszystkie te wymodlone objawy współczucia czy oburzenia, wypowiadane w tonie chłodnym i obojętnym mogły imponować tylko kawiarnianym politykom lub zadowalniać politycznych marzycieli, ale realnej wartości nie miały zgoła. *Times* drwił sobie z interpelacji Hennessy, radził aby pod jego dowództwem wysłać flotę pod Warszawę albo do Petersburga, cieszył się widokiem jego koronacji na króla polskiego, pisał z lekceważeniem „o szlochaniu nad losami Polski“, której nie mógł pomódz ani Napoleon I., chociaż władał połową Europy, ani Lord Castlereagh w r. 1815. Podobnie myślały oficjalne sfery angielskie. Lord Napier ambasador angielski w Petersburgu mniemał „odbudowanie Polski i osłabienie tem Rosyi byłoby szaleństwem, wprost przeciwnem naszym interesom“⁴⁾.

Anglia zajmowała względem Polski w latach 1860—1863 stanowisko zupełnie podobne jak podczas powstania listopadowego. Tak jak wtedy tak i obecnie pragnęła ona utrzymać dobre stosunki z Rosyą. Napier wyrażał tę samą opinię co Palmerston w roku 1831⁵⁾ i jeden i drugi cenili sobie wysoko przyjaźń rosyjską a sprawa polska była dla gabinetu londyńskiego tylko dogodnym środkiem do zniweczenia zamiarów Napoleona III.

Z tego położenia nikt sobie u nas sprawy nie zdawał, nikt nad niem się nie zastanawiał. Dla Czerwonych wystarczały życzliwe artykuły gazet



Nr. 48. Witold Marczewski.
(Ze zbioru pana Jarosława Pieniążka.)

¹⁾ Koźmian, *Rzecz* o roku 1863, tom II., str. 224.

²⁾ Klaczko l. c. str. 91.

³⁾ Por. jego depeszę do ambasadora angielskiego w Petersburgu u D'Angeberga p. 806.

francuskich, bo po angielsku mało kto umiał i wyjątkowo chyba znajdował się taki co Timesa czytywał; Biali, lepiej cokolwiek poinformowani i politycznie dojrzalsi znali wprawdzie właściwe znaczenie marnych interpelacyj i jeszcze marniejszych mów parlamentarnych, ale wpływu na opinię publiczną nie mieli wcale.

Dziennikarstwo warszawskie, skrępowane cenzurą i w gruncie rzeczy przychylne ruchowi, zachowywało się lękliwie, Dziennikowi powszechnemu — że był organem Wielopolskiego — nikt nie dawał wiary.

Zresztą i rząd obecny inaczej już patrzył na rzeczy niż Lambert i Gorczakow. Dodany Lüdersowi do pomocy jako generał-gubernator Krzyżanowski, patriota rosyjski w rodzaju Katkowa lękał się więcej Białych niż Czerwonych. „Czerwoni — tak mówił arcybiskupowi Felińskiemu — porwą za broń, my ich zdusimy i na tem cała komedia się skończy. Ale te lotry białe (*mais ces coquins des blancs*), jeśli się im uda opanować rewolucyę, gotowi nas wszystkich stąd wykurzyć¹⁾).

Ta możność „wykurzenia“ przerażała najczęściej wszystkich karyerowiczów rosyjskich i podniecała ich drapieżne instynkty. Lüders, politycznie obojętny, dawszy słowo honoru cesarzowi, że porządek w Warszawie utrzyma, chociażby przyszło całe miasto w gruzy zamienić, rządził po żołniersku. Zaczęto aresztować winnych i niewinnych, sadzano do cytadeli więcej Białych niż Czerwonych, Białobrzeskiego stawiono przed sąd wojenny i po mało-dusznej z jego stronie obronie, skazano na śmierć, który to wyrok nie uzyskał zatwierdzenia cesarskiego i został zmieniony na rok więzienia w twierdzy Bobrujskiej.

Równocześnie nastąpiły ważne zmiany w administracyi.

Dyrektorem Komisji Spraw Wewnętrznych mianowano Aleksandra Iwanowicza Kruzenszterna, przywrócono na dawne posady usuniętych przez Wielopolskiego urzędników, znanych z łapownictwa i złodziejstwa, Radę Administracyjną zapełniono Rosyaninami, tak że na dziesięciu członków było ich sześciu, i przygotowawszy w ten sposób grunt do działania na szkodę kraju, podjęto sprawę oczyszczowania w duchu przeciwnym projektowi Wielopolskiego a z widocznym zamiarem wzniecenia waśni społecznej i pogłębienia przepaści dzielącej lud od szlachty.

Przerażone ziemiaństwo chwyciło się energiczniejszych środków, dokonało zamierzonej organizacyi, wybrało z swego łona zwierzchnią władzę, t. zw. Dyrekcyą i zaczęło poważnie zastanawiać się nad możliwością powstania odkładając je jednak na czas późniejszy, do roku 1865, i postanawiając zbierać tymczasem fundusze, potrzebne na zakupno broni i nieuchronne w takich razach wydatki. Jakoż do końca stycznia 1862 roku znalazło się w kasach Dyrekcyi około miliona złp. tak stały rzeczy w kraju. Cóż działo się w Petersburgu?

¹⁾ Pamiętniki ks. Felińskiego, tom II., str. 147.



Rozdział dziewiąty.

POBYT WIELOPOLSKIEGO W PETERSBURGU. — KS. FELIŃSKI I JEGO
NOMINACJA NA ARCYBISKUPA WARSZAWSKIEGO. — OTWARCIE KOŚCIO-
ŁÓW. — POWRÓT MARGRABIEGO DO WARSZAWY W MARCU 1862 ROKU. —
WALKA Z KRUZENSZTERNEM I LÜDERSEM.

Położenie Margrabiego w chwili wyjazdu do Petersburga i w czasie długiego tam pobytu było wyjątkowo trudne. Oskarżony przez Suchozanetę niemal o zdradę stanu, wezwany surowym rozkazem cesarskim do bezzwłocznego stawienia się przed Monarchą, mógł on wraz z najlepszym oczekiwać „wygoworu“ i nielaski, w najgorszym zupełnej dymisji i wywiezienia w głąb Rosyi.

W Kołach rządowych nie myślano o tem. Donosy Suchozaneta brano tam dość lekko ale nieustające zatargi Margrabiego z Namiestnikiem budziły, bądź jak bądź, pewne wątpliwości. Postanowiono zatem położyć koniec tej gorszącej kłótni, powołać Wielopolskiego, poznać go bliżej, wysłuchać jego zdania i wtedy dopiero powziąć decyzję co do środków jakich użyć należało w celu uspokojenia Polski i Polaków.

Była to zaś sprawa dla gabinetu petersburskiego bardzo ważna i bardzo drażliwa. Wypadki warszawskie odbiły się bowiem głośnie echem w całym świecie, poruszyły żywo opinię publiczną, wywołały głębokie przeciw Rosyi oburzenie, podały w wątpliwość liberalne zamiary Aleksandra II. i z nieślawiły administrację rosyjską w ogóle. Ponadto wrzenie umysłów w Polsce oddziaływało niekorzystnie na całe państwo, które w okresie reform potrzebowało koniecznie spokoju i skupienia. Te wszystkie względy skłaniały rząd rosyjski do ugodowej polityki i do szukania kompromisu z narodem polskim.

Główną przeszkodę stanowiła tradycyjna nieufność do Polaków, niezajomość stosunków, panujących w Królestwie i w prowincjach zabranych i zagadkowy charakter ruchu polskiego.

Ogólnikowy adres, podany na ręce Gorczakowa, nie mógł być podstawą układów; program Wielopolskiego, przyjęty częściowo, wywołał zamiast uspokojenia niezadowolenie. Zachodziło więc pytanie co uczynić należy i na

nie miał odpowiedzieć Margrabia, Polak, z nienawidzony wprowadzić w kraju, ale może z tego powodu właśnie jedyny, do którego rząd miał jakiegokolwiek zaufanie.

Spodziewano się że ten lojalny, bardzo rozumny, bardzo trzeźwy i przez własnych rodaków za wroga swojej Ojczyzny okrzyczany człowiek, przedstawi sposób rozwiązanych kwestyi polskiej możliwy do przyjęcia, że wynajdzie środek na uleczenie rany ropiącej na ciele caratu. Zadanie samo z siebie trudne było jeszcze trudniejszym, jeżeli się zważy, że Wielopolski nieposiadał ani stosunków ani przyjaciół w Petersburgu, że musiał sam zdobywać sobie dopiero uznanie i znaczenie w świecie obcym, dla Polaków i Polski źle uprzedzonym, działać wśród warunków najniekorzystniejszych, bronić sprawy tylokrotnie przegranej, bez najmniejszego poparcia i pomocy tych, których wypadło mu ratować i dźwigać z upadku.

Toż nie dziwnego, że jechał nad Nową bez złudzeń i nadziei, spodziewając się tylko rychłego powrotu i zakończenia swojej kariery politycznej. Stało się jednak inaczej. Cesarz przyjął go bardzo łaskawie, dziękował za poświęcenie, jakiego dotychczas dał dowody i żądał objaśnienia o stosunkach w Królestwie. Wielopolski przedstawił stan kraju i oświadczył, że porządek może być przywrócony i utrzymany tylko wtedy, jeżeli oddzieli się władzę cywilną od wojskowej i pierwszej zapewni wpływ należyty na administrację.

Cesarz nie zgodził się na to. Pragnąc szczerze, jak mówił, utrzymaniu autonomii Królestwa, uważał za rzecz ryzykowną, gdy istnieje stan wojenny osłabiać władzę wojskową, żądał natomiast, aby Margrabia pozostał w Petersburgu i wziął udział w rozprawach nad projektami do praw, które sam przedłożył.

Było to i wiele i mało. Oskarżenia Suchozaneta nie odniosły widocznie zamierzonego skutku, ale nie mniej także nie uzyskał aprobaty zasadniczy program Wielopolskiego. W zwykłych warunkach wypadło więc Margrabiemu prosić o dymisyę. Nie uczynił tego w nadziei, że przecież rzeczy mogą jeszcze wziąć obrót korzystniejszy i w przeświadczeniu, że należy wytrwać na stanowisku tak długo, dokąd nie rozstrzygnie się los ustaw, mających wielkie dla kraju znaczenie.

Zresztą cokolwiek utuchy dodawały słowa cesarza o autonomii Królestwa, dowodzące, że u góry nie myślano o bezwzględnej represyi.

Pozostał więc, zaczął się rozglądać w tym świecie dziwnym, dla przybysza z Zachodu często niezrozumiałym i zwolna z nim się oswajać.

Już wiadomość o łaskawem przyjęciu, jakiego doznał u cesarza, musiała wśród „dworaków i nadwornych błaznów“ sprawić nie małe wrażenie a pewno siebie i dumne obejście Margrabiego, tak niezwykle w tym tłumie o giętkich karkach, zjednało mu sympatyę u jednych a w drugich wzbudziło podziw i mimowolny szacunek. Rozumniejszych i więcej kulturalnych pociągał on ku sobie swoim wysokiem wykształceniem i niepospolitą inteligencyą, innym imponował postawą, wzięciem i lekceważeniem dworskiej etykiety.

Były to, co prawda, tam nad Nową zgola inne czasy i stosunki. Z pomroku Mikołajowskiej nocy wyłaniały się nowe prądy i kierunki, szukające dróg i środków do odrodzenia Rosyi na liberalnych podstawach. Tak zwani „zapadnicy“, przejęci teoryjami zachodnimi spotykali się z słowianofilami, marzącymi o zjednoczeniu całej Słowiańszczyzny pod

protektoratem rosyjskim; Hercen i Bakunin, przedslannicy późniejszego nihilizmu, szerzyli ducha rewolucyjnego w wojsku i pomiędzy inteligencją a „samobytnicy“, spoglądający z pogardą na „zgniły“ Zachód przygotowywali reakcyę o charakterze rdzenno rosyjskim.

U dworu i w najwyższych sferach dominowały jeszcze zawsze wpływy niemieckie, umocnione tradycją i związkami familijnymi.

Matka cesarza, Karolina, była siostrą późniejszego cesarza Wilhelma I.; Wielka Księżna Helena Pawłówna, Księżniczka Wirtemberską, carowa Heską,



Nr. 50. Jarosław Dąbrowski.
(Ze zbioru pana Jarosława Pieniążka.)

żona W. Ks. Mikołaja, Oldenburską, W. Ks. Michałowa Badeńską, W. Ks. Konstantowa Sasko-Altenburską.

Na wysokich urzędach, w armii i po ministerstwach zasiadali Niemcy; synowie inflanckich baronów, Kurlandczycy i przybysze z zagranicy, przeważnie zdolni karyerowicze o wątpliwem pochodzeniu i niewyraźnym charakterze.

Podczas powstania roilo się nad granicą galicyjską i w Warszawie od niemieckich oficerów a w dziesięć lat później, według obliczeń statystycznych Głosu przypadało w armii rosyjskiej na 100 wyższych oficerów 80 Niemców.

Minister spraw zagranicznych, Gorczakow, galloman w polityce i z przekonania, nienawidzący serdecznie Austrii i Prusom niechętny, posługiwał

się w najważniejszych sprawach Niemcami: Westmanem i niemieckim Żydem Hamburgerem.

Oczywiście różnili się ci Niemcy znacznie od dzisiejszych, byli skromniejsi, więcej kulturalni, nie marzący bynajmniej o panowaniu nad światem, nie oszołomieni jeszcze niespodziewanymi powodzeniami z pod Sadowy, Metzu, Sedanu i Paryża.

Potęga caratu budziła w nich, mimo świeżej klęski, respekt i obawę o własną skórę, drobni Książęta rzeszy uznawali pewien rodzaj protektoratu rosyjskiego nad sobą.

Aleksander II., przyjmując po śmierci ojca ciało dyplomatyczne, przemawiał do ambasadorów austriackiego i pruskiego w tonie nauczyciela strofującego krnąbrnych studentów: pierwszemu wyrzucał wprost niewdzięczność, drugiemu zalecał poprawę obyczajów.¹⁾ Obaj wysłuchali ojcowskiego upomnienia spokojnie i niema śladu, aby to zdarzenie, w świecie dyplomatycznym niezwykle, zamąciło stosunki pomiędzy Petersburgiem a Wiedniem i Berlinem.

Przeciwnie, w kilka lat odbył się (w r. 1860) w Warszawie zjazd trzech monarchów, w najzupełniejszej zgodzie i harmonii, uważany wtedy za nieprzyjazną przeciw Francji demonstrację. Jakoż Aleksander II., mimo wszystko, nie był bynajmniej wrogiem Niemców a w tych sympatiach tradycyjalnych utwierdzała go niewątpliwie także żona. Dziwnym zbiegiem okoliczności zaważyły te germańskie sentymenta pary carskiej na losach sprawy polskiej i Wielopolskiego.

Margrabia odebrał pierwsze swoje wykształcenie w Therezyanum wiedeńskim, nauki uniwersyteckie kończył w Getyndze i tam uzyskał stopień doktorski. Posiadał on w skutek tego dokładną znajomość języka i literatury niemieckiej i tem zaimponował cesarzowej i zdobył sobie jeżeli nie jej poparcie to przynajmniej pewną życzliwość.

Tym sposobem pozyskał także W. Księżnę Helenę, kobietę bardzo rozumną i niezmiernie wpływową, w której salonach zbierała się śmietanka towarzystwa petersburskiego, złożona z przedstawicieli rozmaitych stronnictw i kierunków.

Z pomiędzy wysokich dygnitarzy popierali Margrabiego, wicekanclerz Gorczakow i baron Paweł Meyendorff, członek Rady państwa, dawny znajomy i kolega z czasów uniwersyteckich w Getyndze. Najciekawszą w swoim rodzaju i najszczególniejszą opiekunkę znalazł Wielopolski w pannie Antoninie Błudow, córce hr. Dymitra Błudowa, prezesa Rady Państwa.

Oryginalna tu dama, zapalona słowianofilka, oddana całą duszą polityce i propagandzie prawosławnej a stąd i u carowej dobrze widziana, stała się po przeczytaniu „Listu szlachcica polskiego do Metternicha“ najgorętszą wielbicelką Margrabiego. On, według jej rozumienia, miał być tym opatrznosciowym mężem, który pojednanie Polski z Rosyą doprowadzi do skutku i położy fundamenta wielkiego państwa słowiańskiego, oczywiście pod zwierzchnictwem rosyjskiem. Natchnienia w tym kierunku dodawał pannie Antoninie „porywający“ poeta ruski, Tiutczew, tak jak ona, literat i pansławista.

¹⁾ Bismarck und Russland. Enthüllungen über die Beziehungen Deutschlands und Russlands vom 1859 bis heute. Berlin. (bez roku i autora). Seite 8.

Dla ścisłości dodać już tu należy, że oboje poszli w dalszym życiu swoim drogą zwykłą niestety, u liberałów i entuzyastów rosyjskich. Tiutczew został wielbicielem Murawiewa Wieszatela, a hr. Błudowna wyprosiła sobie z „łupów“ polskich (*dé pouilles opimes — spolia opima*) majątek Brykow na Wołyniu, skonfiskowany w roku 1863 Mężczyńskim, i tam szerzyła gorliwie prawosławie.¹⁾

W tej chwili jednak, zachwycona Wielopolskim, pomagała mu wiele przez swój wpływ na starego ojca i przez żywą propagandę w salonach petersburskich i u dworu. Za jej też staraniem uzyskał Margrabia znaczne ustępstwo t. j. zniesienie departamentu dla spraw Królestwa w Radzie Państwa.



Nr. 52. Kołyzko.

Tak zwani „Samobytnicy“ rosyjscy w rodzaju Iwana Aksakowa, Samarina, Czerkaskiego i Milutyna, wierzący ślepo w możliwość odrodzenia Rosyi przez muzycką czerniawę spoglądali z nienawiścią i źle tajoną obawą na Wielopolskiego i pragnęli w głębi serca przywrócenia dawnego systemu w Królestwie i w prowincjach zabranych.²⁾

Podobnie zapatrywali się na kwestyę polską ambasadorowie austriacki i pruski, Fryderyk hr. Thun i posłujący od roku 1859 w Petersburgu hr. Bismarck.

¹⁾ Pamięt. Bobrowskiego, tom II., str. 359 i 479.

²⁾ Echem tych zapatrywań co do Polski, jest dzieło Berga o powstaniu 1863.

Dla obu tych mocarstw był kompromis polsko-rosyjski nie tylko niebezpiecznym ale wręcz groźnym. Szczególniej obawiały się takiego obrotu rzeczy Prusy, ze względu na swoje posiadłości polskie i ujścia Wisły, o które Polska, z Rosyą pogodzona prędzej lub później upomnieć się musiała, aby zyskać przystęp do morza i drogę handlową dla wywozu produktów rolniczych i surowca. Wskazywała na taką ewentualność polityka Lubeckiego w okresie konstytucyjnym przed 1830 roku a Bismarck nie na próżno studiował pilnie historię rosyjską.

Ambasadorowie mocarstw zachodnich zachowywali się względem Wielopolskiego chłodno i z największą rezerwą.

Lord Napier podziwiał wprawdzie rozum Margrabiego, ale sprawa polska nie obchodziła go i „nudziła“. Poseł francuski, skrepowany polityką Napoleona III. acz zaprzyjaźniony z Margrabią ograniczył się do udzielenia mu rad swoich i platonicznego zresztą poparcia. Na ogół przedstawiało się zatem położenie jeszcze dość pomyślnie, ale największa trudność tkwiła w powolnem działaniu maszyny biurokratycznej, w ociąganiu się z stanowczą decyzją, w odkładaniu spraw najważniejszych z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień.

Gdy cesarz rozkazał telegraficznie dnia 15. grudnia, aby Platonow natychmiast przywiózł do Petersburga projekta nowych ustaw rozpatrzone przez Radę Stanu, spełniono to polecenie dopiero po pięciu blisko tygodniach. A jednak były to sprawy niezmiernie doniosłego dla kraju znaczenia: urządzenie wychowania publicznego, projekt o równouprawnieniu Żydów, budżet Królestwa, kwestye religijnej natury i wreszcie reforma włościańska.

Pierwszą załatwiła Rada Stanu, po dłuższej dyskusyi zupełnie według programu, jaki opracowali Korzeniowski, Stronczyński i Przysiański, odrzucając zarazem poprawkę Kruzenszterna, aby w szkołach elementarnych, zostających pod zarządem konsystorza protestanckich, językiem wykładowym był wyłącznie język niemieckich.

Projekt o równouprawnieniu Żydów przyjęto także z pewnemi, mało znaczącemi zresztą zmianami, ale najważniejsza ze wszystkich, reforma włościańska, ugrzęzła niestety w biurach Komisyi spraw wewnętrznych.

Uchwalono natomiast uchylić kodeks kar głównych i poprawczych a przywrócić tymczasowo kodeks karny Królestwa z roku 1818, oddzielić zarząd poczt od zarządu centralnego i oddać go pod zawiadywanie Komisyi spraw wewnętrznych, miary i wagi rosyjskie zastąpić polskimi a wreszcie na wniosek administratora dyecezyi kielecko-krakowskiej, ks. Majerczaka, postanowiono, aby w aktach urzędowych używać zamiast terminu „wyznanie grecko-unickie“ „obrzadek grecko-unicki“, aby alumni seminarjum unickiego w Chełmie kończyli studia swoje w akademii duchownej rzymsko-katolickiej w Warszawie, a nie jak dotąd bywało w akademiach prawosławnych gdzie zarażali się błędami schyzmatycznymi, aby obsadzano rychło opróżnione katedry biskupie i ułatwiono możność restauracyi kościołów.

Były to kwestye, z pozoru może drobne, ale zasadniczo niezmiernie ważne a fakt, że uchwały zapadły wszystkiemi głosami, Polaków i Rosyan dowodził, jak dalece na naszą korzyść zmieniły się poglądy na sprawę polską i na autonomię Królestwa.

Tymczasem Margrabia otrzymywał z kraju coraz to gorsze wiadomości. Widział z nich, że reakcyja się sroży, że rozmaici Kruzenszternowie

i Krzyżanowscy podkopują jego stanowisko, że reformę włościańską usiłują zwichnąć i zabagnić, postanowił zatem rzecz postawić na ostrzu miecza, chociażby dla tego aby z zawikłań trwających bez końca wyjść wreszcie na światło dzienne.

W tej myśli podał się w dniu 7. grudnia do dymisji ze wszystkich urzędów, z wyjątkiem Rady Stanu i dymisję tą otrzymał wraz z orderem Orła Białego „za poświęcenie w trudnych okolicznościach“, a równocześnie przedłożył cesarzowi memoriał w którym doradzał, tak jak poprzednio rozdział władz, zniesienie stanu wojennego i powrót na drogę legalną.

Był to na razie głos wołającego na puszczy, bo w kołach decydujących nie myślał nikt na razie o tak daleko sięgających reformach.

Zajmowano się tam przedewszystkiem drażliwą kwestyą zamknięcia kościołów w Królestwie i obsadzeniem wakującej po śmierci Fijałkowskiego, metropolitalnej katedry warszawskiej.

Obie te sprawy zostawały w ścisłym ze sobą związku.

Po uwięzieniu i skazaniu ks. Białobrzeskiego, dyecezya była bez pasterza, ludność bez możności wykonywania praktyk religijnych. Ten stan nieznośny, drażniący tłumy wierzących, oburzał całą ludność, ułatwiał agitację rewolucyjną, budził w całym świecie sympatyje dla Polaków.

Należało więc jak najprędzej położyć koniec zgorszeniu, arcybiskupa zamianować, kościoły otworzyć. Trudność stanowiło wyszukanie odpowiedniego kandydata i w tym względzie zwrócono się do Wielopolskiego jako znającego stosunki miejscowe, przedstawiając mu osobistości polecone przez Lüdersa: biskupa Marszewskiego, kapelana wojskowego ks. Kaczanowskiego i proboszcza z Pragi ks. Zwolińskiego.

Pierwszy, skompromitowany przez znaną awanturę w Łęczycy, był zgoła niewłaściwy, drugi odmówił, na trzeciego nie chciał się zgodzić Wielopolski, a gdy rząd z swojej strony obawiał się arcybiskupa z pośród duchowieństwa w Królestwie, zalecił Margrabia ks. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego¹⁾, profesora Akademii Duchownej w Petersburgu.

Ks. Zygmunt był synem znanej z należenia do spisku Szymona Konarskiego, Ewy Felińskiej i bratankiem głośnego w swoim czasie poety Alojzego Felińskiego, autora „Barbary Radziwiłłówny“ i hymnu „Boże coś Polskę“.

Urodzony na Wołyniu, we wsi Wojutynie (o 3 mile od Łucka) dnia 20. października 1822 roku. Po wywiezieniu matki na Sybir, do Berezowa, zajął się 15 letnim chłopcem, Zenon Brzozowski, bogaty obywatel z Pobereża ożeniony z rodzoną siostrą generała Władysława Zamoyskiego i postanowił umieścić go w Korpusie dróg i komunikacji w Petersburgu a gdy to było niepodobnem wysłał Szczęsnego na uniwersytet do Moskwy, gdzie ukończył wydział matematyczny poczem udał się dla dalszego wykształcenia za granicę.

Zwiedzając po drodze do Paryża wszystkie ważniejsze miasta, bawiąc czas dłuższy we Lwowie i w Krakowie, zatrzymując się we Wiedniu, w Pradze, Berlinie i Brukseli, zawiązał Feliński wszędzie stosunki z wybitnymi przedstawicielami polskiej literatury i nauki, otrzymywał od nich rekomendacje, słuchał ich opowiadań i zwierzeń, kształcił umysł i serce. We Lwowie poznał

¹⁾ Szczegóły podajemy według Pamiętników arcybiskupa, z których nie mógł korzystać Przyborowski, bo ten tom jego dzieła wyszedł o dwa lata wcześniej t. j. w roku 1895. Stąd pochodzą też liczne niedokładności w życiorysie Felińskiego, jak go podaje autor Historii dwóch lat, co bynajmniej nie jest jego winą, lecz źródół z jakich musiał czerpać swoje wiadomości.

Wincentego Pola, w Krakowie Ambrożego Grabowskiego, w Berlinie Jana Koźmiana, we Wiedniu ordynata Stanisława Zamoyskiego, byłego prezesa Senatu polskiego, w Brukseli generała Skrzyneckiego.

Najlepiej polecony, bywał w Paryżu w hotelu Lambert, poznał dokładnie życie emigracyjne i zaprzyjaźnił się serdecznie z Juliuszem Słowackim. W jego towarzystwie też wyjechał w roku 1848 do Wielkopolski, wstąpił tam do oddziału Celińskiego i walczył aż do końca nieszczęśliwego powstania. Pod rozkazami Mierosławskiego jednak nie służył, w bitwie pod Miłosławiem wcale nie był, wyszedł z krótkiej wojaczki bez szwanku i blizny od szabli dragona pruskiego wcale nie miał, co nie ubliża bynajmniej ani jego odwadze ani poświęceniu.

Powróciwszy do Paryża, znalazł się w bardzo krytycznem położeniu, cierpiał głód i nędzę, przetrwał jednak to wszystko, był obecnym przy zgonie Słowackiego, który na jego rękach umarł i przejęty do głębi wstrząsającymi wypadkami owych lat pamiętnych, postanowił poświęcić się stanowi duchownemu, „obrał sobie Chrystusa za część swego dziedzictwa“. Jakoż w roku 1851 wstąpił do seminarium w Żytomierzu a w rok po tem został wysłany do Akademii duchownej w Petersburgu, gdzie, po wyświęceniu objął katedrę filozofii. Wśród tego poznał się z ks. Konstantym Łubieńskim, synem Henryka.

Był to człowiek młody, starannie wykształcony, niezmiernie gorliwy w rzeczach wiary, do Stolicy Apostolskiej całem sercem przywiązany. Marzyciel w swoim rodzaju, wierzył on jak najmocniej w możność nawrócenia Rosyi i sądził, że w narodzie rosyjskim niema niechęci ani do katolicyzmu ani do polskości, że rząd zwalcza tylko ducha rewolucyjnego naszej młodzieży i że w razie gdybyśmy zaniechali spisków a zgodzili się lojalnie na obecny stan polityczny, pozwoliby nam swobodnie wyznawać naszą wiarę i pielegnować narodowość. Mając liczne stosunki w petersburskich kołach bo przez matkę był spokrewniony z Naryszkinami, Szuwałowymi, Bobryńskimi i Kisielewymi, przyjmowany w tych domach grzecznie, wyobrażał on sobie, że usposobienie, jakie tam spotykał, panuje także w całym społeczeństwie rosyjskiem i na tem złudzeniu opierał swoje nadzieje. Udało mu się też założyć w Petersburgu rodzaj nowego zakonu, pod imieniem Zgromadzenia Rodziny Maryi, pod opieką księżny Galicynowej, z prawosławia nawróconej na katolicyzm.

Wyjeżdżając do kraju powierzył pieczę nad siostrami Felińskiemu, który skutkiem tego, starając się o utrzymanie Zgromadzenia, nieposiadającego zgola funduszków, wszedł w stosunki z całym społeczeństwem katolickiem w Petersburgu.

Tak stały rzeczy w chwili, kiedy zaczęły się poszukiwania za odpowiednim kandydatem na arcybiskupstwo Warszawskie. Wielopolski myślał z razu o ks. Łubieńskim, ale ten bawiąc w Warszawie podczas katastrofy październikowej, agitował bardzo żywo przeciw zamknięciu kościołów i uchodził skutkiem tego za zdeklarowanego stronnika rządu i złego patriotę. Stawiać go na naczelnem miejscu wtedy, gdy rząd dążył do uspokojenia umysłów, znaczyło tyle co dolewać oliwy do ognia.

Czuł to i sam Łubieński i dlatego polecił Margrabiemu Felińskiego. Przypuszczać należy, i inaczej nawet być niemogło, że Wielopolski, usłyszawszy nazwisko nieznanego sobie zupełnie profesora Akademii Duchownej,

zasięgał o nim wiadomości w kołach petersburskich i otrzymał tam jak najlepsze rekomendacje.

Wszak baronowa Meyendorfowa, gorliwa katoliczka, była opiekunką Zgromadzenia Maryi, wszak za jej przykładem popierały tę instytucję panie z najpierwszych rodzin arystokratycznych, jak Księżna Gagaryn, Księżna Woronców, z domu Branicka, baronowa Szttyglie, Księżna Koczubej i Naryszkinowa, z domu Potocka.

Wszystkie one pracowały razem z ks. Felińskim, znały jego nieskazitelny charakter, niepospolite wykształcenie, sposób życia niemal ascetyczny i ceniły go wysoko. Z drugiej strony wiedziano, że był przyjacielem Słowackiego, że łączyły go stosunki z rodziną Zamoyskich i że pod względem przekonań politycznych wyznawał zasady umiarkowane a potępiał warcholstwo Mierosławskiego i szalone zamysły zwolenników „zmartwychwstałego wodza“.

Syn wygnanki, żołnierz z pod sztandaru narodowego, nadawał się w sam raz do odegrania roli pojednawczej, do zażegnania burzy, wiszącej nad krajem, bez wzbudzenia podejrzeń, że jest narzędziem rządu, służalcem Rosyi, kreaturą Wielopolskiego.

Toż nic dziwnego, że gdy Łubieński, nibyto przypadkowo przedstawił Felińskiego Margrabiemu, ten po krótkiej i obojętnej rozmowie, uznał go za odpowiedniego kandydata i uzyskał przyzwolenie cesarza tem łatwiej, ponieważ na radzie ministrów Czewkin i Meyendorff, znajomi przyszłego arcybiskupa gorąco za nim przemawiali.

W Rzymie, gdzie o Felińskim, miano także dobre relacje, poszła sprawa nadzwyczajnie szybko i w drugiej połowie stycznia 1862 roku rzecz była skończona. Konsekrację wyznaczono na dzień 26. stycznia a w wiliu miał Feliński posłuchanie u cesarza.

Aleksander II. okazał się bardzo uprzejmym i pojednawczym.

„Powierając w twe ręce — mówił — najwyższy zarząd duchowny w Królestwie, ufam, że zechcesz współpracować ze mną w duchu pojednania i zbliżenia obu narodów, na podstawie zaspokojenia słusznych i możebnych żądań Polaków“; wspomniawszy dalej o nadaniu Królestwu Administracyjnego samorządu, zapewnił, że od biskupów niczego więcej nie żąda jak tylko, żeby byli biskupami wedle nauki kościoła katolickiego i zaręczał wreszcie, iż żaden duchowny nie będzie pociągnięty do odpowiedzialności za sumienne swych kapłańskich obowiązków spełnianie. Rozmowa przeszła w końcu na sprawy osobiste.

Cesarz zalecał arcybiskupowi na ważniejsze posady duchowne księży dobrze u rządu widzianych: ks. Zwolińskiego, Topolskiego, profesora Akademii, Naruszewicza, proboszcza u św. Aleksandra i członka kapituły Siekludzkiego.

Feliński był innego zdania. Sądził, że aby uzyskać zaufanie najumiarkowańszych nawet patryotów, musi zbliżyć do siebie najbardziej poważane w duchowieństwie osoby, tak dla swych cnót kapłańskich jak i dla pewności charakteru. Księża źle widziani i w narodzie i w Rzymie, nie mający ani cnót ani ducha kapłańskiego a wyniesieni na wyższe godności zdyskredytują władzę arcybiskupią i uniemożliwią wszelki jej wpływ na wiernych.

W tej myśli oświadczył też, że na oficyała swego powoła ks. Rzewuskiego, a gdy cesarz zarzucił, że Rzewuski prezydował w Komisji śledczej, która zdecydowała zamknięcie kościołów, stanął Feliński w jego obronie i wyjaśniwszy całą sprawę, przekonał wreszcie Monarchę.

„Przybywszy na miejsce — rzekł Aleksander — rozpatrzysz bliżej tę kwestyę i uczynisz, co uznasz za właściwe“.

Po krótkiej dyskusyi o otwarciu kościołów pożegnał cesarz arcybiskupa słowami: „Jedź co najrychlej do Warszawy i powiedz memu polskiemu ludowi, że od jego zachowania się przyszłość jego zależy. Niech będą spokojni i cierpliwi, a każdy dzień zdejmie z nich jakiś smutek i jakąś pociechę dorzuci“. Podobnie uprzejmy przebieg miało posłuchanie u W. Ks. Heleny.

Powiedziała ona otwarciu Felińskiemu, że unię kościołów uważa za najpożądańszy wypadek dla Słowiańszczyzny, nie tylko pod względem religijnym ale i politycznym, gdyż na tym jedynie gruncie może nastąpić ściśle i trwale zjednoczenie ludów słowiańskich.¹⁾

W tym kierunku należałoby działać w Warszawie a nie w Petersburgu lub Moskwie, gdzie fanatyzm i uprzedzenia przecinają wszelki promień światła, przenikającego z Zachodu.

Określiwszy tak swoje stanowisko w kwestyi religijnej, dotknęła W. Księżna wyboru przyszłego Namiestnika w Królestwie, a że gorącym pragnieniem jej było osadzić na stolcu Namiestnikowskim w Warszawie swego zięcia, Ks. Meklemburskiego, więc jęła dowodzić, że dla pożytku kraju powinien godność tą piastować Niemiec, bo Niemcy są z natury umiarkowani, wyrozumiali i miłujący lojalizm.

Po audyencyach i rozmowach, rzucających ciekawe światło na ówczesne usposobienie najwyższych sfer rządowych w Petersburgu i po konsekracyi, która odbyła się z wielką pompą i uroczystością, wyruszył arcybiskup w podróż do Warszawy, ale ponieważ kolej petersbursko-warszawska nie była jeszcze ukończona a zawalne śniegi utrudniały niezmiernie jazdę powozem lub saniami, więc musiał zwrócić drogę na Prusy i dopiero kołując daleko dostał się przez Poznań do Częstochowy, gdzie odprawił spowiedź i spędził cały dzień na modlitwie.²⁾

Wiadomość o nominacyi Felińskiego sprawiła w kraju jak najgorsze wrażenie.

Duchowieństwo warszawskie, oburzone, że wybór padł na „petersburskiego księdza“, „jakiegoś tam profesorzyne“, głosiło z góry że jest to „duch moskiewski“ i sługa carski. Szlachta i mieszczaństwo, dla których Feliński był osobistością zgoła prawie nieznaną, przeczuwały w nim „nowego Siemaszkę“, mówiono że marzy o nawróceniu Rosyi, a niezręcznie napisany artykuł Dziennika Powszechnego, gdzie wspomniano, że cesarz obdarzył arcybiskupa pierścieniem, mitrą i pastorałem jakoteż potrzebnymi na sprawienie szat pieniędzmi, zdawał się taką opinię ogółu potwierdzić.

Jeden tylko Kraszewski, który jeszcze za czasów wołyńskich miał sposobność zetknąć się bliżej z Felińskim powitał go, tak jak nato zasługiwał z serdeczną życzliwością i należytem uznaniem. „Syn najgodniejszej z niewiast — pisał w Gazecie polskiej, — która wielkie przymioty serca łączyła z niepospolitemi darami umysłu, ks. Szczęsny odziedziczył po niej moc duszy i charakteru z wzniosłym połączone umysłem, które praca i znakomite wykształcenie podniosły. Wezwany do dźwignienia ciężkiego brzemienia, z poświęceniem chrześcijanina, bierze je na ramiona. Nie będziemy mu winszo-

¹⁾ Fel. Pamięt., tom II., str. 130.

²⁾ Według Przyb. (tom IV., str. 76) powołał arcybiskupa stąd nagle Lüders do Warszawy. Feliński nie wspomina o tem wcale i dlatego fakt ten wydaje się wątpliwym.

3,000 РУБЛЕЙ СЕРЕБРОМЪ.

List Zastawny Lit. A. № **138.625** na sumę rubli sreb. **3000**

(licząc zjednego funta rasyjskiego czystego srebra, rubli srebrnych sztuk $22\frac{34}{45}$) wystawiony przez Towarzystwo Kredytowe Ziemskie w Królestwie Polskiem, na zasadzie Najwyższego Ukazu z dnia 8 (20) Kwietnia 1853 roku, będzie spłacony okazicielowi w inniennęj wartości, w kolei losem wskazanej, najdalej do dnia 8 (20) Lipca 1881 roku.

Dokąd zaś wylosowanym nie zostanie, przynosić będzie prowinie 4% rocznie płatną w Kassach Towarzystwa, w ratach półrocznych za złożeniem odpowiedniego kuponu.

Niniejszy list zastawny pod № **138.625** wydany w skutek decyzji Dyrek. Główniej № ~~11240~~ wycięty jest z Księgi 27 karty 123 w Warszawie dnia $13\frac{1}{2}$ Czerwca 1859 r.

Przez Dyrekcję Szeregółowęj

Szymanowski

Członkowie



Przez Dyrekcję Główną

Majoran

Członkowie

**DOBAČOZO KUPONY PO
REA: RATE CZERWC: 1868:**

Kancelary Duchobalier

Wydział Hypoteczny Gubernii *Wojewódzkiej w Kaliszu*

Poświadcza, jako niniejszy List Zastawny Lit. A. № **138.625** na sumę rubli srebrnych 3000, zaciągnięty jest do Księgi Listów Zastawnych na karcie

~~202~~ pod № **14949** dnia 219 Mca *Lutopad* 1859 roku.

Przewidyjący

Skoczko

174

Pisarz Kancell. Ziemiańskiej

A. Ziemiński

Lit. A. № **138.625**



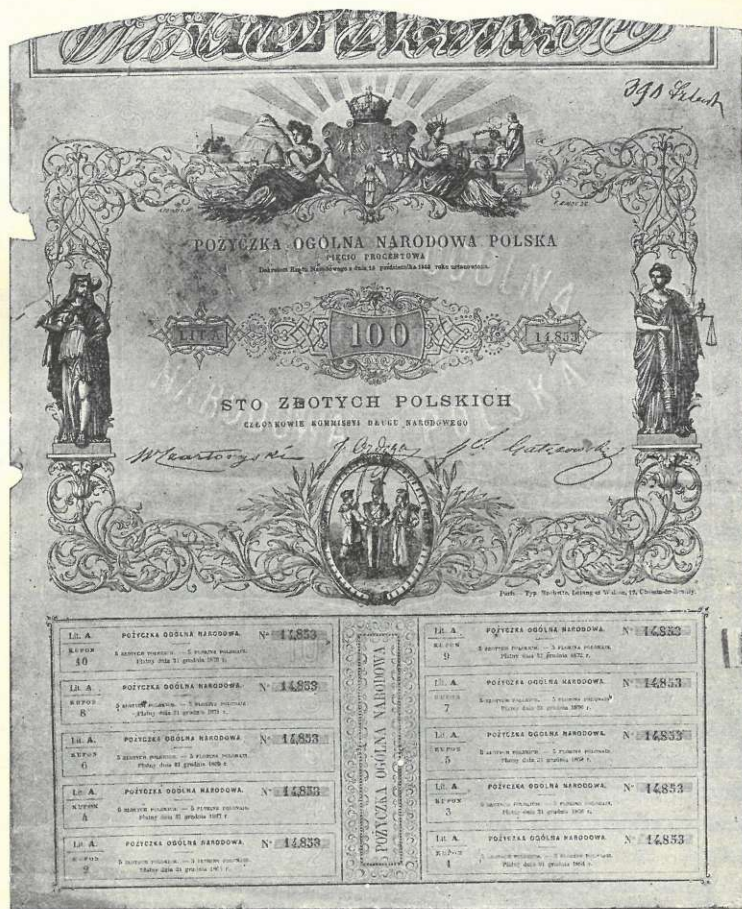
3,000 ROUBLES D'ARGENT.

List zastawny Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.
(Zabrany z Kasy Głównej Królestwa w czerwcu 1863 r.)

wać dostojęństwa, bo dostojność jego charakteru wystarczyła dlań, a dostojęństwo jest ciężarem, ale mamy nadzieję, że dla kościoła, wybór ten, prawdziwie opatrny, będzie w czasach próby wielkim darem nieba“.

Był to jednak głos zupełnie odosobniony, bo inne dzienniki albo milczały albo też zajęły nieprzyjazne względem Felińskiego stanowisko.

Czas krakowski na pierwszą wiadomość o jego nominacji pisał: „arcybiskup z wyboru rządu, nie z wyboru duchowieństwa, będzie sługą Moskwy, nieprzyjacielem kościoła i wiary katolickiej“. Zapomniała snadź redakcyja, że



we wszystkich państwach katolickich, nawet u nas, w Polsce wywierały i wywierają rządy stanowczy wpływ na nominację biskupów a znany zatarg Kazimierza Jagiellończyka z kapitułą krakowską jest klasycznym dowodem, jak władza świecka przestrzegała praw swoich w tym względzie.

Dla sumienia katolickiego wystarczy zupełnie jeżeli wskazanego przez rząd kandydata przyjmie i zatwierdzi Stolica Apostolska i przeciwnicy ks. Felińskiego powinni byli pamiętać o tem, że skoro Ojciec św. nie sprzeciwił się jego nominacji, to uczynił to nie dla przypodobania się Rosyi lecz dla dobra kościoła i dla pożytku wiary katolickiej.

Tak też pojmowała rzecz prasa tajna i rewolucyjna. Pobudka podniosła fakt prekonizacji Felińskiego w Rzymie i wyraziła nadzieję, że „syn zacnej matki, której skrwawione stopy znać jeszcze na śniegach Sybiru, nie zawiedzie oczekiwań norodu“, a Strażnica przestrzegała, aby „nie wierzyć pogłoskom przez szpiegów w interesie najazdu rozpuszczanym“.

W stronnictwie umiarkowanem powitali nowego arcybiskupa ci, co znali jego przeszłość i charakter, sympatycznie. Władysław Zamoyski, syn Andrzeja, wyjechał na spotkanie Felińskiego do Piotrkowa, towarzyszył mu w dalszej podróży do Warszawy i z dworca zawiózł go w swoim powozie do pałacu arcybiskupiego.

Władze rządowe zachowywały się natomiast podejrzliwie i przez niezręczność lub z umysłu czyniły wszystko, aby Felińskiego w obec ogółu skrompromitować.

W Częstochowie dodano mu do boku jako towarzysza honorowego a właściwie jako stróża generała Ks. Bagrationa; w Warszawie oczekiwał wysiadającego z wagonu powóz Lüdersa, otoczony żandarmami a okrzyki zgromadzonej na dworcu publiczności: niech żyje nasz arcybiskup! starało się przygłuszyć sykanie szpiegów policyjnych.

Nazajutrz w rozmowie z Lüdersem i Krzyżanowskim przekonał się Feliński dowodnie o usposobieniu naczelnych władz i o trudnościach jakie go z tej strony czekały.

Duchowieństwo przyjęło nowego pasterza zimno i z widoczną niechęcią. Znalazł się więc on w tym obcym sobie świecie, sam jeden, bez przyjaciół osobistych, bez politycznych stronników, bez tej nawet pomocy jaką daje doświadczenie i rutyna.

Objaśnienia o stosunkach miejscowych i życzliwej rady mógł szukać tylko u Andrzeja Zamoyskiego. Jakoż znalazł i jedno i drugie. Dowiedział się, że ruch w kraju niema bynajmniej charakteru socjalistycznego i że zatem w liście pasterskim, jaki przygotował i panu Andrzejowi odczytał, należy opuścić ustęp, gdzie arcybiskup zarzuca partyi ruchu dążności socjalistyczne.

Feliński, uznając radę za słuszną, uczynił stosowne w tekście listu poprawki, ale oto stała się rzecz zgoła nieprzewidywana: list w pierwotnem swoim brzmieniu został ogłoszony w dzienniku paryskim *Le Monde*, wskutek niedyskrecyi osób, którym arcybiskup poufnie posłał do Petersburga odpis odezwy. W sferach rządowych sprawił ten fakt niezwykle jak najgorsze wrażenie. Zaczęto tam podejrzewać lojalność Felińskiego, tembardziej i z pozoru słuszniej, gdy i Margrabia był opublikowaniu listu w chwili obecnej przeciwnym.¹⁾

Tymczasem arcybiskup przystąpił do rekuncyi i otwarcia kościołów Warszawskich, mimo oporu Lüdersa, który utrzymywał, że kościoły nie uległy profanacji i że zatem rekuncja jest niepotrzebna.

Dnia 13. lutego odbyła się ta smutna i radosna zarazem uroczystość przy tłumnem udziale publiczności. Feliński wypowiedział mowę, pełną podniosłych myśli i gorącego patryotyzmu. Wznawiając „publiczną chwałę Bożą“, prosił wiernych, aby nie zakłócali jej na przyszłość śpiewami i manifestacjami, polityczny raczej niż religijny charakter mającemi.

¹⁾ Lisicki, tom I., str. 302.

„Nie dawajcie — mówił — dobrowolnie powodu do nowych profanacyj i nowej obrazy Bożej. Uręczam Was, że nie przemawiam tu ani z natchnienia rządowego, ani w celu ostudzenia w sercach Waszych miłości dla Ojczyzny. Wierzcie mi, że, gdybym wiedział, iż to święte uczucie ma zamrzeć w sercach polskich, sambym błagał Pana Zastępów, by nawiedził bezpłodnością łona polskich niewiast, gdyż stokroć wolę, by to pokolenie wyrodných synów ziemskiej matki naszej nigdy nie ujrzało dnia Bożego, niż gdyby miało opływać w potęgę, chwałę i zamożność na grobie rozewiartowanej Ojczyzny. To też gdyby Wam zabraniano kochać Ojczyznę, sambym Wam powiedział: nie słuchajcie tego rozkazu, bo on się przyrodzonemu prawu sprzeciwia. Gdyby nawet zabraniano Wam modlić się za Ojczyznę, i wówczas zaprotestowałbym przeciw temu rozkazowi, gdyż każde dziecko ma nie tylko prawo ale i obowiązek prosić Boga o pomyślność matki swojej“.

Słów tych słucha on z natężoną uwagą i z rozrzewnieniem, w kościele rozległ się płacz, ale gdy arcybiskup zawołał: „Zaklinam Was, zaniechajcie patryotycznych śpiewów po kościołach, a powróćcie do zwykłego trybu modlitwy, boć to, co w zamian otrzymać mamy, godne jest ofiary“ i dodał w końcu: „a kto mi ufa i przyrzeka pójść za radą moją, niechaj przykleknie a ja udzielę mu mego pasterskiego błogosławieństwa“, odezwał się z tłumu głos: „niech nikt nie kłeka“ i rzeczywiście uklękło nie wielu a większość ostentacyjnie wyszła z kościoła.¹⁾

W Kołach Czerwonych tłumaczono tą niewczesną i niemądrą manifestację osobliwym zarzutem, jakoby arcybiskup „obraził uczucia narodu powołaniem ich (sic) do wierzenia w carskie obietnice“.²⁾

Krytyka była zresztą łatwą, a obrona trudną, bo autentycznego tekstu mowy arcybiskupa rząd nie pozwolił ogłosić w dziennikach, przez co oczywiście oddał wielką usługę stronnictwu rewolucyjnemu.

Widząc nie przychylne dla siebie usposobienie władz warszawskich i przekonawszy się naocznie o nadużyciach i gwałtach jakie one popełniały, postanowił Feliński zwrócić się wprost do Gorczakowa, przedstawić mu oplakane położenie kraju i prosić o zmianę systemu, który, zamiast uspokajając umysły, podniecał jeszcze bardziej gorączkę rewolucyjną.

Wykrętna i wymijająca odpowiedź Kanclerza przekonała go, że w Petersburgu taktyka Lüdersa i Krzyżanowskiego zyskała zupełną aprobatę i że skargi na ucisk, najbardziej nawet uzasadnione, nie odniosą tam najmniejszego skutku.

Mimo tego rozczarowania, mimo nieprzyjemności, jakie go spotykały, mimo błota, jakim go obrzucano i paszkwilów na jego osobę, rozlepianych lub rozrzucanych po mieście, nie zachwiał się arcybiskup i nie zmienił wcale powyższego z góry programu swego działania.

Po otwarciu kościołów przyszła kolej na konieczne reformy w administracji i na zaniechanie śpiewów patryotycznych po kościołach. Mianowany stałym członkiem Rady Stanu, gdzie żadnego nie opuszczał posiedzenia, uginał się Feliński pod nawałem pracy, ale nie upadał na duchu.

¹⁾ Tak według Przybor., tom IV., str. 99. Feliński w pamiętnikach swoich nie wspomina o tym epizodzie, ale w notatce udzielonej autorowi „Dwóch lat“ pisze krótko, że przemówienie jego przyjęto w ogóle niezyczliwie, a w pamiętnikach (tom II., str. 163) dodaje, że „nie spotkał się ani razu z manifestacyjnymi śpiewami lub z jakimśbądź objawami, bądź niechęci, bądź politycznego nacisku“.

²⁾ Giller, tom I., str. 250.

Pilnie wizytował kościoły i ochronki, sprowadził do Warszawy Siostry Rodziny Maryi, aby wychowywały dziewczęta najuboższej klasy i w czasie Wielkiego Postu urządził u św. Jana a później w innych świątyniach rekolekcyje, które ściągaly tłumy wiernych, budowały je i odzwyczajaly od próżnych manifestacyj. Sam też, nie poprzestając na pomocy gorliwych kapłanów jał przemawiać do ludu w katedrze, podnosić cnotę miłości Boga i bliźnich a karcić bezbożność, samolubstwo i wzajemną nienawiść.

Czerwonym nie mógł się oczywiście podobać ten kierunek, który z istoty swojej musiał działać na umysły uspokajająco, zwracać je ku wyższym celom i koić wzburzone namiętności, kiedy więc arcybiskup ukazał się na ambonie, grupa młodych ludzi, stojących koło prezbiterium, ruszyła zwartym szeregiem ku drzwiom, wołając: wychodzić, wychodzić! Jakoż część publiczności, nieświadoma rzeczy, usłuchała na razie rozkazu, ale po chwili wróciła do kościoła.

Feliński uprzedzony o gotującej się manifestacyi, nie stracił przytomności umysłu, przeczekał aż ruch się uspokoił i, rozpoczynając kazanie od słów: „Odpuść im Panie, bo nie wiedzą co czynią“, wypowiedział, tak jak poprzednio mowę podniosłą i gorąco patryotyczną.

Wiadomość o tem przykrem zajściu, [rozeszła się piorunem po mieście, i wywołała niemałe wrażenia. Rada Stanu w pełnym komplecie, z Wielopolskim na czele, złożyła wizytę arcybiskupowi, Gazeta Polska i Dziennik Poznański, potępiły ostro całą awanturę, co jednak na zmianę położenia nie miało wpływu.

Nienawiść do niewygodnego dla Czerwieńców pasterza nie ustała, owszem, rosła i potężniała, dzięki pokątnej i nieprzebierającej w środkach agitacyi.

Zarzucano mu, że z jego powodu aresztowała policya przed katedrą Sto. Jańską kilkunastu młodych ludzi, chociaż arcybiskup na to najmniejszego nie miał wpływu, że nie postarał się o uwolnienie ks. Białobrzeskiego i o powrót księży, z kraju wywiezionych, że zachęca do zdjęcia żałoby, że nie idzie z narodem tak jak jego poprzednik.

Rząd milczał, albo bronił niezręcznie zaczepionego w Gazecie Policyjnej, wysyłał do kościołów policyantów i szpiegów, drażniąc tem jeszcze bardziej uprzedzone do arcypasterza umysły.

Pewną pociechę i pokrzepienie przyniosło Felińskiemu brewe papieskie, które otrzymał drogą prywatną, ale i ono zgotowało srodze doświadczonemu jeszcze większe utrapienia.

Ponieważ list Ojca św., oprócz zaproszenia arcybiskupa na uroczystość kanonizacyi męczenników japońskich do Rzymu, nie zawierał nic dla rządu obrażającego, a był oraz dowodem, że tam, w stolicy świata katolickiego, Feliński zupełne posiada zaufanie, więc metropolita rozesłał brewe w odpisie wszystkim biskupom w Królestwie i wręczył kopię z tłumaczeniem na język francuski Lüdersowi.

Ten, że był żołnierzem, nie rozumiejącym się zgola na subtelnościach dyplomatyczno-politycznych, pochwalił otwarcie biskupa i zawiadomił o tem władze naczelne w Petersburgu. Te jednak stanęły na stanowisku wręcz przeciwnem pogładowi Namiestnika. Fakt, że arcybiskup bezpośrednio znosił się z Rzymem i stamtąd drogą prywatną otrzymywał rady i polecenia, był naruszeniem obowiązujących w państwie rosyjskiem ukazów a starania

o uwolnienie księży uwięzionych, jakie miał czynić ks. Feliński według życzenia Ojca św. uważał rząd za obrazę sobie wyrządzoną.

W tym duchu też przemawiał ambasador rosyjski przy Watykanie do kardynała Antonellego, w tym duchu wyraził się Gorczakow w nocie przesłanej na ręce posła, zapowiadając z góry, że nie może zezwolić, aby nuncyusz, którego miano ustanowić w Petersburgu lub w Warszawie, mieszał się bezpośrednio do spraw kościoła katolickiego w Rosyi i w Królestwie.

Ponadto wystosował cesarz do Felińskiego list z wymówkami a kanclerz później cokolwiek dodawał od siebie, że „z Rzymu usiłują wywrócić główne



Nr. 54. Papież Pius IX.

podstawy prawodawstwa państwowego i wznawiają tym sposobem nieroztropnie kwestyę władzy doczesnej i duchownej“.

Czy rząd był rzeczywiście tak oburzony listem papieskim, czy też oburzenie udawał, aby zerwać układy o nuncyaturę, będące prawie na ukończeniu, na to odpowiedzieć trudno, to pewne jednak że ks. Feliński przez swoje otwarte postępowanie przyczynił się mimowolnie do zaostrzenia stosunków pomiędzy Kuryą a Petersburgiem, na siebie zaś ściągnął niełaskę rządu, jak zawsze podejrzliwego i dla wiary katolickiej wrogo usposobionego. Gdy to się działo w Warszawie, gdzie na pierwszorzędnem stanowisku zużywał swoje siły jeden z najzacniejszych i najgorliwszych kapłanów

polskich w beznadziejnej walce z rządem i z oblężaniem Czerwieńców, rozgrywały się nad Nową Sólą Wielopolskiego i autonomii Królestwa.

Margrabia, niezrażony w swoich usiłowaniach i zabiegach, przedłożył naczelnym władzom w połowie lutego nowy memoriał, zawierający program reform, które uważał za niezbędne dla uspokojenia kraju i dla rozwiązania kwestyi polskiej w ogóle. Punktem wyjścia dla niego była nominacya Felińskiego i trudne położenie arcybiskupa.

Wiążąc fakt nominacyi „z przedsięwzięciem rozleglejszych środków i zmian doniosłych w zarządzie wewnętrznym Królestwa Polskiego“, mniemał Margrabia całkiem słusznie, że „od decyzji w tej mierze powziętej, zawisło pytanie czy wybór Arcybiskupa ma posłużyć za punkt oparcia dla całego systemu, czy też stanowisko ks. Felińskiego ma się stać straconym postępowaniem“.



Tymczasem utrzymanie stanu wojennego, połączone z tym stanem nadużycia i niezręczne pochwały Arcybiskupa zamieszczane w dzienniku urzędowym przyniosły Felińskiemu niezaprzeczoną szkodę a wyzyskane zręcznie przez jego nieprzyjaciół utrudniły w wysokim stopniu dalsze jego działania.

„Władze obecne (w Warszawie) dowiodły, iż nie mają ani inteligencji ani taktu potrzebnego, aby skutecznie wesprzeć Arcybiskupa w dziele uspokojenia umysłów“.

Cóż więc czynić należy? Znieść stan wojenny na prowincyi, gdzie jest już zbyt ciężki, utrzymać go jedynie w stolicy i w większych miastach, odejmując mu jednak skutki wsteczne, t. j. pociąganie do odpowiedzialności za czyny przed wprowadzeniem stanu wojennego zdziałane, przyspieszyć bieg sprawiedliwości, dziś nadzwyczaj opieszale idący, rozciągnąć ścisły nadzór nad tajną policją i skupić śledztwa w jednej na cały kraj śledczej komisji, w Warszawie zasiadającej.

Znając wybornie naturę rosyjskiego czynownictwa, które z stanu wojennego, śledztw w nieskończoność trwających, największe ciągnęło zyski, chciał

Wielopolski w sposób legalny łapownictwu i nadużyciom kres położyć i wyzwolić społeczeństwo z pod samowoli prowincjonalnych Kacyków i przed nikim nieodpowiedzialnej policji tajnej.

To jednak nie wystarczało. Chwilowe zwolnienie ucisku nie mogło dawać rękojmi, że w najbliższej przyszłości, ze zmianą wiatrów wiejących z nad Newy, nie powróci system, praktykowany przez rozmaitych Suchozanetów, Lüdersów, Krzyżanowskich lub Piłsudzkich.

Ażeby temu zapobiedz, powracał Wielopolski do ulubionej swojej myśli rozdziału władz w Królestwie, wykazując, że rządy wojskowe się stępiły, że ludność nawykła stawiać im czoło i że mimo bezwzględnej surowości, gromadnych aresztowań i śledztw, odezwy rewolucyjne krążą liczniej niż przedtem, agitacya szerzy się i zdobywa coraz większy wpływ w Warszawie. W obec udowodnionej tym stanem rzeczy, nieudolności władz wojskowych, należy przeto ograniczyć zakres ich działania do spraw czysto militarnych a natomiast „zgodnie z zasadą autonomii Królestwa, przez Monarchę u z n a n ą, ustanowić w Królestwie rząd cywilny, normalny i skuteczny, i postawić na jego czele Polaka, posiadającego zupełne zaufanie Cesarza“.

Dla zabezpieczenia interesów państwa powinien zasiadać w Radzie administracyjnej generał dowodzący wojskami w Królestwie, który będzie wglądać w bieg spraw cywilnych, naczelne dowództwo może być powierzone, jak za czasów W. Księcia Konstantego, Księciu krwi cesarskiej; Dyrektorem Komisji Spraw Wewnętrznych pozostanie i nadal Rosyanin.

W ten sposób, mniemał Wielopolski, „łatwo przyjdzie pogodzić autonomię Królestwa z interesem Monarchy i ten ostatni rękojmią bezpieczeństwa otoczyć“.

Po wprowadzeniu tych zmian przyjdzie kolej na dalsze reformy, szczególnie w zakresie Sądownictwa, na przekształcenie Sekretaryatu Stanu dla Królestwa tak, aby stać się mógł istotnym pośrednikiem między Monarchą i rządem kraju, wreszcie na zwołanie Rad municypalnych, powiatowych i gubernialnych.

Radom tym należy jednak wskazać z góry kierunek działania: mają one mianowicie zajmować się sprawą oczyszczowania i wychowania publicznego.

„Jedną z wielkich szkód bowiem, wyrządzonych krajowi przez Towarzystwo Rolnicze, jest zakorzeniony zwyczaj ściągania w rozprawach do ogólnych zasad i doktryn abstrakcyjnych, nałóg płonnych dyskusji, odwracających uwagę od kwestyj praktycznych. Członkowie dawnego Towarzystwa Rolniczego, dojrżeli indywidualnie wśród nauki doświadczeń ostatniego czasu; pojedynczo brani, pełni są zdrowego ducha, lecz połączeni w ciało poczuwają się zaraz do dawnej tradycyi, wpadają w płonne i drażniące dyskusye, które zamiast być środkiem stają się samych siebie celem“.

Trudno tym uwagom odmówić znajomości ludzi i stosunków a zarzucić możnaby jedynie za wiele pesymizmu i niecałkiem uzasadnione zwątpienie o uzdolnieniu politycznem klasy wtedy jeszcze rządzącej.

Ale stanowisko Margrabiego w tym względzie było z góry przesądzone.

Odrącony przez Towarzystwo Rolnicze, opuszczony przez Białych, których nie umiał czy na prawdę nie chciał dla celów swoich pozyskać, podejrzrywany i podkopywany stale przez organ Konserwatystów krakowskich, stracił on wiarę w rozum polityczny przewodniej warstwy społecznej

„Stary ferment tradycyjnej anarchii“, tak wyrażał się w swoim memoryale, która sama się zgubiła, czyni dotąd jeszcze ten naród szlachecki „niemal zupełnie nierządnym (ingouvernable) i stąd wynika potrzeba podniesienia do poziomu społecznego Żydów przez równouprawnienie i włościan przez oczyszczanie, bo te dwie warstwy ludności, dotąd w poniżeniu zostawione, przeznaczone są na to, aby społeczność odnowić, ograniczyć i zrównoważyć przewagę żywiołu szlacheckiego“.

Przywrócenie w Królestwie stałego rządu, odpowiadającego autonomicznym dążnościom i słusznym życzeniom kraju — ciągnął dalej Margrabia — spokój tam odradzający się nie omieszka oddziaływać zbawiennie na umysły w zachodnich prowincjach cesarstwa, w których wypadki, zaszłe w ostatnich czasach, są w znacznej części odgłosem stanu Królestwa. Natenczas prowincye te mogłyby zawrzeć się w sferze interesów lokalnych i miejscowych odrębnej administracji.

Zatrzymaliśmy się dłużej nad memoryałem Wielopolskiego, bo przedstawia on najdokładniej jego program polityczny, bo jest rozwiązaniem zagadki „sfinksa“, za którego uchodził w Warszawie i w Petersburgu.

Na celu ma Margrabia głównie, tak jak zawsze zresztą, autonomię Królestwa, zbliżoną jak najbardziej, o ile zmienione stosunki na to pozwalały, do stanu, poprzedzającego powstanie listopadowe. Nie żąda zatem wojska narodowego, zgadza się aby wpływowe stanowisko Dyrektora Komisji Spraw Wewnętrznych zajmował Rosyanin, przypominający Nowosilcowa z czasów konstytucyjnych, ale zarazem pragnie przywrócić dawny porządek rzeczy, oddając naczelne dowództwo nad wojskiem Księciu krwi cesarskiej a władzę Namiestniczą w rządzie cywilnym Polakowi.

Przekonany, że o połączeniu prowincyj zabranych nie może być teraz mowy, podsuwa myśl „odrębnej dla nich administracji“, która „zawarta w sferze interesów lokalnych i miejscowych“, doprowadzi z biegiem czasu do autonomii mniej lub więcej obszernej.

Wielce znamiennym lecz zarazem i ryzykownym jest ustęp memoryału o szlachcie.

Margrabia podnosi w nim myśl bynajmniej nie nową, odnowienia i zasilenia warstwy dotąd niejako rządzącej pierwiastkami wziętymi z ludu i stanu trzeciego do którego zalicza także żywioł żydowski.

Tą samą zasadą, tylko w inny cokolwiek sposób pojętą i stosowaną, kierował się niegdyś Jan Zamoyski przy licznych nobilitacjach u schyłku XVI. wieku, z tej samej zasady wychodził także Sejm czteroletni uchwalając prawo o miastach. Pierwsza akcja została, niestety, przerwana, druga była spóźnionym epizodem. Obecnie przychodziła pora na gruntowną reformę stosunków społecznych. Kto ją miał przeprowadzić? Wielopolski sądził, że on; przyszłość rozstrzygnęła inaczej.

Do reformowania polskich stosunków społecznych zostali powołani Samobytnicy rosyjscy. Teoretycy demokratyczni, w gruncie przejęci nihilizmem, dążący do zniszczenia żywiołu szlacheckiego, który reprezentował pierwiastek kulturalny i narodowy.

Zasadę, wypowiedzianą w memoryale Margrabiego zastosowano też w duchu, intencjom jego w głowę przeciwnym i dlatego właśnie nazwalimy ten ustęp ryzykownym i w skutkach swoich szkodliwym.

Na razie nie zanosilo się na taką katastrofę.

W kołach dworskich oswajano się coraz bardziej z myślą wysłania do Warszawy Księcia krwi cesarskiej. Przemawiała za tem W. Ks. Helena, pragnąca, jak już powiedziano, zdobyć dla swego zięcia stanowisko znaczne, wpływowe i do pewnego stopnia niezależne, wtórował jej W. Ks. Konstanty, brat rodzony cesarza, także aspirujący w cichości do puścizny po swoim imienniku i stryju Konstantym Pawłowiczu.

Więcej trudności przedstawiało pytanie kto ma zostać cywilnym Naczelnikiem rządu w Królestwie?

Wielopolski wydawał się zgola nieodpowiednim. Obawiano się go jako Polaka, wiedziano zresztą, że jest w kraju niepopularnym i to dla niechętnych wystarczało zupełnie, aby jego kandydaturę usunąć. A że jako człowiek zdolny, bardzo rozumny i lojalny mógł być pożytecznym i prosta przyzwyczajenie nie pozwalała, aby go jak pierwszego lepszego czynownika puścić w odstawkę, więc proponowano Margrabiemu Sekretaryat do spraw polskich w Petersburgu po starym i zniedołężniałym Tymowskim albo misję do Rzymu, co on jednak stanowczo odrzucił.

Tymczasem zaczęły się w osobnym, na ten cel ustanowionym Komitecie obrady nad projektami do nowych ustaw dla Królestwa, przedyskutowanych już w Radzie Stanu.

Przy życzliwem poparciu Meyendorfa i usilnych staraniach Wielopolskiego utrzymała się ustawa edukacyjna z dwoma jedynie poprawkami. Pierwsza orzekała, że szkoły ewangelickie pozostają tak jak dotąd pod zarządem protestanckich Konsystorzów i że nauka religii w nich miała w razie życzenia gmin, odbywać się w języku niemieckim.

Druga ograniczała przymus szkolny.

Załatwiwszy szczęśliwie tak ważną sprawę wyjechał Margrabia do Warszawy, aby wziąć udział w posiedzeniach Rady Stanu, gdzie właśnie miano roztrząsać jego projekt o oczynszowaniu włościan.

Zastał on tu stosunki jeszcze bardziej zaostrzone niż przedtem.

Niezmiernie surowe, bezwzględne i nierozumne stosowanie przepisów o stanie wojennym i brutalność władz wywołały nawet u umiarkowanych słuszne oburzenie. Mówiono a potwierdzał to sam Krzyżanowski, prawa ręka Lüdersa, że w więzieniach słoma, na której sypiać muszą aresztowani, rusza się od robactwa, wiedziano, że więźniów żywią jakąś mętną wodą, podawaną w brudnych szaflikach, budzącą wstręt i obrzydzenie,¹⁾ że sadzają do cytadeli niewinnych i spokojnych, że Oberpolicmajster Piłsudzki wymusza od ofiar stanu wojennego grube łapówki. W końcu stycznia 1862 roku zarządzono nadto ogólne rozbrojenie kraju i zabrano przeważnie myśliwskich strzelb 7388, pistoletów 221.

Mimo tej represyi, wybory do Rad miejskich, rozpoczęte dnia 11. grudnia 1861 roku przeszły zupełnie spokojnie i nowe te instytucje rozwinęły działalność ze wszech miar pożyteczną, chociaż tajna prasa usiłowała je dyskredytować i ośmieszyć.

Podobnie miała się rzecz i z oświatą ludową. Zakładanie szkółek ułatwione odnośnem rozporządzeniem Rady Administracyjnej, znalazło odgłos w całym kraju, dobrze redagowane pismo dla ludu Kmiotek, miało licznych prenumeratorów.

¹⁾ Daniłowski, l. c. str. 88.

Lud wiejski zachowywał się wprawdzie z niedowierzaniem, na krzątania „panów” spoglądał z nieufnością, ale trudno było żądać, aby ta masa ciemna, oczekująca wyzwolenia a nadewszystko ziemi i podburzana systematycznie przez agentów rządowych i zwolenników Mierosławskiego przeciw szlachcie mogła w krótkim czasie zmienić swoje usposobienie i uwierzyć w szczerść zamiarów tej warstwy społecznej, którą przyzwyczaiła się słusznie czy niesłusznie uważać za swoich wrogów i wyzyskiwaczy.

Dziś zresztą po tyluletnich doświadczeniach wiemy, że rozpowszechnienie oświaty i uobywatelenie ludu, może być tylko dziełem długiej, żmudnej i wytrwałej pracy nie chwilowego chociażby najgorętszego zapалу.

Z tem wszystkim fakta wyżej przytoczone zdają się świadczyć, że uspokojenie kraju i zwrócenie umysłów na drogę organicznej pracy nie było



Nr. 56. Pierwszy związek patryotyczny wojskowych w Petersburgu.
(Ze zbioru pana Jarosława Pieniążka.)

wtedy niepodobnem i że otrzeźwieniu społeczeństwa przeszkadzały głównie brutalne i niesumienne rządy wojskowe, przewlekane w nieskończoność zamierzonych reform, jakoteż nieszczerść władz centralnych względem Polaków, podejrzewanych zawsze o wrogię dla Rosyi zamiary.

Władze Warszawskie zamiast popierać każde działanie, które mogło zmniejszyć lub zupełnie przytłumić ferment panujący w Królestwie starały się przeciwnie przeszkadzać wszelkiej pracy organicznej. Usiłowano więc powstrzymać szerzenie oświaty i zakładanie szkółek ludowych, rozwiązywano Rady powiatowe i miejskie za najłżejsze przekroczenie zakresu działania, tak zrozumiałe w społeczeństwie odwykłym od życia publicznego a ponadto drogą poufną slano do Petersburga rozmaite denuncyacje, które jednak wskutek zabiegów i wyjaśnień Wielopolskiego chybiały zwykle celu. Wiedział o tem wszystkim Margrabia i przygotował się do stanowczej walki jaką miał stoczyć z falangą czynowniczą na posiedzeniu Rady Stanu w sprawie uwłaszczenia.

Wiedziano, że tak jak rząd austriacki w roku 1848 tak i rząd rosyjski obecnie nie pragnął wcale, aby kwestyę włościańską rozwiązano prawidłowo i spokojnie przez dobrowolną pomiędzy stronami ugodę a bez mieszania się władz, z powodów łatwo zrozumiałych. Dążnością jego było zawsze utrzymywać waśń społeczną, podburzać chłopą przeciw szlachcie i inteligencji wmawiać w ciemne masy włościańskie, że jedynym ich opiekunem i dobroczyńcą jest cesarz, który prędzej lub później rozdzieli pomiędzy chłopów grunta pańskie i stworzy dla uciemiężonych prawdziwy raj na ziemi.

Projekt oczyszczowania Wielopolskiego mógł odrazu zniweczyć te zamiary i dlatego spotkał się w kołach rządowych z bezwzględną opozycją.

Margrabia, znając dobrze swoich przeciwników i metodę ich działania zastosował do tego cały system swojej obrony na posiedzeniach Rady Stanu.

Podniosłszy z naciskiem błogie dla kraju zamiary Monarchy i reformy, które miano wprowadzić we wszystkich gałęziach administracyi, oznajmił, iż co do władzy wykonawczej postanowił cesarz oczyścić administracyę Królestwa od rąk nieczystych i przy tych słowach tak długo, z widocznym rozmysłem zatrzymał wzrok swój na Lüdersie, że zakłopotany Namiestnik spuścił oczy ku ziemi.

Po wielkorządcy przyszła kolej na jego pomocników. Omawiając zadania Komisyi spraw wewnętrznych zapytał Margrabia zgromadzonych co by pomysłili o zacności charakteru i o osobistej godności Dyrektora tak ważnego wydziału, gdyby ten w kwestyach najżywotniejszych i najbliższej kraj obchodzących co innego wypowiadał w papierach urzędowych a co innego doradzał koronie, i tu znowu spojrzął znacząco na Kruzenszterna i Hubego, którzy taką grę podwójną właśnie prowadzili.

Konsternacja była wielka, ale dotknięci i upokorzeni dygnitarze nie mogli zdobyć się na odpowiedź. Brakowało im argumentów, brakowało i odwagi, bo pewność, z jaką Wielopolski przemawiał i powoływanie się jego na cesarza, świadczyły, że powraca z Petersburga, wyposażony zupełnem zaufaniem Monarchy i może przeznaczony z góry do wykonania tego programu, który z taką dokładnością przed chwilą rozwinał. Umilkła zatem opozycja, projekt o oczyszczowaniu włościan z urzędu, został przez Radę Stanu z małemi zmianami przyjęty a nazajutrz pojawiła się w mieście karykatura, przedstawiająca Margrabiego na koniu w postaci Jana III. na Łazienkowskim moście, traktującego zamiast Turków Kruzenszterna i Hubego.





Rozdział dziesiąty.

KOŁO OFICERSKIE W PETERSBURGU. — JAROSŁAW DĄBROWSKI. — PRZYBYCIE JEGO DO WARSZAWY. ZAMIAR I PLAN POWSTANIA. — OPOZYCYA. — OBALENIE KOMITETU I WYBÓR NOWEGO. — USTĄPIENIE MAJEWSKIEGO I PASZKIEWICZA. — NOWE WYBORY. — ZWYCIĘSTWO WIELOPOLSKIEGO W PETERSBURGU I ZAMACH NA LÜDERSA. — REFORMY. — KOMITET CENTRALNY NARODOWY.

WKołach Czerwieńców wszystko to najmniejszego nie sprawiało wrażenia. Raz przyjąwszy zasadę, że Polska w granicach z r. 1772 musi być odbudowana i że ten cel jedynie przez zbrojne powstanie da się osiągnąć, spoglądali oni z lekceważeniem na zabiegi Margrabiego i na jego walki z władzami rosyjskimi, projektowane przez niego i przez Radę Stanu przyjęte oczyszczanie włościan, uważali nie za postęp, ale raczej za czyn reakcyjny, działanie Felińskiego piętnowali jako odstępstwo i zdradę narodową a sami krzątali się około rozszerzenia organizacji i przygotowania kadrów powstańczych.

Prasa tajna zaznaczając wyraźnie, że „zbrojne powstanie prędzej czy później koniecznie wybuchnąć musi“, a nie podając terminu, kiedy się to stanie, nawoływała otwarcie do pracy przygotowawczej, z drugiej zaś strony oświadczała, że „z moskiewskim najazdem niema pojednania“, że „na dnie każdej niby łaski, niesionej nam przez podłe zbiry lub nikczemne renegaty, leży trucizna moralna, którą chcieliby skwasić w sercach naszych szlachetne uczucie i uspić czujność narodu“, a „więc walka i walka aż do zwycięstwa wołali ci zaślepińcy, kopiący bezwiednie nowy grób dla tak gorąco przez siebie umiłowanej Ojczyzny, i pracowali dalej z podziwienia godną wytrwałością nad dziełem zniszczenia.

Z początku napotykała ta praca na wielkie trudności; brakowało bowiem i ludzi i pieniędzy, ale niebawem nastąpił zwrot niespodziewany.

W Petersburgu istniało już od jesieni 1859 roku „Kółko wojskowych“ złożone z oficerów Polaków i z bawiącej nad Newą młodzieży polskiej.

Należeli do niego między innymi Michał Heidenreich, znany później w powstaniu generał Kruk, Ferdynand Waraski, były oficer ułanów, Zygmunt Sierakowski, Bazyli Kapliński i Jarosław Dąbrowski, w którego mieszkaniu odbywały się schadzki i narady.

Dąbrowski, urodzony w roku 1837, w Żytomierzu i oddany przez matkę do korpusu kadetów w Brześciu litewskim a następnie do szkoły artyleryjkiej w Petersburgu, służył w stopniu porucznika na Kaukazie, wyszedł stamtąd jako zdolny oficer odznaczony orderem św. Stanisława i wstąpił do Akademii generalnego sztabu.

Tu nawiązał wspomniane już stosunki i stworzył ognisko skupiające około siebie najlepsze żywioły polskie w stolicy caratu.

Przedmiotem rozmów i dyskusji, prowadzonych w tem kole, była oczywiście Polska, jej położenie obecne i przyszłość. Zastanawiano się tam nad skutkami wojny Krymskiej, nad możliwością rewolucyi w samej Rosyi i wysnuwano stąd wnioski dla sprawy narodowej korzystne.

O zbrojnym powstaniu nikt nie myślał albo też odsuwał je na czas bardzo odległy.

Tymczasem z Warszawy nadchodziły głuche i niedokładne wiadomości o manifestacjach coraz to częstszych i poważniejszych, o krwawych starciach z wojskiem, o reformach i represjach, które na przemian po sobie następując, tworzyły razem wzięte obraz jakiegoś chaotycznego zamieszania, dla patrzących z dala niejasny i niewytłumaczony.

Postanowiono zatem dla osiągnięcia informacji dokładnych wysłać z pomiędzy siebie kogoś do Warszawy. Wybór padł na Dąbrowskiego i ten, korzystając z świąt Bożego Narodzenia ruszył natychmiast nad Wisłę z listem polecającym do Karola Majewskiego.

Tu zachowywał się z początku względem Czerwieńców bardzo chłodno, nazywał ich „szalonymi pałkami“, później jednak pod wpływem pięknych oczu panny Pelagii Zgliczyńskiej, gorącej patriotki, stał się zapalonym rewolucjonistą i z tem usposobieniem powrócił do Petersburga.

Jego relacya o stosunkach Warszawskich wywołała żywe rozprawy w kółku tamtejszym i była przyczyną rozdwojenia a w końcu i zupełnego rozbicia.

Wielu studentów wyjechało do szkoły wojskowej w Genui, innych oficerów przeniesiono do garnizonów na prowincyi a Dąbrowski po usilnych ze swojej strony staraniach, został wysłany do Warszawy jako adjutant sztabu generalnego szóstej dywizyi piechoty i rozwinął natychmiast skrajną propagandę rewolucyjną. Z postaci nikły i wątły, stąd „Łokietkiem“ zwany, pelen jednak energii i siły, pociągnął on wnet ku sobie wszystkie żywioły gorętsze i uzyskał, zwłaszcza na młodzież wpływ bardzo znaczny.¹⁾

Od czasu jego przybycia weszła też agitacya na inne tory, stała się gorętszą, bardziej stanowczą, mniej przebiegającą w środkach i wyraźnie już dążącą do zbrojnego powstania. Wtedy to dopiero rozpoczęły się zapewne owe werbunki do organizacji, owe przysięgi odbierane w sposób przypominający ceremoniał łóż massońskich, owe ćwiczenia w strzelaniu i mustrze, które opisuje Berg²⁾ i o których ciekawe szczegóły podaje Daniłowski.³⁾

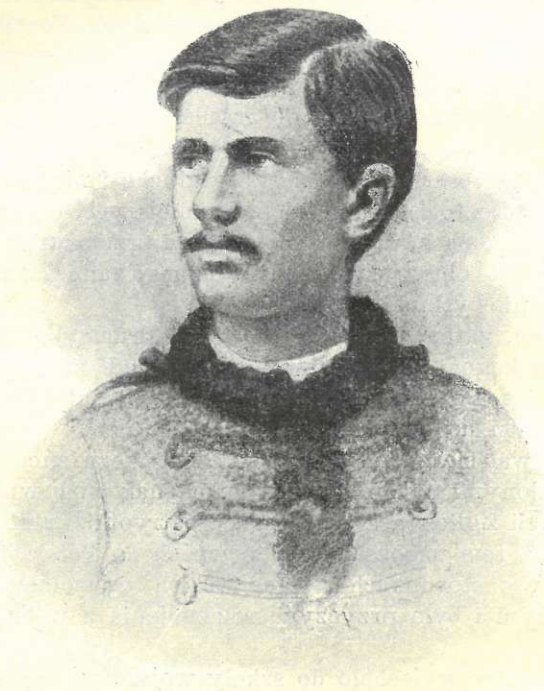
¹⁾ Giller, tom II., str. 94.

²⁾ Tom II., str. 150.

³⁾ Według Przyborowskiego i Berga miał tem wszystkiem kierować Komitet akademicki, Daniłowski jakkolwiek należał do Komitetu przedstawia rzecz cokolwiek inaczej.

Najgoręcej krzżeli się bracia Frankowscy, szczególnie Leon. Był on niezmordowany w werbowaniu do organizacji i w szerzeniu zasad rewolucyjnych. Nie ograniczając się w działaniu swojem do Warszawy i Królestwa, nawiązywał stosunki z młodzieżą Kijowską,¹⁾ starając się ją przekonać o konieczności zbrojnego powstania, sam w końcu wybrał się na Ukrainę, gdzie Tadeuszowi Bobrowskiemu²⁾ opowiadał niestworzone rzeczy o dobrem usposobieniu ludu ruskiego, z którym przelotnie tylko stykał się na popasach, i powrócił stamtąd oczywiście pełen otuchy i najlepszych nadziei.

Że dla takich i tym podobnych naiwnych entuzjastów Dąbrowski był prorokiem rewolucyi, zesłanym przez Opatrzność, przeznaczonym niejako na dyktatora przyszłego powstania, to rzecz łatwo zrozumiała, również jak



Nr. 59. Leon Frankowski.

i to, że przyłgnęli do niego natychmiast wszyscy Chmiieleńscy, Wereszczyńscy i przyjęli jego program działania bez zastrzeżeń.

Dąbrowski obdarzony przekonującą wymową i bujną wyobraźnią, miał w zanadrzu jeszcze argument najsilniejszy t. j. stosunki swoje z Rosyanami i rzekomo istniejącą, rozległą organizację rewolucyjną pomiędzy oficerami.

Było w tem cokolwiek prawdy. W Rosyi, podobnie jak i w Polsce wychodziły tajne pisma Ziemia i wola, Wielikorus, rozchodził się w licznych egzemplarzach Kołokoł Hercena, w kółkach inteligencji panowało niezadowolenie i dążność do zmiany systemu, na pozór liberalnego a w gruncie jeszcze despotycznego.

¹⁾ Mat. do hist. powst. Tom IV., I., str. 151.

²⁾ Pamiętniki Bobrowskiego, tom II., str. 436.

Z tego względu ruch polski miał wśród Rosyan wiele sympatyj, bo z jego powodzeniem łączyli oni także nadzieje własnego odrodzenia. Odjeżdżającego do powstania już pułkownika Strusia żegnali przyjaciele rosyjscy słowami: „Jedź, jedź, szczęść ci Boże, a gdy się wyleczysz, dopomóż i nam do odzyskania zdrowia“.¹⁾

Każdy kto znał naturę i historię spisków rosyjskich, nie mógł przywiązywać do objawów tego rodzaju żadnej wagi, ale dla Dąbrowskiego wystarczały one zupełnie, aby w jego umyśle lotnym i łatwo zapalnym wzbudzić jak najśmielsze nadzieje.

Uwierzył on w siłę rewolucyjnych żywiołów rosyjskich i w możliwość utworzenia związku polsko-rosyjskiego, mającego na celu dezorganizację armii i na tych wątłych podstawach osnuł awanturniczy plan natychmiastowego powstania.

Przyjęty w skład Komitetu, mianowany naczelnikiem miasta, imponujący niedoświadczonej młodzieży swoją znajomością spraw wojskowych, o których ona najmniejszego nie miała wyobrażenia, przystąpił Dąbrowski wprost do wykonania swoich szalonych zamiarów i na posiedzeniu Komitetu (w kwietniu) uczynił wniosek, aby w dniu 26. czerwca rozpocząć powstanie.

Plan jego był następujący. Organizacja nasza — mówił — liczy 7000 członków, z tego 2500 w Warszawie. Jedną więc część ich, 2000, uzbrojona w sztylety i rewolwery, zbierze się w nocy z 25. na 26. czerwca w pobliżu Cytadeli, na znak dany, podstąpi pod bramy, które otworzą wojskowi, należący do spisku i opanuje twierdzę, druga połowa uderzy za Zamek i mieszkanka generałów, wyższych wojskowych i na odwachy.

Równocześnie spiskowi z prowincyi, w liczbie 2000 ukryją się w pobliżu Modlina, gdzie cała szkoła junkrów i część garnizonu, wtajemniczona w sprawę i najprzychylniej dla niej usposobiona, ułatwi zdobycie fortecy i odda w nasze ręce 70.000 karabinów wraz z amunicją.

Ponieważ zaś w końcu czerwca ma nastąpić nowa dyslokacja wojsk i pułki będące w porozumieniu z nami mogą być do innych garnizonów przeniesione, przeto pospiech jest konieczny.

Powodzenie planu zależało oczywiście od pomocy spisku wojskowego, o którym nikt z resztą nie wiedział, ale pewność, z jaką Dąbrowski o nim mówił, zdawała się wykluczać wszelkie w tym względzie wątpliwości.

Ten i ów zapytywał nieśmiało o broń i pieniądze na co odpowiedziano, że przy usilnej pracy przez 3 miesiące można będzie i fundusze potrzebne zebrać i broń sprowadzić.

W końcu aby wahających się zupełnie przekonać dodał Dąbrowski, że swój projekt powstania przedstawił już wydziałowym miejskim, że ci przyjęli go i że nawet opór Komitetu nie powstrzyma ich od wykonania.

Po takim ultimatum, gdy większość Komitetu, Chmieleński, Matuszewicz i sam wnioskodawca, byli prawdopodobnie w porozumieniu, oświadczyła się za wnioskiem Dąbrowskiego znaczna większość (czterech na pięciu) i zdecydowała powstanie.²⁾

Niebawem jednak nastąpiła reakcja. Oburzyli się najpierw umiarkowani. Majewski, jak powiada,³⁾ zawezwał Dąbrowskiego do siebie i gorzko nagaśniał „jego blagerye“, za nim otrzeźwiał także i Daniłowski. Brak funduszków,

¹⁾ Materyały, tom II., str. 3.

²⁾ Daniłowski, str. 106.

³⁾ Zeznania Majewskiego, Fol. 85.

„tego motora wojny“ dał mu szczególnie wiele do myślenia. Zebrał więc najzaufańszych swoich kolegów, uwiadomił ich o zapadłej uchwale i przedstawił im swoje wątpliwości, oni zaś wysłuchawszy relacji postanowili wszelkimi siłami starać się o odłożenie terminu powstania na czas późniejszy.

Jedynym środkiem było oczywiście obalenie obecnego Komitetu i wprowadzenie do tego ciała umiarkowańszych żywiołów.

Jakoż tak się stało. Wybrano ze stronnictwa Białych Majewskiego i Paszkiewicza, z pomiędzy Sybiraków Agatona Gillera, należącego do redakcji *Strażnicy*, deputacya miejska wyznaczyła od siebie Koskowskiego, który był właściwie autorem tego zamachu na dawny Komitet, i Okęckiego,¹⁾ z poprzednich członków pozostali tylko Marczewski i Daniłowski.

Nie obeszło się przytem bez protestów i hałasów. Chmieleński zwłaszcza, uniesiony „wściekłym gniewem“, rzucał się na wszystkie strony, podejrzewał o zdradę raz Daniłowskiego to znów nieobecnego Dąbrowskiego i oświadczył wreszcie, „że to się tak skończyć nie może“.

W istocie rozpoczął on natychmiast żywą agitację przeciw nowemu Komitetowi i pozyskał sobie część zapaleńców, którzy odłączyli się od organizacyi i wypowiedzieli posłuszeństwo znieprawdzonemu przez Chmieleńskiego rządowi.

Tymczasem rząd zabrał się do działania. Wyznaczono Delegację, złożoną z Gillera i Marczewskiego, w celu zbadania o ile było prawdy w tem co opowiadał Dąbrowski o spiskach wojskowych. Na konferencji z oficerami okazało się, że spisek wojskowy istnieje dopiero w związku, że żołnierze są niepewni, że o połączeniu się batalionów lub kompanij z powstaniem niema mowy i że zatem projektowany przez Dąbrowskiego wybuch jest czystym niepodobieństwem.

Odkrycie tych „blageryi“ nie wzmocniło jednak wcale stanowiska Komitetu i przyniosło sprawie narodowej więcej szkody niż pożytku. W razie bowiem wykonania planu Dąbrowskiego, cała awantura mogła się skończyć w kilku godzinach, pochłonąć ofiar nie wiele a natomiast skompromitowałyby gruntownie Czerwieńców i uchroniłyby może kraj od katastrofy. Tak zaś, jak teraz rzeczy stanęły nie zyskano właściwie nic. Odkrycia Delegacyi, wiadome tylko wtajemniczonym, nie zachwiały bynajmniej powagi i znaczenia Dąbrowskiego u zapalonych zwolenników powstania a na Komitet ściągnęły podejrzenie, że ulega wpływowi Białych, którzy z egoistycznych pobudek pragną ruch powstrzymać.

Jakoż Dąbrowski, nie tracąc fantazyi, połączył się z partją Chmieleńskiego i zażądał, rzekomo imieniem wydziałowych miejskich od Komitetu ograniczenia jego władzy. Na to zgłosili Majewski i Paszkiewicz swoją dymisyę i rząd przestał istnieć.

Po długich układach wybrano nowy. Weszli do niego: Marczewski, Dąbrowski, Giller, Bronisław Szwarce i Daniłowski, pominięty Chmieleński prowadził dalej swoją destrukcyjną robotę na własną rękę.

Podczas tych zawziętych walk i przesileń w łonie dojrzewającego spisku zaostrzały się stosunki w mieście coraz bardziej. Zawodowi agitatorowie, „demagodzy bez brody“, jak ich nazwał *Kurier Warszawski*, w artykule świadczącym o niezwyklej w tych opłakanych czasach odwadze piszącego, zaczęli prześladować kobiety, które zamiast żałoby ubierały się

¹⁾ Według Przyb. Oksińskiego.

w suknie koloru fioletowego i urządzać nowe demonstracje na nabożeństwach majowych, gdzie tak jak dawniej rozbrzmiewały znowu śpiewy patryotyczne.

Z drugiej strony rząd, nieopatrzny w swoim działaniu i stosując bezwzględnie surowe przepisy, obowiązujące podczas stanu oblężenia, rozsyłał policyantów po kościołach i tłumami aresztowaniami a szczególnie niegodziwem obchodzeniem się z więźniami, budził przeciw sobie powszechną nienawiść.

Nadto Lüders, powróciwszy z Petersburga, rozpoczął walkę z arcybiskupem. Powodem było niezadowolenie cesarza z bezpośrednich stosunków ks. Felińskiego z Stolicą Apostolską. Polecono więc Namiestnikowi aby w imieniu Monarchy udzielił metropolicie rodzaj „wygoworu“.

Ten odbywał właśnie wizytację pasterską w obrębie kolegiaty Łowickiej, mocno zaniedbanej za rządów Fijałkowskiego, i tu otrzymał nagle list od Dyrektora Komisji Wyznań i Oświecenia, Hubego, wzywający go do bezwłocznego powrotu do Warszawy dla wysłuchania admonicyi Lüdersa. Arcybiskup, słusznie oburzony takim nietaktownem postępowaniem, odpowiedział, że przyjedzie po trzech dniach, terminu dotrzymał, a wysłuchawszy „bardziej kategorycznych i mniej osłodzonych wymówek“, odparł, że idzie drogą jawną, nic przed rządem nie ukrywa, ale nie może się sprzeniewierzyć zasadom przez Kościół głoszonym ani uznać praw państwowych lub politycznej roztropności ilekroć te prawa i ta roztropność stoją w sprzeczności z nauką katolicką. Na odwrót zaś ze swojej strony wyraził niezadowolenie i żywe ubolewanie z powodu nasyłania policyi do kościołów, przytoczył jako dowód jaskrawych nadużyć policyjnych tragiczną śmierć w więzieniu młodej dziewczyny, aresztowanej za śpiewy patryotyczne i żądał w tonie stanowczym, aby policya nie wtrącała się do tego co się dzieje po kościołach, bo on sam przyjmuje na siebie odpowiedzialność za porządek w czasie nabożeństwa, a jeżeli rząd na to się nie zgodzi wówczas będzie zmuszony zaprotestować publicznie przeciw temu bezprawiu.¹⁾

Energiczne wystąpienie arcybiskupa zaimponowało Lüdersowi, który w gruncie był dobrym człowiekiem, i miało ten skutek, że po kilku dniach zapytawszy poprzednio cesarza, zgodził się usunąć z kościołów policyę na czas krótki i dać możność duchowieństwu do powstrzymania manifestacyi politycznych.

Ks. Feliński zwołał też natychmiast przełożonych świeckich i zakonnych kościołów Warszawskich i w dłuższej przemowie wezwał ich, aby dla dobra kościoła starali się skłonić lud do zaniechania śpiewów patryotycznych w czasie nabożeństw.

Na to zabrał głos ks. Mikuszewski, przełożony kościoła św. Aleksandra, i w słowach patetycznych, pełnych sztucznego uniesienia, czynił gorzkie wyrzuty arcybiskupowi a zakończył swoje przemówienie zwrotem „gdyś inną obrał dziś drogę, nie dziw się, że na niej sam pozostaniesz, gdyż żaden kapłan polski nie pójdzie w ślady Pasterza, co sam swą trzodę na pastwę wilkom chce oddać“.

Niefortunny mówca nie wiedział niestety, że w wilię dnia tego oberpolicmajster Piłsudski, zdradził przypadkowo jego przewrotność w rozmowie z arcybiskupem. Ks. Mikuszewski bowiem aresztowany i osadzony w cyta-

¹⁾ Pamiętn. ks. Felińskiego, tom II., str. 151.

deli za tolerowanie śpiewów patryotycznych, przyrzekł Piłsudskiemu dla odzyskania wolność i, niedopuszczyć nadal do śpiewów w swoim kościele i obietnicę tę sumiennie wypełnił.

Ks. Feliński, napadnięty w tak niegodziwy i bezprzykładny sposób, nie miał innego wyboru, jak tylko fakt, wyżej przytoczony, podać do wiadomości obecnych i napiętnować obłudę ks. Mikuszewskiego, który, zawstydzony uciekł czempredzej.

Smutne to zajście podziało otrzewiająco na duchowieństwo i miało taki skutek, że odtąd manifestacye i śpiewy patryotyczne po kościołach ustały a policya nie mieszała się wcale do nabożeństw. Równocześnie prawie, po długim wahaniu, zdecydowano się nareszcie w Petersburgu na przyjęcie programu Wielopolskiego i na udzielenie rozległej autonomii Królestwu.

Dnia 27. maja otrzymał Lüders następujący telegram od cesarza: „Dzisiaj W. Ks. Konstanty Mikołajewicz zamianowany Namiestnikiem Królestwa, zaś magrabia Wielopolski naczelnikiem rządu cywilnego. Do przybycia Jego Wysokości do Warszawy będziesz Pan po dawnemu pełnić swe obowiązki. W dowód mego szczególnego uznania za usługi, oddane w zarządzie Królestwa i pierwszej armii, nadaję Panu godność hrabiowską. W. Książę nie może przybyć do Warszawy prędzej jak za sześć tygodni. Wielopolski wyjeżdża w przyszlą środę“.

Ale i ten termin uległ zmianie wskutek nieprzewidzianych wypadków.

W pierwszych dniach maja dowiedział się gen. Chrulew przypadkowo o jakiejś propagandzie polityczno-rewolucyjnej uprawianej wśród żołnierzy czwartego batalionu strzelców, stojącego w Warszawie.

Śledztwo, wszczęte z tego powodu na rozkaz generała, wykazało, że dwaj młodzi oficerowie porucznik Arnhold i podporucznik Śliwicki zbierają od czasu do czasu swoich żołnierzy, czytają im książki i prowadzą z nimi długie rozmowy.

Dalsze badania rzuciły podejrzenie także na sztabskapitana Niepienina, podporucznika Pleszkowa, podoficera Rostkowskiego i szeregowca Szczura. Aresztowano więc wszystkich i zawiadomiono o zajściu całemu ministrowi wojny, który rozkazał oddać obwinionych pod sąd wojenny i wyrok jaki zapadnie wykonać natychmiast „według całej surowości prawa“.

Kto zna działanie sądów rosyjskich i służalcze ich usposobienie, ten zrozumie, że wola ministra w tak kategorycznym objawiona tonie, była niemal wyrokiem śmierci dla niedoszłych spiskowców.

Jakoż Komisya śledcza, która pociągnęła jeszcze do odpowiedzialności poruczników Bazylego Kaplińskiego i Stanisława Abramowicza, oświadczyła po ukończeniu indagacyi, że, jakkolwiek przestępstwo spełnione było przez niedorostków to ze względu na utrzymanie dyscypliny w wojsku, musi podlegać najsurowszej karze a za jej zdaniem poszedł oczywiście sąd wojenny i skazał Arnholda, Śliwińskiego i Rostkowskiego na śmierć przez rozstrzelanie, Kaplińskiego na pozbawienie wszystkich praw stanu i zesłanie do robót ciężkich na lat sześć, Abramowicza na trzymiesięczne więzienie w twierdzy i później dozór policyjny, Szczura wreszcie na 600 pałek.

Wyrok ten, w stosunku do winy bardzo surowy, zatwierdził Lüders natychmiast a w dwa dni później wykonano go w Modlinie. W sferach rewolucyjnych i wojskowych wywołała cała ta sprawa, wyrok Drakoński i towarzyszące egzekucyi okoliczności nadzwyczajne oburzenie a zarazem

pragnienie zemsty na Lüdersie. Kiedy więc Namiestnik z rana dnia 27. czerwca przechadzał się po ogrodzie Saskim, gdzie pijał zwykle wody mineralne, padł nagle z tyłu strzał, który go zranił ciężko w szczękę.

Wykonawca zamachu, sztabskapitan Andrzej Potebnia, Rusin z rodu, przebrany po cywilnemu, korzystając z ogólnego zamieszania, wyszedł z ogrodu bocznymi drzwiami i szczęśliwie uniknął pogoni.

Zamach był jego dziełem osobistym. Z zamiarem swoim zwierzył on się tylko Dąbrowskiemu i Ferdynandowi W., którzy przeszkadzać wykonaniu i nie mogli i oczywiście nie chcieli, podobnie jak i oficerowie znajdujący się podczas strzału w ogrodzie, którzy znając Potebnię udali że go wcale nie widzą. W tym więc wypadku wolni są Czerwieńcy od winy i opinia była w błędzie, przypisując im uparcie czyn zbrodniczy i jak każde skrytobójstwo zasługujący na potępienie.

Najważniejszym skutkiem zamachu było jednak przyspieszenie przyjazdu W. Księcia do Warszawy.

Poprzedził go Wielopolski, który dnia 14. czerwca powrócił z Petersburga jako Naczelnik rządu cywilnego wioząc doniosłe dla kraju ustępstwa, pełen nadziei, że zdoła wreszcie umysły uspokoić, uprzedzonych do swojej osoby przekonać i rozwinąć skuteczną pracę nad odrodzeniem skolatanego wewnętrznie burzami społeczeństwa.

Owoce jego kilkumiesięcznych zabiegów w stolicy cesarstwa nie były też marne.

Dnia 20. maja 1862 roku ogłoszono ukaz o wychowaniu publicznem i o reorganizacji szkół w Królestwie, dnia 5. czerwca ukazy o oczynszowaniu włościan i o równouprawnienie Żydów.

Były to sprawy pierwszorzędne dla kraju i dla narodu znaczenia. Dwie ostatnie mogły rozterkę i rozdzźwięk w społeczeństwie od wieków istniejący uśmierzyć i przytłumić, błędy przeszłości naprawić, klasowe i rasowe przeciwieństwa ukoić, podstawę do harmonijnego współżycia i współdziałania utworzyć.

Równouprawnienie Żydów nie przyniosło wprawdzie spodziewanych owoców, bo zwichnęła je w skutkach zawierucha lat następnych, ale mogło przy prawidłowym rozwoju życia społecznego, doprowadzić, jeżeli nie do zupełnej asymilacji to przynajmniej do złagodzenia wzajemnych niechęci i uprzedzeń.

Oczynszowanie włościan, acz gorsze od uwłaszczenia, było drogą, prowadzącą w najbliższym czasie do radykalnego rozwiązania kwestyi włościańskiej, a wykonane rozumnie, bez mieszania się obcych, musiało z jednej strony wpłynąć na polepszenia doli ludu, z drugiej zaś przekonać szlachtę, że uwłaszczenie, chociaż połączone z ofiarami materyalnemi, jest koniecznem i nie pociągnie za sobą bynajmniej ruiny ekonomicznej właścicieli.

Pierwsza i druga sprawa wymagała atoli jednej wielkiej cnoty, tak w życiu politycznem jak i społecznem, t. j. cierpliwości, której niestety naród polski nigdy nie posiadał i dotąd jeszcze nauczyć się nie zdołał.

W owych zaś czasach, w okresie przełomowym, była cierpliwość i konieczną i zbawienną.

Zyskaliśmy bowiem ustępstwa niezmiernie doniosłe, reformę wychowania publicznego, która, obok samorządu, stanowiła fundamentalną pod-

stawę pomyślnego nadal rozwoju narodowości polskiej i uzdrowienia społeczeństwa.

Nikt nie zaprzeczy chyba, że jedną z głównych przyczyn rozstroju, jakiemu podlegał organizm nasz w latach, 1860—3 był brak oświaty u ludu i brak wykształcenia u t. zw. inteligencji. Niedojrzałość umysłowa nieznamość spraw publicznych, ignorancja w zakresie nauk historycznych, umiejętności społecznych i filozoficznych a natomiast karmienie ducha do przesytu poezją i lekką strawą powieściową wywołało w społeczeństwie chorobliwe usposobienie, przewagę wyobraźni i uczucia nad rozumem.

I jeżeli Bismarck powiedział kiedyś, że Polacy są w polityce poetami a w poezji politykami, to miał słuszość zupełną. Lekarstwem na tę chorobę mógł być tylko kierunek wychowania publicznego, oparty na gruncie narodowym i przywracający zwichniętą równowagę pomiędzy wybujałą wyobraźnią a trzeźwym rozsądkiem.

Czy Wielopolski tak rzecz pojmował, w to nie wchodzimy, ale że reforma szkolna, powstała z jego inicjatywy i przez zasłużonych na polu edukacyjnym ludzi opracowana, do tego zmierzała celu, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Zasadniczą zaletą jej było, że biorąc za podstawę ukształcenie religijno-moralne i klasyczne jakoteż możność nabycia nauk specjalnych, otwierała dostęp do szkół osobom wszelkiego wyznania i stanu i te szkoły stawiała na gruncie narodowym, językiem wykładowym bowiem był język polski a przedmiotami na które najczęściej zwracano uwagi historia i literatura ojczyzna.

Na tym zrębie opierała się cała dalsza organizacja.

A więc szkoły elementarne, jedno i dwuklasowe, gdzie uczono czytać i pisać po polsku, katechizmu, czterech działań arytmetycznych i podawano najpotrzebniejsze wiadomości różnego rodzaju, zastosowane do pojęcia, rozwoju umysłowego i przyszłego zawodu młodzieży.

W gminach protestanckich obowiązywała nauka języka niemieckiego, w unickich cerkiewno-słowiańskiego.

Ustawa, dając zupełną swobodę zakładania nowych szkółek tak osobom prywatnym jak i organom autonomicznym i powierzając opiekę nad niemi gminom i radom miejskim, tworząc ponadto dozory szkolne, według wzorów z epoki Księstwa Warszawskiego i Królestwa Konstytucyjnego, wyzwalała tem samem szkoły ludowe z pod niepożądanych wpływów władz administracyjnych i otwierała możność szerzenia oświaty w duchu narodowym.

Szkoły elementarne żeńskie, urządzone praktycznie, wreszcie szkoły rzemieślnicze i handlowe, niedzielne po miastach uzupełniały ten dobrze pomyślany system edukacyjny najniższego typu.

Szkoły średnie dzieliły się na powiatowe i gimnazyalne. Pierwsze z pięciu klas złożone, miały charakter bądź ogólny, bądź zawodowy (pedagogiczne, dla kształcenia nauczycieli), bądź też specjalne, gdzie wykładano głównie nauki ścisłe i techniczne.

Liczbę gimnazyów siedmioklasowych pomnożono z siedmiu istniejących do trzynastu, instytut szlachecki przeniesiono z Warszawy do Lublina i stworzono z niego t. zw. liceum o ośmiu klasach, odejmując tej kreacyi Muchanowa, kastowy jej charakter.

Na czele szkół średnich stali rektorowie, dawnych inspektorów, którzy byli właściwie urzędnikami policyjnymi, zastąpiono prefektami, tak jak by-

wało za czasów Komisji Edukacyjnej, powołując na to stanowisko nauczycieli albo katechetów.

Wykończeniem nowego systemu był uniwersytet, nazwany dobrze z resztą po polsku Szkołą Główną. Składał on się z czterech Wydziałów: lekarskiego, fizyko-matematycznego, prawnego i filologiczno-historycznego. Brakowało fakultetu teologicznego, bo ten zastępowała Akademia duchowna.

Na czele Szkoły Głównej stał Rektor, w pierwszych trzech latach mianowany przez rząd, t. j. Radę Administracyjną, później wybieralny. Dziekanów wybierali od początku profesorowie na przeciąg dwóch lat. Czesne wynosiło 10 rs. za każde półrocze. Mundury studenckie były granatowe z srebrnymi galonami, podobnie jak i w szkołach średnich.



Nr. 60. Dr. Józef Mianowski.
Rektor Szkoły Głównej w Warszawie.

Oślawiony instytut żeński przeniesiono z Puław do Warszawy i połączono go z pensją rządową czyli t. zw. instytutem Aleksandro-Maryjskim, który stał się zakładem wychowawczym dla pańien.

W Puławach natomiast powstał instytut politechniczny i rolniczo-leśny. Jeżeli dodamy do tego reorganizację Szkoły Sztuk Pięknych i Szkoły Rolnicze, jakoteż Seminarium pedagogiczne przy Wydziale matematycznym w Szkole Głównej urządzone, to będziemy mieli przed oczyma pełny obraz reformy wychowania publicznego, obmyślanej rozumnie, wznawiającej świetne tradycje Komisji edukacyjnej, otwierającej przed młodzieżą polską szerokie pole do kształcenia się w duchu narodowym i do zaniedbanej niestety pracy naukowej.

Ile z tego podniesienia poziomu oświaty mógł skorzystać duch polski, kultura polska i kraj pod względem ekonomicznym, zrozumie łatwo ten, kto porówna stosunki w Królestwie Polskiem po założeniu Szkoły Głównej z poprzednią dobą Apuchtinowskiego okresu i z tą zarazą moralną, jaką wszczepił w dusze i umysły polskie system edukacyjny rosyjski.

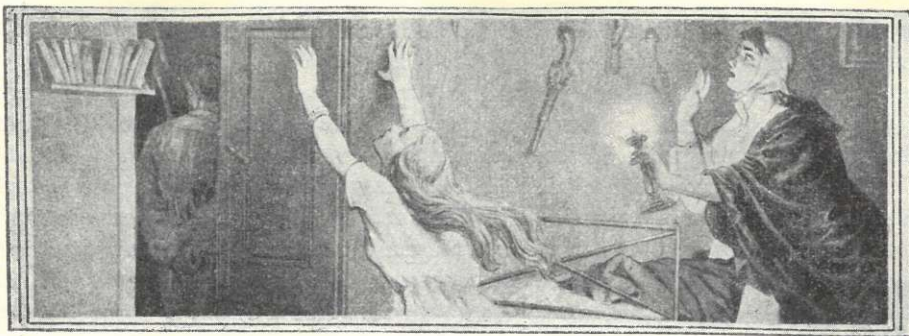
Czy ówczesne społeczeństwo rozumiało należycie wielką doniosłość reformy szkolnej i autonomicznych urzędów w ogóle? Bynajmniej. Sąd przedmiotowy w tym względzie zaciemniały z jednej strony uprzedzenia osobistej natury, z drugiej zacierzewienie Czerwieńców.

Biali przyjmowali koncesye chłodno, z niechęcią do Margrabiego, który wyrastał im ponad głowy i stawał się potęgą, Czerwoni usiłowali obniżyć ich wartość i znaczenie, bo obawiali się uspokojenia kraju i wytrzeźwienia umysłów, zwłaszcza w chwili, kiedy działalność spiskowa przybierała kształty już wyraźnie rewolucyjne.

Po długich bowiem walkach w łonie Komitetu powiodło się wreszcie umiarkowańszym żywiołom usunąć Chmieleńskiego a na jego miejsce wybrać Paszkiewicza, którego jednak niebawnie zastąpił czerwieniec Bronisław Szwarce. Duszą tego nowego Komitetu był Giller i na jego propozycję postanowiono aby Komitet, dotąd zwany miejskim, przybrał tytuł Centralnego Komitetu Narodowego. I teraz chyba nikt już nie mógł wątpić o właściwych zamiarach spisku. Stawiając przeciw rządowi legalnemu, opartemu na samorządzie i złożonemu z Polaków, rząd tajny, wybrany przez kilkunastu ludzi zgola prawie nieznanym i nadając mu nazwę „Centralnego“ i „narodowego“, wypowiedziano jasno zasadę, że kompromis z rządem jest niemożliwy i że ustępstwa, nawet daleko sięgające, nie zdołają zadowolnić Polaków, dążących do odzyskania niepodległości.

Nie pozostawało zatem nic innego jak tylko zbrojne powstanie, i jeżeli Giller później, uważał je za „klęskę najdotkliwszą“, to musiał przyznać w duchu, że ta katastrofa była w znacznej części własnem jego dziełem.





Rozdział jedenasty.

W. KS. KONSTANTY. — NOMINACYE. — UKŁADY MARGRABIEGO Z BIAŁYMI. — KAROL MAJEWSKI. — ROZKŁAD W STRONNICTWIE BIAŁYCH. — ZAMACH NA W. KSIĘCIA. — WRAŻENIE. — PROJEKT ADRESU. — WYROK ŚMIERCI NA JAROSZYŃSKIEGO. — ZAMACHY RZOŃCY I RYLLA. — ODEZWA DO NARODU NAMIESTNIKA. — ZAMOYSKI I W. KSIĄŻE. — BŁĘDY WIELO-POLSKIEGO. — RZĄD NARODOWY. — KOMITET MIEROSŁAWSKIEGO. — BRANKA. — POWSTANIE UCHWALONE.

Wśród takich okoliczności obejmował rządy Namiestnicze w Królestwie W. Ks. Konstanty, młodszy brat cesarza. Liczył on wtedy lat 35. Wszechstronnie wykształcony, pełen inteligencji, w świecie otarty, bo wiele podróżował i z ciekawością wszystkiemu się przypatrywał, przytem ambitny, przybywał do Warszawy z najlepszem dla Polaków usposobieniem. Uśmiechało mu się stanowisko bardzo wprawdzie trudne, ale w cesarstwie wyjątkowe, do pewnego stopnia niezależne. Na dnie duszy ukrywał może inne zamiary, marzył może o wicerejostwie, o sekundogeniturze, o koronie Jagiellońskiej. Nadzieje takie acz nie łatwe do urzeczywistnienia, leżały w granicach możliwości. Wszak wiadomo, że nie spełna w rok potem uważano w Petersburgu Królestwo za prowincję straconą, a carowa żegnając Murawiewa Wieszatela, odjeżdżającego do Wilna, miała go prosić, aby przynajmniej Litwę zachował Rosyi.

Z Polakami w stosunkach nie był, ale widocznie czuł do nich pewien pociąg, kiedy po polsku się nauczył i podczas bytności w Paryżu w r. 1859 przy zwiedzaniu polskiej szkoły na Batignolles z dyrektorem zakładu Malinowskim po polsku rozmawiał.

Teraz, gdy miał zostać Namiestnikiem w Królestwie, brał jeszcze lekcye języka polskiego od Kazimierza Krzywickiego, który temu stosunkowi zawdzięczał swoją nominację na Dyrektora Komisji Wyznań i Oświecenia. Po zamachu na Lüdersa przyspieszył wyjazd swój z Petersburga w tem zapewne mniemaniu, że po ogłoszeniu i częściowem już wprowadzeniu rozległych reform autonomicznych, on, brat cesarski, dobrej zażywa-

jący opinii, zdoła kraj uspokoić i nawet nieprzejednanych z nowym porządkiem rzeczy pogodzić.

Przybycie W. Księcia poprzedziła dymisya Kruzenszterna i Hubego; miejsca ich zajęli Keller i Krzywicki, dyrektorem wydziału przemysłu i sztuk w Komisji Spraw Wewnętrznych został Łuszczewski.

Nominacye te przyjęto niechętnie. Krzywicki, pochodzący z Wołynia, urzędnik w kancelaryi cesarskiej, był nieznany, pod względem uczuć patryotycznych wątpliwy, chociaż niezaprzeczenie zdolny i dobrami ożywiony chęciami. Jego mowa przy objęciu urzędowania, w której żądał od podwładnych nie tylko pracy ale i odwagi cywilnej a zapewniał, że „światło w kraju być powinno i będzie“, świadczy, że nowy minister Oświecenia pojmował swoje obowiązki rozumnie i stał na wysokości zadania, które wśród trudnych miał spełniać warunków.

Mniej szczęśliwym nazwać trzeba wybór Kellera. Niemiec z rodu, niczem zresztą nieodznaczający się zawdzięczał on swoje wyniesienie konneksyom familijnym i zabiegom żony.

Sam był siostrzeńcem feldmarszałka Ks. Wittgensteina, przez żonę Ryzniczównę z domu, której matka była rodzoną siostrą znanego Henryka hr. Rzewuskiego wszedł w związki z arystokracją polską. Pani Kellerowa, słynna z piękności i sprytu, ale także z lekkiego życia, wywierała urokiem swoich wdzięków i powierzchowną ogładą wielki wpływ zwłaszcza na mężczyzn i pomagała mężowi w karyerze.

W Żytomierzu, gdzie Keller za protekcją Bibikowa został wicegubernatorem „rozamorowała“ Kraszewskiego, wówczas kuratora gimnazjum Żytomierskiego i swojemi zabiegami prawdopodobnie wyjednała dla męża gubernatorstwo w Mińsku. Na tej posadzie pozyskał on sobie smutną sławę wielkiego łapownika.¹⁾

Pobyty na zapadłej prowincyi nie podobał się pani gubernatorowej, pojechała więc do Petersburga, gdzie bawił właśnie Wielopolski, zbliżyła się do niego i opanowała go tak jak wielu innych zupełnie, stała się „Egeryą“, dumnego i nieprzystępnego magnata, którego olśniła nie tylko pięknoscia ale i pochodzeniem arystokratycznym po kądzieli.

A ponieważ Dyrektorem Komisji Spraw Wewnętrznych musiał być koniecznie Rosyanin, więc Margrabia wołał mieć na tem ważnem stanowisku spokojnego Niemca, ożenionego z Polką — bo była bądź co bądź Polką, chociaż z ojca Serba — niż jakiegoś czynownika wątpliwej wartości i proweniencji, tem bardziej że król pruski Wilhelm przyznawał Kellerowi rozum,²⁾ i „fałszywe brylanty wziął za prawdziwe“. Keller w Warszawie okazał się zupełnym niedołęgą i ustąpił miejsca Ostrowskiemu. Pani Kellerowa wyjechała później do Paryża i została tam agentką policji rosyjskiej.³⁾

Wszystkie te zmiany i reformy nie mógł jednak tak długo odnieść zamierzonego skutku, jak długo trwał ferment w kraju, utrzymywany i podsyćany przez agitację Czerwieńców. Należało więc to stronnictwo ruchliwe, złożone z młodzieży wszelkiego rodzaju, z drobnej inteligencji, mieszczaństwa, niższego duchowieństwa i rzemieślników, ubezwładnić, albo też w drodze perswazyi skłonić do jakiegoś kompromisu z żywiołami umiarkowanymi. Policyjne środki nie wystarczały w tym względzie. Policyja bowiem, acz zre-

¹⁾ Bobrowski. Pamięt., tom I., str. 262.

²⁾ Lisicki, Kwart. hist. tom VIII., str. 748.

³⁾ Bobrowski l. c.

formowana obecnie do pewnego stopnia była zbyt niedołężna i niepewna, aby mogła tak trudnemu zadaniu podoleć. Sergiusz Muchanow, który po słynnym łapowniku Pilsudzkim objął urząd oberpolicmajstra, oświadczył z góry że z tajną policją nic nie chce mieć do czynienia, a naczelnik tej ostatniej generał Paulucci, w gruncie przychylnie dla ruchu usposobiony, patrzył na jego działania przez palce. Wielopolski, zorientowawszy się w położeniu, zwrócił się więc do Dyrekcyi Białych, która utrzymywała przez Majewskiego stosunki z Czerwonymi i w imię dobra kraju, zażądał, aby wydała w jego ręce organizację powstańczą i Komitet Centralny, aby popierała jego program polityczny, a on zaręcza natomiast, że spiskowców



Nr. 63. W. Książę Konstanty.
Namiestnik Królestwa Polskiego (1862—1863).

nie zgubi, że wyszle ich tylko na jakiś czas w głąb Rosyi, a gdy kraj się uspokoi, do kraju powróci.

Dyrekcya, po pewnem wahaniu, bo propozycja Margrabiego była w istocie niezwykła i na pierwszy rzut oka wydawała się potworną, zważywszy, że rozpaczliwy stan kraju wymaga nadzwyczajnych środków, przyjęła plan i skłoniła Majewskiego, który jeden tylko znał organizację rewolucyjną dokładnie, do wydania spiskowców.

Niestety, w łonie Białych nie było jedności i zgody. Dyrekcya nie posiadała ogólnego zaufania; Prezes byłego Towarzystwa Rolniczego i liczni jego stronnicy byli w opozycji, żywsze i młodsze, żywioły dążyły do stwo-

rzenia jakiejś ogólnej organizacji, zwolennicy Wielopolskiego do rozbicia organizacji białej.¹⁾ W tak zawikłanym położeniu zgodził się Majewski na odegranie roli Wallenroda, ale żądał spisania protokołu i pisemnego zarządzenia ze strony Wielopolskiego, że spiskowcy będą karani tylko czasową zsyłką w głąb Rosyi, Margrabia odrzucił ten warunek i w dwa dni potem znalazł się Majewski w cytadeli, gdzie przesiedział do 3. Maja 1863 roku.²⁾

Położenie wewnętrzne przedstawiało się teraz wprost fatalnie, w łonie stronnictwa Białych panowała rozterka. Jedni przechylali się ku Wielopolskiemu, drudzy pragnęli doprowadzić do jakiegoś porozumienia pomiędzy partjami, do usunięcia Zamoyskiego, Kronenberga i Jurgensa, poczem miano ustanowić naczelną władzę dla wszystkich dzielnic polskich. W tym celu wyjechał, jak już wspomniano wyżej, Jurgens za granicę. Szlachta na prowincyi, zaniepokojona ciągłymi manifestacyami po miastach i miasteczkach wysłała do Warszawy delegatów, którzy mieli nakłonić Dyrekcyę do nawiązania układów z stronnictwem ruchu. Przyjęci obojętnie otrzymali odpowiedź, że porozumienia próbowano, że to żadnego nie odniosły skutku i że zatem nic nie pozostaje innego, jak tylko zachować się biernie i wyczekująco.³⁾ Była to zasada nie-



Nr. 64. Medal za uśmierzenie powstania polskiego w 1863—1864 roku.

wątpliwie wygodna, ale w chwili gdy na straszną zbierało się burzę, gdy płomień rewolucyjny ogarniał coraz szersze warstwy społeczeństwa i katastrofa wisiała nad krajem, wprost niezrozumiała i fatalna.

Tymczasem w głębinach spisku przygotowywały się niespodziewane wypadki. Chmieleński, rozdrażniony do najwyższego stopnia za to że go z Komitetu wyrzucono, ułożył piekielny i zbrodniczy plan zamachu na W. Księcia, aby, jak się wyrażał przeszkodzić „nierządnym umizgom do Moskwy“.

W tym celu wyszukał pomiędzy rzemieślniczą młodzieżą warszawską, należącą do organizacji, młodego czeladnika krawieckiego, Ludwika Jaroszyńskiego, któremu przedstawił, [że zabicie W. Księcia jest dla dobra Ojczyzny nieodzownem i że Komitet Centralny rozkazał zamach ten wykonać a na dowód pokazał mu sfalszowany oczywiście rozkaz Komitetu.

Jaroszyński, gorący patriota, ale przytem naiwny i łatwowierny, obalamucony nadto przez ajenta Chmieleńskiego, niejakiego Rodowicza, uwierzył w końcu zapewnieniom uroczystym i zakłębom Chmieleńskiego i dał się nakłonić do zbrodni.

¹⁾ Zeznania Majewskiego.

²⁾ Majewski w zeznaniach swoich nie wspomina o tem zdarzeniu zupełnie, oświadcza jednak że z Wielopolskim: nigdy w życiu swoim ani słowa nie mówili Margrabiemu żadnych memoryałów nie podawał (fol. 83), aresztowanie zaś swoje przypisuje Aleks. Ostrowskiemu, Kronenbergowi i całej grupie, która stanowiła „odcien rządowy Wielopolskiego“.

³⁾ Kartki z pamiętnika Wieniawskiego w Tygodniku ilustrowanym.

Pierwotnie miał strzelać do W. Księcia na dworcu kolei, w dniu jego przybycia do Warszawy 2. lipca. Ale kiedy zobaczył cesarzewicza prowadzącego pod rękę młodą i przystojną żonę znajdującą się w stanie poważnym, obudziło się w nim uczucie rycerskie i zaniechał zamiaru, podobnie jak nazajutrz w Katedrze gdzie świętość miejsca odwiodła go od wykonania zbrodniczego czynu. Dopiero dnia 4. lipca przy wyjściu W. Księcia z teatru zbliżył się do niego i strzałem z rewolweru zranił go lekko w ramię i szyję, poczem został na miejscu schwytany.

Zbrodnia, w dziejach polskich niesłychana, bo oprócz zamachu szaleńca Piekarskiego, nigdy nie splamiliśmy się królobójstwem, wstrząsnęła do głębi całym społeczeństwem.

Nazajutrz, gdy wszystkie władze od Rady Stanu począwszy stawily się dla kondolencyi w Belwederze, W. Książę rzekł do arcybiskupa Felińskiego: „Przełałem krew za sprawę polską. Krew ta ściślej mnie jeszcze połączy z narodem, nad szczęściem którego pracować przybywam. Ufam iż znajdę poparcie u tych wszystkich, dla których pomyślność Ojczyzny jest droga“, a następnie, wyszedłszy do sali audyencyjonalnej, gdzie byli zebrani dostojnicy i obywatele zapewniał ich o życzliwości swojej dla kraju, zachęcał do zgody, wreszcie ujął dłonie Wielopolskiego i Adama Zamoyskiego, połączył je razem i zakończył przemowę zwrotem do nich skierowanym: „Pojednajcie się i wspierajcie mnie oba, a będzie to najszcześniejszy dzień w mojem życiu“.¹⁾

Niestety, dłonie te pozostały nieruchome i zimne.

Wzajemna niechęć, niesłychana duma z jednej a doktryneryzm polityczny z drugiej strony niedopuszczyły do zbliżenia tych dwóch mężów, których zgodne w tej chwili działanie mogło kraj od katastrofy ocalić.

Spółeczeństwo także, jakkolwiek zamachem oburzone, nie umiało znaleźć drogi stosownej do wyrażenia swoich uczuć, zwłaszcza że i władze rządowe z niezrozumiałych dziś dla nas powodów, objawom tego rodzaju nie były wcale przychylnie. Cenzura nie pozwalała dziennikom umieszczać artykułów o zamachu a gdy Kraszewski napisał piękną odezwę, potępiającą podobne zbrodnie, przekreślono ją w cenzurze „z wyższego rozkazu“.

Jeden tylko arcybiskup pojął i spełnił swój obowiązek Kapłana i Polaka. Mimo opozycji oficyała ks. Rzewuskiego, mimo widocznej niechęci duchowieństwa odprawił natychmiast uroczyste nabożeństwo dla podziękowania Bogu za ocalenie Namiestnika i wypowiedział przytem mowę niemniej podniosłą jak i rozumną.

Zastosowawszy do obecnego położenia ustęp wzięty z prorocstwa Ezechielowego i wspomniawszy że losy nasze spoczywają w rękę Opatrzności, pytał dalej „czy nie jest zbrodnią przeciwko Ojczyźnie przecinać wewnętrzny rozwój krajowych instytucyj, w chwili właśnie, gdy ziemia nasza, od tak dawna zbawiennych reform spragniona, otrzymała wreszcie możebność poprawienia tego wszystkiego, co poprawy potrzebuje“? a zwracając słowa swoje do przytomnych wołał: „Bracia najmilsi, w tej chwili już nie rząd ale wiara i Ojczyzna domagają się waszej pomocy i chcą byćście się jawnie przeciw podobnym bezprawiom oświadczyli“.

Jeżeli ks. Feliński odzywał się do serc i do sumienia narodu, to mowa Wielopolskiego przy otwarciu Rady Stanu wygłoszona, miała znaczenie

¹⁾ Opis przyjęcia w Belwederze i mowę W. Księcia podajemy według pamiętników ks. Felińskiego tom II., str. 197.

polityczne. Zaznaczając z naciskiem, że W. Książę w zbrodni popełnionej nie przypisuje żadnego udziału winy narodowi polskiemu, że na dawnej jego szlachetności polega i nad dobrem jego wspólnie z nami pracować pragnie, zaprzeczał wieściom, krążącym po mieście, jakoby po zamachu, reformy miały być wstrzymane i dawny system przywrócony a równocześnie oznajmiał o nominacji trzech członków Rady na ważne posady gubernatorów cywilnych. Jakoż rzeczywiście zastąpił gbura i okrutnika Rożnowa w Płocku Dominik Dziewanowski, Oppermana w Radomiu Aleksander Ostrowski, Fenscha w Augustowie Józef Korytkowski.

Był to dopiero początek systemu, zmierzającego do oczyszczenia administracyi z żywiołów obcych, krajowi nieprzychylnych, zdzierstwem i łapówkami bogacących się. Margrabia położył w tym względzie istotnie wielkie zasługi. Pod jego rządami z 15500 urzędników Rosyan, pozostało w Królestwie zaledwie 120, reszta otrzymała dymisję „dla dobra służby“ a los ten spotykał także i Polaków, bądź zupełnie niezdolnych, bądź naśladowujących przykład swoich rosyjskich kolegów.



Nr. 65. Kazimierz Krzywicki.
Dyrektor Komisji Wyznań i Oświecenia.

Już ten sam fakt epuracyi władz administracyjnych mógł i powinien był przekonać społeczeństwo polskie o istotnych zamiarach Wielopolskiego. Prosty rozsądek bowiem wskazywał, że ten kto tak działa, nie jest ani sługą rządu, ani „Moskalem“, lecz Polakiem dbałym o dobro kraju.

Ale zaślepienie nie pozwoliło na to. Strażnica piętnowała Margrabiego jako człowieka, „na którego sumieniu i ciele plamy krwi bratniej są wyraźne“, ks. Felińskiemu zarzucała „obludny patryotyzm“ a „w kulach co

padły na ciemieżycieli“ widziała „przestrołę wyroków“ Boskich.

Na ten stek górnołotnych frazesów, na te oskarżenia, w drobnej tylko części uzasadnione, zresztą bezpodstawne, miało obowiązek społeczeństwo odpowiedzieć w sposób prosty aktem potępiającym zamach. Wymagał tego honor narodu, takt i wzgląd na położenie polityczne. Tak też myślano z początku i na drugi dzień po strzale Jaroszyńskiego zaprosił do siebie Ludwik Górski, jeden z wybitnych członków byłego Towarzystwa Rolniczego około sześćdziesiąt osób rozmaitego stanu i barwy politycznej na naradę.

Postanowiono wysłać natychmiast deputacyę do W. Księcia z adresem potępiającym zamach. Ale już przy dyskusyi nad adresem ułożonym przez Górskiego okazała się znaczna w zdaniach różnica. Obawiano się, że taki akt będzie niejako uznaniem legalności rządu rosyjskiego w Polsce, zrzeczeniem się praw nieprzedawnionych, skrupułu niemający żadnej podstawy, ten i ów

lękał się zapewne napaści na swoją osobę Czerwieńców, inni jeszcze nie chcieli stłumić zupełnie ruchu, dlatego, że „podtrzymywał ducha w masach narodu“. Rozważny i poważany powszechnie Karol Ruprecht mówił do Wieniawskiego¹⁾ w tym czasie: „gdyby nie młódź ruchliwa i warstwy górętszego mieszczaństwa, siedzielibyśmy razem z tak zwanymi białymi, jak mysz pod miotłą, i niktby się o nas nie zatroszczył. A tymczasem rozbudzona samowiedza narodu, już pewne owoce wydała; rachują się z nami, nie jak z trupem, ale jak z żywym, wierzącym w swoje prawa narodowe. Już to jedno jest rezultatem dodatnim, a któż powiedzieć może co nam przyszłość gotuje“. Nikt nie zaprzeczy, że w tym poglądzie na polityczne znaczenie Czerwieńców była szczypta prawdy, ale każdy przyzna także, że utrzymanie ruchu w granicach rozumem zakreślonych jest prostem złudzeniem.

Rozprawy skończyły się na tem, że do projektowanego adresu wsunięto ustęp „o cierpieniach narodu przez tak długi czas nieszczęśliwego“ i że zapadła uchwała, aby na czele deputacyi poszedł pan Andrzej.

Ten z początku oburzył się na taką propozycję niesłuchanie, później jednak zgodził się pod warunkiem, że o wszystkim będzie uwiadomiony Wielopolski.

Margrabia, jakkolwiek przyjął myśl wysłania deputacyi przychylnie, zaczął wnet podejrzynwać Górskiego i jego zwolenników o intrygę przeciw sobie wymierzoną, zwłaszcza że Zamoyski miał stanąć na czele deputacyi i wręczyć adres W. Księciu. A gdy Górski z oburzeniem podobną insynuację odrzucił, sprzeciwił się Margrabia stanowczo ustępowi w adresie o „cierpieniach narodu“ i oświadczył, że „jeżeli się przytem upierać będziecie, deputacya nie zostanie przyjętą“. W ten sposób rozbiła się rzecz dobrze pomyślana, dla sprawy polskiej pożyteczna, ze względów czysto osobistych i egoistycznych, a Strażnica miała stąd powód do nowych napaści na inicjatorów adresu i do rzucania hasła wprost rewolucyjnego: „Rząd najezdniczy i niezależność Polski nigdy stać obok siebie nie mogą“. Rzecz godna zastanowienia, że ten sam pisarz, który taką w r. 1862 stawiał zasadę, w sześć lat później przyznał otwarcie, że „hasło nic albo wszystko jest hasłem tych, którzy nigdy do niczego nie dochodzą“.²⁾

Tymczasem W. Książę, niezrażony zamachem Jaroszyńskiego, urządził dla siebie rezydencję w Zamku królewskim, dokąd miał się przenieść z Belwederu i tworzył mozolnie dwór na stopę monarszą zakreślony.

Marszałkiem dworu został hrabia Chreptowicz, Polak i katolik wprawdzie, ale nie umiejący nawet po polsku, typ dworaka z czasów Mikołajowskich; prezesem dyplomatycznej kancelaryi, hr. Tęgoborski, wychowany w Petersburgu i całkiem zruszczony; naczelnikiem świty wojskowej, pułkownik Alf Wrześniowski; na podrzędnym urzędzie znalazł się Sobański. Wzięto ich wszystkich, w braku innych, lepszych i poważniejszych kandydatów.

Stosunki bowiem były tego rodzaju, że całe towarzystwo arystokratyczne polskie, które niegdyś, na skinienie Paskiewicza nappełniało jego salony, usuwało się teraz ostentacyjnie od Namiestnika, okazującego przy każdej sposobności życzliwe swoje dla narodu usposobienie. Prym w tym względzie trzymały kobiety, uchylając się stale od bywania w Zamku, za przykładem tych dam, co nadawały ton w t. zw. „towarzystwie“ warszawskiem.

¹⁾ Kartki z pamiętnika l. c.

²⁾ Giller l. c., str. 110.

Wielka Księżna, która pragnęła bardzo zbliżyć się do społeczeństwa polskiego używała rozmaitych środków, aby lody te przełamać, ubierała się nawet czarno, zwiedzając szpitale i przytulki publiczne, gdzie musiała się zetknąć z paniami polskimi, ale i ten manewr nie odniósł pożytecznego skutku.

Obawa przed Czerwieńcami, piętnującymi każdą kobietę, zrzucającą żałobę, wstrzymywała świat piękny od udziału w przyjęciach Zamkowych, gdzie nie można było używać stroju czarnego. Wszelkie zatem zabiegi, próśby i wpływy nie zdołały zmienić tej zaciętej i zwartej „bierności“.

Narodziny dziecka, które przyszło na świat dnia 13. lipca dały sposobność W. Księciu do okazania swoich sympatyj dla społeczeństwa polskiego. Ogłosił więc obszerną amnestyę dla osób skazanych za przestępstwa polityczne, ks. Wyszyńskiego przeniósł z Tobolska do Orla i zmniejszył mu karę; pałac Prymasowski podarował na pomieszczenie szkół, w celu powiększenia biblioteki uniwersyteckiej kazał sprowadzić z Petersburga, z księgozbioru cesarskiego, 17000 tomów dubletów, synkowi swojemu dał na chrzcie imię niezwykle wśród rodziny carskiej, Wacława. Były to zapewne rzeczy drobne dla tych, co marzyli o niepodległej Polsce i o odbudowaniu Rzeczypospolitej w granicach z roku 1772, ale zdrowy rozsądek radził skorzystać z niezwykle pomyślnych okoliczności, zjednać sobie tę ambitną parę książęcą, z jej pomocą autonomię kraju utwierdzić i rozszerzyć, z Królestwa uczynić Piemont polski, któryby tworzył realną podstawę dla polityki i dalszych aspiracji narodowych.

Wszak krążyły wtedy po Warszawie wieści, że Konstanty ma przyręczone sobie dziedziczne wicekrólestwo, że stronnicy jego chcą go obwołać królem polskim. Ile w tych pogłoskach było prawdy, dociec niepodobna, tyle jest pewnem, że W. Książę, sprowadzając całą swoją rodzinę do Warszawy i każąc uczyć dzieci swoje po polsku, myślał o dłuższym tutaj pobycie i żywił w głębi duszy dalej sięgające zamiary.

Niezrozumiało tego społeczeństwo polskie. Niezrozumiało stronnictwo czerwonych, przeciwne wszelkim kompromisom z rządem zaborskim, nie chcieli rozumieć Biali, z obawy przed Czerwieńcami i z mylnego przekonania, że, przyjmując autonomię Polski w granicach, zakreślonych przez Kongres Wiedeński, zrzekają się tem samem prawa do odzyskania niepodległości z czasów przedrozbiorowych, jak gdyby proces dziejowy miał się rozgrywać kiedyś przed kratkami sądowymi.

Nic bez ciężkich błędów było także postępowanie Wielopolskiego. Nie przeszkodził on straceniu Jaroszyńskiego, a nawet według opinii współczesnych, nakłonił W. Księcia do zatwierdzenia wyroku, wydanego przez sąd wojenny i stworzył całkiem niepotrzebnie, z tego młodego zapaleńca, oszukanego i działającego w dobrej wierze, męczennika, a Namiestnikowi niedźwiedzią prawdziwie wyrządzał przysługę.

Nie dosyć na tem. Zamiast użyć poważnej prasy, która była przeciwną powstaniu, do popierania swojego programu politycznego, on skrępował dzienniki i oddał je na pastwę ograniczonej cenzury, odrzucił projekt ustawy prasowej, opracowany przez Krzywickiego a nawet miał się sprzeciwić życzeniu W. Księcia, aby dla próby uwolnić prasę od cenzury na czas trzech miesięcy.

Stało się więc to, co łatwo można było przewidzieć, że gdy dzienniki o sprawach publicznych milczały, a gazety urzędowej, Dziennika powszechnego nikt nie czytywał, czerpało społeczeństwo informacje swoje albo z prasy tajnej albo też z dzienników polskich, wychodzących za granicą i jak najgorzej dla Wielopolskiego usposobionych.

Równocześnie prawie zdarzył się wypadek, który słusznie oburzył opinię przeciw Margrabiemu. Nowo utworzona Rada Miejska Warszawska zaczęła badać stan więzień, umieszczonych w ratuszu, przekonała się o niesłychanych nadużyciach, jakie tam popełniano, i wniosła z tego powodu skargę do władz wyższych, w tonie ostrym i może nawet nie całkiem odpowiednim. Dokument ten podpisał oczywiście prezydent Wojda, człowiek zamożny, lojalny i dlatego powszechnie nie lubiany.

Wielopolski, zamiast wytknąć radzie niewłaściwy sposób wyrażenia swojej opinii, skorzystał z tej okoliczności i „dla dobra służby“ dał dymisy Wojdzie, a prezydentem miasta mianował syna swego Zygmunta, ściągając na siebie zarzut niesprawiedliwości, nepotyzmu i samowoli.

Wszystko to potęgowało coraz bardziej niechęć i nienawiść, jaką budził ten człowiek niezaprzeczenie rozumny i dla kraju zasłużony, ale nieposiadający niestety wielkości charakteru, odpowiadającego wysokiemu stanowisku, które zajmował. Niepomierna jego duma raziła swoich i obcych. Generalów rosyjskich przyjmował szorstko i wyniośle, drażniąc całkiem niepotrzebnie ambicje sarkających na polskie rządy i w gruncie ograniczonych stupajków, Polaków, którzy bywali na wieczorach, jakie dawał u siebie w pałacu Brühlowskim, traktował z widocznem lekceważeniem, nikomu z nich prawie ręki nie podawał, z nikim nie rozmawiał swobodnie, lecz stojąc na środku salonu rzucał od czasu do czasu zdania i uwagi, zaprawione często ironią i sarkazmem.

Drobnostki tego rodzaju, w rzeczy samej blahe, niepozbawione nawet strony śmiesznej, drażniły społeczeństwo, przywykłe do tego, że „szlachcic na zagrodzie był równy wojewodzie“, a obecnie gruntownie zdemokratyzowane, nieuznające różnic stanów, bratające się z Żydami, kokietujące chłopów. Margrabia, jakkolwiek także Żydów popierał, o stworzeniu silnego stanu trzeciego u nas zamyślał i lud włościański chciał podnieść przez oświatę i oczynszowanie, sam przez swoje zachowanie się stawał niejako w sprzeczności z kierunkiem ogólnym, przedstawiał dla powierzchownie myślących, a takich jest większość, typ magnata, lekceważącego niższych od siebie, żadnego wyniesienia i władzy i dla własnej ambicji służącego rządowi.

Tak, chociaż niesłusznie sądził tłum i stąd powstawała do Wielopolskiego niechęć, przechodząca u Czerwieńców w nieubłaganą nienawiść.

W. Książę był dla nich niewygodnym, Margrabia groźnym. Postanowili więc pozbyć się go za wszelką cenę. Piekielna ta myśl powstała w głowie Chmieleńskiego, który po zamachu Jaroszyńskiego ukrywał się w Warszawie. Działając w porozumieniu z Dąbrowskim wyszukał on, wśród organizacji młodego 20 letniego litografa Ludwika Rylla, osobistość bardzo marną i bardzo nikičemną i namówił go, oczywiście nie sam lecz za pośrednictwem Janickiego, subiekta z księgarni Friedleina, do zbrodni. Kiedy Margrabia dnia 7. sierpnia wyjeżdżał z pałacu Brühlowskiego, Ryll dobrze podchmielony strzelał do niego dwa razy z rewolweru lecz chybił i w ucieczce został schwytany.

W osiem dni potem, dnia 15. sierpnia, rzucił się na Wielopolskiego, przejeżdżającego przez Aleje Ujazdowskie z zatrutym nożem Rzońca, także ofiara Chmieleńskiego. Margrabia dzięki przytomności własnej i swojego stangreta ocalał, sprawcę ujęto.

Trzy zamachy, w tak krótkim czasie dokonane przeraziły i oburzyły zarazem trzeźwiejszą i rozumniejszą część społeczeństwa.

Kraszewski w *Gazecie polskiej* i Kenig w *Gazecie Warszawskiej* potępili ostro te ofiary terroryzmu i rozpaczę.

„Ludzkość w swych dziejach i narody w swem życiu — pisał pierwszy — nieznają rozpaczę, dopóki im świeci wiara w siebie i wiara w przyszłość. Zwątpiliśmy o sobie? Dzień po dniu przynosi tego dowody, które przerażają i obalają nawet najtrwalszych i niepewność ogarnia umysły zwątpienie mrozi serca. Żaden przecie naród nie odrodził się takimi środkami, żaden kraj nie podźwignął się do życia takimi rozpaczliwemi zapasy z pojedynczymi osobami. A Kenig dodawał z swojej strony: Kto rzucił w serca nasienia rozpaczę, kto przysposobił umysły do chwytania się teorii nie na naszym zrodzonych gruncie, na tym niech ciąży boleść i lzy pokoleń, jako klątwa, o pomstę do Boga wołająca“.

Największe wrażenie sprawiła jednak odezwa W. Księcia, ogłoszona w dniu 27. sierpnia, po wykonaniu wyroków na Jaroszyńskim, Ryllu i Rzońcy. Dlaczego przychodziła tak późno, dlaczego Namiestnik nie przemówił 'do narodu natychmiast po strzale Jaroszyńskiego, a więc w chwili najodpowiedniejszej? Sprzeciwił się temu niestety Wielopolski i dopiero teraz, prawdopodobnie pod wpływem zamachów Rylla i Rzońcy, kiedy on sam był już narażony na ciosy skrytobójców, skłonił W. Księcia do spóźnionej enuncjacyi, której tekst sam ułożył.

Odezwa, napisana stylem ciężkim, właściwym Margrabiemu, miała charakter banalny, ale w ostatnim ustępie zawierała apel do narodu, niepozbawiony wartości i znaczenia.

Polacy! — tak kończył W. Książę — czyliż dopuścicie, aby występne stronnictwo, nieliczne lecz zapamiętałe i do najohydniejszych środków uciekające się, stawiało zaporę między tronem i narodem i tamowało spełnienie zamiarów najjaśniejszego Pana? Czyliż ścierpicie aby pod pozorem wolności i miłości Ojczyzny, potworne sprzysiężenie terroryzowało naród bezustannemi groźbami? Bądźcie godni pełnych chwały przodków swoich, pamiętajcie, że dotąd żadna karta dziejów waszych nie nosiła na sobie zmyły czynów tak ohydnych . . . Polacy! połóżcie we mnie zaufanie równe temu, jakie ja w was położyłem. Połączcie się ze mną w jednym uczuciu, pracujmy wspólnie i zgodnie około dobra Polski, prosząc Boga, aby usiłowaniom naszym błogosławił a nowa epoka dobrego bytu i szczęścia otworzy się dla tej Ojczyzny, którą tak miłujecie“.

Odezwie tej zarzucano wiele, zwłaszcza to, że niedawała gwarancji utrzymania i dalszego rozwinięcia reform.

Zarzut nieuzasadniony, bo głoślowne zapewnienie Namiestnika gwarancją nie było a przeszłość uczyła, że Aleksander I. i Mikołaj mimo uroczystego zaprzysiężenia konstytucyi, gwałcili ją wielokrotnie. Gwarancję mogła stanowić jedynie silna armia polska, nie słowne lub pisemne zareczenie, a nikt rozsądny chyba nie przypuszczał, aby Rosya zgodziła się na podobne rozwiązanie kwestyi polskiej.



Błogosławieństwo Kosynierów.

Natomiast pewnem było, że od czasów Aleksandra I., żaden Namiestnik Królestwa nie przemawiał do narodu w takim tonie jak obecnie Konstanty, żaden nie zaklinał Polaków na miłość Ojczyzny do współdziałania dla dobra Polski.

Zrozumieni to Czerwieńcy i dlatego starali się wrażenie proklamacyi osłabić, wmawiając w naiwne społeczeństwo, że ona niczego nie dowodzi i nic nie gwarantuje, że jest wynikiem trwogi [ogarniającej] [po zamachach Wielopolskiego.

Inaczej pojmowali położenie Biali. Według ich mniemania nadeszła ostatnia już chwila, gdzie można było rewolucyą okiełznać i powstanie powstrzymać. Po długich naradach postanowiono więc udzielić silnego poparcia rządowi pod warunkiem, że konstytucya Królestwa z roku 1815 będzie przywrócona i że prowincye zabrane otrzymają przynajmniej podobne reformy jakie już zaprowadzono w Królestwie. Z taką propozycyą udała się deputacya Białych do Wielopolskiego. Margrabia przyjął ją „chmurnie i dumnie“ i, wysłuchawszy tego z czem przyszli, odpowiedział chłodno: „Waszego ani niczyjego poparcia nie żądam i nie potrzebuję. Dla Polaków można czasem coś dobrego zrobić, ale z Polakami nigdy“.

W tych słowach, natchnionych rozgoryczeniem, a zgola niepolitycznych, wydał on wyrok na siebie a niestety i na Polskę.

Stronnictwo Białych, odepchnięte przez Wielopolskiego, zwróciło swoje zabiegi w inną stronę. Widząc niesłychaną niepopULARNOŚĆ Margrabiego i zapamiętała ku niemu nienawiść Czerwieńców a pragnąc szczerze przeszkodzić powstaniu, które uważało za katastrofę, sądziło ono, że jedynym środkiem uspokojenia kraju będzie usunięcie zdyskredytowanego w opinii publicznej Naczelnika rządu i postawienie na tem miejscu osobistości, mającej wziętość i ogólne poważanie. Starania w tym kierunku czyniono już od dłuższego czasu w najgłębszej tajemnicy.

Aleksander hr. Przeździecki, poróżniony z Wielopolskim z powodu sporu o zapis Swidzińskiego, zaczął wpływać na W. Księcia przez generała Chreptowicza, z którym go dawna łączyła znajomość. Do Przeździeckiego przyłączył się niebawem i Franciszek Węgleński, członek Komitetu byłego Towarzystwa Rolniczego. Obaj oni a zwłaszcza Węgleński, bywający często w Belwederze, przedstawiali Namiestnikowi, że Margrabia skutkiem swojej niepopULARNOŚCI nie zdoła nigdy uspokoić kraju i że zatem należy go usunąć i zastąpić albo Andrzejem Zamoyskim „ulubieńcem narodu“ albo innym człowiekiem, posiadającym odpowiednie na tak wysoki urząd zdolności. Może być że miał być nim Węgleński.

Prawdopodobnie Wielopolski przeniknął intrygę a może i miał o niej pewne wiadomości i tem tłumaczy się szorstka odprawa, jaką dał poselstwu Białych.

Tymczasem W. Książę ulegał zwolna podszeptom Węgleńskiego i po ogłoszeniu swojej proklamacyi wezwał przez Chreptowicza, Andrzeja Zamoyskiego na audyencyę do siebie do Łazienek.

Chwila była niezmiernie ważna, dla losów przyszłych narodu polskiego decydująca.

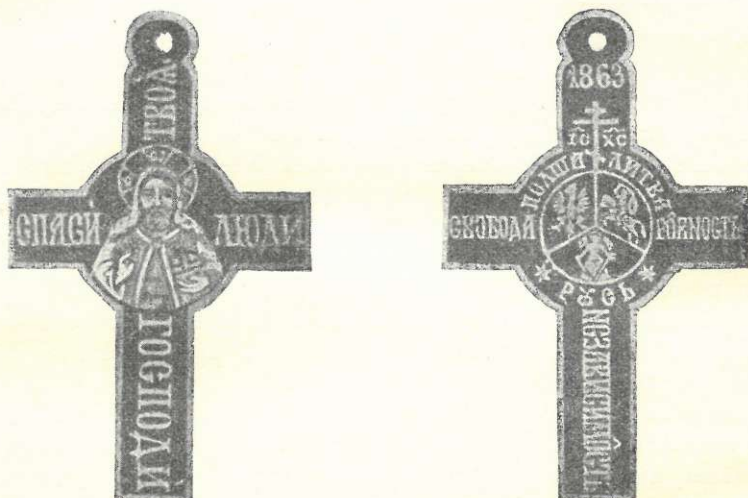
Namiestnik zapytał wprost pana Andrzeja, w jaki sposób można kraj uspokoić, czego właściwie żądają nie Czerwieńcy lecz ludzie umiarkowani i prosił go, aby użył swego wpływu na uśmierzanie wzburzonych namięt-

ności, gdyż „inaczej roztworzy się przepaść, w którą nie my ale wy wpadniecie“.

Zamoyski, chłodny i sztywny, odparł, że pragnął i pragnie zawsze spokoju Ojczyzny i że według jego osobistego zdania może uspokoić kraj złączenie wszystkich prowincyj dawnej Polski „pod Twoim mości Książę zarządem z stolicą w Warszawie“, W końcu, jak gdyby miarkując, że za daleko poszedł dodał: „Inni może inaczej myślą. Mogę zebrać przyjaciół moich i znajomych i poprosić ich, by mi szczerze i otwarcie swe zdanie w tej kwestyi wyjawili. O tem co mi powiedzą, nie omieszkam donieść W. Książęcej Mości“.

Konstanty słuchał wszystkiego z uwagą, nie bez wielkiego oczywiście wzruszenia i rzekł: „Dobrze, zbierz pan swych przyjaciół i spytaj“.

Że wtedy przez jego głowę przesunęły się tysiączne myśli, że przed jego wyobraźnią stanęła w całym blasku swoim Korona Jagiellonów, przy-



Nr. 66. Krzyż ruski z herbami Polski, Litwy i Rusi wykonany w 1863 roku.

szłość wielka, o której marzył może w salonach Belwederskich i w cienistym parku Łazienkowskim, to zdaje się nie ulegać wątpliwości. Ale kiedy został sam z sobą i zmierzył wielkość przedsięwzięcia, natenczas uczuł się bezsilnym.

Bo jeżeli Zamoyski i ci co jego zdanie podzielali, sądzili, że ten Książę w purpurze zrodzony lecz nie do purpury przeznaczony, posiada dość siły i energii, aby zostać królem polskim w Warszawie, a przynajmniej Królestwo takie sobie przygotować, to łudzili się mocno, łudzili się podobnie jak przed 32 laty Lubecki, który wierzył w moc i wpływy Konstantego Pawłowicza i na jego interwencji u Mikołaja I. wszystkie swoje zasadzał nadzieje.

Tymczasem sytuacja przedstawiała się zupełnie inaczej i sam Konstanty wyznał to otwarcie ks. Felińskiemu. „Gdybym — tak mówił — był synem a nie bratem Cesarza, położenie moje byłoby nie równie łatwiejsze, gdyż serce ojca niedostępne jest dla podejrzeń. Lecz ja mam licznych wrogów u dworu, którzy radzi składają na karb osobistej ambicji to co chciałbym

uczynić dla dobra powierzonego mi kraju, z pobudek państwowej wyższej polityki.

Nieprzyjaciele moi nieomieszkali by wmawiać w cesarza, że chce rozszerzyć Królestwo dla rozszerzenia mej władzy, a może nawet oderwania od Korony. Ja muszę się trzymać jak najściślej otrzymanej z Petersburga instrukcyi, aby usunąć od siebie wszelkie niesłuszne podejrzenia¹⁾.

Arcybiskup nie miał najmniejszego powodu ukrywać rozmowy swojej z Namiestnikiem i nie ulega wątpliwości, że natychmiast powtórzył ją Zamoyskiemu i członkom Dyrekcyi Białych.

Kiedy więc szlachta na wezwanie pana Andrzeja, zjechała się tłumnie do Warszawy, aby podać W. Księciu adres, wyrażający potępienie zamachu i tem samem udzielić rządowi moralnego poparcia, nie mogło być położenie kraju i stanowisko Namiestnika dla nikogo tajemnicą. Zdrowy rozsądek nakazywał stronnictwu Białych zastosować do tych warunków swoją taktykę i swoje działanie.

Tymczasem stała się rzecz zgola niespodziewana. Pod wpływem Czerwieńców, którzy zamiary szlachty piętnowali mianem „nowej Targowicy“ i pod wrażeniem tej gorączki jaka ogarnęła już całą Warszawę a szerzyła się i na prowincyi, postanowiono podać adres nie W. Księciu ale Zamoyskiemu i streścić w nim żądania narodu, będące oraz jedynym środkiem uspokojenia kraju.

Adres ten, ułożony przez Edmunda Stawiskiego, czy też przez Ruprechta, orzekał w tonie kategorycznym, że „my, Polacy, wtedy tylko rząd z zaufaniem będziemy mogli popierać gdy rząd ten będzie naszym polskim i gdy ustawą zasadniczą, przy wolnych instytucjach złączone będą wszystkie prowincye Ojczyznę naszą składające“, bo, dodano dla objaśnienia, miłości dzielić nie możemy, Ojczyznę naszą całą kochamy. w granicach, jakie Bóg jej określił a tradycye historyczne przekazały“.

Było to ni mniej ni więcej, jak tylko ultimatum, postawione Rosyi, bo nikt chyba nie mógł przypuszczać, aby mocarstwo potężne i rozporządzające liczną armią, zgodziło się bez zdobycia oręża, na warunki, równające się samobójstwu. Zamoyski, jakkolwiek stanowczo sprzeciwiał się adresowi, przyjął go jednak dla miłego spokoju i w przekonaniu że cała ta sprawa, poufnie traktowana, pójdzie wkrótce w zapomnienie.

Ale tak Czerwieńcy, jak i zwolennicy adresu postarali się o to aby nieszczęsne to pismo rozeszło się nie tylko po Warszawie lecz i po całym kraju.

W. Książę oburzony niesłychanie zawezwał pana Andrzeja do siebie i po rozmowie bardzo cierpkiej, oświadczył mu wprost, że ma się udać natychmiast do Petersburga i tam zdać sprawę z swego postępowania przed cesarzem.

We dwie godziny później wyjechał Zamoyski specjalnym pociągiem w wytwornie urządzonym wagonie pierwszej klasy nad Nową. Towarzyszył mu syn, Stanisław i rotmistrz żandarmów Sierżputowski, któremu jednak W. Książę z góry zapowiedział, że pan Andrzej nie jest wcale aresztowanym.

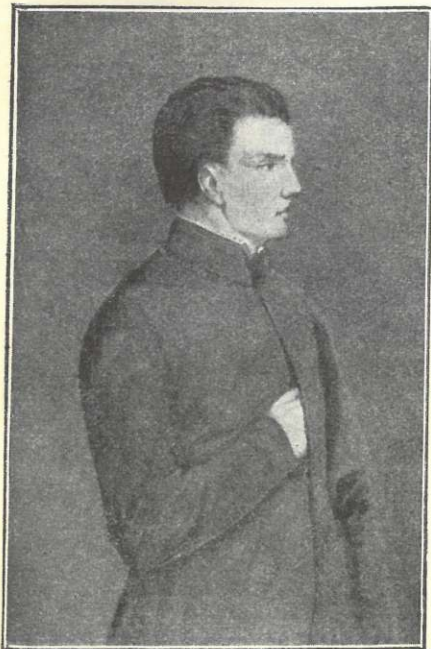
W Petersburgu zażywał wygnaniec zupełnej swobody, co przypisać należy głównie tej okoliczności że całe stronnictwo „Zapadników“ potępiało postępowanie rządu i ostentacyjnie okazywało jak największą sympatyę Zamoyskiemu.

¹⁾ Feliński. Pamięt., tom II., str. 242.

Cesarz przyjął go dopiero w połowie października, rozmawiał z nim bez świadków przez dwie godziny blisko i zakończył audyencję słowami: „Nie zatrzymuję Pana ani w Petersburgu, ani też nie aresztuję, nie chcę z Pana robić męczennika. Pojedziesz Pan za granicę i sądę że nic nie masz przeciw mnie osobiście“.

Jakoż dnia 18. października opuścił Zamoyski Petersburg i udał się przez Berlin do Paryża, później do Krakowa.

Wygnanie pana Andrzeja było dziełem Wielopolskiego.¹⁾ Pozbywając się niewygodnego współzawodnika, sądził on że ułatwi sobie pracę nad uspokojeniem kraju. Omylił się jednak, bo opinia publiczna uważała czyn Margrabiego za akt zemsty osobistej a Zamoyskiego za ofiarę podstępny i intrygi. Niezaprzeczone zasługi pana Andrzeja względem kraju, jego charakter czysty, jego sposób myślenia szlachetny, jego gorący patriotyzm stawiały go wysoko zwłaszcza w porównaniu z Wielopolskim, który przed wystąpieniem swoim na widownię życia politycznego był dla społeczeństwa polskiego zgoła nieznanym, z powodu dumy swojej i licznych procesów i więcej pozornych niż rzeczywistych sympatyj rosyjskich znienawidzonym.



Nr. 67. Tadeusz Jaroszyński.

Nieszczęście nasze chciało, że Zamoyski, przy wielkich zaletach osobistych nie posiadał zdolności politycznych, że nie umiał się nagiąć do odmiennych warunków, w jakich naród polski wtedy się znajdował, że stojąc twardo i z uporem na gruncie zasad z roku 1831 nie pojmował, że w życiu politycznym zastosowanie programu do wymagań danej chwili jest ewolucją a bynajmniej nie abdykacją z praw przyrodzonych i ideałów przyszłości, że nie miał wreszcie dość siły i stanowczości, aby połączyć się z jednym

lub z drugim stronnictwem, lecz trwając w bierności, ani nie zdołał powstrzymać powstania ani też zapewnić zwycięstwa Wielopolskiemu.

Opisane co tylko wypadki zmieniły z gruntu położenie. Rozłam pomiędzy stronnictwem Białych a Wielopolskim i przyjęcie przez większość szlachty politycznego programu Czerwieńców wzmocniło partyę ruchu a wszelki kompromis z rządem uczyniło niemożliwym.

Komitet Centralny, który już w instrukcyi z dnia 24. lipca, zapowiadał, że „organizacya narodowa ma na celu przygotowanie kraju do powszechnego, na dobry skutek obrachowanego powstania“, aby wywalczyć niepodległość Polski w granicach z roku 1771, a po proklamacyi W. Księcia ogłosił się,

¹⁾ Lisiecki: Le Marquis Wielopolski, tom II., str. 339.

w dniu 1. września, Rządem Narodowym, rósł widocznie w siłę i potęgę.

Fakt ten sprawił niesłychane wrażenie w kraju. Zdawało się bowiem że ci, co występowali publicznie jako „rzeczywisty Rząd Narodowy“ i oświadczali, że są „wyrazem nie tylko wojskowej ale narodowej moralnej organizacyi“ polskiej, nie działają lekkomyślnie, że mają w istocie tę siłę moralną, której „brak niszczy i obala rządy carów w Polsce“.

Tak rozumowała zapewne większość szlachty, radzącej nad adresem, i gdy Komitet Centralny w swojej odezwie uznał „popieranie rządu moskiewskiego i bronienie go za dradę kraju“, nie miała nic pilniejszego jak



Nr. 68. Zygmunt Padlewski.

zastosować się do tego rozkazu i przystąpić do programu Rządu Narodowego, chociaż wiedziała, że ostatecznym celem jego jest zbrojne powstanie, któremu stronnictwo Białych pragnęło przeszkodzić.

Czerwieńcy, do niedawna jeszcze, rozerwani pomiędzy sobą, w rzeczy samej nie tak silni, jak powszechnie sądzono, nabrali otuchy i zaczęli się krzątać gorliwie około przygotowania zbrojnego ruchu.

A że Dąbrowski — aresztowany niedawno po zamachach i osadzony w cytadeli — wielkie nadzieje pokładał na rewolucyjnym rzekomo usposobieniu inteligencji i oficerów rosyjskich, więc Giller wybrał się do Londynu aby tam porozumieć się z Hercenem i przedstawić mu zamiary i polityczny program Komitetu Centralnego.

W urzędowym piśmie, które wiozł ze sobą, powiedziano, że celem ruchu polskiego nie jest bynajmniej odbudowanie „szlacheckiej Polski“, lecz państwa, gdzie włościanie otrzymają zupełne prawa własności do ziemi przez nich uprawianej a każda narodowość będzie mogła swobodnie losem swoim rozporządzać. Szczególniejszy ten akt, owoc źle zastosowanego oportunizmu, sprzeciwiał się zasadniczo programowi Czerwieńców, polegającemu na odbudowaniu Polski w granicach z roku 1772, bo przyznawał Litwinom i Rusinom wolność stanowienia o sobie, a zatem przyłączenia się do Rosyi, do Polski albo też utworzenia odrębnych organizmów. I Mierosławski miał zupełną słuszość, kiedy, po ogłoszeniu owego pisma Komitetowego w Hercenowskim Kołokole, umieścił w dziennikach francuskich rodzaj protestu przeciw „adresowi domniemanego Komitetu Centralnego, który zostawia dwie trzecie polskiego kraju przyszłej Moskwie odrodzonej, w zamian za obietnice współczucia i pomocy tyle akurat warte, co i ten zastaw“.

To co Hercen w odpowiedzi na umizgi Komitetu Centralnego wysłannikom polskiego „Rządu“ ofiarował, nie miało żadnego znaczenia. Dwie jego odezwy, jedna do oficerów a druga do żołnierzy rosyjskich, nie odniosły oczywiście najmniejszego skutku, a zapewnienia, że w cesarstwie wybuchnie niebawmie powszechna rewolucya okazały się złudzeniem.

Tymczasem w Warszawie pod nieobecność Gillera, wzięły w Komitecie górę żywioły radykalne, zwolennicy rewolucyjnego terroru, wojujący sztyletem. Z ich rozkazu i na naprawy zamordowanego naczelnika tajnej policyi Felknera, Annę Wiśniewską, w Lubelskiem niejakiemu Starczewskiemu, który należąc do organizacji, popełnił brzydką zdradę. Morderstwa te dokonane w sposób brutalny i z niesłychanym cynizmem, sprawiły wstrząsające wrażenie, ale nie otrzeźwiły bynajmniej umysłów.

Po powrocie Gillera i Padlewskiego nastąpiła pewna zmiana. Z Komitetu usunięto żywioły radykalne; powołano na zastępców Franciszka Godlewskiego, Jana Bohdanowicza i Oskara Aweyde; urząd naczelnika Warszawy objął po zapaleńcu Rolskim, Padlewski; nawiązano stosunki z Komitetem Wileńskim i ruskim, poruszono wreszcie Galicyę.

Wątlą organizacyą litewską zawładnął Konstanty Kalinowski, najczerniejszy z czerwonych, opierający wszystkie nadzieje swoje na masach chłopskich, nienawiścią dla szlachty przejęty. Przygotowaniem powstania na Rusi zajmował się początkowo Antoni Juryewicz, student kijowskiego uniwersytetu, później Stefan Bobrowski, brat rodzony autora ciekawych pamiętników, Tadeusza, zdeklarowanego konserwatysty i jakby dziś powiedzieć można „ugodowca“.

Stefan, z zamożnej pochodzący rodziny, niepospolitemi obdarzony zdolnościami, charakter szlachetny i wzniosły był podobnie jak Juryewicz z przekonania chłopomanem.

Wspomniany już ruch ludowy na Ukrainie podczas wojny krymskiej, wzbudził w tych marzycielach nadzieje poruszenia czerniawy chłopskiej przeciw znienawidzonym rządóm rosyjskim. Śniła im się Kozaczyszna, nie historyczna i prawdziwa, lecz wyidealizowana przez naszych poetów, z Sahajdacznym na czele, pod malinową chorągwią idąca razem z hufcami polskimi na święty bój za wolność polską i ruską.

Ulegając temu dziwnemu złudzeniu, któremu na każdym niemal kroku przeczyła obecna rzeczywistość a krwawo miała zaprzeczyć niebawnie przyszłość, i pod wpływem Komisarza Komitetu Centralnego, Leona Frankowskiego, zawiazali oni w sierpniu 1862 roku osobny Komitet ziem ruskich, nazwany Zarządem Rusi, poczem Komitet Centralny powierzył czynności przygotowawcze do powstania w Województwach ruskich Zygmuntowi Miłkowskiemu.

W Galicyi w najbliższym Królestwu Krakowie powstała Rada Naczelna Galicyjska, złożona z Dymidowicza, Mułkowskiego, aptekarza Aleksandrowicza, Alfreda Szczepańskiego i Ludwika Kubali;¹⁾ we Lwowie należeli do niej Aleksander Dzieduszycki, Smolka, Ziemiałkowski i Adam Sapieha.²⁾

Już samo zestawienie tych nazwisk świadczy jak różnie zapatrywano się na ruch Warszawski w obu częściach kraju. W Krakowie do składu Rady weszły osobistości bez znaczenia, we Lwowie najwybitniejsi reprezentanci polskiego społeczeństwa. Z jakiego stało się to powodu — nie wiadomo, pewnem jest jednak że Krakowianie popełnili błąd polityczny, oddając kierunek Rady niedoświadczonej młodzieży, albo emerytom — weteranom, żyjącym tradycjami przeszłości i niezdającym sobie sprawy z obecnego położenia narodu, a zgola już trudno pojąć, jakoby dopiero w lutym 1863 roku dowiedziano się o istnieniu w Krakowie tajnej organizacji, zostającej pod rozkazami Komitetu Centralnego,³⁾ kiedy Tadeusz Wojciechowski jeszcze w roku 1861 przedłożył memoriał Adamowi hr. Potockiemu, w którym, wskazując na wrzenie wśród młodzieży doradzał, aby starsi zapanowali nad przygotowującym się ruchem.⁴⁾ Nie sądzimy też, aby ten sam Wojciechowski, należący, według Koźmiana, do Rady Naczelnej, zaniechał później rozumnego swego działania, a wierzymy, że ponowił swoje usiłowania, niestety bez żadnego skutku. Organizacya zresztą, jakkolwiek tajna, była powszechnie znana.⁵⁾

W zaborze pruskim wreszcie pracował dla Komitetu Centralnego młody i wytrwały spiskowiec Łukaszewski, z dobrem, jak przyszłość okazała, powodzeniem.

Największe jednak i wprost rozstrzygające znaczenie dla ruchu miał akces duchowieństwa, dokonany w Sandomierskiej dyciezyi na zjeździe w Świętomarzu a w podlaskiej na zebraniu w Kłoczewie.

W Świętomarzu uchwalono (29. października) jednozgodnie odłączyć się od stronnictwa Dyrekcyi białej, jako „niechwytałącego się pewnych i niewzruszonych zasad i odwlekającego zbawienie Ojczyzny na długie lata, a natomiast przystąpić do działania Komitetu Centralnego“, zastrzegając sobie jedynie nie czynić tego coby się sprzeciwiało prawom kościelnym. Wprawdzie tu i ówdzie powstała przeciw takiej uchwale opozycja, zwłaszcza pomiędzy duchowieństwem unickim. Na zjeździe w Leśnej, ks. Bojarski, proboszcz z Dobratycz, gorliwy zresztą patryota, oświadczył wręcz, że „każdy z nas przy wyświęcaniu się na kapłana już raz złożył przysięgę na wierność i posłuszeństwo Kościołowi i Ojcu św.; drugi raz przysięgać nie

¹⁾ Ziemiałkowski w Pamięt., część III., str. 45, wylicza tylko trzech pierwszych; w Wyd. mat. III., IX., pominięto natomiast Aleksandrowicza.

²⁾ Ziemiałk. l. c.

³⁾ Koźmian, tom I., str. 147.

⁴⁾ Tamże.

⁵⁾ Memoriał pisany przez H. Szmitta. Wydaw. mat., tom III., str. 89.

będziemy; stanowczo odmawiamy przysięgi jakiejś władzy tajnej, której nie znamy i nie uznajemy“, i tem trzeźwym i rozzummem przemówieniem pociągnął większość zgromadzonych za sobą, ale mimo to znalazło się w krótkim czasie, całe duchowieństwo, z małemi wyjątłkami, pod znakiem Komitetu.

Napróżno arcybiskup Gnieźński ks. Przyluski powstawał w liście, pisanym do ks. Felińskiego na szkodliwość rewolucyjnych dążeń wśród kleru, podnosząc słusznie, że „duchowieństwo nigdy w ten sposób do polityki czynnej mieszać się nie powinno“, że ksiądz nie przestając być obywatelom i nie usuwając się od służenia sprawie publicznej, „może zasiąść do rady, wziąć udział w robocie poważnej i jawnej, ale nie godzi mu się narażać urzędu swego i osoby swojej w przedsięwzięciach gwałtownych, hazardowych a wyjętych z pod kontroli zwierzchności kościelnej i rzetelnego sumienia“, napróżno odzywał się w podobnym duchu do „braci kapłanów“ ks. Kajsiewicz, upomnienia te i przestrogi przebrzmiały jak głos wołającego na puszczy a na ks. Kajsiewicza ściągnęły nawet brzydkie i niczem nieuzasadnione podejrzenie jakoby był „ajentem Moskwy“.

Na pewne usprawiedliwienie tych „braci jawnie grzeszących“, jeżeli tu o usprawiedliwieniu w ogóle mówić można, należy przypomnieć, że w tej chwili, kiedy owe doniosłe postanowienia duchowieństwa zapadły, zostawał kraj cały pod wrażeniem wiadomości o zamachu, wymierzonym przez rząd a raczej przez Wielopolskiego na zniszczenie całej organizacji. Był to ów znany powszechnie i w skutkach swoich tak nieszczęsny projekt branki.

Rzecz przedstawiała się w sposób następujący.

Pobór do wojska odbywał się w Królestwie jeszcze do niedawna na mocy rozporządzenia z roku 1816, w sposób odpowiadający ówczesnym wyobrażeniom i stosunkom, do pewnego stopnia barbarzyński.

Układano spis rekrutów, rozsyłano go Komisjom poborowym, te wybierały według swego mniemania najodpowiedniejszych i kazały dostawiać władzom policyjnym.

Ponieważ zaś służba wojskowa, zwłaszcza w Rosyi, za Mikołaja I., była bardzo ciężka i żołnierz powracał zwykle do domu jako kaleka i do jakiegokolwiek pracy niezdolny, więc poborowi uchylali się od obowiązku, uciekali w lasy a Komisye chwytaly na ich miejsce innych i nieraz zakutych w dyby dostawiały władzom wojskowym. Termin rekrutacyi zatem, utrzymywany w najgłębszej tajemnicy, był dniem sądnym dla nieszczęśliwych ofiar nieludzkiego tego systemu.

Za Aleksandra II., wydano w roku 1859, nowe, łagodniejsze, o wiele przepisy i według nich miała się odbyć teraz branka w Królestwie, od czasów wojny krymskiej pierwsza. Zamiast chwytania rekrutów, ustanowiono losowanie. Minister wojny zażądał już w czerwcu 1862 roku 12.000 żołnierzy z Królestwa a władze administracyjne były obowiązane rozkaz ten wykonać.

W obec istniejącego w kraju wzburzenia przedstawiała branka trudność nie małą. Należało się obawiać ekscesów, może nawet i czynnego oporu, co siłę wojskową tłumiłoby wypadło. Wielopolski pragnął tego uniknąć a ponadto skorzystać z rekrutacyi, pozbyć się żywiołów burzliwych i zniszczyć rewolucyjną organizację.

W tej myśli, za radą syna swego Zygmunta, postanowił zawiesić na ten raz przepisy rekrutacyjne z roku 1859, brankę przedsięwziąć według starego systemu i ograniczyć pobór tylko do ludności miejskiej a wyłączyć

z niego ludność wiejską i dworską, tylko do zatrudnień rolnych używaną, a więc nie oficyalistów. Pomimo opozycji W. Księcia Konstantego i kół wojskowych, które z niechęci do Wielopolskiego sprzeciwiały się jego projektowi, Margrabia postawił na swoim i w dniu 17. września otrzymał aprobatę ministra wojny.

Tak więc miała się odbyć, nie konskrypcya lecz „proskrypcya“, jak się wyrażał Wielopolski, miał być dokonany zamach stanu, z jawnem pogwałceniem praw obowiązujących.

Dziś, gdy namiętności się ukoili i można sądzić o wypadkach ówczesnych bez uprzedzenia, niepodobna zaprzeczyć, że projekt Wielopolskiego był środkiem heroicznym, usprawiedliwionym niejako potrzebą uspokojenia kraju, ale jak każdy zamach stanu, mógł wtedy tylko osiągnąć cel zamierzony i uzyskać rozgrzeszenie od potomności, jeżeli zostanie wykonany szybko, zręcznie i z zachowaniem najgłębszej tajemnicy.

Wielopolski postąpił jednak zupełnie inaczej i ogłosił w urzędowym Dzienniku powszechnym, już dnia 6. października, komunikat w którym podał wszystkie szczegóły branki dotyczące.

Czy chciał w ten sposób skłonić członków organizacyi czerwonej do opuszczenia kraju i czy spóźniony bardzo artykuł krakowskiego Czasu z dnia 13. stycznia 1863 roku, może być uważany za dowód tych jego zamiarów, to rzecz bardzo wątpliwa. My, z naszej strony, nie posądzamy wcale Margrabiego o tak niewczesny i z usposobieniem jego niezgodny sentymentalizm, sądzimy raczej, że popełnił on w tym wypadku, podobnie jak w wielu innych, niezręczność, przypuszczając może, że pozyska sobie poparcie szlachty i ludu wiejskiego, oszczędzonych od poboru.

W Kołach Czerwieńców wywołała wiadomość o brance wielką konsternacyę i popłoch nie miały. Zwolennicy Mierosławskiego, którzy pod boki Komitetu tworzyli zwolna odrębną organizacyę, wydali natychmiast t. zw. „Kartkę o poborze“, gdzie zapewniali młodzież, że zamierzona rekrutacya żadnego dla niej nie przedstawia niebezpieczeństwa. Umiarkowańsi próbowali wpłynąć na Margrabiego i skłonić go do zaniechania branki. Wielopolski na zarzut, że rekrutacya jest pogwałceniem praw obowiązujących i może wywołać powstanie odpowiedział: „tu nie chodzi o zasadę prawną, ale o spokój; a gdyby zamieszanie stąd wynikło w kilka godzin potrafię je usmierzyc. A gdy spokój mieć będę, wtedy obaczę, co potrafię zrobić dla kraju“.

Jakoż to co dotychczas uzyskał i zdziałał mogło go uprawnianć do podobnych nadziei. Królestwo zawdzięczało jemu autonomiczne urządzenia, doskonałą ustawę gminną, wprowadzoną w roku 1861,¹⁾ usunięcie czynowników rosyjskich, słynnych z zdzierstwa i brania łapówek, wreszcie najważniejszą ze wszystkich zdobyczy, reformę wychowania publicznego, ukoronowaną i wykończoną otwarciem puławskiej politechniki w dniu 12. października i Szkoły Głównej w dniu 25. listopada 1862 roku pod rektoratem zacnego i rozgłośnego lekarza dra Józefa Mianowskiego.

Mianowski, jakkolwiek zaniechał praktyki lekarskiej, w życiu publicznem udziału nie brał i zamieszkał we Włoszech, aby tam spędzić resztę dni swoich, to jednak pamiętny obowiązków względem kraju, on niegdyś student, wileńskiego uniwersytetu, pospieszył na wezwanie Wielopolskiego do Warszawy i tam już jako rektor, w mowie inauguracyjnej odezwał się do

¹⁾ Giller, tom III., str. 308.

młodzieży i licznie zgromadzonej publiczności w tonie ciepłym, rozumnym i prawdziwie patriotycznym. Podniósłszy znaczenie Szkoły Głównej, jako przybytku dawnej oświaty“ i cywilizacji, przez którą weszliśmy w poczet państw europejskich tak ciągnął dalej: „Dziś gdy nowe ognisko narodowej oświaty, wznosi się w samej stolicy naszego Królestwa, któż w tem nie widzi zapowiedzi nowej ery, zadatku szczęśliwszej przyszłości? Rozumie to z nas każdy, bo spełnienie to gorących życzeń, które każdy z nas oddawna w duszy chował. Obyśmy tylko również zrozumieli obowiązki, jakie na nas wkłada szczęśliwe nabycie tego źródła dla wiedzy i życia! Obyśmy zrozumieli, że tu nam dana podstawa, na której gmach przyszłości bezpiecznie i sku-



Nr. 69. Zygmunt Miłkowski.

tecznie wznosić można, a bez której wszelka budowa runąć musi ze sromotą obecnych, z zagładą przyszłych pokoleń!“

Mądre słowa, streszczające w sobie jedyny w owej dobie program polityczny, przebrzmiały niestety bez echa. Zrozumiała je część młodzieży, ta, co wyszedłszy później z Szkoły Głównej, dźwigała na swoich barkach po strasznej katastrofie cały ciężar pracy społecznej i narodowej, ale nie zrozumiał ogół, a zwłaszcza ci, którzy w lekkomyślnej zarozumiałości przedsięwzięli sobie zbawiać Ojczyznę według własnej metody.

Pochłonięci przez politykę bieżącą, przerażeni branką, nie myśleli oni w tej chwili o pracy organicznej a widząc w reformach wprowadzonych przez Wielopolskiego tylko niebezpieczeństwo kompromisu z rządem rosyjskim, uważali za główne swoje zadanie temu przeszkodzić i ratować zagrożoną organizację, chociażby ofiarą własnego życia i poświęceniem swobód

uzyskanych dla kraju, które mogły być każdej chwili cofnięte i miały jedynie na celu uspienie ducha narodowego.

Z tego założenia wychodząc przedstawiał im się ruch zbrojny, w dalszej lub bliższej przyszłości, jako rzecz nieunikniona, w tym kierunku czynili też przygotowania.

Po rozmowie z Hercenem należało przedewszystkiem porozumieć się z rewolucjonistami rosyjskimi. Pojechał więc do Petersburga Padlewski i zwrócił się tam do „rosyjskiego Komitetu centralnego narodowego“ „Ziemi i wolności“ (Zemlia i wolja). Przyjęto go życzliwie, okazywano jak największą dla sprawy polskiej sympatię, ale oświadczone zarazem, że „Zemlia i wolja“ jest jeszcze w peryodzie przygotowawczym, pomocy skutecznej udzielić nie może i że zatem zamierzone powstanie należy odłożyć na czas późniejszy. Padlewski uważał wstrzymanie wybuchu za niemożliwe, a gdy go pytano: co będzie gdy rząd ruch stłumi? odpowiedział: „Wszystko jedno, czy mamy stracić 20 tysięcy Polaków na polach bitew, czy jako rekrutów, wysłanych do oddalonych batalionów, to na jedno wychodzi“. Na tem skończyła się konferencya. Co do Litwy i Rusi miał jak to już z Hercenem ułożono, rozstrzygnąć plebiscyt.¹⁾

Z sprawozdania Padlewskiego przekonał się Komitet Centralny, że na pomoc rewolucjonistów rosyjskich wcale liczyć nie można. Prosty rozsądek radził zatem powstania lekkomyślnie nie wszczynać i odłożyć je na przyszłość jak najdalszą.

Tymczasem jednak zaszedł wypadek niespodziewany. Oto w krakowskim Czasie ukazał się tajny cyrkularz Wielopolskiego do wszystkich gubernatorów cywilnych, gdzie powiedziano wyraźnie, że „jednym z głównych celów poboru jest pozbycie się ludności, która postępowaniem swoim przyczynia się do zamieszania porządku publicznego“.

W prawdzie każdy człowiek, z jakim takim zastanowieniem, mógł łatwo się domyśleć, że zamierzona rekrutacja nie jest niczem innem jak tylko proskrypcyą, ale teraz, gdy rząd sam do tego się przyznawał i gdy miano dokument przed sobą, powstało ogólne oburzenie i w kraju i zagranicą.

Ten głos opinii publicznej, zwłaszcza dzienników angielskich, zaniepokoił sfery rządowe rosyjskie i Księżę Orlów, sprawujący wówczas ambasadę w Brukseli, liberalny i przychylnie usposobiony dla autonomii Królestwa, pojechał do Warszawy, aby W. Księciu przedstawić szkodliwość rekrutacyi.

Odbyła się w dniu 1. grudnia tajna narada, gdzie Wielopolski, mimo całej wymowy Orlowa, odniósł zwycięstwo. Postanowiono jako termin branki noc z dnia 14. na 15. stycznia.

Komitet Centralny znalazł się teraz w bardzo trudnem położeniu. Chociaż bowiem uchwałę o dniu poboru trzymano w najściślejszej tajemnicy to jednak groza zapowiedzianej rekrutacyi wisiała jak miecz Damoklesa nad głowami spiskowych. Co czynić, nikt właściwie nie wiedział. Zrazu przeważało w Komitecie zdanie, że w obec branki należy zachować się biernie. W tym duchu pisał Czas, który, jak wiadomo odbierał inspiracye od członków Komitetu, pocieszając się myślą, że młodzież wzięta do wojska, spełni wzniosłą misję apostołów wolności, że wśród armii będzie szerzyć nienawiść przeciw despotyzmowi i miłość swobody. Z drugiej strony zewsząd nad-

¹⁾ Tak przedstawia rzecz uczestnik owych narad, Pantelejew w swoich pamiętnikach: „Из воспоминаний прошлое“, St. Petersburg 1906.

chodzący przestrogi, aby powstania nie wszczynać, odradzali ruch zbrojny spiskowcy rosyjscy, odradzał usilnie Mazzini a Ksiązę Władysław Czartoryski w mowie mianej podczas obchodu listopadowego nazwał przedwczesny poryw „walką bez nadziei i bez chwały“. „W obecnem położeniu Europy — tak przedstawiał rzecz — sojuszów, jakie się zawiązują i wspólności interesów, jaka się ustala, żaden człowiek przy zdrowych zmysłach, nie może przypuścić, by powstanie w Polsce mogło w tej chwili znaleźć gdziekolwiek pomoc“.

Tego samego zdania byli także zwolennicy ruchu wtajemniczeni w działania Komitetu. Zygmunt Miłkowski radził odłożyć powstanie do maja a Sierakowski, żegnając na wyjeździe do Wilna Gillera rzekł do niego: „Polegam na tobie i na was, że nie dopuścicie do powstania, które byłoby niebezpieczeństwem“.

Najbardziej jednak przemawiał za zwłoką brak broni i pieniędzy. W Kasie Komitetu znajdowało się bowiem zaledwie 400.000 złp., zebranych z podatku zadekretowanego w październiku a broni nie było wcale, oprócz pewnej ilości kos, strzelb myśliwskich i kilku tuzinów rewolwerów.

Ażeby temu jako tako zaradzić utworzył Komitet w listopadzie, Komisję broni w Paryżu pod przewodnictwem generała Wysockiego i wysłał na zakupno karabinów 140.000 złp. Agent Komitetu Józef Ćwierczakiewicz nabył rzeczywiście za pośrednictwem Maryana Langiewicza, 5000 starych pruskich karabinów w Genui, 3987 angielskich w Londynie, ale czyniąc te zamówienia niemal jawnie i wdając się w stosunki z obstawionym szpiegami Mazzinim ściągnął na siebie szczególniejszą uwagę tajnej policji rosyjskiej i francuskiej.

Nagle, w nocy z dnia 20. na 21. grudnia aresztowano tak jego jak i przybyłego z Warszawy Franciszka Godlewskiego wraz z niejakim Czapińskim w hotelu Corneille. Seweryn Gałęzowski, członek narodowego Komitetu polskiego, który się zawiązał wtedy wśród emigracyi, pobiegł natychmiast do księcia Napoleona, ten do cesarza.

„Mój kuzynie, odpowiedział cesarz, niech Polacy pracują nad rewolucją polską, nie mam nic przeciwko temu, ale twoi protegowani są narzędziami spiskowców, którzy godzą na moje życie. Znaleziono przy nich list Mazziniego do jednego z tych rewolucjonistów francuskich, zachęcającego każdego do zamachu na mnie“.

Razem z tym fatalnym listem zabrała policja także rozmaite korespondencye, odnoszące się do zakupna i wysyłki broni i podzieliła się tym łupem z ambasadą rosyjską. Budberg, następca Kisielewa nie trzymał tak ważnego odkrycia w tajemnicy, lecz oświadczył bawiącemu wtedy w Paryżu Zygmuntowi Sierakowskiemu otwarcie: „Wasi ziomkowie marzą o powstaniu. Oto papiery pochwycone u nich a dostarczone mi przez władze francuskie. Nic z tego nie będzie, bo wiem teraz jakimi drogami mają broń do kraju sprowadzić i skonfiskujemy ją w drodze“.¹⁾

Z tą wiadomością przyjechał Sierakowski do Warszawy, gdzie właśnie, wezwani przez Komitet przybywali kolejno przyszli dowódcy powstania: Miłkowski, Edmund Różycki, Tomasz Winnicki i Lewandowski. Wszyscy oni, rozpatrzywszy się w stosunkach, byli stanowczo ruchowi zbrojnemu przeciwni a przynajmniej radzili odłożyć go na czas późniejszy. Komitet,

¹⁾ Władysław Mickiewicz, *Emigracya polska*, I. c., str. 28.

acz przeważnie z Czerwieńców złożony chwał się w swoim zdaniu i postanowił wreszcie wybuch powstrzymać a dla ratowania zagrożonej branką organizacyi zarządził projektowaną przez Gillera „dyslokacyę“ spiskowych.

Jednych więc miano wysłać za granicę, do Galicyi, do Wielkopolski lub w razie potrzeby nawet dalej, drugich ukryć i przechować w kraju.

Mimo to jednak, przyjmując w zasadzie nieodzowną konieczność zbrojnego ruchu, postanowiono zarazem organizacyę wojskową i podzielono cały zabór rosyjski na pięć okręgów wojennych. Naczelnikiem pierwszego, na lewym brzegu Wisły, został Langiewicz, na prawym Lewandowski; w Płockiem i Augustowskiem miał objąć dowództwo Czapski, na Rusi Różycki i Miłkowski, na Litwie Sierakowski.

Dorywcze i chaotyczne uchwały dowodzą, że nikt właściwie nie zdawał sobie jasno sprawy z położenia i nikt też nie wiedział co czynić i do czego dążyć należy.



Nr. 70. Branka.

Sam Komitet, roznieciwszy agitacyę rewolucyjną w kraju, czuł się do powstrzymania ruchu już za słabym i przypuszczał tylko że organizacya będzie jego rozkazom posłuszna, ale pewności w tym względzie wcale nie miał, mieć nawet nie mógł. Wszak Stefan Bobrowski, używający wtedy wielkiego wpływu w stronnictwie ruchu, oświadczał wyraźnie że Czerwieńcy nie dopuszczają do kompromisu z Rosyą i że powstanie, chociaż kraj zniszczy i wyleje rzekę krwi polskiej to stanie się na długie lata przeszkodą do wszelkiego z najazdem porozumienia.

Ten sam duch panował także w niższych warstwach organizacyi. Rzemieślnicy warszawscy „rozbudzeni ciągle podżeganiem zapaleńców, domagali się nieustannie powstania“, ¹⁾ a wszelki głos rozsądku uważany był przez większość stowarzyszonych za zdradę. Krzyczano, iż Komitet sprzeniewierza się i przechodzi na stronę Białych i Wielopolszczyków, że ich pobiorą do wojska i t. d.

¹⁾ Daniłowski, I. c. str. 181.

Dziwić się też niepodobna, że w tak ciężkiem położeniu umiarkowańsi tracili znaczenie i odwagę. Giller wraz z Marczewskim ustąpili z Komitetu a Aweyde, upoważniony do tego przez organizację, powołał w ich miejsce Jana Majkowskiego, Józefa Janowskiego i ks. Karola Mikoszewskiego, jako zastępców.¹⁾

Tymczasem Padlewski, który był zanadto rozumnym, aby nie wiedzieć, że powstanie rozpoczęte bez broni i przygotowania jest prostem szaleństwem, podał projekt, aby zagrożeni branką zebrali się w górzystej okolicy około Kielc i Dąbrowy górniczej i tam rozpoczęli walkę, podczas gdy cały kraj zresztą miał się zachować spokojnie. Jeżeli ruch będzie miał powodzenie, natenczas Komitet ogłosi ogólne powstanie, w przeciwnym razie, padnie ofiar nie wiele, burza się uśmierzy i po tym zbrojnym i krwawym proteście przeciw brance, będzie można pracować dalej nad przygotowaniem powstania. On sam w końcu ofiarował się objąć dowództwo nad tą armią zrozpaczonych. Ale na wykonanie takiego, niewątpliwie rozsądnego planu było już za późno. W niższych sferach organizacji powstała bowiem gwałtowna przeciw Komitetowi burza.

Leon Frankowski, komisarz Województwa lubelskiego, dwudziestoletni czerwony chłopak, zapaleniec, zwołał w ostatnich dniach grudnia komisarzy wojewódzkich na zjazd do Warszawy, przeniesiony następnie do Głuchówka w okolicach Rawy, gdzie uchwalono wystosować do Komitetu adres z żądaniem, aby równocześnie z branką nakazać powstanie, gdyż inaczej oni sami ruch zbrojny zarządzają. Był to więc już jawny bunt władz niższych przeciw wyższym, zagrażający anarchią, spychający Rząd tajny na miejsce podrzędne a oddający w tak krytycznej chwili kierunek naczelnym głowom zapalonym, które za wszelką cenę dążyły do powstania.

Komitet wystąpił z początku ostro, Leona Frankowskiego usunął z komisarstwa i aresztował, ale przekonał się wnet, że opozycja jest silniejszą. Ogarnęła więc tych ludzi, bądź jak bądź, gorąco miłujących Ojczyznę rozpacz i zwątpienie. Bobrowski proponował, aby organizację rozwiązać, aby Komitet ogłosił w tym względzie odpowiedni manifest a następnie sam oddał się w ręce rządu. Pomysł, niewątpliwie heroiczny, pięknie świadczący o wzniosłych uczuciach Bobrowskiego został jednak odrzucony i nic już nie mogło powstrzymać katastrofy. Zaczęła się projektowana przez Gillerę dyslokacja spiskowych.

Wychodzili oni z miasta bez żadnej przeszkody, niemal jawnie i dążyli na miejsce zboru, do puszczy Kampinoskiej albo też do lasów, położonych około Jabłonny, Serocka i Zegrza, skąd mieli wykonać napad na Modlin, według zapewnień Dąbrowskiego, przesłanych z więzienia w cytadeli ławty do zdobycia w porozumieniu z załogą rzekomo przychylną powstaniu. Było to oczywiście złudzenie, ale w tem rozpaczliwym położeniu, trzeźwe nawet głowy chwytaly się cienia nadziei jako ostatniej deski ratunku, wierzyły wieściom zgoła nieprawdopodobnym. Uwierzył więc i Padlewski fantazjom Dąbrowskiego i dlatego gromadził w lasach Serockich zastępy warszawskich desperatów, których miał uzbroić karabinami zabranymi z twierdzy modlińskiej.

¹⁾ Tak według Daniłowskiego; Krzeziński w przedmowie do pamiętnika Majkowskiego (Lwów 1899) wierzy że Majkowski był przy cwny powstaniu i na krótko przed wybuchem prawie jednocześnie z Gillerem wyszedł z Komitetu. Porów. Giller, tom I., str. 222.

Nastąpiła branka w nocy z dnia 15. na 16. stycznia. Policja wraz z żołnierzami wchodziła do domów, zabierała popisowych i odprowadzała ich pod eskortą do cytadeli. Nikt nie stawiał oporu, wszyscy z rezygnacją poddawali się losowi. Wzięto tak 1657 ludzi, ale uwolniono z tego niebawem 949 osób, jako niepodlegających rekrutacyi. Plan Wielopolskiego nie powiódł się zatem a wywołał natomiast niesłychane oburzenie. Narzekano powszechnie na Komitet, który mimo obietnic do branki dopuścił, wołano aby natychmiast rozpocząć powstanie.

Jakoż na posiedzeniu odbytem z dnia 16. na 17. stycznia uchwalił Komitet znaczną większością termin wybuchu za pięć dni. Krwawa tragedia miała się rozpocząć w nocy z 22. na 23. stycznia.

Należało teraz oczywiście ostateczne do wybuchu poczynić przygotowania, dokonać organizacyi wojennej, która istniała tylko w zarysie, mianować wodza i naczelników wojskowych po Województwach. Wódz, z władzą hetmańską był konieczny dla nadania jednolitego kierunku działaniom. I tu dopiero powstały największe trudności. Ludzi obznajomionych z wojskowością brakowało zupełnie. Krótkotrwała szkoła genueńska zawiodła pokładane w niej nadzieje. Młodzież tam zebrana zajmowała się więcej polityką niż nauką.

Mierosławski zraził do siebie umysły, poróżnił się z Langiewiczem i musiał w końcu z przewodnictwa ustąpić. Podchorążowie uprosili generała Wysockiego, aby objął po nim dyrekcyę. Wysocki przybył rzeczywiście do Genui, zaprowadził w zakładzie ład i porządek; na komendanta powołał pułkownika Fijałkowskiego, wykład taktyki powierzył Padlewskiemu, szkołę uratował od anarchii i upadku. Ale zachowanie się podchorążych nie zbyt wzorowe i hałaśliwe manifestacye, jakie wyprawiali na cześć Garibaldeggo, skłoniły rząd włoski do przeniesienia szkoły do Cuneo. Tu istniała ona tylko przez czas krótki i została rozwiązana na naleganie Rosyi, poparte przez gabinet berliński (19. czerwca 1862 roku). Uczniowie rozpierzchli się, powrócili do kraju i wzięli czynny udział w powstaniu, ale nie posiadając ani nauki ani doświadczenia a bardzo wiele zarozumiałości, przynieśli powstaniu więcej szkody niż pożytku.

Komitet nie miał więc wielkiego wyboru i powoływał na naczelników o ile możności, takich, którzy przedtem już służyli wojskowo. Dowództwo w Województwie Płockiem powierzono Konradowi Błaszczyńskiemu, byłemu kapitanowi artyleryi rosyjskiej, znanemu później pod imieniem Bończy. Naczelnikiem Województwa Podlaskiego został Walenty Lewandowski, uczestnik powstania węgierskiego w roku 1848, później nauczyciel w szkole Batiolskiej w Paryżu; Krakowskiego Apolinary Kurowski, z zawodu rolnik, który brał udział w ruchawce poznańskiej za czasów Mierosławskiego; Sandomierskie dostało się Maryanowi Langiewiczowi. Urodzony w Krotoszynie w W. Ks. Poznańskiem, w roku 1827, syn lekarza wojsk polskich z r. 1831, ukończył on studia w uniwersytecie berlińskim, służył w artyleryi pruskiej, gdzie otrzymał stopień oficera i, wystąpiwszy z wojska, udał się do Włoch i tam odbył całą kampanię Garibaldeggo jako adjutant generała Milbitza. Ranny w bitwie pod Milazzo, ozdobiony krzyżem wojskowym wykładał później w szkole genueńskiej matematykę i naukę artyleryi a, ustąpiwszy stamtąd, pomagał Cwierzakiewiczowi przy zakupnie broni dla powstania.

Tak przedstawiał się główny sztab przyszłej armii polskiej; brakowało jeszcze tylko naczelnego wodza i na tę najwyższą, niesłychanie ważną godność zaproponował Władysław Janowski Mierosławskiego. Propozycja była z politycznych i wojskowych względów niewłaściwa zupełnie. Ale, że „wódz zmartwychwstały“ miał wśród Czerwieńców liczny zastęp zwolenników, że skrajnemi zasadami swojemi pociągał ku sobie umysły młodzieży a przytem uchodził za znawcę sztuki wojskowej i doświadczonego generała, więc, mimo opozycji Bobrowskiego i Padlewskiego postanowił Komitet powierzyć naczelne dowództwo Mierosławskiemu.

O tej uchwale miał zawiadomić przyszłego wodza Władysław Janowski, który też nazajutrz w towarzystwie Stanisława Krzemińskiego¹⁾ wyjechał bez zwłoki do Paryża.

Załatwiwszy tak najważniejszą, jak się zdawało, sprawę, zaczęto wysyłać do komisarzy wojewódzkich zawiadomienia o terminie powstania i stosowne do tego rozkazy a Majkowskiemu poruczono zredagowanie manifestu do narodu. Akt ten napisany w tonie patetycznym podawał niezupełnie zgodnie z prawdą, brankę jako główny powód powstania, zapewniał, że naród polski zdobędzie sobie niepodległość a imieniem Komitetu Centralnego przyrzekał, że siły dzielności (narodowej) „nie zmarnieją, poświęcenia nie będą stracone, bo ster, który (Komitet) ujmie silną będzie dzierzyć ręką, złamie wszystkie przeszkody, roztrąci wszelkie zapory, każdą nieprzychylność dla świętej sprawy, nawet brak gorliwości ścigać i karać będzie przed surowym, choć sprawiedliwym trybunałem obrażonej Ojczyzny“.

W dalszym toku ogłasza manifest „wszystkich synów Polski, bez różnicy wiary i rodu, pochodzenia i stanu, wolnymi i równymi obywatelami kraju“, przyznaje ludowi wiejskiemu własność dzierżonej dotąd ziemi, „dziedzictwem wieczystem“, znosząc zarazem czynsze i obowiązki pańszczyźniane za wynagrodzeniem właścicieli z ogólnych funduszy Państwa, komornikom zaś i wyrobnikom, wstępującym w szeregi obrońców kraju przyrzeka z dóbr Narodowych „dział obronionej od wrogów ziemi“.

Tak zasadniczo rzecz biorąc, stanął Komitet na gruncie teoryj, wypielegnowanych przez naszą emigrację, przyjmował w całości program Towarzystwa demokratycznego i nienauczony doświadczeniem, ulegał złudzeniu, że darowizna ziemi będzie różdżką czarodziejską, która poruszy ciemne masy ludu, porwie je do rozpaczliwej walki z najazdem, chłopą przemienią nagle w obywatela i „dwudziestomilionową“ czerniawą zmiażdży uzbrojonego od stóp do głów nieprzyjaciela.

Ale jeżeli Komitet przyznawał się w ten sposób całkowicie do zasad głoszonych od dawna przez Mierosławskiego, to zrozumieć natomiast nie podobna jak mogli ci, co w powodzenie powstania nie wierzyli, a rozpoczęcie powstania bez broni, z gołemi rękami, uważali więcej niż za szaleństwo,²⁾ lekkomyślnie zaręczać narodowi, że niepodległość sobie zdobędzie. Tłumaczy ich poniekąd, nie usprawiedliwia jednak bynajmniej, rozpaczliwe usposobienie, w jakie popadli i te męczarnie ducha przez które przechodzili w przewidywaniu katastrofy i własnej niemocy.

¹⁾ Pamiętnik Majkowskiego, str. 12. Daniłowski w poselstwie tem nie brał wcale udziału i jeździł do Paryża o wiele wcześniej dla układów z Mierosławskim. O tyle sprostować należy Przyborow. Dzieje 1863 roku tom I., str. 36 i str. 50.

²⁾ Por. Notatki Daniłowskiego, str. 182.



WOJSKO POLSKIE. Ostatnia praca WALEREGO ELJASZA.

Położenie Komitetu było rzeczywiście straszne: Doprowadziwszy nieopatrznie swoim działaniem do wybuchu powstania, ujrzał on się nagle bez broni i środków, wśród niesłychanego zamętu, wystawiony na zarzuty, obleżony przez powstańców domagających się dla „dzieci Warszawskich“, zbiegłych przed poborem do lasu, żywności, ciepłej odzieży a nadewszystko broni. Tymczasem w tej właśnie chwili krytycznej nadeszła hiobowa wiadomość, że wysyłka karabinów została skutkiem aresztowania Ćwierciakiewicza i jego towarzyszy wstrzymana. Zbierano więc na gwałt oręż wszelkiego rodzaju po mieście, zakupywano odzież i prowianty i wyprawiano to wszystko, jak Bóg dał, do Kampinoskiej puszczy i do lasów Serockich, gdzie przyszli powstańcy, przemarznięci i zgłodniałi, oczekiwali ratunku od wszechmocnego, w ogólnem mniemaniu Komitetu.

Z prowincyi nadbiegały także niepomysłne wieści. Delegowani szkoły politechnicznej w Puławach przybyli dnia 20. stycznia i zażądali wprost, aby odwołano termin wybuchu, gdyż rozkaz uderzenia na wojsko, konsystujące w pobliżu, jest dla nich niepodobnym do wykonania; to samo powtórzył Rogiński, wysłany przez Lewandowskiego, który w Województwie Podlaskiem dopiero zaczynał przygotowywać powstanie.¹⁾

Nagabywany tak zewsząd, upadający na duchu, rozpaczy niemal bliski, postanowił Komitet Warszawę opuścić, wyjechać do Kutna a stamtąd, gdyby Płock zdobyto, co uważano za rzecz prawdopodobną, udać się do tego miasta i ogłosić się jako Rząd Tymczasowy. Z takim zamiarem wyruszyli też czterej członkowie Komitetu: Aweyde, Majkowski, ks. Mikuszewski i Józef Janowski. Zarząd nad całą organizacją objęła ustanowiona przez nich najwyższa Komisya do której weszli: Bobrowski, Marczewski i Daniłowski.²⁾



¹⁾ Pamiętnik Lewandowskiego, w Sprawozdaniu Zarządu Muzeum Raperswilekiego za rok 1908; str. 71.

²⁾ Daniłowski str. 198.



Rozdział dwunasty.

DZIEJE POWSTANIA AŻ DO UPADKU LANGIEWICZA (22. STYCZNIA DO 18. MARCA 1863 ROKU).

Nadeszła wreszcie noc, na zawsze pamiętna w dziejach narodu polskiego, ciemna i chmurna, niosąca w łonie swoim zarzewie pożaru, który miał ogarnąć kraj cały, strawić plon pracy przeszłych pokoleń na wschodzie i zniszczyć nabytki uzyskane szczęśliwym zbiegiem okoliczności w zachodniej części zaboru rosyjskiego.

Według planu z góry ułożonego, według taktyki stosowanej już w roku 1846, mieli spiskowi uderzyć niespodzianie na garnizony po miastach i miasteczkach prowincjonalnych, znieść je lub wziąć do niewoli, zdobyć broń i amunicję, powołać lud do walki, ogłaszając mu wolność i uwłaszczenie, a potem prowadzić wojnę partyzancką na wzór gerylasów hiszpańskich.

Niepodobna ani na chwilę przypuszczać, aby rząd, a raczej Wielopolski, bo on decydował wtedy o wszystkim, nie miał o zamiarach powstańczych mniej lub więcej dokładnej wiadomości. Wszak wiedziała o gotującej się burzy Dyrekcya Białych w Warszawie, wszak nie była dla nikogo tajemnicą tłumna emigracja popisowych do puszczy Kampinoskiej, wszak naczelny wódz armii rosyjskiej w Królestwie generał Ramsay, zaręczał, że nieda się zaskoczyć tak jak niegdyś w roku 1830. Świadczy zresztą o informacjach rządu przyspieszenie branki, która miała plany spisku zniweczyć i ruch stłumić w zarzewiu.

Zamach nie powiódł się a niefortunny artykuł, ogłoszony nazajutrz w Dzienniku powszechnym, gdzie autor rozpisywał się o radości z jaką popisowi szli do wojska, wywołał nawet u umiarkowanych słusne oburzenie. W chwili, gdy należało koić rany zadane, Wielopolski dolewał oliwy do ognia, niewczesnem szyderstwem obrażał uczucia narodowe, samowolą zrażał sobie umysły, z błędu wpadał w błąd.

Kraszewskiemu, za artykuł wigilijny w Gazecie Polskiej, kazał opuścić redakcyę i wyjechać z kraju, ponieważ upatrywał aluzyę do siebie w tem, że znakomity pisarz zalecał cnotę pokory a potępiał dumę i egoizm. Wiktorowi hr. Starzyńskiemu, gdy odradzał usilnie od branki,



Rozdział dwunasty.

DZIEJE POWSTANIA AŻ DO UPADKU LANGIEWICZA (22. STYCZNIA DO 18. MARCA 1863 ROKU).

Nadeszła wreszcie noc, na zawsze pamiętna w dziejach narodu polskiego, ciemna i chmurna, niosąca w łonie swoim zarzewie pożaru, który miał ogarnąć kraj cały, strawić plon pracy przeszłych pokoleń na wschodzie i zniszczyć nabytki uzyskane szczęśliwym zbiegiem okoliczności w zachodniej części zaboru rosyjskiego.

Według planu z góry ułożonego, według taktyki stosowanej już w roku 1846, mieli spiskowi uderzyć niespodzianie na garnizony po miastach i miasteczkach prowincjonalnych, znieść je lub wziąć do niewoli, zdobyć broń i amunicję, powołać lud do walki, ogłaszając mu wolność i uwłaszczenie, a potem prowadzić wojnę partyzancką na wzór gerylasów hiszpańskich.

Niepodobna ani na chwilę przypuszczać, aby rząd, a raczej Wielopolski, bo on decydował wtedy o wszystkim, nie miał o zamiarach powstańczych mniej lub więcej dokładnej wiadomości. Wszak wiedziała o gotującej się burzy Dyrekcyja Białych w Warszawie, wszak nie była dla nikogo tajemnicą tłumna emigracya popisowych do puszczy Kampinoskiej, wszak naczelny wódz armii rosyjskiej w Królestwie generał Ramsay, zaręczał, że nieda się zaskoczyć tak jak niegdyś w roku 1830. Świadczy zresztą o informacyach rządu przyspieszenie branki, która miała plany spisku zniweczyć i ruch stłumić w zarzewiu.

Zamach nie powiódł się a niefortunny artykuł, ogłoszony nazajutrz w Dzienniku powszechnym, gdzie autor rozpisywał się o radości z jaką popisowi szli do wojska, wywołał nawet u umiarkowanych słuszne oburzenie. W chwili, gdy należało koić rany zadane, Wielopolski dolewał oliwy do ognia, niewczesnem szyderstwem obrażał uczucia narodowe, samowolą zrażał sobie umysły, z błędu wpadał w błąd.

Kraszewskiemu, za artykuł wigilijny w Gazecie Polskiej, kazał opuścić redakcyę i wyjechać z kraju, ponieważ upatrywał aluzyę do siebie w tem, że znakomity pisarz zalecał cnotę pokory a potępiał dumę i egoizm. Wiktorowi hr. Starzyńskiemu, gdy odradzał usilnie od branki,

w stolicy, że „W. Książę i W. Księżna bawią się jak dzieci w króla i królowę, Wielopolski zaś to tylko kot”. List ten, przejęty przez powstańców został ogłoszony w dziennikach i Chreptowiczowie musieli dwór opuścić.¹⁾

W dwa dni po powrocie z wyprawy Bremsena nastąpił wybuch, jak można było przewidzieć, dla niedostatecznej organizacji, dla krótkości czasu i dla braku broni, na ogół słaby i bez powodzenia. Napadnięto zaledwie w 17 miejscowościach, na posterunki rosyjskie, których liczba dochodziła do 140, położono trupem kilkudziesięciu a może i kilkuset żołnierzy i oficerów, wzięto cokolwiek jeńców, zdobyto trochę broni palnej i siecznej, szczupłe zapasy amunicji, nigdzie jednak nie odniesiono większych korzyści.

Powstańcy, wzięci wprost od warsztatu, od roli lub zajęć biurowych nie mogli podolać wojsku regularnemu, dobrze uzbrojonemu i przywykłemu, bądź co bądź do karności. Nie wystarczał tu ani zapał ani bohaterstwo. Niedoświadczenie dowódców, nieporządek, brak ścisłości w wykonywaniu rozkazów, sprawiły, że napady zwłaszcza skombinowane, kończyły się w większej części klęską i pociągały za sobą upadek ducha i demoralizację młodego żołnierza.

Najzawzięciej walczone na Podlasiu, gdzie drobna szlachta usposobiona patryotycznie, wzięła się raźnie do broni a lud wiejski był dla ruchu przychylny. Tu odznaczyli się Rogiński, młody dwunastoletni zaledwie chłopak, uczeń szkoły wojskowej w Cuneo, Kuszczyński, znany, pod przybranym nazwiskiem Muchy, Radowski, dzielny dowódca jazdy, wreszcie naczelnik województwa Lewandowski i Cichocki (Zameczek), inżynier przy budowie kolei żelaznej.

Zameczek zebrał znaczny oddział, około 3000 ludzi, Rogiński zajął Janów, gdzie się znajdowały stajnie rządowe, i mając podostatkiem koni, utworzył doskonały szwadron jazdy, liczący 70 ludzi.

Mimo tego początkowego powodzenia nie mogło się powstanie długo utrzymać. Pomiedzy dowódcami nie było zgody; Zameczek niemający pojęcia o wojnie i wojskowości a przytem zarozumiały i próżny, psuł harmonię, nie wykonywał rozkazów, ustępował samowolnie z pola bitwy.

Powstańcy więc, pomimo odwagi i heroizmu z jakim szli w ogień, ponieśli klęskę w Węgrowie i Siemiatyczach i rozeszli się w rozmaitych kierunkach, przyczem Zameczek i Rogiński wypowiedzieli posłuszeństwo Lewandowskiemu.²⁾ Zameczek udał się w Łomżyńskie, Rogiński poszedł ku puszczy Białowieskiej, Lewandowski powrócił na Podlasie, połączył się z Krysińskim i ks. Brzózka, zaalarmował skutecznie garnizon w Białej, stoczył pomyślną potyczkę z majorem Jołszynem, ale raniony w utarczce pod Różaną dostał się do niewoli.

W innych województwach poszły rzeczy jeszcze gorzej. Napad na Płock nie udał się wcale; w Lubelskiem oddział, złożony przeważnie z młodzieży Puławskiej odbył pod dowództwem nieudolnego Zdanowicza, kilkudniową opłakaną kampanię i zakończył ją bezładnym odwrotem za Wisłę ku Sandomierzowi. Dopędzony przez kolumnę Miednikowa, stoczył niepo-

¹⁾ Ks. Feliński: Pamiętniki, tom II., str. 250. O tej kompromitacji p. Chreptowiczowej wspomina także Verdy du Vernois: Im Hauptquartier der russischen Armee in Polen (1863—1865). Berlin 1905.

²⁾ Lewandowski w swoich pamiętnikach przedstawia rzecz całkiem inaczej; skarży się na nieudolność organizacji, obwinia Rogińskiego, zmniejsza siły powstańców i powiada wreszcie [że zrażony tem wszystkim, złożył dowództwo.

myślną utarczkę pod Słupczą, gdzie Leon Frankowski został śmiertelnie raniony. Niedobitki połączyły się z oddziałem Rayskiego w Sandomierzu i ruszyły do obozu Langiewicza w górach Świętokrzyskich. Frankowski pozostawiony w szpitalu i poznany tam przez żandarma Kaszyryna dostał się do niewoli. Miednikow odesłał go do Lublina. Tu, po wyleczeniu z ran stawiono go przed Sąd wojenny i skazano na śmierć. Skończył na szubienicy dnia 16. czerwca 1863 roku.

Matka nieszczęśliwego zapaleńca udała się do Warszawy i tu w parku Łazienkowskim¹⁾ rzuciła się do nóg W. Księżny błagając ją o litość i ulaskawienie syna, niestety napróżno.



Nr. 73. Mordy w Tomaszowie.

Równocześnie z oddziałem Puławiaków zebrał nad granicą galicyjską leśniczy z ordynacji Zamoyskiej, Gramowski, garść powstańców, wypłoszył Kozaków z Józefowa i zajął chwilowo Tomaszów, ściągając zewsząd ochotników i ćwicząc ich w robieniu bronią. Komendant Zamościa, uwiadomiony o tem przez felczera Tomaszowskiego, żyda Gołdaka, wysłał przeciw powstańcom pułkownika Kozackiego Emanowa, który wprawdzie nie zastał już Gramowskiego w Tomaszowie, ale mimo to wydał nieszczęśliwe miasteczko na pastwę rozbestwionego żołdactwa.

Żołnierze zrabowali mieszkańców, spalili archiwum ordynackie, zabrali tam z kasy 20.000 złp. i wymordowali 27 osób, w tem dwóch lekarzy, naczelnika komory, rejenta i oficera rosyjskiego Mecherna, bawiącego chwilowo u swojej siostry.

¹⁾ Verdy du Vernois l. c. str. 85.

Wiadomość o tej „rzezi Tomaszowskiej“ wywarła przerażające wrażenie na wszystkich. Cywilny gubernator lubelski, Boduszyński zaniósł skargę do Komisji spraw wewnętrznych „na okrucieństwa i grabieże wojska“, W. Książę rozkazał z tego powodu Ramsayowi przeprowadzić śledztwo, ale oparł się temu Chruszczew, naczelnik wojenny lubelski i Emanow wyszedł bezkarnie.

W województwie Sandomierskiem objął dowództwo, jak już wspominaliśmy, Langiewicz. Przeświadczony¹⁾ „o szaleństwie przedsięwzięcia“, udał on się jednak na miejsce swego przeznaczenia i nie zastał tam prawie żadnych przygotowań. Liczba spiskowych miała wynosić 2500 ludzi, rozrzuconych na przestrzeni 14.000 kilometrów kwadratowych. Zgromadzić tę siłę na jednym miejscu w przeciągu czterech dni było rzeczą niepodobną, tem mniej dokonać czegoś ważniejszego z taką ruchawką bezbronną przeciw nieprzyjacielowi, który miał do rozporządzenia 7000 bagnetów, 200 koni i 16 armat. Stosunek liczebny sił przedstawiał jak 1:60. Trzeba więc było zaniechać napadu na gubernialny Radom, broniony przez liczną załogę (1200 ludzi), i baterię armat, a natomiast próbować szczęścia tam gdzie siły nieprzyjacielskie były o wiele słabsze. Uderzono na Szydłowiec, zdobyto miasto, przepłoszono Saperów w Bodzentynie, ale natem skończyło się powodzenie. Korzyść była bardzo mała: kilkanaście trupów rosyjskich, jakich dwa tuziny karabinów zabranych, trochę jeńców, z którymi niewiedomo co począć — to wszystko.

Tymczasem nieprzyjaciel, uwiadomiony o napadzie na Szydłowiec, postanowił powstańców stamtąd wyrzucić. Langiewicz, niedoczekawszy się spodziewanych posiłków, które miały tu przybyć, opuścił miasto i ruszył do Wąchocka, gdzie założył obóz. Miejsce to położone w okolicy górzystej, w pobliżu kuźnic Suchedniowskich było doskonale obrane, mogło bowiem dostarczyć i ludzi i broni siecznej a zarazem dawało wyborną podstawę operacyjną, przez swoją niełatwą dostępność i bliskość bitej drogi, prowadzącej z Kielc do Radomia.

Langiewicz umiał te korzystne warunki wyzyskać. Z organizował swój oddział, liczący już około 1000 ludzi. Piechotę podzielił na bataliony po 310 żołnierzy utworzył jazdę, kazał lać kule, w kuźnicach wyrabiać kosy, postarał się nawet o miniaturową artylerję, złożoną z dwóch żelaznych śmigownic i trzech dział drewnianych, które w polu wprowadzenie miały znaczenia, ale imponowały nieprzyjacielowi a zwłaszcza powstańcom, nieznającym się na wojnie i broni.

Szefem sztabu tej zaimprovizowanej armii polskiej był Dyonizy Czachowski, niegdyś żołnierz z roku 1831, 60 letni krzepki starzec, zawodowy myśliwy, znający stąd doskonale wszystkie kryjówki leśne w Radomskiem i Kieleckiem, pełen energii, odwagi i stanowczości.

Dla dopełnienia organizacji urządzono szpital wojskowy pod kierunkiem dra. Bukowieckiego a obok tego i drukarnię obozową, w której Langiewicz kazał odbić pierwszą swoją odezwę, datowaną „z głównej kwatery w Wąchocku“ dnia 26. stycznia, powołującą mieszkańców województwa Sandomierskiego do broni i do tworzenia oddziałów, mających być zawiązką armii regularnej.

¹⁾ Maryan Langiewicz: Relacye o Kampanii własnej w roku 1863; podał Bertold Merwin, w Kwart. hist. XIX.

Wszystko to sprawiało na patrzących z daleka potężne wrażenie i krzepiło umysły, przynębione niepomyślnemi, jak dotąd wiadomościami z pola walki.

To też członkowie Rządu Tymczasowego, oczekujący w Kutnie na próżno zdobycia Płocka, zasłyszawszy o powodzeniach Langiewicza, postanowili w jego obozie szukać bezpieczeństwa i tam przenieść swoją siedzibę.

W tej chwili nadjechał Daniłowski. W Warszawie nie miano dokładnych wiadomości o tem co się w kraju stało. Wiedzano tylko, że połączenie telegraficzne w wielu miejscach zostało przerwane, że pojawiły się liczne oddziały i że powstanie trwa i może się rozszerzyć.

Natomiast zaczęły po mieście krążyć pogłoski o obwołaniu królem polskim W. Księcia Konstantego a rozmaici ludzie, nawet wojskowi zapytywali znajomych członków Komitetu, co o tem myślą i jakby się w obec takiej alternatywy zachowali.

Rzecz musiała być dość głośna, kiedy owi komisarze pozostawieni w Warszawie, uważali za potrzebne znieść się z członkami Rządu i zasięgnąć ich opinii w tak ważnej i szczególnej sprawie. Z tem też wyprawiono Daniłowskiego,¹⁾ który nadto miał, ze względu że od Władysława Janowskiego żadnych nie było wiadomości, pojechać do Paryża i skłonić Mierosławskiego do objęcia dowództwa i wystąpienia na pole walki.

Członkowie Rządu oświadczyli Daniłowskiemu, że pogłoski o W. Księciu uważają za łapkę i mięszac się do tego nie radzą, a co do Mierosławskiego zgodzili się na wszystko i wystawili dla Daniłowskiego pełnomocnictwo do ukończenia układów z generałem i do wezwania go na Dyktatora.²⁾

Można sobie łatwo wyobrazić z jaką radością pogonił zapalony Mierosławczyk dnia 30. stycznia do Paryża, gdzie z Władysławem Janowskim i agentem Komitetu Centralnego, Jeskem, dobił natychmiast targu, i uzyskał, jak powiada, bardzo umiarkowane warunki.

Mierosławski żądał mianowicie, aby w miejscu oznaczonem oczekiwał na niego oddział z 200 ludzi, zapowiadał, że z chwilą wstąpienia na ziemię polską obejmie władzę dyktatorską, prosi jednak o ogłoszenie dyktatury dopiero wtedy, kiedy oczyści znaczną część kraju od nieprzyjaciela. Daniłowski miał dopilnować formacji oddziału dwustu i sam do niego należeć i z tem poleceniem powrócił jak najspieszniej do kraju.



Nr. 74. Pułkownik Walenty Lewandowski
(Ze zbiorów p. Jarosława Pieniżka).

¹⁾ Daniłowski, str. 207.

²⁾ Tamże, str. 209.

Tu przedstawiały się już stosunki o wiele pomyślniej.

Pomimo nieudanych napadów w nocy z dnia 22. na 23. stycznia można było stwierdzić, że powstanie bynajmniej nie upadło i że zamiar „wyłapania” chroniącej się po lasach ruchawki spełził zupełnie. Było to po części dziełem zdrady, po części też nieudolności i złej woli naczelnego dowództwa rosyjskiego.

Rząd bowiem rozporządzał w chwili wybuchu siłą aż nadto dostateczną do pokonania niewczesnego porywu.

W Królestwie znajdowały się¹⁾ cztery dywizye piechoty z odpowiednią artyleryą, dywizya jazdy, trzecia dywizya gwardyi stojąca w Warszawie i okolicach, wreszcie trzy brygady straży pogranicznej czyli tak zwanych objeszczyków, razem więc przeszło 80.000 ludzi. Odrzuciwszy od tej liczby to co istniało tylko na papierze, przypuścić można, że armia rosyjska wynosiła co najmniej 60.000 i miała ze względu na ilość, doskonale uzbrojenie, zasoby i zwartą organizację, olbrzymią przewagę nad bezbronną zaledwie 20 tysięczną ruchawką.

Ale Ramsay i otaczająca go Kamarylla generałów nie myślała wcale o stłumieniu powstania. Wbrew opozycji W. Księcia, którego popierali tylko Wielopolski i Naboków,²⁾ postanowiła Rada Wojenna przeprowadzić koncentrację sił zbrojnych w punktach strategicznych i cofnąć objeszczyków na drugą i trzecią linię. Rozkazy takie trzykrotnie powtarzane w dniu 23., 24. i 27. stycznia a wykonane z największym zadowoleniem przez naczelników wojennych na prowincyi, miały ten skutek, że oddały cały kraj poza obrębem miast, opatrzonych garnizonami, w ręce powstańców a odsłaniając zupełnie granicę galicyjską, ułatwiały stamtąd dowóz broni i wysyłanie młodzieży do oddziałów tworzących się w Królestwie.

Skorzystał z tego natychmiast Kurowski, mianowany naczelnikiem Województwa Krakowskiego, oczyścił granicę od zapomnianych przez główną komendę rosyjską, objeszczyków, w Olkuszu ogłosił Rząd Narodowy, utworzył gwardyę narodową i kazał opublikować wszędzie w przeciągu trzech dni dekret o uwłaszczeniu włościan, następnie zaś zdobył dnia 7. lutego po krwawej walce, w której odznaczył się Cieszkowski na czele kosynierów, Sosnowiec, zabrał na tamtejszej komorze 90.000 rubli a od rozbitych objeszczyków 40 koni i tyleż karabinów.

W ten sposób ovladnęło powstanie cały pograniczny pas kraju i mogło swobodnie pociągać z Galicyi i Wielkopolski broń i ochotników. Jakoż tą drogą dostały się wtedy do Królestwa owe karabiny zakupione przez Komisarzy Komitetu zagranicą.

A cóż na to wszystko powiedział kraj, zwłaszcza ta część społeczeństwa, co uważała zawsze powstanie za największą klęskę i szaleństwo?

Stronnictwo Białych było zdumione i przerażone. Zdumione dlatego, bo niedawno jeszcze, w grudniu, zapewniał Komitet Centralny delegatów Dyrekcyi, że o powstaniu nie myśli i to zapewnienie teraz Bobrowski powtarzał, przerażone, bo przewidywało niechybną klęskę i nieuniknioną katastrofę.

Zjechała się więc tłumnie szlachta ze wszystkich stron kraju do Warszawy i rozpoczęła narady, które doprowadziły do szczególniejszej konkluzyi.

¹⁾ Berg, tom II., str. 339.

²⁾ Lisicki: Le marquis Wielopolski etc., tom II., str. 356.

Postanowiono zająć w obec ruchu stanowisko bierne i wyczekujące, nie wspierać go, nie dawać pieniędzy, wstrzymywać od udziału w walce i uspokajać wzburzone umysły a gdy rząd powstanie uśmierzy, podać stosowny adres do W. Księcia.

Poza granicami Królestwa, w Galicyi, zapatrywano się inaczej na położenie. Tu, ludzie trzeźwi i niezaprzeczenie rozumni uważali ruch Warszawski za niebezpieczny i szkodliwy.

Kiedy stronnictwo Białych usiłowało nawiązać stosunki z innemi zaborami, pojechał w tym celu do Lwowa młody lekarz dr. Ignacy Baranowski. „Wyształcony, rozsądny, pozyskał on sobie szacunek u wszystkich“;¹⁾ naradzał się z Ziemiańskim i Robertem Hefernem i wtedy to ci dwaj założyli Dziennik polski, mający budzić w społeczeństwie zamiłowanie pracy, ładu i prowadzić do organizacji w tym kierunku. W Kołach Czerwieńców powstała oczywiście opozycja i Leszek Wiśniewski zaczął wydawać z Janem Dobrzańskim Gazetę Narodową, w rozumieniu wydawców bardzo patryotyczną i co zatem idzie, ruchowi przychylną.

Obecnie ten odłam pierwszy, reprezentowany przez Smolkę, Ziemiańskiego i Aleksandra Dzieduszyckiego, żądał aby powstanie potępić, drugi naturalnie, aby je popierać. Jak zwykle zwyciężył kierunek pośredni i w d. 4. lutego ukazała się odezwa, podobnie anemiczna jak uchwały zjazdu Warszawskiego.

Stwierdziwszy na wstępie, że powstanie jest przedwczesne, że zostało podjęte „bez należytej oględności, bez przygotowania, zasobów i środków, bez względu na niestosowną porę i zupełnie niesprzyjające okoliczności tak wewnętrzne jak i zewnętrzne“ i zaznaczywszy dalej, że wysyłanie w chwili obecnej młodzieży z Galicyi „na rzeź i zgubę pewną, byłoby zmarnowaniem najcenniejszych sił narodowych, lekkomyślnością, jeżeli nie zbrodnią“, rzucają autorowie odezwy, wierni zasadzie inertia sapientia, hasło: Czekać! i wysyłają dla zasiągnięcia wiadomości o ruchu, do Warszawy Włodzimierza Cieleckiego.²⁾

Że położenie było bardzo niejasne a decyzja niezmiernie trudna, temu nikt nie przeczy, ale w każdym razie jest dziwnem, że to czego nie rozumieli i czego nie mieli odwagi wypowiedzieć otwarcie ludzie rozumni, na świeczniku stojący, zrozumiała i wypowiedziała młodzież niedoświadczona i do porwyu zawsze skłonniejsza.

Oto na drugi dzień po wybuchu odbyło się zgromadzenie studentów Szkoły Głównej, gdzie ogromną większością uchwalono w powstaniu udziału nie brać i na wykłady dalej uczęszczać.

Prawda, Krakowscy koledzy przysłali po tej uchwale Warszawskim akademikom babskie wrzeciono, ale ten objaw młodzieńczej fantazyi nie zmniejsza wcale znaczenia jakie miało męskie, rozumne i dla kraju pożyteczne postanowienie studentów Szkoły Głównej.

W kilkanaście dni potem przyjechał Cielecki do Warszawy. Miał on, jak wspomniano, zbadać stosunki a zarazem zaproponować Komitetowi Centralnemu, aby zaniechał powstania a członków organizacji wysłał do Galicyi,

¹⁾ Pamiętniki Ziemiańskiego. Część trzecia, str. 24.

²⁾ Ziemiański l. c. str. 75. Myli się zatem Koźmian, gdy twierdzi że Cieleckiego wysłano z Krakowa i Jerzy Moszyński (Obrachunek z „Rzeczą“ p. St. Koźmiana „o rok 1863“ Kraków 1895).

gdzie miano ich na lepsze czasy przechować.¹⁾ Komitet, po pewnem wahanii oświadczył, że przerwanie powstania jest już niepodobne a Dyrekcyja Białych dała posłowi pytyjską prawdziwie odpowiedź: „Nie łączyć się z powstaniem ale uznać je za narodowe“.

Jakoż wkrótce po powrocie Cieleckiego pojawił się w Czasie (nr. 35 z dnia 13. lutego) artykuł, w którym zaznaczono wyraźnie że „z rozpacz-nego, doraźnego“ ruchu „rozwinęło się powstanie narodowe“, a równo-cześnie, wbrew postawionej zasadzie „nie wspierania“, wyprawiono do obozu Kurowskiego kwiat młodzieży krakowskiej.

Oddział jego wzrósł przez to znacznie, [bo do 2000 ludzi i swoim do-tychczasowem powodzeniem jakoteż liczbą zwrócił na siebie szczególniejszą



Nr. 75. Dr. Franciszek Smolka.

uwagę nieprzyjaciela, który postanowił niewygodnego partyzanta znieść i Województwo Krakowskie z powstańców oczyścić. W tym celu ułożono skom-binowaną na Ojców wyprawę. Kurowski, uwiadomiony wcześniej o zamiarach rosyjskich, miał dwie drogi przed sobą: albo forsownym i szybkim marszem w kierunku północno-wschodnim wydobyć się z oblawy i szukać połączenia z Langiewiczem, albo też uderzyć na Rosyan w punkcie najsłabszym i tam-tędy utorować sobie wyjście.

Obrał to ostatnie i sądząc, że w miasteczku Miechowie jest garnizon bardzo słaby postanowił miejscowość tę zdobyć.

17. lutego uderzył więc na Miechów, gdzie w wilią przybyły dwie kom-panie piechoty, i poniósł zupełną klęskę, pomimo bohaterstwa Rochebruna i młodzieży krakowskiej.

¹⁾ Moszyński l. c. str. 58. Ziemiałkowski twierdzi, że Cielecki wcale z członkami Komitetu w Warszawie się nie widział.

Nierozsądny a szalony atak jazdy powstańczej, nakazany przez Kurowskiego i wykonany z niesłychaną brawurą pokrył trupami rynek Miechowski i zakończył bitwę, poczem rozpojone, dzikie żoldactwo rosyjskie zrabowało miasto, pomordowało wielu spokojnych mieszkańców i wzniciło wreszcie pożar ugaszony dopiero nazajutrz o 10. godzinie z rana. Szczątki oddziału Kurowskiego zdołały wydobyć się z matni i połączyć z Jeziorańskim.

Równocześnie z katastrofą Miechowską nastąpił w polityce europejskiej niespodziewany zwrot, który na losy Polskie i powstania miał wywrzeć wpływ decydujący a zgubny.

Wiadomość o powstaniu w Królestwie sprawiła na dworze Tujleryjskim jak najgorsze wrażenie.

Napoleon III. zabiegający już oddawna o przymierze z Rosyą a nadto zawikłany w fatalną dla niego sprawę meksykańską znalazł się nagle w nie-mielem położeniu.

Tradycye rodzinne, odziedziczone po wielkim stryju, żywa jeszcze pamięć owych czasów, kiedy to orły srebrne wprzęgnięte obok złotych w rydwan zwycięscy niosły go „od puszczy libijskich do Alpów podniebnych“, sympatye osobiste i narodu francuskiego, który z uniesieniem chwycił wiadomości o powstaniu nad Wisłą i na ulicach Paryża wznosił okrzyki Vive la Pologne! wszystko to razem wzięte, nie pozwalało mu opuszczać zupełnie sprawy polskiej a tem mniej wiązać się z mocarstwem uciskającym naród nieszczęśliwy, ujarzmiony a złączony z Francją braterstwem broni i krwią przelaną na tysięcznych pobojuwiskach.

Czuł on dobrze, że wojny dla Polski i za Polskę nie może prowadzić równocześnie z wojną na drugiej półkuli świata, bo na to potęga Francyi była za słaba, ale przyznać się do takiej niemocy otwarcie znaczyło tyle co skompromitować siebie w oczach całego świata i w rozumieniu własnego narodu, co rozwiać odrazu urok sławy, zdobytej pod Almą, Inkermanem, na polach Magenty i Solferina.

Dlatego też półurzędowe dzienniki francuskie potępiły powstanie, dlatego ani cesarz ani jego ministrowie, nie dawali Polakom, bawiącym w Paryżu najmniejszej nadziei lub otuchy, dlatego wreszcie już całkiem urzędowy Monitor ogłosił w dniu 30. stycznia list konsula francuskiego w Warszawie, Valbezana dla powstania nieprzychylny, dodając od siebie uwagę: że garstka nieszczęśliwej młodzieży nie zdoła się oprzeć stutysięcznej armii, dowodzonej przez doświadczonych oficerów,¹⁾ a gdy w Ciele Prawodawczem Juliusz Favre i Delalain przy dyskusyi adresowej przemówili za Polską, odpowiedział minister Billault: Rząd nie uważa za stosowne wchodzić w rozprawy nad przedłożoną panom kwestyą. Francya nie straciła dawnej sympatyi dla Polski, lecz sądzi i rząd zarówno z nią sądzi, że autonomia tego kraju więcej mogła się spodziewać od wspańiałomyślnych i liberalnych uczuć obecnego cesarza Rosyi, niż od ruchu powstańczego, którego usiłowania mogą tylko nowe sprowadzić klęski na ten kraj nieszczęśliwy. Rząd cesarski jest zbyt roztropny, aby płońnemi słowy dawać zbrodniczą podnieętą rewolucyjnym namietnościom....

Te fakta i te enuncyacye mówiły bardzo wyraźnie, że Francya nie myśli zgoda o popieraniu powstania i że uważa je nadto za ruch rewolu-

¹⁾ Koźmian: Rzecz o roku 1863, tom I., str. 10.

cyjny, zagrażający nie tylko Rosyi ale i innym państwom, jak to niedawno przedstawiał Gorczakow ambasadorowi francuskiemu w Petersburgu Ks. Montebello. A jednak, w krótkim i to bardzo krótkim czasie nastąpił w zapatrywaniach gabinetu Tujleryjskiego na sprawę polską zwrot nagły i niespodziewany.

Wywołały go Prusy. Mocarstwo to śledziło bardzo pilnie rozwój wypadków w Rosyi po śmierci Mikołaja I. i z największą obawą spoglądało zwłaszcza na ruch polski, upatrując w pojednaniu Polski z Rosyą, ze swojego stanowiska całkiem słusznie, największe dla siebie niebezpieczeństwo. Nie mogło bowiem ulegać najmniejszej wątpliwości, że Polska autonomiczna na podstawie słusznych i sprawiedliwych warunków zjednoczona z cesarstwem, będzie wywierała wpływ na politykę gabinetu petersburskiego w duchu dla Prus nieprzyjawnym, że będzie dążyć do odzyskania Wielkopolski i ujść Wisły, że stanie się dla mocarstwa Hohenzollernów niebezpiecznym i groźnym sąsiadem.

Gabinet berliński usiłował przeto takiej ewentualności, bądź jak bądź, przeszkodzić.

Jakich używał w tym celu środków, jest pokryte dotąd jeszcze tajemnicą, której rąbek odsłoniła cokolwiek znana sprawa Bärensprunga, a odsłaniają dalej fakta znane nam dziś dokładniej. Wtedy krążyły pogłoski o agentach pruskich, podburzających lud warszawski podczas manifestacyj do powstania, obecnie wiemy tyle przynajmniej, że w roku 1860 bawił w Warszawie oficer pruski, późniejszy minister wojny, że badał tamtejsze stosunki i następnie złożył rządowi swemu obszerny memoriał o kwestyi polskiej przewidujący wybuch powstania w najbliższej już przyszłości.¹⁾ Że takich i tym podobnych wywiadowców było więcej, jest rzeczą więcej niż prawdopodobną.

Rząd pruski niepoprzestał jednak na tem i działając systematycznie zwrócił się do autora nowożytniej Historii rosyjskiej Teodora Bernhardego, tuż przed wybuchem powstania z żądaniem, aby dał opinię swoją o kwestyi polskiej. Tak powstał memoriał, wielce charakterystyczny, a ważny stąd, że był przeznaczony dla następcy tronu, późniejszego cesarza Fryderyka III.²⁾

Znamiennym jest ustęp ostatni, gdzie Bernhardi, przypuszczając możliwość odbudowania Polski pisze tak dalej: „Ale jeżeli wyzwolenie Polski niema być dla Prus i dla Niemiec niebezpieczeństwem, to nie powinno ono prędzej nastąpić, aż gdy W. Księstwo Poznańskie będzie zupełnie lub do tego stopnia zgermanizowanem, że nie będzie można myśleć tam o przywróceniu dawnego stanu rzeczy, i aż Niemcy zjednoczą się pod naczelnym kierunkiem Prus. Na teraz spełnienie tych obu warunków jest jeszcze dalekie i dlatego interes Prus i Niemiec nakazuje nam wziąć czynny udział w stłumieniu polskiego powstania³⁾ jeżeli Rosya nie będzie miała dość siły sama tego dokonać“.

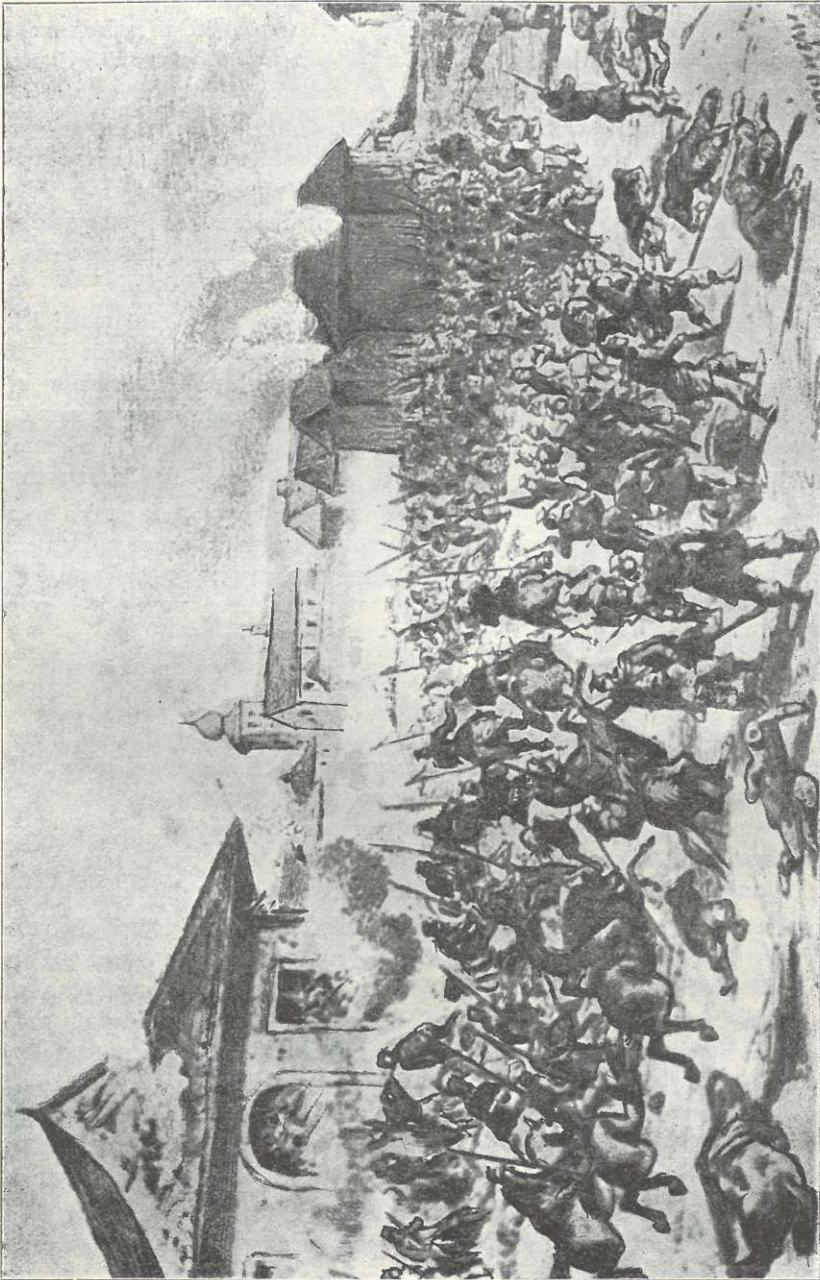
Jakoż tą drogą poszła polityka pruska. Na czele rządu stał wtedy (od dnia 24. września 1862 roku) Bismarck. Warunki, w których obejmował władzę przedstawiały się niepomyślnie. Prusom ówczesnym daleko było do tej wielkości, jaką osiągnęły po Sadowie i Sedanie, dalej jeszcze do tej organizacji militarnej, tak groźnej dziś dla sąsiadów. Wewnątrz, w Sejmie, zaścięta opozycja przeciw budżetowi wojskowemu, na zewnątrz zupełnie niemal

¹⁾ Verdy du Vernois: Im Hauptquartier der russ. Armee str. 4.

²⁾ Memoriał znajduje się w Hist. Ztschrft. Sybła roku 1894.

³⁾ Memoriał był pisany przy końcu stycznia 1863 roku.

odosobnienie. Rywalizacja z Austrią, dążącą do hegemonii w Niemczech, strach przed Napoleonem III. sprzymierzonym ściśle z Włochami i przygotowującym alians francusko-rosyjski, oto sytuacja Prus w latach po Kongresie Paryskim.



Nr. 76. Bitwa pod Mielchówem.

Nie miały one w całej Europie ani sprzymierzeńca ani przyjaciela; wszędzie napotykały niechęć i nieufność, w najlepszym razie, chłodną i wątpliwą życzliwość.

Związki, łączące do niedawna jeszcze Berlin z Petersburgiem, utraciły także pierwotny swój charakter, a przewidzieć można było łatwo, że Górczakow, znany ze swoich sympatyj francuskich, skłoni wreszcie Aleksandra II. do jak najściślejszego z Napoleonem III. przymierza.

W takich warunkach nabierała kwestya polska szczególniejszego znaczenia. Ona bowiem przeszkadzała aliansowi francusko-rosyjskiemu i ona także, pomyślnie załatwiona, mogła ten sojusz ułatwić, utrwalić i uczynić go dla Prus wielce niebezpiecznym.

Skoro więc tylko nadeszła do Berlina wiadomość o wybuchu powstania, nie omieszkał Bismarck z tej okoliczności skorzystać. Do Warszawy wysłano natychmiast trzech oficerów (v. Tresckow, v. Rauch i Verdy du Vernois), którzy mieli pełnić służbę wywiadowczą w głównej kwaterze rosyjskiej a do Petersburga pojechał generał Alvensleben, wioząc w zanadrzu projekt konwencji pomiędzy Rosyą i Prusami, celem stłumienia powstania.

To natrętne narzucanie się z pomocą, o którą nikt nie prosił i której Rosya wcale nie potrzebowała, sprawiło jak najgorsze wrażenie i w Warszawie i w Petersburgu. Car jednak, pomny tradycyjnych związków z Prusami i rozczulony współczuciem kuzynów swoich z nad Sprewy, zgodził się na zawarcie konwencji i dnia 8. lutego 1863 roku podpisano akt, niezmiernie dla sprawy polskiej doniosły a dla Prus w przyszłości wielce korzystny.

Według tej umowy miały sobie władze wojskowe obu stron pomagać wzajemnie, Rosyanie i Prusacy mogli nawet w razie potrzeby przechodzić granice; na oficerów przydzielonych do jednego i drugiego głównego sztabu włożono obowiązek donoszenia swoim rządóm o ruchach wojsk i operacjach wojennych, władze rosyjskie i pruskie miały sobie donosić o sprawach politycznych, dotyczących W. Ks. Poznańskiego i Królestwa, czyli innemi słowy śledzić i denuncyować Polaków w obu zaborach.

Dla wykonania konwencji zgromadziły Prusy natychmiast znaczne siły i rozciągnęły kordon wzdłuż całej granicy od Insterburga aż do Opola.

Powtarzała się tak taktyka z czasów listopadowego powstania, kiedy to Prusacy spełniali gorliwie służbę żandarmów rosyjskich i ułatwili Paskiewiczowi przejście Wisły i zdobycie Warszawy. Ale jeżeli wtedy Europa przyjęła takie jaskrawe pogwałcenie milczeniem, to teraz oburzyła się mocno.

Największe niezadowolenie okazywała Anglia, za nią oczywiście Francya. Co pierwszą do tego skłaniało, trudno wyrozumieć, bo o pomaganiu Polakom na pewne nie myślała. Lord Napier, potępiał wprawdzie brankę, pierwszy minister angielski lord Russel, zgadzał się z nim w tym względzie zupełnie i mniemał, że „żadne rozumowanie nie daje prawa do zmiany konskrypcyi na proskrypcyę i skazywania ludzi do służby wojskowej, dlatego że są podejrzani o zamiary rewolucyjne“, co jednakże nie przeszkadzało bynajmniej temuż samemu Napierowi pisać do Londynu (w roku 1862): „Odbudowanie Polski i osłabienie tem Rosyi byłoby szaleństwem wprost przeciwnem naszym interesom.“¹⁾

Obecnie, z powodu konwencji zaczęła Anglia w innym przemawiać tonie. Ambasador lord Buchanan w rozmowie z Bismarckiem (d. 11. lutego) dotknął sprawy polskiej i przypuszczał możliwość, że Rosyanie będą zmuszeni opuścić Królestwo. Co wtedy Prusy uczynią? „Wtedy, odpowiedział

¹⁾ Klaczko.

Bismarck, zajmiemy Polskę, aby przeszkodzić narodzinom wrogiej nam potęgi“.

„Na to Europa nigdy nie zezwoli“ zawołał Anglik. „A cóż to jest Europa?“ zapytał minister. „Różne, wielkie narody“, odparł Buchanan. „Czy pan istotnie jesteś takiego mniemania?“ brzmiała odpowiedź.

A gdy ambasador zapewniał, że Francya nie może się zgodzić na nowe ujarznienie Polski, oświadczył Bismarck wprost: „dla Prus stłumienie powstania jest kwestyą życia lub śmierci“.

W tydzień potem, żądał Buchanan, stosownie do rozkazów, jakie otrzymał od swojego rządu, aby mu przedłożono tekst konwencji. Bismarck zbył go ogólnikami.

Skąd pochodziło takie nagłe zainteresowanie się Anglii sprawą polską, w gruncie dla niej obojętną, łatwo można się domyśleć.

Gabinet londyński pragnął w ten sposób zadowolnić opinię publiczną, przychylnie dla Polski usposobioną i zyskać sobie sławę orędownika uciśnionych, ponadto zaś, i to było prawdopodobnie głównym jego celem, swoją postawą względem Konwencji, zachęcić Napoleona III. do czynnego wzięcia się w sprawę polską i alians francusko-rosyjski udaremnić. Jakoż Napoleon, widząc że Anglia potępia politykę pruską, postanowił z tego skorzystać i akcyą przeciw Prusom wymierzoną „coś zrobić dla Polski“.

W tym celu miały, według jego planu, trzy mocarstwa: Austrya, Anglia i Francya wysłać do Berlina równobrzmiącą notę z przedstawieniem, że Konwencya z dnia 8. lutego nie tylko rozszerza teatr wojny, ale „wytworza nowe położenie i zmienia kwestyę polską na sprawę europejską“.

Ale tu spotkał go pierwszy zawód: Austrya i Anglia odrzuciły projekt wspólnej noty, pierwsza rzekomo dlatego, że „nie chce podsycać aspiracyj narodowych, nie dających się pogodzić z całością Państwa Austriackiego“ i że „wreszcie nie może teraz potępiać Konwencji, odmówiwszy poprzednio wzięcia w niej udziału“, druga z obawy, że identyczna nota wzbudziłaby w rządzie pruskim uczucie obrażonej godności i wywołała nowe przeszkody. Natomiast proponował lord Russel, aby wszystkie mocarstwa, które podpisały traktat wiedeński, wystąpiły przeciw głównemu winowajcy i wezwały Rosyę do wykonania stypulacyj kongresowych względem Polski.

Na taką decyzję gabinetu londyńskiego wpłynęły dwie okoliczności: zasadnicza myśl poróżnienia Francyi z Rosyą i podejrzenie, że Napoleon III. szuka tylko pozoru, do zajęcia nadreńskich prowincyj pruskich, co mogło mu ułatwić wysłanie identycznej noty do Berlina.

Lord Palmerston pisał też do króla belgijskiego dnia 6. marca 1863 z usilną prośbą, aby wstrzymał Prusy od wszelkiej akcyi poza granicami bo jeżeli powstanie polskie będzie trwać dalej a Prusy w jakikolwiek sposób przeciw Polakom wystąpią, natenczas Napoleon III. niewątpliwie zajmie prowincye nadreńskie.¹⁾

Jeżeli gabinet Tujleryjski żywił podobne zamiary, co przypuszczać można, to z drugiej strony ostrzyły sobie także i Prusy apetyt na Królestwo. Bismarck rozmawiając w połowie lutego na balu dworskim z wiceprezydentem izby poselskiej, Behrendem oświadczył mu otwarcie, że albo należy razem z Rosyą stłumić jak najprędzej powstanie albo też czekać aż Rosyanie

¹⁾ Bismarck und Russland, I. c., str. 50.

zostaną wyparci z Królestwa lub zażądają pomocy pruskiej a wtedy zająć Królestwo i zniemczyć je w ciągu trzech lat.

W odmiennej cokolwiek formie przedstawił podsekretarz Stanu v. Thiele rozwiązanie kwestyi polskiej szlachcicowi z Kaliskiego panu Kłobukowskiemu.

Jego zdaniem Prusy nie byłyby przeciwnie utworzeniu państwa polskiego pod warunkiem odstąpienia pewnych części Królestwa na północy, nie mogą jednak nigdy dopuścić, aby na tronie polskim zasiadł arcyksiążę austriacki albo który z Romanowów; niech sobie Polacy obiorą królem jakiego magnata swojego n. p. Radziwiłła, bo przecież Radziwiłłowie są spokrewnieni z Jagiellonami.

P. Thiele dodał, że rzecz jest całkiem poważna, i gdyby Polacy na to się zgodzili, to Prusy podejmą akcyę i doprowadzą ją do skutku. Kłobukowski, zwykły ziemianin, nie mógł oczywiście nic decydować, ale pojechał do Paryża i zawiadomił Ks. Czartoryskiego Władysława o propozycjach pruskich, na co odpowiedziano: „Co tam twój głupi Bismarck“.

Wtedy już bowiem zmieniło się stanowisko Napoleona III. wobec sprawy polskiej i w hotelu Lambert wierzono w możność interwencji mocarstw zachodnich. Cóż znaczył więc dla tego kółka emigracyjnego Bismarck, który uchodził za pospolitego junkra i stoczył właśnie niepomysłną dla siebie walkę z sejmem pruskim w sprawie konwencji. Wskutek interpelacji wniesionej przez posłów Wielkopolskich Kantaka i Chłapowskiego, uchwaliła Izba, po długiej i gorącej dyskusyi, rezolucyę, tej treści, że interes Prus wymaga aby rząd wobec powstania w Królestwie zachował się neutralnie a mianowicie nie pozwalał żadnej z stron walczących przekraczać granicy pruskiej bez poprzedniego rozbrojenia.

To oczywiście potępienie Konwencji, wyrażone najdosadniej i z wielką dla Polaków sympatją zwłaszcza przez historyka Roepella, sprawiło na zewnątrz wielkie wrażenie i było, niewątpliwie dla Bismarcka klęską.

W miarę tych niepowodzeń berlińskiego gabinetu, których znaczenie przeceniano w Paryżu, rosły nasze nadzieje i zdawało się że sprawa polska bierze obrót bardzo pomyślny.

Ks. Władysław Czartoryski, przeciwny powstaniu, utwierdzał się coraz bardziej w przekonaniu że jest ono i przedwczesne i zgubne i po artykułach urzędowych i półurzędowych dzienników a zwłaszcza po mowie Billaulta, widząc nieprzychylnie także stanowisko rządu francuskiego wysłał dnia 9. lutego kuryera G. T. do Krakowa z listem polecającym gorąco zaniechanie beznadziejnej walki.

Kuryer przybył do Krakowa dopiero dnia 16. lutego. Dlaczego jechał tak długo i dlaczego spóźnił się niestety tak bardzo — to jest sprawa dotąd nie wyjaśniona.

Krakowianie wysłali go natychmiast do Lwowa, do Ks. Leona Sapiehy, aby grono tamtejsze o instrukcyi Czartoryskiego uwiadomić i nakłonić do jednomyślnego działania, które miało na celu ruch zbrojny przerwać i zakończyć.

W tej chwili jednak nadszedł z Paryża krótki telegram: „Wszystko zmienione; instrukcyje G. T. uważajcie za nie być. Trzeba jak najdłużej przetrzymać walkę“.

Wyjaśnienie telegramu zawierał nadesłany niebawnie list, pełen nadziei i wiary w interwencyę Anglii, Austrii i Francyi.



WOJSKO POLSKIE. Ostatnia praca WALEREGO ELJASZA.

Potwierdzał to Stanisław Tarnowski, powracający z Paryża, potwierdzał ton dzienników francuskich, przychylny powstaniu, potwierdzało dziwnie pobłażliwe zachowanie się władz austriackich, które pozwalały na werbowanie ochotników i wyprawianie ich z Krakowa, potwierdzały wreszcie paryskie korespondencje do Czasu Andrzeja Edwarda Koźmiana, zachęcające najwidoczniej do podtrzymania walki.

W podobnym duchu wyrażał się poufnie Walewski, minister spraw zewnętrznych Drouyn de Lhñys i wpływowy wielce sekretarz Napoleona III. Mocqard.

Wprawdzie smutne doświadczenia z roku 1831 zalecały jak największą względem dyplomacji europejskiej ostrożność, ale teraz zdawało się położenie tak z gruntu zmienione, warunki dla sprawy polskiej tak wyjątkowo pomyślne, że nawet najtrzeźwiejsi nabierali otuchy i gotowi byli popierać powstanie.

Postanowiono zatem nie tylko powstanie utrzymać i popierać je całą siłą, ale zarazem odjąć mu znamiona rewolucyjne i nadać charakter ogólnonarodowy.)

Okoliczności sprzyjały tym zamiarom.

Wiadomo, że Rząd Narodowy z ciężkiem sercem i z złowrogiem przezcuciem¹⁾ poddał się wreszcie dyktaturze Mierosławskiego. Mierosławski wyruszył z Paryża, jako agent sprzedający wino hiszpańskie i miał z Prus Zachodnich wkroczyć do Województwa Płockiego, później jednak zmienił plan i skierował się ku Kujawom, w swoje strony rodzinne, gdzie w historycznych Płowcach mieszkała jego siostra, zameżna za Biesiekierskim.

Tu zastał on w lasku pod Krzywosądzem oddział, zorganizowany przez Daniłowskiego a złożony z 83 akademików lichy uzbrojonych w kosy i strzelby myśliwskie. Z tą garstką i z orszakiem młodzieży, która towarzyszyła dyktatorowi z Paryża, miał Mierosławski, co najwięcej 100 ludzi, według Daniłowskiego, tylko 60.²⁾

O jakimś działaniu wojennem nie było zatem mowy i cała nadzieja mogła polegać jedynie na połączeniu z oddziałem Kazimierza Mieleckiego, liczącym 400 do 500 ludzi.

Mielecki, ziemianin, z zawodu rolnik, niemający pojęcia o wojskowości, ale odważny i pełen poświęcenia, ucierał się dość szczęśliwie z nieprzyjacielem. Pod Żarnowem, gdzie zginął Julian Wereszczyński, komisarz Województwa Mazowieckiego, zapalony czerwieniec i jeden z głównych inicjatorów powstania, odparł atak majora Nelidowa, zajął miasteczko Koło, zabrał tam Kasę rządową i pociągnął w lasy Lubstowskie, gdzie (17. lutego) otrzymał rozkaz dyktatora, aby z całym oddziałem swoim przybył pod Płowce i na każde zawołanie stawił się pod Krzywosądz, jako prawe skrzydło generała.

W skutek rozmaitych nieporozumień i niejasnych dalszych rozkazów Mierosławskiego, ściągnął Mielecki dopiero dnia 19. lutego do Płowiec. Tymczasem nastąpiła katastrofa. Dyktator zajęty całkowicie budowaniem swoich słynnych i do niczego nieprzydatnych wozów wojennych z kosami, zaniedbał wszelkich ostrożności i dał się zaskoczyć pułkownikowi Schilder-Schuldnerowi

¹⁾ Koźmian St., tom I., str. 37.

²⁾ List Bobrowskiego do Z. Padlewskiego z Berga, tom III., str. 89.

³⁾ Str. 228.

który mając około 800 ludzi uderzył nagle na powstańców i po heroicznym z ich strony oporze rozbił oddziałek ze szczętem.

Mierosławski zawdzięczał ocaleniu swoje jedynie poświęceniu i bohater-

Nr. 77. Napad na Rawę i śmierć Godlewskiego.



stwu garstki strażników pod wodzą dawnego oficera wojsk polskich Celińskiego. Oni to osadziwszy murowaną karcznię, bronili się tam do upadłego i jakkolwiek polegli wszyscy, to uratowali przynajmniej resztę rozbitków.

W Płowcach połączył się dyktator z Mieleckim, miał ognistą przemowę do oddziału¹⁾, objął nad nim naczelne dowództwo i stanął obozem we wsi Trojaczku, na górze lasem pokrytej, zewnątrz widocznej. Tu zaatakował go Schilder-Schuldner, ale został odparty. Mierosławski pomaszerował zamiast ku południowi, w kierunku granicy pruskiej, do Nowej Wsi nad Gopłem położonej.

Żołnierz był zmęczony, w oddziale nurtowały już intrygi, zwolennicy Mieleckiego okazywali jawną niechęć dyktatorowi, stanowisko pod Nową Wsią, odkryte zupełnie nie dawało żadnej osłony. To też atak rosyjski powiódł się; Mikulicz, dawny oficer rosyjski usiłował napróżno odepchnąć nieprzyjaciela rozpaczliwem natarciem kosynierów i zginął przeszyty kulą a wtedy powstała powszechna panika. Kto mógł uchodził za Gopło; Mierosławski, chory i zgębiony, przeszedł granicę pruską, skąd wyjechał natychmiast do Paryża, nie zrzekając się wcale dyktatury.

Skoro wiadomość o tych wypadkach doszła do Warszawy przystąpił Rząd Tymczasowy natychmiast do decyzji. W łonie jego powstało przesilenie. Ustąpił ks. Mikoszewski, który okazał się „tylko pełnym zarozumiałości plotkarzem“, Władysław Janowski zginął pod Krzywosądem i na ich miejsce powołano innych, mianowicie Gillera.²⁾

W tym nowym składzie przeważało usposobienie dla Mierosławskiego nieprzychylnie i większość przyjęła wniosek Bobrowskiego tej treści, że jeżeli Mierosławski do dnia 8. marca nie obejmie dowództwa z ramienia Rządu Narodowego nad jakimkolwiek oddziałem zbrojnym w kraju, to zawarta z nim zbyt pośpiesznie umowa przestanie być dla Rządu obowiązującą³⁾.

Uchwała powyższa równała się destytucji i złożenia Mierosławskiego z dyktatorstwa. Bo gdy Mierosławski opuścił kraj 23. lutego i wyjechał do Paryża, to było czystem niepodobieństwem, nawet gdyby natychmiast otrzymał wiadomość o postanowieniu Rządu, aby do 8. marca mógł powrócić i ukazać się na teatrze wojny. Jakoż tak a nie inaczej pojmował rzecz Bobrowski, gdy pisał do Padlewskiego, że niema żadnych widoków, by pan Ludwik przybył do kraju i „zatem stanowisko dlań przeznaczone, będzie do zajęcia“.

Równocześnie zaś, także na wniosek Bobrowskiego, zaczęto obmyślać sposoby do utworzenia stałego i jawnego Rządu Narodowego i wysłano w tym celu zaufanych ludzi do Krakowa i Poznania jakoteż kuryerów do Langiewicza i Wysockiego.

Dla historii drugiej dyktatury jest to moment ważny, bo wskazuje, że ustanowienie jawnej jakiejś władzy leżało w intencjach Rządu i że ten Rząd prowadził w tym względzie jakieś układy z zaborem austriackim i pruskim, z Wysockim i Langiewiczem.

Na tego ostatniego, na jego obóz w Wąchocku zwrócona była obecnie uwaga całego kraju, bo po upadku powstania w Podlaskiem Langiewicz jeden przedstawiał jakąś siłę i dawał pewną otuchę.

Stronnictwo Białych usiłowało nakłonić wojewodę sandomierskiego do rozpuszczenia oddziału i do wyjazdu za granicą.

Wysłano w tym celu do Wąchocka dwóch ziemian: Stanisława Karskiego i Romana Cichowskiego, ale Langiewicz odrzucił z oburzeniem propozycję.

Z drugiej strony rząd rosyjski, widząc że obóz wąchocki rośnie w siłę i że rozchodzą się stamtąd rozkazy, wzywające całe Województwo do powstania,

¹⁾ Skończywszy mowę, pełną frazesów zwrócił się do swojego najbliższego otoczenia i rzekł, półgłosem: „A to palnąłem im błagę“. Z opowiadań p. Józefa Kajetana Janowskiego.

²⁾ List Bobrowskiego l. c., str. 90; Daniłowski.

postanowił raz tym „nieporządkom“ koniec położyć. Na usilne nalegania z Warszawy ułożył więc stary generał Uszakow, dowodzący w Radomiu, skombinowaną wyprawę na obozowisko Langiewicza w dniu 1. lutego.

Ale Langiewicz, ostrzeżony wcześniej o napadzie przez organizację radomską, nie dał się zaskoczyć i po uporczywej walce, w której odznaczył się szczególnie Czachowski, opuścił Wąchock i zniknął z przed oczu ostrożnie ścigających go Rosyan. Przez Bodzentyn idąc, dostał on się bocznymi drogami do Słupi, gdzie u stóp góry Ś-to Krzyskiej i w około starożytnego klasztoru Benedyktynów założył nowy obóz, ściągając rozbitków i ochotników a nawet utworzył rodzaj artylerii, złożonej z czterech armatek, bądź drewnianych, bądź żelaznych z roku 1831.

Wyparty stamtąd po tygodniu, pomaszerował do Staszowa, gdzie stoczył pomyślną utarczkę z majorem Zagriańskim i ruszył do Małogoszczy, aby się połączyć z Jeziorańskim. Antoni Jeziorański, mianowany naczelnikiem powiatu Rawskiego, walczył w szeregach węgierskich w r. 1848 i posiadał pewne doświadczenie wojskowe. Uorganizowawszy cokolwiek ochotników, uderzył dnia 4. lutego na Rawę, wypędził z miasta załogę rosyjską, zdobył kilkadziesiąt sztuk broni i pociągnął w kierunku Pilicy. W napadzie na Rawę poległ, szukając wyraźnie śmierci, Franciszek Godlewski, znany nam już Czerwieniec, podobnie jak Frankowski szlachetna ofiara patriotyzmu, poświęcenia ale zarazem i nierozwagi młodzieńczej.

Jakkolwiek zarzucano Jeziorańskiemu, że powiat Rawski opuścił wtedy gdy jedyny tam oddział hr. Strojnowskiego został rozбит, to jednak dalsze działanie pułkownika, bo otrzymał stopień pułkownikowski za Rawę, świadczy, że mimo nieszczęśliwego charakteru był to człowiek zdolny, zręczny, o żołnierza dbały a w przedsięwzięciach swoich szczęśliwy.

Wyszedłszy z pod Rawy, zajął wyborną pozycję w otoczonej lasami Lubochni, pobił atakującego go majora Szakalskiego, założył potem obóz w Studziannej, gdzie połączyły się z nim rozmaite partye rozbite i pociągnął dalej ku Kielcom, na które chciał uderzyć.

Wzmocniony oddziałem Nowaka miał on wtedy już 1500 ludzi, był więc od Langiewicza silniejszym i oba te oddziały połączone mogły w istocie większych rzeczy dokonać.

Nic dziwnego zatem, że Langiewicz pragnął takiego połączenia. Mianowany świeżo przez Rząd Narodowy generałem a po klęsce Kurowskiego także naczelnikiem Województwa Krakowskiego, miał on prawo wydawać rozkazy Jeziorańskiemu, ale, znając drażliwość ludzką, udał się sam do jego kwatery z propozycją wspólnego działania. Jeziorański przyjął to niechętnie, czynił rozmaite obiekty, aż adjutant Langiewicza, znana panna Pustowójtów swoim energicznym odezwanieniem się skłoniła ambitnego pułkownika do uległości, mimo, że jego szef sztabu Tomasz Winnicki temu się sprzeciwiał i Jeziorańskiego przeciw Langiewiczowi podburzał.

Połączenie przyszło więc do skutku i oba oddziały zajęły stanowisko w Małogoszczy. Tu, napadnięte przez trzy rosyjskie kolumny dnia 24. lutego, po długiej, pięć godzin trwającej i bardzo krwawej bitwie, poniosły klęskę, ale ostatecznie Langiewicz, jakkolwiek raniony w nogę, wycofał się zręcznym ruchem z matni, i zmieniając od czasu do czasu kierunek marszu dla zmylenia nieprzyjaciela, pociągnął ku granicy galicyjskiej, stoczył po drodze dwie potyczki, jedną niepomyślną w Piaskowej Skale, drugą szczęśliwą pod

Skalą i stanął wreszcie obozem w Goszczy, niedaleko Słomnik, w najbliższym sąsiedztwie Krakowa.

Tam miał nadzieję zaopatrzyć się w broń i amunicję, wypocząć i zasilić przetrzebione szeregi ochotnikami z Galicyi. Położenie jego było rzeczywiście bardzo trudne.

Szczupłe zapasy prochu, jakie można było zebrać w kraju wyczerpały się zupełnie. „Dnia 4. marca — tak sam zeznaje — nie mieliśmy już wcale amunicyi, bo w ostatnich dniach biliśmy się cztery razy, mając ze wszystkim po 10 naboju na lufę¹⁾. Żołnierz był obdarty, nie pobierał żołdu, tułając się po lasach, przymierał głodem, wystawiony na zimno i wilgoć, upadał na siłach, marniał, tracił fantazyę i odwagę.



Nr. 78. Obóz powstańców w lasach Świętokrzyskich.
(Ze zbiorów pana Jarosława Pieniążka).

W Goszczy mógł odetchnąć i pokrzepić się. Rząd austriacki nie przeszkadzał ani w przewożeniu amunicyi ani w dostarczaniu ludzi. „Rynek krakowski — opowiada naoczny świadek — przedstawiał widok powstańczego obozu; roilo się na nim od młodzieży w długich butach, futrzanych kurtkach, burkach i konfederatkach²⁾. W domu „pod Rakiem“, na ulicy Szpitalnej werbowano jawnie ochotników: władze wojskowe ogłaszały, że żołnierz za zgubiony karabin ma zapłacić 15 złr.

Była więc możność nabywania broni, tworzenia oddziałów a nawet i zaopatrzenia się w armaty. Brakowało jednak sprężystej organizacyi i zgodnego działania. Pomiedzy licznymi komitetami i władzami istniało pewne współzawodnictwo; stronnictwa polityczne spoglądały z niedowierzaniem na siebie, przeszkadzały sobie wzajemnie. Mierosławczycy wietrzyli wszędzie reakcyą; Biali i więcej umiarkowani truchleli na myśl, że „wódz

¹⁾ Korespondencya l. c., str. 272.

²⁾ Bentkowski Władysław: Notatki Materyały, tom II., str. 12.

zmarłychwstały“ może po klęsce pod Krzywosądzem i Nową Wsią znowu zmarłychwstać; o Rządzie Narodowym znajdującym się właśnie w stanie przesilenia panowało głuche milczenie, nikt nie wiedział na prawdę jakie on zajmuje stanowisko i do czego dąży.

Jeske i Potebnia, wysłani z Warszawy, rzucili projekt utworzenia tryumwiratu z Wysockiego, Mierosławskiego i Langiewicza. Śmierć Potebni, który zginął pod Skalą, przerwała dalsze w tym względzie układy a Rząd Tymczasowy, mianując Wysockiego (dnia 17. lutego) „naczelnym dowódcą sił zbrojnych na lewym brzegu Wisły“, okazywał wyraźnie dla dyktatorskiej władzy Mierosławskiego lekceważenie.

Natomiast rosła sława i znaczenie Langiewicza. On rzeczywiście podtrzymał powstanie, on działał, bił się, odnosił pewne korzyści, przeceniane zanadto ale bądź jak bądź niezaprzeczone. To też imię jego nabrało rozgłosu i w kraju i zagranicą. Bobrowski i Aweyde zbierali w Warszawie składki na pałasz honorowy dla bohatera z pod Małogoszczy i Staszowa, przygotowywali dla niego adres od Polek, zasyłający generałowi błogosławieństwo matek i dziewic polskich.

Cóż dziwnego więc, że na tym tle zrodziła się myśl oddania jemu właśnie władzy dyktatorskiej. Nie powstała ona bynajmniej w kołach reakcyjnych, bo stanowisko, jakie zajął Langiewicz w obec szlachty Sandomierskiej i jego osobiste przekonania¹⁾ dowodziły i dowodzą, że o wsteczność posądzać go nie można, lecz wyrosła z poczucia społeczeństwa i Rządu Tymczasowego, że władza jawna i silna jest dla rozwoju powstania nieodzownie potrzebną. Stronnictwo Białych miało oczywiście także na celu przeszkodzić powtórnej dyktaturze Mierosławskiego i jak się wyraża Koźmian, odjąć w ten sposób rewolucyjny charakter powstaniu.

Zamiar utworzenia jawnego Rządu, którego prezes i sekretarz mieliby rezydować poza granicami kraju, w Szwajcaryi, okazał się zupełnie niepraktycznym, jawny Rząd na miejscu, w Warszawie lub w ogóle w Królestwie był niepodobieństwem — pozostawała więc tylko dyktatura.

Rząd Tymczasowy postanowił jak już wspomniano, w tej ważnej kwestyi porozumieć się z Komitetami w Wielkopolsce i w Galicyi.

Delegaci wysłani z Warszawy w tym celu ułożyli zjazd w Krakowie, dokąd z ramienia Komitetu lwowskiego pojechał Książę Adam Sapieha, a miał pojechać także i Wysocki,²⁾ który jednak w ostatniej chwili od udziału w konferencji się usunął.

Dnia 9. marca odbyło się w mieszkaniu Leona Skorupki w hotelu Saskim, w Krakowie pamiętne zebranie, złożone z generała Kruszewskiego, Adama Ks. Sapiehy, Bogusława Łubieńskiego, delegata Komitetu Poznańskiego, Mieczysława Waligórskiego, Leona Chrzanowskiego, Stanisława Koźmiana, Jana hr. Tarnowskiego, Adama hr. Potockiego i kilku innych, między którymi znalazł się także przypadkowo Władysław Bentkowski, oficer artylerji pruskiej i poseł na Sejm pruski, człowiek bardzo rozumny i trzeźwy. Główną jednak osobistością zwracającą powszechną na siebie uwagę i otaczaną szczególniejszym szacunkiem był Adam hr. Grabowski, nadzwyczajny, jak sam mówił, komisarz Rządu Tymczasowego. Pochodził on z W. Ks. Poznańskiego, gdzie należał do lekkomyślnej, marnotrawnej mło-

¹⁾ Korespondencya, l. c. str. 259.

²⁾ Pamiętniki Ziemiańskiego l. c., str. 92.

dzieży. Ożeniony z księżniczką Lubomirską strwonił cały majątek i z powodu długów i bankructwa musiał z Wielkopolski uciekać do Warszawy. Tu nawiązał stosunki z Czerwieńcami i musiał widocznie pozyskać pewne u nich zaufanie, kiedy organizacja warszawska, jadącemu do Krakowa powierzyła 1000 rubli, przeznaczonych dla generała Wysockiego wraz z kartką urzędową dla legitymacyi przed generałem.

Ten dokument, opatrzony pieczęcią Rządu posłużył Grabowskiemu do odegrania roli nadzwyczajnego Komisarza. Czy go do tego namówiono, czy sam wpadł na pomysł podobny, nie wiadomo, zaznaczyć jednak należy, że



Nr. 79. Maryan Langiewicz.

i drugi wysłannik Rządu Tymczasowego, Władysław Siemieński działał we Lwowie w tym samym duchu co Grabowski.

Może być, że obaj, znając zamiary Rządu względem utworzenia silnej władzy i widząc niepodobieństwo ustanowienia Rządu za granicą, wymyślili sami albo też popierali zaprojektowaną przez innych dyktaturę Langiewicza i dopuścili się nadużycia, zwłaszcza Grabowski, który udawał nadzwyczajnego Komisarza, chociaż w chwili stanowczej wyrażał się niejasno. O tyle można też mówić o intrydze.

W gruncie rzeczy jednak przedstawiała się sprawa całkiem jasno.

O Rządzie Warszawskim krążyły rozmaite wieści, mówiono że nie istnieje, że jest rozbity; z drugiej strony wyglądano przybycia Mierosław-

skiego, którego przyjaciele na gwałt wzywali do kraju¹⁾ dla objęcia dyktatury przed upływem terminu przez Rząd oznaczonego (dnia 8. marca). Generał jednak zwlekał z wyjazdem pod rozmaitemi pozorami a kiedy wreszcie zdecydował się na podróż, zaskoczyła go w Wiedniu wiadomość o dyktaturze Langiewicza.

Czy ponowne objęcie władzy naczelnej przez Mierosławskiego, spóźnione i tem samem wobec Rządu nielegalne, mogło powstanie skrzepić i sprawę narodową ocalić, w to wierzyli chyba najzapaleńsi zwolennicy „zmarłych-wstałego wodza“.

Bentkowski był przekonany „iż samo ogłoszenie dyktatury Mierosławskiego położy płacziwy i skarykaturowany koniec powstaniu“²⁾ a to przekonanie podzielali także wszyscy w hotelu Saskim zgromadzeni i wskutek tego zapadła jednomyślna prawie uchwała³⁾ o dyktaturze Langiewicza.

Z tą wiadomością pojechali nazajutrz, dnia 9. marca, do Goszczy Grabowski, Kołaczkowski i Siemieński. To co przynosili nie było ani dla Langiewicza ani dla jego najbliższego otoczenia niespodzianką. On sam miał mówić o swojej dyktaturze Komisarzowi Rządu Tymczasowego Wojciechowi Brechońskiemu⁴⁾ i był przekonany, że dyktatura jest „jednym z najważniejszych środków do ratowania sprawy publicznej“, a dzieje rzymskie i świeży przykład Garibaldegó utwierdzały go w tem mniemaniu.⁵⁾

Kiedy więc przyszło do stanowczej już decyzji na licznej zebraniu w Goszczy i Bentkowski tak, jak poprzednio, poparł zamiar ustanowienia dyktatury, Langiewicz po pewnem wzdraganiu się przyjął władzę i polecił Grabowskiemu, Leonowi Chrzanowskiemu jakoteż Bentkowskiemu zredagowanie stosownej odezwy do narodu i do wojska, co oni nazajutrz po powrocie do Krakowa wykonali. Biechoński nie odzywał się wcale, lecz wysłał natychmiast raport o ustanowieniu dyktatury do Rządu i pojechał sam do Warszawy, aby złożyć Rządowi dokładną o wypadkach w Goszczy relację.

Tymczasem w Krakowie ukazała się wspomniana już odezwa zredagowana głównie przez Bentkowskiego. Opierała się ona na zasadach, wyrażonych w manifestie Rządu Narodowego z dnia 22. stycznia i zapewniała, że dyktator prowadzić będzie tylko dalej dzieło przez ten Rząd rozpoczęte a „po zrzuceniu jarzma moskiewskiego złoży najwyższą władzę w ręce narodu, w osobie jego reprezentantów“.

Ukazanie się tego aktu, rozrzuconego w tysiącach egzemplarzy sprawiło nadzwyczajne wrażenie.

Mierosławski, który w tych dniach właśnie przybył nareszcie do Krakowa, wpadł w furję i wydał natychmiast gwałtowną przeciw dyktaturze Langiewicza protestację, którą na jego żądanie podpisali także Jeske i Daniłowski jako pełnomocnicy Rządu Tymczasowego, wysłani w styczniu do Paryża dla wręczenia nominacji Mierosławskiemu, chociaż jeździli tam w roli zwykłych kuryerów a nie delegatów rządowych.⁶⁾

¹⁾ Daniłowski, str. 275.

²⁾ Notatki, I. c., str. 13.

³⁾ Jakkolwiek nie było głosowania formalnego, to nikt nie sprzeciwiał się dyktaturze. Współczesny autor (Materiały tom IV., I., str. 188) utrzymuje, że dyktatura powstała w porozumieniu z niektórymi członkami komisji wykonawczej, mianowicie Gillerem i Leonem Królikowskim.

⁴⁾ Według ustnej relacji.

⁵⁾ Korespondencya I. c. str. 281.

⁶⁾ Według ustnej relac., p. Józefa Kajetana Janowskiego.

W Warszawie przyjęto wiadomość o dyktaturze z zapalem i rozechwytywano fotografie Langiewicza i Pustowójtowny, noszono je na klamrach od pasków i oprawione w broszkach; Dyrekcyja Białych oświadczyła Rządowi Tymczasowemu, że w obec jawnej dyktatury rozwiązuje całą swoją organizacyę jako zbytęcną, ofiarowała na cele powstania 30000 franków i zawiadomiła członków Rządu, że bankier Kronenberg podejmuje się zaciągnąć dla powstania u zagranicznych firm bankierskich pożyczkę dwóch milionów rubli za dekretem dyktatora.

Cóż Rząd miał i mógł wobec tego uczynić? Raził go wprowadzie ustęp w odezwie Langiewicza, głoszący, że przyjął dyktaturę „porozumiawszy się z Tymczasowym Rządem tajnym narodowym“, co nie było prawdą, trwożył raport Biechońskiego i ustna jego relacya, że ludzie, którzy dyktaturę stworzyli są przeciwnikami Rządu i dążą do stłumienia powstania, ale z drugiej strony zaprzeczyć nie mógł, że on sam przecież tego Langiewicza niedawno wynosił, czyny jego sławił i uznawał konieczność utworzenia jawnej władzy.

Po dłuższej i burzliwej dyskusyi postanowiono więc dyktaturę uznać i z tem uznaniem pisemnem, zawierajacem, co prawda, różne gorzkie wyrzuty, pod adresem Grabowskiego, wysłać do głównej kwatery Stefana Bobrowskiego.

Rzeczy jednak wzięły taki obrót, że delegat Rządu misyi swojej spełnić nie mógł, z Langiewiczem wcale się nie widział i zginął marnie w pojedynku z Adamem Grabowskim w Wielkopolsce.

Wcześniej jeszcze spotkała katastrofa nowego dyktatora.

Po kilkudniowym pobycie w Goszczy, wzmocniony na siłach, z korpusikiem liczącym 3060 ludzi, odczytawszy poprzednio wojsku swoją dyktatorską proklamacyę, opuścił Langiewicz, prawdopodobnie z powodu braku żywności, gdyż cała okolica była już doszczętnie objedzona, swój dotychczasowy obóz i ruszył do Słomnik a stamtąd do Sosnowki, gdzie po odprawionem przez ks. Pawła Kamińskiego uroczystem nabożeństwie złożył przysięgę na wierność Ojczyźnie wśród okrzyków: Niech żyje dyktator! Niech żyje Polska!

Był to niestety, ostatni uśmiech fortuny, po którym nastąpić miały już same klęski i niepowodzenia.

Jeżeli nagle wyniesienie na godność tak wysoką mogło zadowalniać osobistą ambicyę młodego dowódcy, to stawiało go ono zarazem w położeniu niezmiernie trudnem i drażliwem. Nominacya Langiewicza wywołała bowiem w najbliższem jego otoczeniu kwasy, niezadowolenie i intrygi. Uraził się przedewszystkiem Jeziorański, aspirujący po cichu do dyktatorskiej władzy, sarkali liczni w obozie zwolennicy Mierosławskiego, nazywający dyktaturę Langiewicza głośno „głupstwem“, stąd powstał wśród wojska, nie przywykłego do karności ferment, rozluźniający i tak już słabą spójność różnorodnych i polskim obyczajem do sejmikowania skłonnych żywiołów.

Organizacya wojskowa oddziału była zaledwie w zawiązku. Jeden tylko batalion żuawów Rochebruna, ćwiczony w mustrzei obrotach przez swego dowódcę miał wygląd marsowy i dobre uzbrojenie. Reszta, podzielona na szwadrony, bataliony i kompanie, przedstawiała gromadę rekrutów, z których można było wyrobić dobrych żołnierzy ale w pomyślniejszych warunkach, a nie wśród ciągłych marszów i utarczek i nie w obozowiskach leśnych, gdzie ludzie głodem przymierali i, ze zmęczenia upadając, nie mieli ani sił ani czasu do nabrania mechanicznej sprawności właściwej wojsku regularnemu.

W takim stanie rzeczy prowadzenie wojny było niezmiernie trudne, tem trudniejsze, gdy łatwo przewidzieć się dało, że po ogłoszeniu dyktatury Rosyane wyteżą wszystkie siły aby oddział Langiewicza znieść i zadać przez to cios śmiertelny powstaniu.

Dlaczego twórcy dyktatury nie brali pod rozwagę tej okoliczności nie umiemy odpowiedzieć. Wszak stan korpusu obozującego w Goszczy nie był dla nich wcale tajemnicą a pan Koźmian nazwał, co prawda o wiele później, „dyktaturę bez pewnej przestrzeni kraju śmiesznością“,¹⁾ chociaż sam także to jej utworzenia rękę przyłożył.²⁾ Później dopiero, po fakcie dokonanym, zmierzyszy wielkość niebezpieczeństwa, zalecał Langiewiczowi, aby unikał wszelkimi sposobami rozbicia.



Nr. 80. Henryka Pustowójtówna.

Ale dyktator, czy to ośmielony dotychczasowem powodzeniem, czy z zarozumiałości, czy też dla zaimponowania nieznającemu się na wojskowości, oświadczył wprost, że Moskali się nie obawia, że przeciwnie będzie szukać z nimi spotkania, że jest pewnym zwycięstwa i że za parę dni oczyści zupełnie z wojsk nieprzyjacielskich województwo krakowskie.

Z tem przeświadczeniem, udaniem czy prawdziwem ruszył w dalszy pochód, na Marchocice, Kalinę Wielką, Giebułtów, Młodowę i Zaryszyn do Chrobrza, majątku Wielopolskiego.

Tymczasem Ks. Szachowski, mianowany świeżo naczelnikiem wojennym powiatu Miechowskiego i Olkuskiego, miał według poleceń głównego sztabu

¹⁾ Rzecz, tom. I, str. 64.

²⁾ Por. relację rękopiśmienną u Przyb. Dzieje 1863 roku, tom II, str. 10.

rosyjskiego wyprzeć oddział Langiewicza do Galicji a w żadnym razie niedopóścić, aby dyktator zajął dawniejszą swoją pozycję w lesistych okolicach gubernii Radomskiej. Jakoż „zanurzenie“ się w lasy około Św. Krzyża, zwrot ku Słupi i Wąchockowi był w tej chwili, jakkolwiek nie na długo, jedynym ratunkiem dla armii dyktatorskiej.

Prawdopodobnie miał taki zamiar Langiewicz ale szybkiemu wykonaniu przeszkodziły niegodziwe drogi, zmęczenie niesłychane ludzi, brak żywności a wreszcie czujność nieprzyjaciela, który śledził ciągle powstańców i deptał im po piętach.

Zaledwie rozłożono się i przenocowano w Chrobrzu, kiedy zjawił się z jednej strony Czengiery z Jędrzejowa a z drugiej major Bentkowski Polak, brat rodzony szefa sztabu dyktatorskiego. Przyszło do żwawej potyczki w której dzielność Rochebruna i przytomność szefa Bentkowskiego uratowały oddział od niechybnej klęski.

Langiewicz po uciążliwym pochodzie zajął stanowisko w obszernych lasach pod Grochowiskami.

Tu ogarnęły go zewsząd przeważne siły rosyjskie, cztery skombinowane kolumny, liczące razem przeszło 3000 ludzi. Rozpoczęła się bitwa bezładna, prowadzona bez planu ze strony polskiej, z największym niedołęstwem ze strony rosyjskiej. Huk armat, odzywający się ze wszystkich stron przeraził powstańców i wywołał panikę w szeregach, której nie mogła uśmierzyć ani odwaga Langiewicza, stojącego spokojnie wśród gradu kul ani rozpaczliwe usiłowania szefa Bentkowskiego. Szczęściem Rosyanie napotkawszy na energiczny opór żuawów Rochebruna i obawiając się wchodzić w głąb lasu, po-przestali na ostrzeliwaniu obozu a o zmierzchu cofnęli się zupełnie. Spóźniona kolumna majora Zagriażskiego natomiast zaawanturowawszy się w lesie spotkała tam kilkuset powstańców, którzy zagrzani przez pułkownika Dąbrowskiego. Rochebruna i jeszcze kilku dzielnych oficerów uderzyli z fantazją na nieprzyjaciela i ciężką zadali mu klęskę.

Zginął tu odważny Kapitan Kierwanow, cała jego rota została bądź wycięta, bądź rozbita, dwudziestukilku piechurów wzięto do niewoli.

Mimo tego zwycięstwa położenie oddziału było rozpaczliwe. Z upadającym na siłach i głodnym żołnierzom, nie dał się już wykonać energiczny i pospieszny marsz na Chmielnik w góry Śt. Krzyskie. Wśród ogólnego przynębienia umysłów postanowił więc Langiewicz udać się do Galicji a stamtąd w Lubelskie, korpus zaś swój podzielić na dwa mniejsze oddziały. Jednym miał dowodzić brygadyer Śmiechowski, drugim pułkownik Czachowski.

Jakoż napisawszy odezwę do wojska, nazajutrz 19. marca o świcie wyruszył dyktator otoczony oddziałem ułanów, adiutantem swoim p. Pustowójtówną, szefem Bentkowskim, generałami Jeziorańskim i Waligórskim, intendantem Tomaszem Winnickim, na Wiślicę do Opatowa, gdzie przeprawił się przez Wisłę ale prawdopodobnie zdradzony przez jakiegoś Mierosławczyka i poznany przez władze austriackie został aresztowany i odwieziony do Tarnowa.

Oddział jego rozprószył się po większej części i przeszedł do Galicji; tylko niezmordowany Czachowski, przewidując może katastrofę, opuścił wcześniej korpus dyktatora i prowadził odtąd na własną rękę z powodzeniem partyzantkę. Taki przebieg miała głośna w swym czasie kampania Langie-

wicza i taki oplakany koniec wzięła ustanowiona bez należytego rozmysłu dyktatura.

On sam okazał wiele uzdolnienia, zręczności, osobistej odwagi i poświęcenia dla sprawy narodowej, ale przedsięwzięcia lekkomyślnie poczętego nie mógł od niechybnego uratować upadku. Geniuszu wojennego nie posiadał, talentów swoich rozwinać nie zdołał. Niezasłużone zarzuty, jakimi go obarczali przeciwnicy nie są uzasadnione.

Kłeskę musiał ponieść, jak wielu innych, ale przyspieszyła ją zawiść i intrygi, w końcu o ile się zdaje zdrada albo głupota jednostki.

Wszelkie usiłowania aby go wydobyć z więzienia, najpierw w Tarnowie, później w Krakowie, zawiodły; nie udała się też projektowana ucieczka z Tysznowic na Morawach, gdzie był internowany. Przewieziony do Josefstadu, uzyskał obywatelstwo szwajcarskie i na reklamacyę rządu szwajcarskiego został uwolniony.

Z Szwajcaryi udał się do Turcyi; następnie zamierzał się przesiedlić do Galicyi kiedy go śmierć zaskoczyła w Wiedniu dnia 12. maja 1887, roku. Zostawił syna Tadeusza, który jest obecnie rotmistrzem w wojsku austriackiem.

Pustowójtówna wyjechała do Paryża, gdzie wyszła za mąż za dra. Lewenhardta i umarła w roku 1881.





Rozdział trzynasty.

PO UPADKU DYKTATURY. — AKCYA DYPLMATYCZNA. — NOTY KWIE-
TNIOWE. — AMNESTYA. — KS. FELIŃSKI.

Katastrofa Langiewicza sprawiła piorunujące wrażenie. Cesarz Aleksander otrzymawszy podczas przeglądu wojska, depeszę o przytrzymaniu dyktatora przez władze austriackie, zawołał głośno: „Langiewicz wziat“ na co żołnierze odpowiedzieli gromkiem okrzykiem: hurra! w Warszawie Dziennik powszechny ogłosił w osobnym dodatku telegram generała Uszakowa o wyparciu oddziału Langiewicza do Galicji, o uwięzieniu dyktatora. Radość w kołach rządowych była wielka, bo zdawało się, że teraz upadek powstania jest nieunikniony.

Na Zamku warszawskim panowało inne usposobienie. Są pewne ślady, co prawda, niewyraźne, wiadomości skąpe i niejasne, że pomiędzy W. Księciem a Langiewiczem istniały jakieś stosunki.

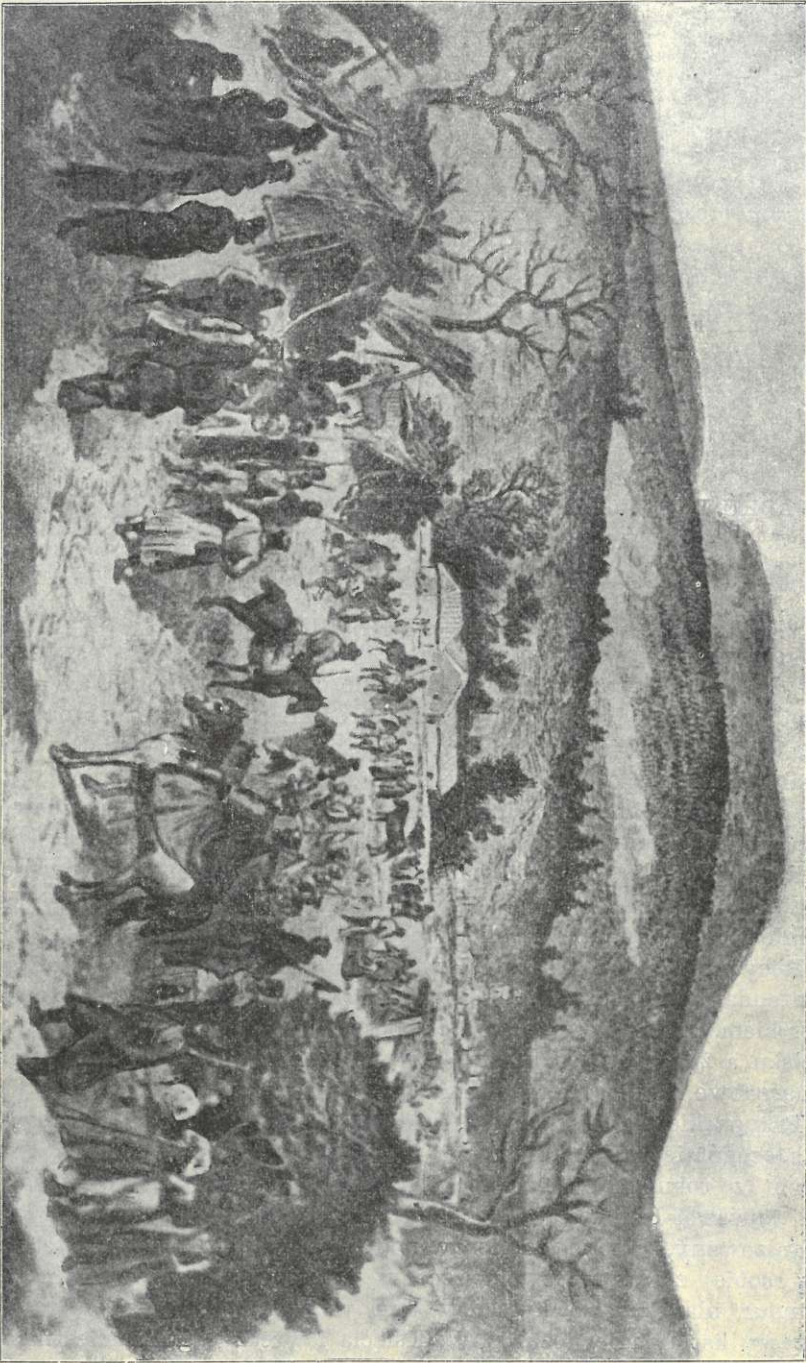
Rosyanin Petrow, rzeczywisty Radca stanu, ożeniony z córką generała-intendanta Pogodina, po którym wziął donacyjny majątek Osiek w Sandomierskiem, miał być w tej robocie pośrednikiem. Sam on mówił dobrze po polsku a żona jego odznaczała się gorącym patryotyzmem polskim i na cele narodowe nie szczędziła pieniędzy.

Przypadkiem znalazłszy się w obozie Langiewicza, był Petrow świadkiem szczególniejszej manifestacji. Słyszał jak przy obiedzie w Staszowie weteran z roku 1831 Krzesimowski wznioł toast: „Za wolność Polski! Niech żyje król Konstanty!“ widział oddział dobrze jak mu się zdawało, z organizowany, liczny, żołnierzy dobrze żywionych i odzianych, spotkał znaną sobie z dawniejszych czasów „Anusię“ Pustowójtównę, ubraną w mundur ułański i, zachwycony tem wszystkim, podjął się zawieźć do Warszawy list Langiewicza do W. Księcia i wręczyć go Namiestnikowi.¹⁾

Na tem urywają się dalsze wiadomości. Treść pisma pozostała dotąd i pozostanie zapewne na zawsze tajemnicą.

¹⁾ Berg, l. c. tom II. str. 376.

Przypuszczać można tylko tyle, że Langiewicz, znając przychylne dla Polaków usposobienie W. Księcia i ambitne jego zamiary, widział, całkiem



Nr. 83. Obóz Langiewicza pod Michałowicami.

słusznie zresztą, w nawiązaniu bezpośrednich stosunków z Namiestnikiem, możliwość korzystnego rozwiązania kwestyi polskiej.

Jakoż rzeczy układały się w chwili obecnej dla kombinacji tego rodzaju wcale pomyślnie.

Prądy liberalne, objawiające się silnie w społeczeństwie rosyjskiem od czasu śmierci Mikołaja I. reforma włościańska, która nową zdawała się otwierać przyszłość, wreszcie rewolucyjna propaganda Hercena i Bakunina budziły w inteligentnych warstwach daleko sięgające nadzieje.

Rozumiano tam, że nadchodzi pora gruntownego przeobrażenia Rosyi, obalenia despotyzmu i wzniesienia na gruzach dawnego porządku jakiejś bliżej nieokreślonej nowej, naród do swobody tęskniący, uszczęśliwiającej budowy społecznej i państwowej.

Przeczcucie i oczekiwanie katastrofy było zatem powszechne, niechęć i nienawiść do rządu ogólna.

Na to przyszło powstanie polskie, z sympatją powitane przez żywioły postępowe, pogłoski o utworzeniu legionu rosyjskiego, według projektu Bakunina, spiski wojskowe, wrzenie rewolucyjne w armii.

Rząd znalazł się w położeniu niezmiernie kłopotliwem i trudnem. Przeceniając siłę stronnictwa rewolucyjnego w Rosyi, zaniepokojony objawami życzliwości, jaką okazywała zagranica Polsce i Polakom, trapiiony obawą wojny, do której nie był zupełnie przygotowany i której oczywiście pragnął uniknąć, wahał on się w wyborze środków i popadał z jednej ostateczności w drugą.

Raz chciał powrócić do systemu Mikołajowskiego, powstanie siłą zgnieść, reformy udzielone Królestwu cofnąć, postrachem i grozą utrzymać spokój. Myśl tę popierali oczywiście „Samobytnicy“ i z ich to naprawy, a może i za zachętą z Berlina, postanowiono obrać tę drogę jako najprędzej wiodącą do celu.

Wykonaniu takiego planu stał na przeszkodzie tylko W. Książę, którego należało wpierv usunąć, co jednak, ze względu na jego stanowisko i najbliższe pokrewieństwo z cesarzem nie było wcale rzeczą łatwą. Wysłano zatem do Warszawy hr. Aleksandra Adlerberga, ministra dworu i osobistego przyjaciela Aleksandra II. z poleceniem, aby skłonił W. Księcia do ustąpienia. Ale misya nie powiodła się a cesarz niechciał postąpić z bratem tak jak z pierwszym lepszym generał-gubernatorem, którego w razie potrzeby usuwano bez ceremonii.

Tymczasem rzeczy szły swoim torem; powstanie trwało i wzmagало się nawet, dyplomacya europejska zaczynała się interesować sprawą polską. Anglia wysłała dnia 2. marca notę do Petersburga, w której żądała wykonania traktatów wiedeńskich czyli przywrócenia Konstytucyi nadanej Królestwu przez Aleksandra I. w roku 1815 i zaprosiła Francję i Austryę do wspólnego w tym kierunku działania.

Ta szczególniejsza gorliwość gabinetu londyńskiego nie wynikała bynajmniej z sympatyi dla Polski, jak u nas sobie wtedy wyobrażano, lecz z pobudek czysto egoistycznej natury. Angielscy mężowie stanu pragnęli wciągnąć Napoleona III. do akcji po to, aby go poróżnić do reszty z Rosyą, wiedząc dobrze że on nie uznaje stypulacyj kongresu wiedeńskiego, stawali mimo to na gruncie przez ten Kongres stworzonym i tym sposobem zamiast ułatwiać utrudniali współdziałanie Francyi.

Jakoż Napoleon III. zrozumiałwszy zamiary swoich angielskich przyjaciół chwycił się innej taktyki, doradzał w Petersburgu, aby Rosya nie cze-

kając na wspólne wystąpienie mocarstw, przywróciła konstytucję Królestwu z roku 1815¹⁾, a w liście do cesarza Aleksandra II. pisany w pierwszych dniach marca doradzał utworzenie z Kongresówki niezawisłego Królestwa pod berłem W. Księcia Konstantego.

Odpowiedź Aleksandra była odmowna, w tonie chłodna, ale rada w liście zawarta, sprawiła pewne wrażenie.

Silne jeszcze wówczas stronnictwo liberalne, bardzo rozumna i bardzo wpływowa stryjanka cesarza, W. Księżna Helena Pawłówna, informowana dokładnie o sprawach polskich przez pp. Kalerdżi i Kellerową, powstrzymała Aleksandra II. na razie od reakcyjnych zamiarów.

Nastąpił więc zwrot. Zaczęto brać pod rozagę możliwość interwencji mocarstw zachodnich i utworzenia niepodległego państwa polskiego pod berłem Księcia z obcej dynastyi.



Nr. 84. Widok Michałowic podczas pobytu powstańców.

Wszak nie było tajemnicą, że są już gotowi do tego kandydaci, że Francya ma w zanadru Księcia Napoleona, że w Galicyi mówią głośno o Arcyksięciu Maksymilianie.

Czyż nie lepiej będzie zatem, skoro odbudowanie Polski jest już nieuniknionem a przynajmniej bardzo prawdopodobnem, oddać koronę Jagiellońską Księciu rosyjskiemu i mieć w nim życzliwego sąsiada i w razie potrzeby wiernego sprzymierzeńca?

To przekonanie sprawiło, że W. Księcia pozostawiono w Warszawie, że usunięto z głównego dowództwa generała Ramsaya powierzono je Namiestnikowi i że niebawmie miano ogłosić niepodległość Królestwa pod panowaniem Konstantego.²⁾

W takim składzie rzeczy dalsze trwanie powstania i powodzenie Langiewicza zgadzało się z widokami W. Księcia. Z tym dyktatorem bowiem,

¹⁾ Depesza do Ks. Montebello, ambasadora w Petersburgu; *Materyały*, tom I. str. 65.

²⁾ Por. Przybor. *Dzieje 1863 roku*, tom II. str. 161.

piastującym najwyższą władzę, było porozumienie i uspokojenie kraju o wiele łatwiejszem niż układy z tajnym, wielogłowym i w działaniu swoim nieobliczalnym Rządem Tymczasowym.

Czy próbowano z Langiewiczem zawiązać stosunki, zdaje się że tak, skoro dyktator korespondował z W. Księciem i rozpoczynając ostatnią kampanię swoją z Goszczy był pełen najlepszych nadziei. Jego klęska, a zwłaszcza uwięzienie i internowanie, niweczyły ambitne zamiary Konstantego, sprawadzały sprawę polską na fałszywe tory i zadawały [cios śmiertelny systemowi Wielopolskiego i autonomii Królestwa.

Wina za to wszystko spada w równej mierze na oba stronnictwa: na Czerwonych, którzy przeceniali siły własne i wierzyli w pomoc i potęgę europejskiej rewolucyi, na Białych, bo przez swoją inercyą i miękkość nie umieli ani ruchu powstrzymać ani wyzyskać wyjątkowo korzystnego położenia, a gdy katastrofa nad krajem zawisła, szukali, mimo tylokrotnie doznanych już zawodów, ocalenia w zagranicznej interwencji.

Jakoż na początku marca nie były te nadzieje pozbawione pewnej podstawy. Nagle bowiem, po odmownej odpowiedzi rosyjskiej na notę angielską i propozycję Napoleona III., zaczęła się sprawą polską żywo interesować Austria.

Wypadki w Królestwie dotyczyły to mocarstwo bezpośrednio, nie tylko ze względu na Galicyę ale i z obawy o przyszłość państwa. Kompromis polsko-rosyjski podobnie jak i utworzenie niepodległego Królestwa polskiego zagrażały poważnie bezpieczeństwu i całości Habsburskiej monarchii. Łatwo dało się przewidzieć bowiem, że Rosya, pogodzona z Polską i sprzymierzona z Francją może dyktować prawa Europie, a Królestwo polskie z sekundo-geniturą rosyjską będzie dążyło do odzyskania zaboru austriackiego i pruskiego.

Takiemu niebezpieczeństwu mógł wprawdzie zapobiedz poniekąd alians prusko-austriacki, ale podobnej kombinacyi sprzeciwiała się zakorzeniona w Wiedniu i uzasadniona nieufność do Prus, współzawodnictwo Habsburgów z Hohenzollernami w Niemczech i polityka cesarza Franciszka Józefa, zmierzająca w tym czasie do uzyskania korony niemieckiej i do utrwalenia hegemonii austriackiej nad wielogłową Rzeszą niemiecką.

Jeżeli zaś sojusz z Prusami był niemożliwym, nie pozostawało nic innego jak tylko porozumienie z Francją na gruncie kwestyi polskiej, oczywiście pod warunkiem, że zostanie ona rozwiązana z korzyścią dla Austrii.

Z tego też zapewne powodu wezwano nagle Ks. Ryszarda Metternicha, ambasadora austriackiego w Paryżu do Wiednia.¹⁾ Metternich, syn byłego kanclerza cieszył się szczególniejszemi względami tak cesarza Napoleona jak i cesarzowej Eugenii, która żywo interesując się sprawą polską, poruszyła ją w przygodnej z ambasadorem na balu rozmowie i otrzymała od niego odpowiedź przychylną. Nazajutrz wezwał do siebie cesarz Metternicha. Nastąpiła długa konferencya a skutkiem jej był wyjazd ambasadora do Wiednia w dniu 12. marca.

Niespodziewane to zdarzenie obudziło największe nadzieje nawet w kołach dyplomatycznych przychylnych Polsce.

¹⁾ Że wezwanie wyszło z Wiednia świadczy cyrkularz ministra Drouyn de Lhuys z dnia 28. marca 1863. *Materyały*, tom V., str. 68.

Minister Walewski mówił do Pawła Popiela, bawiącego wtedy właśnie w Paryżu: „Powstanie to, nie obmyślane, niewczesne, nie wygodne dla polityki cesarskiej; ale powiem Panu, że mimo charakteru awanturniczego, jaki ma obecnie, kwestya polska nie była od rozbiorów, ani w roku 1814 ani w roku 1831 postawiona jako europejska, tak jak dziś. Ażeby zaś Pana o tem przekonać, powiem w zaufaniu, jako ucziwemu człowiekowi, co jest tajemnicą dla całego Paryża, że dziś wieczór Ks. Metternich wyjeżdża do Wiednia z propozycjami cesarza“.¹⁾ Jakkolwiek Walewski nie należał bynajmniej do gorących patriotów i „nie śniło mu się narażać dla Polski swej teki ministerjalnej lub stanowiska Prezesa Ciała Prawodawczego“,²⁾ to nikt chyba nie mógł mu odmówić doświadczenia i znajomości stosunków dyplomatycznych. Jeżeli więc ten mąż stanu wytrawny i chłodny, w tak różowych kolorach przedstawiał stan kwestyi polskiej, to cóż dopiero mówić o łatwo zapalnych umysłach polskich, które w każdym promyku nadziei widziały już słońce zmartwychwstania. Próżne były przestrogi ludzi życzliwych i znających dobrze usposobienie Napoleona III. Długoletni prefekt policji paryskiej Jan Pietri, odsunięty z urzędu za to że sprzeciwiał się awanturze meksykańskiej, udał się do Władysława Mickiewicza i powiedział mu: „W młodości żyłem blisko z Polakami, walczyłem obok niektórych z waszych emigrantów przeciw Ludwikowi Filipowi, czuję dla waszej sprawy najszczerze współczucie. Otóż znam, widuję cesarza i wiem, że wojny dla was nie wypowie Rosyi a bez wojny przepadniecie jak w roku 1831. Zresztą nie moja rzecz dawać wam rady, ale uważałem za obowiązek ostrzedz was, żebyście na Francję nie liczyli, bo strasznie się zawiedziecie“.

Mickiewicz pobiegł natychmiast do Seweryna Gałęzowskiego i powtórzył mu rozmowę, ale Gałęzowski odparł: „Cesarz tak mówi a postąpi inaczej“.³⁾ Nieograniczone zaufanie do Napoleona, wysokie i przesadne wyobrażenie o jego rozumie i sprycie zaślepiały najświatlejsze umysły. Już marny hałas z powodu konwencji prusko-rosyjskiej zdawał się optymistom polskim zapowiadać wielką konflagrację europejską, wojnę o Polskę i dla Polski. Postanowiono więc powstanie podtrzymywać i popierać. Dalsze wypadki, o których niewątpliwie dochodziły wieści do hotelu Lambert, podnosiły temperaturę coraz wyżej. Zdecydowano się wreszcie, pod wrażeniem układów Napoleona z Austryą, na krok stanowczy. Hotel Lambert wydał hasło, aby członkowie Rady Stanu, rad powiatowych oraz miejskich podali się do dymisji na znak, że kraj potępia system Wielopolskiego i że powstanie jest narodowem.⁴⁾

W Warszawie wzdrygano się z początku przed użyciem tak radykalnego środka, który niwecząc wszystkie nabytki autonomiczne nie był niczem innem, jak tylko wypowiedzeniem wojny Rosyi na śmierć lub życie. Niezależni członkowie Rady Stanu, t. j. ci co nie pobierali wcale pensyi, gotowi byli usłuchać wezwania, ale ostatecznie postanowiono wysłać do Paryża Pawła Popiela dla przekonania się czy rzeczywiście dymisya jest konieczną.

Jeden tylko arcybiskup Feliński, zawierzając pogłoskom krążącym po Warszawie, że rząd zamierza nadane koncesye cofnąć i oburzony barbarzyństwem, jakiego dopuszczało się w wielu wypadkach wojsko, podał do

¹⁾ Paweł Popiel, Pisma, tom II., str. 232.

²⁾ Wł. Mickiewicz, Emigracya polska, str. 4.

³⁾ Mickiewicz, Emigracya l. c. str. 38.

⁴⁾ Koźmian, tom II., str. 53.

W. Księcia prośbę o dymisyę. Konstanty zawezwał go do siebie i w słowach serdecznych, a trzeba przyznać, że i w sposób bardzo rozumny, przedstawił mu, jak wielką szkodę przyniesie dla kraju dobrowolne ustąpienie członków



Nr. 85. Aresztowanie Langiewicza.

Rady Stanu, zwłaszcza najwyższego dygnitarza kościelnego i w jak krytycznem, on sam, Namiestnik, będzie położeniu. Natenczas bowiem — mówił — gdy najumiarkowańsi rząd autonomiczny opuszczą i okaże się, że naród

instytucyj, z takim trudem uzyskanych nie ceni, przywróci rząd petersburski dawny system. Arcybiskup przekonany nie upierał się przy dymisji, uparli się jednak inni i ustąpili, mimo telegramu Popiela, który żądał, aby oczekiwano jego powrotu.

Tymczasem wiadomość o podaniu Felińskiego dostała się do dzienników zagranicznych a Księżę Napoleon wspomniał o dymisji Arcybiskupa, jako o fakcie dokonanym w głośniejszej swojej mowie, mianej na posiedzeniu Senatu, w dniu 18. marca, gdzie odpowiadając na wywody Margrabiego La Roche jaquelein, nazwał Wielopolskiego zdrajcą, porównał go z Hudsonem Lowe i generałem Haynauem a w końcu wyraził przekonanie że „cesarstwo francuskie z Napoleonem III. na czele może i powinno wziąć w swe ręce sprawę polską“ i że „cesarz zrobił to i zrobi“.

Nic dziwnego zatem, że Popiel wracając z Paryża pod wrażeniem misji Metternicha i płomiennej mowy „czerwonego“ Księcia oświadczył krótko i węzłowato, że nie pozostaje nic innego jak tylko wszystkim na konia siadać. Sądził on bowiem, że jeżeli szlachta, ryzykując swoje życie i majątki ruszy gromadą do powstania, to uratuje honor narodowy i może skłonić mocarstwa do czynnej interwencji. Myśl była rzeczywiście podniosła ale zarazem niepraktyczna i rozpaczliwa. „Ścisłejsze grono“ krakowskie odrzuciło ją, ale zarazem utwierdziło się w przekonaniu, że popierając powstanie spełnia swój obowiązek.¹⁾

Z takiej dziwnej konkluzji wyniknął ten skutek, że utworzono organizację narodową dla popierania ruchu i nawiązano stosunki z Rządem Narodowym.

W tym samym kierunku szła także polityka hotelu Lambert.

Kiedy po upadku Langiewicza Napoleon III. w rozmowie z Księciem Władysławem Czartoryskim wyraził się, że teraz już wszystko skończone i klęska zdaje się być stanowczą, upewniał go Książę, że rzecz ma się inaczej i że po rozbiciu jednego oddziału ukażą się wnet inne, jeżeli to jest potrzebnem dla ułatwienia działania europejskiego za Polskę, na co cesarz odpowiedział: „A jeśli tak, to co innego, bo oczywiście, gdyby nie było już powstania, znikłby powód wmięszania się mocarstw“. „Wmięszanie“ skuteczne przedstawiało jednak nie małe trudności, które nie mogły być chyba dla Napoleona tajemnicą. Wiedział on dobrze, że Anglia do wojny nie jest skłonną i że przedewszystkiem należy pozyskać Austryę. Tymczasem propozycje, jakie powiódł do Wiednia Metternich były, o ile wznosić można, niejasne, mgliste i zupełnie niewystarczające. Napoleon żądał, aby Austrya odstąpiła Galicyę, jako część przyszłego państwa polskiego i aby Włochom oddała Wenecyę; w zamian za to ofiarował jej Księstwa Naddunajskie, sam zaś wymagał dla siebie uregulowania granic nad Renem. Ówczesny minister spraw zewnętrznych hr. Rechberg miał na to odpowiedzieć,²⁾ że można prowadzić wojnę dla zdobycia jakiejś prowincyj ale nie dlatego, aby prowincyę utracić. Niemniej drażliwą była kwestya prowincyj nadreńskich, bo cesarz Austriacki, dążąc do hegemonii w Rzeszy, musiał się liczyć z narodowem uczuciem niemieckiem i nie mógł żadną miarą pozwolić na rozszerzenie granic francuskich kosztem Niemiec.

¹⁾ Koźmian, tom I., str. 72.

²⁾ Friedjung Heinrich: Der Kampf um die Vorherrschaft in Deutschland im Jahre 1859—1866 Stuttgart 1901. 2 Bände.

Misya Ks. Metternicha nie powiodła się zatem i trzeba było tę przedzę Penelopy snuć dalej. Nalegała na to szczególnie Anglia i rozesłała w tym celu zaproszenia do wszystkich państw, które brały udział w Kongresie Wiedeńskim, aby się upomniały u Rosji o wykonanie stypulacji tam uchwalonych dla Polski. Mocarstwa, z wyjątkiem Prus i Rzeszy niemieckiej, dały się nakłonić rzeczywiście do tej „wielkiej demonstracji“; przystąpiła do niej nawet Austria, podrażniona świeżo traktatem handlowym, jaki zawarł Bismarck imieniem związku cłowego niemieckiego, z Belgią.

Noty były w większej części chłodne. Odwoływano się do wspaniałomyślności cara, doradzano mu umiarkowanie; rząd duński wyraził nawet życzenie, „by Polacy broń złożyli przed wspaniałomyślnością cesarza“.

Bardzo gorąco natomiast przemówił za Polską papież Pius IX. w liście własnoręcznym do Aleksandra II. Użaliwszy się na zamachy rządu rosyjskiego przeciw religii katolickiej od rozbioru Polski, czemu głównie przypisać należy rozwolnienie karności i upadek duchowieństwa, kończy usilnem naleganiem: „Niechaj Najj. Panie, jeśli boleści tego narodu, które się po całej Europie rozległy i poruszyły serca dotąd dla religii obojętne, dojdą do tronu i wnukną aż do wspaniałomyślnego serca Twojego. Jedno słowo Twoje może przywrócić szlachetnemu narodowi utracony spokój i bezpieczeństwo i zatamować nieustanne źródło zaburzeń i niezgód“. Wszystkie te odezwy, wszystkie objawy sympatii dla Polski, rozbrzmiewające głośnie po niezliczonych meetingach w zachodniej i środkowej Europie, nie mogły oczywiście wywrzeć wpływu decydującego na gabinet petersburski tak długo, jak długo nie groziło Rosji niebezpieczeństwo zbrojnej interwencji. Na to jednak nie zanosilo się wcale. Różnorodność zapatrywań na sprawę polską, występująca wyraźnie w notach wyżej wspomnianych, dowodziła, że mocarstwa drugorzędne ani nie są zgodne swojej opinii ani też nie mają zamiaru podejmować krucjaty dla oswobodzenia Polski, a mowa Palmerstona na wielkiem zgromadzeniu w Londynie (dnia 17. marca), gdzie wzywano Rząd do wojny z Rosją, nie dawała bynajmniej nadziei czynnego wmięszania się Anglii w sprawę dla jej interesów obojętną. Niebezpieczeństwo mogło grozić jedynie ze strony Francji.

Jakoż usiłowaniom Napoleona III. powiodło się skłonić Austrię i Anglię do podjęcia dyplomatycznej akcji w Petersburgu na korzyść Polski.

Krok ten, niewątpliwie ważny, mógł wtedy tylko odnieść skutek zamierzony, jeżeli mocarstwa przedstawia rządowi rosyjskiemu żądania konkretne i z należytem naciskiem spełnienia ich domagać się będą. Tak jednak nie było. Noty, co do motywów różne, zamykały się w ogólnikach, rozwodziły się nad koniecznością uspokojenia Polski, ze względu na bezpieczeństwo państw sąsiednich i wzburzenie opinii europejskiej i nadmieniali wreszcie, w tonie mniej lub więcej stanowczym, że sprawa polska może wywołać pożalowania godne komplikacje i zagrozić powszechnemu pokojowi Europy.¹⁾

Rząd rosyjski, zawiadomiony wcześniej o zamiarach gabinetów zachodnich, uprzedził wręczenie not, ogłoszeniem zupełnej amnestyi dla Królestwa i ziem zabranych, dla tych wszystkich, którzy w przeciągu miesiąca t. j. do dnia 13. maja (manifest amnestyjny wydano dnia 12. kwietnia) złożą broń. Wyjęte z amnestyi były przestępstwa prywatnej, kryminalnej natury i popełnione w szeregach wojska. Cesarz zapewniał przy tem, że zachowa

¹⁾ Noty w materiałach, tom V., str. 70—74.

nadane instytucje i przystąpi do dalszego ich rozwoju, a kończy słowami: „ufnością tylko w te zamiary nasze, będzie mogło Królestwo Polskie zagładzić ślady przeszłych swych nieszczęść“.

To była jedyna korzyść, jaką interwencja zagraniczna przyniosła Polsce i Polakom, ale i tu fatalny zbieg okoliczności zmarnował wszystko.

Zachodziło pytanie czy amnestję przyjąć, czy odrzucić? Ci, co lepiej byli obeznani z położeniem, ci co śledzili działania dyplomacy i wiedzieli jak mało można polegać na obietnicach tam, gdzie podstawą wszelkiej akcji jest interes a uczucie i szlachetne popędy najmniejszego nie mają wpływu, ci przemawiali stanowczo za zakończeniem walki. Doradzał przyjęcie amne-

sty Adam Potocki, człowiek gorącego serca i nieposzlakowanego charakteru, popierał jego zdanie Henryk Wodzicki, ale to były jednostki. Ogół, gdy równocześnie nadeszła wiadomość o wysłaniu not zbiorowych do Petersburga i gdy, jak zwykle w takich wypadkach bywa, zaczęły krążyć pogłoski wojenne, o wyładowaniu Francuzów w Tryeście, o wypprawie morskiej na Kronsztad, uważał w tej chwili złożenie broni i zdanie się na łaskę Rosyi za postępek haniebny i niczem nieuzasadniony.



Nr. 86. Karłowicz.
(Ze zbioru pana Jarosława Pieniżka).

Jakto, mówiono, gdy trzy potężne mocarstwa ujmują się za nami, gdy lada moment armia francuska, połączona z austriacką ukaże się nad Wisłą, gdy cały świat cywilizowany powstaje przeciw naszemu ciemnieniu, my mamy dobrowolnie składać broń, którą chwyciliśmy dla odzyskania

niepodległości? Przenigdy. Tak sądziło wielu, niemal wszyscy. Nawet ówczesny zastępca konsula angielskiego w Warszawie, William White, zwolennik Wielopolskiego i potępiający powstanie mniemał, że trzy mocarstwa nie podejmują takiego kroku, jak wysłanie not zbiorowych nato aby nic nieuzyskać i nic nie zrobić. A jednak tak się stało i dziś po pięćdziesięciu blisko latach przyznać należy, że przyjęcie amnestyi przedstawiało jedyne wyjście z fatalnego położenia. Że na przyrzeczeniach, zawartych w manifestie kwietniowym nie można było zupełnie polegać, o tem wiedział i wie każdy znający rząd rosyjski, ale to pewna, że przyjmując amnestję bylibyśmy uniknęli katastrofy i uchronili żywioł polski w prowincjach zabranych od tego strasznego prześladowania, które zniszczyło i przerwało kulturalną i narodową pracę naszą na całym obszarze t. zw. gubernij zachodnich.

W Królestwie zresztą należało się spodziewać, że pod rządami W. Ks. Konstantego i jak długo Wielopolski stał u steru nie będą ani warunki

amnestyi pogwałcone ani też ustępstwa w zakresie autonomii i oświecenia publicznego cofnięte. Ale nad tem nikt się nie zastanawiał, a jeżeli i byli tacy, to milczeli, z obawy przed opinią publiczną, piętnującą zwolenników amnestyi mianem zdrajców Ojczyzny. Rząd Tymczasowy, zreorganizowany po tragicznej śmierci Bobrowskiego, złożony z Agatona Gillera, Oskara Aweydy, Karola Ruprechta i Jana Majkowskiego, którego niebawnie zastąpił Edward Siwiński, nauczyciel w Szkole przygotowawczej, odrzucił stanowczo amnestyę, wychodząc z założenia, że celem powstania nie jest uzyskanie „mniej lub więcej swobodnych instytucyj, która przy rządzie moskiewskim nigdy i żadnej nie przedstawiają rękojmi, ale dla zrzucenia nienawistnego nam jarzma, dla wywalczenia zupełnej niezależności i swobody“.

Odezwa ta, w chwili gdy Rząd, zaprowadziwszy w łonie swoim doskonałą administracyę, według projektu Siwińskiego, rozporządzając wzorowo zorganizowaną policyą pod kierunkiem Jana Karłowicza („Janka Białego“) i Jana Massona zwanego („Jankiem Czarnym“) jakoteż „strażą bezpieczeństwa“, czyli t. zw. „sztyletnikami“ Włodzimierza Lembkego, „organizatora i intendanta miasta Warszawy“, wielkiej zażywał powagi, rozstrzygnęła oczywiście odrazu sprawę amnestyi.

Z Paryża, stamtąd, gdzie się skupiała cała akcyja dyplomatyczna nikt nie zachęcał do złożenia broni, przeciwnie doradzał hotel Lambert aby raz obranego kierunku nie zmieniać i nalegał usilnie na dymisyę członków Rad powiatowych i gubernialnych.

Skąd powstała ta myśl nie polityczna i nieszczęśliwa, trudno dziś odgadnąć. Nie pochodziła ona od rządu francuskiego, bo Walewski, protestował żywo przeciw dymisyi członków Rady Stanu; ¹⁾ mogła się chyba zrodzić w głowach Warszawskich Czerwieńców, ale jaką drogą trafiła do Paryża i zdołała tam uzyskać aprobatę doświadczonych polityków tego wytłumaczyć niepodobna.

Dość, że członkowie Rady Stanu podali się, jak już wspomniano, do dymisyi. Pozostał tylko arcybiskup i przeciwny tej nierozważnej demonstracyi Edmund Stawiski, ale i oni nie na długo.

Na wrażliwy umysł ks. Felińskiego wywierały współczesne wypadki wpływ przynębiający. Poruszyła go do głębi wiadomość o rzezi w Wojsławicach, gdzie rozbestwione żołdactwo, napadłszy na dom hr. Poletyły, członka Rady Stanu, wymordowało bez najmniejszego powodu spokojnych mieszkańców, przeraził nakaz władz, aby chłopci chwyтали powstańców i wogóle ludzi podejrzanych. Krwawe wspomnienia rzezi galicyjskiej stanęły mu żywo przed oczyma. Zwrócił się więc do Wielopolskiego z zapytaniem, co znaczy ów udział chłopów w tłumieniu powstania? Margrabia, za dumny, aby się wdawać w dyskusyę, odpowiedział krótko: „Obecność moja w rządzie jest dostateczną rękojmią, że nic podobnego (do rzezi Tarnowskiej) stać się nie może“.

W. Książę był wyrozumialszy. Tłumaczył arcybiskupowi, że rozporządzenie rządowe ma na celu powstrzymać chłopów od gwałtów, jakich się dopuszczali, napadając na dwory i chwytając spokojnych obywateli. Jakoż stwierdzały to raporty gubernatorów, stwierdzał Ks. Wittgenstein, w liście pisanym do Tęgoborskiego, ²⁾ gdzie zwracając uwagę na samowolę włościan, wyrażał obawę, że w razie dalszej pobłażliwości rządu, powtórzą się w Królestwie wypadki galicyjskie z roku 1846.

¹⁾ Moszyński, według opowiadań Pawła Popiela. Kwartalnik hist. tom IX., str. 156.

²⁾ Wittgenstein: Souvenirs, II., 29.

Ks. Feliński, uspokojony nie nalegał już na przyjęcie dymisji, ale gdy interwencya mocarstw zachodnich zdawała się pewną a powstanie przybierało charakter narodowy, postanowił odnieść się wprost do cesarza. Napisał więc list bardzo piękny, w którym wzywał Aleksandra II., aby ujął kierownictwo sprawy polskiej, uczynił z Polski naród niepodległy, połączony z Rosyą tylko dynastycznymi węzłami i z tem pismem poszedł do W. Księcia prosząc go, aby wysłał list do Petersburga, na co Konstanty całkiem słusznie odpowiedział, że tego uczynić nie może. Po tej odmowie sądził Arcybiskup, że nie pozostaje mu nic innego jak tylko albo list ogłosić albo prosić ponownie o dymisję. O pierwszym nie było mowy, dymisję natomiast otrzymał.

Odtąd zerwały się stosunki pomiędzy W. Księciem a Felińskim, opublikowanie zaś listu do cesarza w paryskim *Monitorze* (przy końcu kwietnia), zdaje się przez nieostrożność hr. Ksawerego Pusłowskiego,¹⁾ zaostriżyło jeszcze bardziej sytuację. Na to przysłała sprawa ks. Agrypina Konarskiego. Schwyty w potyczce z powstańcami i skazany przez sąd wojenny jako kapelan oddziału na śmierć, został on stracony na stokach cytadeli Warszawskiej, bez poprzedniego zdjęcia sakry a zwłoki nieszczęśliwego, przybrane w habit zakonny, pozostawiono jakby dla urągowiska przez cały dzień na szubienicy.

Ks. Feliński, którego dopiero w ostatniej chwili zawiadomiono o egzekucyi, napisał natychmiast protestację do Komisji Wyznań i Oświecenia, przeciw temu niczem nieusprawiedliwionemu pogwałceniu nie tylko praw kanonicznych lecz i powszechnie przyjętych w cywilizowanym świecie zwyczajów publicznej przyzwoitości i zażądał wydania zwłok ks. Konarskiego w celu pochowania ich według rytuałów kościelnych. Że w słusznym oburzeniu nie przebierał w wyrazach i napiętnował barbarzyństwo władz wojskowych to rzecz łatwo zrozumiała, a gołosłowne zarzuty, podniesione przeciw Konarskiemu²⁾ nie mogą bynajmniej usprawiedliwić ohydneho postępowania rządu w tym wypadku.

Opublikowanie listu do cesarza i protest rozstrzygnęły ostatecznie losy Arcybiskupa. Wywieziony do Petersburga i wysłany potem w głąb Rosyi, do Jarosławia przebywał tam ks. Feliński aż do roku 1883 t. j. do czasu koronacyi Aleksandra III. Uwolniony wyjechał do Galicji.³⁾

Tak skończył swój zawód publiczny, gorący patryota, wzorowy kapłan, człowiek o szlachetnem sercu i podniosłym umyśle, który w innych warunkach mógł oddać nie małe usługi sprawie narodowej a stargał swoje siły i zmarnował swoje zdolności w walce, podjętej lekkomyślnie przez niedoświadczonych zapaleńców a podniecanej niesumiennie przez dyplomację europejską.

Zawinił ciężko Czerwieńcy niemniej i Biali, ale stokroć więcej ci, co łudząc nieszczęśliwy naród nadzieją interwencji, ku strasznej popychali go katastrofie.



¹⁾ Pamiętniki ks. Felińskiego, tom II., str. 273.

²⁾ Lisiecki: *Le marquis etc.*, tom II., str. 395.

³⁾ Wiadomości Berga (tom III., str. 221) o pobycie Felińskiego w Gieczynie i Jarosławiu są niedokładne.



Rozdział czternasty.

DALSZY PRZEBIEG POWSTANIA. — ZYGMUNT PADLEWSKI. — ROGIŃSKI — MIELECKI. — WOJEWÓDZTWO LUBELSKIE I AUGUSTOWSKIE. — ZWROT — OPINII PUBLICZNEJ W ROSYI. — KATKÓW. — POWSTANIE NA LITWIE. — NARBUTT. — KS. MAĆKIEWICZ. — SIERAKOWSKI. — WYPRAWA ŁAPIŃSKIEGO.

Gdy tak na szerokiej arenie politycznej ważyły się losy Polski, trwała dalej w głębi lasów i puszczy narodowych beznadziejna walka orężna. Ze wszystkich powstań naszych, jeżeli pominiemy niedorzeczną tragedię 1846 roku, miało ono charakter całkiem odrębny. Kościuszkowską insurekcję i listopadową rewolucję, rozpoczynaliśmy z pewnem przygotowaniem, z zasobem sił, bądź jak bądź, znacznym, z wojskiem regularnem, dowodzonym przez doświadczonych oficerów. W obec zapału i poświęcenia całego niemal narodu, w obec dzielności i sprawności polskiego żołnierza, było zwycięstwo, jak zwykle wątpliwem, ale przynajmniej prawdopodobnem. Wojna, prowadzona w wielkim stylu, miała pewien urok. Jedna wygrana bitwa otwierała hufcom polskim dawne Batorego i Żółkiewskiego szlaki, prowadziła je za Niemen, nad brzegi Dniepru, ku Smoleńskowi i Wielkim Łukom, mogła rozstrzygnąć raz na zawsze kwestyę polsko-rosyjską, losy wschodniej Europy i Słowiańszczyzny. Takie widoki otwierały się przed nami po zwycięstwie pod Wielkim Dębem. W roku 1863 nie było o tem mowy. Mała wojna, czyli tak zwana partyzantka, acz prowadzona z wielką wytrwałością i obfitująca w czyny prawdziwie bohaterskie, nie dawała najmniejszej nadziei zwycięstwa. Hiszpanię mimo o wiele korzystniejszych warunków, jakie przedstawiał ich kraj górzysty, jakby stworzony dla gerylasówki, mimo że wszystkie warstwy społeczne, przejęte nadto fanatyzmem religijnym, chwyciły za broń, byliby niewątpliwie ulegli Francuzom, gdyby nie pomoc Anglii, gdyby nie wojna austriacka w roku 1809 i fatalna dla Napoleona I. wyprawa moskiewska.

Ale tego nikt u nas nie rozważał i nikt nad tem się nie zastanawiał. Biali, przystępując niechętnie do powstania, pokładali swoje nadzieje w interwencji mocarstw zachodnich, Czerwoni liczyli na pomoc ogólnoeuropejskiej

rewolucyi, wierzyli, że „czerniawa chłopska“ pokryje jak mrowie i zgniecie ciężarem swoim całą potęgę najazdu. Jakkolwiek rozmaite przyczyny wywołały ruch w latach 1860—1863, to niewątpliwie dominuje pomiędzy niemi fatalny wpływ Mierosławskiego. Wszystkie przewroty i rewolucye w łonie tajnego rządu, wzajemne niechęci i walki partyjne, pokątne intrygi, terrorystyczne zamachy, powszechne obłąkanie umysłów, były dziełem zwolenników „zmartwychwstałego wodza“, owocem jego niezmordowanej roboty agitacyjnej, tryumfem szalonych i niedorzecznych teoryj, któremi olśniewał nawet swoich przeciwników.

I jeżeli raz w rozgoryczeniu powiedział, że Polska jest kulą u jego nóg, to na odwrót stwierdzić należy, że był on właściwie kulą u stóp Polski, wlokącą nieszczęśliwy naród bezustannie w przepaść nieszczęść i katastrof.

Podjąwszy bezmyślnie teorię partyzanckiej wojny, zainicjonowaną przez smutnej pamięci Zaliwskiego, natchnął on wiarą w zwycięstwo młode pokolenie i stworzył taktykę, niezastosowaną ani do natury kraju ani do położenia narodu. Po nieudanych napadach na załogi rosyjskie zaczęło się tworzenie oddziałów przez ludzi po większej części nieobznajomionych z rzemiosłem wojennem, wśród warunków najniekorzystniejszych w świecie. Skutek był łatwy do przewidzenia.

Zygmunt Padlewski, oficer rosyjski, mianowany wojewodą w Płockiem, zastał tam stosunki wprost rozpaczliwe, partye powstańcze rozbite, obywateli powstaniu niechętnych, stronnictwo ruchu niepowodzeniami dotychczasowymi zupełnie zdemoralizowane, brak broni i ludzi.

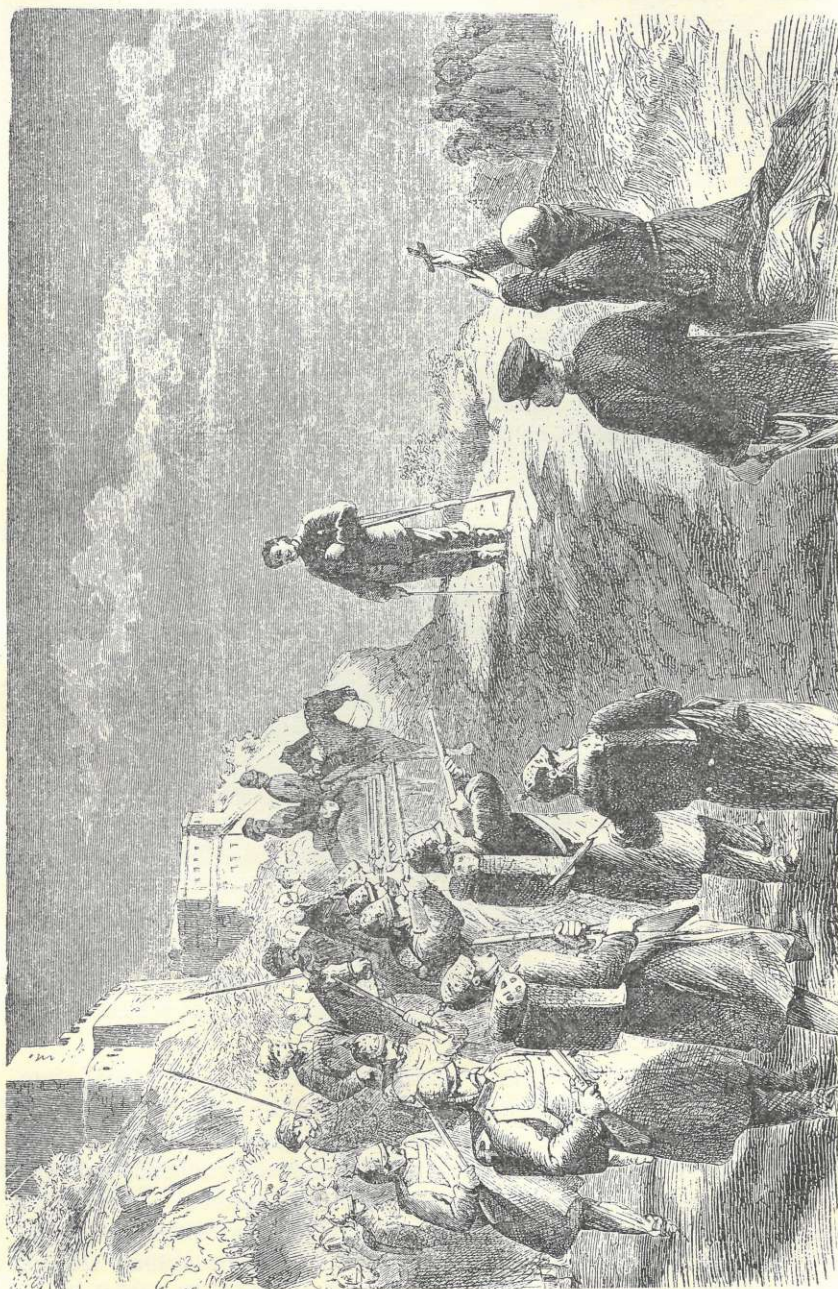
Na jego umysł podniosły lecz wrażliwy, wywarły te okoliczności wpływ przynębiający. Wychowany w tradycjach 1831 roku, pełen zapału i poświęcenia, wierzący w konieczność powstania a nawet z początku i w możliwość zwycięstwa, natura więcej marzycielska niż do praktycznego działania usposobiona, teraz zawiedziony w swoich nadziejach i zanadto rozumny, aby dłużej ulegać złudzeniom, postanowił on walki dalszej zaniechać i wydać rozkaz złożenia broni. Zamiarowi temu przeszkodził, jednak naczelnik powiatu pułtuskiego, Zbigniew Chądzyński (Ludwik Biały) i wymową swoją skłonił Padlewskiego do wytrwania. Odzyskując dawniejszą energię rzucił się Padlewski ku Wschodowi, gdzie pomiędzy Bugiem a Narwią znalazły schronienie oddziały wyparte z Województwa Podlaskiego, pod wodzą Zameczka. Zamiarem jego były siły te skupić i dalej prowadzić walkę. Zameczek nie chciał z początku uznać władzy wojewody, zagnalony rozkazem Rządu Narodowego zgodził się pozornie na wszystko ale po cichu burzył żołnierzy przeciw Padlewskiemu i odegrał podobną rolę jak Jeziorański w obozie Langiewicza.

Tymczasem generał Semeka, wojenny naczelnik płocki, uwiadomiony o licznej partyi Zameczka, urządził skombinowaną na niego wyprawę od Łomży i Płońska.

Padlewski za słaby, aby się mierzyć z tak przeważnymi siłami, ruszył szybko ku Narwi, przeprawił się szczęśliwie przez tę rzekę, poniszczył wszystkie łodzie i promy i forsownym marszem dopadł do Myszynca, miasteczka położonego wśród leśnej puszczy, zamieszkałej przez patryotycznych Kurpiów.

Tu miał nadzieję odpocząć i sprowadzić z pobliskich Prus broń dawno zamówioną i przyobiecana. Ale już po dwóch dniach zaatakował go Wałujew z 4 Kompaniami piechoty i 300 Kozakami. Rozpoczęła się bitwa, w której Padlewski złożył dowody nadzwyczajnej odwagi i determinacyi. Sam pro-

wadził wśród gradu kul Kosynierów do ataku, widoczny z dala, bo nosił biały kożuszek i białą konfederatkę z piórem, miał cały ubiór postrzelony, liczba jednak i broń lepsza przemożły a tylko zapadająca noc ocaliła po-



Nr. 88. Rozstrzelanie Padlewskiego.

wstańców od zupełnej klęski.

Pomimo to położenie było krytyczne ; Rosyanie ścigali oddział zawzięcie ; wśród nieustających marszów i potyczek upadali ludzie ze zmęczenia, tracili

ducha i fantazyę a demoralizacyi dopełniały intrygi Zameczka. Sam Padlewski, znękany niepowodzeniami, zawiedziony we wszystkich swoich nadziejach, po kilku jeszcze niepomyślnych spotkaniach z nieprzyjacielem rozpuścił oddział podążył na czele jazdy w Mławskie (22. marca) i napisał do Rządu Narodowego list z prośbą, aby go przeniesiono do innego Województwa albo też pozwolono wyjechać za granicę. Rząd nie zgodził się ani na dymisyę ani na przeniesienie, a Bobrowski, nie szczędząc Padlewskiemu gorzkich wyrzutów, zaklinał do wytrwania. Pozostał więc i, otrzymawszy wiadomość, że z Prus zachodnich wkroczy w Płockie oddział i będzie go oczekiwać we wsi Radzikach Małych nad Drwęcą, pojechał na miejsce oznaczone. W drodze jednak został pojmany przez podjazd kozacki, odesłany do Płocka i tu za wyrokiem sądu wojennego rozstrzelany dnia 15. maja 1863 roku. Zginął spokojnie i odważnie, jak dobry chrześcijanin i bohater.

W Województwie Podlaskiem po krwawych bitwach pod Węgrowem i Siemiatyczami pozostała tylko garstka powstańców (230) pod dowództwem Lewandowskiego i Rogińskiego. W Wysokiem Mazowieckiem rozdzielili się obaj: Lewandowski z 80 ludźmi wrócił na Podlasie a Rogiński z większą częścią postanowił udać się do Białowieskiej puszczy i pod osłoną tych odwiecznych borów prowadzić partyzantkę z lepszym niż dotąd powodzeniem.

Zamiar, z założenia trafny, nie powiódł się jednak, bo Rogiński, napadnięty przez generała Nostitza poniósł klęskę przez własną nieostrożność, pod Królowym Mostem, w głąb puszczy przedrzeć się już nie zdołał i ruszył na Litwę, zapewne w nadziei, że wznieci tam powstanie. Jakoż z początku wiodło mu się nieźle, zabierał po drodze kasy rządowe, rozbrajał zaskoczone z nienacka drobne posterunki po miasteczkach, ale zapалу nie wzbudził i poparcia nie znalazł, Litwa nie była wcale przygotowana do powstania a garstka lichu uzbrojonych straceńców nie mogła porwać mas, którym tylko imponuje siła.

Wtedy Rogiński rzucił się ku Pińszczyźnie, w nadziei że w tych bagnistych i niedostępnych okolicach znajdzie schronienie i pomoc, że, odpocząwszy i zorganizowawszy swój oddział, będzie niepokoił nieprzyjaciela a w najgorszym razie, pójdzie dalej na Wołyń. Zamiar to był, w całym tego słowa znaczeniu szalony i mógł powstać i chyba w głowie młodego marzyciela, niemającego zgoła pojęcia o stosunkach w kraju i o wojnie w ogóle.

Nic dziwnego zatem, że ci co znali lepiej położenie, odłączyli się od Rogińskiego a on sam z garstką pozostałych poszedł dalej w kierunku Pińska. Tu nastąpiło rozczarowanie.

Szlachta, niechętna powstaniu odmówiła pomocy, mieszczaństwo, nieorganizowane zachowało się obojętnie, ludność wiejska niechętnie. Tymczasem Rosyane szli w ślad za oddziałem i dopadłszy powstańców pod Borkami rozbili ich zupełnie, mimo dzielnej i prawdziwie bohaterskiej obrony. Rogiński z kilkunastoma towarzyszami błakał się jeszcze czas jakiś nad Prypecią i został wreszcie niedaleko Turowa pojmany. Odesłano go do Warszawy i skazano oczywiście na śmierć ale za wstawieniem się generała Nostitza zmieniono wyrok na wieczne zesłanie w Sybir, Po latach 35 powrócił Rogiński w skutek amnestyi do kraju i opisał dziwne swoje przygody w ciekawym pamiętniku.¹⁾

¹⁾ Pamiętniki Romana.

W Województwie Podlaskiem jeszcze przed katastrofą, która spotkała Lewandowskiego, pojawił się oddział Lelewela.

Głośny ten później dowódzca, pochodził z Krakowa, nazywał się Marcin Borelowski, był z zawodu studniarzem i przeniósłszy się do Warszawy brał bardzo żywy udział w ruchu narodowym, drukował, jak już wspomniano odezwę Gillera, wysyłał rzemieślników dla propagandy rewolucyjnej na prowincję i zyskał sobie w ten sposób pewien wpływ i znaczenie wśród organizacji. Mianowany teraz pułkownikiem, chociaż nie posiadał ani wykształ-



Nr. 89. Lelewel. Kruszewski. Czachowski. Rogiński.

cenia ani najmniejszego wyobrażenia o wojskowości, zebrał około 400 ludzi, uzbrojonych po większej części tylko w drągi i kosy, zajął miasteczko Łukow i, porozumiawszy się z Lewandowskim ruszył w Lubelskie, gdzie miała na niego oczekiwać broń sprowadzona z Galicyi.

Wyprawa jednak, najnieudolniej prowadzona, chybiła zupełnie. Lelewel rozбитý pod Adamkiem, uszedł w lasy Lubartowskie, gdzie zajął się reorganizacją oddziału, do czego z natury posiadał talent wrodzony.

Podobny los spotkał także dwie partye Lubelskie: dzierzawcy Bogdanowicza i lekarza Neczaja, Rusina, Bogdanowicz został roztrzelany w Lublinie (dnia 6. marca), Neczaj w Krasnymstawie (dnia 19. marca).

Na lewym brzegu Wisły, w Województwie Kaliskiem, pozostał po klęsce Mierosławskiego, Mielęcki z oddziałem liczącym do 600 ludzi, lekarz Józef Dworzaczek i Oksiński. Wszystkie te siły, razem wzięte, dochodziły do 1300 lichu uzbrojonych i niewyćwiczonych powstańców. Mimo to wojenny organizator Województwa, Bronisław Rudzki, były porucznik huzarów rosyjskich, człowiek młody, energiczny i zdolny powziął śmiały plan, który polegał na tem, aby przeciąć komunikację pomiędzy garnizonami rosyjskimi, ułatwić przeto dowóz broni i pomoc w ludziach z Wielkopolski, gdzie pracował gorliwie Komitet pod przewodnictwem hr. Jana Działyńskiego nad popieraniem powstania, wzmocnić się na siłach, uderzyć potem jednocześnie na Konin i zdobywszy to miasto, powołać pod broń pospolite ruszenie na całym pruskiem pograniczu Królestwa.

Wobec oczywistego niedołęstwa generała Brunnera, głównodowodzącego w Województwie Kaliskiem, był to zamiar podobny do wykonania, ale trudny już to dla słabości sił powstańczych, już też dla wrogiego usposobienia chłopów, którzy w tej części kraju chwytały pojedynczych powstańców, napadali na dwory i grozili rzezią szlachty. Zresztą skombinowany pomysł Rudzkiego wymagał ścisłości i niezmierniej energii w działaniu do czego zaimprovizowani dowódcy oddziałów wcale nie byli zdolni. Pierwszy uległ rozbiciu Dworzaczek, wskutek własnej nieostrożności i braku doświadczenia a niebawmie ten sam los spotkał także Oksińskiego, który jednak wymknął się szczęśliwie z oblawy i opuścił Województwo Kaliskie.

Mielęcki wsparty tymczasem doskonale uzbrojonym oddziałem Poznańczyków pod wodzą emigranta Antoniego Garczyńskiego, majora z Kozaków sultańskich, rozporządzał siłą wcale poważną. Niestety zaszło natychmiast pomiędzy nim a Garczyńskim nieporozumienie. Garczyński opuścił obóz i udał się ku granicy pruskiej, Mielęcki poszedł za nim. W tej chwili uderzyły na rozdzielonych dwie kolumny rosyjskie: major Dymman z Łęczycy i Moskwini z Konina. Mielęcki zaskoczony w marszu, nie mógł się już połączyć z Garczyńskim, ten zaś z powodu błot i rowów nie zdołał nieść mu skutecznej pomocy. Oba oddziały wyparto za granicę pruską i garstka poznańskiej młodzieży zasłaniająca odwrót zginęła po bohaterskiej walce lub została nikczemnie wymordowana. Rudzki, napadnięty niespodziewanie w domu obywatela Neugebauera przez Kozaków, odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru.

W najdalszym, na północ wysuniętym kącie Królestwa, w Województwie Augustowskiem, rozpoczęły się roboty organizacyjne dopiero w drugiej połowie 1862 roku.¹⁾ Inicjatywę do nich dały odezwy stronnictwa Mierosławskiego, przesłane na ręce Sybiraka Rafała Błońskiego, który, porozumiawszy się z Gillerem i z komisarzem, mianowanym właśnie dla tego Województwa, Józefem Piotrowskim, jał wybadywać ostrożnie usposobienie ludu wiejskiego i duchowieństwa. Praca szła trudno, bo szlachta należała do organizacji białej, chłop polscy byli obojętni, Litwini zachowywali się biernie, a duchowieństwo, zrażone odezwaniami ks. Mikuszewskiego, nie miało zaufania do Komitetu Centralnego. Zwolna jednak, wskutek usilnych zabiegów Błońskiego, Piotrowskiego i trzeciego jeszcze zdolnego agitatora z Warszawy Kamińskiego (nazywał się właściwie Mroczkowski), pękły pierwsze lody, pozyskano dla ruchu obywatela Cyryjaka Akorda, także Sybiraka i zebrano,

¹⁾ Pamiętnik Rafała Błońskiego w zbiorze A. Gillera: Polska w walce. Kraków 1875.

w okolicach Maryampolu, niewielki oddział, nad którym objął dowództwo, Karol Jastrzębski, dymisyonowany oficer rosyjski. Wojaczka jego trwała krótko. Napadnięty niespodziewanie pod Czystą Budą przez dwa szwadrony huzarów, zginął Jastrzębski a powstańcy po krótkim oporze rozprószyli się zupełnie (2. lutego).

Ta klęska sprawiła przygnębiające wrażenie i dopiero po dwóch miesiącach powiodło się Piotrowskiemu utworzyć nową partję pod dowództwem Cybulskiego. Od tego czasu też zaczęło powstanie Augustowskie nabierać więcej siły i znaczenia, zwłaszcza że na czele oddziałów stanęli zdolni wodzowie Paweł Suzin, Audruszkiewicz, Brandt, Szpak a nadewszystko Wawer (Ramotowski). Taki przebieg miała w najogólniejszych zarysach ta dwumiesięczna przeszła kampania. Zawiodła ona wszystkie nadzieje twórców powstania, zniweczyła ich fantastyczne plany, nie poruszyła „chmary Maćków“ i okupiła tysięcznymi ofarami i zniszczeniem kraju niedolęzną interwencją dyplomatyczną, z której, jak z puszek Pandory wylało się na nieszczęśliwą Polskę morze krwi i łez. W mieszaninę się mocarstw zachodnich, połączone z tem niebezpieczeństwem wojny i obawa przed rewolucją wewnętrzną postawiły jednak gabinet petersburski w niezmiernie kłopotliwym położeniu.

Rząd rosyjski wiedział doskonale, że w tym okresie przesilenia, które państwo, osłabione wojną krymską przechodziło obecnie, przy tem powszechnem wrzeniu umysłów i rozstroju objawiającym się w armii, każdy poważniejszy zatarg z zachodem grozi klęską a może skończyć się katastrofą. Postanowił zatem postępować ostrożnie, nie drażnić lecz uspokajać.

W tym duchu wypadła też odpowiedź na noty mocarstw.

Rosya przyznawała, wbrew dotychczasowej swojej praktyce, że uchwały wiedeńskiego kongresu dotyczące Polski „dają punkt wyjścia do dyskusji“, zapewniała, że cesarz Aleksander jest głęboko zasmucony powstaniem polskim i pragnie gorąco uspokojenia kraju a poufnie mówiono ambasadorowi angielskiemu, że system rekrutacyjny, który miał ruch zbrojny w Królestwie wywołać, będzie zaniechany. Odpowiedź ta i ogłoszenie amnestyi dawały, bądź jak bądź, podstawę do dalszych rokowań i mogły uchronić naród polski od późniejszych rozczarowań i nieszczęść. Przeszkodziło temu bezwzględne odrzucenie amnestyi.

Rząd rosyjski chwycił się tymczasem innego środka, zaczął oddziaływać na opinię publiczną. Opinia ta była wtedy na ogół sprawie polskiej przychylna. Dzienniki rosyjskie, nawet gazety oficjalne odzywały się o wypadkach w Królestwie bądź życzliwie bądź z największem umiarkowaniem, społeczeństwo zachowywało się obojętnie. Polska obchodziła je mało a miłość Ojczyzny i uczucie patryotyczne, właściwe tylko narodom kulturalnym i zupełnie uświadomionym, nie odzywało się wcale w tych masach ciemnych, bezmyślnych i przywykłych do bezwzględnego posłuszeństwa. Drzemały w nich nadomiasz instynkty barbarzyńskie: fanatyzm i nienawiść rasowa, które rozbudzone stawały się siłą straszną, nieokiełzaną i niszczącą. Rząd, znając doskonale usposobienie społeczeństwa, chwycił się tego środka.

Zaczęto od podawania patryotycznych adresów do cara.

Pierwszy taki akt wiernopoddania wyszedł od zgromadzenia szlachty petersburskiej, drugi od dumy czyli rady miejskiej w stolicy. Na to hasło posypały się dalsze.

Znany jest całemu światu sposób fabrykowania wiernopoddanych adresów w Rosyi. Na skinienie gubernatora zbiera się Komitet, układa tekst a biada temu, ktoby miał odwagę podpisu odmówić.

Osnowa adresu musi oczywiście odpowiadać intencyom rządu. W tym wypadku chodziło przede wszystkim o wywołanie nastroju patryotycznego. Szlachta petersburskiej gubernii zapewniała więc cesarza, że „nie szczędząc sił i ofiar, w ścisłym związku ze wszystkimi stanami, stanie dla obrony granic cesarstwa“, bo żyje w narodzie rosyjskim „jeszcze ten potężny duch przodków, którzy utworzyli jedność państwową ukochaną naszej Ojczyzny“, a дума petersburska wspomniała już o „nieprzyjaciółach targających się na całość i nierozdzielność państwa, marzących o możliwości oderwania prowincyj, przywróconych do składu monarchii potokami krwi rosyjskiej“.

Nastąpiła w wyobrażeniach i zapatrywaniach ogółu na sprawę polską nagle zmiana, nie dziwna dla nas, którzy w dobie obecnej na podobną spoglądamy ewolucję.

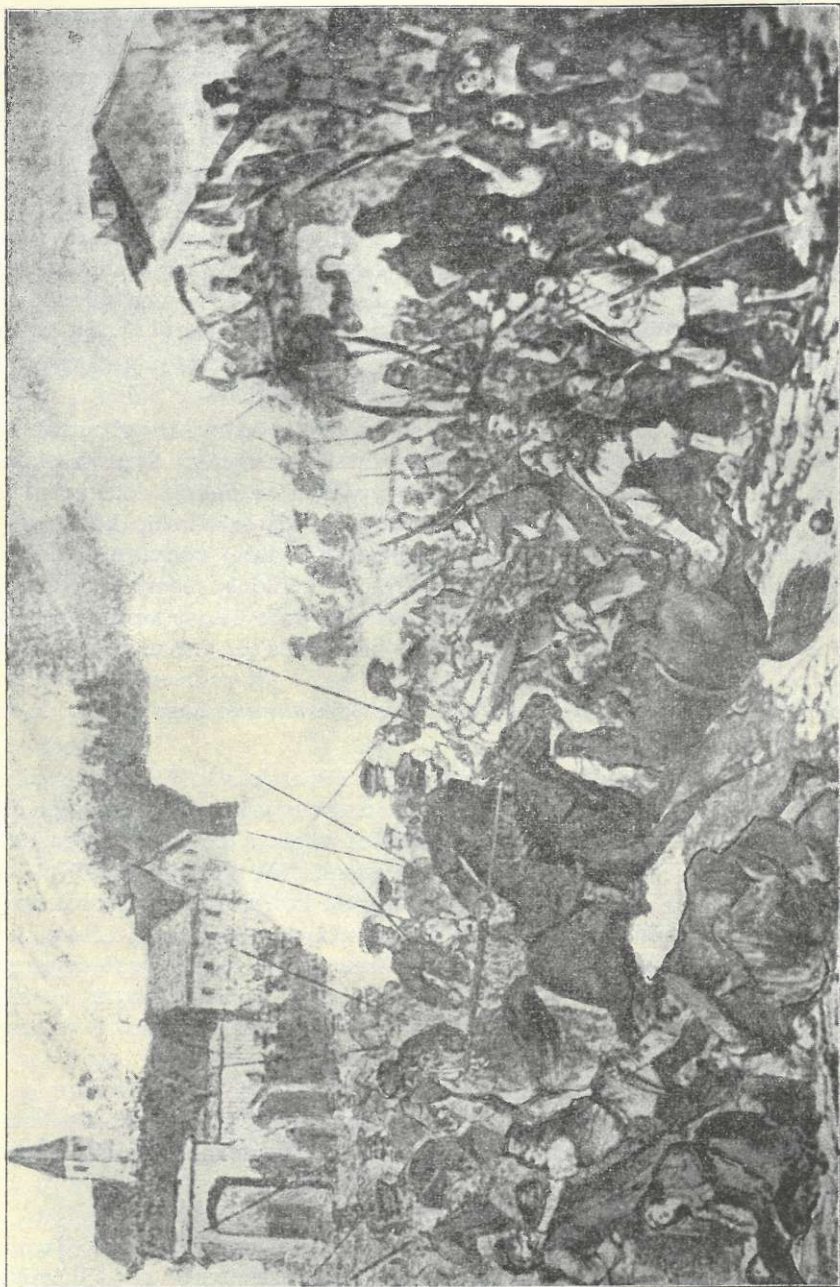
Za głosem opinii publicznej poszła wnet i prasa.

Profesor uniwersytetu moskiewskiego J. N. Katków, redaktor Moskowskich Wiedomości, umiejący i piszący po polsku, dotąd dla nas najprzychylniej usposobiony, skoro poczuł skąd wiatr wieje i jakie są zamiary rządu, przedzierzgnął się nagle w wroga Polaków i rdzennego patriotę rosyjskiego. On co, Polaków niedawno jeszcze stawiał za wzór swoim ziomkom, on co w listach prywatnych wyrażał pragnienie, aby społeczeństwo rosyjskie „przyswoiło sobie choć trochę szlachetnej krwi polskiej“, rozpisywał się obecnie w Mosk. Wied. szeroko o zgniłym społeczeństwie polskim i o zgniłym zachodzie, które dla swego odrodzenia potrzebują świeżej, zdrowej krwi rosyjskiej!

Agitacyjna robota adresowa i zjadliwe artykuły Katkowskiej Gazety odniosły skutek zamierzony, obudziły fanatyzm tłumów i nieznane zgoła tej czerni uczucie patryotyczne, objawiające się nie w miłości dla Ojczyzny, lecz w nienawiści do obcych. Kupiec i muzyk rosyjski, którzy zaledwie wiedzieli o istnieniu Polski i Polaków, oburzali się na samo wspomnienie o jednej i o drugich. Podczas przedstawienia w cesarskim teatrze w Petersburgu opery „Życie za cara“, wygwizdano mazura polskiego, a motłoch wrzeszczał na całe gardło: „Precz z cudzoziemcami! Śmierć Polakom“, w Moskwie zaś obrzucał błotem wygnańców polskich, wysyłanych na Sybir.

Rząd nie poprzestał na tem. Ukazały się proklamacye rzekomo przez rewolucjonistów rosyjskich wydawane, wzywające Rosyan do obalenia rodziny, religii, państwa, własności, zapowiadające spalenie wszystkich miast, fabryk i domów bogatszych właścicieli a w ślad za tem zaczęły płonąć rzeczywiście wielkie miasta jak Tambów, Kaługa, Saratow, Nowogród a wreszcie i Petersburg. Nienawiść tłumów zwróciła się więc nie tylko przeciw Polakom, ale i przeciw całemu stronnictwu rewolucyjnemu, przeciw zwolennikom Hercena i Bakunina. Rząd tryumfował; zdumiona Europa, uwierzyła w żywiołową siłę rosyjskiego patryotyzmu; losy Rosyi i Polski przechodziły w ręce samobytników w rodzaju Milutyna, Czerkaskiego i Samarina; stanowisko Wielkiego Ks. Konstantego w Warszawie było zachwiane; dodany mu na pomocnika gen. hr. Berg, miał zostać jego następcą; na mrocznem niebie litewskiem wschodziła krwawa gwiazda Murawiewa Wieszatela.

Na Litwie, z wyjątkiem nielicznej garstki zapaleńców, nikt nie myślał o powstaniu i nikt go sobie nie życzył. Praca organiczna rozwijała się pomyślnie, duch narodowy, ożywiony ostatnimi wypadkami, wzrastał w siłę,



Nr. 90. Sieniatyce.

szlachta podawała wprawdzie adresy do cara o przyłączenie gubernij litewskich do Królestwa, ale z drogi legalnej nie schodziła, o systemie Wielopolskiego wyrażała się z uznaniem i w ogromnej większości należała do stronnictwa Białych.

Mimo to, pod wrażeniem demonstracji warszawskich, zaczął i tu objawiać się prąd radykalny. W roku 1862 utworzono w Wilnie Komitet litewski, złożony z samych prawie Czerwieńców. Umiarkowani członkowie tej organizacji: Wacław Przybylski i Franciszek Dalewski, teść Zygmunta Sierakowskiego ustąpili niebawnie. Pierwszy, podejrzany politycznie, został przeniesiony do Wologdy, drugi, spiskowiec z roku 1848, ale powstaniu stanowczo przeciwny, usunął się sam z Komitetu, widząc do czego większość zdążyła. Naczelne kierownictwo objęli teraz Ludwik Zwierzdowski, kapitan generalnego sztabu rosyjskiego i Konstanty Kalinowski, zdeklarowani zwolennicy nie tylko ruchu zbrojnego, ale i radykalnej, społecznej rewolucji.

Kalinowski, przejęty teoryami Hercena i Bakunina, jakkolwiek sam pochodził ze szlachty, wierzył jedynie w siłę chłopskiego powstania, herbownej swojej braci nienawidził; twierdził, że „topór nie powinien się zatrzymać nawet nad kolebką niemowlęcia szlacheckiego“. Zapalony zwolennik autonomii litewskiej, drwił sobie „z głupiej Warszawy“ i toczył z nią zawzięte spory o niezależność Litwy wtedy, gdy obie te części Rzeczypospolitej dźwigały jarzmo obce, bez nadziei rychłego wyzwolenia

Szlachta litewska, nie troszcząc się wcale o teorie wygłaszane przez Kalinowskiego i lekceważąc sobie jego szalone pomysły, była przekonana, że ruch da się powstrzymać. Upewniali ją w tym względzie delegaci wysłani w grudniu 1862 roku do Warszawy, upewniał Sierakowski, który w tym samym czasie zjechał do Wilna dla odwiedzenia chorej żony. Ale niebawnie zmieniło się wszystko. Jeden z obywateli litewskich, będąc obecnym na zebraniu członków Komitetu w Warszawie w dniu 18. stycznia, przekonał się, że powstanie jest nieuniknione a gdy odezwał się z przeciwnym zdaniem, pogrożono mu rewolwerem.¹⁾ W ślad za tem przyszła noc z 22. na 23. stycznia i ukazała się proklamacja Rządu Narodowego, wzywająca do broni Polskę, Litwę i Ruś.

„Wiadomość o powstaniu — tak pisze świadek współczesny, raziła jak gromem ludzi sumiennie pracujących nad rozwojem kraju. Widzieli przed sobą straszną klęskę, zmarnowaną pracę lat wielu i dla Litwy nieobliczone w następstwach nieszczęścia.“²⁾ A jednak ulegli. Na zjeździe w Wilnie, dnia 7. lutego, wybrano Komitet z sześciu osób, który miał w porozumieniu z Warszawą, oczywiście z Dyrekcyą Białych, kierować losami Litwy.

W obec znanego nam już stanowiska, jakie zajęli względem ruchu zbrojnego Biali, znaczyło to tyle, co przystąpić w najbliższym czasie do powstania. Jakoż inaczej być nie mogło, skoro Rząd Tymczasowy w odezwie z dnia 29. stycznia oświadczył wyraźnie, że „powstanie Litwy decyduje o zmartwychwstaniu Polski i o śmierci wroga“ a równocześnie prawie ks. Maćkiewicz na Żmudzi, niepytając o pozwolenie Komitetu litewskiego, chwycił za broń i, utworzywszy oddział z chłopów złożony, rozpoczął walkę z najazdem.

Za jego przykładem poszedł wnet (20. marca) Ludwik Narbutt, syn znanego badacza dziejów litewskich, w końcu Sierakowski. Rząd Narodowy zwrócił także baczniejszą na Litwę uwagę. Porozumiewszy się z Komitetem szlacheckim ustanowił „Wydział zarządzający prowincjami Litwy“; mianował sekretarzem do spraw litewskich Wacława Przybylskiego, który po otrzy-

¹⁾ Z ustnych relacji.

²⁾ Materiały, tom wstępny, str. 138.

maniu dymisji z swojej profesury w Wołogdzie powrócił do Warszawy. Równocześnie zawiązano stosunki z Polakami mieszkającymi w Petersburgu, gdzie powstał „oddział zagraniczny petersburski“ pod kierownictwem Józefa Ohryzki, wysokiego urzędnika w ministerstwie skarbu.

Ohryzko, Białorusin z rodu a przytem gorący patriota polski, posiadając rozległe stosunki i wpływy w stolicy, pracował gorliwie dla sprawy narodowej, zbierał podatki od Polaków petersburskich i dostarczał map topograficznych Królestwa Polskiego i Litwy, wykonanych przez sztab generalny rosyjski.

Tymczasem Wydział litewski zaprowadził ład i porządek w organizacyi, Czerwieńców wysłał z Wilna na prowincyę, jako komisarzy lub dowódców, wydał dnia 31. marca płomienną odezwę do Litwinów i oznaczył termin powstania na dzień 30. kwietnia. Ułożeniem planu zajął się Zygmunt Sierakowski. Urodzony w roku 1827 na Wołyniu odbył nauki gimnazyalne w Żytomierzu i wstąpił na wydział prawny w uniwersytecie petersburskim. W roku 1848, zamieszany w jakąś sprawę polityczną został wysłany jako prosty żołnierz do batalionów orenburskich, gdzie dosłużył się stopnia oficera i powróciwszy za amnestyą w roku 1857 zdał świetnie egzamin w Akademii wojskowej. Ówczesny minister wojny Milutyn polubił go bardzo i wezwał go do udziału w pracy nad ułożeniem nowego kodeksu karnego wojskowego. Wysłany następnie do Londynu i Paryża przez rząd, nawiązał tam stosunki z rewolucjonistami całego świata, powrócił w roku 1862 do kraju i wziął dymisję.

Przeciwny powstaniu, które uważał jak wszysej ludzie rozsądni a zwłaszcza wojskowi za przedsięwzięcie niewczesne i lekkomyślne, był jednak przekonany, że kiedyś w odległej przyszłości wybuchnąć ono musi i dlatego brał udział w robotach agitacyjnych, mających przygotować ruch nieunikniony.

Obecnie, omylony w swoich rachubach i zaskoczony wypadkami, poszedł za prądem ogólnym, chociaż w zwycięstwo zapewne nie wierzył. Plan jego polegał na wywołaniu powstania w kresowych prowincyach litewskich. W Mohilewszczyźnie miał rozpocząć działanie Zwierzdowski (Topór), zdobyć park artyleryi, stojący w Mohylewie i całą siłą ruszyć potem w głąb Rosyi, podburzać lud wiejski przeciw rządowi i dotrzeć do Kazania, gdzie Kiniewicz, fantasta w swoim rodzaju, zamierzał wzniecić powstanie Tatarów.

Sam Sierakowski postanowił natomiast skoncentrować istniejące na Żmudzi oddziały, podchwycić twierdzę Dynaburg i pomaszerować do Połagi dokąd miała przybyć wyprawa Łapińskiego, wioząca broń i ochotników z Anglii.

Był to pomysł, na szerokie zakresiony rozmiary, ale do wykonania prawie że niepodobny, na wskroś romantyczny, polegający na przypuszczeniach dowolnych, na nadziejach niczem nie uzasadnionych.

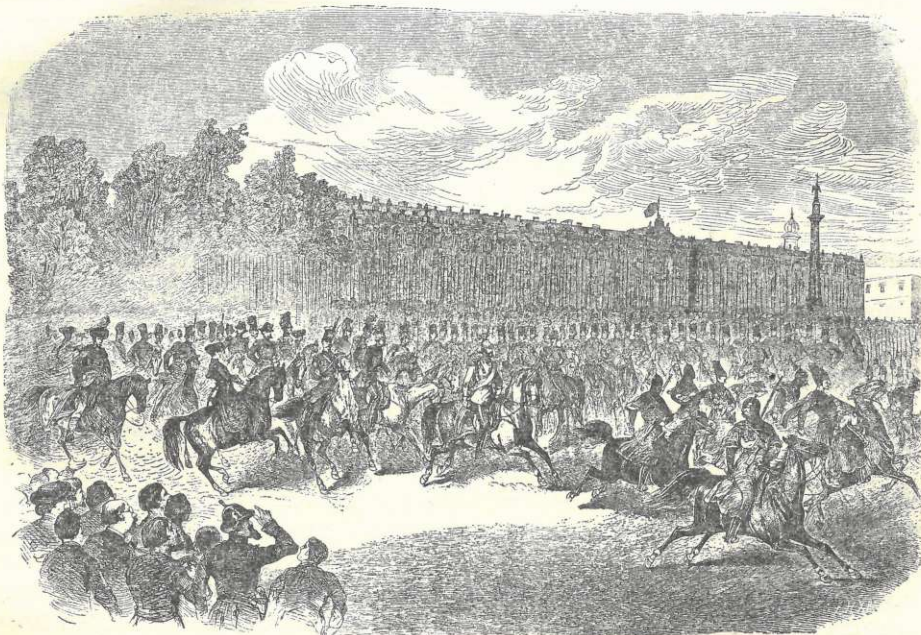
Wydział litewski nie zastanawiał się nadtem. Ufny w zdolności i doświadczenie wojskowe Sierakowskiego, przyjął plan powyższy i wydał stosowne w tym względzie rozkazy. Powstanie w Inflantach miał rozpocząć Leon hr. Plater od napadu na transport broni, wieziony pod słabą eskortą z Dynaburga do Dżisny.

Plater, wtedy dwudziestokilkuletni młodzieniec, widząc dobrze szaleństwo przedsięwzięcia, wahał się długo w końcu jednak, naglony przez komi-

sarza wojewódzkiego, zebrał około 50 ludzi, uderzył na transport i zabrał go. Ale równocześnie chłopcy rosyjscy, osiedleni w tej okolicy jeszcze za czasów Piotra Wielkiego, t. zw. Burlacy, czy to przez władze podburzeni, czy też z nienawiści ku Polakom i szlachcie w ogóle, rzucili się na dwory, pałac, rabując i odstawiając zbitych i powiązanych mieszkańców do Dynaburga.

Ofiarą tej rabacji padło 37 majątków polskich i niemieckich. Pomiedzy pojmanymi znajdował się także dowódca oddziału Krzesławskiego Leon hr. Plater.

Równie tragiczny koniec wzięło także krótkotrwałe powstanie w Mohylowszczyźnie, z tą tylko różnicą że Zwierzdowski zdołał uciec szczęśliwie za granicę.



Nr. 91. Przegląd wojska wysłanego do Polski w Petersburgu.

Na Litwie, w okolicach Lidy, został rozбитý (11. kwietnia) oddział Narbutta pod Dubiczami a dowódca poległ śmiercią bohaterską.

Dłużej cokolwiek i z większym początkowo powodzeniem, trzymał się Sierakowski, głośny pod dobranem imieniem Dołęgi.

Zebrawszy w okolicach Kiejdan drobne oddziały: Kołyszki, ks. Maćkiewicza, Kozakowskiego i Lutkiewicza, i z organizowawszy je doraźnie, pobił, wysłaną z Wilkomierza kolumnę kapitana Kawera i tem zwycięstwem, nieznacznem zresztą, wzniecił wielki zapal wśród ludności żmudzkiej. Ściągnęli się też do niego licznie ochotnicy, Dominik Małecki, były oficer rosyjski przyprowadził swoją partyę i niebawem miał Sierakowski około 2500 ludzi.

To nagromadzenie znaczniejszych sił w jednym miejscu, sprzeczne z zasadami wojny partyzanckiej, dawało wprawdzie chwilowe korzyści, ale zawsze kończyło się klęską jak tego dowodził przykład Langiewicz. Jakoż

Nazimow dowiedział się o bandzie Sierakowskiego, którą przesadnie obliczano na 20.000, o tryumfalnym pochodzie nieznanego Wojewody Dołęgi na Żmudzi i o zapale ogarniającym Żmudzinów, wysłał przeciw groźnemu nieprzyjacielowi generała Ganeckiego. Ten, zabrawszy po drodze część garnizonu Wilkomirskiego i Rogowskiego, ruszył mniej więcej z 1500 ludzi, aby Dołędze zagrozić drogę do Libawy i Połagi i spotkał się z powstańcami niedaleko historycznych Birż. Tu przyszło dnia 7. maja do bitwy.

Sierakowski, zajmując korzystną pozycję odpierał przez kilka godzin nieprzyjaciela i zadał mu wielkie straty, ale przy końcu walki raniony musiał zdać dowództwo swemu szefowi sztabu Ignacemu Laskowskiemu i szukać schronienia we dworze w Skrobiszkach. Tu został ujęty i przewieziony do Wilna.

Oddział, pozbawiony dowódcy, rozprószył się. Do klęski przyczynił się nie mało ks. Maćkiewicz, który mimo rozkazu Sierakowskiego zapóźno przybył pod Birżę.

Katastrofa birżańska zadała cios śmiertelny litewskiemu powstaniu, bo drobne oddziały, jakie jeszcze pojawiają się od czasu do czasu w głębi niedostępnych borów, nie mają żadnego prawie znaczenia.

Zawiodła równie wyprawa Łapińskiego do Żmudzi.

Organizował ją, z polecenia Rządu Narodowego w Anglii Józef Ćwierczakiewicz, a dopomagali mu w tem: Hercen, Mazzini i Bakunin. Mazzini okazał wiele gorliwości; on i jego przyjaciele ofiarowali się dostarczyć statek włoski z kapitanem i załogą, na których, będą się Polacy mogli spuścić zupełnie. Ćwierczakiewicz jednak poszedł za radą Herzena i wynajął okręt Ward Jackson, należący do towarzystwa londyńskiego, które zobowiązało się kontraktem wylądować na Żmudzi. Dowództwo nad oddziałem, dobrze uzbrojonym, liczącym 854 ludzi objął Łapiński „typ emigranta o sumieniu zszarganem długą włóczęgą”; na pokładzie znajdowali się Demontowicz, Komisarz Rządu Narodowego, Władysław Mickiewicz który postanowił puścić się na Litwę i Armand Levy, mający ułatwiać stosunki z prasą dla popierania usiłowań polskich. Wszystko to działo się bez należytej ostrożności.

Wsiadających na statek ochotników zębały tłumy angielskiej publiczności (21. marca) oklaskami a Łapiński wziął sobie na Sekretarza niejakiego Polesa, który, jak później się okazało, był niewątpliwie agentem i szpiegiem rosyjskim.¹⁾ Rząd rosyjski miał więc bez wielkiego trudu dokładną o ekspedycji wiadomość. W cztery dni później zawinął Łapiński do portu Szwedzkiego w Helsingborgu, gdzie otrzymał depeszę z poleceniem, aby zanim się puści w dalszą drogę, wysłał emisaryuszów dla wywiadu.

Mickiewicz pojechał do Sztokholmu, za nim Bakunin, później Demontowicz z wiadomością, że kapitan okrętu uciekł a Łapiński włóczy się po szynkach i pije.

W tak opłakanem położeniu chciał Mickiewicz Łapińskiego usunąć z dowództwa i, spuszczając się na łaskę Bożą, płynąć dalej ku Żmudzi, a gdy Bakunin sprzeciwił się temu i radził czekać, napisał protest i zażądał dymisji. Nadto powstały nieporozumienia i kwasy pomiędzy Mickiewiczem, Bakuninem, Ks. Konstantym Czartoryskim, agentem dyplomatycznym polskim i jego sekretarzem Waleryanem Kalinką. Demontowicz odniósł się do Rządu

¹⁾ *Materyały*, tom V., str. 330.

Narodowego, który polecił przy dowództwie utrzymać Łapińskiego.¹⁾ i dał mu rozkaz, aby jak najszybciej dotarł do brzegów żmudzkich.

Ale na to nie było już czasu, bo rząd szwedzki, wskutek reklamacji posła rosyjskiego, zasekwestrował statek angielski. Część ochotników puściła się z Łapińskim na morze. Tu spotkała ich burza 24 (8 Polaków, 11 Francuzów, 3 Włochów, 2 Szwajcarów) utonęło, reszta powróciła na brzegi szwedzkie a stamtąd do Anglii.²⁾

Stało się to w połowie czerwca tj. wtedy, gdy nawet ta marna pomoc nie zdołałaby była już ożywić powstania litewskiego.

Lekkomyślnie i bez przygotowania wzniecone, uległo ono w krótkim czasie przemocy i stało się źródłem najstraszniejszej klęski, jaką kiedykolwiek ponieśliśmy.

W Petersburgu bowiem, ruch, wszczęty w Inflantach i rozszerzający się w dalszym ciągu na Żmudzi i Litwie, obudził wielkie obawy.

Posiadanie prowincyj zabranych, Rusi i Litwy, było i jest dotąd pod stawą potęgi caratu. Rosya, pozbawiona tych rozległych obszarów, powraca do czasów Iwana Groźnego, odepchnięta od Zachodu, staje się państwem azyatyckiem, traci północne wybrzeża Czarnego morza a zniemi razem drogę na wschód, do Konstantynopola, możność wicherzenia na Bałkanach i w południowej Słowiańszczyźnie,

Dla rosyjskiej idei państwowej, dla całej armii czynowniczej, dla donataryuszów, obdarzonych skonfiskowanemi dobrami szlachty polskiej, dla niezliczonej, głodnej rzeszy karyerowiczów wszelkiego rodzaju, amputacja podobna równała się katastrofie.

Łatwo sobie zatem wyobrazić przerażenie sfer rządowych, czynowniczych i arystokratycznych na wiadomość o powstaniu litewskim. Poruszyła ona szczególnie stronnictwo Samobytników, u których pod wpływem Katkowa i jego artykułów w Moskowskich Wiedomościach wzrastał zapal nacjonalistyczny.

Kiedy po napadzie na transport broni pod Krzesławką i po rzeziach, wyprawionych przez tak zwanych Burlaków, naczelnik żandarmeryi w Wilnie, generał Hildebrant nadesłał do Petersburga raport, w którym przedstawiał, że rabunki i gwałty chłopskie mają charakter socyalnej rewolucyi i z tego powodu miano wysłać wojsko dla uśmierzenia starowierców, sprzeciwił się temu zarządzeniu minister dóbr skarbowych Zielenoj, zawzięty wróg Polaków, twierdząc, że Burlacy działali w duchu patryotycznym, z wierności dla rządu i w celu stłumienia polskiego buntu. Opinia Zielenoja otrzymała aprobatę cesarską, i to było pierwsze zwycięstwo Samobytników. Za niem poszły wnet dalsze: usunięcie starego i niedołężnego Nazimowa i wysłanie do Wilna człowieka energicznego celem uspokojenia kraju.

W tym względzie jednak zachodziły niemałe trudności, bo brakowało osobistości, odpowiedniej na tak ważne stanowisko.

Wtedy miał Ignatiew wskazać cesarzowi Murawiewa, a kandydaturę tę jego poparli Zielenoj i Murawiew Karskim zwany, rodzony brat Wieszatela.

Całe stronnictwo postępowe, wszyscy Rosyjni uczciwi i kulturalni, tak zwani Zapadnicy, przyjęli tę wiadomość z największem oburzeniem, nie tylko dlatego, że zamierzona nominacja Murawiewa zapowiadała najzupeł-

¹⁾ Materya, tom V., str. 176.

²⁾ Mickiewicz Wł., Emigracya polska, str. 30.

niejszą reakcyę, ale także i z tego powodu, że znając przeszłość i charakter nowego satrapy wileńskiego uważali jego wyniesienie za akt hańbiący zarówno społeczeństwo jak i rząd rosyjski.

Michał Mikołajewicz Murawiew był bowiem człowiekiem na którego przeszłości — że użyjemy tu słów rosyjskiego pisarza — „ciężyło wiele plam i błota“.

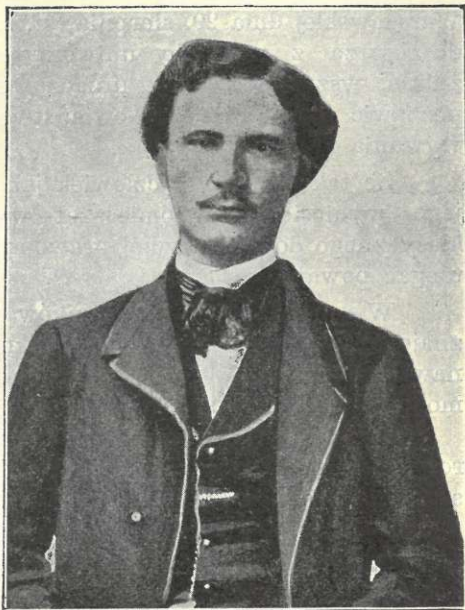
Urodzony w roku 1796, należał do spisku Dekabrystów, wcześniej jednak wycofał się z niego według jednych, według drugich, co jest prawdopodobniejsze, aresztowany zdradził swoich towarzyszy i uzyskał przebaczenie. Jakoż bezpośrednio po tem, w roku 1827 został wicegubernatorem w Witebsku, w roku 1828 gubernatorem w Mohylewie a w 1831 awansowany na generał-majora, wojennym gubernatorem Grodzieńskim. Kto pomni jaką nieubłaganą nienawiścią pałał Mikołaj I. do wszystkich uczestników grudniowego spisku i jak zawzięcie ich prześladował, ten musi przypuścić, że Murawiew nie wahał się poświęcić swoich przyjaciół politycznych dla osobistych korzyści.

Popelnivszyraz czyn nikczemny i zawarłszy kompromis z własnem sumieniem, co mu łatwo przyszło, bo w nie nie wierzył, chociaż w cerkwi się modlił i przed ikonami wybijał pokłony, a uczuć szlachetnych nie posiadał wcale, stał on się typem w Rosyi pospolitym, karyerowiczem żadnym godności a przedewszystkiem pieniędzy, zdolnym do wszystkiego. Mongolski despota, w otoczeniu pochlebców i niewolników, bywał w obec starszych „bardziej cichym niż woda, niższym od trawy, w której pełzał, umiejącym „gnać się we troje“ i schlebiać po mistrzowski, szczególnie gdy chodziło o uzyskanie czegoś dla siebie“¹⁾.

Po krótko trwającej nielascie, wypłynął Murawiew znowu, dzięki poparciu i protekcyi szwagra swego, ministra skarbu Kankrina; został senatorem, członkiem Rady państwa, prezesem w departamencie apanaży, w końcu ministrem dóbr skarbowych. Na tych wpływowych stanowiskach będąc pobierał znaczne pensye a nadto okradał skarb publiczny, gdzie się tylko dało.

Reakcyonista do szpiku i kości był przeciwny usamowolnieniu włościan, co mu nieprzeszkadzało jednak później (w końcu 1863 roku) pisać do M. A. Milutyna, że w całej tej ważnej sprawie (zniesienia stosunków poddańczych na Litwie i pańszczyzny w Królestwie) „winniśmy iść ręką w rękę“.

Takiego człowieka upatrzili sobie Samobytnicy na wielkorządcę Litwy i mimo opozycyi postępowych żywiołów, celu swego dopięli.



Nr. 92. Leon hr. Plater.

¹⁾ Berg, tom III, str. 153.

Kierowała nimi w tym względzie nie tyle może obawa przed utratą prowincyj litewskich, jakby z pamiętników Murawiewa wynikać mogło, bo katastrofa taka, nawet w razie zbrojnej interwencji mocarstw zachodnich, w dalekiej była jeszcze perspektywie, ile nienawiść do Polski i Polaków, a w tej mierze Murawiew nikomu prześcignąć się nie dał.

Jeszcze w roku 1830, będąc gubernatorem Mohylewskim przedłożył on cesarzowi Mikołajowi memoriał, w którym wywodził, że głównie fanatyzm duchowieństwa katolickiego przeszkadza rusyfikacji Litwy i podtrzymuje tam narodowość polską i że należałoby zatem usunąć zakonników i księży w ogóle od wszelkiego udziału w wychowaniu młodzieży, nawet w domach prywatnych a w szkołach zaprowadzić nauczanie wszystkich przedmiotów w języku rosyjskim.

W chwili upadku powstania listopadowego, niemal w sam dzień bitwy Warszawskiej dnia 29. sierpnia (st. s.) 1831 roku. Zwraca on się powtórnie do cesarza z radą, aby uniwersytet Wileński, jako gniazdo wolnomyślności znieść, wszystkie szkoły urządzić na wzór rosyjski i, ceterum censeo, pozbawić koniecznie duchowieństwo katolickie prawa nauczania i wychowywania młodzieży.¹⁾

Że tak przebiegły człowiek jak Murawiew, teraz, gdy chodziło o własne jego wyniesienie, nieomieszkiał wydobyć z pyłów archiwalnych, tego klasycznego dowodu swojej prawomyślności, to zdaje się najmniejszemu nie ulegać powątpiewaniu.

W rozumieniu Samobytników przemawiało więc za nim wszystko: znajomość kraju, nabyta w Witebsku, Mohylowie i Grodnie, fanatyczna nienawiść do żywiołu polskiego i katolicyzmu, wreszcie natura na wskrós mongolska, zdolna do zbrodni wszelkiego rodzaju, krwiożercza i drapieżna.

Takiego narzędzia właśnie, takiego potwora, potrzebowali „patryoci“ rosyjscy z pod znaku Katkowa, Czerkaskiego i Milutyna i znaleźli je w Wieszatelu, na hańbę własną, na hańbę Rosyi.

I stało się. Dnia 13. maja 1863 roku ogłosił Urzędowy Wiestnik nominację Murawiewa na wielkorządcę sześciu litewskich gubernij.

Wyposażony nieograniczoną niemal władzą wyjechał on z Petersburga do Wilna dnia 24. maja, a za nim podążyła ćma awanturników, pijaków i złodzieji, którzy w Litwie, kraju rzekomo od wieków rosyjskim mieli zniszczyć żywioł polski i rozpowszechnić kulturę rdzennie rosyjską.

Rozpoczęła się tak tragi-komedia rządów Murawiewskich, bo komedią przecież było, gdy ten ateusz i obłudnik, co urągał Panu Bogu,²⁾ przed wyjazdem swoim modlił się ostentacyjnie w Soborze Kazańskim całował obraz „cudownej“ Matki Boskiej a, przybywszy do Wilna, natychmiast, otoczony Kozakami, poszedł do cerkwi, aby „pokłonić się męczennikom wileńskim“, komedią, gdy udawał, że cała Litwa płonie buntem, skoro powstanie faktycznie nie istniało.

Ale to kłamstwo i ta obłuda stanowiła podstawę jego działalności. Udając pobożność jednał on sobie fanatyczne duchowieństwo prawosławne, potęgę wielką i wpływową, przedstawiając w najczarniejszych kolorach stosunki litewskie, usprawiedliwiał z góry wszystkie represye i zbrodnie, jakie popełniał lub popełnić zamierzał, racją stanu, rzekomo niebezpie-

¹⁾ Panteliejew: Zakrycie Wileńskiego Uniwersytetu 1909.

²⁾ Berg, tom III., str. 160.

czeństwem, zagrażającemu Rosyi, któremu najsurowszemi środkami zapobiegać należy, w oczach ciemnego tłumu wyrastał na bohatera i zbawcę Ojczyzny.

Przybrawszy taki system, po bizantyńsku zręcznie obmyślany, zastosował do niego całe swoje postępowanie.

Przy przedstawieniu władz wojskowych, cywilnych i duchowieństwa, przemówił ostro do urzędników Polaków, zaznaczając, że tu w Wilnie jest Rosya, radził nieprawomyślnym podać się do dymisji, Marszałkowi gubernii Grodzieńskiej, hr. Starzyńskiemu, za śmiałe jego odezwanie się pogroził szubienicą, luterskiego pastora, zawziętego Niemca witał uprzejmie podobnie jak i rabinów, prawosławnemu duchowieństwu prawił na osobnej audyencji, o doniosłej misji, którą ma spełnić na Litwie a na drugi dzień dopiero przyjął kler katolicki z biskupem Stanisławem Krasieńskim na czele. Tu



Nr. 93. Placówka w obozie Langiewicza.
(Ze zbiorów pana Jarosława Pieniążka).

wylał całą swoją żołąć, zapowiedział, że będzie tępił bez litości spiski i bunty i wyraził nadzieję, że znajdzie pomoc w tym względzie u duchowieństwa katolickiego a w przeciwnym razie pociągnie je do surowej odpowiedzialności. Na uwagę zaś biskupa, że powstania na Litwie właściwie niema, zarzucił Krasieńskiemu, że wyraża się nie należycie i niezgodnie z prawdą; generałowi żandarmów Hildebrantowi dał dymisy, ponieważ ośmielił się twierdzić, że w Inflantach powstania nie było i że Burlacy byli prostymi rozbójnikami i rabusiami.

Po tym wstępie zaczął rządzić. Ustanowił strażę wiejskie dla chwytania „buntowników“ i śledzenia powstańców, co nawiasem mówiąc nie na wiele się przydało, utworzył zarząd wojenno-policyjny i wydał cały kraj na samowolę czynowników i wojskowych.

Instrukcja z dnia 5. czerwca polecała tym kacykom ścigać powstańców, rozbroić cały kraj i oczyścić go od niełojalnych obywateli a to pod najsurowszą odpowiedzialnością.

Skutek był łatwy do przewidzenia. Cała banda rabusiów, przybyłych z Wieszatelem z głębi Rosyi, rzuciła się jak szarańcza na nieszczęśliwą Litwę, łupiąc i okradając Polaków. Warrowa, sprawnik w Powiecie Kowieńskim, potrzebujący wiele pieniędzy na karty i stroje żony, urządzał wprost napady na dwory szlacheckie. Inny, naczelnik wojenny w Powiecie Poniewieskim, zabrał pewnemu ziemianinowi z biurka 60 tysięcy rubli i oczywiście schował do kieszeni. Mniej drapieżny „obrusitiel“, podpułkownik, wysłany przez prezesa izby obrachunkowej Kowieńskiej, Rosyanina Butkowskiego zaczął czynność swoją od piwnic a, znalazłszy tam znaczny zapas wódki i winapil przez dwa tygodnie na umor, nie wychodząc z piwnicy.

Wszystkich jednak przeszedł Dmitrjew, naczelnik wojenny w Tykocinie, który katowanym w swojej obecności ofiarom wkładał korkociąg do ręki, aby dowiedzieć się czy żyją, co oburzyło nawet Murawiewa tak dalece, że kazał go aresztować. Obok tych potworów zasłynęli niemniej z okrucieństwa generałowie Maniukin i Baklanów.¹⁾

Inaczej jednak być nie mogło, gdy cała ta banda „działaczy“, powołanych do uspokojenia Litwy składała się z szumowin społeczeństwa rosyjskiego i gdy każdy z nich wiedział dobrze, że za prześladowanie i tępienie żywiołu polskiego czeka go uznanie i nagroda a najcięższa krzywda wyrządzona Polakowi będzie uważana za zasługę i czyn patryotyczny.

Sam Murawiew zresztą dawał przykład jak postępować należy. Najmilszem jego zajęciem było podpisywanie wyroków śmierci i prześladowanie szlachty i duchowieństwa katolickiego, pierwszą czynnością po objęciu władzy nad Litwą, skazanie na śmierć nieszczęśliwego i szlachetnego Leona Platera. Zatem poszły wyroki dalsze. Dnia 3. czerwca rozstrzelano w Wilnie na Łukiszkach księdza Iszorę, wikaryusza w Załudziu, w pow. Lidzkim za ogłoszenie z ambony manifestu Rządu Tymczasowego. Sąd wojenny skazał wprawdzie ks. Iszorę na 10 lat robót ciężkich w kopalniach na Syberyi, ale Murawiew wyrok zaostrzył, bo chodziło tu przecież o kapłana katolickiego. Podobny los spotkał także ks. Rajmunda Ziemackiego, siedemdziesięcioletniego starca i Wojciecha Laskowskiego, młodego ziemianina z okolic Lidy, pierwszego za ogłoszenie manifestu drugiego, za to że wzywał lud do powstania.

Wreszcie przyszła kolej na Zygmunta Sierakowskiego. Mimo interwencji lorda Napiera i jego żony, mimo wstawienia się Księcia Suwarowa, a nawet, jak twierdzą niektórzy, samej cesarzowej, kazał Murawiew, podburzany nadto przez generała Ganeckiego, nieszczęśliwego Dołęgę powiesić.

Egzekucye te i towarzyszące im okrucieństwa rozbrzmiewały głośnie echem po całej Europie, wywoływały tam straszne oburzenie w opinii i w dziennikach, ale świat cywilizowany, ale gabinety tak pochopnie do ujmowania się za każdym Armeńczykiem zastrzelonym przez żandarm tureckiego i gotowe z tego powodu do zbrojnej interwencji, nie zdobyły się w obec potężnego caratu nawet na protest przeciw Neronowym iście rządów Murawiewa.

Za to Rosya prawosławna brzmiała chórem uwielbienia dla nowoczesnego Kaliguli. Metropolita moskiewski Filaret posłał Wieszatelowi w podarunku ikonę Archanioła Michała wraz z listem, w którym wyrażał nadzieję, że „Bóg wielkorządcy litewskiemu da siłę dla wykonania dzieła prawdy i dzieła pokoju“ (!) i życzenie aby „Archanioł niebieski siedł przed nim

¹⁾ Fakta powyższe przytaczają pisarze rosyjscy: Berg III. i J. N. Butkowskij.

z mieczem ognistym i okrywał go tarczą niebieską, a w klubie szlacheckim w Moskwie wznoszono dnia 20. lipca toasty za zdrowie Murawiewa i wyrażano telegraficznie „współczucie dla jego sławnej działalności“.

Nic dziwnego zatem, że „poparty moralnie na trudnem stanowisku“ z podwójną „pracował“ gorliwością, że biskupa wileńskiego, który, będąc chorym prosił, dość niewłaściwie w tem strasznem położeniu wiernych, o paszport za granicę, wysłał na wygnanie do Wiatki, kapitułę wileńską obsadził księżmi wywłokami jak Niemeksza, Tupalski lub Żyliński, że nałożył kary pieniężne za noszenie żałoby i za każde słowo polskie, wypowiedziane w sklepie lub w miejscu publicznem, że kazał każdemu właścicielowi domu



Nr. 94. Władysław Bentkowski.

placić po 10 lub 25 rubli za każdego brakującego mieszkańca a klasztorom po 100 rubli i że niemając już kogo wieszać lub rozstrzeliwać, „z nudy, z braku materyału do burzenia“, nakazywał chwytac i zamykać ludzi niewinnych, na których nawet cień podejrzenia nie padał¹⁾ bo jak mówił Księciu Czerkaskiemu: „z czasem może i na nich się coś znajdzie“.

Wreszcie ten „artysta burzenia i niszczenia doszedł, do takich fantazji, że nawet w obec oficjalnych dokumentów niechce się wierzyć własnym oczom i pomimowoli w głębi serca powstaje zapytanie: czyż naprawdę żyjemy w wieku XIX.?²⁾

¹⁾ Berg, tom, III. str. 163.

²⁾ Tamże.

Wydał mianowicie rozkaz wycięcia lasów na Litwie i palenia wsi podejrzanych o buntownicze zamiary.

W ten sposób spalono w sierpniu 1863 roku Jaworówkę, w Gubernii Grodzieńskiej a w październiku Ibiany w Gubernii Kowieńskiej. Wykonanie nieludzkiego wyroku odbyło się według metody, praktykowanej za czasów Iwana Groźnego.

Pułkownik Mikołaj Maksymowicz Zwege von Manteuffel, konsystujący w Białym Stoku udał się, na rozkaz telegraficzny Murawiewa dnia 18. sierpnia z trzema kompaniami piechoty i dwoma sotniami Kozaków do Jaworówki, otoczył o świcie dnia następnego spiącą wieś i, rozbudziwszy mieszkańców, odczytał przerażonym wyrok, nakazując zarazem wynosić natychmiast z chałup ruchomości. Wszczął się krzyk i płacz rozdzierający. W niektórych domostwach byli chorzy, kilka kobiet leżało w połogu. Kazano je ułożyć na wozach i otoczyć możliwą opieką, poczem zapalono strzechy jednocześnie u wszystkich a mieszkańców popędzono do Białego Stoku, później w stepy Turkestańskie. Zaoranie miejsca, gdzie stała nieszczęśliwa Jaworówka, jak tego żądał Murawiew, okazało się jednak niemożliwem.¹⁾

W podobny sposób zniszczono jeszcze kilka innych osad, ale że ostatecznie wszystkich wsi spalić i wszystkich Polaków powywieszać nie było można więc pomysłowy Wieszał postanowił zniszczyć ich materyalnie. W tym celu wskrzesił dawne ukazy Mikołaja I. o magazynach zbożowych na wypadek głodu i kazał aby zabrane kiedykolwiek przez powstańców zapasy zwracali obywatele powiatu; opornym lub niemającym zboża zabierano ruchomości, sprzedawano na licytacji i za pieniądze stąd uzyskane kupowano odpowiednią ilość ziarna. Ponadto nałożył na szlachtę polskiego pochodzenia kontrybucję wynoszącą 10 procent od dochodu brutto. Podatek ten przyniósł w roku 1863 około półczwarta miliona rubli.

I po tych wszystkich okrucieństwach, po tylu zbrodniach, wołających o pomstę do nieba, miał ten potwór jeszcze tyle beczelności, że zażądał od szlachty, aby wysłała adres wiernopoddńczy do cara!

Jakoż pod grozą więzienia i szubienicy zebrano pod ten akt szczególniejszy 235 podpisów, w znacznej większości mieszczaństwa i żydów wileńskich a pomiędzy nimi i marszałka szlachty Aleksandra Domeyki.

Spółceństwo polskie było zupełnie bezsilne w obec tych barbarzyńskich ukazów i rozporządzeń. Ani słaba organizacya litewska ani Warszawski Rząd Narodowy nie mogły powstrzymać gwałtów rabunków i kradzieży. Odezwy, protesty i listy z pogróżkami, nie odnosiły, rzecz prosta, najmniejszego skutku, pozostawał jeden środek: sztylet truczna lub kula. Ale Murawiew, tchórzliwy z natury, obwarował się tak dobrze, że zamach na jego życie był niezmiernie trudny, niemal niepodobny.

Postanowiono więc ukarać Domeykę za podpisanie wyroku. Rzeczywiście też jeden ze sztyletników warszawskich, Bieńkowski, podjął się zgładzić marszałka za 1000 rubli. Prawdopodobnie miał on pierwotnie na myśli nie Domeykę lecz Murawiewa, bo pojechał do Wilna przed podaniem adresu, był obecny w cerkwi na uroczystem nabożeństwie w dniu urodzin cesarzowej, lecz zamachu nie wykonał. Dopiero w miesiąc potem dnia 11. sierpnia udał się do mieszkania Domeyki, poranił dość ciężko i jego i służącego i uszedł szczęśliwie. Murawiew wściekał się, kazał przetrząsnąć całe Wilno, wszystko

¹⁾ Tamże.

nadaremnie. Po tygodniu jednak aresztowano przypadkiem Bienkowskiego na dworcu kolei żelaznej w Wilnie i powieszono go wraz z pomocnikami Marczewskim i Czaplińskim dnia 9. września.

Taki przebieg miały czteromiesięczne rządy Wieszatela na Litwie, okropnością swoją i barbarzyństwem, przypominające czasy obłąkanych cesarów rzymskich. Ale jeżeli ten „straszny, mongolski nawet w Rosyi potworny typ, jakiegoś Kamczadała, Czuwasa, Eskimosa lub Samojeda, którego matka zamiast starożytnych posągów klasycznej piękności miała przed oczami psy morskie, wieloryby i białe niedźwiedzie“, budzi wstręt i obrzydzenie, to rząd posługujący się takimi narzędziami i społeczeństwo uwielbiające takich „bohaterów“, wydają sami na siebie wyrok potępienia.



Rozdział piętnasty.

POWSTANIE W ZIEMIACH RUSKICH. — TRAGEDYA W SOŁOWIJOWCE. — ODDZIAŁY UKRAIŃSKIE I WOŁYŃSKIE. — UPADEK POWSTANIA BERDYCZOWSKIEGO. — KAMPANIA RÓŻYCKIEGO. — ŚMIERĆ MIECZYŚŁAWA ROMANOWSKIEGO. — JEZIORAŃSKI POD KOBYŁANKĄ. — WYPRAWA RADZIWIŁŁOWSKA. — EKSPEDYCJA MIŁKOWSKIEGO.

Podobny przebieg jak powstanie na Litwie miał także ruch w prowincjach ruskich. W obu tych częściach Rzeczypospolitej jęło się rozbudzone społeczeństwo polskie z początku pracy organicznej. Rozwiązanie kwestyi włościańskiej i starania o zaprowadzenie w szkołach nauki języka polskiego, uwieńczone, jak już wspomniano, pomyślnym skutkiem, otwierały w tym kierunku obszerne do działania pole.

Program ten spotkał się jednak natychmiast z opozycją Czerwieńców, zwłaszcza młodzieńczej organizacji kijowskiej, która, odrzucając wszelki kompromis z Rosją, dążyła wprost do powstania.

Młodzież ta, wychowana w tradycjach 1831 roku i pod wpływem poezyi, idealizującej Kozaczyznę, owiana jeszcze wspomnieniami Kónarszczyzny, wyobrażała sobie, że zdola poruszyć lud ruski do walki przeciw wspólnemu wrogowi. W tej myśli łączyła się z kolegami ruskimi w uniwersytecie, propagowała gorliwie uwłaszczenie chłopów a nawet podburzała włościan do zbrodniczych przeciw szlachcie zamachów.¹⁾

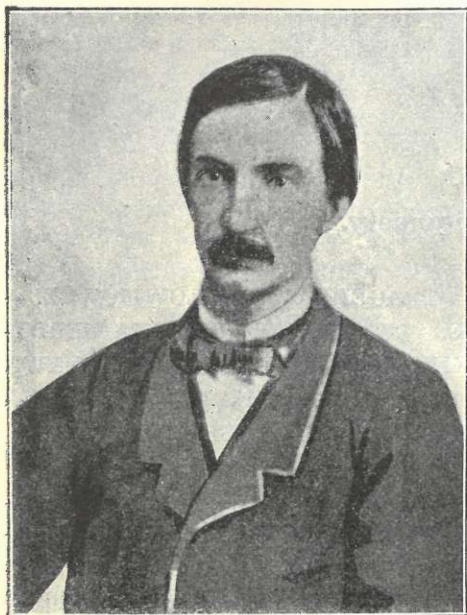
W okresie manifestacyjnym, kiedy i w Kijowie zaczęto odprawiać nabożeństwa i śpiewać hymny patryotyczne przybrała agitacja młodzieży szersze rozmiary. Przekładano pieśni patryotyczne polskie na język ruski, uczono tych śpiewów służbę dworską, w nadziei, że żale, skargi i życzenia polskie rozpowszechnią się między ludem i znajdą odgłos w sercach

¹⁾ Rawita Gawroński: Rok 1863 na Rusi, tom II., str. 152.

ruskich; studenci uniwersytetu nosili ostentacyjnie czarne świtki, obszyte skórą, długie, juchtowe buty, baranie czapki lub skórzane kepi, demonstrując w ten sposób swoje demokratyczne i chłopomańskie usposobienie.

Warszawscy Czerwieńcy, zostający pod wpływem kijowskich, byli też święcie przekonani, że na pierwsze hasło cała Ruś porwie się do broni.

Jeden z tych zapaleńców i marzycieli, Leon Frankowski, wysłany jako komisarz Komitetu Centralnego na Ruś, w lecie 1862 roku, rozmawiając podczas popasów z chłopami i widząc że grzecznie mu się kłaniają, utwierdził się w przekonaniu, że lud ruski jest przychylnie usposobiony, a oblany zimną wodą przez Tadeusza Bobrowskiego, który znał dokładnie stosunki miejscowe, mimo to zdania swego nie zmienił.



Nr. 95. Stefan Bobrowski.
(Ze zbiorów pana Jarosława Pieniążka.)

Za jego też i Stefana Bobrowskiego wpływem powstał wtedy Komitet Centralny Rusi, przekształcony następnie na Wydział Wykonawczy. Weszli do niego: Edmund Różycki, Izidor Kopernicki i Aleksander Jabłonowski. Komisarzem pełnomocnym tej władzy był Antoni Chamiec.

Różycki i Chamiec a obok nich także Zygmunt Miłkowski, mianowany przez Rząd Narodowy naczelnikiem przyszłego na Rusi powstania, pojechali w grudniu 1862 roku na naradę z Komitetem Centralnym do Warszawy i powrócili stamtąd z wiadomością, że powstanie odroczone na czas nieograniczony. Mimo to organizacja rozwijała się dalej i budziła w żywiołach umiarkowanych słuszne obawy. Ci, co trzeźwo na rzeczy patrzyli i znali usposobienie ludu, uważali ruch zbrojny za straszną a nieuniknioną klęskę

i utworzyli zatem Komitet Biały dla gubernii kijowskiej, którego celem było agitacji rewolucyjnej przeszkadzać i do powstania nie dopuścić. Niestety, tak jak w Królestwie tak i tu nie spełniła chwiejna i słaba organizacja Białych swojego zadania.

Ruchliwi Czerwieńcy wzięli wnet górę i tylko jedna gubernia podolska nie brała udziału w ruchu zbrojnym.

Tymczasem, wbrew wszelkim przewidywaniom i wbrew grudniowym uchwałom Komitetu Centralnego, wybuchło powstanie a Rząd Tymczasowy wezwał dnia 5. lutego Ruś do udziału w walce o niepodległość. Odezwa sprawiła wśród umiarkowanych wprost straszne wrażenie. „Ręce nam opadły — powiada jeden współczesnych — zmora nieuniknionego kataklizmu dusić nas poczęła“.

Bez broni, bez pieniędzy, bez wszelkiego przygotowania było powstanie niepodobnem, równało się szaleństwu, ale z góry dało się przewidzieć, że Czerwieńcy cel zamierzony osiągną i do katastrofy doprowadzą.

Jakoż wysłany do Kijowa przez Stefana Bobrowskiego i Rząd Tymczasowy, Józef Kleczyński nalegał usilnie, aby w marcu powstanie rozpocząć a gdy mu odpowiedziano, że to niemożliwe, zwrócił się Rząd do Edmunda Różyckiego.

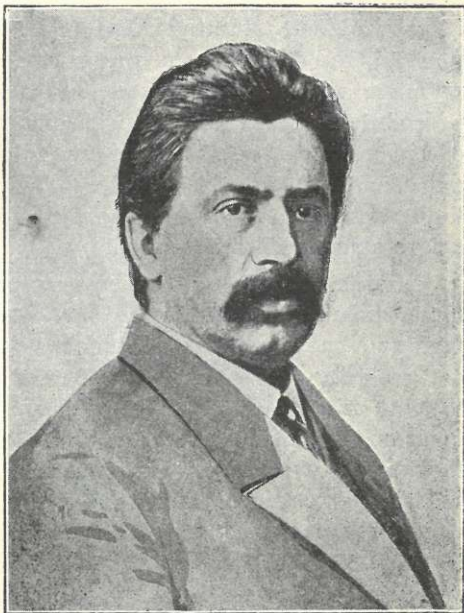
Różycki, syn Karola, dzielnego dowódcy jazdy Wołyńskiej w r. 1831, zabrany z rozkazu Mikołaja I., w 12. roku życia do Petersburga i oddany tam do szkoły kadetów, odbył służbę wojskową na Kaukazie, przydzielony do głównego sztabu, wrócił stamtąd, ukończył Akademię wojskową i wyszedł z niej w stopniu kapitana sztabu generalnego. W roku 1861 przeniesiono go na Wołyń, gdzie w tym umyśle szlachetnym i głęboko religijnym manifestacje ówczesne obudziły niewygasły nigdy patryotyzm i wstręt do służby obcej. Wziął więc dymisję i osiadł stale w Żytomierzu. Dla Czerwieńców, dla tych wszystkich, co znali jego przeszłość, był Różycki przeznaczonym z góry na wodza zamierzonego powstania. Czy sam wierzył w powodzenie ruchu — nie wiadomo, to pewna jednak, że oceniał trafnie położenie i uważał powstanie Rusi za rzecz nieuniknioną po wybuchu w Królestwie.

Tego samego zdania był także Komitet Centralny, kiedy już w grudniu 1862 roku powierzył naczelne dowództwo w ziemiach ruskich Zygmuntovi Milkowskiemu (Jeżowi) a po ogłoszeniu dyktatury Langiewicza gen. Józefowi Wysockiemu.

Wysocki rozpoczął swoją działalność od porozumienia się z Różyckim i Milkowskim.

Dnia 8. kwietnia przybyli oni do Sidorowa, majątku Adama Pajgerta w Galicyi i tu, we trzech ułożyli plan przyszłego powstania na Rusi. Obliczono, że Wołyń, Podole i Ukraina dostarczą 6000 ludzi. Z temi siłami rozprószonemi po ogromnej przestrzeni, od Dniepru do Zbrucza i od brzegów Morza Czarnego aż po bagna Prypeci, miano rozpocząć powstanie za miastem t. j. dnia 8. maja w nadziei, że Wysocki, na czele czterech oddziałów, uzbrojonych i uorganizowanych w Galicyi, wkroczy na Wołyń i poda rękę Różyckiemu, że Milkowski utworzy także oddział w Turcyi lub w Rumunii, zjawi się z nim na Podolu, poprze tamtejsze powstanie i połączy się z jazdą Artura Gołuchowskiego, zebraną na Pokuciu, i że wreszcie młody Menotti Garibaldi wyląduje na czele legionu włoskiego w Odesie, aby z pomocą Włochów mieszkających w tem mieście ruszyć przez „Dzikie pola“ na Ukrainę.

Taki plan, oparty na dowolnych i, jak niedaleka przyszłość okazała, mylnych obliczeniach, fantastyczny, do wykonania trudny, niemal niepo-



Nr. 96. Edmund Różycki.
(Ze zbiorów pana Jarosława Pieniżka.)

dobny, ułożyli ludzie, w bojach osiwiali, w rzemiośle wojennem biegli i doświadczeni. Ale w tym okresie złudzeń wszystko zdawało się możliwem. Kiedy Ks. Czartoryski wspomniiał ministrowi spraw zewnętrznych p. Drouyn de Lhuys o zamierzonej na Odesę wyprawie i uskarżał się na brak fundusów, bo ekspedycja taka kosztowałaby, co najmniej 300.000 franków, minister nie tylko plan pochwalił ale wręczył natychmiast pieniądze Księciu i wystarał się przez admirała La Roncière o uzdolnionego oficera marynarki francuskiej. Wszystko więc było ułożone i Ks. Czartoryski wysłał do Stambułu Szemiotę, aby ekspedycję dopilnował. Niedyskrecya jednak, czy, co pewne, znana gadatliwość polska sprawiła, że rząd rosyjski o przygotowaniach się dowiedział i podchwyceniu Odesy zapobiegł.¹⁾

Mimo to myśl podjęcia walki na Morzu Czarnem trwała dalej i łączy się z zamiarem wyprawy na Kaukaz w celu dostarczenia broni Czerkiesom i sprowadzenia stamtąd żołnierzy polskich, albo też utworzenia z nich legii polskiej, myśl, opierana przez Anglików, w zasadzie niewątpliwie trafna, wymagała jednak i dłuższego czasu i znacznych funduszy a korzyści bezpośredniej nie dawała. Tymczasem Ruś gotowała się do powstania. Donosił o tem rządowi rosyjskiemu konsul Eberhard z Brodów, donosił hr. Thun, ambasador austriacki w Petersburgu. Obaj ostrzegali, że z wschodniej Galicyi wyruszą niebawem zbrojne oddziały na Wołyń, Podole i Ukrainę a i w samym Kijowie mówiono dość głośno o powstaniu.

Rząd rosyjski miał więc czas przygotować się na stłumienie nieszczęsnego ruchu. Rozporządzając siłą dostateczną (30.000 ludzi), mógł on liczyć nadto na masy ciemnego chłopstwa, z nienawiścią spoglądające na Polaków, do grabieży i rozboju skłonne, w hajdamackich tradycjach wykołysane. Władze nieomieszkaly oczywiście z tego skorzystać, podniecały niechęć ku dworom, kazały po cichu chwycić podejrzanych Polaków i katolików, pilnować panów, a przez popów zapowiadały ludowi nadzwyczajne łaski carskie, którym szlachta polska rzekomo się sprzeciwia, słowem czyniły wszystko, aby w chłopach rozbudzić nieufność i najdziksze instynkty. Generał Krencke, Niemiec z pochodzenia radził nawet chwilę tak dogodną wyzyskać i żywić polski zniszczyć doszczętnie. I jeżeli się tak nie stało, jeżeli na Rusi wtedy nie urządzono drugiego, poprawnego wydania rzezi tarnowskiej, to należy zawdzięczać jedynie usposobieniu ówczesnego generał-gubernatora kijowskiego Mikołaja Annenkowa II.²⁾ Należąc do stronnictwa Zapadników, łagodny, chociaż w gruncie słaby, odpowiadał on na insynuacje Krenckiego i jemu podobnych krótko: „Nie chcę być takim katem jak Murawiew, a to co piszą Moskiewskie Wied. lub świstek Dzień, wcale mnie nie obchodzi“, i o ile możliwości hamował barbarzyńskie zapędy swoich pomocników.

Powstanie, rozpoczęte w takich warunkach, musiało zakończyć się klęską. Zawiodło bowiem wszystko, zawiodły obliczenia liczby powstańców, zawiodła pomoc z Galicyi, zawiodła fantastyczna wyprawa M. Garibaldeggo, zawiodła wreszcie od początku złudna nadzieja pozyskania czerni chłopskiej dla celów powstania, i ten ostatni zawód był może najboleśniejszym ciosem, jaki spotkał szlachetnych marzycieli, wierzących uparcie w moc wielkiego

¹⁾ Koźmian. Rzecz, tom III., str. 221.

²⁾ O Annenkowie wręcz przeciwnie wyraża się Heleniusz (Listki wichrem z Ukrainy do Krakowa przeniesione tom II., str. 182), powiada że „był hyeną, tygrysem, który z radością na śmierć skazywał, niewinnych zabijał.“ „Usunęła go władza, bo chciała powstrzymać wielkie i niebawale okrucieństwo.“

ruchu ludowego, w zbratanie Rusi z Polską. A jednak potępiając błędy, które popełnili i bolejąc nad ich zaślepieniem, należy uznać bohaterstwo i poświęcenie tych młodych straceńców, co dla wzniosłej idei nieśli w ofierze krew swoją i życie.

W nocy z dnia 8. na 9. maja, wyruszyła garstka młodzieży (było ich 21) z Kijowa ku lasom Radomyślskim, aby głosić ludowi tak zwaną „Złotą hramotę“ i wzywać go do powstania. Sądzone, że, nadając chłopstwu, wolność, równość i obdzielając je hojnie ziemią, masa ta, rozumiejąca tylko wartość materialnych korzyści, ulegnie pokusie i porwie się do wielkiego czynu, aby wywalczyć wolność dla Rusi i dla Polski.

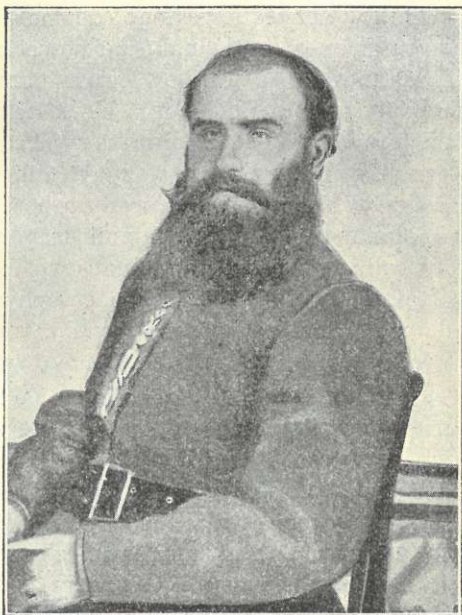
I tu nastąpiło rozczarowanie, bo lud ten w grubej pograżony ciemnocie, uznawał tylko siłę i przed nią się jedynie korzył. Cóż znaczyły w jego oczach najświetniejsze obietnice, czynione przez kilkunastu studentów kijowskich, kiedy równocześnie popi i czynownicy głosili o nadzwyczajnych łaskach rosyjskiego rządu, który oparty na bagnietach dzierżył władzę w kraju?

Chłopi więc słuchali „Hramoty“ obojętnie, nie rozumieli po większej części tego, co im czytano, spoglądali na młodzież z podębła a czekali na rozkazy stanowych i sprawników. Jakoż na dany przez policję znak zaczęli zrywać mosty i przekopywać drogi, którymi dążyli tak zwani przez lud utrapieńcy, w kierunku Białocerkwi.

Wśród takich okoliczności przybyła gromadka Kijowian, znużona i przygnębiona do wsi Sołowijówki. Tu otoczyły ich tłumy chłopstwa. Położenie było rozpaczliwe. Z bronią w rękę torować sobie drogę, znaczyć to, co sprzeniewierzyć się idei, przelewać krew ludu, któremu wolność wywalczyć chciano. Podobnie więc jak w Galicyi w roku 1846 złożono broń i oddano się, bez oporu czerni. Ale w tej chwili, rzucił się tłum na nieszczęśliwych i jednych wymordował a drugich ciężko poranił. Zginęło pod razami kos i drągów jedenastu, dziesięciu pokaleczonych zabrało wojsko. Wszyscy poszli na Syberyę, z wyjątkiem Antoniego Jurjewicza i Gustawa Szaramowicza, którzy zdołali uciec za granicę, pierwszy z twierdzy kijowskiej a drugi z Kazania.

Tak na samym początku rozwiały się marzenia chłopomanów o pozyskaniu ludu ukraińskiego dla sprawy wolności i zaczęło się powolne konanie nieszczęsnego powstania.

Oddział kijowski został zniesiony już dnia 1. maja, Owrucki rozбитý pod Moskalówką, Wasylkowski pod Uzinem, czwarty, utworzony w okolicy Koszowatej, wymordowali po większej części chłopi.



Nr. 97. Gustaw Szaramowicz.
(Ze zbiorów pana Jarosława Pieniżka).

Najpokaźniej wystąpił powiat Berdyczowski. Za staraniem gorliwych obywateli, szczególnie Władysława Padlewskiego, właściciela Małej Czeraniawki, a ojca Zygmunta, zebrał się tam oddział, złożony z 200tu jeźdźców, i kulkudzieściu piechoty pod dowództwem Platona Krzyżanowskiego niegdyś oficera wojsk rosyjskich, później w 1831 roku majora w armii polskiej. Wybór był fatalny, bo Krzyżanowski, starzec niedołężny, z nogami opuchłemi, nie nadawał się wcale na wodza w wojnie partyzanckiej, która polegała na szybkości ruchów, forsownych pochodach, nagłych napadach a wymagała wielkiej sprężystości, szybkiej orientacji i błyskawicznych poruszeń.

Początek kampanii zapowiadał się dobrze. Dnia 11. maja odparto zwycięską rotę piechoty rosyjskiej, zabrano 29 jeńców, zniesiono patrol dragoński, strzegący stacyi pocztowej w Białej a pocztmistrza tamtejszego, słynnego łotra i szpiega Taksa, powieszono. Tymczasem nadeszły mylne wiadomości o powodzeniu powstania w powiatach taraszczańskim i lipowieckim, co skłoniło Krzyżanowskiego do marszu w kierunku południowym. W drodze dowiedziano się jednak, że powstanie w Skwirskim i Taraszczańskim jest już stłumione a w lipowieckim panuje spokój. Postanowiono więc ruszyć na Podole, w celu połączenia się z Różyckim. Zanim do tego przyszło, uderzyła na powstańców kolumna rosyjska pod Bułhajami. Krzyżanowski, niechcąc przyjmować bitwy w pozycji dla jazdy niedogodnej, rozpoczął odwrót ku Pohrebyszczom, ale napierany przez Moskali przyjął wreszcie bitwę. Powstańcy dzielnem uderzeniem złamali dragonów, ale w drugim ataku zostali rozbici i poszli w rozsypkę, nie ścigani wcale przez nieprzyjaciela. Widok uciekających ośmielił jednak i wojsko i chłopów, którzy podobijawszy i poobdzierawszy do naga rannych na polu walki, rzucili się tłumem do Pohrebyszcz, łapiąc i mordując kryjących się tam powstańców.

Tak wzięto Władysława Padlewskiego, który niechcąc użyć broni przeciw chłopom, poddał się dobrowolnie i został srodze pokaleczony, tak wpadł w ręce chłopskie Roman hr. Bniński, zdradzony przez siostrę aptekarza w Pohrebyszczach. Ogółem schwytano 38 i odstawiono do Kijowa. Krzyżanowski oddał się sam władzom rosyjskim i został rozstrzelany w Kijowie. Zanim poszły dalsze ofiary. Władysława Padlewskiego, młodego Rakowskiego, który był czynny przy powieszeniu Taksa, Romualda Olszańskiego i Adama Drużbackiego rozstrzelano w listopadzie, w rowie cytadeli kijowskiej, położonym po prawej stronie drogi, prowadzącej ku Dnieprowi.

Dziś niema śladu, gdzie spoczywają szczątki tych bohaterów i tylko starsi ludzie wskazują ciekawym miejsce kaźni, bujną pokrytą zielenią. Stoi też jeszcze u wejścia do fortecy ów odwach miniaturowy, w którym, skazani na śmierć spędzali ostatnią noc w pokoju dyżurnego oficera.

Jeżeli oddział Berdyczowski uratował poniekąd honor broni polskiej to wołyński wznowił najświetniejsze tradycje 1831 roku. Na Wołyniu utworzono cztery partye. Jedna, Owrucka, pod dowództwem Leonarda Wiszniewskiego, została, jak już wspomniano, zniesiona dnia 16. maja, pod Moskalówką. Trzy inne, Władysława Ciechońskiego, Augusta Chranickiego i Różyckiego, utrzymały się cokolwiek dłużej.

Były to oddziały z dzielnych ludzi złożone, posiadały uzbrojenie, jak na ówczesne warunki, wcale nie złe, dowodzili niemi dawni wojskowi, niegdyś oficerowie rosyjscy, doświadczeni i znający wojnę. Z takiego materiału można było stworzyć zastępy bitne i karne, ale na to brakowało czasu.

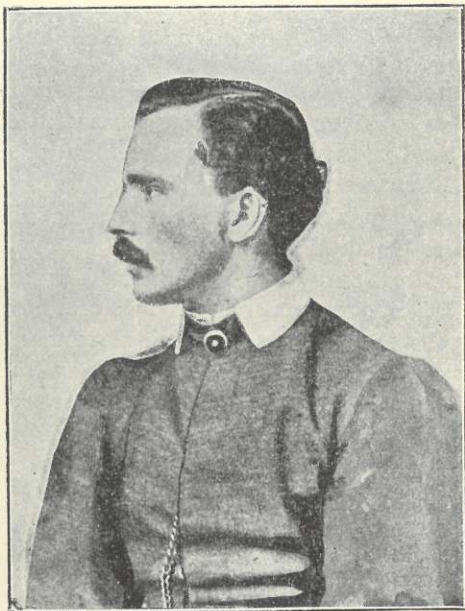
Oddziały zbierano w miejscach zapadłych, organizowano je tam na prędce, o ile się dało i bezpośrednio po tem prowadzono na pole walki. Skutek był łatwy do przewidzenia. Najlepszy żołnierz, postawiony w ogniu po raz pierwszy, nie wyćwiczony należycie i uzbrojony gorzej od nieprzyjaciela, może bić się odważnie, dokonywać bohaterskich czynów, ale ostatecznie ulega liczebnej przewadze i większej sprawności przeciwnika. Partya Ciechońskiego, napadnięta w lasach minkowieckich koło Sławuty, przez siedm kompanij piechoty, kozaków i tłumy chłopstwa, poniosła zupełną klęskę (22. maja) i tylko garstka jazdy, 48 koni, ocalała z pogromu i przedarła się do Różyckiego.

Różycki tworzył swój oddział na leśnem uroczysku Pustochy. Zebrało się tam zwolna 850 ludzi, pięć szwadronów jazdy (700) i 150 piechoty. Jazda złożona przeważnie z młodzieży szlacheckiej i służby dworskiej była doskonała; piechota, niedostatecznie uzbrojona i nieliczna. Z zamiarem podania ręki oddziałowi galicyjskiemu, ruszył Różycki do Połonnego, ogłaszając wszędzie po drodze chłopom „Złotą hramotę“.

Gdy jednak w Połonnem dowiedział się, że wyprawa Wysockiego nie prędko przyjdzie do skutku, pociągnął ku Miropolowi, aby połączyć się z Chranickim. Zaczepiony tu przez kolumnę kapitana Kaznakowa i niewiedząc zapewne że Chranicki nadchodzi, rozbił jednym uderzeniem Kozaków dońskich i pomaszzerował w powiat Starokonstantynowski. W tej chwili ukazał się oddział Chranickiego, którego zaatakował natychmiast Kaznaków i rozbił zupełnie.

Różycki tymczasem, manewrując zręcznie i tratując po drodze drobne oddziały rosyjskie dostał się na Podole w nadziei, że wesprze tamtejsze powstanie i doczeka się wreszcie upragnionej pomocy z Galicyi. Ale tu spotkał go dwojaki zawód. Podole nie ruszyło się wcale. Istniała tam wprawdzie jakaś organizacya, która, według relacyi znanego pisarza Stefana Buszczyńskiego,¹⁾ miała przygotowanych 358 powstańców, ale w chwili, gdy Różycki stanął na ziemi podolskiej w Ułanowie, zjawił się u niego tylko jeden Szaszkiewicz z oddziałem, złożonym zaledwie z 60 koni, a o oddziałach galicyjskich nie było zgoła żadnej wiadomości.

Zachodziło teraz pytanie co czynić? Gdy wszystkie partye powstańcze na całym obszarze ziem ruskich uległy rozbiciu, gdy ciemne i przez czynowników obalamucone masy chłopstwa pławiły się w krwi polskiej, była dalsza walka szaleństwem, wiodła tę garstkę bohaterskiej młodzieży na śmierć



Nr. 98. Mieczysław Romanowski.
(Ze zbiorów pana Jarosława Pieniżka.)

¹⁾ Rawita Gawroński tom II. str. 248.

pewną bez pożytku dla sprawy narodowej. Zrozumiał to Różycki i postanowił szukać schronienia w Galicyi. W tym celu zwrócił się przez Lubar ku granicy austriackiej. Pod wsią Salichą Małą zastąpił mu drogę (dnia 26. maja) kapitan Michno, który wsadziwszy piechotę na podwozy, pędził za oddziałem polskim w nadziei łatwego zwycięstwa. Różycki ustępował z wolna, przeszedł przez wieś i zatrzymał się na gościńcu. Michno, złudzony tą, jak mniemał, ucieczką, popędził dalej. Na to czekał Różycki, i skoro nieprzyjaciel oddalił się od wsi, tak że nie mógł już schronić się za opłotki i zabudowania, puścił na piechotę rosyjską z trzech stron trzy swoje szwadrony. Pod tem błyskawicznym uderzeniem, wykonanem z precyzyą i szaloną odwagą rozprysły się formalnie czworoboki nieprzyjacielskie, powstał niesłychany popłoch i zaczęła się rzeź, zakończona doszczętnem niemal zniesieniem rosyjskiej kolumny. Straciła ona stukilkunastu w zabitych i rannych. Dowódzca, Michno, zawdzięczał ocalenie swoje temu, że przez cały czas bitwy siedział pod mostem.

Świetne zwycięstwo pod Salichą nie mogło oczywiście ani ożywić ani podtrzymać konającego powstania w ziemiach ruskich, ale ułatwiło odwrót Różyckiego ku granicy austriackiej. Po dwóch forsownych marszach wkroczył on, dnia 28. maja pod Pałczyńcami do Galicyi mając jeszcze 350 ludzi. Rozczarowany i zawiedziony w swoich nadziejach, nie bierze on odtąd czynnego udziału w walce, pozostaje jeszcze jakiś czas w Galicyi, następnie wyjeżdża do Paryża.

Nominacya na generała brygady i naczelnego wodza w ziemiach ruskich, którą otrzymał od Rządu Narodowego dnia 11. lipca 1863 roku acz niewątpliwie zasłużona, nie mogła zmienić jego postanowienia. Wznowienie powstania na Rusi uważał słusznie za rzecz niepododną. Wszak Wydział wykonawczy ruski opierał się stanowczo wkroczeniu oddziałów galicyjskich w głąb Wołynia i Podola,¹⁾ a komisarz pełnomocny na Rusi, Chamiec pisał do Różyckiego (dnia 19. września 1863 roku): „Słyszeć nie chcemy o tem, abyś wchodził w głąb kraju z małą siłą . . . Przekonany jestem, że nie zechcesz generale narażać nieszczęśliwej prowincyi naszej na niechybną zgubę.“²⁾

Cóż miał zatem czynić „Naczelnny wódz w ziemiach ruskich“, zwłaszcza po klęsce Wysockiego, gdy oddziały, przeznaczone na Ruś mogły liczyć zaledwie 1000—1500 ludzi i gdy Podole, Wołyn i Ukraina błagały, aby wyprawy nie podejmować a ograniczyć, się tylko do demonstracyi, która będzie przynajmniej trzymać w szachu siły rosyjskie rozlokowane nad granicą? Zapewne, mógł Różycki tych błagań nie usłuchać, mógł działać według własnego rozumienia, rzucić się z oddziałami galicyjskimi na Wołyn lub na Podole i tam, w nierównej walce znaleźć śmierć bohaterską, ale głos sumienia mówił mu, że ta nowa hekatomba z ciał polskich, sprawy przesądzonej już od upadku nie ocali a pomnoży tylko ilość ofiar i przyczyni się do zupełnej zagłady żywiołu polskiego w ziemiach ruskich.

Kiedy na początku kwietnia układał w Sidorowie z Wysockim ów fantastyczny plan działania, wierzył może jeszcze w potęgę opinii publicznej, obietnice rewolucjonistów europejskich, sympatye ludów, interwencyę mocarstw zachodnich, w siłę Rządu Narodowego i sprężystość organizacyi. Nadzieje, acz zawodne, jak przyszłość okazała, istniały.

¹⁾ Wyd. Mat. tom. II. str. 106.

²⁾ Tamże str. 104.

Następowała się okazyja nabycia 15.000 austriackich karabinów ciężkich; zgłaszano się do Rządu Narodowego z propozycją uzbrojenia własnym kosztem i przyprowadzenia do królestwa pięciotysięcznego oddziału Węgrów; pułkownik Scarpa obowiązywał się w ten sposób utworzyć legię pod dowództwem Menottiego Garibaldeggo, złożoną z Włochów, Szwajcarów i Francuzów,¹⁾ ponadto oczekiwano co chwila jakiegoś stanowczego kroku ze strony mocarstw zachodnich.

Tymczasem wszystko to zawiodło i powstanie w ziemiach ruskich skończyło się pod ciosami kos chłopskich i bagnietów rosyjskich niedoczekawszy się ani posiłków węgierskich ani legionu Scarpy ani nawet wkroczenia oddziałów galicyjskich.

W Galicyi powstały, jak już wiadomo, pod wpływem warszawskich wypadków i z inicjatywy Komitetu Centralnego dwie organizacje: jedna, zabarwiona czerwono, druga o kierunku więcej zachowawczym. Pierwsza utworzyła się w Krakowie pod nazwą, „Rady naczelnej galicyjskiej“, ustanowiła dwie „Główne Ławy“, krakowską i lwowską, złożone z młodzieży akademickiej i poddała się zupełnie pod władzę warszawskiego Komitetu Centralnego, druga zawiązała dwa Komitety obywatelskie dla Galicyi wschodniej i zachodniej, z zastrzeżeniem zupełnej zaboru austriackiego autonomii.

Ale w tym okresie spisków i konspiracji, w tem gorączkowem usposobieniu ogółu, kiedy każdy palił się żądzą czynu a należenie do tajnej organizacji było celem osobistej ambicyi i niejako obowiązkiem patryotycznym, powstawały samowolnie obok wyżej wymienionych także inne, jak grzyby po deszczu. Utworzono więc we Lwowie „Komitet miejski“, „Komitet bratniej pomocy“, wreszcie „Komitet niewiast polskich“. Każda z tych formacji działała na własną rękę, zbierała fundusze, zakupywała broń i proch, wyprawiała a przynajmniej usiłowała wyprawiać oddziały i tą taktyką więcej szkodziła niż pomagała sprawie powstania. W chwili kiedy należało skupiać wszystkie siły i zgodnie do jednego wspólnego dążyć celu, dzielono się na kółka i koterie, przeszkadzano sobie wzajemnie, kłócono się i podejrzывano.

Komitet obywatelski, uważany za organizację par excellence szlachecką i arystokratyczną, chociaż zasiadali w nim tacy demokraci jak Smolka i Floryan Ziemiałkowski, budził powszechną niechęć i niezadowolenie. Mówiono, że jest reakcyjnie usposobiony, że pragnie przeszkodzić rozwojowi powstania, że marnuje zebrane fundusze. W tych zarzutach nie było ani słowa prawdy, bo chociaż jeden z członków Komitetu, Aleksander Dzieduszycki, potępiał otwarcie powstanie, jako ruch niewczesny i zgubny, to ogromna większość, jakkolwiek może w głębi duszy podzielała zdanie Dzieduszyckiego, licząc się jednak z faktem dokonanym, czyniła wszystko, aby powstanie podtrzymać. Trudności w tym względzie były atoli wielkie. Brakowało bowiem broni, brakowało pieniędzy, brakowało, co najważniejsza zdolnych dowódców. Proch kupowano na funty i płacono bardzo drogo, wiadomość, że w arsenale rządowym można nabywać karabiny po 8 złr. za sztukę, okazała się bajką; sztucze sprowadzane z Wiednia i z zagranicy, konfiskowała zwyczajnie policja.

Z tego położenia nikt sobie nie zdawał sprawy, narzekano tylko na nieczynność i niedołęstwo Komitetu a niecierpliwa młodzież postanowiła wreszcie działać na własną rękę.

¹⁾ Rząd Nar. do Ks. Czartoryskiego Wyd. Mat. str. II. str. 182.

Tak przyszła do skutku pierwsza wyprawa galicyjska pod wodzą niejakiego Czarneckiego, który służył przez krótki czas w huzarach austriackich, a teraz przybrawszy sobie tytuł „wojewody ruskiego“, ruszył na czele stukilkunastu, niemal bezbronnych ochotników, w kierunku Tomaszowa i po kilku dniach wrócił, nic nie sprawiwszy, do Galicyi.

Tymczasem w łonie Komitetu obywatelskiego zaszły zmiany; ustąpił mianowicie Dzieduszycki okrzyczany reakcyonistą, a na jego miejsce wszedł Antoni hr. Golejewski, poseł do sejmku, człowiek dowcipny i śmiały, ale także uparty i namiętny, a jako piąty członek Artur hr. Gołuchowski, niegdyś w roku 1831 adjutant generała Dembińskiego, znany z szalonej swojej od-



Nr. 99. Zapalowiec (Żalplachta.)

wagi. Jemu też oddano wszystkie dochody z okręgów tarnopolskiego, stryjskiego, czortkowskiego, stanisławowskiego i kołomyjskiego, a więc z okolic najzamożniejszych, na uorganizowanie oddziału podolskiego. Równocześnie zajęła się Komisyja Ekspedycyjna utworzeniem oddziału, który miał wkroczyć w Lubelskie i starać się o połączenie z Langiewiczem. Na dowódcę tej wyprawy przeznaczył generał Wysocki starego żołnierza Czechowskiego, organizatora gwardyi narodowej w 1848 roku; piechotą miał dowodzić Żalplachta, (Zapalowiec) oficer austriackiej artyleryi, jazdą Czyżewicz.

Oddział ten zebrany w lasach Cywkowskich, uzbrojony w znacznej części w sztucce belgijskie, liczący około 450 ludzi przekroczył granicę dnia

15. marca i zajął Tarnogród, ale zamiast posunąć się szybko w głąb kraju, bawił przez pięć dni na pograniczu pomiędzy Tarnogrodem a Luchowem. Tu, pod Potokiem uderzyła na Czechowskiego, wysłana z Janowa kolumna Zawadzkiego, którą zwycięsko odparto. Nazajutrz jednak pojawił się pułkownik Miedników i, połączywszy się z Zawadzki, zaatakował powstańców pod Jedlnikami z podobnym jak Zawadzki sukcesem. Czechowski pomaszewował w kierunku północno-zachodnim, ale Miedników, wsparty nowymi posiłkami, doścignął go wnet i posiadając dokładne informację od szpiega rosyjskiego w obozie polskim „kapitana Rykova“, był nim powieszony później Nikifierow, rozbił powstańców po krwawej bitwie, trwającej od 10. z rana do 3. popołudniu, zupełnie. Czechowski z niedobitkami wkroczył do Galicji.¹⁾

W trzy dni potem nastąpiła, jak wiadomo katastrofa Langiewicza. Mimo przygnębiającego wrażenia, jakie sprawił upadek dyktatury i uwięzienie dyktatora, Komitet obywatelski nie tylko nie stracił ducha ale wziął się z większą jeszcze gorliwością do dzieła. Podatek narodowy czyli tak zwaną ofiarę podwyższono z 10 na 15 procent, zarekwirovano po kilkadziesiąt koni wierzchowych z każdego obwodu, przygotowywano bieliznę i ubrania, wysłano do Wiednia za zakupnem broni Jana Topolnickiego i postanowiono z rozbitków Langiewicza i Czechowskiego utworzyć dwa oddziały. Jednym miał dowodzić Jeziorański, drugim Zapałowicz (Żalplachta). Dla ułatwienia tej nowej wyprawy rozkazał Rząd Narodowy zbliżyć się Lelewelowi do granicy Lubelskiego. Otrzymaawszy od Komitetu obywatelskiego broń, amunicję i płaszcze ruszył Lelewel w wskazanym kierunku i zajął stanowisko w lasach koło Józefowa. Tu napadł go niespodzianie major Ogolin. Lelewel zaczął się cofać. Odwrot osłaniała, na rozkaz wodza, garstka najdzielniejszej młodzieży, wśród której znajdował się także znany i głośny wtedy poeta Mieczysław Romanowski. Zapędzeni na bagna walczyli oni po bohatersku do ostatka i ofiarą życia swego ocalili Lelewela i resztę oddziału. Z 70 ciu padło 38; zginął Romanowski, poległ Gustaw Wasilewski, Aleksander Kossakowski i inni (24. kwietnia).

Ciągle niepowodzenia oddziałów, wysyłanych z Galicji, wywołały wielkie niezadowolenie w Rządzie Narodowym. Wyobrażano tam sobie, że przyczyną tych klęsk jest nieudolność lub opieszałość Komitetu obywatelskiego i że należy zatem organizację w zaborze austriackim poddać gruntownej zmianie. W tym celu wysłano do Lwowa jako Komisarza rządowego Maryana Sokołowskiego, który zażądał rozwiązania Komitetu obywatelskiego i przelania jego władzy i czynności na Komitet „Bratniej pomocy“, co jednak stanowczo odrzucono, a pan Sokołowski przekonał się niebawnie sam, że tylko Komitet obywatelski może w Galicji zdziałać coś dla powstania. Wkrótce też przyszło do nieporozumień pomiędzy nim a Czerwieńcami, z powodu samowolnie zmienionego tekstu „Złotej Hramoty“ na jakąś socyalistyczną odezwę, poczem pełnomocny Komisarz Rządu Narodowego na miejsce Sokołowskiego przysłał Jacka Siemieńskiego dodając mu na zastępcę Mieczysława Pawlikowskiego.²⁾

¹⁾ Szczegóły z opowiadania naocznego świadka pana Henryka Waltera.

²⁾ Ziemiałkowski Pamiętniki. Relacje ustne. Według innej wersji przyczyną odwołania Sokołowskiego było to, że ogłosił okólnik, uwalniający wszystkich właścicieli większych posiadłości na Rusi od udziału w powstaniu, aby ich uchronić od konfiskaty majątków. Wyd. Mát., tom 11., stronica 36.

Spór Komitetu lwowskiego z Rządem Narodowym miał zasadniczy charakter. Rząd warszawski wymagał, aby go uznano jako jedyną władzę prawnitą na całym obszarze ziem polskich. Komitet sprzeciwiał się temu z dwóch powodów: najpierw dlatego, że Komisarze przysyłani przez Rząd do Galicji, ludzie zazwyczaj młodzi i niedoświadczeni, nie znali wcale stosunków miejscowych, popadali z błędu w błąd i zaufania do siebie wzbudzić nie mogli, powtóre, że uznanie takie Rządu Narodowego stanowiło według ustaw austriackich zdradę główną i że w końcu byłoby rzeczą niepolityczną wyzywać rząd austriacki, kiedy on wspólnie z Anglią i Francją interweniował za Polską w Petersburgu.

Wprawdzie Rząd Narodowy w instrukcyi przesłanej swemu wiedeńskiemu agentowi, zapewniał, że nie zamierza „bynajmniej wywołać poruszenia



Nr. 100. Grupa więźniów z oddziału Różyckiego.
(Ze zbiorów p. Jarosława Pieniążka.)

w Galicji ani niema na celu doprowadzić do zmiany stosunków pomiędzy rządem austriackim a mieszkańcami Galicji¹⁾ ale takie gołosłowne zapewnienie nie dawało wcale rękojmi na przyszłość i nie mogło uspokoić obaw Austrii co do posiadania Galicji.

Należało zatem postępować z jak największą wstrzeźliwością a to tembardziej gdy w sferach wiedeńskich panowało przychylne dla sprawy polskiej usposobienie.

Smolka, powróciwszy z Wiednia, opowiadał mianowicie, że ministrowie Schmerling i Rechberg sprzyjają powstaniu, że cesarz Franciszek Józef pozwala o niem mówić w swojej obecności, że nie oburza go bynajmniej wzmianka o niepodległej Polsce, Węgrzy zaś, ujęci mową Smolki w parlamencie są pełni dla sprawy naszej sympatyi.

¹⁾ Wyd. mat., tom V., str. 242.

Wprawdzie przyjaźń węgierska nie przyniosła nam w praktyce spodziewanych korzyści, ale niespodziewany zwrot w polityce austriackiej i wiadomości o interwencji mocarstw, nadsyłane z Paryża budziły otuchę i daleko sięgające nadzieje.

Komitet postanowił zatem urządzić skombinowaną wyprawę: oddział Gołuchowskiego wysłać na Podole, drugi na Wołyń. Jeziorańskiego i Zapałowicza rzucić w Lubelskie. Wątpliwość zachodziła tylko co do ziem ruskich. W tym względzie nie miano dokładnych wiadomości. Jedni prosili o jak najszybsze wysłanie oddziałów z Galicyi, drudzy zaklinali aby ich nie wysyłano wcale.

W Komitecie lwowskim powstało skutkiem tego rozdwojenie. Ziemiałkowski i Adam Sapieha, byli za wysłaniem, raz dlatego, że skoro Królestwo i Litwa powstały a Wielkopolska i Galicya ruch zbrojny wspierają, powinny i ziemie ruskie zaznaczyć, że są ziemiani polskimi, dalej i z tego powodu, że przygotowany zupełnie do wyjścia oddział Gołuchowskiego może być przez władze austriackie rozbrojony, należy go zatem prędko, najdalej z końcem kwietnia wyprowadzić za granicę. Tej argumentacji, bądź co bądź, słabej, sprzeciwili się stanowczo Smolka i Golejewski, a gdy większość (Ziemiałkowski, Sapieha i Gołuchowski) oświadczyła się za wysłaniem oddziałów na Ruś, wystąpili z Komitetu.¹⁾ Komitet uważał za stosowne nie rozstrzygać jeszcze tak ważnej kwestyi prostą większością głosów, lecz odwołać się do ogólnego zebrania naczelników obwodowych. Ci jednak, z wyjątkiem Koziembrodzkiego, szwagra Golejewskiego, przemawiali wszyscy za wyprawą na Ruś i wybrali w miejsce Smolki i Golejewskiego do Komitetu Karola Hubickiego i Alfreda Młockiego. Duszą tej organizacji był Adam Sapieha. Młody, od natury wyposażony wielkimi zdolnościami, pełen energii i zapału, blaskiem imienia swego i magnacką fortuną imponował zarówno szlachcie jak i mieszczaństwu. Nazywano go powszechnie „czerwonym księciem“, bo umiał być popularnym, uprzedzeń nie żywił a patriotyzmem swoim i poświęceniem dla sprawy publicznej jednał sobie powszechną sympatię. Typ trybuna jeśli nie ludowego to szlacheckiego, miał on obok niezaprzeczonych i niepospolitych zalet oraz niemałe błędy w charakterze i usposobieniu; brak wytrwałości zwłaszcza i niepomiarłą ambicję. Chciał rządzić wszystkim i wszystkimi a ulegał łatwo zniechęceniu; opierał się na szlachcie a kokietował przytem demokratów; uparty w zdaniu, działał nieraz szkodliwie, chociaż pragnął jak najlepiej służyć sprawie. Zarzut, że był tylko „sprzymierzeńcem“ Rządu Narodowego a nie poddawał się jego władzy, uważamy za błahy, bo społeczeństwo galicyjskie mógł poruszyć i niem kierować jedynie człowiek tej miary co Sapieha a nie pierwszy lepszy komisarz tajnego Rządu, nieznający stosunków miejscowych i ludzi. Obecnie, mając sobie polecone od Komitetu zakupno broni i amunicyi, wziął się Książę rażno do rzeczy i niebawnie trzy oddziały: Jeziorańskiego, Zapałowicza i Gołuchowskiego były już gotowe.

Zamierzano urządzić z niemi skombinowaną wyprawę w Lubelskie i na Wołyń, ale tu powstały nowe trudności.

¹⁾ Według relacji rękopiśmiennej udzielonej przez Sapięę autorowi „Dwóch lat“ (Dzieje 1863 roku, tom III, str. 292) miał być Książę przeciwnym wyprawie na Ruś, Ziemiałkowski, który pisał tę część swoich Pamiętników w sierpniu 1865 roku, a więc za świeżej pamięci już po katastrofie jaka spotkała powstanie w ziemiach ruskich, przedstawia rzecz zupełnie inaczej. Opowiadanie jego ma wszelkie cechy wiarygodności i dlatego w tekście poszliśmy za niem.

Bawił we Lwowie od dłuższego czasu już generał Wysocki, utrzymując stosunki tylko z Komitetem miejskim. Ciągnęły go tam dawne nałogi, bo był członkiem Towarzystwa Demokratycznego na emigracji, jako też przekonanie, że ruch zbrojny przez żywioł miejski wywołany ma szukać poparcia wyłącznie u mieszczaństwa. Teraz jednak gdy Komitet obywatelski doniósł mu o wyprawie na Wołyń i gdy pułkownik Jordan, sprowadzony z Konstantynopola na dowódcę oddziału wołyńskiego, oświadczył, że pod Wysockim służyć nie będzie, nawiązał generał stosunki z Komitetem, ale dowiedziawszy się, że oddział wołyński liczy 500 ludzi, niechęć słyszeć o wyprawie, mówiąc że z taką garstką nie pójdzie i że zamówi sobie ochotników z Krakowa a broń otrzyma wkrótce z Anglii, Gołuchowskiemu zaś i Zapalowiczowi, ruszyć się nie pozwoli, bo już ułożył z Różyckim czas wspólnej operacji w ziemiach ruskich, i oba te oddziały przeznaczył na wyprawę wołyńską.

W ten sposób mógł Komitet rozporządzać tylko oddziałem Jeziorańskiego. Jeziorański, mianowany przez Wysockiego naczelnym wodzem sił zbrojnych Województwa Lubelskiego, rozpoczął swoją czynność od sądu nad pułkownikiem Czechowskim, którego słusznie uniewinnił.¹⁾ Książę Sapieha miał z tego powodu powziąć niechęć do Jeziorańskiego i kiedy Jeziorański żądał broni „zbył go elastyczną odpowiedzią, że zrobi co może“,²⁾ mimo to jednak, związany uchwałą Komitetu, pomocy odmówić nie mógł. Przy końcu kwietnia więc zebrał się w lasach Żołyńskich oddział, liczący z górą 700 ludzi, doskonale uzbrojony i zaopatrzony w rynsztunek wojenny, jeden z najlepszych, jakie Galicya na pole walki wysłała.

Dnia 28. kwietnia przekroczono granicę w okolicach Tarnogrodu i maszerując w kierunku wschodnim rozbito obóz pod Kobylanką. Prawdopodobnie spodziewał się Jeziorański oddziału Zapalowicza, bo jeszcze w sam dzień bitwy wysłał kuriera do Wysockiego, nalegając na przysłanie Żalplachty. Wysocki zezwolił wprawdzie, ale Zapalowicz mimo pośpiechu przybył już za późno.

Podobnie nie usłuchał rozkazu „naczelnika sił zbrojnych Województwa Lubelskiego“ Czerwiński, który z oddziałem swoim stał w okolicach Tomaszowa ordynackiego.

Tak pozostawiony własnym tylko siłom, zajął Jeziorański stanowisko nad granicą galicyjską, z natury obronne, bo położone wśród gęstego lasu i otoczone bagnami i tu postanowił oczekiwać nieprzyjaciela. Jakoż nie czekał długo. Pułkownik Miednikow, ten sam, co wyparł niedawno Czechowskiego za granicę, wysłał już 30. kwietnia kapitana Sternberga z 800 ludzi i dwoma armatami przeciw „buntownikom“. Nazajutrz, dnia 1. maja, o godz. 9 z rana rozpoczęła się bitwa, jak zwykle strzelaniną; Sternberg, zapewne z obawy przed zasadzką, atakował nieśmiało, co widząc Jeziorański, rozkazał

¹⁾ Polegamy tu na relacji pana Henryka Waltera, który brał udział w wyprawie Czechowskiego i scharakteryzował go krótko: „był to żołnierz ale nie partyzant“. Pan Walter ubił celnym strzałem w potyczce pod Potokiem wyższego oficera rosyjskiego, o czem wspomina za Erlachem Przyborowski, tom IV., str. 175. Świadkiem tego epizodu był żyjący dotąd kanonik ks. Dr. Spiss. Rząd Narodowy usunął Czechowskiego dopiero dnia 7. września za „niesubordynację“.

²⁾ Wersja ta wydaje się zupełnie nieprawdopodobną już dlatego, że wiemy skąd inąd, jako Komitet obywatelski postanowił z rozbitków Langiewicza i Czechowskiego uzbroić dwa oddziały Jeziorańskiego i Zapalowicza (Pamiętniki Ziemiałkowskiego, str. 105) a skoro postanowił to i o wyszyftowanie starać się musiał niewątpliwie. Pan Przyborowski pisze (tom IV., str. 182) że oddział Jeziorańskiego „był doskonale uzbrojony i zaopatrzony we wszystko“ i że o tę broń i rynsztunek wystarał się sam Jeziorański przez żyda Libana. Kto wie z jakimi niesłychanymi trudnościami było palączone wtedy sprowadzanie broni i jak znacznych wymagało funduszy, ten nie uwierzy chyba, aby Jeziorański, człowiek niezasobny, mógł w krótkim stosunkowo czasie uzbroić oddział „doskonale“ z pomocą jednego agenta.

majorowi Grudzińskiemu z dwoma kompaniami obejść nieprzyjaciela. Manewr udał się zupełnie. Rosyanie, napadnięci nagle z boku, poszli w rozsypkę a jazda polska pod Wyleżyńskim dokonała zwycięstwa. Straty obustronne nie były wprawdzie znaczne; nieprzyjaciół zostawił na pobojowisku 23 trupy i jedną zagwożdżoną armatę, a z powstańców poległo pięciu, ale fakt sam w sobie miał wielkie znaczenie moralne. Wiadomość o zwycięstwie pod Kobylanką rozeszła się głośnie echem po całym kraju, obóz Jeziorańskiego stał się celem pielgrzymki obywateli z Galicyi i z Królestwa, przybył tam Książę Adam Sapieha, przywożąc amunicję, przybyli obywatele z Hrubienowskiego, i entuzjazm był tak wielki, że jeżeli wierzyć można niepewnym zresztą pogłoskom, zamierzano obwołać Jeziorańskiego dyktatorem i urządzić nowy zamach stanu na władzę Rządu Narodowego.¹⁾

Ale na to wszystko nie było czasu, bo zwycięskiemu oddziałowi polskiemu zagrażało już nowe i to o wiele większe niebezpieczeństwo. Miednikow, zebrawszy 11 kompanij piechoty, pluton ułanów i sotnię kozaków, postanowił pomścić się klęski Sternberga i dnia 6. maja uderzył na obóz Jeziorańskiego. Zawrzał bój nadzwyczaj uparty i morderczy. Wódz polski, spodziewając się ataku, obwarował swoje stanowisko zasiekami i rowem, przeznaczonym dla strzelców i w tej na prędkę zaimprovizowanej fortecy, bronił się prawdziwie po bohatersku. Bitwa trwała od 9. z rana do 6. po południu i Miednikow cofnął się wreszcie, dobrze okrwawiony, dwoma kolumnami w kierunku Józefowa i Tomaszowa, straciwszy według własnego ze-



101. Jeziorański.

znania, około 150 w rannych i zabitych a w istocie zapewne dwa razy tyle. Z szeregów powstańczych ubyło także około 200 ludzi. Szczególniej pomiędzy oficerami zbierała śmierć obfite żniwo. Zginął Władysław Waligórski, 16 letni młodzieniec, syn generała, ciężko ranny Kazimierz hr. Tyszkiewicz umarł w szpitalu w Cieszanowie; Tomaszowi Winnickiemu, szefowi sztabu zdarł kartacz skórę z czaszki, w ogóle wszyscy niemal oficerowie albo polegli albo cięższe i cięższe odnieśli rany. Dla oddziału, liczącego zaledwie 700 ludzi były to straty bardzo dotkliwe. Nic dziwnego zatem, że Jeziorański z gorączkową niecierpliwością oczekiwał Zapalowicza i że, kiedy spodziewane posiłki zawiodły a Sapieha przywiózł tylko naboje, generał z usposobienia gwałtowny i łatwo się unoszący, ostre Księciu czynił wymówki.²⁾ Co Książę

¹⁾ Tak przynajmniej utrzymuje Przyborowski. Dzieje. tom IV., str. 133.

²⁾ Z opowiadań naocznego świadka, który stojąc przy szalasiu generała Waligórskiego, słyszał najdokładniej jak w sąsiednim namiocie Jeziorański gromił Sapiechę. Tem też może tłumaczy się niechęć Księcia do Jeziorańskiego.

przedsięwziął dalej, niewiemy, dość, że opuściwszy obóz, pisał dnia 8. maja, że Zapałowicz w ciągu kilku dni przybędzie na czele 400 kilkudziesięciu ludzi. Wódz polski nie mógł jednak dłużej zostawać pod Kobylanką, bo dochodziły go wiadomości, jak się później okazało prawdziwe, że Miednikow, zebrawszy większe siły, chce powetować poniesioną klęskę. W nocy 7. na 8. maja zwinął więc Jeziorański obóz i, przeszedłszy przez terytoryum galicyjskie, wkroczył napowrót do Królestwa. Podczas marszu usłyszano od strony Kobylanki huk dział i silny ogień karabinowy, był to Miednikow, który nocnym atakiem chciał zaskoczyć powstańców, strzelał do lasu, poranił, jak mówiono, wielu swoich i dopiero od żandarmów austriackich dowiedział się, że powstańcy obóz opuścili. Niezrażony niepowodzeniem, ruszył on teraz śladem polskiego oddziału i ścigał go, bez wytchnienia. Jeziorański usiłował forsownym marszem odsadzić się od nieprzyjaciela, ale mając ludzi upadających z znużenia i obciążony nadto bronią zapasową, którą prowadzono na wozach, zamiaru swego wykonać nie mógł. Odparłszy więc szczęśliwie nowy atak rosyjski pod Hutą Krzeszowską, poszedł ku granicy austriackiej. Co się dalej stało, na pewne nie wiadomo. Czy Jeziorański zdał dowództwo generałowi Śmiechowskiemu i po cichu oddział opuścił, czy też, jak pisze w swoich pamiętnikach, został przez podjazd rosyjski odcięty od swoich i do oddziału już wrócić nie mógł — to rzecz wątpliwa. Dość że on i jego ludzie znaleźli się nazajutrz w Galicyi. Rząd Narodowy odebrał mu dowództwo i postawił przed sąd wojenny, ale ten wydał wyrok uniewiniający.¹⁾

Jakkolwiek bądź jest pewnem, że przez niezgodę i upór zmarnowano dwa piękne oddziały, bo Zapałowicz także, wkroczywszy do Królestwa, stoczył niepomyślną bitwę pod Tuczapami i schronił się do Galicyi. Co do Jeziorańskiego, to mimo wszystkich zarzutów, jakie go spotykały i spotykają, stwierdzić należy, że był on niewątpliwie jednym z najcelniejszych dowódców, posiadał talent organizatorski, odwagę osobistą i wrodzone zdolności wojskowe, a skłonność do intryg dzielił niestety, razem z tylu innymi, którzy atoli uzdolnieniem wcale jemu nie dorównywali. Rząd Narodowy odebrał wprawdzie Jeziorańskiemu dowództwo, ale niebawnie przywrócił go do obowiązków i znowu to przywrócenie dokonane przez Komisarza Jarmunda odwołał. Widocznie działały tu jakieś pokątne intrygi, które Majkowski uważał za szkodliwe.²⁾

Wśród takich niepomyślnych okoliczności zbliżał się termin (8. maja) powstania na Rusi i czas był już ostatni, aby pomocnicze oddziały galicyjskie zorganizować i wysłać na Wołyń i Podole. Tymczasem roboty w tym kierunku postępowały zółwim krokiem; do Lwowa ściągali się powoli ochotnicy zamówieni przez Wysockiego z Krakowa i oficerowie z Francyi, broń nie nadchodziła a wódz naczelny nie miał wiary w możność powodzenia. „Gdybyśmy poszli w głąb kraju, tak mówił do Jana Majkowskiego, obecnie Komisarza Rządu Narodowego w Galicyi Moskale wymordowaliby i połapali wszystkich co do jednego. Żal mi tej dzielnej młodzieży i nie chcę jej mieć na sumieniu, dlatego też uderzę na Radziwiłłów, położony na samej granicy. Jeżeli zwyciężę, i wojska moskiewskie będą iść na mnie z Łucka, Dubna

¹⁾ Ziemiałkowski, który mógł mieć i miał zapewne dokładne informacje o losach oddziału Jeziorańskiego, utrzymuje, że Jeziorański wyjechał na rekonesans, a ludzie jego widząc nacierających Moskali, przeszli granicę; dymisy zaś otrzymał na naleganie Jana Majkowskiego Komisarza Rządu Narodowego w Galicyi, a o sądzie wojennym nie wspomina zupełnie (str. 143).

²⁾ Materiały, tom III., str. 41.

i innych punktów to ja wtedy rozbiję je pojedynczo, i wzmacniając się coraz bardziej, posuwać się będę dalej. Jeżeli będę odparty, stracę niewielu ludzi, a reszta powróci do Galicyi“.¹⁾

Wódz, który z takim usposobieniem wybierał się na wyprawę, musiał ponieść klęskę.

Gdybyż przynajmniej był działał spieszenie i wykonał ściśle plan ułożony w Sidorowie. Ale o tem nie było mowy. Przez cały maj i czerwiec zbierali się ochotnicy, Lwów roił się od powstańców, których utrzymanie bajońskie pochłaniało sumy.²⁾ Wysocki chciał mieć oddział doskonale zorga-



Nr. 102. Śmiechowski.

nizowany i zaopatrzony: sprowadził nawet drukarnię obozową i furgony z blaszanymi budami, do użytku po zaniedbanych wtedy drogach zgoła nieprzydatne.

Tymczasem powstanie na Rusi konało, Różycki z oddziałem wołyńskim przeszedł do Galicyi. Widocznem było, że wyprawa jest spóźniona i że wyprawa na Wołyń niema najmniejszych widoków powodzenia.

Mimo to Wysocki trwał w swoim przedsięwzięciu i gdy nareszcie nadeszła broń, w kotłach żelaznych upakowana, postanowił wyruszyć. Wyprawa składała się z trzech oddziałów. Główny pod Wysockim liczył 1000

¹⁾ Pamiętnik Jana Majkowskiego str. 41.

²⁾ Na żołd dla oficerów i żołnierzy wydano w ciągu 27. dni 400.000 złp., podczas gdy cała wyprawa kosztowała 480.000 złp.

ludzi, drugi pod Horodyńskim 360, trzeci pod Miniewskim około 800. Wszystkie one miały się zebrać w lesistej okolicy koło Brodów i wykonać dnia 2. lipca o godzinie 4. z rana skombinowany atak na Radziwiłłów, gdzie, według mylnych wiadomości, miały się znajdować tylko dwie kompanie piechoty i kilkudziesięciu obeszczyków. Napróżno odradzał pułkownik Struś (Stella Sawicki) od zdobywania Radziwiłłowa i od skomplikowanej operacji, która zwykle zawodzi, napróżno przytaczał przykłady, jak uparci są Rosyanie w obronie miast, dodając przytem, że zajęcie lichej, pogranicznej miejsciny żadnej nie przyniesie korzyści, Wysocki nie dał się przekonać. Zaczęły się więc przygotowania z największymi połączone trudnościami. Trzeba było broń do obozów przenosić i tu ją dopiero składać i naprawiać, ochotników wśród gęstych patrołów austriackich na miejsca oznaczone przeprowadzać, ludzi żywić i jako tako organizować a nadto bezustannie mieć się na baczności, aby wojska austriackie obozów nie otoczyły i wszystkiego nie zabrały. Jakkolwiek bowiem rzecz cała odbywała się niemal jawnie i powstańcy wychodzili ze Lwowa o zmierzchu w kolumnach, bez żadnej przeszkody, to jednak należało się spodziewać, że tam, na granicy pod okiem władz rosyjskich i w bezpośrednim sąsiedztwie konsulatu rosyjskiego w Brodach, gęste posterunki wojskowe mniej będą pobłażliwe. Jakoż rzeczywiście napotymano na każdym kroku wielkie przeszkody tak że zaledwie z niezmiernym trudem zdołano ludzi zebrać i broń pomiędzy nich rozdzielić. Na domiar złego, w nocy z 1. na 2. lipca nadeszła gwałtowna burza z piorunami i ulewą, która w tych bagnistych po części nizinach rozmoczyła drogi i utrudniła jeszcze więcej skombinowany ruch oddziałów.

Mimo to Horodyński stanął o godzinie 4. pod Radziwiłłowem i stosownie do rozkazu, jaki otrzymał, uderzył natychmiast na miasto. Atak nie udał się, on sam zginął a oddział jego poszedł w rosypkę. W trzy godziny później przybył Wysocki i nie wiedząc o losie Horodyńskiego a licząc na pomoc jego i Miniewskiego rozpoczął bitwę od strony południowej. Z domów przedmieścia Lewiatyńskiego posypał się grad kul, major Mroczkowski został ranny, około niego padło 40 powstańców. Powstał popłoch, ale strzelcy pod dowództwem Wysockiego, dwie kompanie pod Krzyżanowskim jakoteż garstka kosynierów poszły do ataku i z bagnetem w rękę wyparły Moskali i Lewiatyn wzięto. Do zdobycia miasta było jednak jeszcze daleko a tu właśnie nadeszła wiadomość o katastrofie Horodyńskiego. Wysocki, widząc że misternie ułożony plan zupełnie się nie powiódł, popadł w rozpacz i, wysunawszy się naprzód szukał śmierci. Dopiero pułkownik Struś, który wśród ogólnego popłochu i zwątpienia zachował zimną krew, kazał zaprzestać ognia i poprowadził oddział ku komorze celnej, nie ścigany przez Moskali. Około 4. godziny dano znać, że załozde Radziwiłłowskiej przyszły posiłki z Dubna i Krzemieńca, nie było więc innej rady jak tylko powrócić do Galicji.

Stąd, z Klekotowa wysłał Wysocki rozkaz Miniewskiemu aby granicy nie przekraczał a broń, amunicję i ludzi przechował w miejscach pewnych aż do dalszego rozporządzenia. Miniewski, pociągnięty później do tłumaczenia się i stawiony przed sąd napisał raport, w którym całą winę złożył na Komitet. Sąd wojenny zażądał wyjaśnień od Komitetu wskutek czego Tadeusz Wasilewski, najlepiej o rzeczy poinformowany, przyjechał do Lwowa i tu ułożył sprawozdanie o wyprawie Miniewskiego, ale został tymczasem aresztowany.¹⁾

¹⁾ Według Ziemiałkowskiego (str. 169) wskutek denuncjacji oficera z oddziału Miniewskiego.

Znalezione przy rewizyi sprawozdanie skrompromitowało i jego i innych członków Komitetu i było przyczyną uwięzienia Ziemiałkowskiego i Ks. Adama Sapiehy, o którym zresztą namiestnik ówczesny Mensdorff miał wiadomość, że przebywał w obozie Horodyńskiego. Miniewski wyjechał po aresztowaniu Wasilewskiego ze Lwowa i przed sądem już nie stawał.

Równocześnie prawie dostał się do więzienia także generał Wysocki. Wywieziony do Lincu i tam internowany, nie brał on już udziału w powstaniu. Następcą jego mianował Rząd Narodowy Edmunda Różyckiego.

Tak marniały jeden po drugim wszystkie oddziały galicyjskie, już to przez niedołęstwo dowódców i niezgodę wewnętrzną, już to wskutek niezdecydowanej polityki ówczesnego rządu austriackiego, który ujmując się za Polską i sprzyjając powstaniu, paraliżował jednak usiłowania patryotów galicyjskich i z wiedzą czy bezwiednie dopomagał Rosyi do stłumienia ruchu zbrojnego w ziemiach polskich. Nie mała także winę ponosi i Rząd Narodowy, spierający się z Komitetami galicyjskimi o kompetencję władzy i wnoszący rozstrój do organizacji w zaborze austriackim, gdy należało raczej jednoczyć stronnictwa celem jak najskuteczniejszego popierania sprawy narodowej.

Wezwawszy niebacznie, za wpływem Czerwieńców kijowskich, Ruś do powstania, zużywał Rząd Warszawski pomoc galicyjską na ekspedycje, niemające żadnych widoków powodzenia. Zapewne, zwycięstwo w tej beznadziejnej wojnie było niemożliwem, ale odmiennym poszłyby rzeczy torem, gdyby Zapałowicz wsparł był Jeziorańskiego a zmarnowane pod Radziwiłłowem oddziały rzucono zamiast na Wołyń w Lubelskie i gdyby nie wszczymano wcale powstania na Rusi, dla bezpłodnej demonstracyi.

Fantastyczny plan Sidorowski, wykonany częściowo, w długich odstępach czasu, sprowadził największe klęski. Zasłepienie tylko mogło, po Solowijówce i Pohrebyszczach, wierzyć w powodzenie wypraw ruskich, a jednak obłąd umysłów był tak wielki, że nawet katastrofa Wysockiego nie zdołała wytrzeźwić marzycieli.

Po nieudanych porywach, przyszła kolej na dalszy punkt programu, ułożonego w Sidorowie na ekspedycję podolską Zygmunta Miłkowskiego.

Zdawało się, i w tem przypuszczeniu było nieco prawdy, że tam na Wschodzie, na półwyspie bałkańskim, w tym kącie Europy, brzemienym zawsze chmurami i piorunami, będzie można uorganizować oddział liczny, dobrze uzbrojony, rzucić go na Podole, a po drodze, kto wie, wywołać nawet komplikacje, dla pokoju europejskiego niebezpieczne, dla sprawy polskiej korzystne. Miłkowski, który znał Wschód dobrze jeszcze z czasów wojny krymskiej i miał tam stosunki, sądził, że zdoła zebrać pod sztandarem polskim, emigrantów naszych, mieszkających w Turcyi, rozmaite „osypki“ Czarnogórców, Bułgarów i awanturników wszelkiego rodzaju, wprawnych do oręża i skorych do bitki, że tę watahę uzbroi łatwo — bo rząd turecki sprzyjał sprawie polskiej — że pomnoży ją może kozackimi pułkami Sadyka baszy,



Nr. 103. Horodyński.

że na czele tych straceńców i oczajduszów spadnie jak grom na pola Podolskie i rozpali stamtąd pożar, sięgający aż po porohy i limany Dnieprowe.

Te wizye poetycznego umysłu, te pragnienia serca przepełnionego miłością Ojczyzny i stęsknionego za Polską, miały pewną realną podstawę, ale w razie wykonania wymagały przede wszystkim znacznych funduszków i wielkiej w działaniu ostrożności. Niestety Miłkowski posiadał zaledwie 8000 rubli i 10.000 franków, co na ekspedycję o tym zakresie nie wystarczało zupełnie, a zabiegów swoich nie zdołał ukryć przed Argusowem okiem agentów rosyjskich.

Były pewne nadzieje uzyskania broni. Mianowicie miał panujący wtenczas w Rumunii, Ks. Kuza, w przechowaniu u siebie 10.000 karabinów, przeznaczo-



Nr. 104. Miniewski.

nych, o ile się zdaje, dla projektowanego powstania węgierskiego. Rząd Narodowy otrzymał od cesarza Napoleona III. pozwolenie na użycie tych karabinów, ale za zgodą Kossutha. Ponieważ Kossuth oświadczył się z wielkimi dla powstania polskiego sympatjami i listownie przyrzekał swoją pomoc, więc udano się wprost do niego.¹⁾ Czy i co Kossuth odpowiedział, niewiadomo, ale generał Türr, wiedząc już o formacji polskiego oddziału w Tulczy nad Dunajem i pod-mówiony przez Giersa, dyplomatycznego agenta rosyjskiego w Bukareszcie, zamierzał użyć Polaków przeciw Austrii i skłonić ich do wkroczenia do Galicji. Była w tem czynną oczywiście intryga rosyjska, mająca na celu wywołać zamieszanie w Austrii, mocarstwo to zatrudnić sprawami wewnętrznymi i odciągnąć od współdziałania z Anglią i Francją na korzyść Polski. Na ten gruby podstęp dał się prawdopodobnie złapać Mierosławski, wierzący ślepo w pomoc i potęgę europejskich rewolucjonistów, ale nie Miłkowski.

Zaczęto więc przeciw niemu intrygować i przedstawiać Ks. Kuzie, że dowódzca polski jest w porozumieniu z malkontentami

rumuńskimi którzy dążą do detronizacji Księcia Kuza, uwierzywszy tym plotkom miał się wyrazić, że Polaków, jeżeliby się odważyli w większej ilości, z bronią w rękę, przechodzić przez terytoryum rumuńskie, powita ogniem.²⁾

Miłkowski jednak ducha nie tracił i organizował dalej swój oddział. Trwało to długo, bez należytej ostrożności, pod czujnem okiem agentów i szpiegów rosyjskich. Karabiny przysłane przez Garibaldiego do Konstantynopola upakowano tak, że władze tureckie musiały transport skonfiskować. Nadto nieprzyjazne Miłkowskiemu stronnictwo, zostające pod wpływem

¹⁾ List Rządu Narodowego do Kossutha d. Mat. tom. V. str. 180.

²⁾ Rząd Narodowy do Czartoryskiego: tamże str. 191.

Do
SEKRETARYAT

AGENCYI DYPL. POLSKIEJ

we

WŁOSZECH

N^o ⁶/₂₆.

Paryż

d. 2 Listopada 1863r.

Szanowny Obywatelu Agencji!

Przez Rząd Niderlandzki przysłano nam 130,000
franków na wyprawę wschodnią Menotti Garibaldiego
se wrota em Komisarza Państwowego
w Wschodniej Italiji z dnia 11^o Lipca
1863 roku wydatem Obyw. J. B. Deidomowi
w Geni z 22 sierpnia t. r. na co odebrałem
pokwitowanie. Pieniądze te jał mi wia-
do przesłać wotady do kasy Narodowego
Wzrostu i Rozwoju, wzywając do Lu-
belskiego.

Łyż Samceł

*Sekretarz Agencji Dypl. Polskiej
we Włoszech.*



Pokwitowanie z odbioru pieniędzy, przesłanych przez Rząd
Narodowy na wyprawę Menottiego Garibaldiego.

pulkownika Jordana zachowywało się w obec zamierzonej wyprawy albo obojętnie albo też wprost niechętnie.

Wśród takich trudności zebrał Miłkowski zaledwie 213 ludzi, uzbrojonych w stare karabiny rosyjskie zakupione w Atenach, i z tą garstką ruszył dnia 11. lipca przez Budziak, Multany i Besarabię na Podole, a więc w czasie kiedy powstanie ruskie dawno już upadło, kiedy oddział Wysockiego został rozbity i kiedy o wznowieniu ruchu nikt nie myślał i myśleć nie mógł.

Rząd rosyjski, doskonale uwiadomiony o zamiarach Miłkowskiego, zgromadził też na granicy znaczne siły, a rumuński, traktując oddział polski w odezwach swoich jako „bandę złoczyńców i rozbójników“, postanowił albo powstańców rozbroić albo zmusić do powrotu na turecki brzeg Dunaju.

Jakoż natychmiast wysłano pulkownika Kalineska w 1200 ludzi przeciw Miłkowskiemu. Dowódzca rumuński zażądał złożenia broni, a gdy Miłkowski propozycję tę odrzucił, przyszło do bitwy pod Kostangalią, w której Rumunów pobito i zmuszono do ucieczki.

Mimo tego świetnego i zupełnie niespodziewanego zwycięstwa, położenie polskiego oddziału było krytyczne. Miłkowski, straciwszy w spotkaniu pod Kostangalią 20 ludzi, miał niespełna 200tu żołnierzy, zmęczonych pochodem i walką, przeciw sobie zaś znaczne siły rumuńskie, otaczające go dookoła i zabiegające drogę od Prutu. Przeprawa przez Prut powiodła się wprawdzie ale tu dopędził powstańców upadających ze znużenia, Kalinesko i Miłkowski, nie widząc już innej rady, zdał się na łaskę i niełaskę. Bezpośrednio po Kostangalii mógł być niewątpliwie dogodniejsze wytargować warunki.

Wziętych do niewoli Polaków internowano we wsi Anadolii a później wypuszczono na wolność — broń zabraną wydał rząd rumuński agentowi Rządu Narodowego Michałowi Mrozowskiemu.

Ks. Kuza, zaniepokojony widocznie tym obrotem rzeczy i zapewne z obawy przed Francją, zmienił nagle swoją taktykę, wezwał Miłkowskiego do Bukaresztu, przyjął go bardzo grzecznie i wyraził się, że wszystkiego można było uniknąć, gdyby Polacy szli przez Rumunię bądź pojedynczo bądź częściami, że wtedy byłby im wcale nie przeszkadzał i nawet broń przepuszczał.

Tak czy owak, wyprawę Miłkowskiego, czekała nieunikniona, klęska, i może lepiej się stało, że Rumuni ocalili tę garstkę straceńców od śmierci lub zsyłki na Sybir a żywioł polski na Podolu uchronili przed sroższą jeszcze represją.

Równocześnie spełzła na niczem i owa ekspedycja włoska do Odesy, rozchwiał się projekt utworzenia legionu włoskiego, Garibaldi rozmyślił się i dnia 2. listopada 1863 roku zwrócił na ręce agenta polskiego, Zygmunta Sarneckiego sumę 130.000 franków, jaką był otrzymał na cele wymienionej wyżej wyprawy od Rządu Narodowego. Nadzieje, pokładane w wszech europejskim stronnictwie rewolucyjnym zawiodły podobnie jak i wiara w czynną interwencję mocarstw zachodnich.





Rozdział szesnasty.

TRUDNE POŁOŻENIE W. KSIĘCIA. -- DZIAŁALNOŚĆ KATKOWA. -- UKŁADY
RZĄDU NARODOWEGO Z MIEROSŁAWSKIM. -- ZAMACH CZERWIEŃCÓW. --
NOWY RZĄD. -- ZAMĘT. -- KAROL MAJEWSKI I UTWORZENIE CZWAR-
TEGO RZĄDU. -- ZABÓR PIENIĘDZY Z KASY GŁÓWNEJ. -- WYROKI ŚMIERCI.
-- UPADEK I WYJAZD WIEŁOPOLSKIEGO. -- PRZYCZYNY JEGO NIEPO-
WODZEŃ.

Gdy tak we wschodnich i południowo-wschodnich prowincjach krew polska lała się strugami z największą dla sprawy narodowej szkodą, gdy na Litwie pod rządami Wieszatela rozpoczynał się okres eksterminacyjnej przeciw żywiołowi polskiemu polityki, gdy marzyciele ukraińscy ginęli śmiercią męczeńską pod ciosami cepów i kos rozbestwionego chłopstwa, panowało w Warszawie największe zamieszanie, zwiastujące zbliżającą się katastrofę.

Walka z ruchem zbrojnym, prowadzona, jakby z umysłu, ospale i niezręcznie, przeciągała się w nieskończoność i dawała sferom wojskowym pożądaną sposobność do narzekań na system Wielopolskiego, na autonomię Królestwa i na zagadkową politykę W. Księcia. Te echa niezadowolenia rozmaitych karyerowiczów rosyjskich, dochodzące nad Nową i do murów „białokamiennej“ Moskwy, chwyтали skwapliwie „Samobytnicy“ i kuli z nich broń przeciw znienawidzonej Polsce i równie może znienawidzonemu bratu carskiemu.

Katkow rozpoczął w Mosk. Wiedomost. systematyczną w tym kierunku kampanię. W licznych artykułach wstępnych, w korespondencyach z Warszawy, pisanych przez nikczemnego żandarma Rothkircha, oczywiście „rdzennego“ Rosyanina, przepelnionych tendencyjnymi kłamstwami, starał on się udowodnić, że rządy W. Ks. Konstantego są zgubne dla Rosyi, że administracya Królestwa jest nieudolna, że bunt należy stłumić bez oglą-

dania się na opinię europejską i interwencję mocarstw zachodnich, i że jedynym do tego środkiem będzie skupić wszystkie władze w kraju „w rękach ludzi niedostępnych“ wpływom patryotyzmu polskiego i groźbom rewolucyjnym.

Pod wrażeniem takich to podstępnych insynuacji, powtarzających się stale na szpaltach wpływowego dziennika, wytwarzała się w obojętnym zresztą na losy państwa społeczeństwie rosyjskiem, zwolna opinia, dla Polaków i W. Księcia wroga, dla drapieżnych i krwiożerczych instynktów samobytnicznych pożądana. Ulegali jej nawet ludzie umiarkowani i do pewnego stopnia bezstronni¹⁾ a późniejsze powodzenie Murawiewa na Litwie mogło tylko utwierdzać petersburskie sfery w mniemaniu, że system bezwzględnej, krwawej represyi jest jedynym środkiem ocalenia państwa.

W Królestwie były oczywiście rządy tego rodzaju tak długo niemożliwe, jak długo W. Książę sprawował władzę Namiestniczą, starano się więc usunąć go delikatnie a gdy intryga skutku nie odniosła, posłano upartemu kniaziowi na pomocnika generała Berga (17. kwietnia).

Berg, urodzony w Inflantach, pochodził z niezamożnej rodziny niemieckiej, wstąpił młodo do wojska i tam, zręcznością swoją w służbie wywiadowczej o szpiegowskim charakterze, doszedł w okresie wojen Napoleońskich do stopnia sztabowego kapitana i otrzymał złotą szablę za „waleczność“ w raz z orderem. Później zajmował stanowisko dyploma-



Nr. 106. Pułkownik Strus (Stella Sawicki.)
(Ze zbiorów p. Jarosława Pieniążka.)

tyczne przy ambasadzie w Konstantynopolu, w przededniu wojny tureckiej (1828) dostarczył cesarzowi Mikołajowi dokładny plan części półwyspu bałkańskiego i został mianowany zato generałem kwatermistrzem II. armii. Mówiono później, że ten plan albo ukradł albo też za grube pieniądze kupił w ambasadzie angielskiej.²⁾

Podczas powstania listopadowego odznaczył się kilkakrotnie i wyszukał sobie historyyografa w osobie Niemca Smitta, któremu wyjednał dostęp do archiwów głównego sztabu.

Powstało w ten sposób znane dzieło: „Geschichte des polnischen Aufstandes und Krieges in den Jahren 1830—1831“ gdzie zasługi i czyny Berga są przedstawione w należytem oczywiście świetle. Tak pracując niezmordowanie nad swoim wyniesieniem, piał się coraz wyżej, aż podczas

¹⁾ Przykładem Berg autor, „Zapisków“.

²⁾ Berg tom III., str. 136.

wojny krymskiej otrzymał tytuł hrabiego i został generał-gubernatorem finlandzkim.

W roku 1856 odwołany z tego stanowiska nie miał właściwie żadnego zajęcia.

Był to wtedy starzec już 70letni ale krzepki i zdrowy, idący z młodymi w zawody.

Pomimo długoletniej służby rządowej nie czuł się bynajmniej Rosyainem. W 1849 mówił generałowi Dehnowi: Rosya to Chiny; Rosyanie nie mają pojęcia honoru. Człowiek, na ogół, zupełnie niekulturalny, z natury chciwy i ambitny, do brania łapówek skłonny, posiadał jednak niesłychany wpływ i przebiegłość. Milczący i drzemający nawet na pozór, słyszał i wi-



Nr. 107. Zasadzka powstańców.

dział wszystko i nadawał się, jak mało kto do odegrania roli intryganta w Warszawie.

Nieodstępując W. Księcia ani na krok, śledził wszystko bacznie, ale milczał przytem jak grób i tylko od czasu do czasu wzruszał ramionami i zaufańszym szeptał do ucha: „widzę, że oprócz mnie, W. Księcia, a może i Wielopolskiego, wszyscy należą do Rządu Narodowego“.

Tak, po cichu jak lis skradał on się do upragnionego celu, do władzy Namiestnikowskiej, bo wiedział po co go posłano do Warszawy, a nie ulega chyba wątpliwości, że musiał wysyłać raporty, niekorzystne zarówno dla W. Księcia jak i dla Wielopolskiego, że tam nad Newą przez organa swoje działał równie zręcznie, jak tu nad Wisłą, gdzie zresztą nad jego wyniesieniem pracowali zgodnie i przyjaciele i nieprzyjaciele, i Rosyanie i Polacy. Pierwsi bowiem, przez swoje niedołęstwo przydłużali powstanie, w Petersburgu przypisywane wpływom W. Księcia, drudzy, wyteżając swoje siły na

obalenie systemu Wielopolskiego i zniweczenie ambitnych planów Konstantego, torowali w dziwnym zaślepieniu drogę najsroźszej reakcji.

W najwyższych sferach organizacyi narodowej ścierały się wtedy ze sobą dwa prądy, od dawna już istniejące, ale teraz dopiero do stanowczej przygotowane walki. Rząd Narodowy, złożony z umiarkowanych żywiołów i „Komisya powstańcza“, utworzona przez zwolenników Mierosławskiego. Wchodzili do niej: Leon Chmurzyński, zapalony demagog, Paweł Landowski, Nejdin, Lasocki, Janczewski, Orłowski i kilku innych.

Mierosławski po Krzywosądzkiej klęsce, siedział w Krakowie, protestował przeciw dyktaturze Langiewicza, wymyślał Rządowi Narodowemu od „bałwanów“ i „nikczemników“ i zachęcał swoich przyjaciół do obalenia tej władzy, według niego samozwańczej, obłudnej i niedołężnej.

Jakoż zanosilo się na to, i Rząd Narodowy, zagrożony w swojej egzystencji, postanowił próbować układów, w tym celu wyjechał do Krakowa w połowie kwietnia jako nadzwyczajny Komisarz dla Galicyi wschodniej i zachodniej, Jan Majkowski i przedłożył Mierosławskiemu warunki ugody. Generał miał uznać Rząd Narodowy, a natomiast otrzymać naczelne dowództwo w jednym z okręgów, na które kraj cały podzielono, ponadto zaś środki wszelkie do utworzenia oddziału i wyprowadzenia go na pole walki. Po długich targach, pod naciskiem swoich najbliższych przyjaciół, przyjął w końcu Mierosławski warunki i napisał coś w rodzaju uznania Rządu, ale wnet pod blahym pozorem umowę zerwał, oświadczając, że bez pomocy Rządu utworzy oddział i wyjdzie w pole, a jak zwycięży, nie będzie niczem krępowany, jeżeli zaś przegra, nikomu przynajmniej rachunków zdawać nie będzie.¹⁾

W istocie, mimo przeszkód, jakie mu stawiano, zebrał około 500 ochotników i pozyskał sobie zarazem dwóch dowódców partyj, istniejących już w Królestwie, Drewnowskiego w Rawskim i Seyfrieda na Kujawach. Obaj oni mieli się połączyć z oddziałem Mierosławskiego i utworzyć w ten sposób poważną siłę, z którą eksdyktator zamierzał rozpocząć drugą swoją kampanię i w razie powodzenia ogłosić się dyktatorem.

Ale plan nie udał się. Drewnowski (właściwe jego nazwisko było Jaworski) napadnięty przez Bremsena pod Ulewem opuścił haniebnie swój oddział i uciekł, Seyfried nie przybył wcale; partya Mierosławskiego, którą dowodził Malczewski, została rozbita pod Igołomią (dnia 4. maja), druga, t. zw. legia zagraniczna, złożona z Franzuzów i Włochów, pod Krzykawką, gdzie poległ między innymi pułkownik włoski Franciszek Nullo, towarzyszył Garibaldi.

Dłaczego Mierosławski sam nie prowadził oddziału, lecz przybiegł do pogranicznego Pobiednika, dopiero wtedy, gdy bitwa się kończyła i wszystko w popłochu uciekało do Galicyi, na to w pismach jego gorących zwolenników nie znajdujemy wcale odpowiedzi. Oni sami zresztą liczyli nie tyle na powodzenie orężne co na to, że „Mierosławski wymową swoją potrafi poruszyć masy ludowe“.²⁾ Niepoprawni marzyciele, czerpiący polityczną mądrość swoją z odezw i pism Towarzystwa demokratycznego, wierzyli w moc słowa, tam gdzie losy narodu spoczywały na ostrzu miecza.

I oni jednak, acz zapóźno widzieli, że rola Mierosławskiego w powstaniu jest skończona. Tak też sądził i sam generał, kiedy po opisanych wyżej

¹⁾ Daniłowski l. c. str. 300.

²⁾ Daniłowski str. 302.

wypadkach, wyjechał do Paryża i nigdy odtąd w kraju się już nie pojawił. Mimo to ferment, wzniecony przez niego trwał dalej. W Krakowie powstała, pod przewodnictwem Ignacego Chmieleńskiego, „Komisya do obalenia Rządu“, która najnikczemniejszymi posługując się środkami, wysłała wreszcie do Warszawy morderców dla zabicia dwóch, najbardziej przez nią znienawidzonych członków Rządu, Ruprechta i Gillera.¹⁾

Tej samej taktyki trzymała się i „Komisya powstańcza“, działająca w duchu Mierosławskiego na gruncie Warszawskim.

Z jej to rozkazu został zaszytowany publicysta Miniszewski, autor „Komunałów“, człowiek, niewątpliwie lichego charakteru, ale bynajmniej nie szpieg i nie denuncyant, za jakiego go przedstawiano. Za pieniądze a może i z przekonania, bo trudno zbadać tajniki duszy ludzkiej, bronił on Wielo-



Nr. 108. Huzarzy austriaccy wstrzymują Kozaków na granicy galicyjskiej.

polskiego, smagał Czerwieńców i był przytem przeciwnikiem Żydów, których uważał za główny czynnik powstania, z pobudek czysto egoistycznych.²⁾

Tragiczna śmierć Miniszewskiego wywołała powszechne oburzenie i przekonała Rząd Narodowy, że obok niego istnieje inna władza, groźna i nieprzebijająca w środkach. Ale zanim się opatrzone, zanim zdołano pomyśleć o jakiejś obronie, nadeszła już burza, a przyspieszyła ją nominacja Ks. Władysława Czartoryskiego na pełnomocnika rządu w Anglii, Szwecyi, Turcyi i Francyi, uważana przez Mierosławczyków niemal że za zdradę główną.

Wszyscy ci co wyszli ze szkoły „zmartwychwstałego wodza“ byli nieubłaganymi przeciwnikami szlachetczyzny, arystokracji i t. zw. „Czartoryszczyzny“. Ich nienawiść dochodziła do idyosynkrazji. Każdego magnata,

¹⁾ Giller, Hist. powst. tom. II. str. 226.

²⁾ Por. listy jego w tej sprawie u Przyborowskiego. „Dzieje“ tom. II. str. 465.

nawet takiego, który dla sprawy powstania poświęcał majątek, narażał życie i wolność osobistą, podejrzewali oni o reakcyjne zamiary. Jan hr. Działyński organizator W. Ks. Poznańskiego, służył według ich mniemania tajemnie widokom arystokracji. O Adamie Sapieże mówiono: „chce nas uwikłać w swoje sidła, aby sprzedać arystokratom“; jest zanadto zdolny i dlatego nie można mu dowierzać.¹⁾

Była to ta nieszczęsna „fatalność, co oddawna wiedzie wszystkie partye w Polsce do zniszczenia się nawzajem i czyni jej historję niezmiernie tragiczną“.²⁾

Rząd Narodowy pragnął temu tragizmowi położyć koniec.

„Nie czas nam dzisiaj — tak pisał do Demontowicza dnia 10. kwietnia — bawić się w stronnnicze zasady i poglądy, lecz, wobec walki którą prowadzimy z najazdem, należy wszystkie stronnictwa, wszystkie chęci i stosunki zużytkować“.³⁾

Z tej jedynie słusznej wychodząc zasady powoływał do służby dyplomatycznej za granicą ludzi, posiadających tam pewne stosunki, znaczenie i wpływy, jakoteż biegłość w traktowaniu spraw tego rodzaju. Od chwili, kiedy mocarstwa zachodnie zaczęły się ujmować za Polską, była taka reprezentacya konieczną, nieodzowną. Rzucać się w objęcia rewolucyi europejskiej znaczyło tyle, co rezygnować zgóry na poparcie gabinetów i polegać jedynie na czczych obietnicach, które jedne po drugiej zawodziły. Sojusz z rewolucjonistami i pomoc, wątpliwej zresztą wartości, wymagała przede wszystkim pieniędzy i pieniędzy. Węgierski komitet rewolucyjny w Peszcie żądał na uzbrojenie i wyekwipowanie oddziału węgierskiego 5 milionów franków, a kiedy Mazzini chciał nawiązać stosunki z Rządem Narodowym, ostrzegał Bulewski z Londynu, że pierwszym warunkiem będzie żądanie funduszu albo też udział w fałszowaniu banknotów rosyjskich. Podobne doświadczenia zebrał Rząd Narodowy także w Czechach i Szwajcaryi.⁴⁾

Nikt nie mógł przewidzieć, że interwencya mocarstw zawiedzie, ale każdy dzień niemal przekonywał, że na obietnicach rewolucjonistów zgoła polegać nie można. Wręcz przeciwnego zdania był oczywiście Mierosławski i jego zwolennicy, ludzie o słabych głowach, ale ślepo oddani eksdyktatorowi. Więc skoro tylko doszła do nich wiadomość o nominacyi Czartoryskiego, postanowili natychmiast temu zamachowi na rewolucyę przeszkodzić. Jakoż w drugi dzień Zielonych świąt, dnia 25. maja wtargnęli we czterech (Lembke-Okularnik, Jan Wernicki, Stanisław Olszański, okręgowy w organizacyi i niejaki Gawelkiewicz), mając ze sobą oddział t. zw. sztyletników, na posiedzenie Rządu Narodowego i grożąc śmiercią obecnym, zażądali od nich wydania wielkiej pieczęci i dokumentów.

Członkowie Rządu: Aweyde, Siwiński i Janowski — bo Ruprecht nie przyszedł a Giller, zapewne w przewidywaniu katastrofy, wyjechał do Krakowa, nie stawili wcale oporu i rewolucya była dokonana.

Ale teraz dopiero zaczęły się największe trudności, bo ci co obalili Rząd, nie pomyśleli wcale o nowym jego składzie. Oni sami nie mogli mieć przecież pretensyi do sprawowania najwyższej władzy; ani Wernicki, lichwiarz i nicpoń, ani „bardzo poczytywy patriota“ Lembke, człowiek bez wszel-

1) Daniłowski, str. 377.

2) Adam Mickiewicz, Liter. słow., tom II., str. 137.

3) Materiały, tom V., str. 177.

4) Zeznania Majewskiego.

kich zdolności politycznych, ani wreszcie Chmurzyński. Nikt tych ludzi nie znał i nikt nie miał do nich zaufania. Utworzono więc Komisję wyborną i ona ustanowiła nowy Rząd złożony z Piotra Kobylańskiego, mecenasa przy senacie, Henryka Bąkowskiego radcy w komisji oświecenia, Erazma Malinowskiego, asesora sądu poprawczego i Franciszka Dobrowolskiego, późniejszego redaktora Dziennika Poznańskiego. Nad tym Rządem miał czuwać Najwyższy Trybunał Rewolucyjny, coś w rodzaju francuskiego „Komitetu Ocalenia Publicznego“, z władzą pociągania członków Rządu do odpowiedzialności, za niespełnienie gorliwe obowiązków lub odstępowanie od programu.¹⁾

W rzeczywistości więc najwyższym organem był Trybunał, posiadający prawo kontroli i nikomu nie odpowiedzialny.

Łatwo dało się przewidzieć, że taki stan rzeczy prowadzi prostą drogą do anarchii, do osłabienia a nie do wzmocnienia władzy i to tem bardziej, gdy nowy Rząd, złożony z prawników nie posiadał ani dostatecznej powagi, ani energii ani nawet znajomości spraw publicznych i, zdjawszy pychę z serca, musiał dopiero od usuniętych i proskrybowanych²⁾ członków dawnego Komitetu zasięgać niezbędnych wiadomości i objaśnień.

Ale i to nie na wiele się przydało. Rząd czuł, że jest bezsilnym a „rewolucyjny“ program Dobrowolskiego, który radził zastosowanie radykalnych środków, ustanowienie trybunałów rewolucyjnych, wzbronienie wyjazdu za granicę, nałożenie większego niż dotąd podatku stałego, przestraszył jednych a przekonał innych, że kierowanie powstaniem i podniesienie upadającego ducha przechodzi ich siły.

Jakoż cała, niedołężna działalność tego Rządu, zawiodła zupełnie nadzieje Czerwieńców. Trybunały, ustanowione w myśl wniosku Dobrowolskiego nie zaprowadziły bynajmniej porządku i ładu ani też nie powstrzymały samowoli z jaką wykonywano wyroki śmierci i sprzątano ludzi podejrzanych, często nawet niewinnych. Zresztą o czynnościach tych sądów są tylko wiadomości mętne i niejasne.

Dalsze dekrety Rządu, jak zniesienie loteryi klasycznej, wezwanie, aby wszyscy Polacy, służący w wojsku rosyjskiem opuścili szeregi do dnia 1. sierpnia 1863 roku i nakaz wstrzymania ruchu komunikacyjnego i telegraficznego na kolejach Warszawsko-Petersburskiej i Landwarowo-Wierzbowski, rzeczy niepodobne do wykonania, narażały najwyższą władzę na kompromitację albo też na zarzut lekkomyślności.

Wszystko to budziło w społeczeństwie niesmak i niezadowolenie i obniżało powagę Rządu, który o wojnę wcale się nie troszczył, pieniędzy na zaopatrzenie oddziałów nie miał i nie dawał, dowódcom rozkazów nie wysyłał i trawił czas na układaniu ustaw albo niedorzecznych albo nawet szkodziących.

Okolo połowy czerwca powstał też straszny chaos i zamieszanie w organizacyi narodowej, tak w kołach, zbliżonych do Czerwieńców jak i w stronnictwie Białych zaczęto myśleć o obaleniu niedołężnego Rządu a zarazem szukać człowieka, któryby zdołał utworzyć Rząd nowy czynny i sprężysty.

Zdarzyło się, że wtedy właśnie wyszedł z więzienia w cytadeli Karol Majewski. Do niego więc zwróciły się obie partye.

¹⁾ Członkom dawnego Rządu nakazano w przeciągu 48 godzin opuścić Warszawę; tamże, str. 308.

²⁾ Daniłowski, str. 311.

Majewski nie miał wyraźnej barwy politycznej; nie był właściwie ani Białym ani Czerwonym, lecz znosił się z jednym i z drugim stronnictwem, chociaż oba podejrzywały go, że siedzi na dwóch stołkach, że jest raz Mierosławczykiem to znów zdeklarowanym konserwatystą. On sam w zeznaniach swoich przed Komisją śledczą utrzymuje, że kierowała nim tylko miłość Ojczyzny, że po wyjściu z więzienia widząc zamieszanie i patrząc codziennie na tyle okropnych scen, nie mógł, jako Polak „stać z założonemi rękami”. Zaczęli się też zgłaszać do niego dawni znajomi, Tytus Zienkiewicz, ówczesny naczelnik Warszawy, Józef Grabowski Komisarz Rządu Narodowego, koledzy: Tomasz Burzyński, Zygmunt Laskowski i Aleksander Waszkowski, z skargami na niedołęstwo Rządu i z naleganiem, aby wziął udział w czynnościach rządowych. Majewski, jakkolwiek z członkami Rządu utrzymywał stosunki

Cerifikat.

*Poswiadczam, że dnia 11^{tego} kompanij strzelckiej
z oddziału pułkownika Lechowskiego Henryka
Wachtla walcząc odważnie pod Potokiem i Mostem
Episkopem, rał w bitwie rozprawił pod Włotą, Krucem
słab naciąg do tych strzelców, którzy po odniesieniu
do całego korpusu przez pół godziny walcząc przeciw
dwóm razom przeważając siłą maszynową zaskarżając
Pewność i strasząc potęgę w walce i samych strzelców
stosunkiem podobili się pod mójce Dostojnych Drogich.*

Przemiennie Dnia 23 Marca 1863

*Adam Mickiewicz
Kapitan 2^{go} pułku*

i z Józefem Janowskim czytywał wspólnie „różne papiery“, oświadczył wprost, że „bez grubych pieniędzy“ nie zdziałać nie można.

Na to odpowiedzieli znacząco Waszkowski i Laskowski że mają nadzieję dostarczyć Rządowi potrzebnych środków, poczem Majewski, wtajemniczony w całą sprawę, zgodził się na utworzenie nowego Rządu. Stronnictwo Białych, gdzie Majewski miał wpływy i poparcie przez brata swego Wincentego, nie czyniło żadnych trudności a gdy Majewski, wezwany na posiedzenie Komitetu odkrył tajemnicę i upewnił zebranych, że pieniądze mieć będzie, bo zabierze miliony z Kasy Głównej Królestwa, natenczas wszyscy obecni, nie zupełnie wierząc może w wykonanie szalonego, jak się zdawało zamiaru, oświadczyli, że jeżeli przez zabór owych funduszy, powstanie się podniesie, a mocarstwa zachodnie uznają Polskę za stronę wojującą, o czem wtedy głośno mówiono, natenczas oni w pięciu (Kronenberg, Kurtz, J. L., Majewski i Zamoyski) ogłoszą się za Rząd jawny i będą kierować dalej losami kraju. Stało się więc na tem, że Majewski ma Rząd utworzyć.

Waszkowski uwiadomiony o uchwale, wziął się teraz rączy do dzieła i nakłonił dwóch kasyerów Kasy Głównej, Janowskiego i Hebde do udzielenia pomocy przy zabraniu pieniędzy.

Policja rosyjska zwietrzyła wprawdzie jakieś niebezpieczeństwo: chciano albo Kasę przenieść do cytadeli albo też urzędników Polaków zastąpić Rosyanami, ale Wielopolski oparł się temu stanowczo, zapewnił W. Księcia o wierności urzędników polskich a obok tego kazał przeprowadzić w dniu 29. maja nagłą i niespodziewaną rewizję Kasy, gdzie wszystko w największym znaleziono porządku. Ta okoliczność ułatwiła do pewnego stopnia działanie Waszkowskiego. Wciągnąwszy do porozumienia trzech woźnych Kasy, zgłosił on się, ubrany w mundur urzędnika skarbowego dnia 6. czerwca z rana, otworzył drzwi do skarbcza kluczem podrobionym i spokojnie, z pomocą wtajemniczonych, wyniósł część pieniędzy a w dwa dni później zabrał drugą. Nazajutrz, gdy przybył urzędnik z intendantury po 70.000 rubli odkryła się rzecz cała, bo w skarbcu znaleziono skrzynie potwierdzone, pieniądze porozrzucane i nieład, świadczący na pierwszy rzut oka o rabunku.

Według urzędowego wykazu, ogłoszonego w dniu 15. czerwca przez Rząd Narodowy,¹⁾ wynosiła zabrana suma 24,012.992 złp. i 20 gr., co zgadza się prawie z zeznaniami Majewskiego, który podał okragło 24 miliony złp. Z tego wydano 30.000 złp. dla woźnych i po 24.000 złp. dla Janowskiego i Hebdy. Obaj oni wyjechali za granicę; uciekło też dwóch woźnych, trzeci przybył zapóźno do pociągu i z rozpaczy odebrał sobie życie. Inne wydatki połączone z grabieżą, oblicza Majewski na 68.000 złp.

Z zabranych pieniędzy 20 milionów w listach zastawnych Tow. Kredytowego nie można było zrealizować, bo rząd rosyjski ogłosił natychmiast numery listów i przeszkodził w ten sposób wymienianiu papierów na pieniądze.

Wiadomość o tym niesłychanym wypadku sprawiła piorunujące wrażenie, rozdrażniła W. Księcia i zachwiała stanowisko Wielopolskiego.

Namiestnik bezpośrednio potem zatwierdził trzy wyroki śmierci na Leona Frankowskiego, ks. Agrypina Konarskiego i Henryka Abichta i odtąd już egzekucye podobne powtarzały się niemal bez przerwy.

Stracenie drugiego z nich było, jak już na innem miejscu wspomniano, przyczyną wywiezienia ks. Felińskiego. W kilka tygodni później przyszła kolej i na Wielopolskiego.

Zabór milionów z Kasy Głównej i drugi podobny wypadek, przelanie do skarbu Rządu Narodowego sumy 306.666 złp. i 20 gr., dokonane przez pisarza urzędu pocztowego Teodora Rostkowskiego, który dnia 30. czerwca z listu prywatnego pieniądze wyjął i do kasy narodowej oddał, pozostawiając natomiast urzędowe pokwitowanie Rządu Narodowego, dało powód do nowych napaści na Margrabiego i na autonomię Królestwa. Katkow w zjadliwych i kłamstwach przepełnionych artykułach jakoteż korespondencyach z Warszawy żądał wprost, aby władze cywilne w Królestwie poddano naczelnikom wojskowym, twierdził, że przeszkodą do uspokojenia Polski są nietyle bandy powstańcze co administracya cywilna, podawał w wątpliwość lojalne usposobienie Wielopolskiego, oskarżał go o wydalenie urzędników rosyjskich i o zarządzenie branki i zaznaczał przytem, że jako znienawidzony w War-

¹⁾ Druk współczesny w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej.

szawie słusznie czy nie słusznie i przez Rosyan i przez Polaków nie może być pośrednikiem pomiędzy własnym narodem a władzą najwyższą.

Na upadającego pod brzemieniem niepowodzeń, gorzkich zawodów i powszechnej nienawiści rzucili się teraz wszyscy i swoi i obcy. Z kół polskich niestety miała wyjść inicjatywa do oskarżenia Margrabiego jeżeli nie o zdradę główną to o postępowanie niełojalne i podstępne, o przesładowanie duchownych, znanych z wierności dla rządu rosyjskiego i nawet o pośrednie popieranie powstania.

Z Petersburga zażądano więc tłumaczenia. Wielopolski odpisał spokojnie, odparł wszystkie zarzuty, ale już przedtem, dnia 24. czerwca wniósł podanie o urlop, załatwione szybko i przychylnie. Równocześnie zaś został „z powodu uwolnienia Naczelnika rządu cywilnego na urlop“ mianowany członkiem czasowym Rady Administracyjnej Królestwa Berg i upoważniony do przewodniczenia w Radzie Stanu pod nieobecność Namiestnika.

Wielopolski wyjechał dnia 16. lipca z Warszawy, otoczony eskortą wojskową i opieką Rządu Narodowego. W kołach ultra czerwonych bowiem chciano go zamordować i tylko Karolowi Majewskiemu zawdzięczać należy, że szalonego zamiaru nie wykonano. Na terytorium pruskiem czuwała nad bezpieczeństwem osoby Margrabiego policja pruska, również jak na wyspie Rugii, gdzie przez pewien czas przebywał, aby później stale już zamieszkać w Dreźnie.

Tu, w kole najbliższej rodziny, zamknięty w sobie, oddany czytaniu dzieł poważnych i rozmyślaniu, spędził on ostatnie lata swojego życia. Wychodził rzadko, stosunków towarzyskich nie utrzymywał, raz tylko w roku 1864 spotkał się w Poczdamie z Aleksandrem II. i usłyszał od niego, zamiast pociechy, suche stwierdzenie faktu, zawarte w słowach: „Zwyciężono nas Margrabio, zwyciężono“. Po stanowczej dymisji, którą otrzymał 12. września 1863 roku, nie mógł się już spodziewać niczego, ani dla siebie ani dla Polski.

Patrzył z daleka, jak dzieło z takim mozołem przez niego wzniesione, rozpadało się w gruzy, słyszał skrzyp szubienic, jęki ofiar mordowanych, płacz wygnańców i bolał nad sobą, bolał może jeszcze więcej nad losem narodu. Dziwna rzecz, że wśród takich cierpień moralnych żył jeszcze długo, bo umarł w Dreźnie dopiero dnia 30. grudnia 1877 roku.

Największy i niewątpliwie najzdolniejszy polski mąż stanu w XIX. wieku, człowiek obdarzony niepospolitym rozumem, rzadką u nas tęgością charakteru i siłą woli, miał obok tego błędy równie wielkie, dla niego i dla sprawy, którą bronił szkodliwe. Wychowany w tradycjach rodziny magnackiej, w okresie bezwzględego absolutyzmu, nie rozumiał ducha czasu i twardej swojej natury do nowych warunków życia przystosować już nie zdołał. Niepomiarłą dumą, wyniosłością i szorstkiem obejściem odstręczał i odpychał od siebie ludzi, jednać ich i z prądami, nurtującymi wtedy w społeczeństwie, kompromisów zawierać nie umiał, może i nie chciał, czując się dość silnym by je pokonać.

Przy wszystkich, niezaprzeczonych zaletach umysłu i charakteru brakowało mu tej zdolności, która przeszkody, trudne do złamania, zręcznie usuwa a siły tylko w wyjątkowych wypadkach używa, aby jej przez częste stosowanie nie zużyć i nie stępić.

Spółczeństwo ówczesne, politycznie niedojrzałe, hołdujące zasadzie z przeszłości przejętej: „nic na nas bez nas“, należało politycznie wychowywać, z sztuką rządzenia oswajać, do karności zwolna naginać.

Czy nawet używając takich środków byłby Margrabia powstaniu przeszkodził, kraj od katastrofy uchronił, wątpić należy. Przyszedł bowiem do władzy stanowczo za późno, wtedy, gdy rozkołysane namiętności wzięły już górę nad rozsądkiem, gdy agitacja zewnętrzna opanowała płytkie i łatwo zapalne umysły a znana łatwowierność polska, bałamucona przez opinię europejską, ludzona przez rewolucjonistów włoskich, węgierskich i rosyjskich lub pokładająca nadzieje swoje w interwencji mocarstw zachodnich, uważała odbudowanie Polski w granicach z roku 1772 nie tylko za rzecz wielce prawdopodobną ale niemal za pewną.



Nr. 110. General Berg.

W takich warunkach przyjmować to co dawał system Wielopolskiego, zawierać kompromis z najazdem i za misę soczewicy, za autonomię Królestwa, sprzedawać nieprzedawnione swoje prawa do niepodległego bytu całej Ojczyzny, znaczyło według mniemania marzycieli tyle, co popęlnić zbrodnię oczywistą, robić w XIX. wieku drugą Targowicę.

Cóż miał czynić Margrabia? Przedewszystkiem pozyskać sobie żywoły umiarkowane, stworzyć z nich silne i świadome celu stronnictwo i na niem oprzeć dalsze swoje działania. Bez względu na jego chwalcy starają się udowodnić, że Wielopolski używał rzeczywiście tej taktyki, ale uprzedzeń i niechęci przełamać nie zdołał. Nie sądźmy, aby takie przedstawienie rzeczy było zgodne z prawdą. W polityce wszystko jest możliwem i niema położenia

bez wyjścia. Porozumieniu z Białymi przeszkadzała duma Margrabiego, jego zarozumiałość i nieprzystępność. Zamknięty w sobie, z zamiarów swoich nikomu się nie zwierzał, natomiast wymagał bezwzględного zaufania i ślepego posłuszeństwa. Czyż mógł na chwilę przypuścić, że ci, co dotąd mieli władzę moralną nad krajem, co prowadzili politykę na swój sposób i z pożytkiem dla sprawy narodowej, dadzą się użyć po prostu tylko za narzędzie, podpiszą abdykacyą, po to aby odgrywać rolę pionków i wsiąść do powozu Margrabiego niewiedząc dokąd on ich powiezie? Jeżeli tak sądził, to się łudził, to nie znał chyba natury ludzkiej, to nie liczył się z jej słabościami, z ambicyą i próżnością, to zapominał, że opinia publiczna nie mogła mieć do niego, słusznie czy nie słusznie bezwzględного zaufania, to jednym słowem, przy wielkim rozumie i niepospolitem wykształceniu, nie posiadał w równej mierze uzdolnienia i doświadczenia politycznego.

Tłumaczy go poniekąd odosobnienie, w jakim żył długo, mało stykając się z ludźmi i ze światem. Nagle wchodził wśród społeczeństwa, którego nie znał lub znał powierzchownie i mniemał, że urok władzy i rozum wystarczy do spełnienia wielkiego zadania, że naród, podejrzewający czystość jego zamiarów, da się poprowadzić bez wahania drogą, jaką mu wskaże.

I w tem był błąd główny, w tem tkwiła przyczyna niepowodzeń Wielopolskiego i tragicznego jego upadku.





Rozdział siedemnasty.

CZWARTY RZĄD NARODOWY. — JEGO DZIAŁANIE I ORGANIZACYA. — INTERWENCYA. — NOTY CZERWCOWE. — ODPOWIEDŹ ROSYJSKA. — PROJEKT ZAWIESZENIA BRONI. — STANOWISKO GABINETU WIEDŃSKIEGO. — USPOSOBIENIE WOJENNE. — PROPOZYCYA FRANCUSKA WYSŁANIA JEDNOBRZMIĄCYCH NOT DO PETERSBURGA. — POLITYKA ANGLII. — NOTY SIERPNIOWE. — OPLAKANY KONIEC DYPLMATYCZNEJ INTERWENCYI.

Rząd utworzony za staraniem Majewskiego i towarzyszy składał się z sakramentalnej piątki, ustalonej już za czasów listopadowego powstania. Należeli do niej: Aweyde, Stanisław Krzemiński, Józef Grabowski, Włodzimierz Milowicz, sprowadzony z zagranicy i Majewski. Na posadzie Sekretarza pozostawiono Józefa Janowskiego, który, jakkolwiek Czerwieniec i zwolennik Mierosławskiego, był nieodzownym dla swojej fenomenalnej pamięci i dokładnej znajomości wszystkich spraw dawniejszych bieżących, co w obec niemożności utrzymywania archiwum rządowego, pierwszorzędne miało znaczenie.

Organizacya tej najwyższej władzy, dokonana za czasów Gillera i drugiego Rządu, a obmyślana przez Edwarda Siwińskiego, profesora literatury polskiej na Kursach przygotowawczych, polegała na ustanowieniu pięciu Wydziałów, czyli ministerjów, oddanych pod kierownictwo tyluż członków Rządu. Aweyde miał wtedy sprawy administracyjne, Giller prowincjonalne i zagraniczne, Ruprecht skarbowe, Siwiński dziennikarstwo, ministerjum wojny dzierżył sekretarz Janowski, którego jednym pomocnikiem był Eugeniusz Dembiński, przezwany „Kaczkowskim“ albo Kotem, wojskowy, drugim generał Wysocki, jako dyrektor Wydziału wojny w Galicji; następcą jego został później, na krótki czas generał Kruszewski.

Podział tej najważniejszej sekcji, na dwie części, zasadniczo nie właściwy, tłumaczy się trudnością komunikacji i odrębnemi, zupełnie stosunkami galicyjskiemi, które wymagały osobnej władzy, czuwającej na

miejscu nad sztyftowaniem oddziałów, sprowadzaniem broni i kierującej wyprawami.

Niezmiernie ważną część organizacji stanowiła policja, ona bowiem miała czuwać nad bezpieczeństwem członków Rządu, śledzić czynność policji rosyjskiej, uwiadamiać o zamierzonych rewizjach i aresztowaniach, kierować opinią publiczną, roznosić rozkazy i ułatwiać pobór podatków narodowych.

Jan Karłowicz (Janek Biały) urządził tę gałąź służby tajnej w sposób prawdziwie wzorowy. Policja Rządu Narodowego wiedziała o wszystkim, dokonywała czynów zadziwiających i doszła do takiej doskonałości, że n. p. późniejszy Dyrektor Wydziału policyjnego, za czasów czerwcowego Rządu, Adolf Pieńkowski, dostarczał codziennie Rządowi Narodowemu raportu, który wysyłano w języku francuskim z biura Namiestnika albo z policji do Namiestnika.¹⁾

Osobny oddział tworzyła policja tajna, w urzędowym stylu zwana „strażą bezpieczeństwa“, pospolicie „sztyletnikami“. Miała ona obowiązek wykonywania rozporządzeń i wyroków władz powstańczych. Organizatorem tej kohorty, złożonej z ludzi najpośledniejszego rodzaju był Włodzimierz Lembke, naczelnikiem z początku Zdzisław Janczewski, następnie Paweł Landowski, student Wydziału lekarskiego w Szkole Głównej.

Rząd czerwcowy organizacją powyższą utrzymał, rozwinął i udoskonalił.

Odmienny w swoim składzie nie tylko co do osób ale i co do zasad, mimo że w ciągu kilku miesięcy na miejsce następujących członków musiano powołać innych — w połowie sierpnia ustąpił Krzemiński a wnet Władysław Gołemberski; Aweyde został wysłany do Wilna, Grabowski do Paryża, — trzymał on się od początku do końca pierwotnego programu, dążył mianowicie do zespolenia i zużytkowania wszystkich szczerze uczciwych i szczerze narodowych żywiołów, aby powstanie rozszerzyć i utrwalić.²⁾

Uważając Polskę w granicach z roku 1772 jako jednolitą całość, przyznawał pewną autonomię Litwie i Rusi i dlatego powołał do swego składu dwóch sekretarzy tych prowincyj, którzy mieli głos doradczy w sprawach ogólnych a liczący się na równi z innemi w kwestjach litewskich i ruskich.

Członkowie Rządu schodzili się codziennie na posiedzenia pomiędzy godziną 9. a 4. po południu, w rozmaitych miejscach, na poprzedniej sesji umówionych i płac żadnych nie pobierali, oprócz drobnych kwot na dorożki i t. p. wydatki. Ogółem cała organizacja narodowa nie była pensjonowana.³⁾

Szczególniejszą uwagę zwrócił Rząd czerwcowy na prasę. Powstał dziennik urzędowy Niepodległość, dalej Wolność, w Poznaniu, miała być wydawana Równość, w Kijowie a właściwie w Żytomierzu zaczęła wychodzić Walka. Ulepszone drukarnie rządowe rozwinęły w ciągu lata 1863 roku nadzwyczajną czynność. Były chwile, gdzie odbijano 10.000 egzemplarzy Niepodległości a biuletynu o Żyrzyńskiej bitwie rozeszło się 17.000 sztuk.

Ożywiło się też działanie departamentu wojskowego; oddziały w Królestwie miały w lipcu, 13.000 karabinów w rękach, zakupionych kosztem 13,000.000 złp. Aby kres położyć nadużyciom, wyprawiono resztki organizacji

¹⁾ Zeznania Majewskiego.

²⁾ Dubiecki Maryan: Romuald Traugutt i jego dyktatura. Wydanie drugie. Kraków 1907. stronica 77.

³⁾ Zeznania Majewskiego.

militarnej w raz z „sztyletnikami“ do obozów. Pod komendą Landowskiego zostało tylko 150 ludzi, których używano do transportów i do służby w intendanturze. Niepowiodły się natomiast starania o uwolnienie Langiewicza, chociaż, przeznaczono na ten cel sumę 30.000 złr., zebraną przeważnie ze składek prywatnych w Galicyi.

Ta gorliwość i energia Rządu, kierowana rozumnem umiarkowaniem i gorącą miłością Ojczyzny, podniosła zachwianą powagę naczelnej władzy narodowej i rozwinęła do najwyższego stopnia siłę powstania. Równocześnie wzrastały widoki na skuteczną interwencję mocarstw zachodnich.

Zdawało się że po wykrętnej i w gruncie odmownej odpowiedzi gabinetu petersburskiego na noty kwietniowe, państwa tak potężne jak Austria,



Nr. 113. Minister Walewski.

Francya i Anglia, będą uważały za punkt honoru sprawę przez siebie podjętą prowadzić dalej i nie zawahają się przed użyciem siły tam, gdzie perswazyja i apel do sprawiedliwości nie tylko najmniejszego nie odniosły skutku, lecz przeciwnie zachęciły niejako Rosyę do użycia najsurowszych przeciw polskiemu „buntowi“ środków.

Krwawa tragedia ukraińsko-wołyńska i mianowanie „Wieszatela“ prokonsulem nieszczęśliwej Litwy było jeżeli nie wprost wyzwaniem, to w każdym razie oczywistem lekceważeniem Zachodu i opinii całego świata cywilizowanego. Nikt nie przypuszczał też, że Europa zniesie ten policzek, że nie odpowie na tę zniewagę gromem dział, że we krwi nie zmyje wyrządzonej sobie obelgi. Ale tak sądzili tylko ludzie prości i prostoduszni, albo niepo-



WOJSKO POLSKIE. Ostatnia praca WALEREGO ELJASZA.

prawni marzyciele, polityka, uczuciom niedostępna i wyłącznie interesem się kierująca, szła innemi drogami.

Gdy na jednym z licznych meetingów, jakie wtedy w sprawie polskiej odbywały się w Anglii, znany nam już członek parlamentu, Hennesy, żądał użycia praktycznych środków dla wsparcia walczącej Polski, gdy domagał się wprost wysłania floty angielskiej na morze bałtyckie a armii francuskiej do Warszawy, oświadczył niebawnie potem minister Russel w izbie lordów, że mimo całej sympatii dla Polaków, Anglia nie może domagać się zupełnej niepodległości Polski w granicach 1772 roku, gdyż to wywołałoby zacięty opór trzech mocarstw rozbiorowych i długą wojnę, której rozsądek unikać nakazuje.

Po tej znaczącej enuncyacji (w drugiej połowie maja) każdy nieuprzedzony mógł łatwo zrozumieć, że interwencya skończy się właściwie na niczem.

Z drugiej strony znowu wojowniczy ton dzienników zwłaszcza francuskich, głos opinii publicznej, nawołujący rządy do czynnego ujęcia się za Polską, pomoc pieniężna udzielona na wyprawę Garibaldeggo do Odessy przez ministra Drouyn de Lhuys i owo *du rez*, „trwajcie“, powtarzane ze wszystkich stron, chociaż dotąd na prawdę niewiadomo przez kogo,¹⁾ budziły zupełnie odmienne nadzieje.

Tymczasem Rosya zbroiła się na wszelki wypadek, powoływała rekrutów, pulki stare słała do prowincyj zachodnich, szukała dla siebie oparcia w fanatyzmie ciemnych mas. Zwolna, pod wpływem agitacyi Katkowa i Samobytników znikąło rewolucyjne do niedawna usposobienie społeczeństwa rosyjskiego, lojalizm rządowy brał górę nad pragnieniem wolności, liczba odbiorców Kołokoła spadła w drugiej połowie 1863 roku z 2500 na 500; „Szarlota Corday z Orłowa i chłop Daniło stali się prawomyślnymi“.²⁾

Aleksander II. pełen teraz najlepszej myśli i podrażniony w swojej dumie nieustającemi objawami sympatii dla Polski za granicą, jakoteż wyzywającym tonem dzienników, postanowił raz tym nieznośnym dla siebie stosunkom koniec położyć, i oburzony szczególnie na Austryą za jej dwuznaczne w obec powstania stanowisko zamierzał wypowiedzieć temu mocarstwu wojnę.

Ponieważ jednak przewidywał w takim wypadku czynne wmięszanie się Francyi, więc w liście własnoręcznym do króla Wilhelma, wezwał Prusy do wspólnej akcyi.

Plan cara, zbawienny dla Polski, spotkał się jednak z stanowczą opozycyą Bismarcka. Prusy, jego zdaniem, zajęte właśnie reorganizacyą swojej armii, nie są przygotowane do wojny i musiałyby dźwigać cały jej ciężar na sobie.

Że ten argument był z pruskiego punktu widzenia słuszny, zaprzeczyć niepodobna, ale Bismarck miał także inne powody unikania wojny.

Od dnia 30. marca 1863 roku stanęła bowiem na porządku dziennym kwestya szlezwicko-holsztyńska i zatarg Rzeszy niemieckiej z Danią, wypadki, dla państwa Hohenzollernów wcale nieobojętne i wchodzące już w zakres dalszych planów Bismarcka.

W roku 1862, na obiedzie u posła rosyjskiego Brunnowa, w Londynie, mówił on całkiem otwarcie Disraelemu: W krótkim czasie będę zmuszony

¹⁾ Koźmian Rzecz, tom III, 2. str. 221.

²⁾ Hercen: Mychail Bakunin i polskoje dzieło, Berlin 1904, str. 47.

objąć naczelne kierownictwo gabinetu. Skoro armię zorganizuję, wydam pod pierwszym lepszym pozorem wojnę Austrii, rozbiję Rzeszę i zjednoczę Niemcy pod hegemonią pruską¹⁾

Otóż sprawa szllezwicko-holsztyńska, zajmująca gabinety europejskie przez dziesięć miesięcy (do końca grudnia 1863 roku), mogła nastęrczyć i nastęrczyła rzeczywiście Bismarckowi sposobność do wykonania powziętych zamiarów. Ona też wywarła wpływ wielki a niestety szkodliwy na interwencją mocarstw zachodnich w kwestyi polskiej, która od t. zw. duńskiej oddzielić się nieda.²⁾

Że Bismarck w takim położeniu, zwłaszcza, gdy wiedział, już o przygotowaniach do zjazdu książąt niemieckich w Frankfurcie, z inicjatywy cesarza Franciszka Józefa, nie chciał rzucać się na oślep, w awanturę, która w razie niepowodzenia, groziła Prusom katastrofą i krzyżowała plan zjednoczenia Niemiec pod berłem Hohenzollernów, to rzecz łatwo zrozumiała. Pod wpływem więc Bismarcka wyperswadował król Wilhelm swemu kuzynowi z nad Newy wojownicze zamiary a następnie upewnił go, że do wojny o Polskę wcale nie przyjdzie i że Austria, skoro otrzyma gwarancję co do posiadania Wenecyi, opuści natychmiast nienaturalny zresztą związek z Francją i Anglią.

Jakoż na zjeździe w Gastein, w dniu 2. sierpnia, gdzie omawiano także sprawę polską, miał cesarz Franciszek Józef zapewnić króla Wilhelma, że wziął udział w interwencji mocarstw zachodnich tylko w celu utrzymania pokoju i że do wojny z Rosją pociągnąć się nie da, a cieszy go bardzo, że i Anglia także nie myśli wcale o orężnem popieraniu polskiego powstania.³⁾ Z drugiej strony jednak wymówił się stanowczo od solidarnego postępowania z Prusami i Rosją w sprawie polskiej.⁴⁾

Wśród tego trwały rokowania pomiędzy mocarstwami zachodniemi i po dwóch miesiącach, licząc od wręczenia pierwszych not w Petersburgu, pojawiły się wreszcie, 17. czerwca, drugie noty, podobnie jak poprzednie, różniące się pomiędzy sobą w treści, blade, zredagowane, pod względem żądań, niedołężnie i bez najmniejszej znajomości stosunków.

Zawierały one bowiem słynnych sześć punktów: 1. Amnesticę zupełną i powszechną; 2. Reprezentację narodową dla Królestwa, z władzą podobną do tej, jaką nadawała konstytucya z roku 1815; 3. mianowanie Polaków na urzędy publiczne, a więc utworzenie odrębnej administracyi narodowej; 4. Wolność sumienia całkowitą i usunięcie ograniczeń wyznania katolickiego; 5. Wyłączne używanie języka polskiego jako urzędowego, w administracyi, w szkołach i w sądach; 6. Zaprowadzenie prawidłowego i legalnego systemu przy poborze do wojska, t. j. postulaty, objęte programem Wielopolskiego i po większej części już wprowadzone w życie. Nawet punkt 4ty, najważniejszy ze wszystkich, nie miał donioślejszego znaczenia, jeżeli się zważy, że od czasu powstania Komisyi Wyznań i Oświecenia, kościół katolicki w Królestwie zażywał większej swobody, że sprawa utworzenia Nuncjatury w Petersburgu lub w Warszawie była przedmiotem układów z Stolicą Apostolską

¹⁾ Bismarck und Russland, S. 59.

²⁾ Dowiódł to już Klaczko a potwierdził świeżo raport komisji francuskiej, powołanej do wydania aktów odnoszących się do wojny 1870 roku. Olbrzymia ta, na 10 tomów obliczona publikacya, nie będzie jednak obejmować materyałów do sprawy duńskiej, bo wymagałyby one powiększenia wydawnictwa o dwa dalsze tomy.

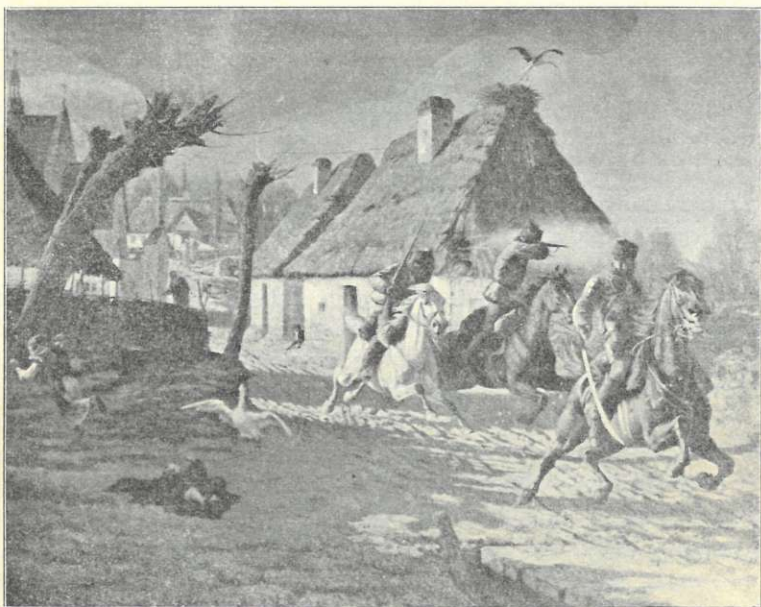
³⁾ Sybel, tom. II. str. 524.

⁴⁾ Klaczko, Sprawa polska, Sprawa duńska str. 132.

i że nawet ustawy o małżeństwach mieszanych nie przestrzegano z taką ścisłością jak poprzednio.

Najboleśniej natomiast musiało dotknąć uczucie narodowe zupełne pominięcie prowincyj zabranych. Gdy Rząd Tymczasowy w manifestie styczniowym ogłaszał przed całym światem, że podejmuje walkę o przywrócenie Polski niepodległej w granicach z roku 1772, gdy Litwa i prowincje ruskie krwią i męczeństwem stwierdziły przynależność swoją do Polski, zbywały mocarstwa fakt ten zupełnem milczeniem.

Nie mogły one oczywiście domagać się odbudowania Rzeczypospolitej od Dźwiny i Dniepru aż po kresy Wielkopolskie, ale miały i prawo i obowiązek chociażby z ogólnego poczucia ludzkości, zaprotestować przeciw sy-



Nr. 114. Potyczka pod Bogucicami.
(Ze zbiorów pana Jarosława Pieniżka).

stemowi Murawiewa na Litwie, przeciw prześladowaniom żywiołu polskiego w prowincjach ruskich i żądać autonomii dla krajów zabranych lub, co najmniej, równouprawnienia dla Polaków w guberniach zachodnich, zupełnej wolności sumienia i swobody kościoła katolickiego, który właśnie w tamtych stronach na największe był narażony prześladowania.

Otóż o tem wszystkiem nie wspomniały mocarstwa zupełnie a nawet i co do owych sześciu punktów różniły się pomiędzy sobą. Bo gdy nota angielska i francuska żądały nadania Królestwu reprezentacji narodowej według konstytucji z roku 1815, austriacka ograniczała zakres władzy przyszłego Sejmu polskiego do udziału w ustawodawstwie i do kontroli nad administracją kraju. Takie pojmowanie rzeczy, jakkolwiek uzasadnione ze stanowiska gabinetu wiedeńskiego, który obawiał się, aby i kraje koronne austriackie, zachęczone przykładem Królestwa, nie zaczęły domagać się podobnej dla siebie

autonomii, znajdując prawną niejako do tego podstawę właśnie w drugim punkcie noty, było jednak dla sprawy polskiej również szkodliwem jak i ostrzejszy ton noty angielskiej, stawiający żądanie zawieszenia broni.¹⁾

Z tych różnic bowiem wynikało jasno, że pomiędzy mocarstwami zachodnimi nie ma ani jedności w zapatrywaniach na sprawę polską, ani też zupełnego porozumienia co do celu interwencji, i że zatem cała ta akcja dyplomatyczna żadnego dla Rosyi nie przedstawia niebezpieczeństwa.

Mimo to Ks. Gorczakow był mocno zaniepokojony i miał zamiar odpowiedzieć na noty czerwcowe w sposób łagodny i wymijający, gdy z kłopotu wybawił go ambasador angielski, który oświadczył mu otwarcie, że interwencja mocarstw ma wyłącznie charakter humanitarny, że Anglia przyłączyła się do niej, aby zadość uczynić życzeniu cesarza Napoleona i opinii publicznej, że nie istnieje zresztą zamiar działania i że noty dalszych następstw mieć nie będą. To samo donosił ambasador rosyjski w Londynie.²⁾ Napier postąpił sobie o tyle uczciwie, że ówczesnemu Sekretarzowi Stanu dla Królestwa, Łęskiemu, powiedział wprost: „Jesteś Polakiem; przestrzedz Cię winienem, że noty piszemy, ale nic nie zrobimy“. O tej przestrodze jednak nie doniósł Łęski w Warszawie nikomu.

Rząd Narodowy, znając osnowę not tylko z streszczenia, jakie otrzymał od Ks. Czartoryskiego w dniu 23. czerwca, wyraził słuszne swoje ubolewanie z powodu ograniczenia sześciu punktów do Królestwa i modyfikacji poczynionych przez gabinet wiedeński a zarazem przewidywał trafnie, że Rosya może z całym spokojem odpowiedzieć mocarstwom: wszak żądania wasze co do Kongresówki są już spełnione i tylko powstanie przeszkadza urzeczywistnieniu błogich dla Polski zamiarów cesarza.³⁾ Odrzucano również w Warszawie i zawieszenie broni proponowane przez Anglię, żądano natomiast zwołania Sejmu i wycofania wojsk rosyjskich z kraju, co oczywiście możliwem było tylko wtedy, gdyby interwencja dyplomatyczna zamieniła się na zbrojną, o czem nikt nie myślał.

Każde bowiem z mocarstw stawiało na pierwszym miejscu swój własny interes. Austria, dążąc do hegemonii w Niemczech i niedowierzając Napoleonowi, obawiała się o prowincje nadreńskie, o Galicyę i o włoskie swoje posiadłości, Anglia z zazdrością spoglądała na Francję a Francya, uwięziwszy znaczną część swojej armii w Meksyku, wojny na własną rękę ani rozpocząć ani sama toczyć nie mogła.

W takich warunkach miała interwencja rzeczywiście tylko charakter humanitarny, ale i w tym względzie chybiała celu, bo zamiast łagodzić los nieszczęśliwej Polski, budziła w sercach walczącego narodu płonne nadzieje, zagrzewała go do nowych wysiłków i wydawała na pastwę najdzikszej zemsty tych, których od zguby ocalić pragnęła.

Że z tego strasznego położenia, z tej lekkomyślnej gry dyplomatycznej nie zdawał sobie sprawy Rząd Narodowy, złożony z niedoświadczonej młodzieży, z literatów, prawników lub inżynierów, nie mających najmniejszego pojęcia o polityce, to rzecz zupełnie zrozumiała, ale trudno pojąć tych, co przez lat 30 obracając się w świecie dyplomatycznym i znając dokładnie stosunki mimo to ulegali złudzeniu.

¹⁾ Materiały etc. tom V., str. 99.

²⁾ Koźmian. Rzecz tom III., str. 272.

³⁾ Materiały, tom V., str. 204.

Bismarck, po dwóch miesiącach pobytu w Paryżu (w r. 1862) odgadł Napoleona III. i nazwał go „eine grosse verkannte Unfähigkeit“. Polacy z Hotelu Lambert, blisko dworu postawieni i będący w bezpośredniej z cesarzem styczności, nie posiadali niestety tej przenikliwości a wychowani w tradycjach Napoleońskich, wierzyli niezachwianie w potęgę Francji i w moc geniuszu ukorowanego konspiratora.

Z tego mylnego zapatrywania wyniknęły najfatalniejsze skutki i dla Polski i dla Francji. Jakoż teraz spadała na oba te kraje klęska za klęską.

Gabinet petersburski odpowiedział na noty czerwcowe nadspodziewanie szybko, bo już w dniu 13. lipca, w sposób szorstki, ironiczny i obrazliwy. Powstanie, według Ks. Gorczakowa, zawdzięczało dłuższe trwanie swoje, tylko pomocy, jaką otrzymywało zewnątrz i „bezprzykładowemu w historii terroryzmowi“. Waleczni żołnierze rosyjscy pełnią w Polsce ciężki obowiązek z poświęceniem i zaparciem się, a wiadomości o popełnianych przez wojsko cesarskie okrucieństwach są oszczerstwem i zniewagą wyrządzoną tym bohaterom i żądania, zawarte w notach mocarstw i wprowadzone już po większej części w życie, nie zdołają uspokoić Polaków, bo celem ich jest „panowanie nad prowincjami“, gdzie przeważa ludność rosyjska i prawosławna, czyli innemi słowy, Polska od morza do morza, co pociągnęłoby za sobą odzyskanie ziem polskich, należących do państw sąsiednich. Wobec tego projektowaną przez mocarstwa konferencją potencyj, które brały udział w kongresie wiedeńskim uważa gabinet petersburski za zgola nieużyteczną i nie prowadzącą do celu.

Zgadza się natomiast na konferencję trzech mocarstw rozbiorowych, dla uregulowania spraw polskich w ogóle, odrzuca zaś stanowczo wszelkie mieszanie się państw do najwewnętrzniejszych szczegółów administracyjnych, na co żadne wielkie mocarstwo zezwolić nie może.

W ten sposób, mniej więcej, odpowiedział Gorczaków, przybierając ton ostrzejszy względem Anglii, łagodniejszy względem Francji a niemal pogardliwy w depeszy, wystosowanej do Wiednia.

Spadło to wszystko jak grom na Europę i wywołała w opinii zdumienie, w kołach dyplomatycznych niemałą konsternację.

Pierwszy wstąpił w szranki gabinet wiedeński i już dnia 19. lipca w piśmie do Ks. Metternicha, ambasadora w Paryżu, określił swoje stanowisko, odrzucając stanowczo wszelkie łączenie spraw galicyjskich z sprawami Królestwa i oświadczając kategorycznie, że zgodność między mocarstwami interweniującymi jest węzłem z którego Austria nie może się dziś uwolnić dla oddzielnych układów z Rosją.

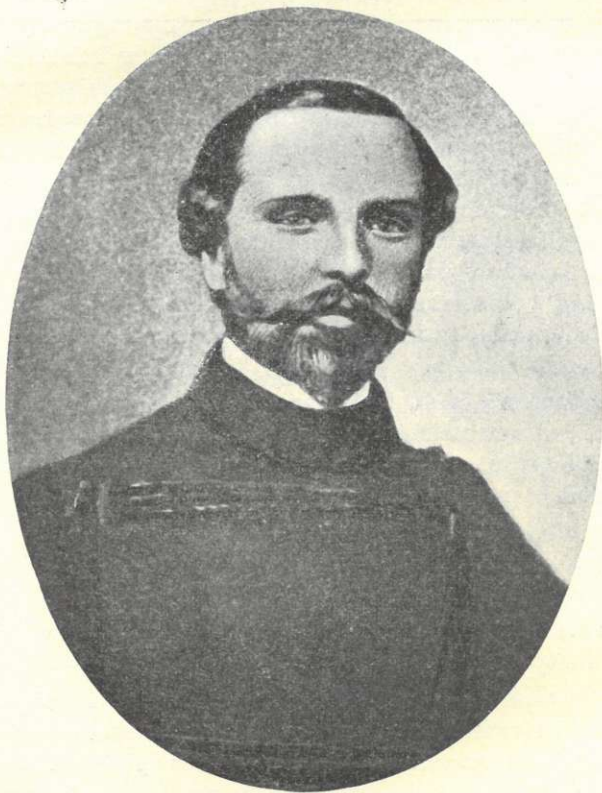
Był to zwrot niespodziewany, z pozoru dla nas bardzo korzystny, dla Napoleona III. pożądanym, w istocie jednak wypływający z czysto egoistycznych pobudek.

Jak wyżej już wspomniano, przygotowywał gabinet wiedeński zjazd książąt niemieckich w Frankfurcie i napotkał od razu na opozycję Prus, dążących także do hegemonii w Rzeszy i rywalizujących oddawna z Habsburgami. Chodziło więc o to, aby pozyskać sobie i liberalną opinię w Niemczech i Napoleona III. i w tym celu odpowiadano z miejsca na wywody Księcia Gorczakowa szorstko, kładąc zarazem nacisk na ścisłe połączenie z mocarstwami zachodnimi.

Że taka a nie inna intencya kierowała polityką gabinetu wiedeńskiego i że Austria nie myślała wcale prowadzić wojny o Polskę, o tem świadczą dowodnie pokojowe zapewnienia cesarza Franciszka Józefa w Gasteinie.

Na razie jednak nikt tego nie przewidywał. Rząd Narodowy polecił swemu agentowi dyplomatycznemu w Wiedniu Leonowi Skorupce, aby wyraził Austriackim sferom rządowym zadowolenie z noty hr. Rechberga i zapewnił go, że Polacy „zamykają obecną walkę w granicach zaboru rosyjskiego“, nie mają bynajmniej zamiaru wywoływać poruszenia w Galicyi.

I w Paryżu sprawiło także odezwanie się Austrii jak najlepsze wrażenie. Wyobrażano tam sobie, że gabinet wiedeński da się nakłonić do wojny



Nr. 115. Mielęcki.

z Rosyą i w tej myśli zaproponowano wysłanie nowych, już jednobrzmiących not do Petersburga, oświadczając zarazem, że cesarz Napoleon gotów jest porozumieć się z Austrią we wszystkich kwestiach, dotyczących monarchii Habsburgów. W Wiedniu przyjęto projekt bez zastrzeżeń, w Londynie odrzucono.

Skończyło się więc na notach, ostrzejszych, co prawda, a nawet groźnych, ale bądź jak bądź różnych, i tą różnicą osłabiających wrażenie pogroźek wojennych.

Mimo to zdawało się jeszcze ciągle, że wojna jest w powietrzu: Mówiono o wspólnej akcji francusko-austriackiej, o wylądowaniu 60.000 Fran-

cuzów w Tryeście; w Paryżu ukazała się z natchnienia Napoleona III. napisana broszura Cesarz, Polska i Europa zapowiadająca wprost wojnę, wspominająca o Jenie i Friedlandzie.

Papież, Pius IX. orędownik Polaków i prawdziwy ich przyjaciel, wyprawił do Wiednia kardynała Reisacha z własnoręcznym listem do cesarza Franciszka Józefa, w którym wyrażał nadzieję, że wierny syn kościoła weźmie pod swoją opiekę „bohaterski naród męczenników“ i nie dopuści do wytępienia narodu polskiego i kościoła katolickiego w Polsce.

Była to chwila niewątpliwie bardzo poważna; ważyły się losy powstania Polski i bez przesady rzec można, całej Europy.



Nr. 116. Bończa.

Niestety nadzieje trwały krótko, bo wnet ukazał się inspirowany artykuł Timesa, zawierający odpowiedź na wspomnianą broszurę francuską, dla Napoleona nie życziwy, dla sprawy polskiej, co najmniej obojętny, a streszczający zapatrywania rządu angielskiego w zapewnieniu, że lud angielski nie chce być wciągnięty wcale w wojnę z Rosją i że każdy minister, któregooby podejrzowano o zamiar podjęcia wojny w celu podziału Rosji i Prus w interesie Francji nie długo byłby ministrem. Równocześnie zaś ostrzegał lord Clarendon, w imieniu swego rządu, cesarza Franciszka Józefa podczas zjazdu frankfurckiego, aby nie angażował się nad Wisłą i nie dowierzał mglistym zamiarom Napoleona III. a Gorczakow zapewniał ambasadora austriackiego w Petersburgu, że Rosja nie myśli wcale przeszkadzać

Austrii w Niemczech i że nawet będzie się starała skłonić dwór berliński do ugody.

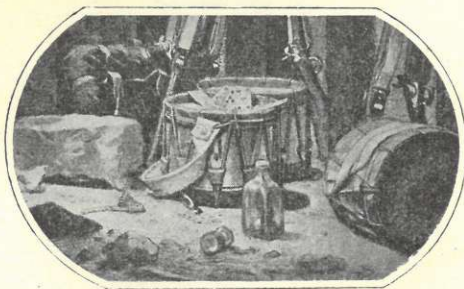
Temi sztuczkami, tem podstępem działaniem, wzniesając podejrzenia i w Wiedniu i w Paryżu, osłabiano wzajemną ufność obu gabinetów, niweczono plany Napoleona III. i zadawano zarazem cios śmiertelny sprawie polskiej.

Gabinetowi tujleryskiemu nie pozostawało nic innego przeto jak tylko wyrazić żal, że takie trzy mocarstwa, jak Anglia, Austria i Francja nie zdołały interweniować w Petersburgu skutecznie.

Raz jeszcze, na usilne nalegania generała Zamoyskiego, „idyota“¹⁾ lord Russel, oświadczył publicznie w Blairgowie (dnia 29. września) że Rosja utraciła swoje prawa do Polski, wskutek nie wypełnienia warunków traktatu wiedeńskiego i wezwał Francję i Austrię, aby przystąpiły do tego oświadczenia, bo pragnął przez ostrzejsze wystąpienie w sprawie polskiej, uzyskać poparcie obu mocarstw, w obchodzącej żywo Anglią kwestyi duńskiej. Ale gdy Austria zażądała od niego rękojmi na wypadek wojny, odmówił, i sam na własną rękę, wysłał notę do Petersburga, odsadzając Rosję od prawa posiadania Polski cofnął ją jednak telegraficznie, po oświadczeniu Prus, że w takim wypadku mogłyby mocarstwa niemieckie uznać ze swej strony, że król duński musi być usunięty od panowania nad Szlezwikiem za niewypełnienie wszystkich warunków traktatu londyńskiego.

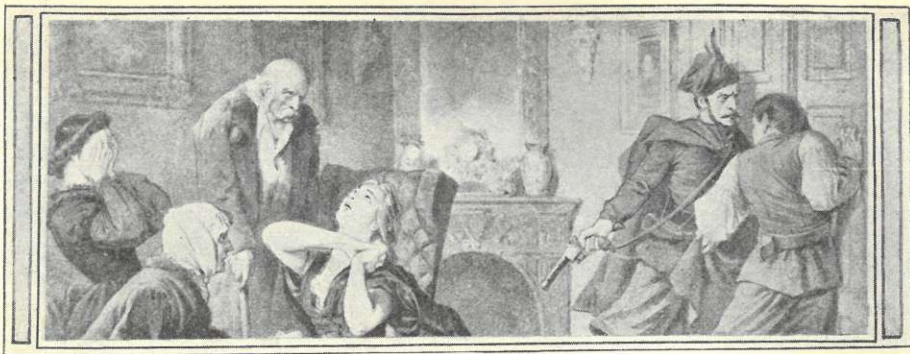
Russel ustąpił przed groźbą i zakończył swoją interwencję w sprawie polskiej, krótką depeszą do Ks. Gorczakowa (dnia 20. października) tej treści: „Rząd Jej Królewskiej Mości nie zamierza przedłużać korespondencji, dotyczącej Polski dla samej przyjemności sporów a przyjmuje z zadowoleniem zapewnienie, że cesarz rosyjski nie przestaje być ożywiony życziwymi zamiarami dla Polski i pojednawczością względem mocarstw zagranicznych“.²⁾

Czy pomógł przez to Danii? Czy zażegnał burzę, nad tem państwem wiszącą? Bynajmniej. Bo kiedy Austria porozumiała się z Prusami i miała przystąpić do zajęcia Szlezwiku i Holsztynu, Anglia, w poczuciu swojej bezsilności i swojego odosobnienia, nie mogła się sprzeciwić okupacji a lord Russel usiłował napróżno uratować honor angielski frazesem że „Rząd Jej Królewskiej Mości nie może jak tylko pozostawić Niemcom całą odpowiedzialność za narażenie Europy na powszechną wojnę“. Wojny powszechnej, jak wiadomo, nie było, ale nastąpiła Sadowa a po niej Sedan.



¹⁾ Tak nazwał go Klaczko w roku 1864; por. Przegląd polski 1908 zesz. listopadowy.

²⁾ Klaczko Studya dyplomatyczne. Część pierwsza. Kraków 1908, str. 124.



Rozdział osiemnasty.

PRZEGLĄD WYPADKÓW WOJENNYCH. — USTĄPIENIE WIEŁOPOLSKIEGO.
— UKŁADY Z ANDRZEJEM ZAMOYSKIM. — W. KSIĄŻE OPUSZCZA WAR-
SZAWĘ.

Kiedy w Województwie Lubelskiem, wzdłuż granicy galicyjskiej z rozmaitem walczone szczęściem, a Jeziorański, pod Kobylanką dwukrotne nawet odniósł zwycięstwo, rozwinęło się powstanie silniej w sąsiedniem Województwie Sandomierskiem głównie w skutek energii i wytrwałości Dyonizego Czachowskiego. Rolnik z zawodu, starzec 65 letni, nie był on wcale wojskowym, wiadomości fachowych w tym kierunku ani uzdolnienia nie posiadał, mimo to, pełen poświęcenia, obdarzony żelaznem prawdziwie zdrowiem i siłą niepożytą, umiał małą wojnę prowadzić długo i z powodzeniem. Oddany przez całe życie myśliwstwu, które z wielkiem uprawiał zamilowaniem, znał on doskonale tajniki lasów i gór sandomierskich i korzystając z tej znajomości, wymykał się zręcznie z obław i zasadzek, urządzał nagle napady, trapił nieprzyjaciela, był wszędzie i nigdzie. Z podwładnymi obchodził się szorstko, z szpiegami i jeńcami okrutnie. Pierwszych wieszał bez litości, drugim odpłacał sowicie za znęcanie się nad jeńcami, za dobijanie rannych, za rabunki i grabieże.

W sprawach wojskowych spuszczał się na swego szefa sztabu, Władysława Eminowicza, oficera austriackiego, człowieka pełnego odwagi i talentów organizatorskich.

Odlączywszy się po bitwie pod Grochowiskami od Langiewicza, zapadł Czachowski w lasach z oddziałem licho uzbrojonym i zaledwie 400 ludzi liczących, ale niebawnie wzmocniła go partya Andrzeja Łopackiego (250), przybyła z Galicyi i świeżo uformowany oddział Grylińskiego. Mając tak siłę już poważną, pojawił się w biały dzień pod Radomiem, alarmując liczną tamtejszą załogę, do generała Uszakowa, głównodowodzącego w Radomiu, napisał list, w którym uskarżał się na okrucieństwa wojska i zapowiadał,

że każdego jeńca, bez względu na stopień każe wieszać, według zasady „oko za oko, ząb za ząb“.

Uszakow niesłychanie oburzony postanowił skarcić zuchwalca i stosownie do przyjętej wtedy ogólnie przez dowódców rosyjskich taktyki, wysłał kilka oddziałów po 200 do 300 ludzi na rozgromienie buntowników. Czachowski tymczasem, mianowany przez Rząd Narodowy wojewodą Sandomierskim, ściągnął do siebie oddział Kononowicza (546 ludzi), utworzony w lasach Kozienickich, jakoteż trzy inne drobniejsze partye i zajął stanowisko w lesie Niklańskim. Tu natknęła na niego kolumna rosyjska, złożona z 220 ludzi. Czachowski wciągnął ją w zasadzkę pod Stefankowem, w nocy z dnia 21. na 22. kwietnia, otoczył zewsząd i wyciął prawie do nogi. Jeńców nielicznych, pomiędzy którymi znajdował się także kapitan Nikiferów,¹⁾ kazał



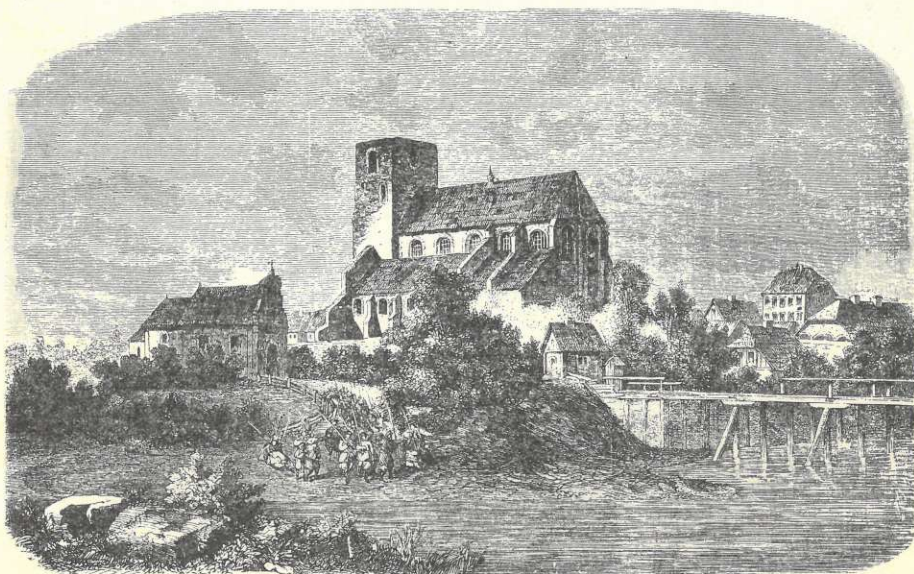
Nr. 119. E. Taczanowski.

powiesić. Po tej klęsce wyteżył nieprzyjaciel wszystkie siły swoje na pokonanie niebezpiecznego przeciwnika. Ten przewidując grożące niebezpieczeństwo, odprawił Kononowicza i drobne oddziały i ze swoimi tylko ludźmi wywijał się zręcznie wśród lotnych kolumn rosyjskich; pod Jeziorkami, rozbił oddział majora Klewcową, przyczem zdobył sto karabinów i cały tabor nieprzyjacielski, później, staczając ciągle utarczki, wskutek niesłychanego zmęczenia żołnierzy, rozpuścił swój oddział (w połowie czerwca) i udał się sam, dla wypoczynku do Krakowa. Stąd, późną już jesienią, powrócił do Królestwa

¹⁾ Ten Nikiferów zdaje się być stanowczo różnym od pierwszego; którego powiesić kazał Lelewel a o którym wspomina ś. p. Ks. Adam Sapieha (Przyb. Dzieje IV., 114). Tamten bowiem był człowiekiem młodym, nie miał głowy „lysej jak kolano“ i nie mógł się znajdować przy końcu kwietnia w szeregach rosyjskich. Dodać także należy, że w oddziałach powstańczych nie brakowało dezertów, którzy uprawiali szpiegostwo. W oddziale Czachowskiego czterech takich zmieńców uciekło w nocy z obozu i oni to naprowadzili Miednikowa zdradziecko na obóz polski. (Z relacji naoczego świadka).

na czele nowego oddziału i zginął w nieszczęśliwej potyczce pod Wierchowiskami, w okolicach Ilży.

O wiele prędzej spotkał podobny los Kononowicza. Dymisyonowany podpułkownik rosyjski, t. zw. „Kaukazczyk“ otrzymał on od Rządu Narodowego nominację na naczelnika sił zbrojnych w powiecie Czerskim. Dowództwo przyjął niechętnie, ale oddział zorganizował i uwijał się z nim nad Pilicą, przebywając, po większej części w lasach, z których wychodził tylko czasem dla zabierania i sprzedawania rządowych magazynów solnych. W obozie jego zresztą miał panować nieład, a on sam, tak jak i wielu innych dowódców w powstaniu, nie troszczył się wcale o rozkazy swoich bezpośrednich zwierzchników i raz jedynie usłuchał wezwania Czachowskiego i wziął udział w bitwie pod Stefankowem.



Nr. 120. Widok Pyzdr.

Uszaków, uganiając się za Czachowskim, postanowił skończyć także z Kononowiczem, który siedząc mu niemal pod boki, niepokoił okolice Radomia. Wysłany w tym celu pułkownik Ernroth, dowiedział się od zakupionego sołtysa z Jedleń o kryjówce Kononowicza, napadł na obóz i przyparł powstańców do Pilicy. Mimo to Kononowicz zdołał się wycofać, a gdy Ernroth, zadowolony łatwym tryumfem, stanął dla odpoczynku w lesie, uderzył nagle na niego ze wszystkich stron i zupełną zadał mu klęskę. Na tę wiadomość wysłano z Warszawy natychmiast trzy kolumny przeciw Kononowiczowi, który naciśnięty zewsząd przez przeważające siły, oddział swój rozpuścił, broń zakopał, a sam ukrył się we dworze, w Zawadach. Tu jednak został schwytany i rozstrzelany w Warce, w dzień Bożego Ciała dnia 4. czerwca. Kapelana jego oddziału, ks. Konarskiego, powieszono, jak już wspomnieliśmy w Warszawie.

W zachodniej części Królestwa, w Województwie Kaliskiem, po rozbiciu Mierosławskiego i Mielęckiego upadło powstanie niemal zupełnie, ale ożywiło się znowu wskutek energicznego działania Komitetu Wielkopolskiego a zwłaszcza dzięki ofiarności i poświęceniu Jana hr. Działyńskiego i Raczyńskiego. Obaj oni złożyli na cele narodowe 1½ miliona złp., zakupili, pomimo niesłychanych trudności ze strony władz pruskich, broń, za pośrednictwem Ks. Władysława Czarotoryskiego i generałowej Zamoyskiej, siostry Działyńskiego, zwerbowali kilkudziesięciu oficerów francuskich i w drugiej połowie marca utworzyli oddział nad którym objął dowództwo Mielęcki, jako naczelnik sił zbrojnych Województwa Mazowieckiego i Kaliskiego. Przeszedłszy granicę zaledwie w kilkanaście koni połączył on się z dzielnym partyzantem Edmundem Callierem, żołnierzem doświadczonym i niezmiernie obrotnym i zgromadził niebawmie w lasach Kazimierskich 500 ludzi.

Generał Brunner, nieudolny i tchórzem podszyty naczelnik wojenny w Kaliszu, nie przeszkadzał tej organizacji i dopiero dość późno wysłał z Konina przeciw Mielęckiemu kolumnę pod dowództwem Ks. Emila Sayn Wittgensteina. Książę, fliegeladjutant cesarski, skoligacony z domami panującymi niemieckimi, w gruncie może człowiek nie zły, ale próżny, zarozumiały i niewiele znający się na wojnie, siedł z wielką ostrożnością i przez zdraycę jakiegoś uwiadomiony o obozie powstańczym uderzył na Mielęckiego w nocy z dnia 21. na 22. marca, pod wsią Olszową. Wywiązała się bitwa bardzo krwawa, cztery godziny trwająca z niemałemi po obu stronach stratami. Powstańcy strzelali nadzwyczaj celnie i bronili się uparcie, ale gdy Mielęckiego niebezpiecznie postrzelono, gdy Callier, śmiertelną, jak się zdawało otrzymał ranę a amunicji zabrakło, cofnął się oddział ku Slesinowi, gdzie przez kolumnę Nelidowa został rozprószony. Mielęckiego przewieziono szczęśliwie do Wielkopolski; „umierający“ Callier wyzdrowiał.

Niezrażeni tem niepowodzeniem patryoci Wielkopolscy, zakrzętnęli się żywo około zorganizowania dwóch nowych oddziałów. Jednym z nich miał dowodzić przybyły świeżo podpułkownik francuski Young de Blankenheim, drugim Edmund Taczanowski, który służył w wojsku pruskim, brał udział w powstaniu węgierskiem w roku 1848 i bił się następnie we Włoszech w roku 1849.

Young przekroczył granicę w połowie kwietnia z oddziałem, liczącym 500 ludzi i zastał w tej części Królestwa dwie partye: Solnickiego i Oborskiego. Naczelne nad nimi dowództwo powierzył Rząd Narodowy po Mielęckim Seyfriedowi. Nominacya to była szczególniejsza, bo Seyfried należał do gorących zwolenników Mierosławskiego, znajdował się pod Krzywosądem w t. zw. „straży chorągwaniej“ generała i Rząd Warszawski traktował z widocznem lekceważeniem. Miano przecież pod ręką Oborskiego, niegdyś pułkownika w wojsku rosyjskiem, wytrawnego i dzielnego żołnierza, który umiał zaprowadzić u siebie w obozie porządek i karność a na polu bitwy okazał przytomność umysłu i doświadczenie.¹⁾

Ale ówczesny Rząd, podkopywany stale przez Czerwieńców, pragnął widocznie podobnemi ustępstwami przejednać swoich wrogów i tą nieczesną kokieterią wyrządził wielką szkodę sprawie powstania.

Seyfried bowiem od samego początku zajął względem Younga stanowisko niechętne i, widząc w tym „arystokracie“ narzędzie Białych, i może

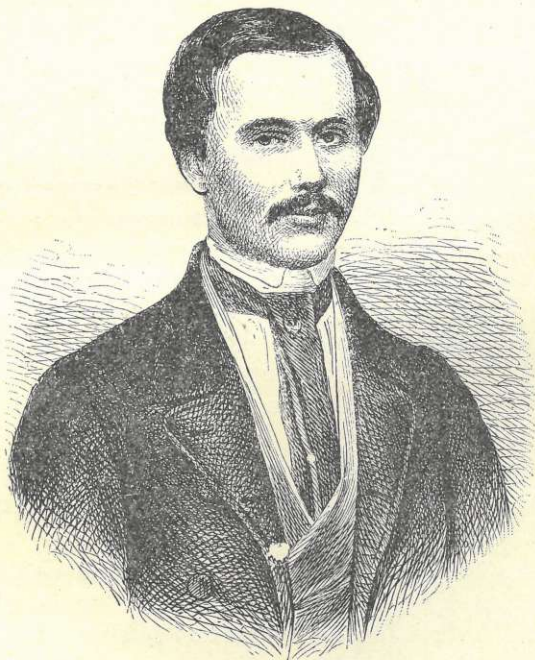
¹⁾ Kartki z pamiętnika Jul. Wieniawskiego (Tygodnik ilustrowany).

przyszłego swego następcę, burzył przeciw niemu umysły i odmawiał żołnierzom z jego oddziału do siebie.¹⁾

Mimo to szło wszystko z początku dobrze. Young dowiedziawszy się, że idzie na niego major Nelidow, wyruszył na jego spotkanie i nie tylko pobił go pod Nową Wsią, ale nawet wyparł za granicę pruską (dnia 26. kwietnia).

Wiadomość o tej klęsce, rogłoszona przez dzienniki po całym świecie skłoniła wojskowe władze rosyjskie do energiczniejszego działania.

Wysłano zatem z Warszawy generał-porucznika Kostandę z oddziałem liczącym 6 rot piechoty, 4 działa, 120 saperów wraz z kawalerją, a więc około 1500 ludzi, na pobicie Younga. Ten podzielił swoje siły na trzy części,



Nr. 121. Seyfried.

ustawione tak, aby w danej chwili wspierać się mogły i postanowił urządzić na nieprzyjaciela zasadzkę. Plan jednak nie powiódł się, Seyfried nie tylko, że nie przybył z pomocą, lecz uciekł haniebnie, Young został ranny i dobity przez rozjuszone żoldactwo, spóźniony oddział Oborskiego poszedł także w rozsypkę. Klęska była zupełna. Zginęło wiele młodzieży Wielkopolskiej, zginął między innymi Karol Libelt, syn znanego pisarza i patrioty.

Taki przebieg miała, głośna wtedy bitwa pod Brdowem, przegrana, jak utrzymywano z winy Seyfrieda, który Youngowi na pomoc nie przybył, bo chciał aby „Czartoryszczyków dobrze przetrzepali“, przegrana może i dlatego, że pomiędzy oddziałami Wielkopolskimi nie było łączności ani porozumienia. Mniej więcej bowiem w tym samym czasie co Young, w nocy od 15. do 16. kwietnia, przeszedł granicę także Taczanowski, osadził się w Pyzdrach i ściągnawszy do sie-

¹⁾ Berg, tom III. str. 113.

bie oddział Francuza Faucheux, zebrał około 1200 ludzi, z których część jedna, strzelcy, była uzbrojona w doskonale sztucce belgijskie.

Tu, w tej obronnej od natury pozycji, ćwiczył żołnierzy, nie troszcząc się wcale o Younga, odparł zwycięsko kolumnę rosyjską podpułkownika Oranowskiego (28. kwietnia) i dopiero dnia 1. maja wyruszył z Pyzdr, wzdłuż granicy pruskiej do lasów Lubstowskich.

W ślad zanim poszły wszystkie oddziały rosyjskie. Brunner z Kalisza, Kostanda i przysłany na pomoc Kostandzie Krasnokucki. Taczanowski rozłożył obóz pod Ignacem. W krótko nadeszła wiadomość o następowaniu nieprzyjaciela. Zwołano radę wojenną i postanowiono stoczyć bitwę. Pozycja była dobra a nadto umocniona na przodce usypanymi szancami.

Dnia 8. maja, wczesnym rankiem ukazał się najpierw Krasnokucki i rozpoczął atak. Powstańcy, umieszczeni za szancami i barykadami bronili się uparcie, celne ich strzały raziły piechotę rosyjską, ogień armatni nie odnosił widocznie skutku. Wtedy Krasnokucki, drożyną, wskazaną przez kolonistę Niemca, obszedł stanowisko polskie, i od lewego skrzydła, które nie było wcale obwarowane, dostał się do Ignacewa. Taczanowski chory — miał opuchłe nogi — dosiadł jednak konia i na czele Kosynierów uderzył na nieprzyjaciela, ale w tej chwili, poparła Krasnokuckiego spóźniona kolumna Brunnera i bitwa skończyła się rozsypką całego oddziału. Padł na polu tej najkrwawszej może walki, szef sztabu Taczanowskiego, major Strzelecki, dowódca strzelców pułkownik Witold Turno. Żołnierze rosyjscy dobijali rannych lub wrzucali ich w płomienie palących domów, mordowali jeńców. Do ocalenia szczątków oddziału przyczynił się wiele Jan Działyński, który wraz z Władysławem Niegolewskim jako prosty żołnierz brał udział w bitwie.

Część winy za tą klęskę ponosi znowu Seyfried. Wezwany bowiem przez Taczanowskiego, aby się z nim połączył, rozkazu nie usłuchał i zamiast do Pyzdr, poszedł w inną stronę.

Wtedy dopiero Rząd Narodowy zdobył się na energię, usunął Seyfrieda, kazał go postawić przed sąd wojenny a naczelnikiem sił zbrojnych Wojew. Mazowieckiego mianował Oborskiego. Seyfried jednak, wcześniej ostrzeżony przez swoich przyjaciół, uciekł za granicę.

Tak, wskutek słabości Rządu Narodowego i knoń Mierosławczyków upadło powstanie na Kujawach.

Jeszcze gorzej przedstawiała się sprawa w Wojew. Krakowskim, gdzie, po katastrofie Langiewicza, ruch zbrojny ustał prawie zupełnie a ludność wiejska dla „Polaków“ jak najgorsze okazywała usposobienie. Rząd Narodowy, chcąc poskromić zuchwalstwo i nadużycia chłopów, którzy nie tylko o wszystkim władzom rosyjskim donosili ale nadto i na dwory napadać zaczęli, a zarazem podnieść swoją powagę w tych okolicach utworzył w końcu marca w Radomskim, Stopnickim i Kieleckim straż bezpieczeństwa, czyli żandarmeryę, złożoną z drobnych oddziałów konnych, dla przestrzegania porządku, karania podejrzanych o szpiegostwo i wykonywania dekretów rządowych.¹⁾ Byli to tak później zwani „żandarmi wieszający“. Jedną z takich kolumn lotnych dowodził Kazimierz Wiśniewski, drugą znany nam już Konrad Błaszczyński, używający pseudonimu Bohdan Bończa.

¹⁾ Por. instrykę dla żandarmów, Mater. tom I., str. 84.

Obaj wzięli się gorliwie do rzeczy. Wiśniewski ukarał śmiercią kilkudziesięciu chłopów przekonanych o szpiegostwo, Bończa spalił nawet wieś Lipiec za to że mieszkańcy naprowadzali kilkakrotnie Rosyan na formujące się w tych stronach oddziały i po tych doraźnych a bardzo przykrych egzekucjach ustały donosy, i dowódcy rosyjscy nie znajdowali już pomocy u włościan miejscowych, za to zaś z tem większą zaciętością ścigali polskich żandarmów.

Jakoż Wiśniewski został rozbity dnia 30. czerwca i powieszony w Radomiu; Bończa po części przez własną nieostrożność, wpadł w zasadzkę pod Górąmi, porąbany przez Kozaków umarł z ran dnia 20. czerwca.

Z drugiej strony zaczęto, dla ożywienia powstania w Krakowskiem, wysyłać oddziały z Galicyi, zawsze z niepomyślnym skutkiem. Nieudała się jak wiemy wyprawa Mierosławskiego. Grekowicz, wyruszywszy z lasów Krzeszowickich dnia 4. kwietnia, został nazajutrz rozbity pod Szklarami; kilkanaście dni potem spotkał ten sam los partyę Mosakowskiego i następną, którą dowodzili Rumocki i Denisiewicz.

Powstały stąd głośnie narzekania na nieudolność Komitetów galicyjskich, na ich brak energii, na marnowanie broni i funduszków, po większej części nieuzasadnione.

Przyczyną niepowodzeń były nie Komitety, lecz okoliczności od Komitetów zupełnie niezależne.

Oddziały, wychodzące z Galicyi formowały się zawsze w lasach nad granicą położonych, pod okiem władz austriackich, czasami bardzo względnych, czasami zaś nadto gorliwych. Formacya trwała zwykle długo. Ściągano ludzi, zwożono broń i rynsztunek, co oczywiście w tajemnicy utrzymać się nie dało.

Pograniczne władze rosyjskie miały więc o zamierzonej wyprawie wcześniej już wiadomość. Wszak Lwów i Kraków roily się wtedy od szpiegów rosyjskich, wszak nie próżnował Konsulat brodzki a dyrektor krakowskiej policji Merkel zostawał w stałych i przyjaznych stosunkach z władzami wojskowemi w Królestwie.

Władze te zresztą otrzymywały niewątpliwie także informacye od przemysłników, od włościan pogranicznych, od objeszczyków, tak że żadna wyprawa zaskoczyć ich nie mogła.

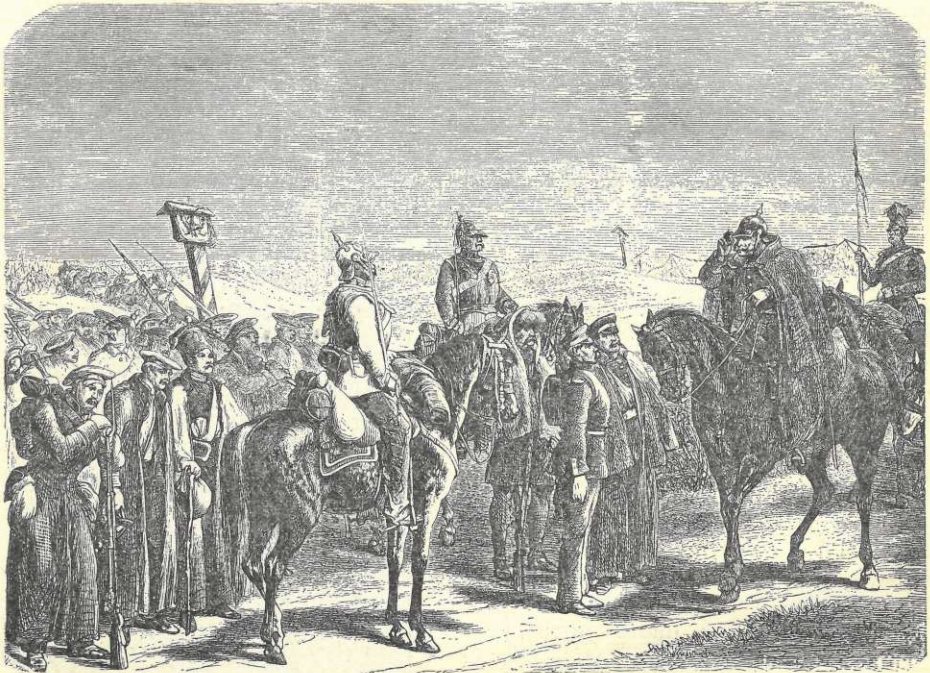
Nie dosyć na tem. Po zebraniu oddziału zaczynała się praca dla dowódcy najtrudniejsza, organizacyjna. Ochotnicy byli to po większej części ludzie, którzy po raz pierwszy mieli broń w rękach, którzy często ani strzelać ani nawet karabinu nabić nie umieli, o obrotach wojskowych, o maszerowaniu



Nr. 122. Witold Turno.

porządkiem nie posiadali zgoła wyobrażenia. Ponadto trzeba było jeszcze broń, ukradkiem sprowadzoną i zwykle niedopasowaną należycie, składać, nierzadko naprawiać, pomiędzy żołnierzami rozdzielać, sposób jej użycia ludziom objaśniać.

Cóż dziwnego więc, że oddział w ten sposób luźnie zaledwie spojony i dorywczo zorganizowany, przy pierwszym spotkaniu z wojskiem regularnem pierzchał i przechodził na powrót granicę? Tylko dowódzca wyjątkowemi obdarzony zdolnościami mógł katastrofy uniknąć, ale takich niestety, nie było. Ani Grekowicz, ani Mosakowski ani Rumocki, nie dorośli do wysokości swego zadania. Dwaj pierwsi opuścili nawet, jak mówiono, haniebnie swoich



Nr. 123. Przejście oddziału Nelidowa do Prus.

ludzi wśród bitwy i tylko bohaterski opór garstki powstańców z partyi Rumockiego, w Szycach, ocalił poniekąd honor polskiej broni.

Oddziały sformowane wewnątrz kraju, znajdowały się w lepszych warunkach. Znając dokładnie miejscowość, otoczone opieką władz narodowych, mogły one łatwiej się organizować, niż partye galicyjskie pod okiem władz austriackich z jednej a rosyjskich z drugiej strony. Niemniej demoralizujący wpływ wywierała także bliskość granicy, gdzie bezpieczne można było zawsze znaleźć schronienie.

To też oddziały utworzone w Królestwie trzymały się zwykle dłużej, chociaż i one ulegały po pewnym czasie rozbięciu, już w skutek nieudolności dowódców, już z powodu przewagi i lepszego uzbrojenia nieprzyjaciela.

Tak skończył po niejakiach powodzeniach, uwijający się w Wieluńskim i Krakowskim, Józef Oksiński, znany z swoich czerwonych usposobień,

zresztą hulaka i lekkoduch, takiego losu doznał Ludwik Żychliński, dowódzca tak zwanych „dzieci Warszawskich“.

Posiadał on pewne doświadczenie wojskowe, bo służył pod Garibaldim we Włoszech i, jak sam opowiadał, w armii Stanów Zjednoczonych w Ameryce, co przy jego samochwalstwie, wydaje się cokolwiek wątpliwem, ale przytem nie odznaczał się wcale szczególniejszemi zdolnościami, z wyjątkiem pewnego talentu organizacyjnego. Objąwszy po Bajerze dowództwo nad „dziećmi Warszawskimi“, ściągnął on do siebie drobne partye: Rudowskiego, Grabowskiego

Calliera, naczelnika sił zbrojnych Województwa Mazowieckiego¹⁾, zebrał w ten sposób 1200 piechoty i około 500 jazdy i stoczył pomyślną utarczkę z kolumną rosyjską, pod Ossą, ale niebawnie potem został rozbity.

W obec tych stale powtarzających się klęsk, które przypisywano, w wielu wypadkach słusznie niezdolności dowódców i w obec pogłosek wojennych, jakie dochodziły do kraju z Paryża, postanowiło stronnictwo Białych wziąć udział żywszy w powstaniu, aby dowieść, że jest to ruch czysto narodowy a nie rewolucyjny, postawić na czele sił zbrojnych ludzi z wojskowem doświadczeniem i ująć, w razie powodzenia, ster spraw narodowych w swoje ręce, usuwając od niego Czerwieńców a zwłaszcza Mierosławskiego i jego adherentów. Niepodobna zaprzeczyć, że była to myśl polityczna, a czy pochodziła z ambicyi stronnictwa czy z czystej miłości Ojczyzny, to jest już rzeczą obojętną, dość, że mogła stać się pożyteczną. W chwili, gdy partya czerwonych okazała zupełną swoją niezdolność tak na polu walki jak i w rządzie, przechodził obowiązek ratowania sprawy narodowej na Białych i użycia stosownych do tego celu środków. Istniejące wtedy naprężenie polityczne, wskazywało akcyę wojenną, jako najodpowiedniejszą i w tym kierunku poszli Biali.

Na dowódcę tej wyprawy przeznaczono Zygmunta Jordana, który brał udział w niefortunnym ruchu w 1846 roku, a następnie w powstaniu węgierskiem, gdzie był ulubionym adjutantem generała Dembińskiego i złożył dowody nadzwyczajnej odwagi osobistej. Po katastrofie pod Vilagos służył w wojsku turekiem, odgrywał pewną rolę w czasie wojny krymskiej i, należąc do stronnictwa generała Zamoyskiego, poróżnił się wtedy z Miłkowskim. W roku 1862 został sekretarzem Ks. Władysława Czartoryskiego i za jego wpływem otrzymał od Rządu Narodowego nominacyę na generała i naczelnika sił zbrojnych w Województwie Sandomierskiem i Krakowskiem.

Wysocki, zapytany, jaką ma opinię o Jordanie, wystawił mu chlubne świadectwo, jako jednemu „z najlepszych żołnierzy na emigracyi“, a czynił to nie „z safandulstwa“, ale z najgłębszego przekonania, bo w węgierskiem powstaniu mógł się poznać na zdolnościach każdego oficera polskiego i ocenić jego wartość.

Zapewne, od tego czasu ubiegło już lat piętnaście, wiek posunięty, trudy i wypadki zmieniły ludzi. Niebył Wysocki takim, jak niegdyś pod Aradem i Szolnokiem, zmienił się i Jordan.

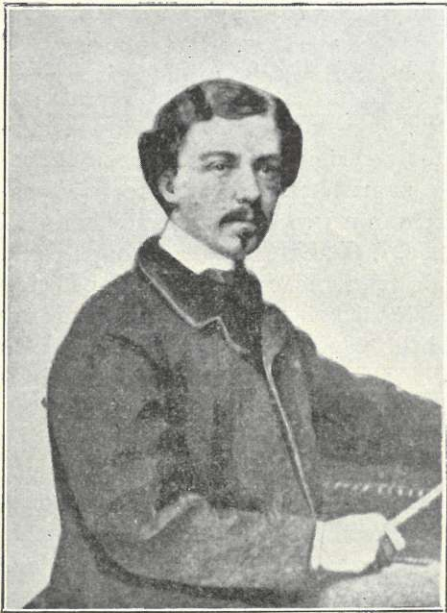
Z pełnego energii, walecznego, jak szabla Bemowska oficera stał się powolnym, ociężałym, do rzeńskiego działania w partyzanckiej wojnie nie zdolnym.

Oddział swój organizował bardzo długo, bo od kwietnia aż po koniec czerwca, a ukrywał się przy tem tak starannie, że niektórzy dowódcy nie

¹⁾ Callier objął ten urząd po ranionym ciężko pułkowniku Oborskim.

widzieli go wcale.¹⁾ Całą partyę, do której garneła się tłumnie i ochoczo dzielna młodzież z najpierwszych rodzin galicyjskich, podzielono na dwie części. Jedną dowodził Edward Dunajewski, drugą sam Jordan.²⁾ Każda miała się przeprawić przez Wisłę osobno. Dla ułatwienia wyprawy rozkazał Rząd Narodowy Bończy i Rudowskiemu posunąć się w Sandomierskie i niepokoić tamtejsze załogi rosyjskie. Dywersya ta żadnego nie przyniosła pożytku; Bończa został rozbity a major Ragoza w Stopnicy uwiadomiony dokładnie o czasie i miejscu, gdzie Jordan z Dunajewskim mieli przechodzić granicę, przygotował się dobrze na ich przyjęcie.

Dunajewskiego napadnięto natychmiast, w chwili gdy zaledwie zdołał jako tako swój oddział uporządkować i, po krótkiej utarczce przyparto go do



Nr. 124. Juliusz hr. Tarnowski.
(Ze zbiorów pana Jarosława Pieniżka).

Wisły. Pomiędzy powstańcami powstała panika i wszystko rzuciło się do ucieczki. Dunajewski, który napróżno starał się żołnierzy swoich powstrzymać, rzucił się w końcu w nurty wezbranej wtedy rzeki i utonął wraz z towarzyszącymi mu oficerami.

Jordan stoczył pod Komorowem krwawą bitwę z Ragozą. Chcąc sobie otworzyć drogę w głąb kraju, atakował wieś kilkakrotnie ale bez skutku a gdy nadbiegli dragoni, którzy właśnie pobili oddział Dunajewskiego była już klęska nieuchronna. Ostatnie, rozpaczliwe uderzenie kilkudziesięciu bohaterów na piechotę, broniącą Komorowa pomnożyło tylko liczbę ofiar. Padł tu Juliusz Tarnowski, padli wszyscy, ocalał tylko Jan Popiel. Jordan z czterema ludźmi przedostał się do Galicji.

Podobnie jak garstka szlachetnej młodzieży pod Komorowem zmniejszyła przynajmniej hańbę, jaką okryły się wyprawy galicyjskie, co prawda,

wśród najniekorzystniejszych działające warunków, ocalała także honor oręża polskiego bohaterska obrona Głanowa przez garstkę straceńców pod wodzą Krukowieckiego i Habicha. Aleksander Krukowiecki, syn generała, utworzył na własną rękę, bez oglądania się na Komitet Krakowski³⁾ oddział i oddawszy go pod dowództwo Habicha wkroczył do Królestwa. Po nieszczęśliwej potyczce pod Imbramowicami, odcięty od swoich, schronił on się do dworu w Głanowie i tam z 11 towarzyszami i dzierżawcą Głanowa Rutkowskim, byłym kapitanem wojsk polskich, bronił się heroicznie przez trzy godziny. Rosyanie, rażeni celnymi strzałami tej garstki a w końcu zaalarmowani

¹⁾ Materyały, tom III., str. 175.

²⁾ Przyborowski (tom IV., str. 249) myli się uważając Dunajewskiego za pseudonim. Dunajewski pochodził z rodziny osiadłej w Przemyślim, był synem Marcelgo, z bratem Wiktoorem brał udział w powstaniu węgierskiem a w oddziale Czechowskiego dowodził kompanią jako kapitan.

³⁾ Sprawozdanie Dyrektora Wydziału efektów, tom III., str. 175.

mylną wieścią o nadchodzących powstańcom posiłkach odstąpili w końcu od oblężenia. Z dzielnych obrońców dworu Głanowskiego poległ tylko kapitan Rutkowski (15. sierpnia).

O wiele pomyślniej rozwijało się natomiast w tym czasie powstanie Lubelskie i Podlaskie. Po wzięciu do niewoli Lewandowskiego i po rozbiciu następcy jego, Lelewela, pod Różą (dnia 23. czerwca) pozostały tam jeszcze oddziały Józefa Jankowskiego, Karola Krysińskiego, Józefa Władysława Ruckiego, Wagnera i Ćwieka (Kajetan Cieszkowski). Najwięcej doświadczenia



Nr. 125. Kruk.

i znajomości sztuki wojskowej posiadał Rucki, który odbył pod Bemem kampanię Siedmiogrodzką i opisał ją w sposób zajmujący, najzdolniejszym Krysiński, człowiek młody, nie wojskowy, ale w obrotach szybki i w działaniu śmiały. Podczas gdy Rucki, ukryty w głębokich lasach unikał bitew i staczał je tylko wtedy gdy miał nadzieję zwycięstwa, Krysiński szukał nieprzyjaciela i odnosił często korzyści.¹⁾

¹⁾ Przyborowski (tom IV., str. 329) pisze że Rucki miał twarz „zgryźliwą“, że „lubił się objadać, co go czyniło ciężkim i gnuśnym“. Zналиśmy Ruckiego, nie w obozie wprawdzie, i musimy zaświadczyć, że twarz jego była zawsze uśmiechnięta i wesoła, sposób opowiadania żywy i bardzo zajmujący. Wydawał się ociężałym z powodu budowy ciała i powolnych ruchów. Nie zauważyliśmy natomiast wcale, aby „lubił się objadać“, chociaż do tego miał sposobności wiele, przebywając na wsi, w domach zamożnych i znanych z dobrej kuchni i gościnności.

W obozie jego panował porządek, żołnierze byli ubrani jednakowo w szare sukmanki z zielonemi kołnierzami i w zielone rogatywki. Ściągnawszy do siebie rozbitków Lelewela, stał Krysiński dłużej w wielkich lasach Parczewskich, robiąc wycieczki w okolice i docierając do Bugu. W lipcu na rozkaz Rządu Narodowego przeszedł tę rzekę, napadł na Domaszew, gdzie zebrała się straż włościańska, czyli tak zwane „opoleczenie“ jakie Wieszał tworzył wtedy w swojej litewskiej satrapii, rozpędził tę zbieraninę na cztery wiatry, kilku hersztom sprawił należyłą łażnię, jednego powiesił, 50 żołnierzy broniących się pokonał, zdobył kilkadziesiąt karabinów i strzelb i spokojnie powrócił za Bug, gdzie połączony z Jankowskim i Zielińskim odparł zwycięsko kolumnę rosyjską Schelkinga.

W tym czasie Rząd Narodowy powierzył naczelne dowództwo w Lubelskiem dotychczasowemu wojewodzie Podlaskiemu Michałowi Janowi Heidenreichowi, znanemu pod imieniem Kruka. Był to człowiek młody, służył w wojsku rosyjskiem, ukończył chlubnie szkołę sztabową w Petersburgu i otrzymał stopień rotmistrza w pułku dragonów. Po wybuchu powstania sam zgłosił się do służby narodowej i wziął dowództwo na Podlasiu po Lewandowskim. Teoretycznie wykształcony, osobiście odważny, zdrowie miał liche, cierpiał zwłaszcza na krwotoki, które odbierały mu często w chwilach stanowczych siłę i energię.

Objąwszy dowództwo w Lubelskiem zebrał on w okolicach Łęczny wszystkie oddziały i stoczył niepomysłną potyczkę pod Kaniowolą. Porażkę, jaką poniósł w tem pierwszym spotkaniu z nieprzyjacielem, przypisać należy głównie Krysińskiemu, jego niesubordynacyi i zazdrości. Stojąc blisko z swoim oddziałem nie wziął on udziału w bitwie tłumacząc się brakiem rozkazu, a do otaczających go mówił: „zobaczymy jak się popisie Heidenreich.“¹⁾ Że to podanie jest prawdziwem świadczy późniejsze pismo Rządu Narodowego, z czasów Traugutta, gdzie Krysińskiego nazwano „zarozumiałym chłopakiem“, który „więcej może popsuł niż dobrego zrobił.“²⁾ Kruk powetował jednak niebawnie Kaniowolską klęskę. Pod Chruśliną bowiem (dnia 4. sierpnia) pobił na głowę znanego nam już Miednikowa, pędził go przez 12 wiorst i nie mógł wyzyskać zwycięstwa zupełnie tylko z braku amunicyi. Zaopatrzywszy się z pomocą żydów w naboje i pistony zakupione od wojska garnizonu lubelskiego, poszedł on do Puław, ale w drodze dowiedział się z przejętej depešy generała Chruszczewa, że z Warszawy intendatura rosyjska wysłała 201.000 rubli do Lublina, postanowił więc z tej sposobności skorzystać, na transport uderzyć i pieniądze zabrać. Przedsięwzięcie było o tyle niebezpieczne, że Kruk miał za sobą ścigającą go kolumnę pułkownika Ćwicińskiego, a pod boki, o 14 wiorst zaledwie stał major Lebedyński. Mimo to Kruk urządził w nocy z 8. na 9. sierpnia zasadzkę w lasach pod Żyrzynem.

Poczta z Demblina wyruszyła tej samej nocy pod osłoną dwóch kompanii piechoty, 15 Kozaków i dwóch armat. Eskortą dowodził porucznik saperów Laudański, Polak. O godzinie 5 z rana, wszedłszy do lasu została ta kolumna przywitana nagle z dwóch stron ogniem powstańców. Padły przedewszystkiem konie u furgonów i armat, w szeregach powstało niesłychane przerażenie, większość żołnierzy pokryła się w rowach. Laudański

¹⁾ Pamiętniki Deskura. Materyały, tom II., str. 176.

²⁾ Materyały, tom III., str. 410.

rozsypał na prawo i na lewo tyralierów, w stronę skąd najgęstsze padały strzały, skierował armaty, ale ta taktyka nie na wiele się przydała, zwłaszcza, że wnet zabrakło ładunków a kanonierów wystrzelano do nogi. Wtedy



Nr. 126. Bitwa pod Żyrzynem. (Ze zbiorów pana Jarosława Pieniżka).

Laudański z 80 ludźmi przebił się przez otaczających go powstańców, reszta złożyła broń. Zwycięstwo było zupełne. Na polu walki poległo 194 żołnierzy rosyjskich, 150 wzięto do niewoli, straty polskie wynosiły około 50 zabitych

i rannych. Zdobyto także 400 karabinów, obie zagwożdżone jednak armaty i pieniądze w kwocie 140.000 rubli. Reszta t. j. 60.000, zginęła w ogólnem zamieszaniu bez śladu. Funduszy tych użyto na cele powstania, zwłaszcza na zakupno broni i wyekwipowanie nowych oddziałów. Kruk, mianowany w nagrodę za zwycięstwo Żyrzyńskie przez Rząd Narodowy generałem, wyjechał na krótki czas do Lwowa, a powróciwszy stamtąd zastał już położenie znacznie zmienione.

Kłęska pod Żyrzynem oburzyła niesłuchanie sfery wojskowej w Warszawie i naczelnikom wojennym w Lubelskiem nakazano surowo bądź co bądź skończyć „z buntownikami“.

Jakoż generał Chruszczew zebrał około 3000 ludzi i ruszył na wyszukanie powstańców. Ci zbrali się pod Fajslawicami nad Wieprzem w sile, mniej więcej 2000 ludzi. Na radzie wojennej większość była za tem, aby bitwy nie staczać, Kruk jednak postanowił szczęścia próbować. Dnia następnego, 24. sierpnia, przyszło do spotkania i powstańcy ponieśli stanowczą klęskę. Kto tu zawinił, czy Kruk przez swój upór, czy Krysiński, który walczącym rozpaczliwie w Fajslawickim lesie, nie pospieszył z pomocą, niewiadomo, bo relacje o tej bitwie są i niedokładne i poplątane, to pewna tylko, że klęska pod Fajslawicami zadała cios dotkliwy powstaniu Lubelskiemu.¹⁾

Kręcą się tam wprawdzie jeszcze długo niedobitki z pod Fajslawic, oddziały Ruckiego, Krysińskiego i innych, wkracza z Galicyi Lelewel, odnosi (dnia 3. września) zwycięstwo pod Panasówką, ale wciągnięty wnet w zasadzkę i rozbity, ginie pod Batorzem i odtąd już powstanie Lubelskie traci niemal wszelkie znaczenie.

Równocześnie prawie spotyka podobna katastrofa Taczanowskiego.

Taczanowski po porażce pod Ignacewem zebrał z wolna oddział doskonałej jazdy liczącej 800 ludzi i z nim uwijał się po kraju, unikając jednak spotkania z nieprzyjacielem, bo jak mówił, chciał się doczekać interwencji i zachować swoje pułki na zawiażek przyszłej armii polskiej. Są pogłoski, jakoby zamierzał ogłosić się dyktatorem, przenieść Rząd Narodowy do swego obozu, rzecz nieprawdopodobna, jeżeli się zważy, że Taczanowski nakazywał pospolite ruszenie, wzywał szlachtę i duchowieństwo, aby stanęli na czele mas chłopskich, ale w działaniu swoim nie okazywał ani energii ani przedsiębiorczości, chociaż oprócz jazdy rozporządzał także oddziałem podpułkownika Franciszka Kopernickiego, liczącym 260 strzelców i 142 kosynierów. Raz tylko pod Sędziejowicami (dnia 27. sierpnia) zniósł ze szczeniem mały, lotny oddział rosyjski Grabbego i to było jedyne jego powodzenie. W dwa dni później stoczył niepomyslną bitwę w okolicach Kruszyny i wyjechał za granicę.

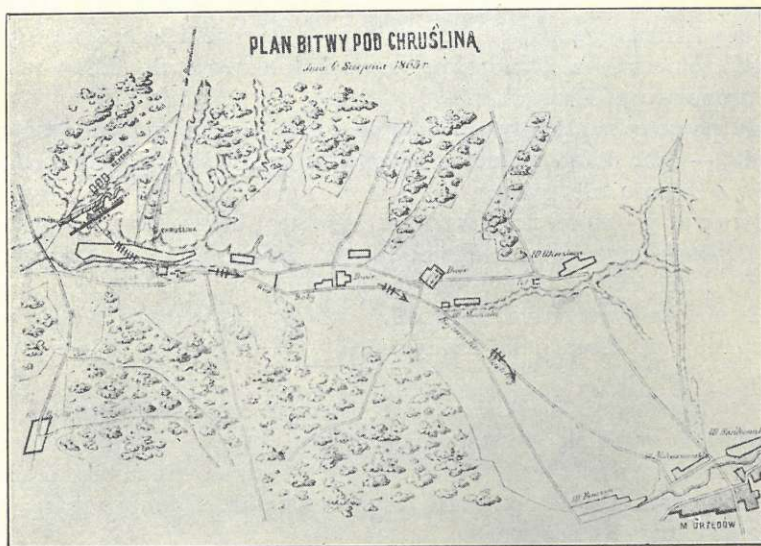
Mimo że wojna toczyła się dotąd, jak widzieliśmy, ze zmiennem szczęściem i przewaga była po stronie rosyjskiej, to jednak korzyści jakie odnosili powstańcy, a zwłaszcza zwycięstwo pod Żyrzynem i sam fakt, że Polacy bez broni, bez armat, bez organizacji wojskowej zdołali tak długo opierać się najpotężniejszemu mocarstwu europejskiemu, był już niemałym dla dumy rosyjskiej upokorzeniem.

To usposobienie społeczeństwa, objawiające się coraz silniej pod wpływem systematycznej agitacji Katkowa, postanowili wyzyskać Samobytnicy

¹⁾ Przyborowski, tom IV., str. 360) przypisuje główną winę Krukowi. Z obrony Kruka, umieszczonej w Kwart. hist. (XXII., 553) wynika, że surowy sąd Przyborowskiego nie jest uzasadniony.

dla obalenia W. Księcia Konstantego. Po Wielopolskim miała przyjść kolej na „opolaczonego“ Namiestnika, marzącego o koronie Piastów i Jagiellonów, a wtedy dopiero otwierało się szerokie pole do działania dla wszystkich Bergów, Milutynów i Czerkaskich, którzy zamierzali, według metody stosowanej przez Wieszatela na Litwie, powstanie stłumić, autonomię Królestwa znieść i kraj ten rdzennie polski zamienić na gubernię rosyjską.

Usunięcie brata cesarskiego nie było jednak rzeczą łatwą. Aleksander II. wahał się. Przez admirała Liedtkego próbował skłonić W. Księcia do ustąpienia, ale Konstanty zbył tę propozycję milczeniem a W. Księżna za żadną cenę nie chciała opuszczać Warszawy. Namiestnik chwycił się nawet rozpaczliwego i ryzykownego środka. Przez rektora Szkoły Głównej dra Mianowskiego zawiązał stosunki z Rządem Narodowym, żądał aby powstańcy broń złożyli a natomiast obiecywał, że uzyska dla Królestwa koncesye



bardzo znaczne, coś w rodzaju Konstytucji z roku 1815, nawet wojsko narodowe pod nazwą „milicji krajowej“. Układy rozbiły się o to, że Rząd Narodowy wymagał od W. Księcia gwarancji, której on oczywiście dać nie mógł.

Tymczasem cesarz wybrał się na objazd gubernij wewnętrznych. Podróż miała na celu podniesienie ducha wobec grożącej jeszcze zawsze interwencji mocarstw zachodnich, zadokumentowanie wobec Europy patriotyzmu rosyjskiego, który gotów jest poświęcić życie i mienie dla odparcia najazdu „20tu narodów“.

I rzeczywiście przyjmowano cara wszędzie z zapalem a metropolita moskiewski Filaret, ten sam, co słał swoje błogosławieństwo Murawiewowi Wieszatelowi, powitał monarchę u wejścia do Soboru mową, pełną namaszczenia i wybitnie polityczną.

„Znieważono — tak wołał — twoją sprawiedliwość i twoją łaskę; znieważono godność Rosyi. Czyż mogą być obojętni na to ci, którzy miłują Oj-

czyzną? I oto duch synów Rosyi powstaje i woła do ciebie, oznajmując gotowość całego narodu do obrony prawdy“.

Manifestacya ta, obmyślana i ułożona przez Samobytników odniosła zamierzony skutek i Aleksander, powróciwszy do Carskiego Siola zawezwał dnia 24. sierpnia telegraficznie W. Księcia do Petersburga. Tu odbyła się stanowcza narada. Za wpływem Konstantego postanowiono użyć jeszcze jednego środka, mianowicie zapytać Andrzeja Zamoyskiego, bawiącego wtedy w Paryżu, czy nie podjąłby się uspokoić Polskę i na jakich warunkach?

Powróciwszy do Warszawy dnia 4. września wysłał też W. Książę natychmiast, pułkownika Bontemps, aby w porozumieniu z Ks. Orłowem ambasadorem rosyjskim w Brukselli wybadał pana Andrzeja. Autor był nadto upoważniony przez cesarza do przyjęcia i podpisania warunków jakieby przedłożył Zamoyski. Ofiarowano mu stanowisko naczelnika rządu cywilnego w Królestwie, takie jakie posiadał Wielopolski i dalsze jeszcze reformy i oświadczone, że, w razie odrzucenia propozycji, W. Książę opuści Warszawę a w Królestwie zapanuje najsroższy terroryzm.

Z taką instrukcją pojechał Bontemps z Brukselli do Paryża i po długiej dwukrotnej rozmowie z Zamoyskim doniósł telegraficznie Orłowowi, że pan Andrzej propozycję odrzucił.

Jakie powody wpłynęły na taką decyzję i czyjej w tym względzie zasięgał rady — jest dotąd zagadką, to pewna tylko, że Ks. Władysława Czarotoryskiego o zdanie nie pytał.

Odstraszał go może tragiczny los Wielopolskiego, łatwo dająca się przewidzieć, trudność uspokojenia kraju, obawa, że przyjmując misję tego rodzaju, staje poniekąd, a przynajmniej pozornie w sprzeczności z swojemi zasadami, ale te wszystkie skrupuły traciły znaczenie wobec strasznej i nieuchronnej już klęski jaka czekała kraj po odmownej odpowiedzi pana Andrzeja.

Czy byłby spełnił ciężkie zadanie — na to nikt odpowiedzieć nie może, ale w rzeczach wielkich wystarcza już chęć sama i usilne staranie — in magnis voluisse sat est, i one też byłyby usprawiedliwiły Zamoyskiego wobec potomności, nawet w razie niepowodzenia. Odmowa pana Andrzeja rozstrzygnęła losy Królestwa.

W. Książę, uwiadomiony telegraficznie o nieudanej misji Bontempsa, wyjechał wraz z rodziną dnia 8. września do Krymu. Drogę obrócił na Wiedeń gdzie z polecenia brata miał nakłonić rząd austriacki do zmiany dotychczasowej polityki w sprawie polskiej. Ale i tu doznał zawodu. Ani cesarz Franciszek Józef ani minister Rechberg nie chcieli się „kompromitować“ i dopomagać Rosyi do stłumienia powstania.

Dnia 31. października otrzymał wreszcie uwolnienie z Namiestnictwa w Królestwie, jego następcą został Berg.





Rozdział dziewiętnasty.

INTRYGI CHMIELEŃSKIEGO. — OBALENIE RZĄDU CZERWONEGO. — TERRORYZM. — ZAMACHY I REPRESYE. — DYKTATURA TRAUGUTTA. — UPADEK POWSTANIA.

W chwili gdy Aleksander II. wyjeżdżał do środkowych gubernij państwa, niemal w przededniu owej manifestacyjnej przemowy moskiewskiego metropolity, zaczęły się już w Warszawie objawy, wskazujące zupełną zmianę systemu.

Dnia 14. sierpnia, na parę godzin przed zachodem słońca, liczne patrole wysłane do miasta, chwytaly przechodniów, odbywały rewizye, więziły podejrzanych. W dniach następnych represya rosła i potężniała tak bardzo, że przy końcu sierpnia Warszawa sprawiała widok miasta oblężonego przez nieprzyjaciela.¹⁾

Spółeczeństwo nie umiało sobie na razie wytłumaczyć tej energii władz rosyjskich.

Zostawało ono bowiem jeszcze pod wrażeniem Żyrzyńskiego zwycięstwa, wierzyło silniej niż kiedykolwiek przedtem w czynną interwencję Zachodu, żyło nadzieją odzyskania niepodległości.

Wszak wiadano, że powstanie rozwija się pomyślnie, że brak broni nie daje się już odczuwać tak dotkliwie jak dawniej, że dowódcy nabrali doświadczenia a zaimprovizowany żołnierz powstańczy odwagi i sprawności, że pomiędzy Londynem, Paryżem a Wiedniem toczą się układy i że gabinet petersburski obawia się wojny.

Czy ówczesny Rząd Narodowy podzielał te złudzenia ogółu, można powątpiewać. Działal on wprawdzie energicznie, starał się ruch zbrojny podtrzymywać i rozwijać, ale w gruncie rzeczy zasadzał swoje nadzieje na interwencyi.

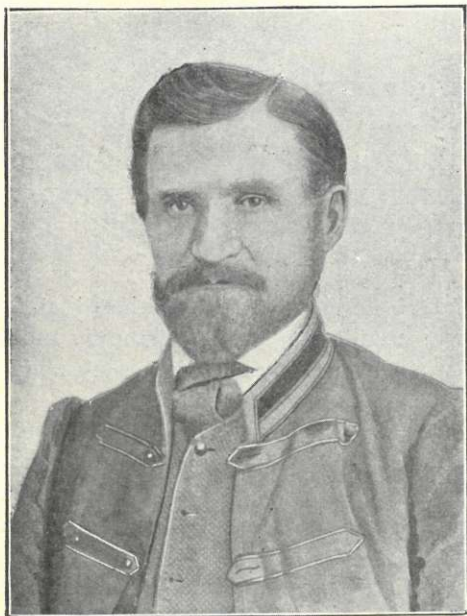
W piśmie wystosowanem dnia 10. sierpnia do Ks. Władysława Czartoryskiego,²⁾ zapewnia, że „walka w dotychczasowych a polepszonych nieco

¹⁾ Dubiecki Maryan: Romuald Traugutt. Kraków 1907; str. 41.

²⁾ Wyd. Mat., tom V., str. 235.

warunkach wzrastać będzie“, że „zapał walczących bynajmniej się nie wyczerpuje“, zaraz po tem jednak dodaje „że ze względu na moralne i materialne zasoby kraju, na środki do prowadzenia wojny, utrzymanie powstania przez zimę dzisiejszemi jego siłami, narażałoby kraj na olbrzymie ofiary, ciężkie dla dalszej przyszłości, a środki materialne chyliłyby się do wycieńczenia, które utrudniłoby samo nawet rozwinięcie sił wojskowych“. A więc jedynym warunkiem jest interwencya, a w razie, gdyby ona „na nieprzełamane trafiła przeszkody“, co, wobec nieprzychylnego stanowiska Anglii wydaje się możliwem, uzyskanie „armistycy“, zawieszenia broni, oczywiście wraz z uznaniem powstania za stronę wojującą.

Było to niewątpliwie zapatrywanie trzeźwe, wolne od wszelkiego optymizmu, polegające na dokładnej znajomości stosunków krajowych. Rząd Narodowy widział, że nierówna walka, trwająca już przez 7 miesięcy, zaczęła wyczerpywać zasoby obywateli, że kwestya finansowa jest piętą Achillesową powstania.



Nr. 129. Władysław Rucki.
(Ze zbiorów pana Jarosława Pieniążka).

Jeżeli Rząd Narodowy w roku 1831, mając od początku 30tysięczną armię, dobrze uzbrojoną, zaopatrzoną i ubraną a ponadto pewien zapas broni i amunicyi, wydał w ciągu ośmiu miesięcy 79 milionów złp., to środki, jakimi rozporządzał Komitet Centralny i następne Rządy, które musiały przepłacać karabiny, proch, bieliznę, buty i mundury, są znikomo małe. Gdy powstanie listopadowe czerpało z pełnych kas Banku Polskiego i z uregulowanych podatków, zasilala skarb publiczny w roku 1863 jedynie ofiarność narodowa. Tymczasem przykłady, zaczerpnięte nie tylko z naszych ale z obcych dziejów, dowodzą, że ofiarność prywatna nigdy nie może

dorównać systematycznemu opodatkowaniu.

Wybierał wprawdzie i Rząd Narodowy w roku 1863 podatek ¹⁾ ale wobec niesłychanych trudności przy ściąganiu i zdarzających się przy tem nadużyć nie mogły być dochody znaczne i nie wpływały też regularnie.

Puste kasy skarbu narodowego, zasilane od czasu do czasu dobrowolnemi i szczodrowemi datkami możnych rodzin lub zasobnego mieszczaństwa, nie były w stanie podoląć olbrzymim wydatkom. Pieniądze, zabrane z Kasy Głównej Królestwa, nie przyniosły spodziewanych korzyści, bo listów zastawnych Towarzystwa Kredytowego nie zdołano dość wcześnie wymieniać, sumy zaś zdobyte pod Żyrzynem stanowiły prawdziwie kroplę w morzu.

Tak przedstawiało się położenie w sierpniu, i nie więc dziwnego, że Rząd Narodowy spoglądał w przyszłość z obawą i że, niepewnością miotany,

¹⁾ Według dekretu z dnia 8. kwietnia.

chwycił się nawet rozpaczliwych środków, groził sojuszem z europejskimi stronnictwami rewolucyjnymi,¹⁾ chociaż był przekonany o ich niemocy i egoistycznej polityce.

Stanowisko i działanie Rządu, z natury rzeczy bardzo ciężkie i wymagające niesłychanego poświęcenia, utrudniały, wielce pokątne knowania zawodowych intrygantów, którzy bądź z zaciekłości partyjnej, bądź chorobliwą ambicją kierowani pracowali usilnie i systematycznie nad obaleniem niemiłych sobie rządów i własnem wyniesieniem. I jeżeli walki stronnictw politycznych wyrządzały i wyrządzają największą szkodę sprawie narodowej,



Nr. 130. Aleksander Krukowiecki.

zwłaszcza w epoce porozbiorowej, gdzie niebezpieczeństwa zewsząd nam grożące wymagają skupienia wszystkich sił i jednolitego działania, to w r. 1863 było takie nieustające zarzewie buntu i zamachy na Rządy Narodowe nie tylko dowodem niedojrzałości politycznej ale wprost czynem zbrodniczym.

Na czele tych zamachowiczów i niepoprawnych buntowników stał, znany nam już Ignacy Chmieleński, z przekonania terorysta, dbały jednak zawsze o własną skórę. Założywszy główną kwaterę swoją w Krakowie, rozwinął on stąd, z tego bezpiecznego ukrycia, energiczną czynność dla obalenia czerwcowego Rządu.

¹⁾ Wyd. Mat. tom V., str. 212.

Dopomagały mu w tej destrukcyjnej robocie wszystkie żywioły skrajne: czerwienicy z pod znaku Mierosławskiego, domorośli anarchiści, kawiarniani politycy, zwykle opozycyjnie usposobieni i cała rzesza naiwnych patryotów, którzy łatwo dali w siebie wmówić, że przyczyną niepowodzeń powstania jest nieudolność Rządu Narodowego. Już w czerwcu 1863 roku autor broszury „W Tył“, ¹⁾ wychodząc z przekonania, że „położenie obecne sprawy jest rozpaczliwe“ ²⁾ domagał się ustąpienia Rządu i zastosowania rewolucyjnych środków w duchu bezwzględного teroryzmu. Zdaniem jego należało ustanowić Trybunał rewolucyjny „stojący ponad Rządami“, „niby sumienie narodu“, powołać lud wiejski pod broń, „sprzątnąć cara, Konstantego, Murawiewa, Anenkowa, Nazimowa (którego już nie było) i innych im podobnych i wydać manifest zaznaczający, że celem powstania jest odzyskanie niepodległości w granicach 1772 roku“.



Nr. 131. Wojciech Biechoński.
(Ze zbiorów pana Jarosława Pieniążka).

Takie chorobliwe majaczenia, zarówno niedorzeczne jak niepodobne do wykonania, bałamuciły rozgorączkowane walką umysły i były wodą na młyn Chmieleńskiego, który korzystał z każdej sposobności, aby powagę Rządu Narodowego podkopać.

Wiemy już jaką burzę wśród Czerwieńców wywołała nominacja Ks. Czartoryskiego, obecnie wiadomość, że Rząd Narodowy zgadza się na zawieszenie broni dała powód do nowych napaści na „wsteczników“, wchodzących w układy z najazdem, ³⁾ broszurę „W Tył!“ rozszerzano gorliwie po Warszawie, mimo, że Rząd kazał ją niszczyć, że, w odpowiedzi, napisanej przez Majewskiego zbijał halucynacje autora i że nawet tajne pismo Naprzód, wychodzące w Krakowie, potępilo „niedowarzone“ jego pomysły (nr. 15). ⁴⁾ Co prawda, działanie Rządu było miękkie. Miał on dość siły, aby „zdusić gniazdo domowego niepokoju“,

ale z tej siły nie skorzystał. Skończyło się na postrachu. W lipcu kazał Naczelnik miasta Warszawy, Wacław Przybylski aresztować całą grupę warcholów, przybyłych z Krakowa, dał im ojcowskie upomnienie i wypuścił na wolność. ⁵⁾

Ta niewczesna łagodność ośmieliła intrygantów.

Wezwawszy do pomocy Stanisława Frankowskiego, głowę równie zapaloną jak niedojrzałą i Franciszka Dobrowolskiego, który po ustąpieniu

¹⁾ W Tył! Na Śląsku 1863 (18. czerwca), Alfred Szczepański.

²⁾ Tamże, str. 16.

³⁾ Wyd. Mat. tom V., str. 237.

⁴⁾ Zeznania Majewskiego.

⁵⁾ Dubiecki: Traugutt str. 80.

Stosława Łaguny objął Dyrektorstwo wydziału spraw wewnętrznych i należał do poważniejszych ludzi, prowadzili oni dalej swoją krecią robotę, podkopując Majewskiego i głosząc po mieście, że Rząd Narodowy przeszedł w ręce Białych.

Majewski zniechęcony intrygami; jak sam powiada, chory, nie miał już sił do dalszej walki; Gołemberski wyjechał do Krakowa. Dnia 17. września więc upadł Rząd lipcowy a spadek po nim objęli nazajutrz skrajni Czerwienicy.

Nowy Rząd składał się z Franciszka Dobrowolskiego, Stanisława Frankowskiego, Ignacego Chmieleńskiego, który był zarazem naczelnikiem miasta, z Kokosińskiego i Józefa Piotrowskiego. Wojciech Biechoński pełnił obowiązki Sekretarza, jednak bez prawa głosu.¹⁾



Nr. 132. Ratusz w Warszawie po pożarze.

Zaczęła się tak nowa, krótko, bo tylko przez trzy tygodnie trwająca epoka, o charakterze rewolucyjnym i terrorystycznym, według recepty, podanej przez autora broszury „W Tyl“!

Dnia 19. września wykonano zamach na Berga. Na powracającego z Łazienek do Zamku, padł strzał z trzeciego piętra domu Zamoyskich na Nowym Świecie. Kula jednak chybiła i przeszła tylko kołnierz płaszcza. W ślad zatem rzucono pięć bomb, które zraniły konie powozowe, 5 koni kozackich i 3 kozaków z eskorty, a nadto butelki z jakimś płynem eksplodującym przez co cała ulica napełniła się tumanami dymu.

Sprawców nie ujęto. Dom miał być na mocy rozporządzenia, wydanego przez generała barona Korfa, dowódcę załogi Warszawskiej, jeszcze w dniu

¹⁾ Berg, tom III., str. 278 podaje cokolwiek odmienny skład Rządu. Poszliśmy za Dubieckim jako lepiej poinformowanym.

28. lutego 1863 roku zburzony. Jakoż sprowadzono wnet artylerję, ale okazało się, że barbarzyński rozkaz nie może być spełnionym i że nawet nie odniesie zamierzonego celu.

Korf więc, nie wiedząc co ma właściwie uczynić pozwolił kampanii grenadyerów, stojącej w dziedzińcu, „pohulać“. Na to hasło zaczęło się dzieło zniszczenia. Żołnierze wpadali do mieszkań i wyrzucali stamtąd wszystkie sprzęty przez okna na ulicę. Wyrzucono pomiędzy innemi, pamiątkowy fortepian Szopena, obrazy, lustra, książki, teki, papiery, słowem wszystko, co wpadło pod rękę burzycieli.

Uległa wtedy zniszczeniu także cenna biblioteka profesora Szkoły Głównej, Kowalewskiego, słynnego orientalisty. Utworzył się w ten sposób stos rozmaitych przedmiotów, z którym niewiadomo co było począć. Ponieważ zaś zachodziła obawa, że żołnierze rozkradną cenniejsze przedmioty i stanie się skandal niesłychany, więc kazano całą tę stertę podpalić. Powstał stąd groźny pożar, który straż pożarna z trudem zaledwie ugasić zdołała.

Dom Zamoyskich został ostatecznie skonfiskowany przez Rząd a wszyscy mieszkańcy w liczbie 227 osób aresztowani i osadzeni w cytadeli.

Gospodarza domu Stanisława hr. Zamoyskiego skazał sąd wojenny dnia 13. sierpnia 1864 roku na pozbawienie wszelkich praw stanu, na osiem lat ciężkich robót w Syberyi i na konfiskatę całego majątku. Namiestnik złagodził wyrok na 25.000 rubli kary i osiedlenie w głębi Rosyi. Szwagra Zamoyskiego, Ks. Tadeusza Lubomirskiego, wywieziono do gubernii rosyjskich.

„Tak się skończył — pisze Berg — ten dzień tragiczny, w którym popełniono tyle rzeczy głupich, komicznych a zarazem barbarzyńskich, niestety tak zwykłych i swojskich, codziennych, że większość winowajców tych nedorzeczných zarządzeń, w tejże chwili o wszystkim zapomniała, jako o drobnostce, niezasługującej na wzmiankę... i w swych wygodnie urządzonych mieszkaniach zasnęła snem sprawiedliwych“.¹⁾

Niemcy sądzili, co prawda, inaczej. Prusak, Verdy du Vernois, pochwalał dzieło zniszczenia²⁾ a Namiestnik Berg cieszył się, że będzie mógł skonfiskować pałac Zamoyskich, bo w ten sposób uzyska znaczną ilość mieszkań, których brak dawał się wtedy uczuwać dotkliwie w Warszawie.³⁾

Ale i to wydało się nowemu prokonsulowi za mało. Nałożył więc kontrybucję na całe miasto w stosunku do opłacanego przez każdą partję czynszu mieszkalnego i bezpośrednich podatków. Rząd Narodowy, uwiadomiony wcześniej o zamiarach Berga, który nie był jeszcze mianowany Namiestnikiem i musiał w tak ważnej sprawie czekać na pozwolenie z Petersburga, postanowił kontrybucji przeszkodzić przez zniszczenie ksiąg podatkowych, umieszczonych w ratuszu. W tym celu dwaj członkowie organizacji, przebrani za woźnych i jeden, dozorca rewirów z VIII. cyrkułu na Grzybowie w mundurze weszli w niedzielę, dnia 28. października do ratusza i wzniecali tam pożar tak gwałtowny, że mimo usilnej pomocy straży pożarnej, cały gmach spłonął do szczytu.

Ponieważ budynek ratuszowy był własnością rządu, nikt przeto nie brał sobie katastrofy bardzo do serca. Oficerowie rosyjscy i pruscy porozsiadali się wygodnie na sofach i fotelach, wyniesionych z ratusza, palili papie-

¹⁾ Tom III, str. 290.

²⁾ Im russischen Hauptquartier, Seite 133.

³⁾ Tamże str. 131.

rosy, popijali herbatę i szampana i bawili się przytem wybornie.¹⁾ Ten drugi z kolei akt terroryzmu, acz przygotowany przez Rząd wrześniowy, spełniono już po jego ustąpieniu.

Represye i prześladowania przeraziły bowiem dbałych zawsze o osobiste swoje bezpieczeństwo anarchistów. Pierwszy uciekł Chmieleński, za nim Stanisław Frankowski. Ich miejsce zajęli Adam Asnyk i Józef Narzyski, ale i oni spostrzegli rychło, że ciężkiemu zadaniu nie podolają.

Terroryzm wywołał powszechne niezadowolenie, organizacya zaczynała się rozpręgać, powaga Rządu upadać; w Wydziale dla spraw zagranicznych panował nieład.²⁾



Nr. 133. Romuald Traugutt.

Trzeba było więc zdjąć pychę z serca i szukać pomocy u tych, których się zwalczało. Tak powołano Józefa Gałęzowskiego na kierownika w Wydziale wojny, Józefowi Janowskiemu powierzono sprawy wewnętrzne, a Frankowski nawiązał układy z Majewskim. Ten jednak do Rządu wstąpić nie chciał i dopiero, kiedy członkowie Wydziałów: Rafał Krajewski, Gałęzowski, Przybylski, Dubiecki i Ilnicki jeli mu przedstawiać zamieszanie w organizacyi miejskiej i ogólny nieład w Rządzie, poradził im, aby sprowadzili z zagranicy Traugutta.³⁾

¹⁾ Tamże str. 150.

²⁾ Pow. relacyę Skorupki, Wyd. Mat., tom V., str. 333.

³⁾ Zeznania Majewskiego.

Romuald Traugutt urodzony dnia 28. stycznia 1826 roku w Szostakowie, w okolicach Brześcia litewskiego i puszczy Białowieskiej, pochodził z rodziny, prawdopodobnie obcej, ale od dawna na Litwie osiadłej i zupełnie spolszczonej. Wychowanie w domu otrzymał bardzo staranne i głęboko religijne; szkoły skończył w Świsłoczy, skąd następnie pojechał do Petersburga, aby w zakładzie prywatnym przygotować się do Akademii Inżynierów. Tak jak wielu innych, obrał sobie karierę wojskową, został oficerem saperów i w tym charakterze znalazł się w głównym sztabie Armii II., w oblężonym przez sprzymierzonych Sewastopolu, gdzie wykonywał czynności administracyjno-wojskowe.



Nr. 134. General Rochebrun.

Po ukończeniu wojny krymskiej wziął dymisję w stopniu pułkownika, osiadł w ojcystym majątku Ostrowie, położonym o trzy mile od Kobrynia i tu ożenił się powtórnie z Antoniną Kościuszkówną.

Zajęty gospodarstwem i sprawami rodzinnymi, w manifestacjach, które zaczęły się na Litwie, udziału nie brał, chociaż żywo interesował się wypadkami Warszawskimi.¹⁾ Dopiero po upadku Langiewicza, kiedy w Brzeskiem i Grodzieńskiem liczne acz drobne powstały oddziały, dał się nakłonić Apollonowi Hofmajstrowi, naczelnikowi Województwa Brzeskiego do objęcia dowództwa nad partią sformowaną w Kobryńskiem. Słabemi rozporządzając siłami, bo miał zaledwie 160 ludzi, okazał Traugutt niepospolite zdolności

¹⁾ X. Adam Stołwiński: Wspomnienia z niedawnej przeszłości. Kraków 1892; str. 40.

wojskowe. Stanowczy i energiczny, zaprowadził on wzorową karność w swoim oddziale, w ciągu dwóch tygodni wyćwiczył powstańców w obrotach zastosowanych doskonale do taktyki partyzanckiej i w pierwszym spotkaniu z nieprzyjacielem, pod Horkami, odniósł zupełne zwycięstwo. Następna potyczka była mniej szczęśliwą; Traugutt sam cudem prawie ocalał. Wsparty oddziałem Jana Wańkowicza (Leliwy) ruszył teraz w głąb Polesia, w okolice jakby stworzone dla małej wojny. Tu jednak zaczęły się największe trudności. Brak pożywienia, forsowne marsze i nieprzyjazne usposobienie ludności wiejskiej paraliżowały wszelkie działanie. Powstańcy, trapieni głodem, upadający z znużenia nie tracili mimo to ducha. Traugutt zwrócił się na Polesie Wołyńskie, w bagniste okolice położone u dolnego biegu Horynia, może w nadziei, że spotka tam oddziały powstańcze z południa. Nie spotkał nikogo. Natomiast pojawił się w znacznej sile nieprzyjaciół pod Kołodnem dnia 13. lipca rozgromił całą partyę.

Traugutt, chory, ledwie trzymający się na nogach, musiał szukać wytchnienia i spoczynku. Wyleczywszy się i odzyskawszy siły, podążył do Warszawy przy końcu lipca. W jakim celu? to wyjaśnił sam. „Zauważyłem — tak mówił do Dubieckiego — iż po lasach Polesia może chodzić kto inny“.¹⁾ A więc chciał poznać z bliska stosunki Warszawskie, stan powstania w Królestwie, i ofiarować swoje zdolności i doświadczenie wojskowe na usługi sprawy narodowej.

W Warszawie, w najwyższych kołach organizacyi, nie był on także osobistością nieznaną. Majewski zwłaszcza cenił go wysoko i pragnął mu powierzyć dyrektorstwo Wydziału wojennego. On też prawdopodobnie — przynajmniej sam tak twierdzi, sprowadził Traugutta z Litwy. — Wydział wojenny miał wprowadzić wtedy dwóch zdolnych ludzi: Kaczkowskiego i Józefa Gałęzowskiego, ale obaj byli teoretycy, nie znający się na wojnie partyzanckiej, podczas gdy Traugutt w swojej kampanii poleskiej złożył dowody niezwykłego w tej mierze uzdolnienia. Słusznie zatem uczynili ci co chcieli z doświadczenia jego korzystać w chwili kiedy powstanie w Królestwie dochodziło do szczytu swego rozwoju.

Przypuszczać należy, że członkowie czerwcowego Rządu, poznawszy bliżej Traugutta, jego charakter czysty i podniosły, jego umysł bystry i jasny, jego poświęcenie bezwzględne dla sprawy narodowej, uważali za właściwe przeznaczyć mu szerszy zakres działania. W tym celu otrzymał dnia 14. czerwca 1863 roku nominację na generała i nadzwyczajnego Komisarza poza granicami kraju, z poleceniem zlustrowania wszystkich powstańczych instytucyj za granicą i porozumienia się z dowódcami oddziałów, którzy znajdowali się w Galicyi.

Rzecz dziwna, że w dwa dni później, ten sam Rząd mianował Mierosławskiego organizatorem wojsk polskich poza granicami zaboru rosyjskiego, sądząc zapewne, że tym „połowicznym“ mandatem²⁾ zadowolni i uspokoi nienasyconą ambicję wicherzyciela.

Traugutt tymczasem udał się do Galicyi, bawił przez czas jakiś we Lwowie, badał tamtejsze stosunki, przekonał się, że pod względem wojskowej organizacyi robiono, co tylko w danych okolicznościach uczynić było

¹⁾ Dubiecki: Romuald Traugutt, str. 36.

²⁾ Giller, tom I., str. 227. Sprawa tej nominacyi jest zresztą niejasna. Z pisma Traugutta do Czartoryskiego (Wyd. Mat., tom V., str. 362) wynikać się zdaje, że J. Grabowski nadużył zaufania Rządu.

można, i, porozumiewszy się co do dalszego działania z Różyckim i Strusiem wyjechał w dalszą podróż na zachód, do Paryża.¹⁾ O pobycie jego w Paryżu niema dokładnych wiadomości.

W pierwszym rządzie musiał się oczywiście zetknąć z Czartoryskim, jako agentem Rządu Narodowego i drem Sewerynem Gałęzowskim, a za ich zapewne pośrednictwem z Księciem Napoleonem, i z ministrem Drouyn de Lhuys.



Nr. 135. Żuawi Rochebruna po uwieszeniu w Krakowie.
(Ze zbiorów pana Jarosława Pieniążka).

Z dłuższej audyencyi w Palais Royal i z innych rozmów, oczem niestety nie zgola nie wiemy, odniósł Traugutt wrażenie, że Polacy mogą liczyć na interwencyę i na tem oparł swoje nadzieje.

Jakoż zaprzeczyć się nie da, że w tej chwili sprawy cokolwiek pomyślniejszy brały dla nas obrót. Gabinet wiedeński bowiem, rozczerzowany niepowodzeniem, jakiego doznał na zjeździe Frankfurckim, skutkiem abstynen-

¹⁾ Struś : Galicya w powstaniu Styczniowem, str. 98.

cyi i nieprzyjaznego stanowiska Prus, zaczął się znowu zbliżać do Francyi i okazywać większą dla polskich planów Napoleona III. przychylność.¹⁾

Były to zapewne nadzieje wątle, ale nieobeznanemu z grą dyplomatyczną dodawały otuchy i budziły w nim przekonanie że bądź jak bądź wytrwać trzeba, bo od tego wytrwania zależeć może zbawienie Polski.

Z tem przeświadczeniem wyjechał Traugutt z Paryża do Warszawy, gdzie stanął w pierwszych dniach października, około 9. lub 10. tego miesiąca.²⁾

Bezpośrednio po przybyciu porozumiał się z Majewskim w mieszkaniu W. Przybylskiego i tam zapewne zdecydowano, że Traugutt ma objąć dyktaturę. Stało się to natychmiast i w przeciągu niespełna dwóch dni rzecz była skończona.

Dyktator wydał Chmieleńskiego i Asnyka na pół roku z kraju; kierownictwo Wydziałów powierzył ludziom doświadczonym i pewnym: Józefowi Gałęzowskiemu dyrektorstwo departamentu wojennego; sekretarzem w miejsce Wojciecha Biechońskiego mianował Janowskiego. Sprawami wewnętrznymi zawiadywał Rafał Krajewski, skarbem Józef Wohl, później Józef Toczyski, Wydziałem zagranicznym Henryk Krajewski, policją Adolf Pieńkowski, prasą Wacław Przybylski; sekretarzem dla ziem ruskich pozostał nadal Maryan Dubiecki, dla Litwy lekarz Cezary Morawski, naczelnikiem miasta Aleksander Waszkowski.

Nie był to wcale Rząd w dawniejszem tego słowa znaczeniu, lecz szereg ministerjów, których naczelnicy mieli służyć dyktatorowi do pomocy i wykonywać jego polecenia.

On sam zamieszkał w starym i od świata zupełnie odosobnionym domu przy ulicy Smolnej „dolnej“ u p. Majewskiej Heleny, żony Adama Kirkora, redaktora Kurjera Wileńskiego.

Tu spędził Traugutt pod imieniem Michała Czarneckiego, agenta handlowego, cały okres swojej dyktatury, od końca października 1863 roku aż do chwili uwięzienia, t. j. do dnia 10. kwietnia 1864 roku. Dzień rozpoczynał i kończył modlitwą, zresztą pracował od rana do nocy i tylko czasami, o zmierzchu wydalał się na sesye z dyrektorami Wydziałów.

U siebie nie przyjmował prawie nikogo — wyjątek stanowił mieszkający w tym samym domu M. Dubiecki — z wezwaniami na konferencyę w cztery oczy, rozmawiał wieczorem w ciemnym pokoju przy zamkniętych drzwiach.

Z otoczenia najbliższego nikt go nie znał inaczej jak pod imieniem „pana Michała“.

Trzeba było w istocie posiadać wielki hart duszy, niezmiernie wiele poświęcenia i wiary, aby w tem położeniu wprost strasznem, pod nieustanną grozą szubienicy, zachować spokój umysłu, zdolność do wyteżonej pracy, możność oryentowania się w mnóstwie różnorodnych interesów, aby nie zachwiać się i nie upaść, gdy wszystko się rozprzęgało, gdy najwytrwalszych i najśmielszych odstępowała odwaga i opuszczała nadzieja. Traugutt zwątpieniu nie ulegał, rozpaczy się nie poddawał. Krzepiła go głęboka wiara, ta co góry przenosi; ukojenia szukał w modlitwie, czytywał codziennie ustępy z pisma świętego, z którem nigdy się nie rozłączał, i z tego źródła czerpał siły, niemal nadludzkie. W jego postaci, niczem zresztą nie wyróżniającej się,

¹⁾ Koźmian, tom III., 2, str. 124. Depesza Ks. Czartoryskiego do Rządu Narodow. Wyd. Mat. tom V., str. 296.

²⁾ Zeznania Majewskiego.

tkwiła dusza bohaterska, żelazna energia, niepożyta siła woli i charakter czysty, nieskalany.

Ambicyi nie znał, o względy światowe niedbał i miał jeden tylko cel wielki: zbawienie Ojczyzny.

Do Bosaka pisał dnia 2. marca 1864 roku: „Tylko nieograniczona ufność w Opatrzności i niewzruszona wiara w świętość sprawy naszej dodawała nam siły i odwagi, aby w takich okolicznościach przyjąć sponiewieraną władzę. Pamiętaliśmy o tem, że władza jest u nas aktem poświęcenia, a nie ambicyi, i że poświęcenia tego odmawiać Ojczyźnie nie możemy, kiedy widzimy konieczność¹⁾).

To też pierwszą może, a przynajmniej jedną z pierwszych czynności Traugutta było wysłanie listu do papieża Piusa IX. (29. października), w którym upraszał go, aby władców katolickich nakłonił do udzielenia pomocy Polsce, bo „sprawa ludu polskiego i Kościoła katolickiego najściślej są połączone węzłem²⁾).

Ta niczem niezachwiana wiara w moc i opiekę Opatrzności przebija niemal w każdym piśmie ówczesnego Rządu a list do Ks. Czartoryskiego (21. lutego 1864 roku) jest zakończony słowami: „Niech Bóg was strzeże i dopomaga³⁾).

Objąwszy władzę w najtrudniejszych warunkach z przekonaniem, że „szczerą pracę i pocziwym chęciom, prędzej czy później, Bóg zawsze dopomoże i pobłogosławi“, wziął się Traugutt rączy do dzieła, zaprowadził ład i porządek w administracji, usunął wichrzycieli, Mierosławskiemu odebrał urząd generalnego organizatora (8. listopada) zwinął Komisyję broni, która straciła duże fundusze, zakupywała broń, gromadziła ją w składach w Liège a wysyłkę do kraju urzędowała tak niezręcznie, że nieprzyjaciół, wszystkie prawie transporty zabierał lub konfiskował⁴⁾ a jej czynności porучzył Aleksandrowi Guttremu i Leonowi Królikowskiemu.

Podobnie otrzymał dymisyę pełnomocny Komisarz Rządu Narodowego przy Mierosławskim, Józef Grabowski. Następcą jego został Karol Ruprecht. Zmiany te wynikały z zasady Dyktatora, że „z intrygantami i wichrzycielami należy postępować z nieubłaganą surowością, gdyż oni, jako swoi, są gorszymi nieprzyjaciółmi kraju niż Moskale i Niemcy“, z przekonania wreszcie o ich przewrotności i lichych charakterach.

Ludwik Mierosławski — tak pisał do Czartoryskiego w dniu 8. lutego 1864 roku — to szarlatan polityczny i wojskowy, próżny, tchórz, gotowy na wszystko, ale wystawiając drugich a chronić siebie.

Ignacy Chmieleński, tchórz ostatniego rządu, ograniczony, gotów do zrobienia zamachu na cały świat, chociażby dla rozrywki tylko, ale zawsze z zabezpieczeniem własnej osobistości.

Stanisław Frankowski, biedny, pocziwy waryat, gotów na wszystkie zbrodnie, byle weń w mówiono, że tego Ojczyzna wymaga. Dla miłości Ojczyzny gotów ją zgubić. Stał się nieszczęsnem narzędziem cudzej podłości i przewrotności⁵⁾).

Mając taką opinię o Czerwieńcach, opartą na doświadczeniu i bezpośrednich z nimi stosunkach dobierał sobie ludzi przedewszystkiem

¹⁾ Dubiecki: Traugutt, str. 130.

²⁾ Wyd. Mat., tom I., str. 68.

³⁾ Wyd. Mat., tom V., str. 388.

⁴⁾ Wyd. Mat., tom V., str. 364.

⁵⁾ Tamże str. 382.

znanych z uczciwości i czystego charakteru. Mianował więc agentem w Rzymie Gabryela Łuniewskiego, którego ceniał wysoko „dla szlachetnych zasad i prawości“, zgodził się chętnie na dodanie do mu pomocy Bronisława Zaleskiego (obyw. „Mrówki“), Waleryanowi Kalince, jako sekretarzowi agencji paryskiej wyraził podziękowanie i zupełne uznanie za gorliwe pełnienie obowiązków i pożyteczną dla sprawy narodowej pracę; pułkownikowi Dębińskiemu-Kaczkowskiemu polecił werbowanie pewnej liczby wojskowych obcych w Paryżu do powstania; Wacława Przybylskiego wysłał jako nadzwyczajnego Komisarza za granicę dla szczegółowego zbadania i uporządkowania istniejących tam agencji i organizacji.



Nr. 136. Roman Żuliński.

Cała ta działalność Traugutta, pełna energii, świadoma celu, w najdrobniejszych nawet szczegółach dokładnie obmyślana,¹⁾ dowodzi, że posiadał on niezwykle uzdolnienie wojskowe i administracyjne, że wśród wszystkich tych, co do rządów się rwali i rządy te sprawowali, on jeden rozumiał należycie wielkie zadania i obowiązki naczelnej władzy i pojmował trafnie ducha narodu.

Trudniejsza rzecz już była z polityką.

W tym względzie nie posiadał Traugutt ani doświadczenia ani znajomości stosunków. Zanadto uczciwy, aby podejrzawać, bez oczywistych po-

¹⁾ Por. instrukcję dla nadzwyczajnego Komisarza, Wyd. Mat., tom V., str. 354.

wodów, kogokolwiek o nieszczerłość, zanadto oddalony od Europy, aby mieć dokładne informacye o położeniu dyplomatycznym w każdej chwili, polegał on głównie na obietnicach, jakie otrzymał w Paryżu i na relacjach zagranicznych agentów często spóźnionych i niezawsze dokładnych. Tymczasem sprawa polska była na polu dyplomatycznym już stanowczo przegrana.

Chwiejna polityka gabinetu wiedeńskiego, który, mimo usilnych nalegań Ks. Metternicha, nie mógł się zdecydować na ściślejszy związek z Francją, znecierpiała w końcu Napoleona III.

Zniechęcony niepowodzeniem w kwestyi polskiej, widząc jak wpływ jego we Włoszech upada, i zaniepokojony żywo nieszczęśliwym obrotem oplakanej awantury meksykańskiej, podniósł on w mowie, wypowiedzianej przy otwarciu sesyi ciał prawodawczych w dniu 5. listopada 1863 roku, myśl kongresu, który, według późniejszych relacyj, miał się zająć sprawami: włoską, polską, duńską i księstw naddunajskich.¹⁾ Nie ulega wątpliwości, że projekt Napoleona III. był, zasadniczo rzeczy biorąc, szlachetny i wzniosły, chociaż wypływał z pobudek egoistycznej natury, bo celem jego było ratować mocno zachwiane *préstige* cesarza i podnieść znaczenie Francyi w Europie. Ale właśnie dlatego powstała przeciw zwołaniu kongresu silna opozycja. Napróżno odwoływał się Napoleon „do sumień i rozumu mężów stanu wszystkich krajów“, napróżno stwierdzał fakt, że traktaty z roku 1815 przestały istnieć, że siła rzeczy je wywróciła, że skutkiem tego jest „podniecenie płomiennych namiętności“ i że „wielkie interesy na południu i na północy wymagają rozwiązania“, napróżno podnosił, że Anglia sama zmieniła postanowienia kongresu wiedeńskiego „przez szlachetne ustąpienie wysp Jońskich Grekom a Rosya depce je w Warszawie“, bo sumieniem „mężów stanu“ było obcem poczucie sprawiedliwości, bo rozum ich nie sięgał poza ciasne granice własnych interesów i, przyćmiony zawiścią lub obawą, nie obejmował szerokich horyzontów, jakie zakreślała dyplomacyi europejskiej propozycja Napoleona III.

Nic dziwnego zatem, że Anglia odmówiła udziału w kongresie, że za jej przykładem poszła także Austria a następnie i Rosya. Prusy odpowiedziały wprawdzie przychylnie, ale zapewne dlatego, bo przewidywały, że kongres nie przyjdzie do skutku i że, zajmując względem projektu francuskiego, stanowisko przeciwne polityce austriackiej, przekonają Napoleona, że na gabinet wiedeński liczyć wcale nie może i że sprzymierzeńca powinien szukać w Berlinie.

U nas, nawet w kołach poważnych, nie miano wcale dokładnych informacyj o położeniu politycznym.

Skorupka, który, jako agent Rządu Narodowego mieszkał stale w Wiedniu i utrzymywał tam rozległe stosunki, donosił dnia 23. listopada do Warszawy,²⁾ że z Paryża dochodzą jak najlepsze wiadomości. „Cesarz prawie codziennie konferuje z hr. Walewskim o sprawie polskiej i coraz silniejsze wyrabia się w nim przekonanie, iż należyte rozwiązanie kwestyi polskiej jest koniecznością jego panowania. Hr. Adam Potocki — tak pisze dalej — który wraca z Paryża jak najlepsze przywiózł nadzieje, lecz zarazem głębokie przekonanie, że bądź co bądź, kosztem największych ofiar, trzeba przetrwać przez zimę.“

¹⁾ Koźmian. Riecz, tom III., 2, str. 127.

²⁾ Wyd. Mat., tom V., str. 344.

O wiele trzeźwiej patrzyli na rzeczy pełnomocny Komisarz Rządu Narodowego w Paryżu i Książę Władysław Czartoryski. Po odpowiedzi wielkich mocarstw na propozycję kongresu, zwłaszcza po odmowie Anglii, wietrzyli oni w powietrzu tworzącą się przeciw Francji koalicję i spisek przeciw Polsce, przestrzegali, że cesarz do wiosny nie skutecznego zdziałać nie może, lecz będzie szukać sprzymierzeńców w mniejszych państwach, że zatem do wiosny żadnej pomocy spodziewać się nie można, ale obok tego obawiali się osłabienia powstania podczas zimy, czyli inaczej, radzili wytrwać do wiosny, bo wtedy „wybuchnie straszna wojna, której skutków dziś przewidzieć nie można“.¹⁾

Traugutt zachęty nie potrzebował, był przekonany, że wytrwać należy koniecznie i pragnął jedynie postawić powstanie do wiosny tak, aby interwencję, jeżeli nastąpi, przyjąć nie „jako jałmużnę“ ale „jako pomoc“,²⁾ aby mieć siłę, która w razie ogólnej wojny mogłaby zaważyć na szali, bo „tylko z nami cesarz Francuzów zdoła dać Europie rzeczywisty pokój i odetchnienie“.³⁾

Tą myślą przejęty używał wszelkich środków; agentowi dyplomatycznemu na wschodzie Tadeuszowi Orzechowskiemu (Oksza), dodał do pomocy generała Edmunda Różyckiego, który służąc długo na Kaukazie znał tamtejsze stosunki. Wiązało się to ściśle z projektem utworzenia floty polskiej, nie tyle fantastycznym może, jak się dziś wydaje, co trudnem do wykonania ze względów finansowych.⁴⁾

Geneza planu miała być następująca: Kiedy generał Zamoyski nalegał w Londynie aby Anglia uznała powstańców za stronę wojującą, oświadczył lord Russel, że jeżeli okręt pod flagą polską przybędzie do Malty natenczas rząd angielski uzna banderę polską za istniejącą a w konsekwencji i powstańców za belligerantów.

Była to wprawdzie nadzieja bardzo krucha, polegając na nieobowiązującej obietnicy, której spełnienie zależało od rozmaitych okoliczności a nie od dobrej woli tego lub owego ministra, ale w tem rozpaczliwym położeniu chwytno się nawet cienia nadziei.



Nr. 137. Wojciech Komorowski.
(Ze zbiorów pana Jarosława Pieniżka).

¹⁾ Tamże, str. 351.

²⁾ Tamże, str. 369.

³⁾ Tamże, str. 377.

⁴⁾ Przyborowski. Kwart. hist., tom XXII., str. 139

W czerwcu więc Ks. Władysław Czartoryski zakupił dwa statki, jeden Samson w Stambule a drugi Princess w Newcastle na Tynie,¹⁾ zaczął je uzbrajać i powołał na dowódcę Francuza Magnana. Wnet jednak powstały nieporozumienia pomiędzy Księciem a Magnanem. W tej chwili przybył do Paryża Władysław Zbyszewski. Dowodził on korwetą rosyjską, wysłaną do Chin, opuścił swój statek i przez Japonię dostał się do Francji, aby służyć sprawie narodowej. Zamiarem jego było rozpocząć działanie na morzu, uzbroić okręt pod flagą polską, popłynąć na Czarne morze, zabierać tam handlowe statki rosyjskie, przewozić, w razie pomyślnym, broń i ludzi na Kaukaz i uzyskać u mocarstw uznanie dla bandery polskiej, o czem wspominał Russel generałowi Zamoyskiemu a co Zbyszewski uważał za rzecz pewną.



Nr. 138. Bosak (Józef hr. Hauke).
(Ze zbiorów pana Jarosława Pieniążka).

W czasie, gdy głośniejsza sprawa Alabamy tyle narobiła hałasu i omal nie wywołała wojny pomiędzy Ameryką a Anglią, miał plan Zbyszewskiego widoki powodzenia.

To też Ks. Czartoryski wziął go, jako doświadczonego marynarza do pomocy. Zbyszewski, przybrawszy imię kapitana Karpia, pogodził najpierw Księcia z Magnanem, który w dniu 11. grudnia 1863 roku podpisał deklarację, uznał w niej swoją winę i zobowiązał się służyć sprawie polskiej z całym poświęceniem.²⁾ Magnan więc pozostał i miał uzbroić dwa statki, a Karp pojechał do Newcastle po Princess, któremu dano nazwę Kiliński. Kiliński wypłynął rzeczywiście na morze na razie pod flagą angielską ku brzegom hiszpańskim, a stamtąd do Marsylii, gdzie oczekiwał go Karp.

Wyprawa jednak nie dała się utrzymać w tajemnicy.

Amerykanie podejrzewali, że Kiliński jest statkiem korsarskim,

w rodzaju Alabamy, rząd rosyjski dowiedział się przez szpiegów że to przedsięwzięcie polskie. I jedni i drudzy śledzili więc bieg okrętu i starali się dalszej jego podróży przeszkodzić.

W Maladze, gdzie zawinięto dla nabrania węgla, władze hiszpańskie zrobiły na statku rewizję a znalazłszy broń i amunicję, uwięziły załogę i skonfiskowały statek.³⁾ (12. lutego 1864 roku). Zanim jeszcze do tego

¹⁾ Tak przedstawia rzecz całą Wład. Zbyszewski w swojej relacji złożonej Gutteremu 7. grudnia 1864 roku, Rkp. w posiadaniu autora.

²⁾ Oryginał deklaracji u autora.

³⁾ Deklaracja Tomasza Batson oficera; 4. czerwca 1864 roku. Rkp. Tak przedstawia się na podstawie dokumentów, któremi rozporządzamy sprawa floty polskiej. Rzecz dziwna, że w relacji Zbyszewskiego niema wcale zmianki o statku nazwanym Kościuszko, o którym wspomina Przyborowski. Przybor. czerpał swoje wiadomości z sprawozdania hr. Mohla (Kwart. hist., XXII, 139) my polegaliśmy na tem co spisał Zbyszewski. W każdym razie sprawa ta wymagałaby dalszych badań i szczegółowego opracowania.

przyszło, agent wojskowy Dębiński mianował generalnym organizatorem floty obywatela Karpa (Feliksa) a Komisarzem rządowym przy nim Florestana Rozwadowskiego i wydał szczegółowe przepisy o organizacyi sił zbrojnych morskich (1. lutego 1864 roku).¹⁾

Jakoż Karp-Zbyszewski, niezrażony niepowodzeniem pracował dalej nad utworzeniem floty, dobrał sobie do pomocy Szweda Mengla i starego swego znajomego kapitana Kossaka, używał pośrednictwa Zygmunta Sarneckiego, który przebywał wtedy stale we Włoszech i miał stosunki z Cairolim, Crispim i Mordinim, ale rzecz cała rozbiła się ostatecznie o brak funduszków.

Na lądzie trwała wojna dalej z nielepszym jak na morzu skutkiem. Coraz widoczniejszem bowiem było, że siły społeczeństwa się wyczerpują i że duch upada. Rewolucya wrzesniowa i krótkie rządy wichrzycieli z pod znaku Chmieleńskiego, skompromitowały najwyższą władzę, rozluźniły zwartą dotąd organizację, osłabiły karność w jej szeregach, zachwiały zaufanie do Rządu Narodowego. Szalone zamachy i następująca po nich represya wrywały z pośród oddanych sprawie najgorliwszych i najbardziej potrzebnych.

Wyjechał z Warszawy Wacław Przybylski, musiał opuścić kraj Adolf Pieńkowski, dyrektor policyi; Henryk Wohl, dyrektor skarbu został aresztowany; Karol Majewski chory, czy też udający chorobę do niczego mięszać się już nie chciał.

Mimo to Traugutt nie upadał na duchu i wiary nie tracił. Obejmując rządy miał nadzieję, że z Galicyi wkroczą nowe oddziały i poکرzepią nadwątlone siły powstania w Lubelskiem.

Pracował w tym kierunku z największem poświęceniem dzielny i zacny pułkownik Struś (Stella-Sawicki) wraz z generałem Edwardem Różyckim. Oni to zmusili (przy końcu września) Komitet wschodnio galicyjski, nie dość energiczny, do poddania się władzy wojskowej, poczem Struś, mając już zupełną swobodę działania, zakrzętnął się żywo około organizacyi i wysłania nowych oddziałów do Królestwa. Naczelne dowództwo miał objąć generał Kruk, szefostwo sztabu pułkownik Rudnicki (Sawa). Oddziały (było ich cztery) doskonale wyekwipowane i zaopatrzone we wszystko miały karabiny austriackie system Lorenza, patrony z magazynów rządowych pruskich,²⁾ mundury, przerobione z austriackich.



Nr. 139. Zygmunt Chmieleński.
(Ze zbiorów pana Jarosława Pieniążka).

¹⁾ Oryginalny dokument. Wszystkie te papiery zawdzięczamy uprzejmości s. p. Antoniego Żółkiewskiego.

²⁾ Angeli Moritz, Altes Eisen. Stuttgart 1900. Seite 350.

Dzięki zdumiewającej energii i zręczności naczelników obwodowych Kazimierza Wodzikiego i Stanisława Polanowskiego, przeprowadzono lub przeniesiono w nocy z dnia 29. na 30. października 1200 ludzi z Złoczowskiego i Brzeżańskiego i południowej części Żółkiewskiego, wśród gęsto snujących się patroli wojskowych, na miejsce zboru, w Sokalskie, nad granicę. Dotąd wszystko szło dobrze, ale teraz dopiero zaczęły się niepowodzenia.

Dowódzca jednego oddziału, Robert Sienkiewicz, kapitan wojsk włoskich, jak najlepiej polecony z Paryża a w rzeczy samej tchórz i awanturnik,¹⁾ dopuścił się w obec Kruka tak jaskrawej niesubordynacji, że generał złożył naczelne dowództwo i powierzył je Wojciechowi hr. Komorowskiemu.

Komorowski służył w wojsku austriackim, wziął, w stopniu porucznika piechoty dymisyę i oprócz odwagi osobistej, nie posiadał ani doświadczenia ani znajomości sztuki wojennej. Kruk pozostawił mu wprawdzie swego szefa sztabu Rudnickiego, jako wtajemniczonego w cały plan wyprawy, ale Rudnicki wyjechał do Lwowa pod pozorem, że nie otrzymał żadnego rozkazu od generała Różyckiego, naczelnego Wodza w ziemiach ruskich.²⁾ W tak niekorzystnych warunkach przeszły oddziały granicę wołyńską i zajęły Poryck. Tu Komorowski nie wiedział co dalej czynić i na fałszywą wiadomość, że Rosyanie w znacznych siłach ściągają z Uściługa i Włodzimierza, zebrał radę wojenną, która postanowiła wrócić do Galicji, „aby nie narażać takiego pięknego oddziału na rozbicie“. Tak haniebny koniec wzięła ostatnia większa wyprawa galicyjska. Władze austriackie zabrały wszystką broń i cały rynsztunek. Zmarnowano w ten sposób pracę kilkumiesięczną, zmarnowano znaczne fundusze (60.000 guldenów) i dziwić się niepodobna, że pułkownik Struś zapłakał z bólu i smutku. Sąd wojenny, ustanowiony przez generała Różyckiego skazał trzech winnych, pomiędzy nimi Sienkiewicza na śmierć, ale wyrok nie został oczywiście wykonany.

Na to przyjechał do Lwowa, wysłany przez Traugutta nadzwyczajny Komisarz Przybylski, który miał polecenie dokonać reorganizacji władz i zaprowadzić porządek. Przybylski, według Strusia, nie posiadał odpowiednich w tym względzie zdolności i nie wiele mógł zdziałać. Reforma, jaką przeprowadził była powierzchowna. Ustanowił mianowicie Rząd Narodowy dla Galicji, złożony mniej więcej z członków dawnego Komitetu, poddał go pod przewodnictwo każdorazowego Komisarza Rządu Warszawskiego (wtedy był nim Władysław Majewski), poczem wraz z Różyckim wyjechał do Turcji, gdzie chciał nakłonić Czajkowskiego (Sadyka baszę), aby z pułkami Kozaków sultańskich wkroczył na Ruś. Zastępstwo w naczelnem dowództwie objął po Różyckim pułkownik Struś.

Wszystkie te zamiary spełzły jednak na niczem. Sadyk nie ruszył się, wyprawa na Kaukaz, którą doradzał, bawiący w Konstantynopolu Waleryan Kalinka,³⁾ nie przysłała wcale do skutku, Różycki, zrażony niepowodzeniami, przeniósł się do Paryża i nie myślał wcale wracać do Galicji.

Tu przybierały rzeczy coraz gorszy obrót. Zaczęto, na wzór Czerwieńców Warszawskich sprzątać szpiegów lub o szpiegostwo i szkodliwe dla sprawy narodowej działania podejrzanych. Dnia 25. października 1863 roku został zamordowany we Lwowie, na placu teatralnym radca sądowy Kuczyński,

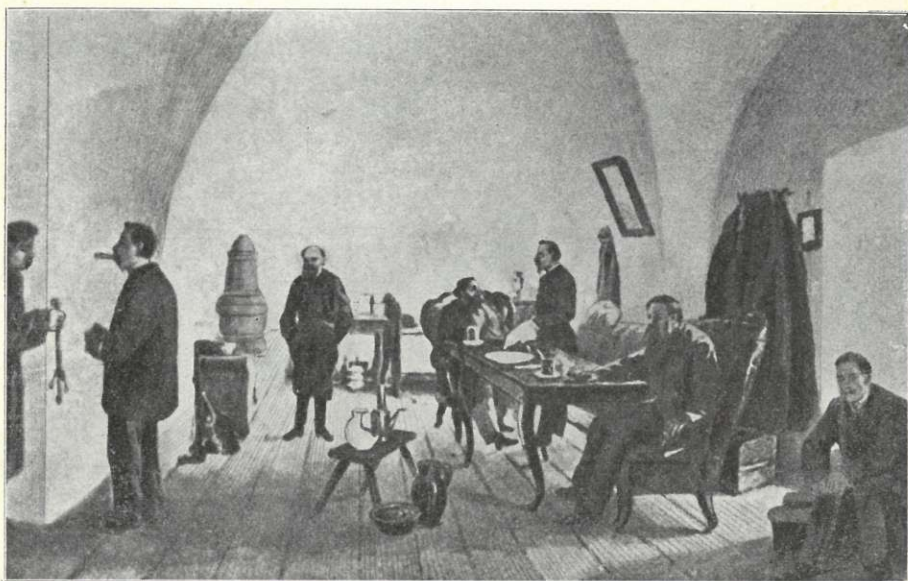
¹⁾ Wydanie Mat., tom II., str. 51, (Pamiętnik pułkownika Strusia)

²⁾ Tamże str. 81.

³⁾ Wyd. Mat., tom V., str. 342.

który jak sobie opowiadano, obchodził się brutalnie z więźniami politycznymi.¹⁾ W kilka tygodni później oskarżyła policja narodowa, na podstawie przejętych telegramów i listów Namiestnika hr. Mensdorfa, jakoteż rady Namiestnictwa Summera, znakomitego pisarza Zygmunta Kaczkowskiego o szpiegostwo i zdradę a równocześnie wyszła na jaw malwersacja, jakiej dopuścił się Janczewski, ekspedytor broni w Wrocławiu.

Smutną sprawę Kaczkowskiego, rozpatrywała osobna Komisyja, ustanowiona na polecenie Rządu Narodowego i orzekła większością głosów, że oskarżony jest winien. Skazano go na wygnanie z kraju. Kaczkowski wyjechał do Paryża, gdzie ogłosił w obronie czci swojej broszurę: *Rewolucyjne sądy i wyroki*, (1866 roku). Dalszej obrony jego podjął się profesor Ksawery Liske,²⁾ który tak był przekonany o niewinności Kaczkowskiego, że na



Nr. 140. W więzieniu Lwowskiem. (Ze zbiorów pana Jarosława Pieniżka).
Według rysunku majora Tadeusza Niewiadomskiego.

chwilę przed śmiercią polecał „Kwartalnik Polskości a sprawę Kaczkowskiego całemu społeczeństwu polskiemu“.³⁾

Jakoż sądząc ze wszystkiego, przypuszczać należy, że zarzut zdrady stanu nie był gruntownie uzasadniony, że polegał tylko na jednostronnych poszlakach, co już adwokat Kabat, znakomity prawnik i członek Komisji wyraźnie zaznaczył.⁴⁾ Za niewinnością Kaczkowskiego przemawia także i ta okoliczność, że stanęli w jego obronie ludzie tacy jak Karol Ruprecht i Agaton Giller, znani z czystości charakteru i gorącego patriotyzmu.

Natomiast sąd wojenny, zasiadający przy końcu 1863 roku w Dreźnie stwierdził sprzeniewierzenie Janczewskiego na sumę 65.000 talarów. Na

¹⁾ Ziemiakowski w swoich Pamiętnikach, wyraża się o Kuczyńskim dość przychylnie.

²⁾ W Kwartal. hist., tom V.

³⁾ Ksawery Liske, Kwart. hist., tom V., str. 539.

⁴⁾ Opinia Kabata, Wyd. Mat., tom II., str. 99.

szczęście była to jedyna malwersacya, jedyna większa nieuczciwość w tym smutnym okresie, zrównoważona co najmniej przez niezliczone przykłady ofiarności, poświęcenia i zupełnie bezinteresownej służby dla kraju. Bo przesadą jest twierdzenie, jakoby „organizacya cywilna Rządu Narodowego, znakomicie urządzona, składała się z wielkiej ilości darmozjadów i próżniaków, którzy żyli z grosza publicznego“,¹⁾ gdy wiadomo, że ani członkowie Rządu, ani naczelnicy Wydziałów żadnej płacy nie pobierali, a od ludzi ubogich, zajmujących niższe stopnie, ofiarności, przechodzącej ich siły nikt rozsądny wymagać nie mógł.



Nr. 141. Przechadzka więźniów na dziedzińcu więziennym we Lwowie.

(Ze zbiorów pana Jarosława Pieniżka).

Według rysunku Tadeusza Niewiadomskiego.

Bądź jak bądź smutne wypadki w Warszawie i w Galicyi zapowiadały bliski i nieuchronny upadek ruchu.

Niepożyta dotąd siła organizacyi słabła widocznie, anarchia podnosiła śmielej głowę, niezgoda, idąca zawsze w ślad za niepowodzeniem, nieodłączna towarzyszyła każdej niedoli, zatruchiwała serca jadem goryczy, przygotowywała zwątpienie.

Traugutt zamknięty w swojej pustelni na ulicy Smolnej, mimo raportów, jakie otrzymywał, nie obejmował zapewne całej grozy położenia, a wierząc w możliwość interwencji i przewidując wielką wojnę na wiosnę, dążył nie tylko do utrzymania ruchu zbrojnego ale i do wytworzenia z luźnych oddziałów powstańczych regularnej armii. W dniu 15. grudnia 1863 roku wydał

¹⁾ Koźmian Rzecz, tom III, 2, str. 110.

więc dekret, w którym znosił dotychczasowy podział sił według województw a zaprowadzał natomiast organizację korpusów, pułków, szwadronów i batalionów.

Korpusów miało być cztery. Dowództwo pierwszego otrzymał generał Kruk, drugiego generał Bosak, trzeciego pułkownik Skala (Koziełło); czwartemu nie dano zwierzchnictwa. W kilka miesięcy później nakazał dyktator formację piątego korpusu z powstańców litewskich i żmudzkich pod dowództwem pułkownika Jabłonowskiego (Bolesław Dłuski). Z wezwanych stawili się tylko Kruk i Bosak; Skali nie można było odszukać, Jabłonowski bawił za granicą. Zresztą piąty korpus zaczął się tworzyć dopiero na wiosnę 1864 roku.

Z punktu widzenia wojskowego organizacja sił zbrojnych, podjęta przez Traugutta, była dobrze pomyślana, ale przychodziła za późno.

Ze wszystkich korpusów drugi tylko, w województwie Krakowskiem i Sandomierskiem przybrał postawę armii regularnej i walczył z pewnem powodzeniem aż do połowy kwietnia 1864 roku.

Dowodził tam Józef hr. Hauke, który przyjął imię Bosaka od herbu, jaki cesarz Mikołaj nadał jego ojcu i stryjom w roku 1826. Wychowany w korpusie paziów w Petersburgu, wstąpił on do gwardyjskiego pułku huzarów, wkrótce jednak wziął dymisyę i wyjechał za granicę, do Paryża, gdzie bawił aż do końca roku 1858. Siostra jego, słynna z piękności, była frejliną na dworze rosyjskim, wyszła za mąż za Ks. Aleksandra Hessko-Darmsztadzkiego, rodzonego brata cesarzowej, i otrzymała tytuł hr. Battenberg. W skutek tak wysokiej kolligacyi, został Hauke za staraniem swojej rodziny, przyjęty napowrót do służby wojskowej, w stopniu rotmistrza i wysłany na Kaukaz. Tam walczył pod rozkazami Ks. Bariatyńskiego, odznaczył się w wyprawach przeciw Szamyłowi, otrzymał order św. Stanisława, szablę honorową, i wreszcie stopień pułkownika. Jako taki wyjechał do Petersburga w roku 1862, gdzie wszedł w stosunki z Kołem oficerów polskich, Ta okoliczność rozstrzygnęła prawdopodobnie o jego dalszych losach.

Obudziło się w nim serce polskie i poczucie obowiązków względem Ojczyzny. Chciał zmyć, plamę cieżącą na imieniu stryja Maurycego, chociaż tej plamy właściwie nie było, bo generał Hauke padł w nocy listopadowej, ofiarą rozgorączkowanej i rozżalonej młodzieży, ale któż w czasach manifestacyj warszawskich miał czas zagłębiać się w dziejach 1831 roku, badać wypadki z przed lat 30 tu, kto śmiał podawać w wątpliwość opinię Mochnackiego, którego dzieło o rewolucyi listopadowej ukazało się właśnie w Berlinie i Poznaniu i stanowiło Credo polityczne Czerwieńców.

Jakkolwiekbyż ruch narodowy na całym obszarze ziem polskich, potężniejszy z dnia na dzień, musiał wywrzeć wpływ znaczny na wrażliwą naturę Bosaka. Ciągnęły go ku Polsce tradycje rodzinne, ciągnęła go może ambicya, nadzieja, że w przyszłym powstaniu ważną odegra rolę, może cokolwiek i fantazyja pańska, zawsze skłonna do przedsięwzięć awanturniczych i ryzykownych.

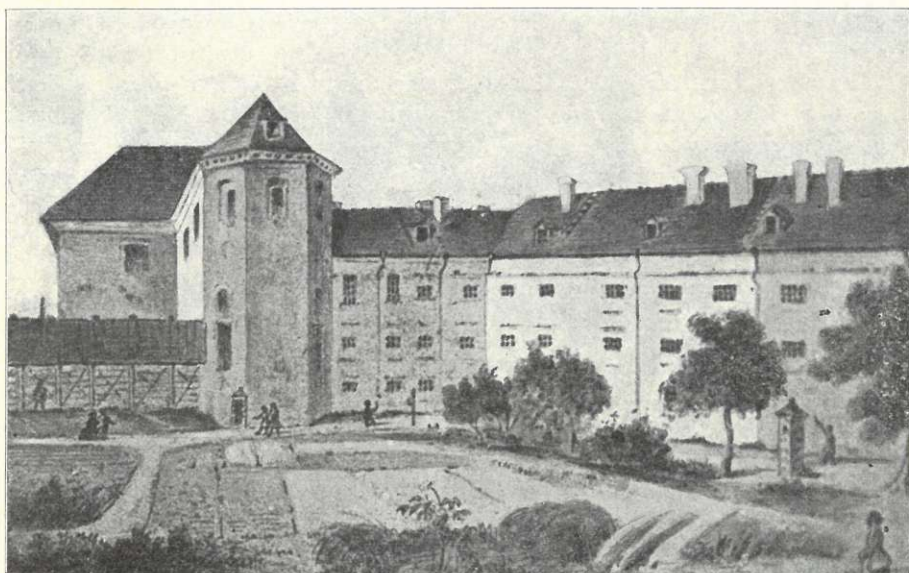
Bosak podał się więc do dymisyi w lutym 1863 roku, wyjechał do Paryża, nawiązał tam stosunki z Ks. Czartoryskim, poznał się z Trauguttem i otrzymał wreszcie dowództwo II. korpusu.

Nie posiadał on wprawdzie genialnych zdolności, miał usposobienie miękkie, ale już ta okoliczność, że człowiek tego rodzaju co Traugutt cenił

go wysoko i obdarzał swoim zaufaniem, dowodzi, że Bosak nie był bynajmniej znudzonym paniczkiem, który szukał wrażeń w lasach Sandomierskich i że umiał nie tylko podbijać serca kobiece, lecz i zasłużyć sobie na uznanie znawców sztuki wojskowej i wolnych od uprzedzeń.¹⁾

Objąwszy dowództwo w najtrudniejszych warunkach, zdołał Bosak korpus swój uorganizować i walczyć z nim przez kilka miesięcy, wtedy gdy w innych okolicach kraju klęska następowała po klęsce i powstanie widocznie dogorywało.

W Lubelskiem, żyjącem jeszcze tradycją żyrzyńskiego zwycięstwa osłabił ruch zbrojny po Fajslawickiej porażce zupełnie, a kręcące się tu i ówdzie drobne oddziały nie mogły podolać przeważnym siłom nieprzyjaciela. Ejtmminowicz, rozbitý w okolicach Parczewa, zginął (6. stycznia 1864 roku):



Nr. 142. Więzienie we Lwowie.
(Ze zbiorów pana Jarosława Pieniżka).

Komorowski, który, pragnąc powetować niepowodzenia swoje w haniebnej wyprawie Wołyńskiej, wkroczył w sześćdziesiąt koni z Galicyi w Hrubieszowskie, dał się niebacznie wprowadzić w zasadzkę i poniósł zupełną klęskę; ten sam los spotkał równocześnie prawie partye Lenieckiego, Mareckiego i Wróblewskiego.

Waleryan Wróblewski, przyjaciel Konstantego Kalinowskiego,²⁾ był radykałem rewolucyjnym, należał do redakcyi pisma *Mużyczkaja Prawda*, został po wybuchu powstania szefem sztabu Onufrego Duchinińskiego, wojennego naczelnika w Grodzieńskiem, następnie objąwszy po Duchinińskim dowództwo (15. kwietnia 1863 roku) walczył z rozmaitem szczęściem ale zarazem i z podziwu godną wytrzymałością. Obecnie, mianowany wojennym naczeln-

¹⁾ Sąd p. Przybor. o Haukiem (Ostatnie chwile powstania styczniowego. Poznań 1887, tom I., str. 182) wydaje nam się za surowym.

²⁾ General Waleryan Wróblewski. Napisał G., Paryż 1900.

nikiem w województwach Podlaskiem i Lubelskiem, zebrał resztki dawniejszych oddziałów i wraz z majorem Ponińskim, uwijał się po kraju. W jednej z takich wypraw, został rozbity pod Uścimowem przez Kozaków kubańskich. Ciężko raniony ocalał prawie cudem, wyjechał za granicę, gdzie wierny swoim zasadom, wypłynął w roku 1871 jako jeden z wodzów komuny paryskiej.

Aby podnieść upadające powstanie Lubelskie zorganizował pułkownik Struś w Galicyi oddział z 300 koni złożony i powierzył nad nim dowództwo pułkownikowi Sawie. Sawa jednak, krytykujący wszystkich, zwlekał z wyprawą aż do marca, w końcu zamiast do Królestwa, ruszył do Paryża, wszedł tam do partii Mierosławskiego, dał się naiwnie zwabić prowokatorom rosyjskim do Warszawy, aresztowany w hotelu Rzymskim i osadzony w cytadeli złożył tam obszerne zeznania; co się z nim później stało, nie wiadomo.¹⁾

Podobnie jak Sawa opuścił kraj także Wierzbicki przeznaczony na dowódcę oddziału w Lubelskiem. Pozostał w tej części tylko Krysiński, który mając w końcu zaledwie siedmiu ludzi, powstania oczywiście ożywić już nie mógł.

W Podlaskiem walczył Jankowski bez przerwy od lutego do listopada 1863 roku, przy końcu tego miesiąca pobity i znużony rozpuścił oddział a sam ukrywał się przez dwa miesiące, ale zdradzony w końcu, zginął na szubienicy w Warszawie dnia 12. lutego 1864 roku. Ostatnim dowódcą na Podlasiu był ks. Stanisław Brzozko, wikary z Łukowa. Niezmiernie popularny i kochany wśród ludu wiejskiego, mając oddziałek zaledwie z 40 tu koni złożony przetrwał on cały rok 1864 i dopiero w marcu 1865 roku dostał się nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności w ręce władz rosyjskich; powieszony w Sokołowie wraz z swoim adjutantem Wilczyńskim.

Podobne koleje przechodziło gasnące powstanie i w innych okolicach Królestwa. Istniały tam, prawie wszędzie, drobne oddziały, które z zmiennem walcząc szczęściem, prędzej czy później ulegały rozbiciu. Partye, organizowane w Wielkopolsce i Prusiech Zachodnich, pod dowództwem Edmunda Calliera, mogły się tylko częściowo przedrzeć przez kordon pruski i po kilku spotkaniach z nieprzyjacielem szły zwykle w rozsypkę.

Sam Callier, aresztowany przez władze pruskie, nie zdołał wykonać swego przedsięwzięcia a gdy jego zabrakło, rozprzega się cała organizacja prusko-wielkopolska i z tej strony ustają już wszelkie zasilki, jakimi krzepił się od czasu do czasu ruch zbrojny w zachodniej i północnej części Królestwa.

Pozostają więc tylko Województwa południowe, Krakowskie i Sandomierskie, gdzie, jak wspomniano, powstała silna stosunkowo organizacja wojskowa. Składały się na to rozmaite okoliczności, wyjątkowo korzystne. Konfiguracja kraju górzysta i pokryta wielkimi lasami, sprzyjała podjazdowej wojnie, nadzwyczaj twarda zima utrudniała działanie wojsk rosyjskich. Wśród zawałnych śniegów i trzaskających mrozów niepodobna było tropić powstańców, ukrytych w głębi wąwozów górskich lub w leśnych odstępach.

W tak pomyślnych warunkach mógł Bosak dokonać organizacji swego korpusu tem snadniej, gdy miał do pomocy w osobie swego szefa

¹⁾ Daniłowski l. c. str. 432.



Wyroby z chleba zesłańców polskich na Syberyi.
(Według oryginałów w Muzeum Rapperswilskiem.)

wództwie Krakowskiem jako partyzant zręczny i śmiały, i zyskuje sobie uznanie u swoich i sławę u nieprzyjaciół, którzy go czortem nazywali.

Wskutek gorliwych starań tych dwóch ludzi i energii Traugutta zebrało się w południowej części Królestwa, zimą 1864 roku około 3. a jak biograf Bosaka utrzymuje, 4000 dobrego żołnierza.

Podzielono te siły znaczne na trzy dywizye. Krakowską dowodził Kurowski, znany z niefortunnej swojej wyprawy na Miechów, Sandomierską pułkownik Topór (Zwierzdowski). Trzecia była prawdopodobnie dopiero w formacyi.

Pierwsza składała się z trzech pułków piechoty i jednego pułku jazdy, o trzech szwadronach, po 120 koni, druga miała taką samą ilość piechoty. Pułkami pieszemi dowodzili dzielni i doświadczeni oficerowie, jak Rębajło, Rosenbach, Bogdan, Rudowski, Józef Walter, kawalerją major Markowski.

Bosak miał zamiar obsadzić kilka ważniejszych punktów, zwłaszcza klasztor Świętokrzyski, Cisów, Piaskową Skalę, utworzyć tam ufortyfikowane obozy, zaopatrzyć je w żywność i oparłszy się na tych warowniach działać według okoliczności.

Ze stanowiska militarnego był to plan fantastyczny,¹⁾ niepodobny do wykonania, w obec ogromnej przewagi nieprzyjaciela, który w Krakowskim i Sandomierskiem miał 10.000 piechoty, 2400 jazdy i 20 armat,²⁾ wymagający zresztą nadzwyczajnego heroizmu i poświęcenia, właściwości, jakich powstaniec ówczesny, przy ogólnym upadku ducha nie posiadał.

Zamiast systematycznego prowadzenia wojny trzeba zatem było powrócić do zwykłej partyzantki. Z początku wiodła się ona dość pomyślnie. Wprawdzie Chmieleński, napadnięty niespodziewanie przez dragonów rosyjskich pod Żukowem i ciężko raniony dostał się do niewoli (rozstrzelany dnia 23. grudnia w Radomiu), ale w miesiąc potem powetował tę klęskę Rębajło³⁾ zwycięstwem odniesionem pod Ilżą (17. stycznia) nad pułkownikiem Suchoninem. Na wiadomości o tej porażce przedsięwziął Czengiery, wielką wyprawę na Korpus Bosaka, zajmujący stanowisko w głębi lasów Cisowskich i rozesłał do wszystkich okolicznych garnizonów stosowne w tym względzie rozkazy. Powstańcy jednak dowiedzieli się z przejętej depeszy pułkownika Zwierowa dowodzącego załogą w Stopnicy, o grożącym im niebezpieczeństwie i Topór z Kurowskim, którzy zastępowali bawiącego w Sandomierskiem Bosaka, postanowili uprzedzić nieprzyjaciela i wydobyć się z oblawy urządzonej przez Czengierego. W tym celu miano uderzyć na Opatów, słabym opatrzoną garnizonem, zdobyć to miasto i następnie, tak przynajmniej przypuszczać należy, szukać bezpieczniejszego schronienia w lasach Ilżeckich.

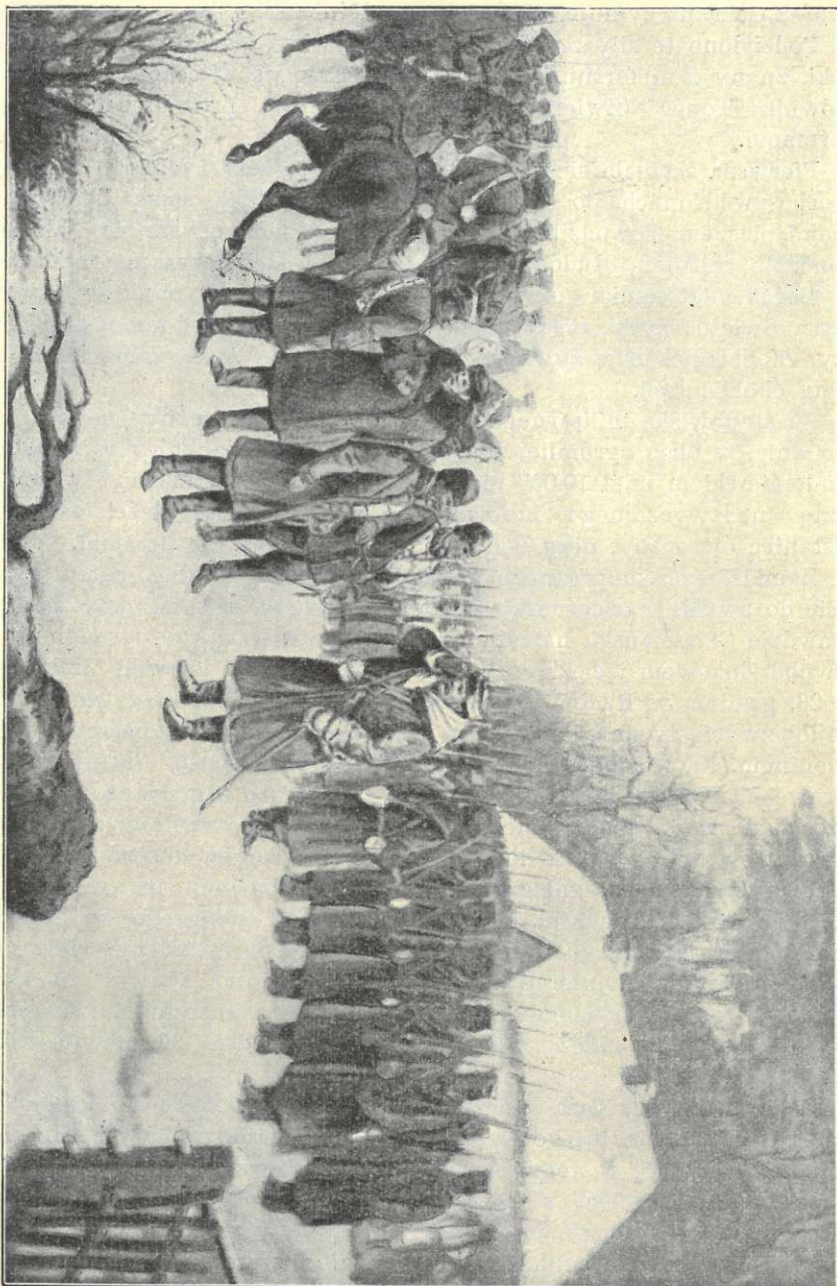
Zebrawszy więc dość znaczne siły, 1000 piechoty i 40 jazdy, zaatakował Topór dnia 21. lutego Opatów. Wywiązała się walka trwająca od 3iej popołudniu do 11 tej w nocy, bardzo krwawa. Powstańcy musieli zdobywać dom po domu, wyrzucać z tamtąd bagnetem rosyjskich piechurów, ale miasta ostatecznie zdobyć nie zdołali. Straty były stosunkowo wielkie — 42 zabitych i 62 rannych, pomiędzy tem poległo czterech kapitanów i 4 poruczników, rany odnieśli major Jagielski, kapitan Bezdziada i wreszcie sam Topór, pchnięty bagnetem.

¹⁾ Por. opinią o nim Strusia. Wyd. Mał. tom II, str. 107.

²⁾ Przyborowski. Ostatnie chwile tom. I, str. 191.

³⁾ Rębajło był oficerem austriackim i nazywał się właściwie Kalita.

Powstańcy, zamiast korzystać z zamieszania, jakie powstało w głównej kwaterze rosyjskiej na wiadomość o bitwie Opatowskiej i wymknąć się z otaczającego ich już łańcucha, powrócili nazad do Cisowa, staczając drobne utarczki



Nr. 144. Oddział sformowany przez Wóblewskiego. (Ze zbiorów pana Jarosława Pieniążka.)

z napierającym zewsząd nieprzyjacielem. W jednej z nich wpadł w ręce podjazdu rosyjskiego pułkownik Topór i został powieszony w Opatowie dnia 23. lutego, cofające się zaś oddziały powstańcze poniosły pod Witosławską



SPIS RZECZY.

	Stronica
Stan Rosyi po śmierci Mikołaja I. — Nadzieje, ulgi i zawody. — Kwestya włościańska	1
Stan umysłów w Królestwie. — Wpływy emigracyjne. — Działanie Mierosławskiego i Hotelu Lambert. — Pierwsze spiski. — Kapituła Warszawska. — Milenerzy. — Manifestacye	14
Kwestya włościańska a Towarzystwo Rolnicze. — Manifestacya Grochowska. — Dzień 27. lutego. — Pięć ofiar. — Delegacya. — Sprawa adresowa. . . .	28
Enoch i Gorczakow. — Misya Karnickiego do Petersburga. — Powołanie Wielopolskiego do Warszawy i jego program. — Misya Kretkowskiego. — Koncesye i ich przyjęcie w kraju	59
Trudne stanowisko Wielopolskiego. — Jego stosunek z Zamoyskim. — Rozwiązanie Towarzystwa Rolniczego. — Manifestacye. — Rzeź w dniu 8. kwietnia. — Głosy prasy zagranicznej. — Początki organizacyi. — „Posłanie“ Gillera — Biali. — Śmierć Gorczakowa	76
Suchozanet. — Sezostris, jego charakterystyka i działalność. — Okólnik z dnia 9. lipca. — Opozycya Wielopolskiego. — Zatarg na posiedzeniu Rady Stanu. — Śmierć Czartoryskiego. — Nabożeństwo żałobne. — Wielopolski podaje się do dymisyi. — Lambert	102
Suchozanet. — Jego zatarg z Wielopolskim. — Podróż Margrabiego do Petersburga. — Lüders. — Sprawa Białobrzzeskiego. — Komitet Miejski i Dyrekcyja Białych. — Szkoła wojskowa w Genui	126
Pobyt Wielopolskiego w Petersburgu. — Ks. Feliński i jego nominacya na arcybiskupa Warszawskiego. — Otwarcie kościołów. — Powrót Margrabiego do Warszawy w marcu 1862 roku. — Walka z Kruzenszternem i Lüdersem . .	135
Koło oficerskie w Petersburgu. — Jarosław Dąbrowski. — Przybycie jego do Warszawy. — Zamiar i plan powstania. — Opozycya. — Obalenie Komitetu i wybór nowego. — Ustąpienie Majewskiego i Paszkiewicza. — Nowe wybory. — Zwycięstwo Wielopolskiego w Petersburgu i zamach na Lüdersa. — Reformy. — Komitet Centralny i Narodowy	156

W. Ks. Konstanty. — Nominacye. — Układy Margrabiego z Białymi. — Karol Majewski. — Rozkład w stronnictwie Białych. — Zamach na W. Księcia. — Wrażenie. — Projekt adresu. — Wyrok śmierci na Jaroszyńskiego. — Zamachy Rzońcy i Rylla. — Odezwa do Narodu Namiestnika. — Zamoyski i W. Książę. — Błędy Wielopolskiego. — Rząd Narodowy. — Komitet Mierosławskiego. — Branka. — Powstanie uchwalone	167
Dzieje powstania aż do upadku Langiewicza (22, stycznia do 18. marca 1863 r.)	194
Po upadku dyktatury. — Akcyja dyplomatyczna. — Noty kwietniowe. — Amnestya. — Ks. Feliński	221
Dalszy przebieg powstania. — Zygmunt Padlewski. — Rogiński. — Mielęcki. — Województwo Lubelskie i Augustowskie. — Zwrot opinii publicznej w Rosyi. — Katków. — Powstanie na Litwie. — Narbutt. — Ks. Maćkiewicz. — Sierakowski. — Wyprawa Łapińskiego	233
Powstanie w Ziemiach Ruskich. — Tragedya w Solowijówce. — Oddziały Ukraińskie i Wołyńskie. — Upadek powstania Berdyczowskiego. — Jeziorański pod Kobylanką. — Wyprawa Radziwiłłowska. — Ekspedycya Milkowskiego	253
Trudne położenie W. Księcia. — Działalność Katkowa. — Układy Rządu Narodowego z Mierosławskim. — Zamach Czerwieńców. — Nowy Rząd. — Zamęt. — Karol Majewski i utworzenie czwartego Rządu. — Zabór pieniędzy z kasy głównej. — Wyroki śmierci. — Upadek i wyjazd Wielopolskiego. — Przyczyny jego niepowodzeń	274
Czwarty Rząd Narodowy. — Jego działanie i organizacya. — Interwencya. — Noty czerwcowe. — Odpowiedź rosyjska. — Projekt zawieszenia broni. — Stanowisko gabinetu wiedeńskiego. — Usposobienie wojenne. — Propozycya francuska wysłania jednobrzmiących not do Petersburga. — Polityka Anglii. — Noty sierpniowe. — Oplakany koniec dyplomatycznej interwencji . . .	286
Przegląd wypadków wojennych. — Ustąpienie Wielopolskiego. — Układy z Andrzejem Zamoyskim. — W. Książę opuszcza Warszawę	297
Intrygi Chmielińskiego. — Obalenie Rządu Czerwonego. — Terroryzm. — Zamachy i represye. — Dyktatura Traugutta. — Upadek powstania	313



Miejska Biblioteka Publiczna
w Jaworznie
94(438)



801-007056-00-0

8

X

✓

